



Iny
Lorentz

Córa
płomieni

Iny
Lorentz

Córa
płomieni

Z języka niemieckiego przełożyła
Daria Kuczyńska-Szymala



WPROWADZENIE O JĘZYKU IRLANDZKIM

Jezyk irlandzki (gaelicki) to jeden z tych jezyków, w których forma pisana wyrazów bardzo się różni od formy mówionej. Przykładem może być imię psa Ciary, Gamhain, które wymawia się mniej więcej „Gojn”.

Inna specyficzna cecha tego języka to różne formy nazwisk u kobiet i mężczyzn oraz nazwa samego klanu.

Nasza bohaterka nazywa się Ciara Ní Corra. Jej brat to Oisín O’Corra, oboje są natomiast Ui’Corra, co znaczy, że oboje są członkami klanu Corra.

IRLANDIA OKOŁO ROKU 1600

Kto spodziewa się po tej powieści opisu zielonej wyspy, jaką poznał podczas urlopu w Irlandii, ten się zapewne zdziwi. Irlandia była niegdyś obszarem bardzo zalesionym, z licznymi bagnami, gdzie ludzie z trudem zdobywali ziemię, na której mogliby się osiedlić. Wielkie karczowanie rozpoczęło się dopiero po wojnie dziewięcioletniej, jak zwykle się nazywało powstanie Aodha Móra O’Néilla, hrabiego Tyrone. Najpierw ścinano drzewa na budulec dla statków. W XVIII i XIX wieku węgiel drzewny z irlandzkich lasów napędzał piece hutnicze rozwijającego się angielskiego przemysłu.

Dopiero wtedy powstały typowe dla dzisiejszej Irlandii krajobrazy.

ZARYS HISTORYCZNY

Przez setki lat Irlandia była wyspą na krańcu znanego świata, rządzoną przez licznych tzw. małych królów, którzy walczyli ze sobą o uznanie i władzę. Z biegiem czasu powstało pięć, a potem cztery królestwa. Lecz także królowie Uladh (Ulster), Laighean (Leinster), An Mhuma (Munster) i Chonnacht (Connaught) nie mogli być pewni władzy w swoich prowincjach. Gdy do brzegów Irlandii przybili wikingowie, zdołali się osiedlić na wybrzeżu i założyć takie miasta jak Dublin czy Wexford. W roku 1014 Brianowi Śmiałemu, królowi Munsteru, udało się pokonać wikingów i ich sojuszników w bitwie pod Clontarf i na krótki okres zjednoczyć Irlandię. Zmarł jednak na skutek ran odniesionych w tej bitwie, a jego następcom nie udało się odzyskać władzy nad wyspą.

Gdy Diarmuid MacMurrough, król Leinsteru, został w 1169 roku wypędzony przez swoich przeciwników, zwrócił się do angielskiego króla Henryka II o pomoc w odzyskaniu swego królestwa. Udało mu się to dzięki wsparciu anglonormandzkiego szlachcica Ryszarda de Clare, zwanego Strongbow. Ryszard de Clare ożenił się z córką Diarmuida i został jego

następcą w Leinsterze.

Obawiając się, że jego poddany uzyska zbyt wielkie wpływy, Henryk II sam wkroczył do Irlandii i przy pomocy anglonormandzkich baronów opanował niemal dwie trzecie wyspy.

Długotrwałe wojny Anglii z Francją odwróciły uwagę następców Henryka II od Irlandii, w związku z czym irlandzkim małym królom udało się stopniowo wyzwolić spod angielskiego panowania. Przybyłe do Irlandii anglonormandzkie rodziny wtopiły się w miejscową szlachtę, a bezpośrednie angielskie panowanie ograniczyło się do obszaru wokół Dublina, zwanego Palisadą. Nominalnie angielscy królowie pozostali „panami Irlandii”, nie byli jednak w stanie przeciwstawić się rosnącym w siłę Irlandczykom i Anglonormanom.

To się jednak zmieniło, gdy Henryk VIII wypowiedział posłuszeństwo Rzymowi i założył Kościół anglikański.

Kazał także w Irlandii przemocą likwidować klasztory i dzielił ziemię pomiędzy zwolenników nowej wiary.

Irlandczycy, a także stare anglonormandzkie rody, nie zamierzali rezygnować z katolicyzmu, co stało się zarzewiem nieustającego konfliktu, którego przejawami były liczne powstania przeciwko Henrykowi VIII, a potem jego córce Elżbiecie I.

Anglii nie chodziło przy tym jedynie o panowanie nad sąsiednią wyspą, ale przede wszystkim o to, żeby Irlandia nie stała się wygodnym punktem do napaści na królestwo.

W końcu toczyła wojnę z Hiszpanią, stosunki z Francją były niepewne, a na północy niewygodnym sąsiadem była Szkocja, z którą już nieraz prowadzono wojnę. Do tego doszedł misjonarski zapał nowej wiary oraz poczucie kulturowej wyższości wobec Irlandczyków. By wzmocnić angielskie wpływy w Irlandii, wznoszono miasta oraz twierdze i sprowadzano protestanckich osadników.

Anglicy stosowali przy tym znaną od czasów rzymskich taktykę *divide et impera*, czyli dziel i rządź, wykorzystując stare zatargi pomiędzy irlandzkimi klanami.

Początkowo także Aodh Mór O’Neill, zwany przez Anglików Hugh O’Neillem, był sojusznikiem Anglii i tylko dzięki jej poparciu mógł uzyskać tytuł hrabiego Tyrone. Dlatego Anglicy byli bardzo zaskoczeni, że to akurat on został przywódcą największej rebelii w tamtych czasach. Przyczyną powstania była próba wprowadzenia w miejsce pradawnych irlandzkich praw angielskich ustaw, które często stały z nimi w całkowitej sprzeczności.

Doskonale znający Anglię i jej armię Aodh Mór O’Neill nękał Anglików zaciekle prowadzoną wojną partyzancką. Generałowie, których posłano przeciwko niemu, nie mogli się z nim równać, więc coraz bardziej poszerzał swoje wpływy. Także dawni wrogowie, jak Aodh Ruadh O’Domhnaill z Donegal, sprzymierzali się z nim i odnosili znaczące

zwycięstwa. Nawet gdy królowa Elżbieta I wysłała do Irlandii swojego najszlachetniejszego dowódcę Roberta Devereux, hrabiego Essex, ten także nic nie wskórał i wbrew woli królowej wrócił do Londynu, opuściwszy dręczoną chorobami armię. Kilka miesięcy później po nieudanej, źle przygotowanej próbie zamachu stanu został aresztowany i stracony za zdradę.

Karolowi Blountowi, ósmemu baronowi Mountjoy, nowemu lordowi namiestnikowi Irlandii, udało się umocnić słabnące angielskie pozycje. Decydujące znaczenie miało to, że Hiszpania co prawda wysłała do Irlandii armię, która miała wesprzeć powstanie O'Neilla, jednakże wylądowała ona na południowym krańcu wyspy, w Cionn tSáile (Kinsale), i została obleżona przez oddziały Mountjoya.

Żeby wspomóc Hiszpanów, O'Neill postanowił zrezygnować z dotychczasowej wojny podjazdowej i w środku zimy wyruszył ze swoim wojskiem z Ulsteru przez całą Irlandię. Bitwa pod Kinsale okazała się dla Irlandczyków katastrofą. Ze względu na brak doświadczenia w otwartej walce i prawdopodobnie z powodu niechęci innych przywódców, O'Neillowi nie udało się skoordynować ataku na Anglików. Ponadto z nieznanых przyczyn Hiszpanie nie wykonali uzgodnionego i oczekiwanego wypadu na tyły wroga.

O'Neill zdołał co prawda uciec z częścią ludzi do Ulsteru i tam przez jakiś czas stawiać opór, lecz podobnie jak większość irlandzkich przywódców, musiał się w końcu poddać.

Najpierw pozwolono O'Neillowi i jego sojusznikom zachować część dotychczasowych posiadłości. Gdy jednak Anglia wprowadziła nowe prawa, chcąc uczynić z dawnych małych królów zwykłych ziemskich szlachciców i zniszczyć pradawne struktury klanowe, Aodh Mór O'Neill postanowił udać się z kilkoma innymi irlandzkimi lordami na wygnanie. Ucieczka hrabiów, jak nazwano to wydarzenie, zmieniła na zawsze północ Irlandii. Ziemie należące do O'Neilla i pozostałych uciekinierów skonfiskowali Anglicy, a mieszkających na nich Irlandczyków wypędzono, sprowadzając w ich miejsce angielskich oraz szkockich protestantów (w tym czasie Szkocja była już związana unią personalną z Anglią, a rządził nimi następca Elżbiety, Jakub I).

Konflikt ten tli się w Irlandii Północnej aż po dziś dzień.

Iny i Elmar Lorentz

Dramatis personae

Irlandczycy:

Bríd - służąca na zamku Ui'Corra
Eachann - handlarz
Ionatán - najemny robotnik Ui'Corra
Maeve - żona Ionatána
Ciara Ní Corra - siostra Oisina O'Corry
Eibhlín Ní Corra - matka Ciary i Oisina
Saraíd Ní Corra - kuzynka Ciary i Oisina
Teige O'Connor - Irlandczyk
Aithil O'Corra - zastępca Oisina O'Corry
Buirre O'Corra - zarządca Oisina O'Corry
Oisín O'Corra - przywódca klanu Ui'Corra
Seachlann O'Corra - podwładny Buirre'a
Deasún O'Corraidh - Irlandczyk
Cuolán O'Rueirc - Irlandczyk
Toal - pastuszek Ui'Corra

Anglicy:

John Crandon - angielski oficer
Humphrey Darren - angielski oficer
Ryszard Haresgill - angielski osadnik
Maud - londyńska ładaczka
James Mathison - angielski oficer
Tim - londyński handlarz

Niemcy:

Hans - odźwierny na zamku Kirchberg
Cyriakus Hufeisen - żołnierz
Moni - służąca na zamku Kirchberg
Ferdynand von Kirchberg - bratanek Franciszka
Irmberga von Kirchberg - żona Franciszka
Franciszek von Kirchberg - pan zamku Kirchberg
Szymon von Kirchberg - bratanek Franciszka

Pozostali:

Luis de Cazalla - hiszpański oficer

Dries Vandermeer - flamandzki oficer

Postaci historyczne:

Anthony Bacon - sekretarz hrabiego Essex

Henryk Bagenal - angielski oficer

Karol Blount - baron Mountjoy

Robert Cecil - angielski mąż stanu

Robert Devereux - hrabia Essex

Elżbieta - królowa Anglii

Aodh Ruadh O'Domhnaill - rí Tir Chonaill, zwany przez

Anglików Hugh O'Donnellem

Aodh Mór O'Néill - hrabia Tyrone, zwany przez

Anglików Hugh O'Neillem

CZĘŚĆ PIERWSZA

Lśniqca koniczyna

1

Saraid wzdrygnęła się, gdy ktoś ją niecierpliwie szturchnął. Przestraszona otworzyła oczy i ujrzała pochyloną nad nią matkę. W jednej ręce trzymała pochodnię, a w drugiej sztylet, którego nie odłożyła, budząc córkę.

- Wstawaj, dziecko! Musimy uciekać!

- Uciekać? - zapytała zdumiona dziewczyna. Dopiero w tym momencie dotarły do niej dochodzące z zewnątrz krzyki i wołania.

- Odziej się! Idę po Ciare[1]. - Z tymi słowami matka wybiegła z izby, zostawiając Saraid w ciemnościach.

- Nic nie widzę! Jak mam się ubrać? - zawołała jeszcze dziewczyna, ale nie było już nikogo, kto mógłby jej udzielić odpowiedzi. Zrozumiała jednak, że trzeba się śpieszyć. Wygramoliła się więc z łóżka, poszukała po omacku sukni i narzuciła ją. „Mam nadzieję, że nie jest na lewą stronę” - pomyślała, ale szybko o tym zapomniała, gdy na zamku rozległ się przeraźliwy krzyk.

Przeżona Saraid znalazła w ciemnościach drogę do drzwi i wyslizgnęła się na korytarz. Tam było nieco jaśniej. Jakaś lamentująca służka minęła ją, nawet jej nie zauważając.

- Co się dzieje?! - zawołała Saraid. - Dlaczego musimy uciekać?

Nikt jej nie odpowiedział. Podeszła do służącego za okno otworu strzelniczego i krzyknęła.

Na dziedzińcu toczyła się walka. Ojciec Saraid z rozpaczliwą odwagą bronił dostępu do drzwi do wieży mieszkalnej przed trzema napastnikami. W jednym z atakujących Saraid rozpoznała Lochlainna O’Néilla, który poprzedniego dnia przybył na zamek jako posłaniec Aodha Móra O’Néilla, by negocjować pokój między swoim klanem a klanem Ui’Corra.

Choć Saraid była bardzo młoda, od razu zrozumiała, że Lochlainn O’Néill w nocy po kryjomu otworzył bramę zamku i wpuścił wrogów.

- Przekłęci Ui’Néill! - wrzasnęła, żałując, że nie jest wojownikiem tak jak ojciec, którego nie mogło pokonać nawet trzech ludzi. Pół tuzina innych wojowników Ui’Corra też stawiało odpór wrogom. Ale przez otwartą bramę napływało coraz więcej Ui’Néill, a za nimi

pojawił się mężczyźni w lśniących zbrojach i tunikach ze zniechęconym angielskim herbem.

- Przekłęci Sasanach[2]! - syknęła Saraid.

Nagle usłyszała głos matki:

- Saraid, chodź już! Musisz ponieść Ciarę. Mamy mnóstwo roboty!

- Tak, mamó! - Jeszcze zanim wybrzmiały jej słowa, już trzymała w ramionach niemowlę. Matka i inne kobiety zbierały co cenniejsze przedmioty i osobiste pamiątki, których nie chciały zostawić wrogom.

Eibhlín Ní Corra, matka Ciary, wzięła harfę klanu, ale zaraz potem odwiesiła ją z powrotem na miejsce.

- Nie możemy jej zabrać, jak i mnóstwa innych rzeczy.

Oby Bóg pokarał zarazą tych zdradzieckich Ui'Néill!

Potem spojrzała na Saraid.

- Musisz się zaopiekować Ciarą, Saraid, rozumiesz?

Dziewczynka skinęła głową.

- Tak, ciociu Eibhlín.

Żona przywódcy klanu skinęła głową, podniosła tobolek, w którym zebrała najważniejsze dokumenty i skarby klanu, sięgnęła po miecz i ruszyła na dół. Matka Saraid oraz pozostałe kobiety pobiegły za nią, natomiast Saraid rzuciła jeszcze okiem na dziedziniec. Aż się tam roilo od wrogów. Nieliczni Ui'Corra, którzy opierali się jeszcze napastnikom, byli na straconej pozycji.

- Saraid, chodź wreszcie!

Ostry głos matki wyrwał dziewczynkę z zamyślenia.

Mocno przytuliła do siebie płaczącą Ciarę i ruszyła po schodach, uważając, żeby się nie potknąć.

Powstrzymywała łzy. Matka i ciocia Eibhlín przydzieliły jej zadanie, więc nie mogła ich rozczarować.

- Damy radę, Ciaro - szepnęła niemowlęciu do ucha, starając się uspokoić samą siebie.

Tymczasem Eibhlín Ní Corra otworzyła w spiżarni ukryte drzwi, o których nie wiedziała nawet Saraid, i pierwsza ruszyła wąskim korytarzem. Następna była matka Saraid, a potem wpełznięto ją samą. Dziewczynka potykała się, podążając za światłem migoczącej świecy pośród wilgotnej ciemności.

- Jeśli na zewnątrz natrafimy na wroga, ukryjesz się z Ciarą i postarasz się, żeby nie płakała. W przeciwnym razie jej płacz was zdradzi - powiedziała Eibhlín Ní Corra do Saraid

na końcu korytarza i nakazała jej czekać, a sama popchnęła ukrytą tylną furtę w murach i wyrzwała na zewnątrz.

- Nikogo nie widać - powiedziała cicho i wyszła.

Z zamku wciąż dochodził szcęk broni i dzikie wrzaski.

Wojownicy Ui'Corra walczyli do ostatniej kropli krwi, by umożliwić ucieczkę żonie przywódcy klanu, ich córce i pozostałym niewiastom.

Choć serce Eibhlín Ní Corra krwawiło, dziękowała mężczyznom za tę ostatnią przysługę. Ona i jej podopieczne musiały się już teraz tylko śpieszyć.

- Biegnijcie! - rozkazała. - Musimy dotrzeć do bagien, zanim zaczną nam deptać po piętach. Tylko tam zdołamy im ująć.

- A co z pozostałymi? - zapytała z troską w głosie matka Saraid.

- Kto do tej pory się nie obudził, jest albo głuchy, albo martwy - odpowiedziała szorstko Eibhlín Ní Corra. - Wszyscy będą wiedzieć, że zostaliśmy zdradzeni i że musiałyśmy uciekać. Poza tym wszyscy znają miejsce, w którym mamy się zgromadzić. I albo spotkamy tam członków naszego klanu, albo zaczniemy ich oplakiwać.

- A dokąd mamy iść? - zapytała jedna ze służek, której zaokrąglony brzuch wskazywał na zbliżający się poród.

- Na razie mamy tylko jedną drogę, do Tir Chonail[3].

Tam znajduje się wieża obronna, która od wieków należy do mojej rodziny. Jest tak dobrze ukryta, że nie znajdą jej ani zdradzieccy Ui'Néill, ani po trzykroć przeklęty Ryszard Haresgill. Wyślę mojemu małżonkowi wiadomość do Francji, by powrócił wraz z Oisinem[4] i innymi wojownikami. Wtedy naszych wrogów dosięgnie zasłużona kara!

Eibhlín Ní Corra mówiła z takim przekonaniem, że Saraid i większość niewiast wierzyła jej bezgranicznie.

Lecz niektóre z nich rozumiały, że siła ich klanu nie wystarczy, by bez czyjegoś wsparcia mogli pokonać potężnych Ui'Néill oraz ich angielskich sprzymierzeńców.

W tym momencie ważne było jednak tylko ratowanie własnego życia, co samo w sobie nie miało być łatwe.

Po kilkuset krokach napotkały pierwszych członków klanu, którzy uciekli z wioski w pobliżu zamku. Każdy mężczyzna i każda kobieta nieśli tyle dobytku, ile zdołali.

Było pośród nich wielu chłopców, którzy zamiast zabawek trzymali w dłoniach prawdziwe miecze, a ich miny zdradzały, że są gotowi bronić siebie i innych przed każdym wrogiem.

Kuzyni Saraid, Aithil i Buirre, natychmiast dołączyli do żony przywódcy klanu.

- Jak to się mogło stać? - zapytał Aithil.

- Ui'Néill wydali nas Ryszardowi Haresgillowi. Oby Bóg ich pokarał! - odpowiedziała Eibhlín Ní Corra pełnym nienawiści głosem. Popatrzyła na niewielką grupkę wokół siebie. - Pośpieszcie się! Odgłosy walki cichną, wkrótce Ui'Néill i ludzie tego angielskiego zbója zaczną nas ścigać.

- Powinniśmy zgasić pochodnie - zasugerowała matka Saraid, lecz Eibhlín potrząsnęła głową.

- Wtedy poruszalibyśmy się w ciemnościach zbyt wolno. Uratować nas mogą tylko bagna, bo tylko my potrafimy przez nie przejść. Zanim prześladowcy nas okrążą, już dawno będziemy za górami.

Po tych słowach zapadło milczenie. Eibhlín Ní Corra posuwała się naprzód tak szybko, że reszta ledwo za nią nadążała. Po jakimś czasie ciężarna służka przystanęła i pokręciła głową.

- Idźcie dalej sami. Ja już nie mogę!

- Możesz! - ofuknęła ją Eibhlín Ní Corra i nakazała Aithilowi, żeby pomógł kobiecie.

Do uciekinierów dołączali kolejni Ui'Corra z innych wiosek. Niektórzy pędzili przed sobą owce, inni nawet krowy. Pod tym względem Eibhlín mogła być zadowolona. Niestrudzenie tłumaczyła swoim ludziom, co mają robić, jeśli jakiś obcy klan albo żołnierze Elżbiety z Anglii napadną na zamek, i najwyraźniej wielu wzięło sobie jej słowa do serca.

Mimo to się martwiła. Żeby podążać naprzód, potrzebowali pochodni, ale wtedy wróg mógł dostrzec ich światło z odległości kilkuset kroków.

- Tylko bagna zapewnią nam ochronę - powtarzała niczym modlitwę, pędząc do przodu. Na chwilę się obejrzała, szukając córki, i zobaczyła, że jej mała opiekunka zdecydowanym krokiem drepcze tuż za nią.

Ciara miała otwarte oczy, ale milczała, jakby rozumiała powagę sytuacji.

- Dzielna Saraid! - pochwaliła siostrzenicę Eibhlín Ní Corra. Pomyślała, czy nie wziąć od niej na chwilę dziecka. Lecz jej tobolek był tak ciężki, że ledwo go niosła, a w prawej ręce musiała dzierżyć miecz. Aithil i Buirre byli odważnymi chłopcami, ale mając jedenaście i dwanaście lat, nie stanowili poważnych przeciwników dla rostrych Ui'Néill czy Anglików. Reszta mężczyzn była parobkami albo najemnymi robotnikami, którzy do tej pory mierzyli się w walce wręcz lub bójkach na kije jedynie z równymi sobie. Napastnicy także nad nimi mieliby druzgocącą przewagę.

„A co ja sama poradzę? - zadała sobie pytanie Eibhlín Ní Corra. - Niewiele” - odpowiedziała sama sobie. Była jednak żoną taoiseacha[5] i odpowiadała za tych ludzi.

Więc w razie potrzeby poświęci własne życie, żeby oni zdołali uciec razem z jej córką.

2

Już wierzyli, że im się udało. Bagna były tuż przed nimi, gdy jedna z kobiet odwróciła się i krzyknęła przerażona:

- Anglicy!

Eibhlín Ní Corra obróciła się gwałtownie.

Rzeczywiście ściagała ich grupa jeźdźców, która prawie ich doganiała.

- Szybciej! - zawołała, choć sama została w tyle.

Aithil znalazł się u jej boku, wymachując mieczem.

Potem dołączyło do nich jeszcze dwóch mężczyzn z długimi kijami.

- Nie przepuścimy ich - szepnął Aithil pobladłymi wargami.

Gdy doszedł do nich jeszcze Buirre, przywódczyni pokręciła głową.

- Mam dla was dwóch zadanie! Tutaj są wszystkie cenne dokumenty i księgi naszego klanu. Trzeba je koniecznie uratować. Poza tym musicie chronić Ciarę i Saraid.

Nie zważając na protesty obu chłopców, wcisnęła im do rąk tobolek i odwróciła się w stronę pierwszego Anglika, który lada moment miał ją dogonić.

- Smaż się w piekle, Sasanach! - zawołała, biorąc zamach mieczem.

Jeździec roześmiał się szyderczo i chciał ją przewrócić kopniakiem, lecz zapłacił za to lekceważenie głęboką, tryskającą krwią raną. Zanim zdołał użyć miecza, dwaj parobkowie zepchnęli go kijami z konia. Zalśnił sztylet i na świecie było o jednego Anglika mniej.

Eibhlín Ní Corra patrzyła na to z ponurym zadowoleniem. Stwierdziła też z ulgą, że członkowie jej klanu dotarli tymczasem do uginającego się pod ich stopami gruntu, który był nieprzejezdny dla koni. Jeden z parobków, który doskonale znał torfowisko, wprowadził grupę na bagna.

Kolejny Anglik dogonił Eibhlín Ní Corrę. Był to Ryszard Haresgill, który sprzymierzył się z Aodhem Mórem O'Néillem, żeby przejąć ziemię Ui'Corra. Świtało już, więc zobaczył po minie przywódczyni klanu, że nie odda swego życia tanio. Wziąwszy pod uwagę, jak łatwo poradziła sobie z jednym z jego towarzyszy, Ryszard ściągnął wodze i puścił przodem innych jeźdźców.

Ci, świadomi śmierci kamrata, zachowali ostrożność.

Żeby napastnicy ich nie otoczyli, Eibhlín Ní Corra i jej parobkowie musieli ustąpić w bok. Znaleźli się na twardym kawałku gruntu, porośniętym niskimi krzewami, które stanowiły

niewielką ochronę przed jeźdźcami.

- Biegnijcie! Biegnijcie! - zawołała przywódczyni klanu do swoich towarzyszy, obróciła się i zaczęła pędzić w stronę bagien.

Natychmiast rozległ się głos Ryszarda Haresgilla.

- Uwaga, to jest Eibhlín O'Corra! Schwytać ją!

Nagroda dla tego, kto złapie ją żywą i rzuci do mych stóp!

Potem, jak już z nią skończę, wszyscy będziecie ją mogli mieć...

Eibhlín Ní Corra przyśpieszyła, lecz zaraz potem usłyszała tuż za sobą parskanie konia. Odwróciła się.

Zadała cios mieczem, ale ostrze, natrafiwszy na metal, ześlizgnęło się po nim. Jednocześnie poczuła uderzenie w lewą ramię i zobaczyła, że płynie z niego krew. By uchylić się przed kolejnym ciosem Anglika, rzuciła się na ziemię i przetoczyła na bok. Jeden z parobków zaatakował napastnika kijem i po chwili zginął od jego miecza. Dał jednak swojej przywódczyni czas, by mogła wstać i pobiec dalej. Gdy dotarła do bagien, uświadomiła sobie, że to nie była znana jej ścieżka. Wolą jednak zginąć w pochłaniającym wszystko grzęzawisku niż znaleźć się na łasce Ryszarda Haresgilla.

Przeżrana Saraid przystanęła i patrzyła, jak jej ciotka zostaje ranna, a potem się podnosi. Potem jednak wydawało się, że Eibhlín Ní Corra jest zgubiona, gdyż dwóch Anglików niemal ją doganiało. Przywódczyni klanu zapadła się jedną nogą w bagnie aż po kolano, lecz zdołała się uwolnić. Zaraz potem pierwszy z Anglików dogonił ją i uniósł broń, by wytrącić jej miecz z dłoni.

Lecz razem z koniem i pancerzem ważył o wiele więcej niż uciekiniarka, gdy więc pochylił się do przodu, chcąc zadać cios, bagniste podłoże ustąpiło pod kopytami rumaka i zwierzę się zapadło. Straciwszy równowagę, mężczyzna runął przez szyję konia głową do przodu, prosto w bagno. Jego towarzysze natychmiast ściągnęli wodze, patrząc z przerażeniem na miejsce, w którym znika ich kompan. Po chwili widzieli już tylko jego gwałtownie wierzgające nogi. A zaraz potem było po wszystkim.

Wściekły Ryszard Haresgill próbował popędzać swych ludzi, lecz oni zawrócili w suche miejsce i unieśli dłonie w obronnym geście.

- To diabelskie bagna! Nie przejdziemy.

- Jesteście wojownikami czy babami?! - wrzasnął Haresgill.

Jednakże sam przejął się śmiercią swojego człowieka i nie śmiałyby wprowadzić konia choćby na krok w budzące grozę grzęzawisko. Musiał więc patrzeć, gotując się ze złości, jak Eibhlín Ní Corra ze sporą gromadą towarzyszy idzie dalej, a potem znika gdzieś pomiędzy

wysokimi zaroślami i pojedynczymi drzewami.

Usłyszał jeszcze jej śmiało wypowiedziane słowa:

- Wrócimy, Ryszardzie Haresgill! A wtedy zapłacisz za wszystko, podobnie jak Aodh Mór O'Neill!

Eibhlín Ní Corra mówiła z pełnym przekonaniem, lecz nie wiedziała, że zanim Ui'Corra znów staną na rodzinnej ziemi, minie osiemnaście lat.

3

W jednej chwili Ciara Ní Corra widziała wokół siebie gęsty las z potężnymi drzewami liściastymi, wysokimi paprociami i zwisającymi z gałęzi porostami, a już w następnej patrzyła w dół szerokiej doliny otoczonej gęsto porośniętymi wzgórzami. Mniej więcej pół mili przed nią na utworzonym przez rzekę półwyspie wznosiła się rodowa siedziba jej klanu, zamek Ui'Corra. Ciara oderwała się od swoich ludzi. Choć w dolinie mogli jeszcze przebywać Anglicy z rozproszonych oddziałów, odsunęła na bok myśl o niebezpieczeństwie i pobiegła w dół wzgórza. Wokół niej koniczyna lśniła w promieniach słońca złotem i zielenią. Ciara ze śmiechem ściągnęła buty i z radością zaczęła tańczyć na gęstej, miękkiej łące. Ona sama nie pamiętała siedziby swojego rodu, którą utracili przed niemal dwudziestoma laty, a teraz z powrotem odzyskali. Lecz jej kuzynka Saraid, która była starsza o siedem lat, wszystko jej dokładnie opisała. Teraz na własne oczy mogła zobaczyć wysoką wieżę obronną, którą kazał wnieść jej dziad Cahal O'Corra dla obrony przed pachołkami angielskiego króla Henryka VIII, i stojący obok o wiele starszy zamek.

To w jego głównej sali jej przodkowie świętowali swe liczne chwalebne zwycięstwa. Podług legendy pił tam miód nawet słynny król Brian Śmiały[6].

- I teraz znowu potrzeba nam kogoś takiego jak Brian - powiedziała cicho Ciara.

Lecz w całej Irlandii nie było nikogo takiego. Musieli zaufać akurat Aodhowi Mórowi O'Neillowi, który przed dwudziestu laty pomógł Anglikom wypędzić jej klan z ich własnej ziemi. I teraz ten właśnie przywódca miał przepędzić znienawidzonych okupantów z Uladh[7]. Nie po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości, czy to się dobrze skończy.

Szybko odsunęła od siebie ponure myśli, bo dzień był zbyt piękny, żeby oddawać się troskom. Woląла nacieszyć oczy widokiem doliny Ui'Corra: kawałek za wzniesionym z szarych kamiennych bloków zamkiem znajdowała się pierwsza wioska. Ciara czuła się tak, jakby kryte strzechą z trzciny domy członków klanu pozdrawiały ją. Widać było nawet skromne chaty parobków i najemnych robotników, które zdawały się kryć za większymi domostwami. Dym, który unosił się z otworów dachowych większości chat, wskazywał na to,

że są zamieszkane.

„Będą się radować z końca panowania Anglików i ich heretyckich kapłanów” - pomyślała z zadowoleniem Ciara i odwróciła się, żeby spojrzeć na swoich ludzi.

Ci wychodzili właśnie z lasu, który był tak gęsto porośnięty drzewami i miał tak bujne poszycie, że większe oddziały nie były w stanie pokonać go w zwartym szyku.

To sprawiało, że Ui'Corra niewielkim wysiłkiem mogli bronić jedynej drogi, która prowadziła w głąb doliny.

Lecz las nie chronił przed zdrajcami. To oni spowodowali, że klan przegrał wtedy walkę z Anglikami oraz ich irlandzkimi sojusznikami i utracił ojcowiznę.

Ciara znowu odpędziła od siebie przykre myśli.

Chciała się cieszyć ciepłym, słonecznym dniem i tym, że dotarła w końcu do doliny i do korzeni swojej rodziny.

Napawała się tym cudownym uczuciem, a tymczasem podeszła do niej Saraid, też bosa i unosząc spódnicę.

W rękę trzymała długi kij, który służył do obrony zarówno przed dzikimi zwierzętami, jak i niespodziewanymi napastnikami. Stała przed Ciarą.

- To było bardzo nierozsądne z twojej strony, że oddzieliłaś się od reszty, córko Ui'Corra. Gdyby ten nędznik Ryszard Haresgill zostawił tu paru swoich łotrów, wpadłaby mu w ręce cenna zakładniczka. Mogliby cię też od razu zabić!

Ciara spuściła głowę z poczuciem winy.

- Nie chciałam przydać ci zmartwień, Saraid. Ale ponieważ Oisin powiadomił nas, że Haresgill opuścił zamek i dolinę razem ze wszystkimi swoimi ludźmi, miałam pewność, że nic mi się nie przydarzy.

- Nigdy nie ufaj Anglikom! To ludzie stworzeni do oszustw i podstępów - odpowiedziała Saraid Ní Corra, przywołując młodszą kuzynkę do porządku. - Dlatego teraz pozostaniesz między nami, a Buirre z dwoma ludźmi ruszy naprzód i sprawdzi, czy ta hołota rzeczywiście zniknęła.

Odwróciła się i dała mężowi znak. Ten skinął głową i razem z dwoma towarzyszami pobiegł w dół doliny.

- Ostrożności nigdy za wiele - powiedziała do Ciary. - Co innego, gdyby taoiseach przybył już do doliny i uczynił ją bezpiecznym miejscem.

Saraid często nazywała brata Ciary taoiseachem, by podkreślić, jak ważną jest osobą. I surowo pilnowała, żeby ona też zachowywała się tak, jak przystało na siostrę przywódcy klanu.

- My, Ui'Corra, może i jesteśmy biedni, ale mamy swoją dumę - powiedziała Saraid, gdy opuszczali pradawną, niewygodną wieżę na wybrzeżu Tir Chonail, którą zamieszkiwali od czasu ucieczki. Teraz, podobnie jak pozostali członkowie klanu, miała nadzieję, że nastały lepsze czasy.

Mimo to nie była zadowolona.

- Wielka szkoda, że taoiseach musi się podporządkować jednemu z Ui'Néillów. Kim oni są?! Też tylko mordercami i podpalaczami! Poza tym za często zadają się z Anglikami, dostali nawet od ich króla tytuł szlachecki. Aodh Mór O'Néill, taoiseach Ui'Néill, każe się nazywać Hugh O'Neillem, hrabią Tyrone! Choć zwrócił się w końcu przeciwko nim, upiera się przy tym tytule. - Saraid splunęła z pogardą.

Ciara nie mogła uciec przed cieniami przeszłości.

Lecz nie zdołała wtrącić ani słowa, bo Saraid kontynuowała swą gniewną tyradę:

- Ja nie zapomniałam, że to Aodh Mór O'Néill pomógł po trzykroć przekłębemu Ryszardowi Haresgillowi przepędzić stąd nasz klan. Ten judasz dostał za to jedną trzecią naszych ziem! Teraz taoiseach musi pochylić przed nim głowę, a ty uklonisz się grzecznie, jeśli go spotkasz, co, mam nadzieję, nigdy nie nastąpi! Nie ufam żadnemu Ui'Néillowi, a szczególnie ich przywódcy, odkąd Eachann O'Néill podstępnie zamordował naszego taoiseacha Brana, gdy ten przyłapał go na próbie kradzieży swego najlepszego ogiera.

- Ależ Saraid! To było prawie dwieście lat temu! - wykrzyknęła Ciara, kręcąc głową.

- Już wtedy Ui'Néill byli wstrętnymi łotrami, tacy są i tacy po wsze czasy pozostaną!

Saraid dobitnie wyraziła swą opinię o najpotężniejszym klanie w Uladh. A zdawała sobie przecież sprawę z tego, że bez wsparcia Aodha Móra O'Néilla ich klan nigdy nie mógłby powrócić na ojcowiznę. Mimo to wciąż zrzędziła:

- Jak mówiłam, O'Néill zażądał od Haresgilla jednej trzeciej naszej ziemi w zamian za poparcie. Czy teraz nam ją odda? Gdy Buirre przybył z wiadomością od taoiseacha i mogliśmy ruszyć z powrotem do domu, zapytałam go o to, lecz on mnie zbył. Więc O'Néill zachowa swój łup, a nam zostanie tylko ta część, którą przeznaczył dla siebie ten przeklęty heretyk Haresgill.

Ciara miała już dość narzekań Saraid.

- Powinniśmy się cieszyć, że w ogóle możemy wrócić do domu! Nie pamiętasz, jak żyliśmy na wybrzeżu? Na tamtych polach nie chce rosnąć nawet trzcina, a na kiepskich łąkach żadna owca czy krowa nie przytyje choćby o uncję[8].

- Mimo wszystko to niesprawiedliwe - burknęła Saraid, dla której najważniejszy był Bóg, a zaraz potem kolejno przywódca ich klanu Oisín, jego siostra Ciara, ona sama, a potem,

już w dalszej kolejności, jej mąż Buirre i pozostali członkowie klanu. Dopiero daleko za nimi gotowa była umieścić przywódców zaprzyjaźnionych irlandzkich klanów. Taki Aodh Mór O'Néill stał w jej hierarchii niewiele wyżej niż Anglicy, a ona nie zamierzała traktować go lepiej, dopóki ten będzie posiadać choćby morgę[9] ziemi należącej wcześniej do Ui'Corra.

Ciara zrezygnowała z dyskusji z Saraid i wskazała na dolinę.

- Buirre i pozostali dotarli już na zamek i nigdzie nie widać wroga.

- Jeśli cokolwiek przewyższa podstępność Anglików, to tylko ich tchórzostwo - parsknęła Saraid.

Lecz patrzyła na bramę zamku z takim samym napięciem jak Ciara i odetchnęła, gdy jej mąż wyszedł po chwili i pomachał do nich, żeby schodzili. Pobiegły, najszybciej jak mogły, w stronę zamku i zdyszane dotarły do bramy.

Buirre stał oparty o ścianę ze źdźbłem trawy w zębach i wskazywał na wóz, który był niewidoczny ze wzgórza.

- Haresgill tak się chyba spieszył, żeby stąd zwiać, że zostawił załadowany do pełna wóz.

Ciara rzuciła okiem i spostrzegła na wozie toczony meble, których utrata na pewno bardzo zabolą Haresgilla. Nie wiedziała jednak, czy te przedmioty na coś się im przydadzą. W starej wieży nad morzem mieli tylko najpotrzebniejsze sprzęty, które sami wystrugali i zbili z drewna wyrzuconego przez fale. Saraid natomiast uznała te meble za wspaniały łup.

- Nie są co prawda tak piękne jak te, które musieliśmy porzucić, gdy Haresgill i Ui'Néill nas napadli, ale przynajmniej będziemy mogli pokazać gościom, że nie jemy z podłogi.

Skinęła mężowi i z wysoko uniesioną głową przeszła przez bramę.

Ciara także weszła na zamek i rozejrzała się po małym wewnętrznym dziedzińcu. Leżało tam jeszcze trochę przedmiotów, które ludzie Haresgilla wynieśli z wieży mieszkalnej i z głównej sali zamku, a potem nie zdołali ich zabrać. Większość z nich Anglicy niestety zniszczyli.

Saraid z wściekłym wyrazem twarzy podeszła do połamanej harfy.

- To była harfa klanu Ui'Corra. Grali na niej niezliczeni bardowie naszego rodu. Och, że też musieliśmy ją wtedy zostawić!

- Kto niby miał ją nieść? - zapytał jej mąż. - Nasi wojownicy walczyli, chłopcy pędzili bydło, a kobiety i dziewczęta zabrały wszystko, co zdołały unieść. Ty sama dźwigałaś małą Ciarę aż do samego morza, bo żadna ze starszych dziewcząt nie mogła ci pomóc.

To wszystko była prawda, lecz na widok zniszczonej harfy także Ciara poczuła

głęboki ból. Ktoś nawet załatwił swoją potrzebę na wyrzeźbiony symbol klanu Ui'Corra.

- Anglicy, jak mówiłam! To naród bez kultury i bez manier! - Saraid prychnęła i nakazała ludziom, by zaczęli od uprzątnięcia dziedzińca.

Dla Ciary było jasne, że jej kuzynka zaraz sama zabierze się do pracy i pożałowała, że ma na sobie swoją jedyną porządną suknię. Była zbyt cenna, żeby mogła w niej sprzątać.

- Zanieś zaraz skrzynię z moimi rzeczami do jakiejś izby, żeby mogła się przebrać - rozkazała, ale to nie spodobało się wcale Saraid.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę! Jesteś córką Ui'Corra i nie możesz przyjąć brata i jego gości w sukni, która nadaje się najwyżej dla służki.

- Ale przecież nie wiemy, kiedy Oisín przybędzie - zaprotestowała Ciara.

- Taoiseach wezwał nas tutaj i na pewno nie każe na siebie długo czekać - ucięła dyskusję Saraid. Dziewczyna zajmowała w hierarchii klanu drugie miejsce tuż za bratem, musiała się więc odpowiednio prezentować.

Ciara była zła, że musi nagle dbać o konwenanse, które w starej wieży nad morzem nie miały żadnego znaczenia.

Niezadowolona przeszła przez dziedziniec, omijając rupiecie, które pozostawili po sobie Anglicy. Nagle spostrzegła w kącie plamkę zieleni. Gdy podeszła bliżej i pochyliła się, zobaczyła, że rośnie tam kępka koniczyny.

Uznała, że to dobry znak dla jej powrotu.

4

Saraid miała rację. Jeszcze tego samego popołudnia w dolinie pojawiła się grupa jeźdźców, którzy jechali kłusem w stronę zamku. Powiewały nad nimi wesoło sztandary klanów Ui'Corra i Ui'Néill. Dla Ciary była to wyjątkowa chwila, bo pamiętała tylko trzy spotkania z własnym bratem. Po raz pierwszy pojawił się w ruinach nad morzem trzy lata po ucieczce. Po raz kolejny zobaczyli się po dobrych sześciu latach, które Oisín spędził na kontynencie, służąc swym mieczem królowi Francuzów. Cztery lata później znów odwiedził stary zamek w Tir Chonaill. Wtedy przybył do Irlandii z przyjacielem z Niemiec, żeby sprawdzić, czy nadeszła już pora na powstanie.

Wtedy Ciarę o wiele bardziej niż wojenne plany brata interesował gość z obcych stron. Szymon von Kirchberg był młodym, wesołym i przystojnym mężczyzną, który umiał snuć wspaniałe opowieści. Zakochała się w nim już pierwszego wieczoru.

Teraz przyłapała się na tym, że ma nadzieję, że jej bratu towarzyszy von Kirchberg. Lecz gdy wyjrzała z okna, zobaczyła samych Irlandczyków. Byli to członkowie klanu, którzy

wyruszyli z Oisinem do Francji, natomiast pozostali nosili na odzieniu symbol Ui'Néill. Był wśród nich sam O'Néill. Choć Ciara nigdy wcześniej nie widziała Aodha Móra O'Néilla, sposób, w jaki ten człowiek siedział na koniu, wskazywał, że jest to ktoś świadomy swej władzy. Nawet w siodle wydawał się wysoki i barczysty. Nie potrafiła określić jego wieku, bo nosił gęstą brodę, która sięgała mu do piersi. Jej brat miał krótką bródkę, a na głowie nosił zgodnie z angielską modą śmieszny kapelusz bez ronda.

- A co ty tu jeszcze robisz? Musisz zejść na dół i powitać gości! Staraj się mieć uprzejmy wyraz twarzy, gdy staniesz przed O'Néillem. Nie jest tego wart, ale jesteśmy od niego zależni. - Saraid podeszła do niej i zdecydowanie wygoniła ją z izby.

- Czy jesteśmy w stanie podać gościom odpowiedni posiłek? - zapytała Ciara.

- Lekko nie będzie, bo Anglicy przed odjazdem nasikali do beczki z mąką i zanieczyścili też inne rzeczy. Ale na pewno znajdę coś, co można będzie postawić na stole.

Saraid traktowała z powagą swoje obowiązki gospodyni zamku, poza tym leżało jej na sercu dobro klanu, a szczególnie młodej kuzynki. Jako siostra przywódcy klanu Ciara powinna już dawno wyjść za mąż, lecz Oisín O'Corra jak dotąd się tym nie zajął. Saraid miała nadzieję, że wśród jego towarzyszy jest jakiś młody człowiek, który nada się na męża dla Ciary.

Podczas gdy Saraid nadzorowała przygotowanie uczyty na cześć pana tych ziem, Ciara wyszła na dziedziniec i stanęła naprzeciwko brata i jego gości. Oisín O'Corra, szczupły mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy, krytycznie przyjrzał się siostrze.

- Jeszcze urosłaś od ostatniego razu, maighdean[10]!

Nie takie słowa przygotował sobie na powitanie, lecz zaskoczyły go uroda i wysoka sylwetka siostry. Nie była już małą dziewczynką z zadartym noskiem, którą pamiętał.

Większość członków ich rodziny miała jasne lub rudawe włosy, a ona od urodzenia miała włosy czarne jak smoła i dlatego dostała takie imię[11]. Choć wciąż były ciemne, w blasku słońca lśniły czerwienią. Ze szczupłej czternastolatki, którą widział ostatnio, przemieniła się w młodą kobietę o jasnoszarych oczach, twarzy w kształcie serca i idealnej figurze.

Gdy podszedł do niej, zauważył z ulgą, że nie jest aż tak rośnięta, jak ocenił na pierwszy rzut oka. Sięgała mu do połowy twarzy, czyli była wyższa tylko od bardzo niskich mężczyzn. To znacznie zwiększało liczbę potencjalnych kandydatów. Na razie nie wiedział, komu oddać jej rękę.

- Miło cię widzieć, mała - powiedział do milczącej Ciary.

Gdy do jej brata podszedł Aodh Mór O'Néill, złożyła głęboki ukłon, odpowiedni

wobec najpotężniejszego człowieka w Uladh, a może i w całej Irlandii. Choć spędziła dzieciństwo w starej wieży na odludnym wybrzeżu Tir Chonaill, niech zobaczy, że potrafi się zachować jak szlachetna dama.

Hrabia Tyrone, jak nazywali Hugh O'Néilla Anglicy, patrzył na stojącą przed nim młodą dziewczynę jak na klacz, której wartość ma ocenić.

W końcu z zadowoleniem skinął głową.

- Pięknego macie żrebaka w swojej stajni, O'Corra.

Wkrótce zjawią się tu młode ogiery i zaczną się ubiegać o waszą siostrę. Radzę wam, dobrze wybierzcie jej narzeczonego. Wydaje mi się, że najlepszy byłby dla niej wódz klanu z An Mhuma albo z południa, z Chonnacht.

Choć wypowiedział te słowa przyjaznym tonem, Oisin O'Corra uchwycił zawarte w nich ostrzeżenie. Aodh Mór O'Néill wyraźnie dał do zrozumienia, że nie życzy sobie związku między Ui'Corra a jakimś rodem z Uladh czy też z bezpośredniego sąsiedztwa poddanych mu ziem.

- Jeszcze nie zastanawiałem się nad ewentualnym szwagrem, sir - odpowiedział wymijająco.

Przez twarz Ciary przemknął cień, gdy jej brat zwrócił się do gościa, używając angielskiego zwrotu. Słyszała już z plotek, że Aodh Mór O'Néill jest dumny ze swojego angielskiego tytułu, który wyniósł go ponad rí[12] i taoiseach innych klanów. Lecz jej to nie imponowało, zwłaszcza że ich gość przed zaledwie dwudziestu laty zajął ten zamek jako sprzymierzeniec ich śmiertelnego wroga Ryszarda Haresgilla.

- Witajcie w siedzibie Ui'Corra - przywitała O'Néilla i zapraszającym gestem wskazała na drzwi wejściowe do głównej sali zamku.

Choć hrabia Tyrone skinął głową, kilku jego towarzyszy ruszyło przodem, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś zasadzki. Ciara zastanawiała się, kogo Aodh Mór O'Néill boi się najbardziej, Anglików, u których boku tak długo walczył, a którzy teraz uważali go za zdrajcę, czy też Irlandczyków, którzy wszystko pamiętali.

Rozpamiętywanie przeszłości nie miało jednak sensu.

Jeśli jej klan miał zachować ojcowiznę, musieli przełknąć gorzką pigułkę, nawet jeśli była tak wielka jak przywódca Ui'Néill.

Wchodząc do środka, hrabia aż zmrużył oczy ze zdumienia, bo domyślał się, w jakim stanie Ryszard Haresgill zostawił zamek. Saraid i jej towarzyszkom udało się jednak uprzątnąć salę w tak krótkim czasie.

Rozwieszane na ścianach pęki wrzosu roztaczały przyjemny aromat, na lśniących

czystością stołach stały misy z baranym gulaszem i pieczonymi jagniętami, a młoda służka nalewała do pucharów pieniaący się miód.

Ciara podziwiała zmyślność swej kuzynki, gdyż Anglicy zanieczyścili większość zapasów, czyniąc je nieprzydatnymi. Wycofujące się oddziały rozbiły też w piwnicy wiele beczek z piwem i miodem. Saraid błyskawicznie rozdzieliła pracę pomiędzy służące i robotnice, które Haresgill zostawił, nie chcąc się martwić o ich wyżywienie, i dokonała razem z nimi prawdziwego cudu. Kobiety te sprawiały wrażenie nieśmiałych i zahukanych, jakby się bały własnego cienia.

Po tym też można było poznać, że sir Ryszard Haresgill, hrabia Gillsborough, jak nazwał zamek Ui'Corra, nie traktował ludzi dobrze. Na dodatek jego pastor próbował za pomocą kija wybić chłopom z głów ich katolicką wiarę.

„I choćby dlatego dobrze, że wróciliśmy - pomyślała Ciara. - Zresztą sami wkrótce będziemy potrzebować własnego kapłana, który będzie szerzył prawdziwą wiarę, a nie te angielskie herezje”.

- Nieźle się już urządziliście - powiedział Aodh Mór O'Neill, zwracając się do jej brata, jakby to on to wszystko przygotował.

Ciara prychnęła cicho, bo uznała, że nie doceniono wysiłku Saraid oraz jej własnego. Choć nie mogła bezpośrednio uczestniczyć w przygotowaniach, pilnie szukała nadających się do użytku zapasów. Na długo nie wystarczą, ale miała nadzieję, że przetrwają do najbliższych zbiorów dzięki rybom z jeziora oraz grzybom i korzonkom z lasu.

Zamyślona, niemal nie usłyszała odpowiedzi brata.

- Pochwała należy się nie mnie, tylko raczej mojej siostrze i kuzynce Saraid. Spodziewałem się zastać tu chaos i zniszczenie. Tym bardziej się cieszę, że jest inaczej.

- Tu panowały chaos i zniszczenie! I choćby dlatego ten nędznik Haresgill i jego Anglicy powinni zawisnąć na najbliższym drzewie! - wtrąciła głosem pełnym gniewu Ciara.

Aodh Mór O'Neill odwrócił się do niej ze śmiechem.

- Nie martwcie się, panno Ciaro! Rozliczymy się z Ryszardem Haresgillem i wszystkimi pozostałymi Anglikami, w waszym imieniu i w imieniu wszystkich mieszkańców Uladh. Już wkrótce oczyścimy z nich naszą wyspę i będziemy mogli, jako pobożni chrześcijanie, zwrócić się znowu do Rzymu, gdzie panuje głowa naszego Kościoła, następcą świętego Piotra.

- Tak przy okazji, potrzebujemy nowego księdza, który wypędzi z naszej doliny kacerski odór.

Ciara skierowała swe słowa do brata, lecz odpowiedział jej Aodh Mór O'Neill.

- Nie martw się, córko Ui'Corra! Kilka dni temu w Béal Atha Seanaidh[13] przybił do brzegu statek z Hiszpanii. Oprócz broni miał na pokładzie wykształconego w Rzymie kapłana. Głosy angielskich heretyków i ich kacerskiej królowej raz na zawsze umilkną na naszej wyspie.

„A przecież przyjąłeś od tej kacerskiej królowej tytuł hrabiego Tyrone i złożyłeś jej przysięgę jako lennik” - pomyślała z pogardą Ciara, lecz przywołała się do porządku. Niechęć Saraid do Aodha Móra O'Néilla nie powinna wpływać na jej zachowanie. Poprosiła więc gościa, by zajął miejsce i się częstował.

Oisín uprzejmym gestem oddał gościowi honorowe miejsce u szczytu stołu. Zirytowało to Ciarę, gdyż jako przywódca Ui'Corra jej brat był równy rangą Aodhowi Mórowi O'Néillovi, nawet jeśli klan tamtego był potężniejszy i dysponował większą ilością ziem i wojowników.

Potrawy były smaczne, miód smakował wszystkim, więc wkrótce zapanowała swobodna atmosfera, która udzieliła się także Ciarze. Aodh Mór O'Néill rzucił jej kilka komplementów, lecz potem zajmował się już tylko jej bratem, bo chciał przeciągnąć doświadczonego dowódcę na swoją stronę. Jego ludziom nie brakowało odwagi, lecz żeby zwyciężyć w wojnie z Anglią, potrzebował oficerów, którzy sprawdzili się już w wielkich bitwach. W końcu objął Oisina ramieniem i przyciągnął go do siebie.

- Podobacie mi się, O'Corra. Zawsze wysłucham waszej rady.

- Czuję się zaszczycony - odparł Oisín, bo nie wiedział, co powiedzieć. Powrócił do Irlandii, wierząc, że odegra znaczącą rolę jako przywódca swojego klanu.

Lecz hrabia Tyrone od razu dał mu do zrozumienia, że tu, w Uladh, tylko on ma cokolwiek do powiedzenia. Pod tym względem Aodh Mór O'Néill nie zachowywał się jak irlandzki taoiseach, tylko jak angielski lord.

Oisín był świadom, że jego gość nie zwrócił się przeciwko Anglikom z umiłowania wolności, tylko dlatego, że królowa Elżbieta chciała ograniczyć jego władzę w Uladh i wyznaczyć miłego sobie namiestnika.

Gdyby angielska władczyni wybrała O'Néilla na swojego namiestnika w Uladh, byłby zachwycony mogąc jej służyć.

Wtedy Oisín dalej dowodziłby na kontynencie żołnierzami dla obcych władców, a Ciara wciąż mieszkałaby w odległym zakątku Tir Chonaill, które Anglicy nazywali Donegal, w targanej wiatrem starej wieży.

Aodh Mór O'Néill z każdym kolejnym pucharem miodu stawał się coraz bardziej rozmowny, aż w końcu udało mu się swą wylewnością pokonać rozdrażnienie Oisina i zły

humor Ciary. Obiecał Ui'Corra kolejne ziemie, które nadal znajdowały się w rękach Anglików, mgliście przedstawił swoje dalsze plany, a w końcu zaczął mówić o tym, co było dla niego najważniejsze.

- Jesteście dzielnym i doświadczonym dowódcą, O'Corra. Potrzebujemy takich ludzi jak wy, żeby przepędzić Anglików z Uladh, a jak się da, to z całej Irlandii. Ale nawet najdzielniejszy generał nie wygra bitwy bez wojska. Mam nadzieję, że wasz klan dysponuje godną siebie liczbą wojowników i żołnierzy!

- Przybyłem do Irlandii z pięćdziesięcioma ludźmi - odpowiedział Oisín, wiedząc, że ta liczba wyda się O'Néillovi skromna. Dlatego pośpiesznie dodał: - Mój zastępca Aithil za kilka dni przybije do Béal Atha Seanaidh z resztą moich ludzi i dołączy do nas. To będzie trzystu zdolnych do boju wojowników i mniej więcej tyle samo rekrutów, których udało nam się zwerbować wśród mieszkających we Francji Irlandczyków. To jeszcze nie wszystko. Mój przyjaciel z Niemiec, Szymon von Kirchberg, otrzymał od Ojca Świętego polecenie, by wystawić dwie kompanie żołnierzy i pomóc nam w walce z angielskimi heretykami. Pod sztandarem Ui'Corra ruszy więc wkrótce do boju ponad tysiąc ludzi.

- To przyzwoita liczba - odpowiedział nieco kwaśnym tonem Aodh Mór O'Néill. Z taką siłą O'Corra zyska większe znaczenie niż hrabia Tyrone był gotów mu przyznać. Mimo to pochwalał jego zamiar zgromadzenia silnej armii, więc zmienił temat.

Ciara aż przycisnęła dłoń do bijącego jej w piersi serca, gdy usłyszała imię Szymona von Kirchberga. „Czy on wciąż jest tak przystojny jak pięć lat temu?” - pomyślała. Wtedy jej serce zapłonęło miłością do niego i z trudem znosiła fakt, że traktował ją nieco protekcyjnie jako młodszą siostrę Oisina. Teraz nie była już dziewczynką, a według Saraid wyrosła na piękną pannę. Ale czy to wystarczy mężczyźnie, który na kontynencie poznał najpiękniejsze kobiety świata? Miała nadzieję, że dowie się więcej o Szymonie von Kirchbergu od Oisina, więc najchętniej odesłałaby gościa może nie do diabła, ale przynajmniej na drugi koniec Irlandii, żeby móc wreszcie porozmawiać z bratem w cztery oczy.

5

Kapitan z zatroskaną miną wskazał na jasne żagle, które pojawiły się na horyzoncie za rufą.

- Obce statki znowu przyśpieszyły, *signori*. Jeśli święty Paweł nam nie pomoże, dogonią nas przed zapadnięciem zmroku.

- Jesteś pewien, że to Anglicy? - zapytał Szymon von Kirchberg z napięciem w głosie.

- Gotów jestem postawić na to własną duszę! - odparł kapitan. - Hiszpańskie i francuskie statki wyglądają inaczej i nie płyną tak szybko. To mogłyby też być statki ze zbuntowanych prowincji Niderlandów, lecz byłyby dla nas taką samą zgubą jak angielskie.

Szymon von Kirchberg osłonił oczy i popatrzył na statki, których kadłuby pokazały się już na horyzoncie.

- Co proponujesz?

- Powinniśmy postawić wszystkie żagle, jakie mamy.

Może w ten sposób utrzymamy dystans do zapadnięcia nocy i wtedy wymkniemy się im w ciemnościach.

- To dlaczego jeszcze tego nie zrobiliśmy? - ofuknął go rozgniewany Szymon von Kirchberg.

- Z powodu „Violetty”. Ona nie jest tak szybka jak moja łajba, a nie chciałem jej zostawić. Nadszedł jednak moment, w którym musimy ratować własną skórę.

Młody kuzyn Szymona, Ferdynand, wpatrywał się dotąd w ścigające ich statki jak zaczarowany. Teraz jednak odwrócił się do kapitana ze złością:

- Czy ty na poważnie sugerujesz, że mamy porzucić

„Violettę” i wszystkich towarzyszy, którzy na niej płyną?

- Sami dla siebie też jesteśmy bliźniami, *signore*. Nasze rodziny nic nie zyskają, jeśli zostaniemy z „Violettą” i razem z nimi poddamy się Anglikom.

- Poddamy się? Chciałeś chyba powiedzieć, że ich pokonamy. Na Boga, cóż za pomysł! Na „Violecie” płynie trzystu dzielnych ludzi, a na naszym statku prawie osiemdziesięciu. Razem chyba damy sobie radę z załogami trzech angielskich łupin! - wykrzyknął Ferdynand, którego coraz bardziej irytowało to, że uciekali przed obcymi statkami, choć na pewno mieli liczebną przewagę.

Kapitan pobłażliwie potrząsnął głową.

- *Signore*, Anglicy to diabły wcielone! Nie podpłyną bokiem i nie zaatakują bezpośrednio, tylko będą nas z daleka tak długo ostrzeliwać z armat, aż zabiją większość naszych i uszkodzą statki tak mocno, że będziemy musieli się poddać. Jeśli tego nie uczynimy, zatopią nas, nie podpływając bliżej niż na trzydzieści sążni. Wasza odwaga i wasi ludzie nic nam nie pomogą.

- To czemu nie zawrócimy i sami ich nie zaatakujemy?

- zaproponował Ferdynand.

- „Violetta” jest na to za wolna. Wymkną się jej i zaczną ją ostrzeliwać, a my sami nie damy sobie rady z trzema statkami. - Kapitan wcale nie ukrywał, że uważa propozycje

Ferdynanda za durne gadanie, i popatrzył na Szymona von Kirchberga.

- To wy dowodzicie tym przedsięwzięciem, *signore*.

Proszę, nie czyńcie naszych żon wdowami, a naszych dzieci sierotami. Anglicy to diabły wcielone...

- Już to mówiłeś - warknął na niego Ferdynand.

Szymon von Kirchberg uspokajającym gestem uniósł dłoni.

- Pozwól mu skończyć, Ferdynandzie.

W przeciwieństwie do nas zna się na żeglowaniu i wie, co robić. Skoro twierdzi, że musimy zostawić „Violettę”, to pewnie tak jest.

Wbrew swym łagodzącym słowom, Szymon von Kirchberg wcale nie miał ochoty pogodzić się ze stratą pękatego statku, na którym płynęła większość jego ludzi.

Nie umiał jednak ukryć ulgi, że sam jest na pokładzie mniejszej „Margherity”. Wciąż mógł mieć nadzieję, że dotrze do Irlandii. Gdyby był na „Violecie”, z pewnością wpadłby w ręce Anglików.

- Rób, co tylko możesz - zwrócił się ze zdecydowanym wyrazem twarzy do kapitana - żebyśmy się wymknęli tym heretyckim psom!

Kapitan odetchnął. Nie chodziło mu tylko o przeżycie, lecz także o statek. Gdyby Anglicy go zdobyli, on sam, o ile puściliby go wolno, mógłby się zaciągnąć na inny statek tylko jako prosty mat albo sternik. Bardziej prawdopodobne wydawało mu się jednak, że kapitanowie królowej Elżbiety od razu wyrzuciliby jego i jego ludzi za burtę, żeby się potopili. Nie czekając na wyrażoną wprost zgodę, nakazał marynarzom postawić kolejne żagle.

Pośpiech, z jakim tamci zabrali się do dzieła, wyraźnie wskazywał, że i oni są gotowi zrobić wszystko, żeby nie dać się wciągnąć w potyczkę angielskim statkom, które dysponowały o wiele lepszymi działami.

Ferdynand przyglądał się bezradnie, jak ich statek przyśpiesza, a „Violetta” zostaje coraz bardziej z tyłu.

Zaraz potem dobiegły ich pełne oburzenia okrzyki.

- A to świnię, zostawili nas tutaj!

- Żeby was czort świsnął!

- Żalodne tchórze!

Zawstydzony i rozgniewany podszedł do kuzyna i uderzył zaciśniętą pięścią w reling.

- Popelniamy błąd! Nie wolno porzucać towarzyszy w potrzebie, skoro nie rozległ się jeszcze ani jeden strzał.

Dlaczego nie zostaniemy przy „Violecie” i nie przywitamy Anglików salwami z muszkietów? Przecież mamy dosyć broni na pokładzie.

Szymon von Kirchberg przybrał zarozumiałą minę.

- Chłopcze, jak sądzisz, co ja bym najchętniej zrobił?

Ale wtedy musielibyśmy siłą powstrzymać kapitana i jego ludzi przed ucieczką. Jak mielibyśmy się wtedy jeszcze bronić przed Anglikami? Zapomniałeś, jakie mają mocne działa? Przypomnij sobie, jak angielskie statki przepędziły rzekomo niepokonaną hiszpańską armadę po kanale, a potem wokół obu wysp. Wtedy na pokładach hiszpańskich statków też było więcej ludzi niż u przeciwników. Ale to im nic a nic nie pomogło. Jak mówi kapitan, Anglicy to diabły wcielone!

Ponieważ Ferdynand wciąż wyglądał tak, jakby miał ochotę własnoręcznie przymusić kapitana do stawienia czoła wrogowi, Szymon objął go ramieniem.

- To cholerny pech, że akurat my natrafiliśmy na tych łotrów. Musimy zachować rozsądek. Nikt na tym nic nie zyska, jeśli nas zatopią albo wezmą do niewoli. Mój przyjaciel Oisín O’Corra liczy na to, że przybędę do niego do Irlandii. Ale ja nie zdołam tego zrobić, jeśli zginę albo trafię do angielskiego lochu.

- Moglibyśmy zwyciężyć - odpowiedział markotnie Ferdynand.

Szymon wydał z siebie przypominające śmiech parsknięcie.

- Słyszałeś, co mówił kapitan, a on ma więcej doświadczenia niż taki młokos jak ty. Mamy szansę, tylko jeśli wytrzymamy do zmierzchu, a potem umkniemy po ciemku.

- Żeby się ratować, zostawiamy towarzyszy na pastwę losu! - wybuchł Ferdynand, który był jednocześnie oburzony i zrozpaczony.

- Bóg się nimi zaopiekuje i ulituje się nad ich duszami.

Szymon von Kirchberg uważał, że decyzja została podjęta. Ludzie na „Violecie” byli zgubieni. Teraz trzeba było dopilnować, żeby nie pociągnęli za sobą ich statku.

Tymczasem kapitan kazał rozwiesić drugi blinder pod bukszprytem, żeby mogli złapać w żagle każdy powiew wiatru. Mimo to nadal był niezadowolony i po chwili podszedł do obu szlachciców.

- *Signori*, statek jest zbyt ciężki, a przez to zbyt powolny. Jeśli nie będziemy lżejsi, Anglicy mimo wszystko nas dogonią.

- To znaczy? - zapytał nieufnie Ferdynand.

- Musimy wyrzucić za burtę część ładunku, *signore!*

Ferdynand postukał się w czoło.

- Oszalałeś? Ładunek to nasza broń, amunicja, zapasy i wszystko to, czego

potrzebujemy, żeby móc walczyć w Irlandii za świętą katolicką wiarę!

- Jednak walczyć o to będziemy mogli tylko wtedy, gdy na tę wyspę dotrzemy - wtrącił Szymon von Kirchberg. - Kapitanie, proszę robić wszystko, co niezbędne, byśmy umknęli Anglikom. A ty, mały, przestań robić wykłady dorosłym mężczyznom. W przeciwnym razie zacznę żałować, że cię ze sobą zabrałem.

Reprimenda była jednoznaczna. Ferdynand zagryzł wargi i patrzył ponuro, jak marynarze i paru żołnierzy wchodzi pod pokład i wracają ze skrzyniami i beczkami, żeby wyrzucić je przez burtę. Już po chwili za

„Margheritą” ciągnął się pas tonących dóbr, które morze powoli pochłaniało.

Ferdynand poszedł na rufę i osłonił oczy dłonią, żeby wyostrzyć wzrok. „Violetta” została już daleko w tyle.

Najbliższy angielski statek prawie dogonił starą łajbę i wystrzelił tuż przed jej dziobem, żeby ją zmusić do kapitulacji. Widać jednak było, że wrogi statek wcale nie zmniejsza swej prędkości, tylko razem z drugim dalej ściga „Margheritę”, podczas gdy najwolniejszy angielski galeon kieruje się ku cięższemu statkowi.

Ferdynand wciąż był zdania, że pozostanie przy

„Violecie” i wspólna walka byłyby nie tylko bardziej honorowe, ale też bardziej obiecujące. Nawet jeśli Anglicy mieli więcej lepszych dział, to salwa z ponad stu muszkietów też potrafiła wyrządzić szkody. Poza tym ich statki również dysponowały działami, których można było użyć w walce. Lecz gdy spróbował przekonać Szymona, ten potrząsnął tylko głową.

- To byłaby daremna ofiara, mały. Kapitan też jest tego zdania, a on jest doświadczonym żeglarzem.

Zrozpaczony Ferdynand zwrócił się do księdza, który towarzyszył ich oddziałowi.

- Powiedzcie coś, ojciec Matteo. Z Bożą pomocą wydostaniemy towarzyszy z tarapatów.

Ojciec Matteo nakreślił w powietrzu znak krzyża w geście błogosławieństwa i popatrzył smutno na Ferdynanda.

- To święta próba, mój synu, której musimy sprostać.

Dziewica Maryja zatroszczy się o naszych towarzyszy i poprowadzi ich na prawicę Boga Ojca. Naszym zadaniem jest dotrzeć do Irlandii i tam walczyć z kacerstwem, a nie szukać śmierci w odmętach oceanu.

- Słyszałeś, mały - rzucił opryskliwie Szymon i kazał Ferdynandowi wreszcie zamilknąć.

6

Chyba nikt nigdy nie pragnął tak ciemności nocy, jak zgromadzeni na pokładzie „Margherity”. Podczas gdy marynarze opróżniali ładownię, ksiądz modlił się do Przenajświętszej Dziewicy i wszystkich patronów ludzi morza o wsparcie i ratunek przed angielskimi heretykami.

Ferdynand nadal stał nieruchomo na rufie i patrzył w dal. Słyszał armatnie wystrzały i wyobrażał sobie, jak kule uderzają w „Violettę”, rozrywając nie tylko deski i płótno żagli, ale także ciała biednych kompanów stłoczonych w ładowniach. Wydawało mu się nawet, że docierają do niego przekleństwa rzucane przez towarzyszy, piętnujące tchórzostwo tych na pokładzie „Margherity”.

Po chwili do relingu obok niego podeszli Szymon i kapitan.

- Te psy też postawiły więcej żagli i przyspieszyły. Nie sądzę, żebyśmy wytrzymali do nocy - oznajmił genueńczyk z zatroskaną miną.

- Czyń wszystko, co konieczne, byśmy umknęli tym łotrom - upomniał go Szymon von Kirchberg.

- To nie będzie łatwe. Kapitanowie angielskiej królowej mają magiczne lustro, które pokazuje im wszystkie statki żeglujące w okolicy.

Ferdynand obrócił się oburzony.

- Skoro tak, to w nocy też im nie uciekniemy, bo i tak będą nas gonić, używając tego diabelskiego urządzenia.

Powinniśmy byli zostać przy „Violecie” i walczyć!

- Będziemy błagać Przenajświętszą Dziewicę, by okryła nas swym płaszczem i schowała przed wzrokiem Anglików. - Ksiądz po raz kolejny nakreślił znak krzyża i z powrotem pogrążył się w modlitwie.

- Same słowa nas nie uratują. Tu trzeba czynów - mruknął Ferdynand i klepnął dłonią rękojeść swojego miecza.

Wcale nie był aż tak niedoświadczony w boju, jak sądził jego kuzyn. Przecież wspierał wuja Franciszka von Kirchberga podczas jego waśni z sąsiadami. Nie śmiał jednak porównywać się z tak doświadczonym wojownikiem jak Szymon.

Gdy usłyszał za sobą rzenie konia, obrócił się zdumiony. Marynarze prowadzili bojowego rumaka Szymona i jego własnego gniadosza. Najpierw nie rozumiał, co zamierzają, ale gdy podprowadzili konia Szymona do burty i biciem zmusili go do skoczenia w wodę, ryknął rozgniewany:

- Na litość boską! Co to ma być?

- Jeśli mamy wytrzymać do nocy, musimy wyrzucić za burtę wszystko, co zbędne - poinformował go kapitan.

Ferdynand popatrzył na konia Szymona, który rozpaczliwie starał się płynąć za statkiem i wyciągnął miecz:

- Nie tykajcie mojego Martina, łotry!

Marynarze się cofnęli, a on chwycił wodze, żeby sprowadzić konia z powrotem do ładowni.

- Cholerny dureń! - mruknął Szymon, zerkając na angielskie statki, które były coraz bliżej i skinął na kapitana. - Zajmij się tym!

- Z przyjemnością! - Kapitan chwycił dębowy kołek do mocowania lin i ruszył za młodzieńcem.

Sprzyjało mu to, że gniadosz kręcił się niespokojnie po kołyszącym się pokładzie i skupił na sobie całą uwagę swojego pana. Kapitan mógł więc niepostrzeżenie wziąć zamach i powalić Ferdynanda.

Młodzieniec upadł z głośnym jękiem na deski pokładu i znieruchomiał.

Szymon zobaczył, że chłopak ma zakrwawioną głowę.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłeś. To mój kuzyn! - ofuknął kapitana.

Gnueńczyk uniósł dłonie w obronnym geście.

- Ależ skąd, *signore*. Ledwo musnąłem młodego pana.

Wkrótce się ocknie.

- Miejmy nadzieję! W przeciwnym razie będę się musiał zastanowić, co z tobą począć. A teraz za burtę z tą szkapą! Ja też już nie mam konia!

Po tych słowach Szymon von Kirchberg z powrotem skupił swą uwagę na Anglikach i z ulgą stwierdził, że nie doganiają ich już tak prędko jak wcześniej.

Tymczasem kapitan zerkał z troską na Ferdynanda.

Zadał mocny cios i było całkiem możliwe, że Ferdynand von Kirchberg już się nie obudzi. Wtedy czeka go zemsta starszego Kirchberga, a to nie jest człowiek, który się waha.

Z zatroskaną miną skinął na jednego z marynarzy.

- Zabierz *signore* na dół, na jego koję, Bino, i przywiąż go. Nie chcę, żeby tu wszystko zakrwawił!

Marynarz przerzucił sobie Ferdynanda przez ramię niczym worek z mąką, a kapitan rozkazał innemu, żeby zmył z pokładu plamę krwi.

- I jeszcze coś! - dodał. - Jak *signore* Ferdynand się ocknie, nie mówcie ani słowa o

tym, kto go uderzył. Niech myśli, że to był jego kuzyn.

- *Si, capitano!* - Marynarz odszedł i powiadomił o poleceniu swoich kamratów, zanim przyniósł wiadro, obwiązał je liną i spuścił za burtę, żeby nabrać wody.

Zaraz potem jedynie mokra, choć szybko schnąca plama wskazywała, że w tym miejscu powalono Ferdynanda von Kirchberga.

7

Gdy Ferdynand się ocknął, wokół panowały ciemności, a jemu huczało w głowie tak, jakby próbował pokonać w picu pół tuzina wprawionych żołdaków. Było mu niedobrze i bał się, że zaraz zwymiotuje. Nie chciał zabrudzić sobie koi, więc spróbował wstać, a gdy już mu się to udało, podłoga zakołysała się pod nim tak, jakby naprawdę był pijany.

Powoli zaczęło do niego docierać, że jest na pokładzie

„Margherity”, w drodze do Irlandii. „Czy nie wynikły tu jakieś kłopoty?” - zastanawiał się i z trudem przypominał sobie ścigające ich angielskie statki.

W następnej chwili zapomniał o Anglikach, bo znów poczuł potężne mdłości. Dusząc się niemal wymiocinami, znalazł trap i wspiął się na górę.

Pokład statku oświetlały gwiazdy północnego nieba, a z oddali docierał szum fal uderzających o nieznaną mu brzeg. Udało mu się jeszcze tylko określić kierunek wiatru, żeby nie zwymiotować w niewłaściwą stronę i nie pobrudzić sobie twarzy i odzienia.

Gdy mdłości nieco się uspokoiły, zwiesił głowę, trzymając się relingu. Tak źle nie czuł się nawet wtedy, gdy weterani z oddziałów wuja Franciszka spili go po zwycięstwie nad wrogami.

Ferdynand nie miał pojęcia, jak długo zwisał z relingu, wymiotując żółcią. Głowę miał niczym bęben, na którym jakiś złośliwy demon wybijał rytm żelazną pałką.

Zapłakał z bólu i nieszczęścia. W końcu osunął się na deski, pragnąc umrzeć.

Nagle gwiazdy przesłonił jakiś cień.

- No, mały, jak tam?

- Szymon! Mój Boże, co się stało? Gdzie Anglicy?

- Najwyraźniej udało nam się zostawić ich w tyle - odpowiedział Szymon von Kirchberg, pomijając pierwsze pytanie. - Sternik kieruje nas teraz innym kursem, płyniemy do Irlandii po wielkim łuku. Wylądujemy dalej na północ niż zaplanowaliśmy. Ale to dla nas korzystne, bo nie będziemy mieli tak daleko do zamku Oisina O’Corry. Ostatnia wiadomość, jaką przesłał, mówiła, że razem z Hugh O’Neillem, hrabią Tyrone, zamierza go zająć. Lecz będziemy musieli zachować ostrożność.

Ponieważ straciliśmy większość naszych żołnierzy, nie możemy się napatoczyć na angielski patrol.

- A więc „Violetta” stracona.

- Nie mogliśmy jej uratować.

- A mój dzielny Martin?

Szymon von Kirchberg pocieszającym gestem położył kuzynowi dłoń na ramieniu.

- W godzinie próby każdy musi ponieść ofiarę, mój chłopcze. Nie smuć się więc, tylko patrz śmiało w przyszłość i niech ci naprawdę winni zapłacą za to, że musieliśmy wyrzucić nasze konie za burtę. W Irlandii będziesz miał dość okazji, żeby się zrewanżować Anglikom, obiecuję ci to!

- Byłeś już kiedyś na zamku O’Corrów? - zapytał Ferdynand, który pamiętał dawne opowieści kuzyna.

- Nie byłem wtedy na ich zamku, tylko w starej okrągłej wieży na odludnym wybrzeżu, w której mogli się wtedy schronić. Mieszkała tam siostra Oisina.

Ciemnowłosa chudzina, która zakochała się we mnie na zabój.

Szymon się roześmiał, choć zdawał sobie sprawę, że zniechęciła go wtedy nędza rodu, a nie wygląd Ciary.

Mężczyzna taki jak on nie mógł sobie pozwolić na staranie się o pannę bez posagu. Ale to nie była sprawa Ferdynanda. Dlatego wyniosłym tonem opowiedział, w jakich prymitywnych warunkach mieszkał klan O’Corrów w wieży na wybrzeżu Donegal.

- Ale większość Irlandczyków tak mieszka, nawet przywódcy mniej znaczących klanów. Tylko wielcy wodzowie, jak Hugh O’Neill, mieszkają tak, jak przystało szlachetnie urodzonym. Ten człowiek ma nawet angielski tytuł szlachecki, jest hrabią Tyrone. I posiada nieograniczoną władzę nad większą częścią prowincji Ulster. Tym, którzy będą walczyć po jego stronie, odwdzięczy się ziemią i zaszczytami.

To wyjaśniało, dlaczego Szymon postanowił przyłączyć się do buntu Irlandczyków. Od niemal dziesięciu lat walczył jako dowódca wojsk papieskich i już nieraz oszukano go na żołdzie czy przypadającej mu części łupów. Propozycja Oisina O’Corry, że zapłaci ziemią, wydawała się niezwykle kusząca.

Ferdynand wciąż czuł się zbyt źle, by móc zebrać myśli.

Mdłości i bóle głowy przegnały nawet żal za dzielnym gniadoszem, prezentem od uwielbianego stryja. Z trudem się podniósł i przytrzymał relingu.

- Lepiej chyba będzie, jeśli się z powrotem położę.

Obudź mnie, gdy dotrzemy do Irlandii.

- Musiałbyś długo spać, bo to potrwa jeszcze kilka dni.

Mimo to życzę ci dobrej nocy! - Szymon klepnął Ferdynanda w ramię i odwrócił się.

Uderzenie kuzyna wywołało kolejną falę bólu w głowie Ferdynanda. Zatoczył się i mało nie wpadł pod pokład.

Chwyciły go czyjeś mocne ramiona.

- Nie tak prędko, panie Ferdynandzie! Chyba nie chcecie złamać sobie karku. Poczekajcie, sprowadzę was na dół.

- Hufeisen? - w głosie Ferdynanda zabrzmiało zdziwienie, bo do tej pory wachmistrz kuzyna raczej się o niego nie troszczył.

- Nie inaczej - odparł żołnierz. - Wybaczcie, że się wtrącam, ale ja też uważam to za świństwo, że zostawiliśmy towarzyszy z „Violetty” na pastwę losu.

Kapitan tej łajby mało nie narobił w gacie i zaraził swym strachem naszego dowódcę.

- Szymon na pewno się nie bał - wymamrotał Ferdynand. Podziwiał swego kuzyna już jako mały chłopiec i ogromnie się ucieszył, gdy ten zaproponował mu, by popłynął z nim do Irlandii w roli jego zastępcy.

Hufeisen odburknął coś niezrozumiale i pomógł młodemu szlachcicowi zejść pod pokład.

Gdy Ferdynand leżał już na swojej koi, mimowolnie złapał się za bolącą głowę i stwierdził, że jest obwiązana.

Pod opatrunkiem wyczuł wielkiego guza.

- Ktoś walnął mnie w głowę, Hufeisen. Mów zaraz kto, żebym mógł mu odpłacić! - zwrócił się do wachmistrza.

- Przykro mi, panie Ferdynandzie, ale ja tego nie widziałem. - Hufeisen cieszył się, że w maleńkiej kajucie było ciemno. Młody szlachcic nie mógł poznać po jego minie, że kłamie. Nawet jeśli zaatakował go kapitan

„Margherity”, to prawdziwym winowajcą był jego zdaniem Szymon von Kirchberg. Ale nie mógł powiedzieć tego Ferdynandowi, bo nie chciał sprowokować kłótni między kuzynami. W końcu starszy z nich był jego dowódcą. Szymon von Kirchberg utracił jednak szacunek swojego podoficera, porzucając towarzyszy płynących na „Violetcie”.

8

Aodh Mór O’Néill opuścił dolinę Ui’Corra, żeby odwiedzić przywódców innych klanów i przeciągnąć ich na swoją stronę. Mimo to Ciara i Saraid miały pełne ręce roboty.

Trzeba było uprzątnąć resztę zamku oraz zaplanować, jak uzupełnić zapasy i jak najlepiej je wykorzystać, żeby ludność przetrwała zimę. Poza tym należało skłonić parobków i najemnych robotników, by zasiali zboża i buraki i zajęli się zwierzętami. Równie istotne było wykopywanie torfu, którym palono zimą w piecach. Należało też prząść len, a także zbierać jagody, zioła, grzyby i jadalne korzonki.

Nie tylko na zamku czekało mnóstwo pracy. Trzeba było też przepatrzeć całą dolinę oraz otaczające ją lasy i naprawić szkody poczynione przez Ryszarda Haresgilla.

W jednej z położonych na uboczu wsi spalono wszystkie domy, zabito wielu mężczyzn, a kobiety zgwałcono. Od tamtej pory ci, którzy przeżyli, uciekali do lasu na sam widok uzbrojonego człowieka. Z tego powodu Ciara postanowiła, że osobiście zajmie się tą sprawą.

Z samego rana opuściła zamek i powędrowała w górę doliny w kierunku spalonej wsi. Miała na sobie proste odzienie, a na plecach myśliwski łuk. Na wygnaniu w Tir Chonail od czasu do czasu uzupełniała skromną dietę dziczyzną, którą sama upolowała, a za każdym razem wyobrażała sobie, że jej strzała dosięgła Anglika. Lecz na wybrzeżu nie było wrogów. Tu może być inaczej, gdyż Ryszard Haresgill raczej nie pogodzi się z porażką. Z tego względu rozważała nawet przez chwilę, czy nie poprosić Buirre'a, męża Saraid, żeby jej towarzyszył. Jednak na zamku było tak niewielu silnych mężczyzn, że nie chciała odrywać go od pracy.

Poza tym była uzbrojona nie tylko w łuk, lecz także w długi sztylet, a w rękę trzymała kij, służący jej za laskę.

„Na jednego, w razie potrzeby na dwóch Anglików, powinno starczyć” - powtarzała dla dodania sobie odwagi, maszerując energicznym krokiem.

Wkrótce dotarła do pierwszej z wiosek należących do klanu Ui'Corra. Kiedyś mieszkali tu przede wszystkim członkowie klanu, lecz w większości zostali wypędzeni przez Haresgilla, który na ich miejsce sprowadził osadników z Anglii, którzy potem wycofali się razem z nim. Dlatego Ciara nie zdziwiła się, że większość domów i chat stała pusta. W tych domostwach będą się mogli osiedlić mieszkańcy zniszczonej wioski. „O ile znajdę tam jakichś ludzi” - pomyślała.

W jednej z wciąż zamieszkałych chat poprosiła o kubek wody i poczęstowano ją naparem, który mieszkańcy przygotowali z mieszanki łąkowych ziół. Smakował gorzko, ale był bardzo orzeźwiający.

- Dziękuję! - powiedziała Ciara do milczącej kobiety, która stała w drzwiach. - Jeśli będziecie czegoś potrzebować, przyjdźcie na zamek. My, Ui'Corra, wróciliśmy!

Kobieta skinęła głową, ale nic nie powiedziała, tylko natychmiast po otrzymaniu z powrotem pustego kubka wróciła do wnętrza chaty.

Ciara rozumiała, że ludzie się boją, i to nie tylko Anglików, ale swoich własnych rodaków, tych, którzy tu kiedyś panowali. Przeklęła w duchu Haresgilla, który najwidoczniej zaprowadził w ich dolinie bezlitosne rządy.

Nie szanował ani wiary mieszkańców, ani ich własności, ani kobiet. Zamiast tego wprost zachęcał swoich żołnierzy, żeby hańbili Irlandki, by te rodziły potem Anglików.

- Mój brat przepędzi te psy - szeptała pod nosem. - O'Néill ich przepędzi, wszyscy Irlandczycy ich przepędzą! Znowu nadejdą czasy, gdy wyświęceni pasterze będą mogli nauczać swoją trzodę prawdziwej wiary, nie obawiając się śmierci z ręki angielskiego heretyka.

„Mieszkańcy Irlandii powinni być wolni - pomyślała - a nie bać się przez cały czas, że na rozkaz angielskiego szeryfa[14] zostaną zabrani z własnych chat i zaciągnięci do przymusowej pracy w Anglii”.

Gdy dotarła do zniszczonej wioski, jej wściekłość na Anglików nie miała granic. Z około dwudziestu chat zostały tylko cztery, a i te były opuszczone. Mały kościółek też został zniszczony, a na cmentarzu zobaczyła rząd świeżych grobów.

Zacisnęła pięści.

- Zapłacą za to!

Lecz zanim do tego dojdzie, powinna się najpierw zatroszczyć o uciekinierów. Gdy przesunęła wzrokiem po polach i łąkach, które rozciągały się z jednej strony aż po zielone wzgórza wokół zamku, a z drugiej po pobliski las, wydało jej się, że w półmroku między drzewami dostrzega ludzi, którzy jej się przyglądają.

Żeby pokazać, że jest pobożną katoliczką, uklękła przed ruinami kościoła i pomodliła się tak, żeby obserwujący ją ze skraju lasu ludzie mogli to zobaczyć.

Potem wstała, przeżegnała się i ruszyła w ich stronę. Szła powoli, żeby nie czuli się zaskoczeni. Przede wszystkim jednak chciała, żeby zauważyli, że jest sama i nie ma z nią żadnych wojowników.

Zbliżyła się do gęstwiny, lecz nikt nie wyszedł z kryjówki. W końcu stanęła dwadzieścia kroków przed zaroślami i uniosła prawą dłoń na znak powitania.

- Wiem, że tam jesteście! - zawołała. - Jestem Ciara Ní Corra, siostra Oisina O'Corry, taoiseacha Ui'Corra.

Wróciliśmy i przegoniliśmy z naszej ziemi Ryszarda Haresgilla i jego łotrów.

„Teraz się okaże - pomyślała. - Albo mi uwierzą, albo będę musiała wejść w las. Jeśli

będę mieć pecha, uznają mnie za wroga i zabiją”. Natychmiast odpędziła od siebie tę myśl. Choć jej rodzina od dwudziestu lat żyła na wygnaniu, to przecież na pewno mieszkali w tej wsi ludzie, którzy pamiętali dawne czasy.

- Słyszycie mnie? Jestem Ciara Ní Corra! - zawołała ponownie.

W końcu coś się wydarzyło. Dwóch mężczyzn odważyło się opuścić kryjówkę. Jeden był całkiem młody, za to drugiego przygarbił ciężar wielu przeżytych lat. Obaj byli obdarci i wyglądali na bardzo nieufnych. Lecz starszy wydawał się Ciarze zaciekawiony.

Stanęli jakies dziesięć kroków przed nią i spojrzeli jej w oczy.

- Niby jesteś Ciara Ní Corra? Przecież Anglicy zabili ponoć wszystkich z rodu starego Cahala O’Corry? - zapytał obronnym tonem.

- Cahal O’Corra był moim dziadkiem - wyjaśniła Ciara. - Gdy Anglicy najechali naszą ziemię, matka zdołała uciec razem ze mną i kilkoma członkami klanu.

Mój brat był już wtedy paziem we Francji, na dworze króla Henryka Trzeciego.

Stary zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się Ciarze.

- Jesteś podobna do żony naszego dawnego taoiseacha i mogłabyś być jej córką. Ale czy wiesz, co powiedział twój ojciec przy twoich narodzinach?

Na tę wzmiankę Ciara przygryzła wargi.

- Wiem! Gdy się urodziłam, miałam czarne włosy na głowie i ciemną skórę. Ojciec wykrzyknął, że chyba spłodził mnie jakiś Murzyn, i dał mi imię Ciara. Lecz już dzień później moja cera była biała jak mleko, a włosy wypadły. Mimo to imię pozostało, a matka przez kilka tygodni dokuczała ojcu, że jest Murzynem. Nie trwało to długo, bo kilka miesięcy później Ryszard Haresgill sprzymierzył się z Aodhem Mórem O’Néillem i wypędził nas z naszej rodzinnej ziemi.

- Zgadza się! - oznajmił staruszek. - Naprawdę jesteś córką O’Corry.

- Teraz jestem siostrą O’Corry. Mój ojciec zginął kilka lat później we Francji w bitwie z heretykami. Teraz mój brat Oisín jest przywódcą klanu. Wróciliśmy, żeby objąć z powrotem naszą ziemię. Więc nie musicie już chować się po lasach niczym dzika zwierzyna. Część was może wrócić do wioski i zamieszkać w chatach, które wciąż mają dach, a pozostali powinni zająć opustoszałe domostwa w innych wioskach. Zapasy i inne potrzebne rzeczy dostaniecie na zamku, jeśli tylko będziemy w stanie wam pomóc.

Ciara miała nadzieję, że przekonają ich jej słowa, lecz młody człowiek rzucił jej gniewne spojrzenie.

- To przez was Anglicy podpalili nam dachy nad głowami i zabili wielu z nas. Moja żona i moje siostry zostały przez nich pohańbione, a mój malutki syn zabity.

Wy obejmujecie teraz z powrotem ziemię, ale to my, prości ludzie, za to cierpieliśmy.

- To straszne, co musieliście znosić, ale tych przerażających czynów dokonali Anglicy. I zapłacą za to, obiecuję wam.

Ciara walczyła ze łzami, które napłynęły jej do oczu na myśl o niewinnych ofiarach tej wojny. Od setek lat Anglicy dręczyli jej naród, pozbawiając go jego praw, wolności i ziemi.

- Nadeszła pora, byśmy oczyścili naszą wyspę z angielskiego brudu! - zawołała z gniewem. - Wtedy znów nastanie pokój, a niewiasta z północy Uladh będzie mogła pójść daleko na południe, aż do An Mhuma[15], i z powrotem, i nie będą jej niepokoić żadni łotrzy. My, Ui'Corra, zadbamy o to!

Młody mężczyzna chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz jego starszy towarzysz szturchnął go lekko.

- Opamiętaj się, Ionatánie! Stoi przed nami siostra taoiseacha. Ui'Corra zawsze byli dla nas dobrymi panami i tacy pozostaną. Pamiętam dobrze Eibhlín Ní Corré.

Umożliwiła ucieczkę tym, którzy z nią szli, broniąc ich mieczem i poświęcając swoje życie!

- Matka nie zginęła w walce - powiedziała cicho Ciara. - Została wtedy ranna, ale doprowadziła nas wszystkich do Tir Chonaill. Tam przeżyła jeszcze trzy miesiące.

Ionatán wciąż prowadził wewnętrzną walkę, lecz w końcu spuścił głowę.

- Dobrze więc, wrócimy do doliny i zajmiemy chaty zdrajców, którzy trzymali z Haresgillem i szczuli na nas jego psy, zanim się wynieśli. Ale nie zaorzę ani skiby ziemi i nie zasieję żadnego ziarna, dopóki nie zanurzę rąk we krwi Anglika i nie pomszczę syna oraz zhańbionej żony. Obiecuj mi, że taoiseach przyjmie mnie do grona swoich wojowników, siostrze O'Corry.

Ciara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Do tej pory tylko wolni chłopci zostawali wojownikami, a nie najemni robotnicy. Potem jednak uznała, że ta wojna ma swoje własne zasady i skinęła głową.

- Mój brat potrzebuje odważnych mężczyzn, Ionatánie O'Corra!

Mężczyzna uśmiechnął się i podszedł bliżej, pokazując swe muskularne ramię.

- Nie jestem słabeuszem, siostrze O'Corry. Do tej pory uprawiałem ziemię i hodowałem owce. Lecz moje serce jest czarne od smutku i chcę zemsty na każdym, kto odebrał nam ostatnią rzecz, która nam została, czyli honor.

- Nie gadaj tyle, tylko sprowadź resztę! - zbeształ go towarzysz. - Las to dom dla zwierząt, nie dla ludzi.

Niewiasty się ucieszą, że znów będą mogły spać pod dachem.

- Niektóre kobiety już nigdy z niczego się nie ucieszą - odparł ponurym tonem Ionatán, odwrócił się jednak i pobiegł do lasu. Staruszek podszedł do Ciary i zaczął wypytywać o innych członków klanu, których pamiętał z dawnych, lepszych czasów.

9

Gdy Ciara jakiś czas później dotarła na zamek z trzema tuzinami ludzi, wzbudziła prawdziwe poruszenie. Saraid patrzyła na przybyszów z taką miną, jakby nie wiedziała, czy się cieszyć, że ich przybyło, czy raczej martwić, że będą musieli podzielić się z nimi skromnymi zapasami.

Oisin też bezradnie patrzył na ludzi, którzy nie posiadali właściwie nic poza obdartym odzieniem.

- Oni są z naszej najbardziej wysuniętej na północ wsi.

Łotry Haresgilla podpalili ich domy, niektórych zabili, a kobiety pohańbili. Od tamtej pory ukrywali się w lesie.

Znalazłam ich i przyprowadziłam tutaj - wyjaśniła Ciara bratu.

Ten skinął głową z takim roztargnieniem, jakby miał ważniejsze sprawy na głowie. W końcu jednak zdobył się na jakąś odpowiedź.

- Dobrze, przyda się każda para rąk do pracy przy odbudowie naszej ziemi. Niech osiedlą się w wioskach położonych bliżej zamku. Stoi tam wiele pustych chat, bo Anglicy, których sprowadził tutaj Haresgill, uciekli, podobnie jak wszyscy Irlandczycy, którzy walczyli po stronie Sasanach.

- To właśnie zaproponowałam już naszym przyjaciołom - oznajmiła Ciara, która zaraz potem usłyszała ponagląjące chrząknięcie Ionatána.

- Ach tak - dodała. - Temu mężczyźnie obiecałam, że będzie mógł dołączyć do grona naszych wojowników.

Chce się zemścić na Anglikach.

Oisin mimowolnie zmarszczył czoło, gdyż była to decyzja, którą podjąć mógł tylko on. Lecz gdy popatrzył Ionatánowi w oczy i wyczytał w nich wielką nienawiść do Anglików, skinął głową.

- Niech idzie do Buirre'a, żeby dał mu jakąś broń.

W każdym razie będzie musiał sporo ćwiczyć, żeby był cokolwiek wart. Anglik to nie kamień, w który można walić, a on nie reaguje.

„Wręcz przeciwnie, Anglicy to, niestety, cholernie twardzi wojownicy” - dodał w myślach i skinął na siostrę, żeby poszła za nim.

Ciara poszła z nim do wieży, gdzie odłożyła łuk i strzały.

Jej brat podszedł do jednego z malutkich okien i wyjrzał na zewnątrz, na żyzną dolinę, którą jego ród zamieszkiwał od setek lat.

- Głupio się zachowałeś i naraziłeś samą siebie na niebezpieczeństwo - zbeształ ją, nawet na nią nie patrząc.

- Ci ludzie potrzebują pomocy.

- I tak by ją otrzymali. Byłoby lepiej, gdybym posłał do nich Buirre'a albo sam tam pojechał, żeby z nimi porozmawiać! - Oisín odwrócił się do Ciary i położył ręce na jej ramionach. - Jesteś wszystkim, co jeszcze mam, siostrze. Jeśli zginę na tej wojnie, zostaniesz przywódczynią Ui'Corra. Dlatego nigdy nie wolno ci się narażać na niebezpieczeństwo! Zrozumiałaś?

Gdy próbowała coś powiedzieć, uniósł dłoń.

- Milcz! Będzie tak, jak postanowię! Jeśli oboje umrzemy, nie pozostawiając potomków, nie będzie już w klanie nikogo, kto kontynuowałby nasz ród.

- A co z Saraid, Buirre'em i Aithilem? - zapytała wściekła Ciara.

- Saraid jest zaledwie naszą kuzynką! Jej mąż i Aithil są jeszcze dalszymi krewnymi. Więc przywódcy innych klanów żadnego z nich nie uznają za równego sobie, tylko będą próbowali przyłączyć Ui'Corra do swojego klanu.

Wtedy stracone będzie wszystko to, o co walczyli nasi przodkowie.

Ciara nie zamierzała się tak łatwo poddać.

- To dlaczego jeszcze się nie ożeniłeś i nie spłodziłeś syna, który mógłby kiedyś zająć twoje miejsce?

- Z tego samego powodu, dla którego nie wydałem za mąż ciebie. Każde z nas musi bardzo rozważnie wybrać małżonka. Ja potrzebuję żony z silnego klanu, z którego poparcia będę mógł skorzystać. Wziąłbym za żonę nawet jedną z córek Aodha Móra O'Néilla, gdyby mi to zaproponował. Ale na taki sojusz my, Ui'Corra, nie jesteśmy dla niego dość znaczący. Na razie jestem drobnym lennikiem O'Néilla i muszą mi wystarczyć okruchy spadające z jego stołu. Ale mam nadzieję zmienić to z pomocą mojego przyjaciela Szymona von Kirchberga.

To doświadczony wojownik, a jego niemieccy żołnierze dorównują w walce Anglikom. A ciebie wydam za syna jednego z wielkich przywódców z południa, za jakiegoś O'Cathaila, O'Cinnéide'a albo O'Síodhachdáina. To silne i dumne rody, dzięki którym będziemy mogli zabezpieczyć się przed atakiem O'Néilla.

Choć Ciara rozumiała argumenty brata, czuła rozczarowanie, liczyła bowiem na to, że będzie miała coś do powiedzenia przy wyborze swojego przyszłego małżonka. Oisín jednak

wyraźnie dał do zrozumienia, że nie chodzi mu o nią, lecz wyłącznie o wzmocnienie ich klanu. Będzie musiała ponieść tę ofiarę. Nie będzie to więc mężczyzna, na którego widok jej serce łomocze w piersi. Jest dzielnym człowiekiem, ale nie jest Irlandczykiem, który mógłby zapewnić jej klanowi wsparcie, jakiego potrzebuje.

- Zanim pomyślimy o moim zamążpójściu, powinniśmy najpierw wypędzić Anglików z Uladh - powiedziała, żeby zmienić nieprzyjemny temat.

Oisin w zamyśleniu pokiwał głową.

- To nie będzie łatwe, siostrzo. Nawet Aodh Mór O'Neill byłby gotów uznać zwierzchność angielskiej królowej, gdyby w zamian za to wyznaczyła na swojego namiestnika jakiegoś Irlandczyka i gdyby szanowała nasze obyczaje. Lecz ona mianowała lordem prezydentem Ulsteru angielskiego osadnika Henryka Bagenala, jednego z tych, którzy mają zwyczaj zagarniać, co tylko się da z naszego kraju, przepędzając prawowitych właścicieli.

O'Neill nie mógł na to pozwolić.

- Nie chcę heretyczki jako królowej Irlandii! - wykrzyknęła oburzona Ciara. - Nie zaakceptowałabym Elżbiety, nawet gdyby była katoliczką. Anglicy walczą z nami od setek lat i ograbiają nas z naszej ziemi.

- W polityce nie można się kierować emocjami, Ciaro.

W przeciwnym razie po tym wszystkim, co wydarzyło się między Ui'Neill a Ui'Corra, nigdy nie mógłbym zawrzeć przymierza z Aodhem Mórem O'Neillem. Lecz mnie, jego i wielu innych przywódców klanów jednoczy pragnienie, byśmy mogli żyć podług naszych obyczajów i w naszej wierze. Bylibyśmy nawet teraz gotowi uznać zwierzchnictwo królowej Anglii, gdybyśmy w zamian otrzymali pokój i usunęli Anglików z ziem, które zagarnęli w ostatnich trzech dziesięcioleciach.

Zacięta mina Ciary zdradzała Oisinowi, że siostra nie podziela jego zdania. Lecz polityka to sprawa mężczyzn, a niewiasty obchodzi tylko wtedy, gdy zostają władczyniami, jak Elżbieta z Tudorów. Zrezygnował więc z wyjaśniania siostrze wszystkich działań, do których czuli się z O'Neillem zmuszeni.

- Ziemie Ui'Neill i naszych sprzymierzeńców w Uladh są niemal nie do zdobycia - powiedział. - Niewiele tu dróg, na których Anglicy mogliby nas wyprzedzić, a reszty kraju bronią lasy i bagna. My, Ui'Corra, mamy strzec naszej doliny i nie dopuścić, by przeszli nią Anglicy, żeby uderzyć na O'Neilla z flanki. Dlatego wyruszę z ludźmi ku wejściu do doliny i postawię tam fort. Buirre i pięciu wojowników zostanie z wami, w tym także ten twój parobek.

- Ionatán chce walczyć z Anglikami, a nie siedzieć na zamku i patrzeć, jak robisz to ty i pozostali - zaproponowała Ciara.

- Ma robić to, co mu każę. Podczas mojej nieobecności Buirre przejmie tu dowództwo i będzie zarządzać zamkiem i ziemią! - oznajmił Oisín tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Ciara zacisnęła zęby, żeby nie wymknęło jej się nieodpowiednie słowo. W starej wieży na wybrzeżu Tir Chonaill to ona i Saraid decydowały, co należy robić, i to skutecznie, pomimo panującej tam nędzy. Zabolało ją więc, że brat nagle powierza zarządzanie zamkiem komuś innemu.

- Będzie tak, jak sobie życzycie, taoiseachu - powiedziała urażonym głosem.

Oisín popatrzył na nią smutnym wzrokiem.

- Dziecko, ja robię to wszystko po to, żebyś mogła wreszcie wieść szczęśliwe życie.

- Przecież wiem! - Ciara poczuła nagle wyrzuty sumienia i spuściła głowę. - Przykro mi, Oisínie, że przysparzam ci tylu trosk.

- Nie przysparzasz mi żadnych trosk - odparł z uśmiechem. - Tylko chciałbym, żebyś mnie zrozumiała.

Aodh Mór O'Neill chce przyjąć mnie do swojej świty jako lennika. Jestem gotów! Ale nigdy nie zrezygnuję z niezależności naszego klanu tylko po to, żeby został panem Uladh albo nawet królem Irlandii. Zmieńmy jednak temat. Twoja przygoda z wieśniakami uświadomiła mi, że potrzebujesz lepszej ochrony niż mogą ci zapewnić Buirre i ludzie, których mu zostawię.

„Tylko nie każ mi siedzieć na zamku i na krok go nie opuszczać” - pomyślała Ciara i już miała się obruszyć, lecz brat, ku jej zdumieniu, wyszedł z komnaty. Zaraz potem wrócił z wielką suką o długich nogach i okazałych zębach, która z ciekawością zaczęła ją obwąchiwać.

- Nigdy nie cofaj się przed Gamhain - powiedział Oisín, gdy Ciara wykonała krok do tyłu. Znała psy i wiedziała, jak się z nimi obchodzić, lecz ten wzbudzał w niej strach.

- Gamhain to odpowiednie imię dla tej bestii. Na pewno jest większa niż cielę - wydukała, próbując schować za plecy prawą rękę, którą pies właśnie chciał wziąć do pyska. Udało jej się to dopiero wtedy, gdy lekko obróciła się w bok. Bestia popatrzyła z niezadowolaniem i wspięła się na tylne łapy, bez trudu kładąc przednie na ramionach dziewczyny. Ciara uchodziła za wysoką niewiastę, a mimo to, gdy zadarła głowę, zobaczyła tylko szyję zwierzęcia.

- Gamhain jest jeszcze bardzo młoda i dopiero urośnie, ale będzie cię chronić, gdy będziesz poza zamkiem. Sam ją wyszkoliłem. Mimo to zawsze powinien ci towarzyszyć jeden z wojowników, jeśli wybierzesz się dalej niż do najbliższej wsi. Ryszard Haresgill

poprzysiągł nam zemstę, a zakładam, że jest zdolny przysłać skrytobójcę.

Oisin popatrzył na siostrę z uśmiechem i pomyślał sobie, że to dzielna dziewczyna, która nie da się łatwo zastraszyć. Z Gamhain u boku będzie się mogła bezpiecznie poruszać przynajmniej w okolicach zamku.

- Wspominałeś wcześniej o Szymonie von Kirchbergu.

Kiedy spodziewasz się przybycia jego i jego ludzi do Irlandii? - Ten temat interesował Ciarę bardziej niż olbrzymi pies czy żądza zemsty Ryszarda Haresgilla.

- Mam nadzieję, że wyląduje na wybrzeżu w przyszłym tygodniu. Z Italii do nas wiedzie daleka droga, lecz jeśli święty Pádraig[16] zapewni mu sprzyjające wiatry, wkrótce dotrze do Irlandii. Teraz jednak muszę się zająć swoimi ludźmi, moja mała. Odpocznij trochę! Przeszłaś dzisiaj spory kawał drogi. - Oisin pogładził siostrę po włosach i wyszedł z komnaty.

Ciara patrzyła za nim i myślała, że to nie takie proste przywyknąć do brata, którego nie widziało się przez wiele lat.

10

Gdy tylko Oisin i jego ludzie wyruszyli, by wznieść fort obok drogi, Ciara i Saraid zrozumiały, że same muszą się zająć zaopatrzeniem zamku i mieszkańców wioski. Buirre nie znał się na obowiązkach zarządcy i będzie się troszczył tylko o pięciu podległych mu ludzi.

Wśród nich był także Ionatán. Były parobek wciąż narzekał, że nie zabrano go do walki. Lecz gdy stanął przed Buirre'em, ten roześmiał się w głos.

- Chodź, posiłujemy się! - wyzwał Ionatána. - Jeśli wygrasz, pošlę cię do taoiseacha z wiadomością, że masz przy nim zostać.

Ionatán był silnym młodzieńcem i w swojej wsi wygrywał wszystkie pojedynki. Stanął więc do walki z uśmiechem na ustach. Lecz Buirre powalił go na ziemię, zanim ten zdążył doliczyć do trzech.

- To samo zrobią z tobą Anglicy, jeśli nie nauczysz się prawdziwej walki - oznajmił z góry Buirre. - Dlatego Oisin cię zostawił. Tylko dobrze wyszkolony wojownik jest coś wart. Dobrze to sobie zapamiętaj!

Zmieszany Ionatán pokiwał głową i odszedł z nosem spuszczonej na kwintę. Lecz od tego momentu wykorzystywał każdą wolną chwilę, żeby ćwiczyć z bronią, a najlepszy przyjaciel Buirre'a, Seachlann, okazał się dobrym nauczycielem.

Ciara ucieszyła się, że przynajmniej na razie problem został zażegnany, ponieważ nie brakowało jej innych trosk. Najwięcej przysparzała ich żona Ionatána, Maeve.

Była w głębokiej rozpacz, bo Anglicy zabili jej dziecko, a ją zgwałcili. Swój gniew

skierowała przeciwko sobie.

Nie myła się, miała skołtunione włosy i unikała towarzystwa Ionatána. Gdy spotykała swego męża, przeklinała go, bo nie potrafił ochronić jej i dziecka.

Kiedy Ciara stała się przypadkowo świadkiem takiej sceny, natychmiast zareagowała.

- Zamilcz! - ofuknęła Maeve. - Czy twój mąż miał się dać zabić Anglikom? Potem i tak by się na ciebie rzucili.

Twarz Maeve wykrzywił grymas nienawiści.

- Inni mężczyźni walczyli i umarli za honor swoich kobiet. Ale mój mąż wziął nogi za pas i uciekł, aż się za nim kurzyło. A teraz stoi przede mną i patrzy na mnie tak, jakbym to ja była winna, że ludzie Haresgilla brali mnie jeden za drugim.

- To nieprawda! - wykrzyknął zrozpaczony Ionatán. - Wiem, że nic nie mogłaś poradzić, tak jak wiele innych kobiet. Winni są wyłącznie angielscy osadnicy, którzy sprowadzili Haresgilla do naszej wioski. To oni zwołali żołnierzy i pomagali im przy mordach i gwałtach!

Zapamiętałem sobie każdego z nich, a jeśli któregoś spotkam, to go zabiję.

- W gębie zawsze byłeś mocny! - zadrwiła Maeve. - Przekonałeś nawet taoiseacha, żeby cię przyjął do swojej drużyny. Ale on się bardzo rozczaruje, bo gdy przyjdzie co do czego, to będziesz pierwszym, który da drapaka. Pluję na ciebie, Ionatanie, i powiadam ci, że nigdy nie dotkniesz mnie jako kobiety. Nie będę rodzić tchórzy!

Ciara zastanawiała się, jak zapanować nad rozwścieczoną niewiastą, gdy podeszła do nich Saraid i wymierzyła Maeve siarczysty policzek.

- Jak śmiesz zachowywać się tak w obecności siostry taoiseacha? Jesteś gorsza od angielskiej dziwki. Bierz się do pracy, którą ci wyznaczyłam! A może myślisz, że będziemy cię karmić za darmo?

Przez chwilę wyglądało na to, że Maeve zwymyśla także Saraid. Lecz gdy Ciara stanęła obok swej kuzynki, Maeve się przestraszyła, że i ta ją uderzy, więc uciekła.

- Mam nadzieję, że weźmie się do roboty, bo inaczej wieczorem oberwie - burknęła Saraid i popatrzyła na Ciarę. - Nawet jeśli współczujesz tej niewieście, nie powinnaś pozwalać, żeby tak się wobec ciebie zachowywała. Nie mieszkamy już w małym gronie w starej, na w pół zrujnowanej wieży na brzegu morza, gdzie sama chodziłaś zbierać muszle, żebyśmy nie pomarli z głodu. Tu jesteś siostrą wielkiego pana i musisz się tak zachowywać, żeby inni cię szanowali.

Ciara uważała, że to niesłuszny zarzut. W końcu większość członków klanu była jej dalekimi krewnymi, a ona nie zamierzała udawać, że uważa się za kogoś lepszego. Zacisnęła

jednak tylko usta, bo nie chciała kłócić się z kuzynką przy wszystkich.

Saraid zwróciła się do stojącego wciąż obok przybitego Ionatána.

- Nie myśl sobie, że wymigasz się od prawdziwej pracy tylko dlatego, że taoiseach wcisnął ci do ręki włócznie. Idź pomóc innym parobkom! Żołnierzyka poudajesz sobie, jak już swoje odpracujesz. I zabieraj się stąd razdwa, bo nie dostaniesz nawet kromki chleba!

Gdyby to nie było takie smutne, Ciara roześmiałaby się na widok zmykającego młodzieńca. Saraid popatrzyła za nim i lekceważąco machnęła ręką.

- Musimy zadbać o to, żeby przez kolejne dni myślał o czymś innym, a nie o pohańbionej żonie i zabitym synu.

Inaczej nam zmarnieje! A szkoda byłoby takiego dobrego chłopaka.

- Dobrze mu życzysz! - zawołała zdumiona Ciara. - A ja myślałam, że nie możesz mu darować, że Oisín przyjął go do swojej drużyny.

- Tak naprawdę to ty go do niej przyjęłaś! Twojemu bratu nie pozostało nic innego, jak pogodzić się z twoją decyzją - odparła z uśmiechem Saraid. - Oczywiście, że dobrze życzę Ionatánowi, zresztą jego żonie też. Maeve musi zrozumieć, że jej mąż postąpił słusznie. Na Boga, przekleńabym Buirre'a na amen, gdybym znalazła się w takiej sytuacji jak Maeve, a on strugałby bohatera, żeby dać się zabić Anglikom. Jego zadaniem jest dbać o mnie i zapewnić mi trochę radości w łóżu. Ty oczywiście nic o tym nie wiesz. Ale to jedno ze spoiw, które podtrzymują dobre małżeństwo. Zapamiętaj to sobie, moje dziecko!

Wiem, że taki mężczyzna jak Szymon von Kirchberg budzi w tobie ogień. Ale niech nie on go ugasi. Po pierwsze, to obcokrajowiec, a po drugie człowiek, który ogląda się za wszystkimi. Gdy był wtedy u nas gościem, naprawdę zaglądał mi pod spódnicę. Ale już ja go odprawiłam, mówię ci!

Saraid mówiła z takim zadowoleniem, że Ciara zaczęła się zastanawiać, co się wtedy wydarzyło. Wcale nie zauważyła, żeby Szymon von Kirchberg zalecał się do jej kuzynki. A przecież Saraid była już wtedy żoną Buirre'a.

Pożądanie cudzej żony to grzech! Nagle jakiś cień zamącił promienny obraz Szymona, który nosiła w sercu.

Szybko odsunęła od siebie niemiłe myśli. Szymon na pewno nie wiedział, że Saraid ma męża, a ona sama była wtedy dla niego za młoda. Na tę myśl aż się wzdrygnęła i zaczęła rozważać, czy oddałaby się wtedy Szymonowi i czy teraz by to zrobiła, gdyby tego od niej zażądał.

- Powinniśmy wracać do pracy - powiedziała do Saraid, żeby ukryć swoje zmieszanie.

- Weź Gamhain i dopilnuj wszystkiego pod zamkiem.

Suka się przy okazji do ciebie przyzwyczaj, a ty do niej.

Ciara obawiała się, że wyjdzie z tego bezsensowny spacer, i złościło ją, że ma spędzać czas z psem, zamiast poświęcić się przydatnej pracy. Ściągnęła więc usta i powiedziała:

- Za dużo tutaj roboty! Z psem mogę wyjść jutro albo i pojutrze!

- Nic z tego! To taoiseach kazał, żebyś się zajmowała psem. W końcu chodzi o twoje bezpieczeństwo.

A mówiąc między nami, wcale mi się nie podoba, że pies załatwia się na zamku, choć na zewnątrz jest mnóstwo miejsca. A to znaczy, że będziesz wyprowadzać Gamhain rano, w ciągu dnia i wieczorem, i to bez względu na pogodę! Rozejrzyj się przy okazji, czy nie widać gdzieś korzonków albo jagód. Poślesz tam potem parę kobiet, żeby ich nazbierały.

Choć Ciarze nie podobało się, że ktoś za nią decyduje, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Mój brat powinien był ciebie wyznaczyć na swojego zastępcę, a nie twojego męża. Nawet wojowników naszego klanu trzymałabyś silną ręką.

- Nie opowiadaj głupot! Wojna to męska sprawa. My, kobiety, nie mamy z nią nic wspólnego - odpowiedziała szorstko Saraid.

Spojrzenie Ciary powędrowało do grupki kobiet, do których dołączyła również Maeve. Dziewczyna westchnęła.

- Może wojna to rzeczywiście męska sprawa, ale chyba nie zaprzeczysz, gdy powiem, że to my zazwyczaj cierpimy z jej powodu.

- I dlatego potrzebujesz do obrony Gamhain, i to jak najszybciej. Sprowadź więc psa i zabierz go na spacer - odpowiedziała już spokojnie Saraid, po czym wróciła do swoich obowiązków.

11

Gamhain spała wyciągnięta na kupce słomy w kącie wielkiej sali. Ciara przystanęła niepewnie. Wtedy Gamhain otworzyła oko i spojrzała na nią.

- A więc nie śpisz - powiedziała Ciara i zaczęła się zastanawiać, czy suka pozwoli sobie nałożyć skórzaną obrozę. Potem pomyślała, że przecież i tak nie byłaby w stanie utrzymać potężnego zwierzęcia i wyobraziła sobie śmiechy mieszkańców zamku, gdyby pies przeciągnął ją za sobą przez cały dziedziniec. Rzuciła więc suce wyzywające spojrzenie.

- Mamy obie wyjść. Chodź!

Gamhain nie poruszyła się i zamknęła z powrotem oczy.

- Dobrze, w takim razie dzisiaj zrezygnujemy ze spaceru. Tylko się nie skarż, jeśli

Saraid obje cię miotłą, jak tu gdzieś narobisz albo zostawisz kałużę, bo jej się to wcale nie spodoba.

Suka znowu otworzyła najpierw jedno oko, potem drugie i wstała z pozorną niezgrabnością. Ciarę znowu przeraziły rozmiary zwierzęcia. Gamhain była po prostu olbrzymia i na pewno również cięższa od niej. Mimo to, zebrał się na odwagę, podrapała sukę po gęstej sierści na karku.

- Pójdiesz ze mną?

Gamhain, wydawszy z siebie krótki szczek, podreptała w kierunku drzwi. Trzymając ją cały czas za kark, Ciara dotrzymała jej kroku i razem wyszły na dziedziniec.

Saraid właśnie zapędzała służące do pracy. Gdy ujrzała zbliżającą się Ciarę z psem, głęboko zaczerpnęła powietrza. Pozostałe kobiety też wpatrywały się w dziwną parę z ogromnym zdumieniem.

- Nie pozwoliłabym tej bestii zbliżyć się do mnie choćby na pięć kroków, a siostra taoiseacha trzyma ją za szyję, jakby to był mały szczeniak! - wykrzyknęła jedna z młodych służek.

Saraid z uznaniem skinęła głową.

- W żyłach Ciary płynie krew Ui'Corra. Psi ród, z którego pochodzi ta suka, zawsze służył tylko taoiseachowi i jego najbliższemu krewnym. Ponoć królowa elfów podarowała protoplastkę Gamhain pierwszemu O'Corze w zamian za wielką przysługę i od tamtej pory naszą rodzinę i te psy łączy magiczna więź.

Nie zwracając uwagi na zachwyty kuzynki i pozostałych kobiet, Ciara wyprowadziła sukę z zamku. Tam Gamhain wyrwała do przodu, zaczęła biegać zygzakiem i wesoło podskakiwać. Lecz nie oddalała się na więcej niż dwadzieścia kroków, zawsze zawracała i obwąchiwała Ciarę, jakby chciała ją lepiej poznać.

- Dokąd pójdziemy? - zapytała Ciara, jakby Gamhain była człowiekiem, a potem zdumiona potrząsnęła głową.

Jeśli ktoś tutaj miał wyznaczać kierunek, to tylko ona.

- Chodź! - zażądała od Gamhain i powędrowała w stronę najbliższej położonej wioski.

Gamhain najpierw została kilka kroków za nią, lecz potem wyprzedziła ją i kilka razy obiegła wokoło.

- Chcesz się pobawić? - zapytała Ciara i wcale by się nie zdziwiła, gdyby pies pokiwał głową.

Lecz Gamhain tylko chwyciła patyk, który leżał na skraju drogi, i podała go swojej pani.

- Mam go rzucić, żebyś przyniosła z powrotem? - zapytała Ciara.

Lecz gdy sięgnęła ręką po patyk, Gamhain go nie puściła, tylko zaczęła ciągnąć z całej siły. Ponieważ Ciara nie była na to przygotowana, potknęła się i upadła.

- Głupie bydlę! - prychnęła, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że pokryty ciemnymi plamkami pies wesoło się uśmiecha.

Gamhain znów do niej podeszła i podsunęła patyk. Tym razem Ciara chwyciła go obiema rękami i zaparła się mocno nogami, ale pies i tak okazał się silniejszy.

- To niesprawiedliwe! - rzuciła. - Ty masz cztery nogi, a ja tylko dwie.

Gamhain zaszczekała, podrzuciła patyk wysoko w górę i znowu go złapała. A potem obiegła Ciarę tak blisko, że ta aż się cofnęła.

Dziewczyna znowu się potknęła i już naprawdę się rozzłościła.

- Co to ma być, paskudne bydlę?

W następnej chwili Gamhain skoczyła na Ciarę i przewróciła. Trzy cale od głowy Ciary powietrze przeszła strzała. Suka zerwała się i wskoczyła w pobliskie zarośla. Zaraz potem rozległ się krzyk, a potem warczenie i rozpaczliwe jęki jakiegoś człowieka.

Ponieważ Ciara nie zamierzała się oddalać od zamku, nie miała ze sobą ani łuku, ani długiego sztyletu, a mały nóż przy pasie nie był odpowiednią bronią na spotkanie z wrogiem. Jednak nie mogła zostawić Gamhain w potrzebie, więc mimo wszystko wyciągnęła go i ruszyła ostrożnie w stronę gęstwiny. Gdy do niej dotarła i rozchyliła zasłaniające widok gałęzie, od razu się zorientowała, że suka nie potrzebuje żadnego wsparcia.

Gamhain powaliła na ziemię mężczyznę odzianego w prosty strój parobka, teraz zaś opierała się mocno przednimi łapami o jego pierś, gotowa w każdej chwili zatopić mu zęby w gardle. W prawą rękę, która mocno krwawiła, już go najwyraźniej ugryzła. Leżący obok na ziemi sztylet wskazywał, że człowiek ten był na tyle nierozsądny, że wyciągnął przy niej broń.

Gdy nieznajomy zobaczył zbliżającą się Ciarę, zaczął ją błagać:

- Miejcie litość, szlachetna pani, odwołajcie psa. Moja ręka! Wykrwawię się!

Ciara zauważyła, że Gamhain przegryzła mu tętnicę na nadgarstku, i wiedziała, że mężczyzna bez pomocy umrze.

Oddarła więc rąbek swojej spodniej sukni i podeszła bliżej.

- Wyciągnij rękę i nie rób głupstw. Rozszarpany nadgarstek mogę obwiązać, z rozszarpanym gardłem to się nie uda.

Mężczyzna posłuchał. Zresztą Gamhain nie pozostawiła mu innej możliwości. Suka puściła go dopiero wtedy, gdy Ciara mocno obwiązała mu rękę i zabrała sztylet oraz łuk

niedoszłego skrytobójcy.

- Dobry pies! - pochwaliła ją Ciara, napinając cięciwę ze strzałą.

- Wstawaj i ruszaj! - rozkazała rannemu. - Ale nie myśl sobie, że zdołasz uciec w krzaki. Gamhain zawsze będzie szybsza od ciebie, a ja nie zamierzam jej powstrzymywać, gdy będzie cię rozdzierać na strzępy.

Tak zrobisz, jeśli ten człowiek nie będzie słuchał, prawda, moja miła?

Ciara znów mówiła do psa jak do człowieka. Choć suka nie mogła odpowiedzieć, sprawiała na więźniu wrażenie, jakby razem ze swoją panią od dawna tworzyły zgraną parę. Podreptał więc ze spuszczoną głową przed Ciarą, nie ważąc się nawet zerknąć na psa.

12

Saraid oczy niemal wyszły z orbit, gdy Ciara wróciła na zamek ze swoim jeńcem. Buirre też chyba nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, przybrał jednak poważną minę i podszedł do Ciary.

- Kim jest ten człowiek?

- Strzelił do mnie, lecz Gamhain uratowała mi życie i go unieruchomiła.

- A więc skrytobójca! Urwę mu zaraz głowę i użyję jako piłki! - Ponieważ Buirre wyglądał tak, jakby miał zamiar zrealizować swoją groźbę, napastnik zaczął się cofać. W tym samym momencie rozległ się ostrzegawczy warkot Gamhain, więc natychmiast się zatrzymał.

- Kim jesteś? - zapytał Buirre.

Jeniec zacisnął usta i milczał.

Buirre skrzyżował ręce na piersi i obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Gadaj, w przeciwnym razie zginiesz, zanim się obejrzysz!

- Jestem Teige O'Connor - wyjąkał mężczyzna.

- Co? Jesteś Irlandczykiem? Jeśli czegoś nie cierpię bardziej niż angielskich heretyków, to irlandzkich zdrajców, którzy włożą w dupę Sasanach. - Pełen nienawiści zamierzył się i uderzył jeńca.

Teige O'Connor upadł na ziemię i w następnej chwili skulił się, gdy trafił go potężny kopniak.

Gdy Buirre chciał go kopnąć jeszcze raz, Ciara zaprotestowała.

- Buirze O'Corra, zapominasz się! To jest mój więzień, a ja jestem siostrą taoiseacha.

Stopa Buirre'a zawisła w powietrzu. Podciągnął jeńca do góry i zwrócił się do Ciary:

- To jest sprawa tylko dla wojowników. Niewiasta powinna się trzymać od tego z daleka.

- Powiesz to samo, jeśli, co mam nadzieję nigdy nie nastąpi, mój brat umrze bezpotomnie i ja zostanę jego następczynią? - Ciara nie znosiła, gdy inni próbowali za nią decydować.

- Jeśli taoiseach zginie, twój mąż zostanie naszym nowym przywódcą - odparł z gniewem Buirre, lecz ustąpił.

- Dlaczego chciałeś mnie zabić? - zapytała Ciara jeńca.

Ten przestępował nerwowo z nogi na nogę.

- Chciałem zasłużyć na nagrodę, którą sir Ryszard Haresgill wyznaczył za waszą głowę. Za was pięćdziesiąt funtów, a za waszego brata dwa razy tyle. I do tego dziesięć za każdego wojownika Ui'Corra - odpowiedział, rzucając jednoznaczne spojrzenie na Buirre'a.

- Na razie dużo nie zarobiłeś - odparł ten z uśmiechem.

- I już raczej nie będziesz miał okazji. Bo zaraz powiesimy cię jak zbója!

- Wyrok śmierci może wydać tylko nasz taoiseach! - przypomniała mu Ciara.

- Jestem pewien, że Oisin go wyda. Wcześniej jednak trochę go pomęczymy, żeby opowiedział wszystko, co wie o naszym wrogu!

Ciarę coraz bardziej irytowało to, że Buirre nie traktuje jej poważnie. Ponieważ jej brat zlecił mężowi Saraid zarządzanie zamkiem i majątkiem Ui'Corra, nie mogła mu rozkazywać, tylko musiała się postarać jakoś go przekonać.

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy darowali mu życie, a w zamian zażądali informacji o planach Anglików.

Nawet jeśli jego klan jest w tej chwili w sojuszu z heretykami, to na pewno nie są ich przyjaciółmi. Żaden Irlandczyk nie przyjaźni się z Anglikami!

Buirre zastanowił się, a potem rozkazał dwóm ludziom, żeby zamknęli więźnia w lochu. W końcu skinął na Ionatána.

- Zbieraj się i przekaz taoiseachowi, że mamy jeńca i czekamy na jego decyzję.

- Tak jest, panie! - Ionatán skinął głową i ruszył w drogę.

- Mam nadzieję, że znajdzie taoiseacha i nie zabłądzi po drodze! - zawołała z drwiną w głosie Maeve, która przyłączyła się do ludzi otaczających więźnia.

- Jeśli mu się nie uda, będzie z powrotem orać pola jako parobek - oznajmił Buirre.

Ciarze wydawało się, że właśnie tego życzy Maeve własnemu mężowi. Więzień wydał jej się jednak ważniejszy od zapuszczonej kobiety, więc podeszła do Buirre' a i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jeńca trzeba lepiej opatrzyć. Gamhain przegryzła mu tętnicę.

- Jak straci trochę krwi, to mu nie zaszkodzi. Osłabnie przez to i będzie bardziej

skłonny odpowiedzieć na nasze pytania - odparł niewzruszony Buirre.

Ponieważ Ciara nie wiedziała, jak mu się przeciwstawić, odwróciła się gwałtownie i skinęła na Gamhain, żeby za nią poszła.

- Sądzę, że zasłużyłaś na wielką kość. I to taką z resztkami mięsa!

Popatrzyła na psa i wydało jej się, że suka zaraz pokiwa głową. Lecz Gamhain tylko oparła się o nią i popchnęła delikatnie w stronę drzwi do kuchni, za którymi krył się obiecany smakołyk.

13

Następnego ranka więzień już nie żył. Ciara dowiedziała się o tym od Saraid, gdy tylko weszła do zamkowej kuchni. Najpierw pokręciła z niedowierzaniem głową, a potem pośpieszyła do lochu, w którym Buirre kazał zamknąć Teige'a O'Connora. Drzwi były otwarte, a mężczyzna, który miał trzymać straż, zniknął.

Ciara weszła do lochu i zobaczyła Teige'a O'Connora, który leżał zupełnie nieruchomo na ziemi. Prowizoryczny opatrunek, który mu założyła, poluzował się i nie było wiadomo, czy to się stało przypadkiem w nocy i O'Connor wykrwawił się we śnie, czy też sam rozwiązał opatrunek, chcąc umrzeć. W każdym razie bardzo ją to rozgniewało, więc wzburzona zwróciła się do Buirre'a, który przyszedł za nią razem z Saraid i dwoma wojownikami:

- To się nie powinno było zdarzyć!

Buirre burknął tylko coś pod nosem i lekceważąco machnął ręką.

- Dostał to, na co zasłużył. To był przecież angielski pacholek!

- I właśnie dlatego, że znał takich ludzi jak Henryk Bagenal i Ryszard Haresgill, mógł nam wiele powiedzieć o ich zamiarach. A może myślisz, że Anglicy będą się beczynn timer przyglądać, jak Irlandia wymyka im się z rąk?

- Akurat jakiemuś O'Connorowi mieliby zdradzić swoje plany? - odparł Buirre, który uważał, że Ciara atakuje go bez powodu. W końcu to jego jej brat uczynił zarządcą swego zamku.

- Powiedziałam wczoraj, żebyście go na nowo opatrzyli! Ale tego nie uczyniono. Gdybyśmy dobrze potraktowali Teige'a O'Connora, byłby wobec nas zobowiązany. A teraz oprócz wojny z Anglikami będziemy mieli na głowie żadnych zemsty Ui'Connora.

Każde słowo Ciary było dla Buirre'a niczym cios.

Jego twarz pociemniała i nagle zaczął na nią wrzeszczeć, że to męskie sprawy i ani ona, ani żadna inna niewiasta nie powinny się do tego mieszać.

Zanim Ciara zdążyła odpowiedzieć mu w podobnym tonie, wtrąciła się Saraid.

- Powoli zaczynam wierzyć, że nasz Pan w niebiesiech stworzył kobietę nie z żebra mężczyzny, tylko z jego mózgu, a potem zapomniał mu go uzupełnić.

- Ty...! - ryknął Buirre i zamachnął się pięścią, bo zabrakło mu słów.

Saraid, kompletnie nieprzygotowana na cios, przewróciła się na ziemię. Krew popłynęła z jej rozbitej wargi. Przez chwilę leżała oszołomiona, a potem wstała cała drżąca i popatrzyła na męża z nienawiścią.

- Jeszcze za to zapłacisz, Buirze O'Corra! Przysięgam ci. I nie cofnę ani jednego słowa z tego, co powiedziałam.

Dodam nawet, że taoiseach popełnił wielki błąd, czyniąc cię swoim zarządcą.

Buirre czuł jednocześnie gniew i wstyd. Jeszcze nigdy nie uderzył żony tak mocno. Ale potem pomyślał, że sama jest sobie winna. Po co go denerwowała? Uniósł groźnie rękę, żeby jej pokazać, że w każdej chwili może ją znowu poskromić, po czym wbił wzrok w czubek sztyletu Ciary.

- Nigdy więcej tego nie rób, Buirze O'Corra, w przeciwnym razie będziesz miał ze mną do czynienia.

Jestem wnuczką Caitlín Ní Corry, nie zapominaj o tym!

Wspomnienie o babce, która krwawo pomściła na Ui'Néill swego męża Cahala, podziałało. Gdyby Ciara go zaatakowała, a on ją uderzył albo zranił, jej brat pociągnąłby go do odpowiedzialności. A wtedy straciłby nie tylko posadę zarządcy.

- Durne baby! - mruknął i odszedł.

Ciara popatrzyła za nim, a potem objęła kuzynkę i odprowadziła ją do kuchni.

- Chodź! Zajmę się twoją twarzą. Krew ci leci z nosa, a wargi masz całkiem rozbite! Uderzył cię podle i podstępnie. Mam nadzieję, że nie wybił ci zęba.

- Kiedyś był inny - szepnęła Saraid i jęknęła z bólu. - Ale zaufanie taoiseacha uderzyło mu do głowy, zwłaszcza to, że podczas wojny na kontynencie Oisín mianował go jednym ze swoich dowódców. Od tamtej pory nie zna umiaru. Daj Boże, żeby to się na nim nie zemściło!

14

Buirre wybiegł z lochu, nie mając żadnego celu. Dopiero kawałek drogi za zamkiem zatrzymał się i zaczął głośno przeklinać. Choć było mu przykro, że pobił Saraid do krwi, jeszcze bardziej złościło go to, że akurat ona najczęściej podważała jego autorytet.

- Powinienem być już dawno chwycić za kij - zarzucał sobie z wściekłością. - Teraz

baba wodzi mnie za nos.

- Masz na myśli zadzierającą nosa kuzynkę jeszcze bardziej zadzierającej nosa siostry przywódcy naszego klanu? - usłyszał pytanie.

Odwrócił się i stwierdził, że stoi za nim Maeve, żona Ionatána. Do tej pory uważał ją za zapuszczoną dziewczkę, ale teraz się wykąpała, umyła włosy i włożyła czystą suknię. Nie była piękną, ale była dość ładna, żeby mu się spodobać.

Lecz odparł szorstko:

- Co cię obchodzi, jak traktuję własną żonę?

- Jesteś wielkim wojownikiem obciążonym wielką odpowiedzialnością, która na pewno ci ciąży. Więc niewiasty powinny być ci posłuszne - odpowiedziała Maeve, rzucając mu zalotne spojrzenie.

- A ty? Ty byłąbyś mi posłuszna? - zapytał Buirre z szelmowskim uśmiechem.

Po ślubie z Saraid żył z nią zaledwie parę tygodni, potem wyruszył z przywódcą klanu na wojnę. Na kontynencie nie żył jednak jak mnich, a teraz czuł, że żona parobka podnieca go o wiele bardziej niż pyskata małżonka.

Podszedł do Maeve i chwycił ją za rękę.

- Chodź!

Ponieważ popatrzył w tym momencie na niewielką kępę krzaków, Maeve od razu zrozumiała, czego od niej oczekuje. Choć od gwałtu zadanego jej przez Anglików nie dopuszczała do siebie męża, to przecież dlatego, że był w jej oczach żalonym słabeuszem. Natomiast Buirre...

Uśmiechnęła się.

- Jesteś wielkim wojownikiem, który potrafi się zaopiekować powierzonymi mu kobietami. Będę ci posłuszna.

- Dobrze więc - odpowiedział Buirre, gdyż pełen podziwu wzrok Maeve był niczym balsam na jego zranione poczucie własnej wartości.

Zadowolony powiodł ją między zarośla. Gdy Maeve chciała podkasać suknię, by umożliwić mu obcowanie z sobą, zażądał, żeby rozebrała się do naga.

Kobieta popatrzyła na niego przerażona. Grzechem było pokazanie się nago własnemu mężowi. A co dopiero obcemu mężczyźnie? Potem jednak pomyślała, że Buirre to mężczyzna, który potrafi ją ochronić, a ona powinna mu to wynagrodzić. Mimo to odwróciła się najpierw plecami, a dopiero potem ściągnęła suknię przez głowę i rozłożyła ją na trawie niczym koc.

Widok jej nagiego ciała tak podniecił Buirre'a, że od razu zapomniał o kłótni z żoną i

Ciarą. Podeszedł i objął ją, chwytając za piersi. Nie były duże, ale jędrne, a gdy pogładził jej brodawki, zaczęła szybciej oddychać.

Po tym, jak zgwałcili ją Anglicy, Maeve nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek zniesie dotyk mężczyzny, lecz dłonie Buirre'a sprawiły, że jej ciało zapłonęło. Zręcznie wywinęła się z jego ramion, położyła się na sukni i przyciągnęła go do siebie. A potem zapraszająco rozsunęła uda.

Buirre rozpiął spodnie na tyle, żeby wyjąć członek, a potem gwałtownie w nią wszedł. Ponieważ zachowywał się równie brutalnie co angielscy żołnierze, wydała z siebie przytłumiony krzyk i w pierwszej chwili chciała się bronić. Lecz potem się odprężyła i zaczęła poruszać lędźziami razem z nim.

Buirre nie był tak delikatny jak Ionatán, ale uznała, że to cena za ochronę, której się po nim spodziewała. Zanim zdążyła pomyśleć, czego jeszcze mogłaby od niego zażądać za swą uległość, ogarnął ją szal zmysłów i zaczęła go błagać, żeby nie przestawał, póki i ona nie wspięła się na szczyt rozkoszy.

15

Na zamku Ui'Corra panowała dziwna atmosfera.

Podczas gdy Buirre, który udowodnił Maeve swą męskość, spacerował sobie wesoło pogwizdując, Saraid leżała na łóżku Ciary i przykładała do opuchniętej twarzy wilgotną ściereczkę. Wymyślała przy tym tysiące sposobów, jak się zemścić na mężu.

Ciara słuchała jej, zerkając jednocześnie na zewnątrz przez malutkie okienko. Choć incydent wydawał się mało istotny, martwił ją. Wystarczyło przecież to, że są Irlandczycy, jak Teige O'Connor, którzy trzymają z Anglikami. Lecz podział w klanie oznaczał jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Jej kuzynka miała rację: Buirre'owi przewróciło się w głowie przez to, że Oisín wyznaczył go na swojego zarządcę. Wcześniej zawsze był wobec niej uprzejmy i słuchał, gdy miała coś do powiedzenia. Ale teraz zachowywał się tak, jakby był samym taoiseachem, a ona, siostra jego przywódcy, jakąś nieznaczącą służką. Gorzej też traktował Saraid. A przecież jego żona zajmowała w hierarchii klanu wyższe miejsce niż on. Na dodatek Saraid od piętnastego roku życia zarządzała wieżą nad morzem, dbając o to, by członkowie klanu, którzy się w niej schronili, nie pomarli z głodu. To był bardzo trudny czas i Ciara pomagała kuzynce, ile mogła, choć była wtedy dzieckiem.

- Kogo teraz mordujesz w myślach? - zapytała Saraid, która zauważyła ponurą minę Ciary.

- Jak chcesz wiedzieć, to twojego męża! Oisín mu ufa, ale ja nie jestem pewna, czy on na to zasługuje. Zawiódł, jeśli chodzi o Teige'a O'Connora. A co będzie, gdy przyjdzie rozwiązać jakiś poważniejszy problem?

- Niech Bóg broni! - wyjąkała wystraszona Saraid. - On potrzebuje autorytetu, któremu mógłby się kłaniać!

Dlatego mam nadzieję, że twój brat przyśle nam szybko jakiegoś księdza. Pilnie go potrzebujemy, żeby zacząć w końcu chodzić na msze i do spowiedzi. Poza tym ksiądz mógłby przemówić Buirre'owi do rozsądku, a on musiałby posłuchać.

- My także - mruknęła przygnębiona Ciara.

Saraid podniosła wzrok i uważnie przyjrzała się kuzynce. Choć uważała, że Ciara jest piękna, jej twarz zdradzała upór, z którym może mieć kłopot mężczyzna, za którego kiedyś będzie musiała wyjść zgodnie z wolą swego brata. Jeśli przyszły mąż Ciary będzie zbyt mocno wierzył w skuteczność kija, Ciara nie zawaha się zweryfikować jego przekonania za pomocą noża, jak czyniły to już kobiety z jej rodu.

- Teraz ja chciałabym się dowiedzieć, o czym ty myślisz - przerwała Ciara zamyślenie Saraid.

- Myślę tylko, że twój brat powinien przyjrzeć się uważnie każdemu kandydatowi do twojej ręki, żeby na pewno do ciebie pasował - odpowiedziała wymijająco Saraid. - Teraz jednak powinnaś zawołać jakąś służącą, żeby przyniosła mi czystej wody ze strumienia do chłodzenia twarzy. Poza tym wciąż leci mi krew.

Żeby to udowodnić, Saraid wzięła chusteczkę i wysmarkała się w nią. Gdy pokazała ją potem Ciarze, była pełna na wpółskrzepniętej krwi.

- Mężczyzna, który tak bije żonę, to prawdziwy drań! - Słowa Ciary zabrzmiały jak wyrok. Saraid domyślała się, że Buirre będzie musiał włożyć sporo trudu, żeby odzyskać zaufanie jej kuzynki.

- W Tir Chonaill życie w pewien sposób było dla nas łatwiejsze - powiedziała. - Tamte ziemie są zbyt odległe, żeby zainteresować Anglików, a dla sąsiednich klanów za mało urodzajne, więc nikt nie próbował nam ich odebrać.

Poza tym większość mężczyzn była wtedy na kontynencie z twoim bratem, a my miałyśmy spokój.

- Mówisz tak, jakbyś tęskniła za tamtą lodowatą, wilgotną ruiną i za głodem, który towarzyszył nam niemal codziennie! - Ciara na samą myśl potrząsnęła głową.

A potem zawołała służącą.

Po chwili zjawiała się Maeve, która zmierzyła obie kobiety drwiącym spojrzeniem.

Ciarę to jednak nie interesowało. Wskazała jej wiadro.

- Nabierz świeżej wody ze strumienia, z miejsca powyżej leszczyny, tam jest najczystsza, i przynieś tutaj!

- Jak każecie, pani! - Maeve zamarkowała dygnięcie i zerknęła na Saraid. Co powiedziałyby ta kobieta, gdyby wiedziała, że jej mąż właśnie z nią spółkował? - pomyślała i zrozumiała, że w takiej sytuacji szczególnie potrzebowałaby ochrony Buirre'a. Nagrodą, jaką za to otrzyma, będzie jej oddanie, do którego ta szorstka baba nigdy nie byłaby zdolna. Maeve, zadowolona, że wreszcie czeka ją lepsze życie, zabrała wiadro i wyszła.

W drodze napotkała na zewnątrz Oisina i Ionatána.

Maeve dygnęła przed taoiseachem, lecz na męża nawet nie spojrzała. Nic ją już z nim nie łączyło, odkąd nie obronił ani jej, ani dziecka przed Anglikami.

- Buirre powiedział, że moja siostra zamknęła się nadąsana w izbie, bo on nie pozwala jej się mieszać w sprawy wojowników. Czy to prawda? - zapytał zdenerwowany Oisín. Uważał niesnaski między swoim zastępcą a Ciarą za bardzo niekorzystne i zamierzał zdusić konflikt w zarodku.

- Pani jest w swojej komnacie. Ale się nie zamknęła - powiedziała Maeve i precyzyjnie się między mężczyznami. Nie odpowiadało jej to, że Ionatán ma takie względy u Oisina. Ale pomyślała sobie, że niewiele trzeba dla przekonania Buirre'a, żeby ten pokazał jej mężowi, gdzie jest jego miejsce.

Ionatán z przygnębieniem popatrzył za żoną. Bolała go jej pogarda i nie po raz pierwszy pomyślał, że chyba lepiej by było, gdyby dał się Anglikom zabić. Choć wtedy i tak zgwałciłiby Maeve, przynajmniej on nie musiałby wysłuchiwać teraz od niej, że jest tchórzem. A przecież byli mężem i żoną przed Bogiem i ludźmi; powinni się wspierać zarówno w dobrych, jak i w złych chwilach.

Oisín nie zauważył napięcia pomiędzy małżonkami, tylko z niezadowoloną miną wszedł do komnaty Ciary.

Zobaczył, że siostra siedzi obok łóżka, na którym leży inna kobieta. Dopiero po chwili rozpoznał Saraid.

- Jesteś chora? - zapytał z troską w głosie.

- Oisín, ty tutaj? - zabrzmiał przyduszony głos spod mokrej ścierki. Saraid z trudem powstrzymała się przed zasypaniem go oskarżeniami pod adresem Buirre'a.

- Ionatán opowiedział mi, że był zamach na Ciarę, który, dzięki Bogu, się nie powiódł. Ci przekłęci Ui' Connor zapłacą mi za to.

- Z kim jeszcze zamierzasz toczyć wojnę? - zapytała gorzkim tonem Ciara. - Anglicy

ci nie wystarczą?

- Kto, tak jak Ui' Connor, trzyma z angielskimi heretykami, jest łotrem, który zdradza swój naród i swoją wiarę! - Oisín chciał kontynuować, lecz umilkł, bo przecież polityka nie była sprawą niewiast.

- Dowiedziałem się od Buirre'a, że nie jest traktowany z należnym szacunkiem. Jak ma dowodzić żołnierzami, jeśli nie ma posłuchu nawet pośród kobiet?

- Chyba powinien pobić każdego z osobna i pokazać w ten sposób, że może nie jest z nich najlepszy, ale na pewno najsilniejszy - wyrzuciła z siebie Saraid, odsuwając chustkę od twarzy.

Oisín przełknął ślinę, gdy zobaczył jej opuchnięte wargi i ciemny krwiatek na policzku.

- To naprawdę mąż tak cię pobił? - zapytał.

- Tak! - potwierdziła Saraid. - Chcę tylko skorzystać z przysługującego mi prawa, by zwrócić się do naszego taoiseacha, czyli do ciebie. Ponieważ mąż pobił mnie do krwi, odmawiam dalszego pożycia z nim, dopóki nie zostanie za to ukarany.

Dla Oisína było to fatalne żądanie.

- Jeśli ukarzę Buirre'a, straci cały autorytet u żołnierzy - odpowiedział po chwili. - A ja pilnie go teraz potrzebuję. Dlatego nakazuję ci zapomnieć o przekorze i przynajmniej udawać, że mu wybaczyłaś.

- To wbrew prawom naszego klanu! - wykrzyknęła oburzona Ciara.

- Są chwile, w których trzeba dokonać wyboru - oznajmił ponurym tonem Oisín. - Najważniejsza jest nasza wojna z Anglikami i wszystko inne musimy jej podporządkować.

- Nawet święte prawa naszego ludu, które istnieją od tysięcy lat? - Ciara nie mogła pojąć, że jej brat staje po stronie Buirre'a, choć ten jej zdaniem nie potrafił sprostać nałożonej na niego odpowiedzialności.

- To Buirre jest winien śmierci Teige' a O'Connora! - dodała z oburzeniem.

- On mu nadgarstka nie przegryzł. To Gamhain! - Oisín chciał rozładować atmosferę żartobliwą uwagą, lecz jego siostra wcale nie wyglądała na rozbawioną.

- Zażądałam od Buirre'a, żeby kazał lepiej opatrzyć więźniowi ranę. Ale on tego nie zrobił. A mogliśmy przesłuchać Teige'a O'Connora i dowiedzieć się czegoś więcej o planach naszych przeciwników. Byłby też dobrym zakładnikiem, gwarantującym odpowiednie zachowanie Ui' Connor!

Choć Oisín w duchu zgadzał się z siostrą, potrząsnął głową.

- Buirre zrobił to, co należało!

Po chwili ciszy dodał, że potrzebuje męża Saraid jako wojownika. Ciara może i

posiada bystry umysł, ale on nie może wyznaczyć jej na dowódcę hufca ciągnącego na wojnę.

- Proszę, uczyni mi tę przysługę i ustąpi. Przed nami walka na śmierć i życie! Jeśli ją przegramy, wkrótce w naszym kraju będą stały wyłącznie świątynie heretyków i żaden Irlandczyk nie będzie już mógł się modlić do Boga tak, jak trzeba.

„A Ui’Connor i inne klany, które biją się po stronie Anglików, wcale o tym nie myślą - uświadomił sobie nagle Oisín. - Liczą na zdobycie jako łupów paru pól, owiec czy wołów, podczas gdy Anglicy chcą sobie przywłaszczyć olbrzymie połacie ziemi”.

- Aodh Mór O’Neill musi skłonić wszystkie irlandzkie klany, żeby się do nas przyłączyły. Razem uda nam się przepędzić Anglików z Irlandii!

Głębokie westchnienie Oisina nie było przeznaczone dla obu kobiet. Rozumiały jednak jego troski i uznały, że nie powinny przysparzać mu problemów. Ale z pewnością dadzą Buirre’owi do zrozumienia, że nie zapomniły.

16

Sir Ryszard Haresgill był wściekły, że Henryk Bagenal każe mu czekać w przedpokoju już ponad godzinę, choć tego dnia był jedyną osobą starającą się o rozmowę z nowym lordem prezydentem Ulsteru. Wyglądało na to, że nominacja uderzyła Bagenalowi do głowy, bo przecież w gruncie rzeczy nie był wyższy rangą od niego, też był tylko ziemskim szlachcicem. Jednakże Bagenal wciąż posiadał wszystkie swoje ziemie, natomiast on i jego ludzie zostali wypędzeni przez Oisina O’Corrę.

Potrzebował teraz pomocy, żeby odzyskać swoje ziemie.

Bagenal to wiedział i dał mu to odczuć.

Choć Haresgilla niemal rozsadzała wściekłość, wiedział, że podczas rozmowy z lordem prezydentem musi nad sobą panować. Dlatego usilnie myślał nad argumentami, które przekonają Bagenala, żeby go wsparł.

W końcu jego rozważania przerwał ochmistrz Bagenala.

- Sir Ryszardzie, Jego Ekscelencja życzy sobie was przyjąć.

„Teraz ten bękart każe się na dodatek nazywać ekscelencją” - pomyślał Haresgill, idąc za ochmistrem do biblioteki Bagenala. Ponieważ zasłony zostały zaciągnięte, nie widział, gdzie się znajduje lord prezydent.

Zdradził mu to dopiero jakiś ruch w półmroku, więc wykonał ukłon w tamtym kierunku.

- Sir Henryku, przybyłem, żeby... - zaczął, lecz gospodarz mu przerwał.

- Poczekaj aż służący zapali świece, sir Ryszardzie.

Kazałem je zgasić, bo chciałem się zdrzemnąć.

Ryszard Haresgill nie wierzył własnym uszom. Kazano mu czekać, bo Bagenal miał ochotę na drzemkę! Z trudem nad sobą zapanował i czekał, aż służący przyjdzie z płonącym fidybusem i zapali tkwiące w srebrnych świecznikach świece.

W końcu Haresgill dostrzegł lorda prezydenta. Choć było już wczesne popołudnie, Bagenal siedział na wygodnym wysokim fotelu w szlafroku. Stał przed nim stolik, na którym leżały jakieś mapy i kartki z notatkami.

Gdy Haresgill próbował rzucić na nie okiem, Bagenal przykrył wszystko haftowaną jedwabną chustą.

- Nie żebym wam nie ufał, sir Ryszardzie. Jednak nierozważne słowo zepsuło już niejedne plany.

Haresgill nachylił się z zaciekawiony.

- Układacie zatem plan, jak nauczyć rozumu tych przeklętych Irlandczyków?

- Może planuję tylko budowę nowego ratusza w Belfaście? - odparł uszczypliwie Bagenal.

- Musicie ujarzmić Irlandczyków, sir Henryku, jeśli nie chcecie, żeby ta żalosna rebelia się rozszerzyła. Na razie Hugh O'Neill zgromadził wokół siebie niewiele klanów.

Zwołajcie milicję z Ulsteru i zniszczcie tego zdrajcę. Jej Wysokość z pewnością tego od was oczekuje.

W głosie Haresgilla słychać było błagalne tony, lecz lord prezydent był nieugięty.

- Posłałem już wiadomość o buncie O'Neilla do Dublina i do Londynu; lada dzień spodziewam się rozkazów od Jej Wysokości.

- Jeśli oczekujecie, że królowa przyśle wam żołnierzy i broń, to możecie się rozczarować. Choć nasza dziewicza królowa jest wspaniałą władczynią, to niestety wykazuje niewieście cechy. Z jednej strony waha się zbyt długo, a z drugiej jest bardzo oszczędna, żeby nie powiedzieć skąpa. Przyśle wam najwyżej paruset źle uzbrojonych rekrutów pod dowództwem jakiegoś dworaka, który nigdy nie dorówna takiemu Hugh O'Neillowi. Ten buntownik jest sprytny jak lis i zna mnóstwo sztuczek.

- To Irlandczyk, a ci, jak wiadomo, nie dorównują rozumem Anglikom - oznajmił pewnym siebie tonem Bagenal. - A jeśli chodzi o ulsterską milicję, to powołałem już pod broń wiele kompanii, żeby zabezpieczyć nasze włości przed buntownikami. Dopóki utrzymamy miasta i zamki na wsi, Hugh O'Neill z paroma kompaniami nie będzie stanowić żadnego zagrożenia dla potęgi Anglii.

Choć Haresgill też nie był wysokiego mniemania o Irlandczykach, nie podobała mu

się arogancja Bagenala.

Hugh O'Neill już nieraz udowodnił, że jest nieobliczalny.

Poza tym wystarczająco długo mieszkał w Palisadzie[17], by zdążyć dobrze poznać Anglię i Anglików.

Haresgill nie potrafił już nad sobą zapanować i dał wyraz swojemu niezadowoleniu.

- Jej Wysokość popełniła wielki błąd, mianując was lordem prezydentem Ulsteru. Powinna była wybrać Hugh O'Neilla. Choć jest Irlandczykiem, lepiej by służył angielskim interesom.

- Królowa doskonale wiedziała, co robi - odparł Bagenal, rzucając mu karcące spojrzenie. - Hugh O'Neill to potężny i niezwykle ambitny człowiek. Choć Jej Wysokość nadała mu tytuł hrabiego Tyrone, to mu nie wystarcza. Jego włości obejmują już sporą część Ulsteru.

Sądzicie, że zadowoli się byciem na tych ziemiach sługusem Anglików? Jako lord prezydent zagarnąłby jeszcze więcej władzy. Najpóźniej po śmierci Jej Wysokości, co, mam nadzieję, jeszcze długo nie nastąpi, chwyciłby za miecz, by zrzucić angielskie jarzmo i obwołać się księciem Ulsteru, a może nawet królem Irlandii. Dla tych z nas, którzy mają posiadłości w Irlandii, to byłaby katastrofa! Moim zdaniem Jakub, ten Szkot, który ma ponoć zastąpić Elżbietę na tronie, to nie jest ktoś, kto potrafiłby stłumić tę rebelię.

Jeśli Irlandia nam się wymknie, zasili grono naszych wrogów, a wtedy Anglia będzie zagrożona nie tylko od południa i od wschodu, lecz także od zachodu. Sądzicie, że damy radę się utrzymać, jeśli w Kent i Sussex wylądują hiszpańskie czy francuskie statki, a jednocześnie parę tysięcy irlandzkich dzikusów, wspieranych przez wojska papieża i Hiszpanów, zaatakują Walię i Kornwalię?

Bagenal przemawiał zagorzale, lecz jego gość z pogardą machnął ręką.

- Anglia poradzi sobie z każdym wrogiem! Lecz w tym momencie nie interesuje mnie wielka polityka. Chodzi mi o moją ziemię, którą zabrał mi po trzykroć przeklęty Oisín O'Corra, i mówiąc szczerze, o kolejne ziemie, które mógłbym zająć tu, w Irlandii, i zagospodarować przy pomocy dzielnych angielskich dzierżawców. Każdy angielski rolnik wyciąga z ziemi dwa razy więcej plonów niż Irlandczyk. Ten dochód wzbogaca mnie, ale także koronę, która otrzymuje więcej z podatków.

Haresgill miał nadzieję, że przekona Bagenala tą sugestią, bo przecież wyższe podatki oznaczały także więcej pieniędzy dla niego jako lorda prezydenta prowincji Ulster.

- To pierwsze mądre słowa, jakie dzisiaj od was słyszę, sir Ryszardzie - odpowiedział Bagenal i roześmiał się cicho. - Mnie także idzie o ziemię, i to o wielkie połacie ziemi. Chcę

obsadzić je porządnymi chrześcijanami z Anglii i Szkocji, którzy nie wielbią tej watykańskiej kukły. Lecz żeby zająć te ziemie, musimy najpierw usunąć stamtąd Irlandczyków. W każdym razie w tej chwili nie ma sensu tłumić rebelii, przepędzać znowu Oisina O'Corry czy zabierać Hugh O'Neillowi tysiąc czy dwa tysiące mórg, by go ukarać za bunt. Ja chcę całej ziemi O'Neillów! A do tego potrzebuję wojny, która wyraźnie pokaże Jej Wysokości, że pokój z Hugh O'Neillem jest niemożliwy. Pozwólmy tej rebelii jeszcze trochę potrwać, sir Ryszardzie. Jakby co, wycofamy się do Derry, Belfastu czy Newry. Uderzyć powinniśmy dopiero wtedy, gdy będziemy pewni, że łup, który zdobędziemy, będzie odpowiadać naszym oczekiwaniom.

Haresgill przybył po to, żeby się poskarżyć, że jego zdaniem Bagenal za bardzo się waha. Teraz jednak zachwycony podał mu rękę.

- Lubię takich ludzi jak pan, sir Henryku! Proszę o wybaczenie, oczywiście chciałem powiedzieć: Wasza Ekscelencjo.

- Dla przyjaciół jestem sir Henryk, a wy jesteście moim przyjacielem, sir Ryszardzie. Gdy ten bunt się skończy, każdy z nas będzie miał trzy do pięciu razy więcej ziemi.

- Dokąd wypędzimy Irlandczyków? - zapytał Haresgill.

- Za dużo ich jest, żeby ich wszystkich wybić. Poza tym potrzebujemy parobków i najemnych robotników dla nas i naszych dzierżawców.

Przez twarz Bagenala przemknął uśmiech.

- Niech idą do Connaught albo Donegal. Tam jest dla nich dość miejsca.

- Zgadza się, sir Henryku! W Connaught albo Donegal i tak nie zamieszka żaden Anglik, bo tam są tylko bagna, lasy i skały. Irlandczycy idealnie tam pasują. Mimo to powinniśmy wybić ich wielu, żeby nie przyszło im do głowy kolejne powstanie.

- I tak zrobimy, sir Ryszardzie! Mogę zaprosić was na kielich wina, przy którym porozmawiamy dalej o tej sprawie? - Bagenal zapraszającym gestem wskazał na krzesło i polecił służącemu, żeby przyniósł karafkę wina i dwa puchary. Gdy wszystko było gotowe, panowie wzniesli toast.

- Za potęgę Anglii i za nasze bogactwo! - zawołał Bagenal.

- Za was oraz za to, by Jej Wysokość poznała się na Waszej Wielkości i mianowała was wkrótce lordem namiestnikiem całej Irlandii.

„A mnie waszym następcą, lordem prezydentem Ulsteru” - dodał w myślach Haresgill i oczyma wyobraźni ujrzał samego siebie, jak objeżdża konno należące do niego bezkresne pola. Irlandczykom, którzy tam teraz mieszkali, żaden z nich nie poświęcił już ani jednej myśli.

- [1] Ciara (wym. 'kira) - popularne imię irlandzkie.
- [2] Sasanach (wym.: 'sasana) - irl. Anglicy.
- [3] Tir Chonaill - historyczna nazwa hrabstwa Donegal na północnym zachodzie Irlandii w prowincji Ulster.
- Oznacza tyle co „ziemia Connallów”, inaczej Tyrconnell.
- [4] Oisín (wym.: oszín) - popularne irlandzkie imię męskie.
- [5] Taoiseach (wym.: 'tísa) - (irl.) wódz, przywódca, dziś określa się tym mianem premiera Irlandii.
- [6] Brian Śmiały (ok. 941-1014) - król Munsteru od 978 roku i Irlandii od 1002, pogromca wikingów.
- [7] Uladh (wym.: 'ula) - irlandzka nazwa Ulsteru, jednej z czterech prowincji Irlandii (obok Munsteru, Leinsteru i Connacht).
- [8] Uncja - jednostka masy stosowana w krajach anglosaskich, ok. 30 gramów.
- [9] Morga - historyczna jednostka powierzchni stosowana w rolnictwie, ok. pół hektara.
- [10] maighdean (wym.: mejden) - irl. panna, dziewczyna.
- [11] Imię Ciara oznacza ciemnowłosą piękność.
- [12] Rí - irl. mały król (władca jednego z licznych królestw, na jakie dzieliła się dawniej Irlandia).
- [13] Béal Atha Seanaidh - irlandzka nazwa miasta Ballyshannon w hrabstwie Donegal.
- [14] Szeryf - termin wywodzący się ze średniowiecznej Anglii i oznaczający urzędnika królewskiego na terenie hrabstwa.
- [15] An Mhuma - Munster, jedna z czterech prowincji Irlandii, obejmująca południowozachodnią część wyspy.
- [16] Pádraig - irlandzka wersja imienia Patryk, patrona Irlandii.
- [17] Palisada (irl. Pháil) - rejon we wschodniej Irlandii, w okolicach Dublina, znajdujący się pod bezpośrednimi rządami Anglii już w późnym średniowieczu.

CZĘŚĆ DRUGA

Przybycie

1

Ferdynand von Kirchberg osłonił oczy i popatrzył na brzeg, ku któremu zmierzała „Margherita”. Mieli przed sobą dzikie, poprzeryzane szczelinami wybrzeże, o które uderzały z całą siłą fale oceanu. Widząc wysoki klif i drobne skały, które morze to zalewało, to odsłaniało, Ferdynand zwątpił, by statek mógł tutaj bezpiecznie wylądować. W chwili trwogi ujrzał go, jak z rozdartym kadłubem idzie na dno, a członkowie załogi i pasażerowie, porwani przez bezlitosne morze, toną w jego odmętach.

Lecz kapitan nie po raz pierwszy płynął do Irlandii i nigdy dotąd nie przybijał do brzegu w portowym mieście, ponieważ wszystkie zostały opanowane przez Anglików. Tym razem także planował rzucić kotwicę w jednej z małych zatoczek i jak najszybciej wylądować pasażerów i resztki ładunku.

- To wybrzeże Gráinne Ní Mháille! - Ferdynand usłyszał głos ojca Matteo i odwrócił się do niego.

- A kto to jest?

- Królowa zachodniego wybrzeża! Anglicy nazywają ją Grace O'Malley i nauczyli się jej bać. Mam nadzieję, że przyłączy się do słynnego Aodha Móra O'Neilla - odpowiedział duchowny, po czym wymamrotał kilka niezrozumiałych zdań.

- Co mówicie, ojczyście Matteo?

Kapłan był drobnym, szczupłym mężczyzną o ciemnobrązowych włosach, chudej twarzy i minie zdradzającej ogromną pewność siebie.

- Ojcem Matteo nazywano mnie w Rzymie - rzekł do Ferdynanda z delikatnym uśmiechem. - Lecz tu, w ojczyźnie, będę na powrót nosił imię nadane mi przy chrzcie świętym. Mówcie do mnie od teraz athair[18]

Maitiú! Wróciłem z daleka, by wytępić herezję w Irlandii i zaprowadzić mój lud z powrotem na łono jedyne gwarantującego zbawienie Kościoła!

- Szlachetny to zamiar - odpowiedział Ferdynand, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Uważał ojca Matteo, który nagle kazał się nazywać athair Maitiú, za Włocha, ponieważ płynnie mówił używaną w Rzymie odmianą włoskiego.

- Nie rozumiem, dlaczego od razu przy wyjeździe nie wyjaśniliście, że pochodzicie z

Irlandii i że znacie ten kraj - dodał po chwili.

- Musiałem to przemilczeć, ponieważ kacerska królowa wszędzie ma swoich szpiegów! Gdyby dowiedzieli się o tym, że ma z wami płynąć irlandzki ksiądz, zrobiliby wszystko, by udaremnić naszą wyprawę!

- I to im się udało - odparł gorzkim tonem Ferdynand. - Straciliśmy większość ludzi, prawie całą broń i niemal wszystkie zapasy żywności. Ledwo uszliśmy z życiem.

- Wciąż się tym trapisz? - Podszedł do nich Szymon von Kirchberg, kręcąc pobłaźliwie głową. - Chłopcze, powinieneś się przyzwyczaić do tego, że wojna wymaga ofiar. Anglicy kontrolują morze, żeby uniemożliwić statkom przybijanie do brzegów Irlandii. Byłem świadom tego ryzyka od samego początku. Mogło być jeszcze gorzej. Wyobraź sobie, co by było, gdyby Anglikom udało się przejąć także nasz statek! Ci biedacy na pokładzie

„Violetty” mieli po prostu pecha!

- Ci ludzie to męczennicy naszej świętej wiary i każda kropla przelanej przez nich krwi pociągnie za sobą do piekła jednego heretyka - wtrącił ojciec Maitiú donośnym głosem.

- Zostawmy przeszłość w spokoju, Ferdynandzie, i zajmijmy się tym, co przed nami. To dotyczy także guza, którego sobie nabiełeś. Skończ już z wypytywaniem marynarzy, kto cię uderzył!

Ferdynand zrozumiał, że nie powinien nadużywać cierpliwości swego kuzyna. Był jednak zły, bo najchętniej odpłaciłby temu komuś z nawiązką za nabitego guza.

Szymon von Kirchberg, jakby na pocieszenie, położył mu dłoń na ramieniu.

- Wolałbym przybyć do Irlandii z wielkim hufcem, możesz mi wierzyć. Niestety nie było nam to dane. Oisín O’Corra z pewnością będzie rozczarowany. Jednakże każdy z naszych żołnierzy jest dobrze wyszkolony, a większość z tych, których mamy na pokładzie, może służyć jako podoficerowie.

- Żołnierzy nie zabraknie - wtrącił ksiądz. - Każdy Irlandczyk nie może się doczekać, kiedy chwyci w dłoń miecz i zanurzy go w krwi angielskich heretyków.

Potrzebujemy tylko doświadczonych w boju mężów, którzy wyszkolą naszych ludzi i ich poprowadzą.

Szymon pokiwał głową i splunął do wody.

- Zrobimy z Irlandczyków prawdziwych żołnierzy, a potem pokażemy Anglikom, że najlepiej im jednak będzie na tej ich połówce wyspy.

- Jak to „połowce wyspy”? - zapytał zdumiony Ferdynand.

- Druga połowa należy do Szkotów, a ci akurat nie darzą Anglików sympatią! - Szymon poklepał go po ramieniu i podszedł do kapitana. - Kiedy dotrzemy do celu?

- Jeśli Bóg ześle nam dobre wiatry, to jeszcze przed wieczorem.

- A jeśli ich nie ześle? - zapytał Ferdynand, który podczas podróży stracił całą sympatię dla kapitana.

- Ześle, ześle - oznajmił ojciec Maitiú namaszczonego głosem.

Ferdynand nie zwrócił na niego uwagi, tylko znów popatrzył na strome wybrzeże, które ciągnęło się niemal po horyzont. W obliczu pieniającej się u brzegu kipieli nie potrafił sobie wyobrazić, że jest tu jakieś miejsce, gdzie można bezpiecznie przybić statkiem. A bardzo już pragnął opuścić chwiejny pokład „Margherity” i w końcu poczuć pod stopami twardey ląd. Przecież Pan Bóg nie stworzył ludzi jako istoty morskie, tylko jako stworzenia lądowe, w przeciwnym razie wyposażyli ich w płetwy i skrzela.

Zdaniem Ferdynanda Bóg, tworząc świat, mógł sobie darować wyspy. Natychmiast pożałował jednak swych błuznierczych myśli i postanowił, że wypowiada się ojcu Matteo, gdy tylko zajmą już na lądzie jakąś kwaterę. Nie przyzwyczał się jeszcze do jego irlandzkiego imienia i chyba minie sporo czasu, zanim przejdą mu przez usta słowa „athair Maitiú”.

Kapłan tymczasem opuścił obu niemieckich szlachciców i poszedł do przodu, na dziób, żeby znaleźć się jeszcze bliżej ojczystej ziemi. Szymon został przy Ferdynandzie i znów poklepał go w ramię.

- Głowa do góry, chłopcze! Niecałe irlandzkie wybrzeże wygląda tak przerażająco. Musieliśmy jednak ominąć wody, po których żeglują Anglicy, i dotrzeć do brzegu ukradkiem.

- Chciałbym, żebyśmy już do niego przybili - mruknął Ferdynand.

Szymon zaśmiał się cicho.

- Nic się nie martw! Zaraz wylądujemy. A kiedy tylko zejdziemy z pokładu, będziemy musieli się dowiedzieć, gdzie przebywa Oisín O’Corra i jakoś się do niego przebić. Ponieważ jest nas ponad sześćdziesięciu, będziemy omijać drogi, którymi zwykle przemieszczają się oddziały wojska. Pierwszy lepszy angielski garnizon mógłby nas rozetrzeć w pył.

- Mówiłeś przecież, że Oisín O’Corra przepędzi angielskie garnizony - odparł zdziwiony Ferdynand.

- Taki był plan. Ale nie wiemy, ile na razie zdziałali Oisín i Hugh O’Neill. Możliwe, że w okolicy, w której wylądujemy, wciąż przebywają angielskie oddziały.

Szymon sam był bardzo niezadowolony z zaistniałej sytuacji. Z dwiema kompaniami dobrze uzbrojonych pieszych wystąpiłby w Irlandii w zupełnie innej roli niż z jednym jedynym oddziałem. W duchu przeklinał Anglików, których ofiarą padła „Violetta” i większość papieskich oddziałów, a także kapitana, bo ten obrał taki kurs, który doprowadził

ich prosto pod angielskie działa.

Teraz bardzo trudno będzie mu zrealizować własne plany.

- Wiesz co, chłopcze? - powiedział do Ferdynanda, któremu coraz mniej podobał się sposób, w jaki zwracał się do niego kuzyn. - Irlandia jest niczym gotujący się garnek, w którym wszystko wrze. Ktoś mądry mógłby sobie tutaj napełnić cały talerz.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Gdy ta wojna minie i przepędzimy stąd Anglików, chcę zostać tutaj wielkim panem z wielkim majątkiem. To samo radzę tobie. Najlepiej ożeń się z jakąś półdziką córką irlandzkiego przywódcy klanu, postaraj się zostać jego następcą, a będziesz rządził połową królestwa.

- Przecież wysłano nas po to, żebyśmy wypędzili heretyków - zaprotestował zaskoczony Ferdynand.

- Jedno nie wyklucza drugiego! Kiedy już zapędzimy Haresgillów, Bagenalów i wszystkich innych z powrotem na ich własną wyspę, to pozostawią po sobie rozległe majątki. Byłoby głupotą tylko się przyglądać, jak Irlandczycy dzielą między siebie zdobyte ziemie. W końcu należy się nam sowita zapłata. Potwierdził to sam Jego Świątobliwość, gdy zlecał nam to zadanie. - Szymona bawiła naiwność młodszego kuzyna, więc znowu poklepał go po ramieniu. - Przyjdzie pora, że trochę się usamodzielnisz, mój chłopcze.

- Szymonie, byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś nie nazywał mnie ciągle „swoim chłopcem”. Co pomyślą sobie nasi żołnierze, a przede wszystkim Irlandczycy?

W końcu jestem twoim zastępcą i dowodziłbym drugą kompanią, gdyby ta nie wpadła w ręce Anglików.

Szymon powstrzymał uśmiech. Tą obietnicą skusił kuzyna do wyruszenia na wyprawę, ale nigdy nie miał zamiaru jej dotrzymać. Jego zastępcą i dowódcą drugiej kompanii miał zostać jeden z oficerów. Lecz razem z żołnierzami został na „Violecie”. Szymon zastanawiał się, ale nie przychodził mu do głowy nikt, kogo mógłby uczynić swoją prawą ręką. Choć jego hufiec składał się z dobrych żołnierzów, żaden z nich nie miał cech przywódcy. Pod tym względem był chyba faktycznie skazany na swojego młodszego kuzyna.

- Dobrze, powstrzymam się - obiecał. - Żeby nasi ludzie i Irlandczycy czuli wobec ciebie respekt, będę cię od tej pory nazywał podporucznikiem. A ty w zamian postarasz się mówić do mnie „kapitanie” albo „captaen”, jak mówią Irlandczycy.

- Tak jest, kapitanie captaen - odpowiedział dziarsko Ferdynand, który się ucieszył, że między nimi wszystko znowu się układa.

2

Tuż przed zapadnięciem zmierzchu „Margherita” wpłynęła do małej, płytkiej zatoczki, niewidocznej ani od strony morza, ani od strony lądu. Sto sążni od plaży kapitan kazał rzucić kotwicę, a potem podszedł do Szymona i Ferdynanda.

- Musicie się pośpieszyć! Chcę jeszcze przed północą znaleźć się z powrotem na morzu!

„On się śmiertelnie boi Anglików” - pomyślał Ferdynand. Pełnym wyrzutu gestem wskazał na fale zalewające plażę i zapytał:

- Mamy wskoczyć do wody i dopłynąć do brzegu?

- Łódź jest już spuszczana na wodę - odparł kapitan i odwrócił się do Ferdynanda plecami.

- Bezczelny typ - mruknął młody szlachcic.

Szymon von Kirchberg oderwał się od relingu, podszedł do furty w nadburciu i zerknął w dół na kołyszącą się już na falach łódkę.

- No to płyniemy - oznajmił.

- A co z naszymi rzeczami? - zapytał Ferdynand.

- Zajmą się nimi ci sami dwaj żołnierze co zawsze.

Chyba że ten twój ciągle cierpi na chorobę morską?

- Nie, on... - zaczął Ferdynand, ale pomocnicy jego i Szymona już wchodzili na pokład.

Nieśli to, co zostało z bagażu obu szlachciców. Za nimi wspinali się kolejni żołnierze. Ich twarze pełne były ulgi i oczekiwania. Wszyscy cieszyli się, że opuszczają cuchnącą łajbę, w której siedzieli ściśnięci jak śledzie.

Niewiele mieli do dźwigania, ponieważ za burtę trafiła nie tylko większość broni i zapasów, ale także część ich osobistych rzeczy. Tak naprawdę byli teraz obdartą zgrają, której żaden dowódca na kontynencie nie wypłaciłby normalnego żołdu. Tu, w Irlandii, mieli lepsze perspektywy. W każdym razie mieli walczyć z nędznymi heretykami, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo Ojcu Świętemu w Rzymie. W związku z tym każdy z nich miał prawo trafić po śmierci prosto do nieba. A gdyby jeszcze wcześniej trafiło się trochę złota, to przecież nic nie szkodzi.

Sierżant Cyriakus Hufeisen stanął przed Szymonem.

- Jesteśmy gotowi, kapitanie! Niech Anglicy mają się na baczności.

- Słusznie, Hufeisen! Zaczynamy rozładunek. Ty zostajesz na pokładzie, dopilnujesz

ludzi i wsiądziesz dopiero z ostatnim ładunkiem.

Po tych słowach Szymon von Kirchberg opuścił się na łódkę. Po chwili wahania w jego ślady podążył Ferdynand, a Hufeisen wybrał ośmiu ludzi, którzy mieli wraz z kapitanem i jego kuzynem jako pierwsi powiosłować na ląd.

W łódce kołysało jeszcze bardziej niż na „Marghericie” i Ferdynand obawiał się przez chwilę, że znowu dostanie choroby morskiej. Ze wszystkich sił starał się zapanować nad własnym żołądkiem, patrząc, jak czterej marynarze chwytają za wiosła i odpychają łódkę od statku.

Skierowawszy ją w stronę lądu, ruszyli ku niemu, wiosłując miarowym rytmem.

- Teraz *avanti*, żebyśmy zabrali także pozostałych - szepnął jeden z marynarzy, jakby się bał, że wiatr zanieśie jego słowa do Anglików.

Ferdynand, Szymon i ośmiu żołnierzy wysiedli z łódki i, brodząc w płytkiej wodzie, dotarli na suchy ląd. Na znak dany przez Szymona żołnierze rozbiegli się i zabezpieczyli teren. Łódź tymczasem popłynęła z powrotem do statku po kolejnych dziesięciu żołnierzy.

- Czy kapitan nie mówił, że gdzieś tu w pobliżu jest wioska? - zapytał Ferdynand kuzyna.

Szymon rozejrzał się i wzruszył ramionami.

- Pewnie jest gdzieś tam, za wzgórzami.

- Mogę sprawdzić!

- Nie, chłopcze, zostajesz tutaj! Rozpoznanie zrobi ktoś doświadczony.

Ferdynand odsłonił zęby, które zaśniły w zapadającym mroku niczym białe perły.

- A nie podporuczniku?

- Nie czepiaj się każdego słówka - odparł Szymon i ruszył w kierunku lądu.

Ferdynand z westchnieniem popatrzył na „Margheritę”.

Statek był już tylko ciemną sylwetką na tle błyszczącego morza. Widział jednak, że łódka przycumowała i że wsiadają do niej kolejni żołnierze. Ferdynand starał się zdusić w sobie przepelniające go rozczarowanie. Gdy wyruszali z Rzymu, wyobrażał sobie, że przybędą do Irlandii w pełnym blasku słońca, a powitają ich powiewające sztandary i dźwięki trąb. A oni zakradali się na ląd nocą, niczym złodzieje, a nie zbrojne ramię jedynej prawdziwej wiary, której trzeba na tej wyspie bronić.

W zdenerwowaniu dobył miecza, choć nic nie wskazywało na to, by zagrażało im jakieś niebezpieczeństwo, i ruszył za Szymonem. Ląd przed nimi wyglądał niczym ciemna bryła na tle szarego nieba, na którym połyskiwały już pierwsze gwiazdy. Ponieważ księżyc nie było jeszcze widać, było tak ciemno, że Ferdynand zastanawiał się, jak marynarze z

„Margherity” zamierzają dopłynąć jeszcze raz na ląd i z powrotem.

W takich egipskich ciemnościach dobrze widzą chyba tylko koty.

Lecz marynarze mieli doświadczenie w wysadzaniu ludzi ukradkiem na ląd i dowozili kolejnych żołnierzy. Na końcu wynieśli na brzeg także kilka skrzyń z bronią, które najwyraźniej przeoczono w panice wywołanej przez angielskie statki.

Pozostałe na pokładzie beczki z peklowanym mięsem, suszoną rybą i winem, przeznaczonymi na tę wyprawę, kapitan jednak zatrzymał, ponieważ jego ludzie wyrzucili za burtę własne zapasy. On sam nie zszedł ze statku, tylko przyglądał się z tylnego pokładu, jak dwaj żołnierze odpowiedzialni za bagaże dowódcy i jego kuzyna wsiadają do łodzi jako ostatni, razem z Cyriakusem Hufeisenem i ojcem Maitiú.

- Przekażcie *capitano* von Kirchbergowi moje pozdrowienia i powiedzcie mu, że podnosimy kotwicę, gdy tylko bajbot[19] wróci! - zawołał za nimi i podszedł do sternika. - Wszystko gotowe?

- *Si, capitano!* - odpowiedział sternik, wskazując na pół tuzina marynarzy, którzy stali przy wciągarnie gotowi podnieść kotwicę. Wszyscy na pokładzie mieli świadomość, że powinni jak najszybciej znaleźć się na otwartym morzu. Jeśli zbyt wcześnie napotkają angielski statek i zostaną zepchnięci na przybrzeżne skały i klify, będą zgubieni tak samo jak towarzysze z „Violetty”.

Ojciec Maitiú nie mógł się doczekać, kiedy stanie na irlandzkiej ziemi. Rodzice wysłali go do Rzymu, gdy miał dziesięć lat, żeby się szkolił na pioniera walki z herezją i kacerzami. A teraz nadeszła chwila, w której wypełni swe przeznaczenie. Kiedy dno łódki zaszurało po kamieniach, wysiadł i przebiegł ostatnie jardy. Na plaży opadł na kolana, wbił palce w gruboziarnisty piach i zapłakał z radości.

- Wróciłem! - wykrzyknął tak głośno, że wszyscy w pobliżu aż się wzdrygnęli.

- Cholera, nie wrzeszczcie tak! Chyba że chcecie, żeby usłyszeli was nie ci, co trzeba? - ofuknął go Szymon. Cały czas wypatrywał wioski, jednak panowały już nieprzeniknione ciemności.

- Irlandia uratowana! - dodał już ciszej ksiądz i wzniosł oczy ku niebu. Wydawało mu się, że dostrzega na granatowym niebie oblicze Świętej Dziewicy, która władcym gestem wskazuje na ląd.

- Och, Królowo Nieba, umiłowana Matko naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, pobłogosław mnie - szepnął wzruszony i z pokorą pochylił głowę.

Szymon von Kirchberg miał co innego na głowie niż boże błogosławieństwa. Nie dostrzegał najmniejszego śladu wioski, którą według słów kapitana zamieszkiwać mieli

wierni zwolennicy papieża. Miał przy sobie zaledwie sześćdziesięciu ludzi, którym brakowało uzbrojenia. Musieli unikać zarówno angielskich patroli, jak i członków klanów walczących po stronie Anglików.

- Hufeisen, niech ludzie otworzą skrzynie. Jeśli są tam muszkiety, proch i ołów, to rozdzielcie je pomiędzy najlepszych strzelców. Włócznie i miecze niech wezmą najsilniejsi. Reszta niech ociosa sobie gałęzie z drzew i użyje ich jako pałek.

- Zrobi się, panie kapitanie! - Hufeisen wyznaczył kilku żołnierzy do przejrzenia broni. Rezultat był dość żalony. Mieli sześć muszkietów, ale żadnej amunicji, tuzin halabard, trzy miecze dwuręczne i cztery krótkie. Nie wystarczyło nawet dla połowy oddziału. Szymon wpadł w jeszcze gorszy nastrój, gdy się okazało, że w skrzyniach nie ma nic do jedzenia.

- Przecież zabraliśmy wystarczające zapasy! - wykrzyknął oburzony Ferdynand.

- Ten cholerny szyper zatrzymał sobie naszą żywność!

- W tym momencie Szymon von Kirchberg pożałował, że zabronił Ferdynandowi szukania tego, kto mu nabił guza, bo teraz sam chętnie stukłby kapitana na kwaśne jabłko.

Lecz szkoda było czasu na takie dumania.

Energicznym gestem przywołał do siebie ojca Maitiú.

- Znacie te okolice, wielebny ojczy?

Kapłan potrząsnął głową.

- Pochodzę z południa Irlandii i nie umiem nawet powiedzieć, czy to jest wybrzeże Sligeach, czy może już Tir Chonaill.

- To wielka szkoda, bo miałem nadzieję, że podacie nam nazwę wsi, w której znaleźlibyśmy żywność, a przede wszystkim przewodnika, który zaprowadziłby nas do O'Corry - powiedział Szymon i dał rozkaz do wymarszu.

Ferdynand rzucił jeszcze okiem na zatokę i w świetle wschodzącego księżyca zobaczył, że „Margherita” podniosła już kotwicę i popłynęła na zachód. Zabrała ze sobą zapasy, które wystarczyłyby im na kilka dni.

Ferdynand czuł, że kapitan jest mu coś winien i żałował, że nigdy już nie spotka tego człowieka. Odwrócił się gwałtownie i ruszył za kuzynem.

3

Na zamku Ui'Corra panował kruchy pokój pomiędzy Ciarą i Saraid z jednej strony a Buirre'em i jego przyjaciółmi z drugiej. Ionatán znajdował się gdzieś pomiędzy. Buirre był jego dowódcą, jednak czuł się lojalny wobec Ciary. Uczucie to jeszcze się wzmogło, gdy Buirre i czterech wojowników z klanu, których Oisín zostawił do ochrony zamku, zaczęło

zrzucić na niego wszystkie nieprzyjemne zadania.

Tego dnia także posłano go po nowe rozkazy do Oisina O'Corry, który wraz ze swoimi ludźmi wznosił drewnianą fortecę przy drodze prowadzącej do doliny. Akurat gdy wrócił i przekazał Buirre'owi, co powiedział taoiseach, pojawił się jego zastępca, Seachlann.

- Saraid mówi, że zniknęła jedna krowa i że mamy jej poszukać - zameldował. Widać było po nim, że bardzo mu nie pasuje to zadanie.

Buirre od razu popatrzył na Ionatána.

- Jeśli przekazałeś mi już wszystko, co kazał Oisin, to możesz od razu iść szukać tej krowy. Nie mogła odejść daleko.

Ionatán właśnie przeszedł ponad trzydzieści mil i był naprawdę zmęczony. Lecz jeśli będzie się ociągać, Buirre się rozgniewa i może go znowu odesłać między parobków.

Skinął więc głową, zaciskając zęby.

- Wiadomo, w którą stronę poszła?

- Musisz zapytać Saraid - poinformował go Seachlann i ulotnił się, zanim Buirre'owi przyszło do głowy, żeby także jego posłać za zagubionym bydlęciem.

Ionatán uklonił się Buirre'owi, który coraz częściej zachowywał się niczym wielki pan, i poszedł szukać Saraid. W drodze na zamek napotkał Ciarę, która wybrała się akurat z Gamhain po zioła dla kuchni.

- Już wróciłeś? To chyba całą drogę biegłeś - powiedziała zdumiona, a potem zapytała, jak się miewa jej brat.

- Taoiseach jest w dobrym zdrowiu i w doskonałym humorze, bo dowiedział się, że Anglicy poddali kilka mniejszych twierdz i wycofali się z tej części Uladh.

Teraz jednak muszę iść szukać zaginionej krowy, w przeciwnym razie pan Buirre się rozgniewa.

- Pan Buirre! - obruszyła się Ciara. Dopiero potem zrozumiała, co powiedział Ionatán.

- Co to ma znaczyć?

Dosyć się już dzisiaj nachodziłeś. Krowy może przecież poszukać ktoś inny.

- Pan Buirre mnie kazał to zrobić - odpowiedział nieszczęsny Ionatán. - Muszę spytać panią Saraid, w którą stronę poszła ta krowa. I muszę się śpieszyć, bo jeszcze zginie gdzieś w górach.

- Nie musisz pytać Saraid. Niech Gamhain pokaże nam, czy potrafi tropić. Idę z tobą.

Wesoło poklepała sukę po grzbiecie i zaprowadziła ją do obory, tam gdzie było miejsce zaginionej krowy.

- Musisz znaleźć to bydlę - powiedziała do suki, gdy ta weszła zaintrygowana.

- Nie sędę, żeby to potrafiła - powiedział Ionatán. - Nawet psy myśliwskie muszą być najpierw naprowadzone na trop, żeby znaleźć zwierzynę.

- Gamhain jest mądrzejsza od wszystkich innych psów - oznajmiła Ciara, mając nadzieję, że suka jej nie zawiedzie.

Na to jednak na razie wyglądało. Gdy tylko opuścili zamek, Gamhain zaczęła biegać we wszystkie strony, szczekać beztróska i przyniosła nawet Ciarze patyk, żeby się z nią pobawiła.

Ponieważ Buirre i kilku jego ludzi słyszało rozmowę Ciary i Ionatána, zaczęli głośno się śmiać, a Ciara miała ochotę udusić Gamhain. Jak mogła przynieść jej taki wstyd? Suka, jakby odgadując myśli swojej pani, upuściła patyk, zaszczekała krótko i pokłusowała w kierunku bagna. Po mniej więcej stu krokach zatrzymała się i obejrzała za siebie, jakby pytała: „Dlaczego nie idziesz?”.

Po chwili wahania Ciara ruszyła za nią. Ionatán chwycił mocniej swoją włócznię i poszedł za nimi, ale wyglądał raczej na wystraszonego niż wojowniczego.

Jeszcze przez moment towarzyszyły im śmiechy i drwiące uwagi wojowników. Rozzłoszczona Ciara zacisnęła pięści.

- Wojna psuje mężczyzn! Zamiast pracować, puszą się niczym pawie i przechwalają tym, ilu zabili wrogów. Lecz nie dorastają do pięt Cú Chulainnowi czy Celtcharowi Mac Uthechairowi. Oni złapaliby Anglików za karki i przerzucili z powrotem na ich wyspę.

- Cali i zdrowi raczej by tam nie dotarli!

Ciara się roześmiała.

- Masz rację. Ale żywię nadzieję, że Oisin dorówna jednemu z wielkich bohaterów przeszłości i uwolni Irlandię od tej zarazy.

Przez chwilę myślała o bracie i czekającej ich wojnie.

Niedługo koniczyna, która tak pięknie tutaj rośnie, zakwitnie. Podług ostatnich wieści Henryk Bagenal, przywódca angielskich osadników, dostał od swojej królowej polecenie, by pokonać Aodha Móra O’Néilla i jego sprzymierzeńców. A że osadnicy to głodne ziemi bestie, które nie pozwolą uczciwemu Irlandczykowi nawet odetchnąć, z pewnością lada chwila można się spodziewać ataku.

„Mam nadzieję, że nasi wojownicy są gotowi”.

Przypomniał jej się Szymon von Kirchberg i zaczęła błagać go w duchu, by jak najrychlej się pojawił. Gdy tylko dołączy do Oisina ze swoimi żołnierzami, Ui’Corra nie będą się już musieli bać żadnego Anglika. Ciara nie mogła się doczekać ponownego spotkania z niemieckim szlachcicem, postanowiła jednak nie myśleć o tym w tej chwili.

Biegła za Gamhain tak prędko, jak się dało. Suka oglądała się na nią raz po raz, a potem pędziła tak szybko, że ledwo za nią nadążali.

W przeciwieństwie do Ionatána Ciara nie martwiła się, że drogę może im zastąpić skrytobójca. Oisín kazał przeszukać okolice i wyznaczył ludzi, którzy regularnie przeczesywali sąsiednie lasy, wypatrując obcych. Nie umknęłyby im nawet mysz, a co dopiero jakiś angielski fajtłapa.

- Coraz bardziej oddalamy się od zamku! - zawołał Ionatán za Ciarą.

Odwróciła się do niego.

- Boisz się?

Potrząsnęła głową, ale widziała, że kłamie. Tak naprawdę nie był wojownikiem, tylko człowiekiem, który powinien brać od ziemi to, czego potrzebuje do życia.

- Nie musimy się bać! Gamhain jest z nami, a ona wyczuje Anglika na tysiąc kroków.

- W gruncie rzeczy sama się zastanawiała, czy faktycznie może wymagać od psa, żeby jednocześnie tropił krowę i obserwował okolicę. - Mam nadzieję, że znajdziemy to bydło, zanim utopi się w bagnie - powiedziała.

- Jeśli Gamhain w ogóle szuka tej krowy - odparł Ionatán. - Równie dobrze może pędzić za królikiem.

- Niemożliwe! - Mimo wszystko popatrzyła na sukę z powątpiewaniem. Jej niepewność wzrosła, gdy Gamhain skierowała się prosto ku porośniętej krzewami i trzciną części bagniska, zwolniła i zaczęła ostrożnie stąpać po grząskim podłożu.

- Teraz musimy uważać, żeby elfy nie zrobiły nam psikusa i nie odciągnęły nas od ścieżki! - szepnął Ionatán, który wyglądał tak, jakby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć elfa, który błyskawicznym zakłębieniem omami jego wzrok.

Ciara westchnęła i odmówiła w myślach krótką modlitwę, żeby niebo było im przychylnie. Bagno było niebezpieczne i zapuszczali się w nie tylko ci, którzy doskonale je znali. Zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej odwołać Gamhain i zawrócić, gdy nagle zobaczyła odcisk krowiego kopyta.

- Popatrz tutaj, Ionatanie! - wykrzyknęła. - Gamhain jest na dobrym tropie.

- Nie wydostaniemy stąd krowy. Elfy i koboldy nam na to nie pozwolą! - Drżący Ionatán przystanął i chciał przytrzymać Ciarę.

Ona wymknęła mu się i wskazała do przodu.

- Nie możemy zrezygnować z żadnej krowy, mamy ich zbyt mało. Jeśli elfy i koboldy potrzebują krowy, niech ją zabiorą Anglikom, a nie nam. Idziemy dalej!

Jej słowa poskutkowały. Choć Ionatán przy każdym kroku trząsał się ze strachu, nie

chciał się skompromitować w oczach młodej kobiety. Ostrożnie stąpał za Ciarą, wstrzymując oddech za każdym razem, gdy ziemia pod jego stopami ugięła się z głośnym młaśnięciem.

W końcu Ciara miała dość.

- Co z ciebie za mężczyzna, Ionatánie O'Corra? Szła tędy zagubiona krowa, a ona jest cięższa niż my dwoje razem wzięci. Skoro jej bagno nie pochłonęło, to nie powinniśmy się martwić. Poza tym mamy Gamhain, a ona jest bardzo ostrożna.

„Przynajmniej mam taką nadzieję” - dodała w myślach, bo i ona czuła się coraz bardziej nieswojo na mokradłach.

Grunt pod jej stopami był tak rozmiękły, jakby w każdej chwili miał się rozstać i ją pochłonąć. A przecież przeszła tędy krowa. Pewnie już dawno utonęła, trafiwszy na jakieś zdradzieckie miejsce.

Ciara zastanawiała się, czy nie przerwać poszukiwań, gdy nagle Gamhain zaszczeła. Szybko dotarła do psa i zobaczyła krowę, która stała za krzakami, skubiąc aromatyczne zioła.

- Tu jesteś, uciekinierko! - zawołała Ciara i chciała podejść do krowy. Ta jednak odwróciła się ku niej, nadstawiając rogi. Gamhain natychmiast ruszyła na bydlę ze szczekaniem, zręcznie uniknęła uderzenia rogami i wbiła zęby w tylną nogę krowy.

- Mądra dziewczyna - pochwaliła sukę Ciara. Wtedy zorientowała się, dlaczego krowa jest taka agresywna. Na kawałku suchego gruntu parę kroków za nią leżało cielę, które niezdarnie próbowało stanąć na nogi.

- Ostrożnie, Ionatánie! Ona się ocielila - ostrzegła Ciara swojego towarzysza.

Ionatán miał podejść do krowy, ale zatrzymał się i zwrócił do Ciary:

- To co teraz zrobimy?

- Najlepiej, jakby Gamhain popędziła krowę przed sobą. Wtedy ty mógłbyś wziąć cielę na plecy i zanieść je do domu.

Ciara skinęła, żeby też się odsunął i zrobił miejsce, ale sama trafiła stopą na rozmiękły grunt. Krzyknęła przerażona.

Ionatán obrócił się, zobaczył, że zapadła się już niemal po kolana, i chciał ku niej podbiec.

- Stój, bo też się zapadniesz! - zawołała. - Odetnij gałąź i wyciągnij mnie stąd, ale szybko!

Ionatán podszedł do zarośli, wyjął nóż i chwycił dość grubą gałąź. Usłyszawszy młaśnięcie pod stopami, uskoczył w ostatniej chwili, zanim bagno zdołało go wciągnąć. Za drugim razem poszło mu lepiej. Odciął długą gałąź i wysunął ją ku Ciarze.

Chwyciła ją z ulgą, przytrzymała się mocno, a on zaczął ciągnąć z całej siły. Bagno

nie chciało jednak tak łatwo wypuścić swojej ofiary. Ionatán dyszał jak wykończony wół i obawiał się już najgorszego. Potem jednak wydało mu się, że dziewczyna zaczyna się wysuwać z bagna i podwoił swoje wysiłki.

Mokradła wypuściły Ciarę równie szybko, jak ją pochwytyły, a ona straciła równowagę. Na szczęście upadła na twardej gruncie, ale pociągnęła za sobą Ionatána.

Gdy podniosła wzrok, okazało się, że oboje leżą tuż przed kopytami krowy. Ta patrzyła na nich nieufnie, ale gdy Gamhain zaszczekała, cofnęła się kilka kroków. Ze strachu przed psem pozwoliła, żeby Ionatán wstał i podszedł do cielątka.

Mężczyzna podniósł dopiero co urodzone cielę i włożył je sobie na ramiona, cały czas obserwując krowę. Lecz groźne zęby Gamhain sprawiły, że bydlęciu przeszła ochota na ataki i gdy Ionatán zaczął wracać po swoich własnych śladach, ruszyła za nim. Gamhain przesunęła się jednak na czoło, jakby chciała wskazywać bezpieczną drogę, a Ciara jeszcze raz popatrzyła na miejsce, w którym omal nie straciła życia. Otrząsnąwszy się, żeby pozbyć się strachu, poszła za Ionatánem i zwierzętami.

4

W drodze do domu Ciara i Ionatán minęli miejsce, w którym jeszcze niedawno ktoś wykopywał torf. Ciara przyjrzała się niewielkiemu stosowi przypominających cegły kawałków torfu i potrząsnęła głową.

- Już dawno należało wznowić tutaj pracę, żebyśmy nie marzli w zimie. Ale Buirre woli udawać wielkiego dowódcę i pozwala swoim ludziom obżerać się, opijać i leniuchować całymi dniami.

- To wojownicy, nie parobkowie - wtrącił Ionatán.

Ciara z irytacją machnęła ręką.

- Przede wszystkim to mężczyźni, którzy powinni się zatroszczyć o przyszłość swojego klanu. Bez drewna na opał i torfu nie napalimy w piecu ani niczego nie ugotujemy. Jak chcą walczyć, jeśli nie będą mieli co jeść?

Ionatán nie wiedział, co odpowiedzieć. Całe życie był najemnym parobkiem, któremu zarządca mówił, co ma robić, a czego nie. Teraz też wołałby, żeby ktoś polecił mu wykonanie pracy, zamiast kazać się zastanawiać, co należy zrobić. Zdążył już raz czy dwa pożałować, że zgłosił się do oddziału, bo ani Buirre, ani jego ludzie nie traktowali go poważnie. Jediną osobą, która pokładała w nim jakąś wiarę, była Ciara, i dlatego popatrzył na siostrę taoiseacha z podziwem.

Ona zawsze wiedziała, co trzeba, a co nie. Tak samo Saraid. Wszystko mogłoby się

ułożyć inaczej, gdyby Maeve była choć trochę podobna do tych dwóch kobiet.

Jego żona była piękna, ale niezadowolona ze swojego życia, co dawała mu odczuć już na długo przed napadem Anglików.

Ledwie Ionatán pomyślał o swojej żonie, ta zjawiała się przed nimi, przyglądając się dziwnej grupce prowadzonej przez wielką sukę. Gdy spostrzegła męża z cielęciem na ramionach, jej twarz wykrzywił ironiczny grymas.

- Teraz znowu jesteś parobkiem, tak jak należy, ty tchórzu!

Ionatán minął ją bez słowa. Maeve ruszyła za nim i drwiła dalej.

- Myślałeś pewnie, że uda ci się udawać wojownika.

Ale do tego trzeba takiego mężczyzny jak Buirre, który nie ucieka przed Anglikami.

- Zamilcz, bo postaram się, żebyś się dowiedziała, co to znaczy posłuszeństwo! - ofuknęła ją Ciara.

- Pan Buirre na to nie pozwoli - odparła bezczelnie Maeve i odwróciła się do siostry przywódcy klanu plecami.

Ciarę aż zaswędziały palce, żeby paroma policzkami pokazać krnąbrnej kobiecie, komu naprawdę powinna okazywać szacunek. Potem jednak machnęła ręką. Maeve i tak się w końcu doigra.

- Nie przejmuj się jej jazgotem - powiedziała do Ionatána.

- Nie powinienem był się z nią żenić. Takie jednak było życzenie naszych ojców, a ja uległem.

Przemilczał fakt, że ślub przyspieszono także z tego powodu, że Ryszard Haresgill łakomym okiem patrzył na Maeve. Dlatego małżeństwo zostało zawarte w tajemnicy i bez jego wiedzy. „Może to spowodowało nieszczęście na naszą wioskę” - pomyślał Ionatán. W innych wsiach na dawnych ziemiach Ui’Corra ludzie Haresgilla aż tak nie dokazywali. Może Anglik poszczuł na nich swoich ludzi, żeby zemścić się za to, że umknęła mu przyjemność odebrania Maeve dziewictwa?

W tym momencie Ionatán po raz pierwszy uświadomił sobie, że zemsta należy się nie tyle angielskim żołnierzom, ile ich przywódcy Ryszardowi Haresgillowi, przed którym aż do powrotu Ui’Corra musiał zginać kark. Oisin O’Corra był zupełnie innym człowiekiem. On nigdy nie sięgnąłby po chłopską córkę tylko dla zaspokojenia własnej żądzy. I również dlatego był przywódcą, dla którego warto było pójść w bój. Pomyślał o Buirze. Choć zarządca był leniwy i niesprawiedliwy, to i tak lepiej było słuchać jego niż być poddanym takiego łotra jak Ryszard Haresgill.

Gdy weszli na zamkowy dziedziniec, napotkali Saraid.

Ta potrząsnęła głową, gdy zobaczyła cielę na ramionach Ionatána. Potem jej spojrzenie padło na wyschnięty pas błota na sukni Ciary i przeżegnała się.

- Matko Przenajświętsza! Czy wyście byli na bagnach?

Ciara skinęła głową.

- Krowa się tam schowała, więc musieliśmy. Ale jak widzisz, jesteśmy z powrotem, cali i zdrowi!

- Zdrowi, to widzę, ale czy cali, to wątpię... - Saraid wskazała na suknię Ciary.

- Troszkę się zapadłam. Ale nie było tak źle.

Rzut oka na twarz Ionatána wystarczył, żeby Saraid się domyśliła, że wcale nie było tak lekko, jak przedstawiła to jej kuzynka.

- Cieszę się, że wróciliście do domu razem z krową i cielęciem. Jednak przez następane tygodnie powinnaś zbierać pszczelego wosku i wytopić dla Najświętszej Pani piękna świecę w podziękowaniu za opiekę. To tragedia, że wciąż nie mamy kapłana, który pobłogosławiłby na nowo kaplicę i przepędził z niej heretycki obłęd. Czy nie mogłabyś poprosić taoiseacha, żeby posłał po jakiegoś księdza?

Słysząc było, że Saraid naprawdę na tym zależy. Jak większość kobiet pragnęła się modlić w świętym miejscu, lecz nie chciała robić tego tam, gdzie jeszcze niedawno angielscy kacerze wyznawali swoje herezje.

- Poproszę Oisina o sprowadzenie kapłana - obiecała Ciara. - Potrzebujemy kogoś, kto od razu będzie gotów u nas zostać. Powinien poświęcić na nowo kaplicę i odprawić w niej mszę świętą.

Saraid głęboko westchnęła.

- Jeśli Bóg pozwoli, taoiseach znajdzie dla nas męża bożego. Łatwo nie będzie, bo Anglicy zabronili kształcić księży w Irlandii. Wszyscy, którzy chcą się poświęcić służbie duchownej, muszą opuścić kraj i uczyć się we Francji albo w samym Rzymie. Niewielu z nich potem wraca, a ci, którzy na powrót znajdują się na irlandzkiej ziemi, ryzykują własnym życiem. Ponoć ci podli Anglicy zabijają każdego, kogo podejrzewają, że został wyświęcony na księdza.

- Anglicy to prawdziwa zaraza, którą trzeba wytępić! - wykrzyknęła z gniewem Ciara.

- Przecież mają swoją własną wyspę, nawet jeśli muszą ją dzielić ze Szkotami.

Dlaczego przychodzą do nas, żądają coraz więcej ziemi i chcą nam odebrać nawet naszą wiarę?

- Bo siedzi w nich diabeł - wyjaśniła Saraid. - A teraz idź do domu i się przebierz. Tylko najpierw umyj nogi!

A ty - zwróciła się do Ionatána - zaprowadzisz krowę i cielę do obory. Potem przyjdź do kuchni. Uważam, że zasłużyłeś na łyk miodu.

Oczy Ionatána się rozpromieniły. Jako parobek dostawał najwyżej zwykłe piwo wrzosowe, ale nigdy nie pił miodu. Teraz też Buirre i jego zaufani sami wypijali swoje porcje, zamiast się z nim podzielić. Dlatego ruszył szybkim krokiem, żeby odprowadzić krowę i cielę.

Gamhain pomogła mu zapędzić krowę do obory. Tam Ionatán rozsypał trochę słomy dla cielęcia. Ponieważ podczas poszukiwań on także się pobrudził, umył przy studni twarz i ręce. W kuchni Saraid, tak jak obiecała, nalała mu kubek miodu, dodając do niego kapkę whisky.

Ciara też dostała kubek napitku, a potem Saraid wsadziła ją do kąpieli, do której dodała ziół odpędzających choroby i złe duchy.

5

Czas mijał, a o Anglikach nic nie było słyhać. Wielu Ui'Corra zaczęło już mieć nadzieję, że Sasanach pogodzili się z utratą odbitych obszarów. Buirre też był tego zdania, a Saraid wyjątkowo się z nim zgadzała. Lecz Ciara nie ufała Anglikom. Zbyt wiele złego o nich słyszała. Od Ionatána, którego Buirre wysyłał do Oisina jako posłańca, dowiadywała się wszystkiego, co usłyszał od żołnierzy.

Tego dnia też siedział w kuchni z kubkiem cienkiego miodu w dłoni i opowiadał o swoim ostatnim pobycie w obozie taoiseacha.

- Powiadają, że angielscy osadnicy w Uladh wycofali się do miast i szykują się do obrony - opowiadał właśnie, gdy do kuchni weszła Saraid.

- Miasta też Anglikom odbierzemy - wtrąciła pewnym siebie głosem.

- Pan Oisín mówi, że na razie nie możemy zająć miast - odpowiedział Ionatán, choć sprzeciwianie się energicznej Saraid nie było łatwe.

- Aodh Mór O'Néill już dawno powinien podjąć wyprawę na Sligeach, Béal Feirste albo Doire![20] - oznajmiła Saraid, jakby była doświadczonym dowódcą, który strofuje jednego ze swoich podoficerów.

I tym razem Ionatán był odmiennego zdania.

- Żeby oblegać miasto i je zdobyć, trzeba mieć armaty!

A tych nasze oddziały nie mają. Anglicy mają działa i mogą sprowadzić więcej ze swoich statków. Taoiseach mówi, że przed miastami musimy najpierw zdobyć zamki, które Anglicy zbudowali w Uladh, a także te zajęte przez ich irlandzkich sługusów, choćby

należące do Ui'Corra.

- Mój brat wie, co trzeba robić. - Ciara zaczęła bronić Oisina, zanim jej kuzynka zacznie na nowo krytykować jego albo któregoś z pozostałych przywódców.

Saraid tylko prychnęła. Ponieważ nie znała się na wojnie, słuchała każdej wieści, która docierała na zamek, a tych nie brakowało. Tereny Ui'Corra leżały przy jednej z dróg wiodących do ziem Aodha Móra O'Néilla, więc przez dolinę raz po raz ciągnęli posłańcy, którzy za kubek miodu i miskę kaszy opowiadali fantastyczne historie.

Ciara też ich słuchała, lecz mniej ją interesowały rzekome bohaterskie czyny irlandzkich wojowników, a bardziej obcy, którzy przybywali do kraju, chcąc wesprzeć Irlandczyków w walce z angielskimi heretykami. Na razie nie udało jej się dowiedzieć, czy Szymon von Kirchberg wylądował już na wyspie, czy też wciąż przebywa gdzieś daleko.

Rzadko jednak miała czas, żeby się nad tym zastanawiać, gdyż przy pomocy niewielkiej liczby ludzi, jakimi dysponowali, trzeba było obsiać pola, a potem zebrać plony. Ciara najchętniej poprosiłaby brata, żeby przysłał część żołnierzy jako siłę roboczą. Lecz Oisín kazał wybudować nie tylko fortecę przy drodze wiodącej w głąb doliny, lecz także kranog, wzniesioną z drewna wyspę na jeziorze, na którą ona i inne kobiety klanu będą mogły uciec, jeśli Anglikom uda się przedrzeć przez blokadę.

Ciara miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Lecz by osiągnąć warte wzmianki zwycięstwa, jej brat potrzebował Szymona von Kirchberga. I nie tylko z tego powodu błagała Niemca w głębi serca, żeby się jak najszybciej pojawił.

Za każdym razem, gdy słyszała stukot kopyt i widziała zbliżających się jeźdźców, miała nadzieję, że to on. Lecz i tego dnia, gdy wybiegła, żeby wyrzeć z murów zamku, okazało się, że to jej ludzie. Nad grupą powiewał sztandar Ui'Corra, a jeźdźcy nosili symbole ich klanu.

W przeciwieństwie do wojowników, których Oisín zgromadził wokół siebie tu, w Irlandii, ci mieli na sobie coś w rodzaju mundurów, złożonych z ciemnoczerwonych spodni i zielonych kurtek. Uzbrojenie też mieli jednolite.

Dwie trzecie trzymały w dłoniach włócznie, a reszta długie, nieporęczne muszkiety. Do tego wszyscy mieli przypasane krótkie miecze i sztylety, a czapki ozdobili listkami koniczyny.

- To Ui'Corra, ale ja nie znam żadnego z nich - powiedziała zdumiona Ciara do Saraid.

Kuzynka wspięła się do niej na mury i marszcząc brwi, przyglądała się przybyszom.

- Toż to Aithil O'Corra! Wiesz, nasz kuzyn, ten, z którym taoiseach był na

kontynencie.

- Oisín mówił, że Aithil przyprowdzi wojowników, którzy razem z nim uciekli z Irlandii. Jeśli to oni, to znaczy, że Szymon von Kirchberg i jego armia muszą być już blisko! - wykrzyknęła z ulgą Ciara.

Saraid nie w smak było zadurzenie Ciary w niemieckim żołnierzu.

- Niekoniecznie! Aithil przyprowdził naszych żołnierzy z Francji, a Kirchberg miał wyruszyć z Rzymu.

To daleka droga i wiele mogło się zdarzyć.

- Nie zapeszej! - ofuknęła ją Ciara.

- Niech Przenajświętsza Dziewica chroni Kirchberga i jego ludzi - odpowiedziała spokojnym tonem Saraid. - Ale ty powinnaś pamiętać o swoich obowiązkach jako siostra przywódcy klanu i powitać Aithila O'Corra oraz jego ludzi.

Ciara prychnęła i zbiegła z murów. Na dole zobaczyła Buirre'a, który stał przy bramie z ponurą miną, i humor od razu jej się poprawił. Mężowi Saraid przybycie Aithila najwyraźniej nie odpowiadało. Ponieważ we Francji przez pierwsze lata, zanim został podoficerem Oisina, pozostawał pod dowództwem Aithila, ten na pewno nie pozwolił sobie rozkazywać, szczególnie że jest bliskim krewnym Oisina.

Gdy poprzedni zastępca Oisina zsiadł z konia, nawet nie spojrzał na Buirre'a, tylko pochylił głowę przed Ciarą. A potem popatrzył na nią z wesołym uśmiechem.

- Tylko nie mów, że to ty byłaś tym małym zawiniątkiem, które nasza kuzynka Saraid zatargała stąd aż na wybrzeże. Na Boga, maighdean, jak ty pięknie wyrosłaś!

- Witaj na ojczystej ziemi, kuzynie Aithilu!

Choć ich pokrewieństwo było dalekie, bo dziadkowie ich dziadków byli braćmi, to Aithil O'Corra miał prawo być traktowany jak członek rodziny. Na pewno bardziej niż Buirre, którego pokrewieństwa z Oisinem trzeba by się doszukiwać aż sześć pokoleń wstecz. Tylko dzięki małżeństwu z Saraid uzyskał w klanie pozycję, która właściwie mu się nie należała. Dlatego powinien traktować jej kuzynkę z szacunkiem, a nie ją bić.

Ciara odsunęła jednak szybko od siebie takie myśli i wzięła Aithila pod rękę.

- Chodźmy do sali! Na pewno jesteś głodny i spragniony.

- Podobnie jak moi ludzie - odparł tak wesoło, jakby wystarczyło, że ona skinie palcem, a pojawią się beczki z miodem i pieczone barany.

A przecież Ciara doskonale wiedziała, że ta wizyta wyrwie ogromną dziurę w ledwo im starczających zapasach. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiała poprosić Oisina, żeby zaczął napadać na zagrody angielskich osadników i dostarczać im ich trzodę i zapasy.

Te rozważania nie przeszkodziły jej jednak w nakazaniu kobietom w kuchni, by nakarmiły przybyłych. Lecz gdy chciała przystąpić do nadzorowania przygotowań, Saraid wygoniła ją do sali.

- Nie możesz zostawiać naszych gości samych.

- Ale... - zaczęła Ciara, lecz kuzynka natychmiast jej przerwała.

- Idź! A może chcesz, żeby Buirre odgrywał wielkiego pana?

W jej słowach było tyle pogardy, że Ciara popatrzyła na kuzynkę ze zdumieniem. Saraid nadal nie wybaczyła mężowi, że ją uderzył. A może było jeszcze coś, o czym nie wiedziała? Ale w tym momencie to było nieważne.

- Dobrze, pójdę. Ale nie oszczędzaj na jedzeniu! Jakoś damy sobie radę, a jak jeszcze zaczniemy wysyłać dziewczki i parobków po grzyby, mchy i korzonki, które nadają się do zjedzenia...

- Przecież robimy to od dawna!

Saraid wiedziała równie dobrze jak Ciara, że kobiety i dzieci na zamku i w okolicznych wioskach będą musiały zacisnąć mocniej pasa, żeby zaopatrzyć żołnierzy. Choć Ciara nie mogła się doczekać przybycia Szymona von Kirchberga i jego armii, to ona sama miała nadzieję, że Niemiec jeszcze długo każe na siebie czekać. Dopóki wojna z Anglikami nie zacznie się na dobre, obcy żołnierze to tylko bezużyteczne gęby do wykarmienia, które nikomu nie są potrzebne.

Gdy Saraid z ciężkim sercem wydawała polecenie, żeby zarznąć kilka baranów i je upiec, Ciara weszła do sali i od razu zauważyła, że Buirre i Aithil rzucają sobie pełne złości spojrzenia. Najwyraźniej nie doszli do porozumienia, gdzie kto powinien usiąść. Aithil był zastępcą Oisina O'Corry podczas wojny, natomiast Buirre uważał się za wyżej od niego postawionego jako zarządca majątku Ui'Corra.

Ciara zakończyła spór, zajmując miejsce przywódcy klanu i wskazując Aithilowi, by usiadł po jej prawej stronie.

- Ty usiądziesz po lewej - nakazała Buirre'owi.

Ten skrzywił się mimowolnie, lecz nie odważył się zaprotestować w obliczu wojowników, którzy uważali Aithila za swojego dowódcę.

Kiedy kilka służących podało już gościom miód, Ciara zwróciła się do Aithila:

- Mielicie udaną podróż do Irlandii?

Skinął głową.

- Bardzo udaną! Mieliliśmy francuskiego kapitana, który potrafił wyczuć z daleka angielskie statki. W czasie przeprawy nie zobaczyliśmy nawet jednego żagla!

- Skoro wam tak dobrze poszedł rejs do Irlandii, to innym też na pewno się uda - odpowiedziała z ulgą w głosie Ciara.

Na te słowa Aithil przybrał pełną powątpiewania minę.

- Ci przekłęci Anglicy pilnują jak wściekłe psy, żeby nikt im się nie wymknął. Mieliśmy po prostu dużo szczęścia, którego innym niestety zabrakło.

Ciara nie chciała słyszeć, że Szymon von Kirchberg mógłby mieć problemy albo wręcz zostać schwytyany przez Anglików, więc natychmiast pokręciła głową.

- Anglicy już wkrótce uznają wolność Irlandii i będą musieli opuścić nasze morze.

- Trochę to jeszcze potrwa - oznajmił Aithil z namysłem.

Ponieważ Buirre nie uczestniczył dotąd w rozmowie, chciał o sobie przypomnieć.

- Anglicy są niczym psy, które szczekają - powiedział - ale kulą ogon, gdy tylko prawdziwy Irlandczyk obje im grzbiet kijem.

- Spróbuj, czy tak jest! - zadrwił Aithil. - Angielscy żołnierze to twardzi ludzie i we Francji słusznie się ich obawiają. Na razie w Irlandii mieliśmy do czynienia z paroma szlachcicami i strażą miejską. Ale jeśli królowa przyśle tu jednego ze swoich dowódców, takich jak Raleigh albo Essex, to pojawi się on z armią, jakiej Irlandia nigdy dotąd nie widziała.

- Phi! - prychnął Buirre.

Ciara poczuła jednak zimny dreszcz na plecach. Na ramionach zrobiła jej się gęsia skórka. Szybko postarała się przepędzić złe przeczucia.

- Z Raleighem czy Essexem też sobie poradzimy.

- Niech Bóg da! - Aithil O'Corra przeżegnał się, żeby przekonać moce niebieskie, że powinny stanąć po stronie Irlandii. - Łatwo nie będzie - dodał już ciszej.

A potem jakby sobie przypomniał, że nie rozmawia z przywódcą swojego klanu, tylko z jego siostrą, i lekceważącym gestem machnął ręką.

- Pokażemy Anglikom. To nasza ziemia i wiemy, jak tutaj walczyć!

- A jak? - zapytał Buirre złośliwie.

Aithil zmierzył go drwiącym spojrzeniem.

- Skoro nie wiesz, to bardzo dobrze, że taoiseach mianował cię nadzorcą swoich parobków. Do walki z Anglikami trzeba ludzi z rozumem.

Tylko głośnie chrząknięcie Ciary powstrzymało Buirre'a przed zerwaniem się i rozpoczęciem bójki w samym środku siedziby przywódcy klanu.

6

Aithil O'Corra i jego ludzie odjechali po trzech dniach, gdy już niemal do końca zużyli zapasy miodu na zamku, a większość żywności nie tylko skonsumowali, ale też zabrali ze sobą jako prowiant. Z tego, co wiedziała Ciara, nie zamierzali dołączyć do jej brata, tylko do oddziałów, które gromadził wokół siebie Aodh Mór O'Néill, aby w każdej chwili móc odpowiedzieć na atak Anglików.

Na zamku cieszą się z końca wizyty, gdyż od tej pory to O'Néill musiał dbać o zaopatrzenie tych ludzi. Lecz samo to nie mogło sprawić, żeby spiżarnie się zapełniły.

Ponieważ udało się obsiać tylko część pól, zbiory okazały się bardzo marne. Toteż Ciarze i Saraid nie pozostało nic innego, jak posłać wszystkie kobiety i dzieci do lasu, a nawet na bagna, żeby zbierały jadalne zioła, grzyby i korzonki.

- Nie najemy się tym, ale przynajmniej nie pomrzemy z głodu - powiedziała Ciara do Saraid, gdy wyruszała pierwsza grupa. Należała do niej także Maeve, która zachowywała się coraz gorzej i ostatnio odpyskiwała nawet Saraid. Za karę została przydzielona do grupy zbieraczy.

Saraid popatrzyła za oddalającymi się kobietami i potrząsnęła głową.

- Jeśli Maeve się nie poprawi, będzie musiała odejść.

- Dokąd? - zapytała Ciara. - Mam nadzieję, że parę nocy w lesie pod gołym niebem zmiękczy jej upór. - W zadumie popatrzyła na oddalającą się grupkę, której towarzyszyć mieli Seachlann i Ionatán.

Nagle z bramy wyszedł Buirre w pełnym rynsztunku bojowym.

- Ej, Ionatán! - zawołał. - Ty zostajesz na zamku. Do ochrony tych kobiet potrzeba prawdziwych mężczyzn. Ja pójdę i przy okazji sprawdzę, czy nie uda się ustrzelić jakiejś zwierzyny. Korzonkami i ziołami mogą się żywić niewiasty. Mężczyzna potrzebuje mięsa.

Ciara się zdziwiła, bo Buirre zwykle unikał takich zadań, ale ucieszyło ją, że Ionatán zostanie. Jemu mogła zlecić tę czy inną pracę, podczas gdy Buirre nie kiwnąłby nawet palcem.

Ionatán, równie zaskoczony, nie zadawał żadnych pytań, tylko posłuchał i zawrócił na zamek. Umknął mu triumfujący wzrok żony. Maeve doskonale wiedziała, że Buirre będzie im towarzyszył nie ze względu na polowanie, tylko dla niej. Ostatnio znowu spotkała się z nim dwa razy i nie tylko sprawiła mu przyjemność, ale też wysłuchała jego skarg na żonę. Kiedyś, mówiła sobie, doprowadzi do tego, że Buirre odprawi Saraid i ją weźmie sobie za żonę. Z tego powodu zaczęła o siebie dbać i codziennie kąpała się w strumieniu. Martwiła ją tylko

stara, znoszona suknia, więc postanowiła, że będzie tak długo suszyć Buirre'owi głowę, aż ten załatwi kawałek dobrego sukna, żeby mogła sobie uszyć nową.

Nie mając pojęcia, o czym myślą Buirre i Maeve, Ciara zawróciła na zamek i zajęła się swoimi obowiązkami.

W tym czasie grupa zbieraczek dotarła do pokrytych gęstym lasem wzgórz. Dzieci i większość kobiet z lękiem wpatrywały się w olbrzymie dęby, które tworzyły przed nimi zielony, nieprzenikniony mur. Zaczęły szeptać sobie na ucho zasłyszane opowieści o elfach i koboldach. Wiele roślin, które miały zbierać na rozkaz Ciary, należało do leśnego ludu, więc bały się, że elfy uznają to za kradzież i rzucają na nie złe czary.

Buirre i Seachlann doskonale się bawili, podsycając przesady towarzyszących im niewiast.

- Uważaj na dziecko, żeby ci go elfy nie podmieniły! - zawołał Buirre do kobiety, która niosła przywiązane chustą niemowlę.

Ta natychmiast przeżegnała się i pomodliła o przychylność mocy niebieskich. Buirre odwrócił się od niej ze śmiechem i podszedł do Maeve.

- Nie bój się duchów. Ochronię cię - powiedział tak cicho, żeby nikt inny nie usłyszał.

Przez śliczną buzię Maeve przemknął uśmiech zadowolenia. Bycie kochanką Buirre'a wiązało się z koniecznością zadowalania go, ale także z paroma przyjemnościami. Gdy nadejdzie zima, będzie się mogła najeść do syta i pić miód, podczas gdy inne kobiety i ich dzieci będą musiały dodawać do skromnych porcji zmieloną korę. Lecz już teraz zastanawiała się, czy to jej wystarczy. Saraid i Ciara wciąż zlecały jej najcięższe prace, a ona nie chciała dłużej tego znosić. Gdy tylko znajdą się z Buirre'em w ustronnym leśnym zakątku, od razu zażąda, żeby przywołał do porządku obie zadzierające nosa baby.

Jesienne liście lśniły w słońcu zielenią i złotem, a gdy zbieraczki wkroczyły między prastare drzewa, porośnięty mchem grunt uginał się pod ich stopami. Buirre patrzył na potężne drzewa i wilgotne poszycie, które odgrywało tak ważną rolę w wojennych planach Aodha Móra O'Néilla i Oisina O'Corry. Irlandczycy, znając swój kraj, potrafili się odnaleźć w takich lasach, ale Anglicy, którzy poruszali się dużymi gromadami i zawsze prowadzili ze sobą wozy z prowiantem, działa i co tam jeszcze, musieli korzystać z nielicznych dróg prowadzących przez te ziemie.

Także z tego powodu Buirre czuł się całkiem bezpiecznie, gdy nakazał powierzonym jego opiece kobietom i dzieciom rozbić na noc pierwszego obozu.

- Od jutra zaczniecie zbierać wszystko, co nadaje się do zjedzenia, choćby to były trzaski albo ślimaki! - zawołał do nich. A potem usiadł na porośniętej mchem skale i czekał,

aż zostanie rozpalone obozowe ognisko, a z nędznych zapasów przygotowują kolację.

Podczas tych prac Maeve zachowywała się jak przywódczyni, choć sama niewiele robiła. Pozostałe kobiety były przyzwyczajone do słuchania rozkazów, lecz zwykle wydawały je Ciara albo Saraid, które przydzielaly im pracę.

W końcu młoda służka o imieniu Bríd podparła się pięściami pod boki i rzuciła Maeve gniewne spojrzenie.

- Kto ci powiedział, że możesz się tutaj rządzić?

Zabierz się do pracy, jak się należy, bo inaczej doniosę siostrze taoiseacha, jaka jesteś leniwa.

- Doigrałaś się! - Maeve dwoma susami znalazła się przy Bríd i mocno uderzyła ją w policzek. Bríd natychmiast jej oddała. Kolejne kobiety włączały się do bójki i w kilka chwil wszystkie zapomniały o strachu przed duchami i demonami. Biły się i kłóciły tak głośno, że przyciągnęły uwagę Buirre'a.

- Cicho bądźcie, głupie baby! - ryknął na nie.

- To ona zaczęła! - powiedziała Bríd, wskazując na Maeve.

Ta zadarła nos tak wysoko, że mało nie podrapała go sobie o gałęzie.

- Ta miernota mnie obraziła!

- Bríd powiedziała tylko, że Maeve powinna wziąć się do pracy, a nie zachowywać się tak, jakby była Ní Corra - wtrąciła jedna z kobiet.

Buirre'owi nie odpowiadało to, że Maeve wywołuje zamieszanie.

- Czy to prawda? - zapytał surowym tonem.

Zmieszana Maeve potrząsnęła głową.

- Nie, ja... - powiedziała i rozplakała się.

- Przestań! - rozkazał Buirre. - I zapamiętaj: zanim następnym razem kogoś uderzysz, najpierw przyjdź ze skargą do mnie. A teraz napełnij mi miskę! Głodny jestem!

- Tak, panie Buirre! - Nie do końca mu uwierzyła.

Zauważyła też szybko, że tak naprawdę wcale nie był na nią zły. Bo gdy podała mu pełną miskę, mrugnął do niej i szepnął, żeby przyszła do niego w nocy.

Z tego powodu Maeve wybrała miejsce do spania nieco z dala od pozostałych kobiet i ich dzieci. Niewielki blok skalny oddzielał ją od ciekawskich spojrzeń, a ona mogła swobodnie obserwować Buirre'a.

Podczas jedzenia Buirre wskazał łyżką na swojego towarzysza.

- Nawet jeśli się wydaje, że jest spokojnie, powinniśmy na zmianę trzymać wartę. Ja będę pierwszy i obudzę cię, gdy gwiazdy znajdą się w zenicie.

- Dobrze - odpowiedział Seachlann i wrócił do jedzenia kolacji.

Buirre zwrócił się tymczasem do kobiet i dzieci:

- Powinnyście zaraz kłaść się spać, żebyście rano były pełne sił. Ciara liczy na to, że będziecie pilnie zbierać.

I tak ma być. Chyba chcecie mieć w zimie co do gęby włożyć.

Kobiety pokiwały głowami, bo rozumiały, czego się od nich oczekuje. I one, i dzieci były zmęczone po długiej wędrówce, toteż większość bardzo szybko zasnęła. Kilka kobiet rozmawiało jeszcze półgłosem, ale i one wkrótce się położyły. Gdy także Seachlann wkroczył w krainę snu i zaczął głośno chrapać, Maeve wstała zręcznie, upewniła się, że nikt jej nie obserwuje i pośpieszyła do miejsca, w którym trzymał wartę Buirre.

Ten uśmiechnął się na jej widok tak szeroko, że aż księżyc zaśnił na jego zębach.

- Jesteś wreszcie - powiedział, chwycił ją i pociągnął pod swoją derkę. Gdy jednak chciał jej podciągnąć spódnicę, powstrzymała go.

- Muszę z tobą porozmawiać, Buirze O'Corra - powiedziała z naciskiem. - Nie możesz mnie sobie brać, jakbym była najemną dziewczką, która nie posiada własnej woli. Chcę coś z tego mieć.

- Jesteś najemną dziewczką! - zadrwił i chwycił ją mocniej.

Zanim Maeve się obejrzała, położył się na niej i przygniótł ją do ziemi swoim ciężarem. Jedną ręką zadzierał jej spódnicę, aż odsłonił łono, a drugą rozwiązywał sobie spodnie. Potem brutalnie w nią wszedł.

Maeve wydała z siebie cichy jęk.

- Nie, nie tak jak Anglicy!

Przez chwilę nie widziała nad sobą Buirre'a, tylko swoich gwałcicieli. Krzyk uwiązał jej w gardle, lecz nie wydała go z siebie, bo Buirre zabrał się do rzeczy delikatniej, aż zaczęła odczuwać przyjemność. W końcu całkiem mu się oddała, mówiąc sobie, że gdy już zaspokoi swe żądze, będzie łaskawszy dla jej skarg.

Dość długo trwało, zanim Buirre z głośnym chrząknięciem zatrzymał się i głęboko odetchnął.

- To było dobre - powiedział i położył się obok Maeve.

- Jeśli chcesz, możemy to potem zrobić jeszcze raz - czarowała go, żeby przejść do sprawy, która leżała jej na sercu. - To niesprawiedliwe, że śpisz ze mną, jakbyś był moim mężem, a mimo to traktujesz mnie wobec innych kobiet, jakbym była jedną z wielu dziewczek. Na zamku też pozwalasz, żeby Saraid i Ciara wyznaczały mi najgorsze prace.

Buirre podrapał się po głowie.

- Hm... To nie takie proste! Przecież Saraid jest bliżej spokrewniona z taoiseachem niż ja. Jeśli się jej przeciwstawię, Oisín może mi odebrać stanowisko. Tego byś raczej nie chciała.

- Nie, oczywiście, że nie. Mimo to powinieneś się postarać, żeby mnie lepiej traktowano. Twoja żona gotowa jeszcze odesłać mnie do tego tchórze, za którego wydał mnie ojciec.

- Na to nie pozwolę! Zadbam też o to, żebyś tu, w lesie, została przełożoną kobiet. Powinnaś jednak także pracować, a nie tylko rozkazywać.

Troska o kochankę sprawiła, że Buirre był skłonny pójść na częściowe ustępstwa. Wyjaśnił Maeve, na co jego zdaniem może sobie pozwolić, a na co nie, a przy okazji poczuł, że ponownie budzi się w nim pożądanie.

Szybko znowu się na niej położył.

Akurat gdy oboje już prawie szczytowali, w lesie powstało jakieś zamieszanie. Słychać było ciężkie kroki i twarde głosy mężczyzn rozmawiających w jakimś nieznanym języku. Gdyby Buirre trzymał wartę, tak jak to zapowiedział, zauważyłby, że do obozu zbliżają się obcy.

Teraz znaleźli się niemal pośrodku obozowiska, podczas gdy on wciąż leżał na Maeve i przeklinał fakt, że musi przerwać akurat w tym momencie.

7

Droga z wybrzeża w głąb lądu okazała się trudna.

Ponieważ Szymon von Kirchberg nie wiedział, który klan trzyma z Anglikami, a który przyłączył się do powstania O'Néilla, musiał unikać wraz ze swym oddziałem dróg, a często także używanych przez Irlandczyków ścieżek. Od wielu dni przedzierali się przez lasy albo mokradła, gdzie grunt uginał się pod ich stopami z głośnym młaśnięciem.

Przy każdym kroku musieli sprawdzać kijami, czy nie mają przed sobą miejsca, w którym bagno mogłoby pochłonąć wszystko. Na dodatek musieli coraz bardziej nadkładać drogi, bo napotykali miasta albo twierdze, nad którymi prowokująco powiewały angielskie flagi. Lecz jeszcze gorszy od marszu przez trudne do przebycia tereny był głód, który dręczył ich trzewia.

Ferdynand von Kirchberg gotów byłby oddać całego guldena za kawałek chleba. Większość towarzyszy była w podobnym stanie. Zastanawiał się, czy kuzyn nie był nadmiernie ostrożny, kiedy zakazał im odwiedzania położonych na uboczu zagród w celu zakupu żywności.

- Nie możemy ryzykować, że ludzie potem doniosą o nas Anglikom. Ze względu na

brak broni nawet z niewielkim patrolem mielibyśmy kiepskie szanse - oznajmił poirytowany Szymon, gdy podobną propozycję złożył Cyriakus Hufeisen.

- Do diaska! Z pustym brzuchem źle się maszeruje, a do walki to już teraz brak nam sił. Dlaczego nie znajdziemy jakiejś samotnej zagrody, nie napadniemy jej i nie zabijemy wszystkich? Wtedy nie będą mogli o nas donieść, a my będziemy mieli co zjeść! - Zdenerwowany Hufeisen zupełnie zapomniał o szacunku należnym dowódcy.

Szymon von Kirchberg aż poczerwieniał, lecz zanim zdążył przywołać swojego sierżanta do porządku, do rozmowy wtrącił się Ferdynand.

- Nie wiemy, kto w tym kraju jest naszym przyjacielem, a kto nie. Nie chciałbym zabić nikogo, kto mógłby walczyć po naszej stronie, a już szczególnie nie chciałbym zabijać kobiet i dzieci.

- Mój kuzyn ma rację! Dopóki nie wiemy, gdzie jesteśmy, nikomu się nie pokazujemy. Nie przybyłem tutaj po to, żeby walczyć na straconej pozycji. Jeśli chodzi o jedzenie, będziecie mogli napełnić brzuchy, gdy tylko dotrzemy na zamek Oisina O'Corry. A teraz ruszamy dalej!

Szymon ofuknął paru ludzi, którzy w obliczu zapadającej nocy po prostu położyli się na ziemi, i pomaszerował dalej.

Hufeisen ruszył za nim i chwycił go za rękaw.

- A jak chcecie dotrzeć na ten zamek, skoro nie macie zamiaru pytać nikogo, gdzie on jest?

Szymon z niewesołym śmiechem strząsnął rękę sierżanta.

- Oisin O'Corra dokładnie mi wyjaśnił, gdzie znajdują się włości jego rodu. A nawet gdybyśmy je minęli, natrafimy na przyjaciół, bo zaraz za nimi rozciągają się ziemie Hugh O'Neilla. Przestań więc lamentować!

Najpóźniej jutro znajdziemy się na przyjaznej ziemi.

Zanim wybrzmiały jego słowa, Ferdynand zaczął węszyć.

- Czujecie to?

- Co?

- Dym! Niedaleko stąd coś się pali.

- Też czuję - powiedział zaintrygowany Hufeisen. - To może być obozowe ognisko, ale nieduże, w przeciwnym razie widzielibyśmy poświatę.

- Bądźcie cicho! - ofuknął Szymon żołnierzy, którzy głośno rozmawiali. - To może być angielski posterunek do obserwacji ziem O'Corry.

- W każdym razie powinniśmy sprawdzić, kto tam jest, żeby nie mieć ich potem za

plecami.

Ferdynand wyraził to, co myśleli wszyscy. Choć kuzyn zaczął wymachiwać rękami, już skradał się w kierunku, z którego dochodził dym. Sprawdził, z której strony wieje wiatr. Ponieważ wiał prosto na niego, nie musiał się obawiać psów.

- Uważaj! Księżyc cholernie jasno świeci. Żeby nas nie zobaczyli - ostrzegł go Szymon.

Zrozumiał jednak szybko, że tylko siłą zdołałby powstrzymać swoich ludzi przed sprawdzeniem, kto jest wokół ogniska. Poszedł więc z nimi, lecz zostawił na czele Ferdynanda i Hufeisena. On też miał nadzieję, że trafią na posterunek buntowników i że wreszcie skończy się ten głodowy marsz. Miał sporo do nadrobienia. Przez utratę „Violetty” i płynących na niej ludzi stracił sporo szacunku u swoich żołnierzy. Będzie musiał coś zrobić, żeby go na powrót odzyskać.

Poklepał więc pochwę swojego miecza i przemówił do idącego obok żołnierza:

- Jeśli to Anglicy, to damy im popalić!

Lecz żołnierz nawet na niego nie spojrział, tylko cały czas patrzył przed siebie.

Ferdynand był już pewien, że to obozowe ognisko.

Skinął na Hufeisena, żeby został nieco z tyłu, i przytrzymał swój miecz, by szcęk metalu nie zdradził jego obecności.

„Gdzieś przecież muszą być wartownicy” - myślał, zakradając się dalej.

Choć uważnie się rozglądał, nikogo nie spostrzegł. Gdy już prawie dotarł do ognia, zatrzymał się nieufnie i zaczął nasłuchiwać. Z boku docierało czyjeś sapanie, zupełnie jakby ktoś ciężko pracował. Usłyszał też cichy kobiecy głos, ale dopiero po chwili zrozumiał, co się tam dzieje.

Jakaś para oddzieliła się od reszty i właśnie zabawiała się w Adama i Ewę.

To musiał być właśnie wartownik, bo nie zauważył nikogo innego. Zorientował się za to, z kim mają do czynienia. Choć śpiący otulili się derkami, długie włosy i drobne figury zdradzały, że są to kobiety i dzieci. Przy ognisku leżał tylko jeden mężczyzna, głośno chrapiąc.

Ferdynand odetchnął, gdyż wiedział już, że nie natrafili na angielskich żołnierzy, tylko na grupę kobiet i dzieci.

Jednocześnie zastanawiał się, co to za jedni. Gdyby byli uciekinierami, na pewno wystawiliby lepszą straż.

Energicznym gestem przywołał do siebie Hufeisena i wskazał na śpiących wokół ludzi.

- Otoczcie ognisko, żeby nikt nie uciekł, ale nic im nie róbcie, dopóki to nie będzie konieczne.

- Tak jest, podporuczniku! - Hufeisen odwrócił się do swoich ludzi i wydał im po cichu rozkazy. Natychmiast się rozproszyli, tworząc krąg wokół obozowiska. Zrobili to tak cicho, że nikt ze śpiących się nie obudził. Na przybyszów uwagę zwróciła tylko ta pojedyncza para.

Mężczyzna zerwał się z miejsca i zaczął szukać włóczni.

Lecz tę wziął już sobie Hufeisen i stał teraz z uśmiechem, opierając się o nią.

Podczas gdy Buirre wytrzeszczał oczy na Niemców, Maeve zaczęła piszczeć, jakby ją nadzieвано na rożen, budząc pozostałych. Ci dostrzegli w blasku migoczącego ogniska żołnierzy i zrozumieli, że zostali otoczeni.

Szymon wyszedł naprzód i stanął obok swojego kuzyna.

- Dobra robota, Ferdynandzie! Sprawdźmy teraz, kogo tu mamy. Kto jest waszym przywódcą?

Pytanie to zadał fatalną angielszczyzną, której nauczył się od żołnierzy we Włoszech, i wywołał pełne oburzenia okrzyki.

- Zamkniecie się w końcu? - dodał z gniewem.

W tym czasie dwóch jego ludzi chwyciło Buirre'a i popchnęło go w stronę ogniska.

- Może ten coś wie?

Buirre poznał na kontynencie niemieckich żołnierzy i jako jedyny pośród swoich zrozumiał, że nie mają przed sobą angielskich żołdaków, tylko ludzi, z którymi być może uda się dogadać.

- Wybaczcie, panie, ale czy możecie mi łaskawie powiedzieć, kim jesteście? - zwrócił się do Szymona.

Tymczasem jeden z żołnierzy zapalił przy ognisku nasączoną żywicą gałąź i użył jej jako pochodni. Gdy światło padło na Buirre'a, Szymon zmrużył oczy.

- Ja ciebie znam, człowieku! Czy nie jesteś jednym z ludzi O'Corry?

Buirre'owi nie spodobało się, że ten drugi go rozpoznał, a on sam nie wiedział, z kim ma do czynienia.

W końcu i jego oświeciło.

- Pan Kirchberg! Co za niespodzianka. Witajcie na ziemi Ui'Corra!

Zadowolony z siebie Szymon zwrócił się do swoich ludzi:

- Nie mówiłem wam, że jeszcze przed świtem dotrzemy na ziemi Oisina O'Corry?

Rozbrzmiały przytakujące pomruki. Mimo to żołnierze nie wiedzieli, jak się

zachować. Kobiety i dzieci z grupy Buirre'a trzęsły się ze strachu, a niektóre wyglądały tak, jakby najchętniej uciekły w ciemny las przed obdartymi żołnierzami.

- Co wy tu właściwie robicie? - zapytał zdziwiony Ferdynand, który nie potrafił sobie wyjaśnić obecności ponad tuzina kobiet i dzieci nocą w lesie.

- Zbieramy żołądź, grzyby i wszystko, co można zimą postawić na stół - odpowiedział Buirre.

- Na słowo „stół” tak mi burczy w brzuchu, że mógłbym zjeść szczura na surowo - wypalił Hufeisen. Inni żołnierze uznali to za sygnał do działania i rzucili się na skromne zapasy Irlandczyków. Natychmiast wybuchła sprzeczka o to, co się komu należy i w jakich ilościach.

- Ludzie są wygłodniali, bo ostatnie trzy dni maszerowaliśmy, nie mając nic w ustach - wyjaśnił Ferdynand Buirre'owi, który wciąż nie wiedział, czy jest dla Niemców jeńcem, czy sojusznikiem.

Ponieważ kobiety cofnęły się z wrzaskiem przed żołnierzami, uniósł dłoń.

- Nie bójcie się! To nie są żadni obcy, tylko niemieccy żołnierze, których wezwał taoiseach. Dajcie im to jedzenie, bo są głodni po długim marszu. - Buirre uznał, że nic więcej dla swoich ludzi nie może zrobić.

Jeden z Niemców zauważył, że Maeve próbuje się niepostrzeżenie wymknąć i pośpieszył za nią.

- Stój! - krzyknął.

Lecz gdy spróbował ją chwycić, uderzyła go i zaczęła tak przeraźliwie wrzeszczeć, że cofnął się i przeklął ją.

- Głupia babo, przecież nic ci nie zrobię!

Maeve bała się jednak, że znów zgwałci ją cała horda, i rzuciła się na ziemię, krzycząc ze strachu.

W końcu Buirre podszedł do niej, postawił ją na nogi i wymierzył siarczasty policzek.

- Durna niewiasto! Nic ci się nie stanie. To są przyjaciele, dobrzy katolicy, którzy pomogą nam w walce z Anglikami.

Maeve uspokoiła się trochę, lecz nadal patrzyła na Niemców nieufnie, trzymając się kurczowo Buirre'a.

- Obronisz mnie przed tymi ludźmi?

- Oczywiście! - obiecał, choć nie byłby w stanie powstrzymać Niemców, gdyby mieli ochotę zhańbić kilka kobiet. Jednakże żołnierze, gdy podzielili już między siebie żywność, zachowywali się w sposób bardzo zdyscyplinowany.

Ferdynand i Szymon także otrzymali swoją część.

Zdaniem młodszego Kirchberga prowiant rzeczywiście smakował jak surowy szczur, choć nigdy takowego nie jadł. Lecz w tym momencie gotów był zjeść choćby kamień, gdyby dało się go ugryźć.

Szymon nie krzywił się, tylko pochłonął swój przydział, rozmawiając cały czas z Buirre'em. Ten czuł się trochę pewniej, choć szeptki wokół zdradzały, że Seachlann i kobiety przypisują mu winę za to, że Niemcy tak łatwo ich zaskoczyli.

Postanowił szybko zatrzeć to wrażenie.

- Cieszę się, że przybyliście tu ze swoimi ludźmi, von Kirchberg - powiedział głośno.

Choć tylko kilka kobiet rozumiało angielski, to przekażą przecież zaraz jego słowa wszystkim pozostałym.

- To był ciężki marsz, ale udało nam się dotrzeć - odpowiedział Szymon między dwoma kęsami. - Masz przed sobą dzielnych żołnierzy, którzy na pewno nie cofną się przed żadnym Anglikiem - kontynuował, żeby zrekompensować nieco obdarty wygląd swoich żołnierzy.

Buirre'a nie interesowały jednak ani wygląd, ani liczba Niemców, których sprowadził do Irlandii Szymon von Kirchberg. Chciał jedynie sprawić wrażenie, że zauważył ich nadejście i miał zamiar ich powitać. Udało mu się przekonać do tego swojego towarzysza oraz większość kobiet.

Maeve wiedziała, że było inaczej, lecz trzymała język za zębami, żeby pozostali nie dowiedzieli się, jak to Buirre zabawiał się z nią zamiast wykonywać swoje obowiązki. Uspokoiła się już i oznajmiła, że po prostu wyrwano ją z koszmaru i dlatego zaczęła krzyżeć.

- Pomyślcie tylko - powiedziała. - Jak się obudziłam, pomyślałam, że to Anglicy i dopiero potem się zorientowałam, że pan Buirre powitał ich jak przyjaciół.

Ponieważ jej słowa potwierdzały kłamstwa Buirre'a, ten skinął z zadowoleniem głową, a swoje następne słowa skierował zarówno do swoich podwładnych, jak i do Szymona von Kirchberga.

- Zaprowadzę jutro Niemców na zamek. Ty, Seachlannie, zostaniesz z kobietami. Albo wrócę przed wieczorem, albo przyślę ci kogoś, żebyś nie musiał ich pilnować sam.

- Dobrze! - odparł Seachlann, który mocno spał, kiedy przyszli Niemcy, i wziął wyjaśnienia przyjaciela za dobrą monetę.

Buirre pokiwał głową, patrząc na wtulone w siebie kobiety i dzieci.

- Jutro będziecie pilnie zbierać zapasy na zimę. Maeve będzie wami kierować, ale sama też będzie ostro pracować. Zrozumiałyście?

Większość skinęła głowami, lecz Bríd się skrzywiła.

- Dlaczego wybrał akurat Maeve, tę leniwą babę, choć inne są bardziej energiczne? - burknęła pod nosem.

Ponieważ inne uznały, że zazdrości Maeve wywyższenia, nie zwróciły na nią uwagi.

Tymczasem Niemców dopadło zmęczenie. Jeden za drugim owijali się derkami i płaszczami i zasypiali przy ognisku. W końcu położył się także Hufeisen, a Szymon porozmawiał jeszcze trochę z Buirre'em, zanim znalazł sobie miejsce do spania.

Ferdynand był równie zmęczony jak inni, lecz w głowie kotłowało mu się zbyt wiele myśli, więc mimo chęci nie mógł zasnąć. Uświadomił sobie, że sytuacja zaopatrzeniowa ich irlandzkich sojuszników może nie być najlepsza, skoro wysyłają kobiety i dzieci do lasu, żeby szukały orzechów i korzonków. Buirre też mu się nie podobał. Żołnierz, który tak dba o swoje obowiązki, że podczas warty pokłada się z kobietą, zasłużyłby pod jego dowództwem na baty. Lecz tutaj, w Irlandii, chyba panują inne zasady. Miał nadzieję, że i jemu, i jego kuzynowi to wszystko wyjdzie jednak na dobre. Z tą myślą zasnął wreszcie i obudził się dopiero wtedy, gdy Szymon następnego ranka szturchnął go lekko stopą.

8

Ponieważ zużyto wszystkie zapasy, niemieccy żołnierze musieli wyruszyć o pustych brzuchach. Ale i tak mieli lepiej niż kobiety i dzieci, ponieważ mogli się spodziewać, że po przybyciu na zamek Ui'Corra zostaną ugoszczeni. A zbieracze mogli tylko mieć nadzieję, że w ciągu dnia znajdą choć tyle, żeby się najeść na kolację.

Prowadząc Niemców na zamek, Buirre przez całą drogę trzymał się Szymona. W końcu był on bliskim przyjacielem przywódcy jego klanu i doświadczonym dowódcą. Na Ferdynanda nie zwracał już takiej uwagi, a Cyriakusa Hufeisena zupełnie ignorował, ponieważ ten był tylko pochodzącym z mieszczaństwa podoficerem, a on, jako krewny Oisina, należał przecież do niższej szlachty.

Najpierw szli przez las, a potem przez porośniętą trzcina i sitowiem trzęsawisko. Ferdynand stwierdził, że droga musi być bezpieczna, skoro Buirre kroczy nią bez lęku, i ofuknął kilku ludzi, którzy wahali się iść dalej.

- Mężowie z was czy baby? Widzicie przecież, że Irlandczyk zna drogę.

Ojciec Maitiú, który cały czas trzymał się końca pochodu, a i w obozowisku unikał towarzystwa zbieraczek, z powątpiewaniem popatrzył na uginający się pod nim grunt. Wziąwszy głęboki oddech, powiedział sobie, że przecież Bóg przysłał go tutaj, żeby uwolnił Irlandię od heretyków, i na pewno nie pozwoli mu umrzeć w jakimś nędznym bagnie. Ruszył

więc dalej, co przekonało wahających się żołnierzy do pójścia jego śladem.

- Na pewno cieszycie się z powrotu do ojczyzny, ojciec Matteo - powiedział Ferdynand, by nawiązać rozmowę z kapłanem.

- Powinniście zwracać się do mnie athair Maitiú! - upomniął go ksiądz surowo. A potem złożył dłonie i zaczął się głośno modlić.

Ferdynand odebrał to jako wyraźny sygnał, że kapłan nie życzy sobie towarzystwa, więc dołączył do Szymona i Buirre'a, choć tylko przysłuchiwał się ich rozmowie.

Podziwiał kuzyna, któremu udało się doprowadzić ich do ziemi O'Corry, kierując się wyłącznie pozycją słońca.

Pomyślał, że mało komu poza Szymonem to by się udało.

Na morzu był na niego zły, ale woda nie była żywiołem Szymona. Tutaj natomiast, na tej chyboczącej się pod stopami irlandzkiej ziemi, jego kuzyn udowodnił swą prawdziwą wartość.

W tym momencie Ferdynand rad był, że wyruszył z Szymonem na tę wyprawę. Tutaj będzie się mógł od niego wiele nauczyć. Jeśli da sobie radę w Irlandii i pomoże wypędzić z niej angielskich heretyków, to możliwe, że Jego Świątobliwość papież Klemens VIII przekaze mu po powrocie do Rzymu dowództwo nad własną kompanią.

Ferdynand roztaczał przed sobą wspaniałe wizje przyszłości, a tymczasem bagno się skończyło i ujrzeli za nim zamieszkane okolice. Najpierw jednak musieli się wspinać na długie wzgórze, na którego grzbiecie lśniły kolorami jesieni krzewy i młode drzewka. Za nim leżała dolina, przez którą przepływał wesoło szmerzący potok.

Jego brzegi okalały pastwiska, tworząc wijący się brązowożółty pas, który ciągnął się aż po horyzont.

Mogli też dostrzec pierwsze, dopiero co zaorane pola.

Na wyżej położonych łąkach pasły się w oddali owce, a w dole strumienia jakiś niedorostek pilnował stada krów.

Wyraźnie się przestraszył, gdy spostrzegł zbliżającą się do niego gromadę. Zanim jednak zdążył zebrać krowy, żeby z nimi uciec, Buirre go zawołał.

- Nie bój się, Toal. To przyjaciele!

- To wy, tiarna[21] Buirre? - zapytał z lękiem chłopak.

- Oczywiście, że to ja! Oczu nie masz? - Buirre skrzywił się, podszedł do Toala, wymierzył mu siarczasty policzek i ruszył dalej.

Ferdynandowi szkoda było chłopaka, więc powitał go uprzejmie. Zrobił to jednak po angielsku, więc nie wypadło to najlepiej. Toal splunął, powiedział coś na temat Sasanach i

odwrócił się do niego plecami.

Zaraz potem zobaczyli pierwszą wioskę i Ferdynand zapomniał o chłopcu. Domy wyglądały zupełnie inaczej niż był przyzwyczajony. Gospodarstwa otaczały murki ułożone ze skalnych odłamków i z tego samego materiału wzniesiona była większość budynków. Domy pokryto trzciną, słomą, a nawet kawałkami darni. Wszystkie chaty były parterowe, a tylko nieliczne miały jakiegokolwiek okna.

Na skraju wioski stały chaty z zapadniętymi dachami, w których najwyraźniej nikt już nie mieszkał.

Zamek też wyglądał dziwnie. Choć do jego budowy także użyto skalnych odłamków, z murami na trzy sążnie, potężną kwadratową wieżą i przypominającym twierdzą budynkiem mieszkalnym wyglądał jak prawdziwa forteca.

Stołu nie było, a bramy nie strzegła wieżyczka, tylko zwykła przybudówka. Skrzydła bramy obito jednak żelazem i wyposażono ją w ciężką kratę, która uniemożliwiała wstęp na zamek. Właśnie ją opuszczano.

Buirre zdenerwował się, że nie został natychmiast rozpoznany, i wystąpił naprzód.

- Hej tam, wy idioci! Oczu nie macie? To ja, Buirre O'Corra, a to nasi przyjaciele!

Na murach pokazało się dwóch ludzi, którzy uważnie mu się przyjrżeli.

- To naprawdę ty! - zawołał jeden z nich z ulgą, irytując Buirre'a jeszcze bardziej, ponieważ rozmawiał z nim jak z równym sobie. A on, żeby zaimponować Szymonowi von Kirchbergowi, zachowywał się przecież tak, jakby był nie tylko najbliższym krewnym Oisina O'Corry, lecz wręcz jego następcą w hierarchii klanu.

9

Ciara doglądała właśnie cielęcia, które razem z Ionatánem sprowadzili z bagna, gdy Saraid gwałtownie otworzyła drzwi do obory.

- Obcy do nas idą, wielu! - W oczach Saraid widać było strach, silny oddział Anglików mógł ominąć strażę Oisina.

Ciara się przeżegnała.

- Święta Mario, Matko Boża, chroń nas - wyszeptała i wyszła za kuzynką na zewnątrz.

Tam jeden z wojowników już opuścił w panice kratę w bramie, nie bacząc na to, że sama brama wciąż jest otwarta. Ionatán zbeształ go za to, lecz usłyszał tylko ordynarne wyzwiska.

- Cicho bądź! - ofuknęła wartownika Ciara. - Ionatán ma rację. Powinniście byli najpierw zamknąć bramę.

Teraz się nie da, a przez kratę obcy będą mogli ostrzeliwać dziedziniec.

Wojownikowi nie w smak było, że także Ciara go beszta, więc stanął przed nią na szeroko rozstawionych nogach.

- Ponieważ Buirre'a nie ma, to ja jestem tutaj dowódcą. Wy, niewiasty, schowacie się teraz w wieży, dopóki się nie dowiemy, kto stanął pod bramą.

- Po to zostawiłeś ją otwartą, żeby lepiej ich widzieć?

- zadrwiła Saraid i podeszła do kraty. Ciara ruszyła za nią, nie zwracając już uwagi na wartownika. Ten wyciągnął rękę, żeby ją chwycić i zaciągnąć do budynku.

W końcu była siostrą taoiseacha i gdyby coś jej się stało, ściągnąłby na siebie gniew Oisina. Lecz Ciara wywinęła się zręcznym ruchem i stanęła przy Saraid. Ta patrzyła na zbliżającą się grupę ze zmarszczonym czołem.

- Dość obdarty ten hufiec. Nie zdziwiłabym się, gdyby to byli maruderzy.

- W każdym razie nie są dobrze uzbrojeni. Dlatego nie sądzę, żeby byli w stanie zająć zamek. My jednak mamy tylko czterech wojowników, a ich jest ponad pięćdziesięciu - odpowiedziała Ciara.

- Bardziej niż o nas martwię się o nasze zbieraczki. Oni idą z tamtego kierunku, w którym poszła ich największa grupa! - Głos Saraid brzmiał ponuro. Jeśli ci mężczyźni to Anglicy, na pewno nikogo nie oszczędzili. Wtedy usłyszała głos męża i skrzywiła się. - Buirre to naprawdę nie ma rozumu. Przecież mógł posłać przodem pastuszką!

Uprzedziłby nas o nadejściu obcych i nie wystraszylibyśmy się.

- Może oni go zmuszają, żeby udawał, że są przyjaciółmi i żebyśmy podnieśli kratę - zauważyła Ciara.

Saraid potrząsnęła głową.

- Nie Buirre'a! Jest zbyt oporny. Prędzej dałby się pokroić na kawałki niż zdradził klan.

Ciara nie była przekonana. Dlatego posłała Ionatána i jednego z pozostałych wojowników na mury, żeby się przekonali, czy Buirre mówi prawdę. Sama obserwowała nadchodzącą grupę przez kratę, aż zaskoczona zmrużyła oczy. Przecież zna mężczyznę idącego obok Buirre'a!

- To Szymon von Kirchberg! Prędko! Podnieście kratę!

Saraid, niech wstawią stoły do sali. I nie żałuj chleba ani pieczystego. Każ też podać miód i whisky dla pana Kirchberga!

Podekscytowana Ciara wydawała polecenia tak szybko, że trudno ją było zrozumieć. Saraid z niedowierzaniem pokręciła głową, rzuciła jeszcze okiem na oddział Szymona i

prychnęła z pogardą.

- Czy von Kirchberg nie miał nadejść z porządną armią? Ci tam na zewnątrz to najbardziej zaniedbany hufiec, jaki widziałam.

Ciarę też dziwiło towarzystwo szlachecka, bo nadchodząca gromada nie miała nic wspólnego z wojskiem, którego spodziewał się jej brat. Mimo to serce łomotało jej w piersi i nie mogła się doczekać, kiedy krata uniesie się w górę.

Gdy tylko droga była wolna, pośpieszyła na zewnątrz i wyciągnęła rękę do Szymona.

- Nareszcie przybyliście, panie Kirchberg! Mój brat wypatrywał pana i pańskich ludzi.

Od tego momentu ci żołnierze nie byli już dla niej obdartymi maruderami, tylko dzielnymi wojownikami, którzy pomogą Irlandii odzyskać wolność.

Szymon przyglądał się impulsywnej pannie i gorączkowo zastanawiał, kim ona może być. Słowo

„brat” stanowiło pewną sugestię, ale jeszcze chwilę potrwało, zanim skojarzył ciemnowłosą piękność z chudą dziewczynką, którą poznał przed paru laty w zrujnowanej wieży na wybrzeżu Donegal.

- Panna Ki... - Udał, że kaszle, ponieważ zapomniał imienia dziewczyny, a potem zręcznie kontynuował. - Moja droga, aleście wyrosli! Ledwie was poznałem!

Uśmiech Szymona sprawił, że Ciara natychmiast mu wybaczyła. Zresztą radość z tego, że go widzi, stłumiła drobne ukłucie, które poczuła, gdy jej nie rozpoznał.

Szerokim gestem wskazała na dolinę.

- To wszystko wokół to ziemie Ui'Corra. Mojemu bratu udało się przepędzić tego angielskiego łotra Ryszarda Haresgilla, lecz potrzebuje was i waszych ludzi, żeby bronić naszego kraju przed nim i przed innymi Anglikami.

- Przybyliśmy walczyć z Anglikami, gdziekolwiek ich spotkamy, prawda, Ferdynandzie? - Szymon zwrócił się do swojego kuzyna, który w milczeniu skinął głową, a potem znów uśmiechnął się do Ciary.

Nigdy by nie przypuszczał, że z nieciekawego dziecka wyrośnie taka piękność. Miał ochotę ją posiąść, lecz nie chciał z jej powodu popaść w konflikt z Oisinem O'Corrą.

Gdyby uwiódł jego siostrę, ten mógłby, nie daj Boże, zażądać od niego, żeby się z nią ożenił. Lecz O'Corra nie miał na tyle mocnej pozycji, żeby ślub z jego siostrą zapewnił Szymonowi awans. Byłoby inaczej, gdyby Ciara była siostrą jednego z wielkich przywódców klanów, jak Hugh O'Neill albo Hugh O'Donnell.

Dlatego okazał jej sympatię i wyciągnął rękę, żeby wsparła się na jego ramieniu. Lecz w drodze do głównej sali zamku bardziej przyglądał się umocnieniom niż dziewczynie.

Ferdynand ruszył za nimi i znalazł się w parze z Irlandką, której mina zdradzała, że raczej umiarkowanie cieszy się z ich przybycia.

- Ilu was jest? - zapytała, celowo kalecząc angielski.

- Osiemdziesięciu pięciu, razem z dowódcą i ze mną.

I oprócz tego jeszcze ksiądz. - Odwrócił się i wskazał na athaira Maitiú, który znów trzymał się na końcu oddziału.

„Do odważnych to on raczej nie należy” - pomyślał i wyjaśnił Saraid, że kapłan jest Irlandczykiem.

- Ojciec Maitiú przez wiele lat studiował w Rzymie i tam otrzymał święcenia. A teraz powrócił do rodzinnego kraju, żeby wypędzić z niego heretyków.

Saraid nie zwracała już na niego uwagi, tylko podeszła do księdza i głęboko się przed nim ukloniła.

- Proszę, pobłogosławcie mnie, wielebny ojciec - powiedziała po irlandzku.

Kapłan popatrzył na nią i nakreślił w powietrzu znak krzyża.

Błogosławieństwo wypowiedział po irlandzku i ujrzał, że oczy kobiety rozbłysły.

- Kim jesteś, moja córko? - zapytał, choć była od niego o wiele starsza.

- Jestem Saraid Ní Corra, kuzynka taoiseacha i jego siostry, jestem też ich prawą ręką w zarządzaniu zamkiem.

- Ostatnie słowa wypowiedziała na tyle głośno, żeby usłyszał je także jej mąż.

Wściekły Buirre pogroził jej pięścią, choć wiedział, że nie odważy się już jej uderzyć. Teraz pomyślał, czy nie porozmawiać z księdzem, żeby ten przypomniał Saraid o posłuszeństwie, jakie żona winna jest swojemu mężowi.

Przypomniało mu się jednak, że athair Maitiú mógłby być zgorszony tym, że zdradzał żonę z Maeve. Obecność księdza zirytowała go więc równie mocno, jak ucieszyła jego małżonkę.

10

Choć Saraid nie miała zbyt wysokiego mniemania o Niemcach w ogóle, a o Szymonie von Kirchbergu w szczególności, kazała podać obfity posiłek i nie żałowała im też miodu. Wcześniej jednak zleciła Ionatánowi powiadomienie Oisina o przybyciu żołnierzy.

Niemcy wreszcie mogli się najeść do syta i pochłaniali takie ilości kaszy oraz mięsa, że Saraid zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie mają po dwa żołądki.

Pili niczym spragnione wielbłądy, a zachowywali się przy tym tak głośno, że słychać ich było na całym zamku.

„I z takimi ludźmi Oisín chce przepędzić Anglików?” - pomyślała z pogardą.

Jednocześnie była zła na Ciarę, która dosłownie spijała każde słowo z ust Szymona von Kirchberga. Saraid szybko się zorientowała, że dowódca Niemców w gębie jest bardzo mocny. Ale czy będzie umiał dotrzymać składanych obietnic? Jej spojrzenie przesunęło się na kolejnego mężczyznę, który nosił wyświechtane odzienie szlachcica. Na razie Szymon nie przedstawił go ani jej, ani Ciarze, ale uznała, że to musi być jakiś młody oficer.

Oprócz dowódcy i podoficera o kanciastej twarzy i kędzierzawej brodzie był jedynym Niemcem, który zachowywał podczas jedzenia jakieś takie maniery. Nie pił też tyle co inni. Gapił się za to na Ciarę niczym sroka w gnat.

- To też jakiś dureń - mruknęła Saraid i poszła do kuchni, żeby sprawdzić, co jeszcze może podać Niemcom.

Ferdynand rzeczywiście nie mógł oderwać oczu od Ciary. Była tak inna od jasnowłosych, rosnących dziewcząt z jego ojczyzny, ale też inna od krągłych Rzymianek. Ich włosy też były ciemne, lecz loki Ciary lśniły w świetle pochodni tak, jakby wpleciono w nie miedziane pasma.

Jasne oczy promieniały na tle lekkiej opalenizny, która podobnie jak krótko obcięte paznokcie wskazywała na to, że dziewczyna dużo przebywa na świeżym powietrzu i nie unika pracy. Choć jak na szlachciankę miała na sobie bardzo skromną suknię, wydała mu się piękna niczym księżniczka i zazdrościł swojemu kuzynowi, że siedzi obok niej i może z nią rozmawiać. On sam nie miał odwagi wtrącić się do rozmowy, więc siedział tylko w milczeniu i jadł, nie zwracając nawet uwagi na to, co mu podają, i małymi łykami popijał miód.

Po jedzeniu niektórzy goście położyli się spać. Szymon kontynuował rozmowę z Ciarą, ale wkrótce się zorientował, że ona wie o sytuacji w Irlandii niewiele więcej od niego. Nie przeszkodziło mu to w snuciu kolejnych fantastycznych planów, jak zamierza wygnać z wyspy żołnierzy królowej Elżbiety. Ciara, podobnie jak Ferdynand, uważnie go słuchała.

Jakiś czas potem na zewnątrz rozległy się hałasy. Ktoś gwałtownie otworzył drzwi i do sali wpadł mężczyzna w obcisłych spodniach i pikowanym kaftanie. Na głowie miał czapkę z długimi piórami i złotym listkiem koniczyny.

- To naprawdę wy, Kirchberg! Myślałem, że przyślecie mi z wybrzeża posłańca! - zawołał i szeroko rozpostarł ramiona, żeby uściskać Szymona.

Ten zerwał się z miejsca i pośpieszył ku niemu.

- Oisínie O'Corra! Cóż za radość was widzieć! Jeśli chodzi o posłańca, to nie wiedziałem, komu mogę ufać, a komu nie.

- Nie mieliście na pokładzie żadnego Irlandczyka?

Myślałem, że wam jakiegoś dali - zapytał zdumiony Oisín. Objął Szymona i poklepał go po plecach. - W każdym razie jesteście tutaj. Ilu ludzi przyprowadziliście ze sobą? Im więcej, tym lepiej!

Szymon skrzywił się lekko i najpierw odpowiedział na pierwsze pytanie Oisina.

- Był na pokładzie Irlandczyk i teraz przybył tutaj z nami.

Brat Ciary natychmiast zaczął się rozglądać, lecz Szymon kontynuował:

- To ksiądz, który każe się nazywać „aher Metiu”.

- Athair Maitiú! - poprawiła go Ciara.

- Tak, coś w tym rodzaju. Teraz jest w kaplicy, ma ją poświęcić i wypowiadać niewiasty. One zawsze nabierają więcej grzechów niż my, mężowie. - Mrugnięcie okiem miało pokazać Ciarze i jej bratu, że to miał być żart.

Potem Szymon przeszedł do sprawy swojego niezbyt chwalebego przybycia i skromnej liczby żołnierzy.

- Mieliśmy piekielnego pecha podczas rejsu, a przede wszystkim kiepskich kapitanów. Te łotry podpływały prosto pod lufy angielskich armat. Pomimo ich przewagi podjęliśmy walkę, lecz kapitan kazał postawić wszystkie żagle, a towarzyszący nam statek z większością moich żołnierzy padł ofiarą napastników. Mam nadzieję, że trafi za to do piekła! Także za to, że rozkazał wyrzucić za burtę całe nasze uzbrojenie, żeby jego statek był szybszy.

Chciałem temu zapobiec, ale marynarze zachowywali się jak szaleńcy. Mój kuzyn oberwał nawet tak, że stracił przytomność. Zanim odzyskałem kontrolę, nasz drugi statek, „Violetta”, został już przejęty. Anglicy podjęli pościg, żeby także nas dopaść. Tylko dzięki Przenajświętszej Pani i apostołowi Pawłowi udało nam się wymknąć.

Szymon tak wiarygodnie przedstawił swoją relację, że Ferdynand zaczął się zastanawiać, czy to, co sam pamięta, na pewno odpowiada prawdzie. Wyglądało na to, że cios w głowę zaszkodził jego pamięci. Nie mógł się jednak nad tym dłużej zastanawiać, ponieważ Oisín O’Corra podszedł do niego i wyciągnął ramiona.

- Witajcie również, panie... - Oisín nie dokończył, ponieważ Szymon nie przedstawił mu jeszcze swojego krewnego.

- Ferdynand von Kirchberg! Do waszych usług, lordzie O’Corra - przedstawił się młodzieniec.

- Darujmy sobie ten tytuł! To angielska paplanina.

Jestem taoiseachem mojego klanu. Nikim więcej być nie pragnę, nawet gdyby królowa Elżbieta chciała mianować mnie lordem namiestnikiem Irlandii - oznajmił z pogardą Oisín. - Usiądźcie z powrotem i bądźcie moimi gośćmi.

Podziękujmy Bogu, że przynajmniej wy uszliście angielskim oprawcom. Dzielni mężowie zawsze są u mnie mile widziani! - Ostatnie zdanie wypowiedział w stronę niemieckich żołnierzy, lecz ci raczej go nie zrozumieli, ponieważ oprócz obu Kirchbergów jeszcze tylko Cyriakus Hufeisen znał trochę angielski.

Ferdynand spodziewał się, że Oisin O'Corra będzie rozczarowany, że Szymon przybył zaledwie z częstką obiecanych sił. Jednakże jego kuzynowi udało się za pomocą kilku zdań zdobyć nie tylko zrozumienie, lecz niemal współczucie gospodarza.

A teraz Oisin obiecywał właśnie Szymonowi, że wyposaży jego żołnierzy ze swoich zapasów broni i proponował kilka wspólnych akcji na szkodę Anglików i dla umocnienia własnych pozycji.

Ferdynand uważnie się przysłuchiwał, szybko jednak zrozumiał, że to zupełnie inna wojna niż dotąd słyszał.

- Nie możemy wdać się z Anglikami w otwartą walkę, tylko musimy atakować z ukrycia, i to błyskawicznie - wyjaśniał właśnie Oisin.

Szymon von Kirchberg pokiwał głową.

- Walczyłem z Anglikami we Flandrii i we Francji. To uparci ludzie, którzy nie lubią się poddawać. Trzeba by takiej samej liczby dobrych niemieckich żołnierzy z odpowiednim uzbrojeniem, żeby móc ich pokonać w otwartej walce.

- A wy nie przyprowadziliście ich zbyt wielu - wtrąciła Saraid, która weszła do sali, żeby powiedzieć Ciarze, że kończą się zapasy miodu.

- Anglicy panują na Morzu Północnym, odkąd Wielka Armada poniosła porażkę! - W głosie Oisina słychać było naganę, ponieważ nie lubił, gdy kobiety wtrącały się do męskich rozmów.

Szymon von Kirchberg popatrzył na Irlandczyka z namysłem.

- Bez pomocy ze strony Hiszpanii nie uda się wypędzić stąd Anglików na dłużej.

- Ale ja nie zamierzam zamienić jednego obcego władcy na drugiego - odparł szorstko Oisin.

- Mniej mi chodzi o hiszpańskie oddziały, a bardziej o wojenne dostawy - odpowiedział Szymon z uśmiechem.

- Hiszpanii zależy na ograniczeniu angielskich wpływów.

Angielscy kapitanowie napadają na hiszpańskie statki i rabują złoto. Wy, Irlandczycy, powinniście zbudować statki i polować na Anglików!

- Jak kiedyś Gráinne Ní Mháille? Ale nawet ta dumna Irlandka zadała się potem z angielskimi łotrami, a jej syn stoi po stronie Henryka Bagenala - powiedziała Saraid. -

Najpierw musimy przepędzić Anglików z naszej wyspy i dopiero wtedy będziemy mogli myśleć o czymś innym!

Choć kuzynka miała rację, Oisín zdenerwował się na nią.

- Dlaczego nie jesteś w kuchni i nie zadbasz o to, żeby doniesiono więcej miodu?

- Bo miodu już nie ma! Irlandczyk pije dużo, Anglik jeszcze więcej, ale wobec pragnienia Niemca ich potrzeby to jak potrzeby dziecka wobec potrzeb dorosłego mężczyzny.

- Po tych słowach Saraid zamarkowała dygnięcie i wyszła z sali.

Ciara zastanawiała się, co robić. Chętnie została w sali, żeby być bliżej Szymona von Kirchberga, lecz rozumiała, że brat chce omówić z nim ważne sprawy, a tego mężczyźni nie lubią robić w obecności kobiet.

Wstała więc, ukloniła się przed gościem i poprosiła brata, żeby pozwolił jej odejść od stołu.

- Oczywiście! Naprawdę wolę, żebyś sprawdziła, co się dzieje w kuchni. Saraid raczej sama sobie nie poradzi - powiedział Oisín z łagodnym uśmiechem.

Buirre nie ukrywał swego zadowolenia. Wyglądało na to, że jego żona właśnie traci zaufanie przywódcy klanu.

Więc znów będzie sobie mógł wobec niej na więcej pozwalać. Nie wolno mu tylko atakować Ciary, bo wtedy na serio rozgniewałby swego taoiseacha.

Podczas gdy Oisín naradzał się z Szymonem von Kirchbergiem, a Buirre oddawał rozmyślaniami, Ciara weszła do kuchni i stanęła przed Saraid.

- Co ty sobie właściwie myślałaś, obrażając naszych gości? - zapytała z oburzeniem.

- Wyjaśniłam tylko, że żrą i żłopią, jakby im płacili za to, a nie za bicie się z Anglikami - odparła niewzruszona Saraid, wskazując na niemal pustą kadź. - To nasz ostatni miód. A wystarczyłby na cały miesiąc. Nie wiem, co twój brat sobie myślał, żeby sprowadzać tutaj akurat takich ludzi. Jeśli nie odda ich Aodhowi Mórowi O'Néillovi i jeśli tamten nie będzie ich karmić, objedzą nas do kości.

A przecież my sami nie wiemy, jak przeżyjemy do następnych żniw.

- Oisín na pewno coś wymyśli - odpowiedziała beztrąsko Ciara.

- Mam nadzieję! W przeciwnym razie wymrzemy przez zimę jak wiewiórki, które nie zrobiły zapasów - oznajmiła Saraid.

Choć Ciara miała ochotę zaprotestować, przeraziła się, gdy zobaczyła, jaką wyrwę w zamkowych zapasach poczynił jeden posiłek dla Kirchberga i jego ludzi. Teraz naprawdę mogła liczyć już tylko na to, że albo sojusznicy brata pomogą im w zdobywaniu żywności, albo Oisín sam wymyśli jakieś rozwiązanie.

11

Plany układano nie tylko na zamku Ui'Corra. Anglicy też działali, choć sir Henryk Bagenal musiał się wycofać ze swoimi oddziałami aż do Dundalk. Gdy odwiedził go Ryszard Haresgill, na stole Bagenala leżały długie listy z nazwiskami i elementami uzbrojenia, a także mapa Ulsteru wraz z przyległymi rejonami.

- Bądźcie pozdrowiony, sir Henryku - zaczął Haresgill, ponieważ Bagenal nie zwracał na niego uwagi.

Henryk dopiero w tym momencie podniósł wzrok.

- Ach, sir Ryszard! Cieszę się, że was widzę.

- Nie wiem, czy wasza radość potrwa, gdy was zapytam, co przedsięwzięliście do tej pory przeciwko tym przeklętym buntownikom?! Nie widziałem na razie, żeby choć jeden angielski żołnierz wymaszerował do Ulsteru - odparł mało dyplomatycznie Haresgill.

Na ustach Bagenala pojawił się drwiący uśmiezek.

- Nie wymaszerował, bo uznałem, że na razie nie jest to konieczne.

- Nie jest konieczne?! - wykrzyknął oburzony Haresgill. - Ten nędzny O'Neill wypędził mnie i tuziny innych Anglików z naszej ziemi i zbroi armię. A wy mi mówicie, że zwalczanie ich nie jest konieczne?

- Tego nie powiedziałem - odparł spokojnie Bagenal.

- Powiedziałem tylko, że na razie nie poprowadzę żołnierzy na Ulster. Ale już niedługo przejdę do ataku.

Ulokowałem już nawet oddziały wzdłuż granicy.

- A więc zaatakujecie O'Neilla!

Bagenal potrząsnął głową.

- Nie! Wtedy jedynie skopiowałbym jego taktykę.

Haresgill popatrzył na niego zdumiony.

- Nie rozumiem!

- I dlatego właśnie Jej Wysokość mnie mianowała lordem prezydentem Ulsteru, a nie was - odparł wyniośle Henryk Bagenal. - Ale chętnie wam to objaśnię. Hugh O'Neill i jego sprzymierzeńcy obstawiają przełęcze i drogi, żeby utrudnić nam dotarcie do Ulsteru. Ja także stawiam forty i zasieki, żeby zatrzymać lisa w jego norze.

To, co dotyczy nas, dotyczy też Irlandczyków. Duże oddziały mogą się poruszać tylko po drogach. Jeśli więc je zablokujemy, uniemożliwimy O'Neillowi wyruszenie na takie miasta jak Dundalk, Newry, Monaghan, Enniskillen czy Sligo i oblężenie ich. Poza tym nie

dotrą do niego posiłki z innych części Irlandii, a on z kolei nie będzie mógł ruszyć na pomoc swoim sojusznikom, kiedy już się do nich weźmiemy.

- Ale w ten sposób zostawiacie O'Néillovi większą część Ulsteru, włączając w to ziemię, która należy do mnie! - Haresgill z trudem panował nad swoim wzburzeniem, lecz Bagenal popatrzył na niego z wyższością.

- Tylko na razie, sir Ryszardzie! Gdy tylko uznam, że nadszedł odpowiedni moment, wyruszę na O'Néilla i pobiję go na jego własnej ziemi. A potem narzucimy Irlandczykom pokój, który z pewnością nie będzie dla nas niekorzystny. Spójrzcie tutaj!

Bagenal wskazał palcem na mapę.

- Ten obszar przewidziałem dla was. Tuż obok jest ziemia dla hrabiego Essex, żeby ten reprezentował nasze interesy wobec Jej Wysokości. Wiecie przecież, że Elżbieta nie potrafi niczego odmówić młodemu bohaterowi! Ten obszar powiększy moje włości. A to, co zostanie, podzielimy według naszego uznania. Jeśli O'Néill szybko się podda, może coś mu zostawimy.

Jednak z tytułu hrabiego Tyrone będzie musiał zrezygnować.

Haresgill domyślił się po minie Bagenala, że ten ma nadzieję zostać nowym hrabią, i poczuł ukłucie zazdrości.

Lecz gdy pochylił się i zobaczył na mapie obszar, jaki przeznaczył dla niego Bagenal, był zadowolony. Taki majątek uczyni go jednym z najbogatszych ludzi w Irlandii, będzie się nawet mógł ubiegać o tytuł para.

- Wybaczcie, sir Henryku, że przez chwilę wątpiłem w wasze intencje. Widzę jednak, że jesteście człowiekiem, któremu można powierzyć przyszłość Ulsteru czy wręcz całej Irlandii - oznajmił.

Henryk Bagenal się uśmiechnął. Już dawno zrozumiał, że Haresgill podczas każdej rozmowy najpierw krytykuje, potem jednak szybko staje po jego stronie, jeśli tylko pojawia się perspektywa niezłego zysku. Bagenal lubił karmić przeciwnika okruchami, a jednocześnie okazywać mu swą wyższość.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzacie. Muszę was jednak prosić, byście zostawili mnie samego. Jej Wysokość powierzyła mi przyszłość Ulsteru i chyba rozumiecie, że chcę okazać się godnym jej zaufania.

Słowom Bagenala towarzyszył przyjazny uśmiech, który miał skryć jego prawdziwe motywy. Nie chodziło mu o ochronę angielskich osadników, gdyż ci mogli się schronić w Palisadzie, obszarze wokół Dublina, gdzie Anglicy mocno się trzymali. Chciał poczekać, aż wiadomość o buncie O'Néilla stanie się w Londynie czymś więcej niż nieistotną plotką.

Dopiero gdy oczy królowej i jej doradców skierują się na Irlandię, jego czyny zabłysną w odpowiednim świetle.

12

Dla Oisina O'Corry gościnność była rzeczą świętą.

Mimo to zastanawiał się, jak ma wyżywić swoich wojowników i żołnierzy oraz kobiety i dzieci ze swojego majątku. Choć jego siostra i Saraïd stawały na głowie, żeby wystarczyło im to, co mieli, to jeśli klan miał bez strat dotrzeć do wiosny, potrzebowali żywności.

Nie miał pieniędzy, za które mógłby kupić ziarno z innych rejonów Irlandii. Poza tym byłoby trudno sprowadzić ładunek do doliny ze względu na angielskie patrole. Musiał więc w inny sposób zaopatrzyć swój klan i wpadł na pewien pomysł.

Już następnego ranka zebrał żołnierzy Szymona von Kirchberga oraz kilkudziesięciu swoich wojowników pod wzniesioną z potężnych pni drzew fortecą przy wejściu do doliny i przekonał ich do wyruszenia na wyprawę wojenną.

- Przyjaciele! - zawołał donośnym głosem. - Anglicy sądzą, że mogą nas, Irlandczyków, zamknąć niczym ptaszki w klatce. Ale my im pokażemy, jak bardzo się mylą.

Angielski hufiec potrzebuje utorowanej drogi, z której usunięto każdą gałązkę, żeby przypadkiem kolec nie wbił im się w stopę. My natomiast potrafimy docierać do celu także przez lasy i bagniska. A najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że Anglicy nie mają odwagi nas ścigać, kiedy się wycofujemy.

Ponieważ przemawiał po irlandzku, a potem nieco ciszej tłumaczył swoje słowa na angielski dla Szymona von Kirchberga, chwilę zajęło, zanim ten mógł je powtórzyć po niemiecku.

Cyriakus Hufeisen splunął pod nogi.

- Czy to znaczy, że znowu mamy się błąkać po lesie i ryzykować śmierć w trzęsawisku? - zapytał Ferdynanda.

Ten z niezadowoleniem pokiwał głową.

- Na to wygląda.

- Pociągniemy na południe - kontynuował Oisín, zwracając się do swoich ludzi - i napadniemy na siedzibę hrabiego Loane. Choć hrabia mieszka w Anglii, to zostawił tutaj swojego zarządcę i trzydziestu szkockich żołnierzy. Ale my nie napadniemy na jego zamek, tylko na domy jego dzierżawców. W większości są to Anglicy, ale także Irlandczycy, którzy trzymają stronę heretyków.

Wpadniemy tam, zabierzemy, co nam potrzeba, i wycofamy się. Jeśli ludzie hrabiego ruszą za nami, pokażemy im, że my, Irlandczycy, jesteśmy dziećmi lasu.

Gdy Szymon von Kirchberg przetłumaczył te słowa, Hufeisen znów pokręcił głową.

- Jeśli to zrobimy, nie będziemy niczym więcej jak rabusiami. Nie mam nic przeciwko zdobywaniu łupów, ale jako żołnierz, a nie bandyta.

- Powiedz to dowódcy! - poradził mu Ferdynand, któremu też nie odpowiadał taki sposób prowadzenia wojny. Jego zdaniem honor wymagał, żeby najpierw zdobyli zamek hrabiego, a dopiero potem zajęli się jego dzierżawcami.

Gdy jednak podszedł do Szymona i złożył taką propozycję, ten popatrzył na niego z wyższością.

- Słyszałeś, co powiedział pan Oisin. On najlepiej wie, jak należy tutaj prowadzić wojnę. Więc nie gadaj głupot!

Odmowa była jednoznaczna, a Ferdynand przez chwilę toczył ze sobą wewnętrzną walkę, czy nie odpowiedzieć kuzynowi w podobny sposób. Jednakże Szymon miał o wiele większe doświadczenie. Przełknął więc swoje oburzenie i dołączył do żołnierzy, którzy szykowali się do wymarszu. Większości było obojętne, czy będą walczyć, czy zdobywać łupy. Cyriakusa Hufeisena także przekonały słowa dowódcy i polecił swoim ludziom iść za Irlandczykami.

Oisin O'Corra i Szymon ruszyli na czele pochodu, a tuż za nimi podążyli Aithil O'Corra, którego Aodh Mór O'Néill przysłał dla wsparcia, oraz pozostali Irlandczycy.

Do nich dołączyli Ferdynand i niemieccy żołnierze.

Wcześniej Oisin uzbroił ich wszystkich, więc żaden z nich nie musiał już zadowalać się kijem. Włócznie i miecze były krótsze niż te, których zwykle używali. Mimo to żołnierze byli dobrej myśli, ponieważ po koszmarze rejsu i głodowym marszu z wybrzeża do doliny Ui'Corra aż się palili do wystawienia Anglikom rachunku.

Gdy podążali ścieżkami, które potrafili dostrzec tylko Irlandczycy, także Ferdynand pogodził się z czekającym ich zadaniem. Nie byli przecież maszerującą armią, tylko oddziałem furazowym, który musiał się wyżywić we wrogim kraju.

„Szymon chyba uważa mnie za strasznego zrzęde” - pomyślał Ferdynand. Bądź co bądź, jego kuzyn brał już udział w wielu wyprawach wojennych, podczas gdy jego doświadczenie ograniczało się do prywatnej wojenki stryja Franciszka von Kirchberga. Powędrował myślami do ojczyzny i zobaczył przed sobą starego pana i jego syna Andrzeja, który po śmierci ojca odziedziczył rodową siedzibę. Ponieważ Andrzej ma już dwóch synów, którzy będą kontynuować ród, po potyczce pod Kirchbergiem nadeszła dla Ferdynanda pora,

żeby się usamodzielnic.

Dlatego był wdzięczny Szymonowi, gdy ten zabrał go ze sobą najpierw do Rzymu, a potem do Irlandii. Może rzeczywiście powinien się zastanowić nad propozycją kuzyna i poślubić jakąś irlandzką pannę z odpowiednim posagiem.

Gdy tylko o tym pomyślał, ujrzał przed oczami obraz Ciary O'Corry czy raczej Ní Corry, jak się określała w odróżnieniu od brata. Ferdynand nie orientował się w niuansach irlandzkiej mowy na tyle, by wiedzieć, skąd ta różnica. Taką kobietę jak Ciara poślubiłby bez namysłu, nawet gdyby nie była bogatą dziedziczką.

Nagle zachciało mu się śmiać z samego siebie. Przecież nie przybył do Irlandii, żeby szukać żony, tylko by walczyć z Anglikami. A na razie ani nie wyróżnił się w żadnej prawdziwej bitwie, ani w inny sposób nie zdobył sławy i chwały. Zaprzagnął gwałtownie spotkania z Anglikami, żeby wreszcie móc pokazać, ile jest wart.

Zacisnął dłoń na rękojeści miecza, a jego oczy aż rozbłysły z radosnego wyczekiwania na walkę.

Do majątku lorda Loane mieli ponad trzydzieści mil angielskich w linii prostej. Idąc przez lasy i bagna, będą musieli pokonać niemal dwa razy dłuższą drogę i co najmniej raz przenocować pod gołym niebem. Ale potem, powtarzał sobie Ferdynand, udowodni wszystkim, że i on jest wojownikiem, którego należy się lękać. Taką miał przynajmniej nadzieję. Żeby być tak dobrym wojownikiem jak Szymon albo choćby Hufeisen, jeszcze sporo mu brakowało. Lecz i oni obaj też musieli kiedyś nauczyć się najpierw wojennego rzemiosła.

13

Bez irlandzkich przewodników Szymon von Kirchberg i jego żołnierze bez wątpienia by się zgubili. Oisín O'Corra prowadził ich przez niekończące się lasy i porośnięte krzewami torfowiska na południe do miejsca, w którym spotykały się granice dawnych królestw Uladh, Laighean[22] i Chonnacht[23]. Niedaleko stąd rozciągały się ziemie należące do hrabiego Loane. Jego dziadek pozyskał te ziemie nie tak jak Ryszard Haresgill, czyli zajmując je i wypędzając poprzednich właścicieli, tylko poprzez małżeństwo z dziedziczką majątku. Wyjaśnił to Ferdynandowi po angielsku Aithil O'Corra.

- To nie znaczy, że oszczędzimy jego wnuka, jeśli go spotkamy - dodał ze złośliwym uśmiechem. - W każdym razie lord mieszka w Londynie i każe swojemu zarządcy wyciskać z dzierżawców siódme poty. Niektórzy z nich stali się wręcz parobkami i gdy nas zobaczą,

powitają nas z radością i jeszcze się do nas przyłączą.

Ferdynand słuchał uważnie, łapczywie chłonąc wiedzę.

Bądź co bądź, jego kuzyn otrzymał polecenie przebywania w Irlandii tak długo, aż angielscy heretycy zostaną przepędzeni. W swym młodzieńczym zapale sądził, że wystarczy jedna zwycięska bitwa, a Irlandia będzie wolna. Choć na wyspie znajdowali się zaledwie od paru dni, zrozumiał już, że upłynie wiele czasu, zanim Anglicy zostaną pokonani. Z tego względu postanowił nauczyć się jak najszybciej irlandzkiej mowy. Skoro miał walczyć z Irlandczykami ramię w ramię, ważne było, żeby ich rozumieć.

Zwrócił się z tym pomysłem do Aithila O'Corry. Tego rozbawiła żądza wiedzy Ferdynanda, ale był na tyle uprzejmy, że odpowiadał na wszystkie pytania Niemca.

Czas szybko im w ten sposób mijał i byli zaskoczeni, że już dotarli do celu. Zatrzymali się na znak dany przez Oisina. Wciąż znajdowali się pośród wysokich, sękatych drzew, lecz w oddali prześwitywał już lekko falisty krajobraz z zielonymi pastwiskami, polami i niewielkim jeziorem. Po drugiej stronie jeziora wznosił się potężny, rzucający ogromny cień zamek.

- To zamek Loane - wyjaśnił Aithil. - Rodowa siedziba hrabiego Loane. A te ruiny z tyłu to opactwo świętego Cainneacha. Zburzyli je ci przekłęci Anglicy.

A majątek opactwa w większej części trafił w ręce hrabiego.

Ferdynand popatrzył na rozpadające się mury otaczające wąską, wysoką, okrągłą wieżę z prostym stożkowym wierzchołkiem i zacisnął pięści.

- To ciężki grzech rabować własność Kościoła i przepędzać boże sługi!

Przez twarz Aithila O'Corry przemknął cień.

- Gdyby chodziło o samo wypędzenie! Anglicy powiesili dwunastu mnichów, którzy tam mieszkali, jak jakichś złodziejasków, bo ci nie chcieli złożyć przysięgi na wierność ich królowej i kacerskiej wierze.

- Cicho bądźcie! - upomniał ich obu Oisin. - Wyjaśnię wam plan walki. Szymon von Kirchberg zaatakuje ze swoimi ludźmi zamek i zablokuje drogę, która prowadzi stamtąd do zagród dzierzawców. Ja razem z moimi ludźmi zajmę się dzierzawcami i spróbuję zabrać tyle zapasów, ile zdołamy udźwignąć. Gdy dam sygnał, Szymon von Kirchberg i jego ludzie dołączą do nas. Wtedy każdy otrzyma swoją część do niesienia i znikniemy z łupem w lesie.

Plan ten nie wydał się Ferdynandowi zbyt bohaterski, lecz powstrzymał się od komentarzy w obliczu nieuchronnych napomnień ze strony kuzyna. Żołnierze, a szczególnie Cyriakus Hufeisen, dali jednak wyraz swojemu oburzeniu.

- Jesteśmy wojownikami, a nie parobkami do dźwigania worków ze zbożem. Poza tym

chcemy łupów.

A może ten nadęty Irlandczyk myśli sobie, że za żołd wystarczy nam żarcie, które nam serwują?

- Co mówi ten człowiek? - zapytał poirytowany Oisín.

Właśnie rozmawiał z Szymonem, uzgadniając szczegóły akcji. Ponieważ nie zrozumiał wybuchu Hufeisena, Ferdynand musiał mu przetłumaczyć. Opuścił „nadętego Irlandczyka”, wyjaśnił jednak, że żołnierze są rozgniewani, że nie wolno im brać łupów.

- Chciwy motłoch! - warknął cicho Szymon i czekał z napięciem, jak Oisín rozwiąże ten problem.

Irlandczyk zmierzył niemieckich żołnierzy chłodnym spojrzeniem, po czym wskazał na zamek.

- Jak już powiedziałem, hrabia Loane przysłał tutaj niemal trzy tuziny wojowników. To wystarczy do obrony zamku, nawet gdyby oblegała go cała armia. Waszym zadaniem jest zadbać o to, żeby nie mogli nas zaatakować.

Jeśli chodzi o łupy, to przede wszystkim zabieramy żywność. Wam też na tym zależy, ponieważ nie chcecie głodować przez następne miesiące. Pieniądze i inne wartościowe rzeczy, jakie znajdziemy, podzielimy sprawiedliwie pomiędzy wszystkich! Zrozumieliście?

Gdy Ferdynand przetłumaczył jego słowa, żołnierze zaczęli rozmawiać między sobą. W końcu Hufeisen podszedł do Oisína i skinął głową.

- Dobrze! Ale jeśli któryś z was, Irlandczyków, sądzi, że nas oszuka, to gorzko tego pożałuje!

Tym razem tłumaczył Szymon, który wcale nie starał się złagodzić ostrych słów Hufeisena. Oisín O'Corra wzruszył tylko ramionami i popatrzył na słońce, które już dawno minęło zenit.

- Przybyliśmy w odpowiedniej porze. Będzie jasno jeszcze akurat tak długo, żebyśmy zdążyli splądrować zagrody dzierżawców i wycofać się w zapadający zmrok.

Zanim Anglicy zdołają za nami ruszyć, będziemy już daleko.

Szymon przytaknął taoiseachowi, Hufeisen natomiast splunął i rzekł do Ferdynanda:

- Gdybym wiedział, co mnie tu czeka, wystąpiłbym ze służby u waszego kuzyna. Cały czas myślę o tych biedakach na „Violetcie”. Znałem wielu z nich, a niektórych nazywałem przyjaciółmi. A teraz albo leżą na dnie morza, albo gniją w angielskich lochach.

Ferdynand po raz pierwszy, odkąd przyłączył się do Szymona, usłyszał krytyczne słowa o swoim kuzynie.

W pierwszej chwili chciał upomnieć Hufeisena, lecz potem przypomniał sobie

koszmarne godziny na

„Marghericie” i wahanie Szymona, czy pomóc bratniemu statkowi. Zawstydzony spuścił głowę.

Nie miał jednak czasu, żeby się dłużej nad tym zastanawiać. Na znak Oisina Szymon von Kirchberg zwołał swoich ludzi i rozkazał im maszerować na zamek.

Ferdynand stanął obok Hufeisena i ruszył za kuzynem z zaciętą miną. Sam nie wiedział, czego się spodziewa.

Ale także gdzie indziej wojna polega na tym, by szkodzić przeciwnikowi, ile się da, choćby miał on stracić zaledwie parę worków ziarna.

14

Oisin O’Corra poczekał, aż kompania Kirchberga pokona połowę drogi do zamku, a potem i on razem ze swoimi ludźmi wyszedł z lasu. Po drodze podzielił swoją drużynę na trzy oddziały, żeby móc zaatakować trzy zagrody jednocześnie. Sam chciał się zająć największym domem, który należał do krewnych zarządcy zamku.

Śpiesząc ku zagrodzie, usłyszał, jak dzwony zamkowej kaplicy zaczynają bić na alarm. A więc wartownicy lorda zauważyli atakujących. Dla Anglików i służących im Irlandczyków było już jednak za późno na skuteczną obronę. Choć paru mężczyzn ruszyło biegiem w stronę zamku, zatrzymali się, gdy zobaczyli maszerujących Niemców, i zawrócili do swoich domostw, żeby je chronić.

Także z zagrody, którą atakowała drużyna Oisina, wypadło kilku zbrojnych. Zawrócili teraz, próbując dotrzeć do bramy przed powstańcami. Ludzie Oisina byli jednak lżej uzbrojeni niż Anglicy i zaczęli ich doganiać.

- Szybciej! - krzyknął Oisin. - Pierwszy, który dotrze do bramy, dostanie w nagrodę jałówkę.

A potem popędził tak szybko, jakby sam chciał otrzymać nagrodę. Pięćdziesiąt jardów przed bramą zagrody dopędził pierwszego przeciwnika. Ten usłyszał go, odwrócił się szybko i unióś miecz. Zanim zdołał zadać cios, Oisin ranił go swoim ostrzem. Mężczyzna padł na ziemię z głośnym wrzaskiem.

Dwóch kolejnych Anglików próbowało otoczyć Oisina.

Z pewnym trudem odparł ich pierwsze uderzenia, ale potem jego ludzie dogonili go i powalili wrogów.

Brama zagrody wciąż była otwarta, a na zewnątrz został już tylko jeden, uzbrojony od stóp do głów Anglik, który próbował dotrzeć w bezpieczne miejsce za murem.

Irlandczycy dogonili go w momencie, gdy chciał wbiec do bramy. Trzech parobków ruszyło mu na pomoc, ale nie mieli żadnych szans wobec przewagi Irlandczyków, więc rozpięzchli się niczym spłoszone zające. W końcu Oisín stanął naprzeciw samego dzierzawcy, chudego Anglika, którego twarz pod hełmem była blada jak śnieg.

- Poddajcie się! - zażądał Oisín.

Mężczyzna zagryzł zęby, jakby się zastanawiał. Potem opuścił miecz i wyglądało na to, że posłucha. Lecz gdy Irlandczycy go odstępili, uniósł broń i zaatakował Oisína.

Z gardeł zaskoczonych Irlandczyków dobył się krzyk wściekłości. Myśleli, że ich przywódca już nie żyje. Lecz Oisín błyskawicznie się uchylił i sam zaatakował. Jego miecz przebił gardło Anglika, a chroniące je drobne płytki pancerza nie stanowiły żadnej przeszkody. Trysnął strumień krwi, a dzierzawca opadł na kolana. Otworzył jeszcze usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz jeden z wojowników O'Corra wbił mu włócznię prosto w twarz.

Oisín popatrzył jeszcze, jak Anglik przewraca się na ziemię i tam nieruchomieje, a potem pobiegł na czele grupki ludzi do budynku mieszkalnego. Tam napotkali tylko żonę Anglika z dwiema córkami, które patrzyły na nich z przerażeniem.

- Zostawcie je w spokoju! - warknął na wojownika, który uniósł broń, i odsunął wrzeszczącą kobietę na bok. - Potrzebujemy złota, żeby zadowolić Niemców - wyjaśnił swoim towarzyszom, po czym wszedł do sypialni dzierzawcy. Długo szukać nie musiał, bo już po chwili zauważył kasetkę, w której właściciel zagrody trzymał monety. Gdy Oisín otworzył ją czubkiem miecza, okazało się, że jest w niej więcej niż się spodziewał. Z uśmiechem zgarnął połowę, a resztę podsunął swoim ludziom.

- Wrzucie to, i co tam jeszcze znajdziecie wartościowego, do worka. Ludzie Kirchberga otrzymają za dzisiejszą służbę sowitą zapłatę. Resztę pieniędzy zatrzymam dla klanu.

Jeden z jego ludzi się roześmiał, umilkł jednak pod gniewnym spojrzeniem Oisína. Nie chodziło mu przecież o oszukanie sojuszników. Potrzebował pieniędzy na uzbrojenie swoich ludzi. Poza tym musiał wyżywić Kirchberga i jego żołnierzy. Oczywiście zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby ich wysłać do Aodha Móira O'Néilla. Najbogatszemu człowiekowi w Uladh na pewno łatwiej byłoby karmić blisko sześćdziesięciu mężów niż jemu. Potem jednak uznał, że kompania żołnierzy podniesie jego rangę w sojuszu, który zawiązał O'Néill, i postanowił zatrzymać Niemców. Potrzebował jednak pilnie zapasów, więc posłał swoich ludzi do obory i spichlerza z rozkazem wzięcia wszystkiego, co będą w stanie ze sobą zabrać.

Szymon von Kirchberg zatrzymał się ze swoimi ludźmi w odległości setek kroków od zamku i nakazał im, by przygotowali się do walki. Pierwszy rząd zajęli żołnierze z długimi włóczniami, które wystawili w kierunku zamku.

Za nimi stanęli ci z muszkietami, a na końcu pozostali, uzbrojeni w krótsze włócznie. Ich zadaniem było na razie osłanianie oddziału przed atakami od tyłu.

Podczas gdy Hufeisen obchodził formację, wrzeszcząc na co poniektórych, którzy nie stali tak, jak należało, Szymon i Ferdynand patrzyli na zamek. Wcześniej na murach nikogo nie było, ale już zaczęła wbiegać na nie załoga.

- Jak myślisz? Wyjdą do nas? - zapytał Ferdynand z napięciem w głosie.

Jego kuzyn wzruszył ramionami.

- Nie czytam im w myślach i nie mam pojęcia, co zrobią. Jeśli odważą się na wypad, to odpowiednio ich przyjmujemy.

- Założę się, że wyjdą - mruknął Ferdynand, wyciągając miecz.

Zarządca hrabiego spostrzegł ten gest z murów zamku i zwrócił się do dowódcy swoich żołnierzy:

- Otwórzcie bramę i rozbijcie tych łotrów! Potem weźcie się do tych, którzy napadli na nasze zagrody.

Niektórzy żołnierze chwycili za broń, chcąc opuścić zamek. Lecz dowódca pokręcił głową.

- Ci tam to nie są irlandzcy chłopcy, tylko prawdziwi żołnierze z kontynentu. Sądząc po uzbrojeniu, to Niemcy, a to godni przeciwnicy. Jeśli stanę teraz ze swoimi ludźmi przeciw dwukrotnie liczniejszej drużynie, muszę się liczyć z przegraną. A wtedy zamek zostanie bez ochrony. Jak myślicie, ile czasu upłynie, zanim Irlandczycy staną pod murami? Z paroma parobkami nie obronicie zamku, a jeśli zamek Loane upadnie, sir Henryk Bagenal będzie musiał poddać wszystkie fortece, które buduje na północy. Wtedy O'Neill i jego buntownicy będą mieli otwartą drogę do serca Irlandii. Mówię wam, człowiek, który nazywa się hrabią Tyrone, w parę tygodni przepędzi nas wtedy do Palisady i ogłosi się władcą niemal całej Irlandii.

I wtedy, żeby go pokonać, Jej Wysokość królowa musiałaby przysłać taką armię, jakiej Anglia nie była w stanie zgromadzić od setek lat.

- Czy to znaczy, że chcecie pozwolić tym psom, żeby bezkarnie plądrowali i rabowali?

- oburzył się zarządca.

- Jeśli mam wybierać między paroma zabitymi parobkami i stadem uprowadzonych krów a totalną klęską, to wybieram to pierwsze - odpowiedział niewzruszony dowódca. - A może sądzicie, że hrabia się ucieszy, gdy mu przekażą, że jego zamek stanął w płomieniach?

Ten argument uciszył zarządcę. Z zaciśniętymi pięściami stał na murach, przyglądając się, jak Irlandczycy atakują i grabią jedną zagrodę za drugą.

W końcu napastnicy wycofali się z ciężkimi łupami, zabierając ze sobą kilka obładowanych osłów, tuziny krów i całe stado owiec.

Na sygnał Oisina także żołnierze Kirchberga wycofali się i ruszyli za swoimi sojusznikami. Zarządca hrabiego Loane uznał Szymona von Kirchberga za dowódcę całego oddziału i wykrzykiwał za nim, że jest parszywym tchórzem.

Gdy wkrótce potem zapadła noc, groza minęła. I tylko puste obory, stodoły i spichlerze świadczyły o tym, że był tu oddział Irlandczyków oraz niemieckich żołnierzy, którzy zaskoczyli i ograbili Anglików.

[18] Athair (wym.: ahaj) - irl. ojciec.

[19] Bajbot (inaczej bąk, bączek) - niewielka łódź wiosłowa przewożona na statku i służąca do przewozu kilku osób lub towarów na ląd oraz do prac pomocniczych przy burtach.

[20] Irlandzkie nazwy położonych na północy wyspy miast Sligo, Belfast i Derry (Londonderry).

[21] Tiarna - irl. pan.

[22] Laighean (ang. Leinster) - jedna z czterech prowincji Irlandii, obejmująca południowoschodnią część wyspy z Dublinem.

[23] Chonnacht (ang. Connaught) - prowincja Irlandii na zachodzie wyspy.

CZEŚĆ TRZECIA

Za Irlandię

1

Ciara szła przez dziedziniec i czuła, że nadchodzi wiosna. To niemal cud, że zima tak szybko minęła. Po części wrażenie to wynikało zapewne z tego, że na ziemiach Ui'Corra nie pojawił się ani jeden Anglik.

W innych rejonach dochodziło do potyczek, lecz właściwie zima okazała się dla Irlandii zaskakująco spokojna. Mimo to Ciara nie spodziewała się, by tak miało zostać. Choć jej brat niewiele mówił o planach swoich i Aodha Móra O'Néilla, to przecież zdawała sobie sprawę, że Anglicy nie zasypiają gruszek w popiele.

Henryk Bagenal, narzucony przez wroga przywódca Uladh, wycofał się co prawda do Dún Dealgan[24], skrzętnie jednak gromadził tam oddziały. Jednocześnie wznosił twierdze i fortyfikacje, które miały oddzielić ziemie zbuntowanych klanów od reszty kraju. Nawet jeśli dla Irlandczyków lasy i bagniska ich ojczyzny nie stanowiły takiej przeszkody jak dla Anglików, to O'Néill nie mógł dłużej akceptować nowych umocnień.

Ciara nie wiedziała, czy jej brat też wyruszy na wojnę i czy zabierze ze sobą niemieckich żołnierzy. Gdy myślała o ich dowódcy, aż ścisnęło ją w sercu. Szymon von Kirchberg był wspaniałym wojownikiem i przystojnym mężczyzną. Kilka razy odniosła wrażenie, że mu się podoba, ale zawsze zachowywał uprzejmy dystans. To było bardzo szlachetne, ale w głębi ducha pragnęła, żeby choć raz zostać z nim sam na sam i móc mu wyjawić swą miłość.

Przywołała się jednak do porządku. Była siostrą taoiseacha i nie mogła zachowywać się jak suka w rui, tak jak Maeve. Ta odmawiała swojemu mężowi Ionatánowi współzycia, ale cały zamek wiedział, że przy każdej okazji gzi się z Buirre'em. Ciara coraz bardziej gardziła mężem kuzynki, a jednocześnie podziwiała spokój, z jakim Saraid traktuje niewierność męża.

Ciara zaczęła się zastanawiać, dlaczego tego dnia tak dużo rozmyśla, i z westchnieniem weszła do obory. Po grabieżczych wyprawach jej brata było w niej pełniej niż jesienią, mimo że zarżnęli sporo zwierząt. Teraz znów musiała wybrać zwierzę, żeby móc podać mięso na stół.

Nielatwo jej było podjąć decyzję, ponieważ zdążyła się przywiązać do krów. W końcu zamknęła oczy i wybrała ofiarę za pomocą dziecięcej wyliczanki. Trafiła akurat na swoją

ulubienicę. Zakłopotana cofnęła się i zaczęła zastanawiać, co zrobić.

W tej chwili do obory wszedł Ionatán, a za nim kuzyn Szymona. Zgorzkniała mina Ionatána wyraźnie pokazywała, jak bardzo przeżywa upokorzenie ze strony Buirre'a i Maeve. Natomiast Ferdynand uśmiechnął się wesoło na widok Ciary.

- Widziałem, jak szliście przez dziedziniec, i chciałem wam podziękować za doskonałe jedzenie oraz za miód, którym częstujecie nas i naszych ludzi - powiedział.

- Przecież nie mogłam wam pozwolić umrzeć z głodu!

- Ciarze nie odpowiadało, że młody Niemiec przeszkadza jej akurat teraz. Z Ionatánem mogłaby się spokojnie naradzić, które zwierzę wybrać do zaszlachtowania. Jej odpowiedź zabrzmiała szorstko. Gdy spostrzegła zaskoczenie Ferdynanda, zrobiło jej się przykro. - Nie miałam nic złego na myśli, panie von Kirchberg. Tyle że wykarmienie waszych ludzi nie było łatwe, a my, niewiasty, musiałyśmy się zwykle zadowalać skromniejszymi potrawami niż te podawane wam do stołu.

- Głodowaliście z naszego powodu?! - wykrzyknął skonsternowany Ferdynand.

Ciara ze smutnym uśmiechem pokręciła głową.

- Nie, aż tak to nie, ale tylko z rzadka jadłyśmy ryby, a zazwyczaj musiała nam wystarczyć sama kasza.

- Nie mieliśmy takiego zamiaru! My... Powiem mojemu kuzynowi, że my też zadowolimy się kaszą.

„On mówi poważnie” - pomyślała Ciara. Do tej pory nie zwracała uwagi na kuzyna Szymona, ale teraz przyjrzała mu się z ciekawością. Był troszkę wyższy od kuzyna, miał szczupłą młodzieńczą figurę i otwartą, szczerą twarz, której brakowało na razie męskiego zdecydowania charakteryzującego Szymona.

Rozwichrzone ciemnoblonde włosy opadały mu na ramiona, a brwi i rzadka bródka wydawały się niemal białe. Największe wrażenie robiły na niej jego oczy.

Lśniły niczym jasny bursztyn, promieniując silną energią.

Ciara, zdumiona, że podoba jej się to, co widzi, potrząsnęła głową.

- Nie musicie rozmawiać ze swoim kuzynem. My, niewiasty, jesteśmy przyzwyczajone do takiej strawy, natomiast wy i pozostali wojownicy potrzebujecie sił do walki. Odpłaćcie za mięso, które u nas spożywacie, odciętymi głowami Anglików! To nam wystarczy.

- Jeśli sobie życzycie, obetnę głowy wszystkim Anglikom!

Ponieważ Ferdynand wyglądał tak, jakby miał zamiar natychmiast wyruszyć na poszukiwanie synów Albionu, przestraszona Ciara uniosła dłoń.

- To była przerośnia. Pomóżcie mojemu bratu wypędzić Anglików. Nie jestem ani Judytą, która sama obcina głowy wrogom, ani Salome żądającą głowy Jana Chrzciciela.

- Wypędzimy ich - oznajmił Ferdynand z takim zdecydowaniem, jakby stał nie na czele sześćdziesięciu źle uzbrojonych żołnierzy, lecz stukrotnie liczniejszej armii w pełnym rynsztunku.

W tym momencie rozległ się stukot kopyt, więc Ciara, Ionatán i Ferdynand wybiegli z obory, żeby sprawdzić, kto przybył na dziedziniec. Był to Oisín z dwoma nieznanymi. Ciara rozpoznała po oznaczeniach, że to ludzie Ui'Néill.

- Zwołajcie wszystkich wojowników! - zawołał Oisín donośnym głosem. - Skończył się czas oczekiwania!

Henryk Bagenal opuścił Dún Dealgan i ruszył ze swoimi żołnierzami na Uladh. Pora bronić ojczyzny i wypełnić przyjacielskie zobowiązanie.

Ostatnie słowa dotyczyły Szymona von Kirchberga i jego ludzi. Na razie Oisín był im winien większość obiecanego żołdu. Dlatego mógł jedynie mieć nadzieję, że mimo wszystko pozostaną wierni rozkazom wydanym im osobiście przez Ojca Świętego w Rzymie i wystąpią przeciwko angielskim heretykom.

Cyriakus Hufeisen oraz pozostali Niemcy zebrali się wokół Ferdynanda.

- Co mówi ten Irlandczyk? - zapytał podoficer.

- Nadchodzą Anglicy! Więc wkrótce będzie bitwa - odpowiedział Ferdynand.

Żołnierz się uśmiechnął.

- Nareszcie! Przez ostatnie miesiące myślałem, że już nigdy się stąd nie ruszymy.

Ferdynand też nie mógł się doczekać, kiedy skrzyżuje swoje ostrze z mieczami Anglików. Poszukał wzrokiem kuzyna, który podszedł do Oisína i coś do niego cicho mówił.

Zbliżył się z ciekawością i zaczął słuchać.

-...mają walczyć, to musimy mieć lepszą broń! - usłyszał słowa Szymona.

- Są lepiej uzbrojeni niż większość Irlandczyków - wtrącił Ferdynand. - Na Anglików to wystarczy.

- Odwaga nie zastąpi rozumu! - upomniał go Szymon. - Moi ludzie są wyćwiczeni w posługiwaniu się dalekosiężną bronią w otwartej walce. Lecz bez uzbrojenia, do którego są przyzwyczajeni, nie będziemy mogli ich skutecznie wykorzystać. Jesteśmy taką samą bezładną zbieraniną jak Irlandczycy. A otwarty atak na Anglików doprowadzi do katastrofy.

W tym momencie wtrącił się jeden z mężczyzn, których przysłał Aodh Mór O'Néill, żeby wezwać do broni Ui'Corra.

- Nie dojdzie do otwartej bitwy, panie Kirchberg. My, Irlandczycy, znamy Anglików

lepiej niż wy i wasi ludzie.

Wpadną w przygotowaną przez nas pułapkę i pokonamy ich naszym sposobem.

- Ilu ludzi prowadzi sir Henryk Bagenal na północ? - zapytał Szymon. To, że użył szlacheckiego tytułu, wspominając Anglika, wywołało niezadowolenie Irlandczyków, lecz Oisín nakazał im gestem milczenie.

- Około dwóch tysięcy, przede wszystkim piechoty - odpowiedział posłaniec O'Neilla.

- A ilu ludzi będzie mógł poprowadzić twój pan? - dopytywał się Szymon.

Posłaniec spojrzał na niego oburzony.

- Aodh Mór jest moim przywódcą na wojnie, ale nie jest moim panem! Jestem wolnym Irlandczykiem i posiadam własną ziemię. A liczymy na sześć tysięcy wojowników. Będziemy mieć trzykrotną przewagę.

- I mimo to nie zdecydujecie się na otwartą bitwę? - zarzucił mu Szymon.

- To nie jest kwestia wyboru. O'Neill oblega jedną z fortec wzniesionych przez Bagenala. Jeśli ją zdobędzie, przerwie pierścień, którym Anglicy chcą nas otoczyć.

Lecz Bagenal już wyruszył, żeby wesprzeć swoich ludzi.

Jeśli mu nie przeszkodzimy, jeszcze bardziej umocni się w Uladh. Musimy pokonać Bagenala. Albo dołączacie do nas, albo wsiadacie na najbliższy statek i opuszczacie Irlandię.

Ferdynand rozumiał, co tak wzburzyło posłańca. Ktoś, kto nie znał Szymona, mógł wziąć jego słowa za przejaw tchórzostwa. A przecież przez Szymona przemawiała wyłącznie ambicja. Chciał pokazać Ui'Neill, a także Ui'Corra, jak potrafi walczyć jego dobrze wyszkolona kompania. Lecz do tego potrzebował takiej broni jak zawsze, a tego na razie Oisín O'Corra nie był w stanie im zapewnić.

Szymon rzucił Irlandczykowi pogardliwe spojrzenie.

- Powiedz Hugh O'Neillowi, że moi ludzie będą walczyć. Lecz żeby zwyciężyć, potrzebuję muszkietów i długich pik, a nie zabaweczek, jakimi posługują się Irlandczycy!

Ton Szymona, a także użycie angielskiej formy imienia Aodha O'Neilla, nie spodobały się Irlandczykom.

Niektórzy zaczęli pomstować na aroganckiego Niemca, lecz ich słowa spływały po nim jak woda po kacze.

Zwrócił się do Hufeisena.

- Zadbaj, by nasi ludzie zaczęli przygotowania do wymarszu.

- Tak jest! - Hufeisen skinął głową i pośpieszył do wielkiej stodoły, którą Oisín wyznaczył na kwaterę dla Niemców. Zaraz potem na zamku rozległ się jego donośny głos:

- Wstawać i szykować się do wymarszu! I to już, psiajuchy!

Paru Irlandczyków się uśmiechnęło, natomiast Ferdynand był zły. Przecież kuzyn powiedział mu, że to on jest jego zastępcą. Lecz jak zwykle Szymon go pomiął, przekazując rozkazy do wykonania Hufeisenowi.

Prawdopodobnie byłoby inaczej, gdyby dotarli do Irlandii ze wszystkimi ludźmi i całym uzbrojeniem, uznał i także skierował się do kwatery. Po drodze napotkał Ciarę, która wyglądała na zagubioną.

- Będę zbierać dla was głowy Anglików, oczywiście tylko w przenośni!

Ciara się roześmiała.

- Mam nadzieję, że walczyć będziecie nie w przenośni, tylko rzeczywiście porządnie dokuczycie Anglikom.

- Oczywiście! Dla was! - Ferdynand uklonił się i pośpieszył spakować swoje rzeczy.

Szymon obserwował ich oboje, mrużąc oczy. Nie podobała mu się zażyłość, jaką wyczuł pomiędzy dziewczyną a swoim kuzynem. Do tej pory uważał, że wystarczyłoby parę jego słów, a Ciara ofiarowałaby mu swoje dziewictwo. Powstrzymywał się dotąd, by nie urazić jej brata i żeby ten nie zaczął go zmuszać do poślubienia dziewczyny. Ale to nie znaczyło, że był gotów zrezygnować z tej ciemnowłosej piękności na rzecz swojego głupkowatego kuzyna.

Żeby nie zostać w tyle za Ferdynandem, także podszedł do Ciary.

- Życzcie mi szczęścia, panno Ciaro! Wyruszam na bitwę, by dać Irlandii wolność.

- Życzę wam całego szczęścia świata, tiarna Szymonie!

Ciara użyła irlandzkiego odpowiednika słowa „pan”, by mu pokazać, jak bardzo go ceni.

Lecz Szymon, nie rozumiejąc irlandzkiego, zmarszczył czoło. Szybko jednak odpędził wątpliwości i zapytał Ciarę, czego chciał od niej Ferdynand.

- Obiecał przynieść mi głowy Anglików, których pokona w walce - odpowiedziała ze śmiechem.

- Co za dureń! Nawet raz nie spojrzał wrogowi w oczy, a już zachowuje się tak, jakby był Herkulesem i Samsonem w jednej osobie. - Szymon podkreślił swoje słowa pogardliwym machnięciem ręki i pożegnał się z Ciarą.

Gdy szedł w stronę kwatery swoich ludzi, żeby przyśpieszyć ich przygotowania, Ciara patrzyła za nim zamyślona. Był bohaterem, Oisín wielokrotnie to podkreślał. Lecz jej nie podobało się, że ciągle umniejsza zasługi kuzyna. Może Ferdynand nie jest doświadczonym wojownikiem, lecz jest odważny i na pewno wiele się jeszcze nauczy.

Postanowiwszy nie myśleć dłużej o młodym Niemcu, skierowała się w stronę obory.

Gdy weszła do środka, uświadomiła sobie, że nie będzie już trzeba karmić mężczyzn, którzy opuszczą zamek. Nie musiała więc decydować, którą krowę zaszlachtować, a to poprawiło jej humor.

2

A więc tak wygląda wojna - pomyślał Ferdynand na widok mężnych postaci, które zebrały się na wielkiej polanie. Choć hufiec Oisina O'Corry wraz z niemieckimi żołnierzami liczył zaledwie dwustu mężów, stanowił jedynie drobną część armii, którą zwołał Aodh Mór O'Néill. Ferdynand całą zimę uczył się irlandzkich symboli i odznak, ale potrafił rozpoznać tylko wojowników Ui'Corra i Ui'Néill. Widok jednego oddziału nieco go zdziwił, ponieważ mężczyźni nie nosili spodni, tylko kraciaste spódniczki, a przez ramiona mieli przerzucone koce w identycznych barwach. Ich uzbrojenie składało się z lekkich muszkietów, a niektórzy mieli dodatkowo długie miecze przypięte do pleców.

- To Szkoci - wyjaśnił Ferdynandowi Hufeisen.

- Dokładnie rzecz biorąc, katolicy Szkoci, którzy nie zarazili się rozprzestrzeniającym się w ich kraju kacerstwem - dodał Aithil O'Corra. Jego ton zdradzał zły humor, ponieważ Oisin kazał mu zostać z Niemcami i dbać, by wypełniali jego rozkazy.

- To Szkoci nie są Anglikami? - zapytał Ferdynand.

Aithil O'Corra roześmiał się na cały głos.

- Nie, na litość boską! Nazwij któregoś z nich Sasanach, to odetnie ci głowę.

- Słyszałem, że na północ od Ulsteru, czyli waszego Uladh, żyją Szkoci, którzy trzymają z Anglikami.

- Zgadza się! Ale to heretycy, bezbożnicy, których należy wytępić - wtrącił ojciec Maitiú.

Kapłan do tej pory bardziej troszczył się o kobiety i dzieci Ui'Corra niż o wojowników. Lecz ponieważ w końcu miała się połączyć angielska krew, dołączył do Oisina i jego ludzi, by wesprzeć ich miecze swoją modlitwą. Teraz śpieszył od jednego wojownika do drugiego, by udzielić im rozgrzeszenia, lecz nie omieszkał włączyć się do rozmowy.

- Szkoccy heretycy są jeszcze gorsi niż angielscy, bo są tej samej krwi co my i mówią tym samym językiem - kontynuował donośnym głosem. - I jednych, i drugich należy wytępić i odesłać do piekła, do ich pana, szatana.

Daj Boże, by nasze miecze poczerwieniały dziś od krwi heretyków i żeby nasi wojownicy mogli powiesić sobie u pasów ich głowy!

- Co mówi kapłan? - zapytał Hufeisen, który nie zrozumiał irlandzkiej przemowy ojca

Maitiú.

Ferdynand przetłumaczył ją dla niego, wywołując uśmiech podoficera.

- Mamy przyczepiać sobie do pasów głowy Anglików?

Osobiście wolałbym napletki, które król Dawid obciął Filistynom. Nie są takie ciężkie.

Ferdynand przypomniał sobie o obietnicy, którą złożył Ciarze, sięgnął po miecz i wyciągnął go z pochwy.

Szymon, który właśnie wrócił z narady z dowódcą, zobaczył to i potrząsnął głową.

- Schowaj broń, chłopcze! Bo jeszcze przez nieuwagę zabijesz kogoś z naszych.

Ferdynand posłuchał go, mamrocząc coś pod nosem, i poprzysiął sobie, że udowodni kuzynowi, że on także jest wartościowym wojownikiem.

Szymon nie zwrócił uwagi na zaciętą minę Ferdynanda, tylko skinął na niego i Hufeisena, żeby za nim poszli.

- Ruszemy naprzód! - oznajmił. - Nasi zwiadowcy znaleźli Anglików. Tak jak spodziewał się Hugh O'Neill, maszerują drogą z Newry i wkrótce dotrą do pierwszych fortyfikacji. Tam O'Neill przeprowadzi atak. My zostaniemy na razie w odwodzie, na wypadek, gdyby Anglicy gdzieś się przedarli.

- To znaczy, że mamy czekać, podczas gdy Irlandczycy będą walczyć? - zapytał skonsternowany Ferdynand.

- Tak zdecydował Hugh O'Neill! - Szymon przemilczał, że zrobił to za jego namową. Nie miał ochoty przedzierać się przez leśne poszycie, by atakować wroga ze wszelkich możliwych kierunków. Irlandczycy mogli tak robić, ale w jego oczach byli tchórzami. On wolał walczyć w otwartym polu, na którym jego ludzie byli w stanie przeprowadzać wyćwiczone manewry.

Cyriakus Hufeisen był równie rozczarowany jak Ferdynand. Nic jednak nie powiedział, tylko poszedł do żołnierzy i tam wszystko z siebie wyrzucił.

- Wygląda na to, kamraci, że przyszliśmy tu nadaremno.

Mamy przepuścić Irlandczyków przodem i będziemy mogli zaatakować dopiero wtedy, gdy zagrozi im lanie od Anglików.

- Kapitan nie może tego od nas żądać! Przybyłem tutaj, żeby walczyć z heretykami, a nie żeby się przyglądać, jak robią to inni! - wykrzyknął z oburzeniem jeden z Niemców.

- Powiedz to kapitanowi! Moim zdaniem to nic nie da.

- Rozgniewany Hufeisen wbił swoją pikę w ziemię i patrzył, jak Irlandczycy i sprzymierzeni z nimi Szkoci znikają w lesie. Wkrótce na polanie został już tylko ich hufiec

oraz Aithil O'Corra, któremu coraz bardziej dokuczało zadanie, jakie przydzielił mu przywódca klanu.

Po chwili nie wytrzymał i podszedł do Szymona.

- My też powinniśmy ruszyć w kierunku wroga, Kirchberg. Chyba że sądzicie, iż Anglicy, jeśli się przedrą, wyjdą akurat prościutko na nas.

Ton jego głosu był tak obraźliwy, że Szymon spochmurniał.

- Nie! Ale zarówno O'Neill, jak i O'Corra będą wiedzieć, dokąd wysłać posłańców, żeby do nas dotarli.

- Dotrą do nas także wtedy, gdy będziemy bliżej wroga.

I wtedy będą mieli krótszą drogę. Chodźmy więc! - Z tymi słowami Aithil O'Corra wyciągnął miecz i położył go sobie na ramieniu. Ferdynand natychmiast do niego dołączył.

Po krótkim wahaniu Szymon też zaczął się zbierać. Nie odpowiadało mu, że Aithil mianował się jego dowódcą, lecz nie pozostało mu nic innego, jak ruszyć za Irlandczykiem, jeśli nie chciał stracić szacunku swoich ludzi, a także zaufania zleceniodawców.

Nagle rozległy się wystrzały z muszkietów i krzyki.

- Walka! - wrzasnął Ferdynand i ruszył naprzód.

- Zostań na miejscu, głupcze! - Szymon rzucił swojemu kuzynowi pogardliwe spojrzenie, ale sam też przyspieszył kroku. Po chwili dogonili grupę Irlandczyków, którzy strzelali z muszkietów do wroga, ledwo widocznego za drzewami.

- Co się dzieje? - zapytał Aithil O'Corra.

- W porządku. Mamy Anglików w kleszczach - odpowiedział jeden z walczących, ładując swój muszkiet z prędkością, jakiej Ferdynand nigdy jeszcze nie widział.

- Co mamy robić? - zwrócił się młody Niemiec do Aithila.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Szymon:

- Poczekamy, aż otrzymamy rozkaz ataku, a wtedy uderzymy całą mocą!

- I znowu czekanie! - burknął niezadowolony Hufeisen.

- Niedługo Irlandczycy uznają nas za tchórzy.

Szymon obrócił się, by udzielić mu reprimendy. Nagle rozległ się krzyk:

- Uwaga, tam z przodu przebija się grupa Anglików!

- To chyba coś dla nas! - Hufeisen spojrzał z uśmiechem na swojego dowódcę i mocno chwycił pikę.

Szymon wymienił spojrzenie z Aithilem i zobaczył, że ten kiwa głową i wyciąga miecz.

- Kirchberg, za mną! Utrzymujcie zwarty szyk.

„Jak mamy to zrobić pośród tylu drzew?” - miał ochotę zapytać Ferdynand, który ruszył jeszcze przed pierwszym szeregiem, jak przystało kuzynowi dowódcy i jego zastępcy.

Irlandczycy wkrótce zostali za nimi w tyle, lecz nigdzie nie widzieli wroga. Po chwili jednak Ferdynand dostrzegł przed sobą jaśniejszy pas ziemi i zrozumiał, że zbliżają się do duktu, którym prowadzi droga. Nie miał czasu, żeby się rozejrzeć, gdyż nagle pojawili się przed nimi uzbrojeni w napierśniki i hełmy wojownicy, którzy natychmiast ich zaatakowali.

- To jeszcze paru żałosnych Irlandczyków! - wykrzyknął jeden z nich w dialekcie, który Ferdynand ledwo zrozumiał.

Zanim wrogowie zdążyli zauważyć swoją pomyłkę, muszkietery Kirchberga oddali salwę, która powaliła większość Anglików. Zaraz potem rozległ się szczeł metalu.

Ferdynand znalazł się naprzeciwko dwóch Anglików, którzy rzucili się na niego z dzikim rykiem. Na moment ogarnął go lęk, lecz gdy ujrzał zbliżające się ostrze, wykonał doskonale wyćwiczony unik i sam skutecznie zaatakował. Widział, jak jego przeciwnik z krzykiem opada na ziemię, a jednocześnie o włos uniknął uderzenia drugiego Anglika. Przypomniał sobie, czego uczył go stryj, a potem kuzyn Andrzej, i postarał się uspokoić. Dwa razy odparł atak napastnika, a potem dostrzegł swoją szansę i wbił Anglikowi czubek miecza w nasadę szyi tuż nad napierśnikiem.

W ten sposób pozbył się drugiego wroga i zaczął się rozglądać za kolejnymi. Dostrzegł jednak tylko martwych albo ciężko rannych na ziemi, podczas gdy reszta Anglików, zaskoczona silnym oporem żołnierzy Kirchberga, brała już nogi za pas.

- Nie mówcie, że już zwyciężyliśmy! - wykrzyknął zdumiony.

- Tutaj tak! A jak jest gdzie indziej, to trudno powiedzieć - odparł ze śmiechem Hufeisen.

- Anglicy uciekają - oznajmił Aithil O'Corra, wycierając zakrwawione ostrze swego miecza w odzienie zabitego przeciwnika.

Ferdynand poszedł jego śladem, zastanawiając się, czy rzeczywiście dzielnie walczył, czy też miał po prostu więcej szczęścia niż rozumu.

3

Wiść o zwycięstwie nad Anglikami dotarła do zamku Ui'Corra lotem błyskawicy. Ciara z radości aż zatańczyła na dziedzińcu, a Saraid wydała z siebie okrzyk, który odbił się od murów głośnie echem. Kuzynka Ciary wydzielala dotąd bardzo skromne porcje jedzenia i picia, ale teraz kazała zarznąć krowę i kilka baranów oraz przygotować miód, żeby odpowiednio uczcić zwycięstwo po powrocie taoiseacha i jego wojowników.

Buirre zachowywał się tak, jakby podzielał tę radość, lecz tak naprawdę nie bardzo odpowiadało mu to, że inni mieli okazję wykazać się w bitwie. Jego ambicja tak ostatnio urosła, że pragnął być drugą osobą w klanie po Oisinie O'Corze. Lecz jeśli Aithil dzielnie walczył, będzie mu trudno go prześcignąć. Także inni wojownicy, z którymi się dotąd nie liczył, mogli bohaterskimi czynami w boju zyskać uznanie taoiseacha i zagrozić jego pozycji.

Buirre O'Corra udał się do kuchni, lecz zastał tam tylko Maeve, która za jego staraniem zaczęła pracować jako dziewczyna kuchenna.

- Daj mi miodu! - rozkazał niemiłym tonem.

- Co wam jest? - zapytała zdziwiona, napełniając trunkiem duży kubek.

Buirre opadł na ławę i najpierw napił się miodu, a dopiero potem odpowiedział.

- O'Néill i Oisin pobili Anglików.

- Mówicie to tak, jakby wam było z tego powodu przykro! A przecież im więcej heretyków zginie, tym lepiej. Może byli pośród nich ci, którzy wtedy... - Maeve urwała, bo nie chciała mu przypominać, że zgwałcili ją angielscy żołnierze.

- Nie jest mi przykro z powodu zwycięstwa nad Anglikami, tylko dlatego, że nie mogłem przy tym być.

Najchętniej sam roztrzaskałbym łby paru łotrom.

Maeve pokiwała głową w zamyśleniu.

- Z pewnością! Po taoiseachu jesteście najlepszym wojownikiem w klanie, może nawet lepszym od niego.

Aż tak wysoko Buirre sięgać nie zamierzał. Lecz miejsce tuż za Oisinem kusilo go. Zastanawiał się, jak mógłby je zdobyć.

- Na następną bitwę idę z nimi. Niech taoiseach zostawi zarządzanie zamkiem i majątkiem jakiemuś innemu wojownikowi.

„A ja dzięki każdemu zabitemu Anglikowi wespnę się o krok wyżej” - dodał w duchu. Pomyślał sobie, że przydałoby mu się trochę pociechy, więc kazał Maeve podejść bliżej.

- Wszyscy są na zewnątrz i wrzeszczą z radości. To znaczy, że mamy czas dla siebie!

Choć Maeve we wszystkim była mu uległa, gwałtownie potrząsnęła głową.

- A co będzie, jeśli ktoś tu wejdzie i nas zobaczy?

- Nikt tu nie wejdzie! - Buirre zamknął drzwi od kuchni, chwycił Maeve i położył ją na ławie na plecach.

Ponieważ wyczuła, że nie da się go powstrzymać, podciągnęła suknie i zaczęła się modlić, żeby szybko skończył. Choć wszyscy na zamku wiedzieli, że jest jego kochanką, dopóki robili to w tajemnicy, nikogo to nie obchodziło, może poza Saraid i Ciarą. Lecz nikt

by im nie wybaczył, że robią to tutaj, w kuchni, w królestwie Saraid, którym rządziła równie niepodzielnie, jak królowa Elżbieta Anglią.

Buirre był jednak zbyt wściekły, żeby się tym przejmować. Wziął Maeve brutalnie, nie zważając na jej błagania, żeby był delikatniejszy.

Nagle otwały się drzwi i do kuchni weszła Saraid.

Słyszała z zewnątrz stękanie Buirre'a, ale nie spodziewała się, że mąż przyniesie jej hańbę akurat w kuchni. Szybko podeszła do wielkiego wiadra, w którym dziewczki przynosiły wodę ze studni, i jednym zamachem wylała jego zawartość na kopulującą parę.

Zimna ulewa ostudziła namiętność Buirre'a. Odwrócił się oburzony i popatrzył prosto w czerwoną od gniewu twarz Saraid.

- Ty stary capie! - zaczęła na niego wrzeszczeć. - Ty przeklęty szatański pomioście! Wszyscy wiedzą, że pieprzysz tę dziwkę, ale to mnie nie obchodzi. Lecz nigdy bym się nie spodziewała, że zrobisz to akurat w tej części zamku, za którą jestem odpowiedzialna. Chuć pozbawiła cię chyba resztek rozumu. O Święta Mario, Matko Boża!

Dlaczego pozwoliłaś, żebym trafiła akurat na tak pozbawionego honoru człowieka! Angielski parobek byłby lepszy niż ten zepsuty do szpiku kości Irlandczyk!

Buirre próbował powstrzymać potok słów Saraid, lecz ona cały czas mówiła. Był tak zdenerwowany, że nie udało mu się nawet porządnie włożyć spodni. Gdy chciał ruszyć w stronę żony, potknął się o nie i przewrócił.

Wściekły zerwał się z podłogi i chwycił miotłę, żeby obić Saraid jej trzonkiem.

Wtedy nadeszła Ciara, której uwagę przykuł rozgniewany głos kuzynki. Natychmiast wysunęła się przed Saraid i zgromiła Buirre'a wzrokiem.

- Nie waż się uderzyć, Buirze O'Corra! Będziesz tego żałował aż do śmierci - ofuknęła go.

Do tej pory uznawała autorytet Buirre'a, ponieważ brat mianował go zarządcą zamku. Lecz teraz koniec. Drugi raz nie pozwoli, żeby pobił jej kuzynkę.

Przez chwilę sama ryzykowała, że oberwie od Buirre'a, bo ten w swej wściekłości prawie nad sobą nie panował.

Lecz hałas w kuchni przyciągnął kolejnych ciekawskich.

Do środka wpadł Ionatán i chwycił za miecz. To sprawiło, że Buirre się opamiętał. Gdyby Ionatán przebił go mieczem, nikt nie miałby do niego pretensji. Przecież popełnił zdradę małżeńską z jego żoną, więc miał prawo żądać satysfakcji.

Buirre poczuł lęk. Dopóki spotykał się z Maeve w tajemnicy, Ionatán był dla wszystkich durniem, który nie potrafi upilnować własnej żony. Teraz jednak byli świadkowie

jego relacji z Maeve, więc znalazł się w niebezpieczeństwie. Choć był bardziej doświadczonym wojownikiem niż były parobek, to jednak ten mógł go w każdej chwili dźgnąć od tyłu, za co w najgorszym razie musiałby odbyć pielgrzymkę do jakiegoś świętego miejsca w Irlandii.

W końcu Buirre'owi udało się naciągnąć spodnie i zapiąć pasek, a potem bez słowa wyszedł z kuchni.

Maeve pobiegła za nim, nie patrząc ani na Saraid, ani na swojego męża. Ona też się bała i przeklinała w duchu Buirre'a, że koniecznie musiał ją wziąć w kuchni. Gdy mijala Ionatána, on wyciągnął po nią rękę, ale jej nie zatrzymał.

Zamiast tego zwrócił się z zaciętą miną do Ciary.

- Ta kobieta nie jest już moją żoną. Prędzej zostanę mnichem niż wpuszczę ją do swojego łóżka.

- Mnichem? A skąd taki pomysł? - zapytała Saraid z resztką ironii, na jaką było ją stać.

Ciara podeszła do Ionatána i chwyciła go za ramiona.

- Jesteś wojownikiem Ui'Corra! Dopóki Irlandia nie jest wolna, nie możesz zamienić miecza na modlitewnik.

Rozumiesz?

- Tak, pani! - Ionatán pochylił głowę, ale zaraz potem podniósł wzrok z gorzkim uśmiechem. - To nie boli! Ona zerwała nasz związek w dniu, w którym Anglicy napadli na naszą wioskę. Niech żyje tak, jak chce, i niech będzie szczęśliwa. Ja będę walczyć za Irlandię.

- Jeśli to nadal będzie potrzebne po wielkim zwycięstwie, które odnieśli nasi - wtrąciła jakaś służąca.

Ciara odwróciła się do niej z poważną miną.

- My, Irlandczycy, odnieśliśmy już wiele zwycięstw, a mimo to Anglicy za każdym razem wracali. Tym razem będzie tak samo. Wracajcie do pracy! Trzeba przygotować ucztę, a od gadania nie napelniaj się ani spizarnie, ani kadzie z miodem.

Ktoś się roześmiał po tej uwadze, lecz Ciara czuła, że gniew na Buirre'a i Maeve zepsuł jej radość ze zwycięstwa.

4

Trzy dni później zwycięscy wojownicy zjawili się pod zamkiem. Chorągiew Oisina łopotała wesoło na wietrze, a on sam śmiał się z taką radością, jakiej Ciara nigdy dotąd u niego nie widziała. Przesunęła wzrok z brata na mężczyznę, do którego wciąż należało jej

serce.

Szymon von Kirchberg siedział na koniu. A więc bił się na tyle dzielnie, że przy podziale łupów otrzymał tego potężnego ogiera. Jego ludzie także byli odmienieni.

Niemal połowa z nich miała teraz zdobyczne muszkiety, a pozostali długie piki, które też musieli zabrać Anglikom.

Wielu żołnierzy nosiło teraz angielskie napierśniki i hełmy. W sumie Niemcy wyglądali tak dostatnio, że Ciara zaczęła wierzyć, że naprawdę pomogą w uwolnieniu Irlandii. A wtedy Szymon von Kirchberg otrzyma w podziękowaniu ziemię i stanie się w Irlandii na tyle potężnym człowiekiem, że będzie się mógł ubiegać o rękę siostry przywódcy klanu.

Inni jednak potraktowali marsowy wygląd niemieckich żołnierzy z ironią.

- A skąd wy wracacie?! - wykrzyknął ze śmiechem Toal. Pastuszek tym razem nie mógł jeszcze wyruszyć razem z wojownikami, a swoje rozczarowanie rekompensował sobie teraz kosztem Niemców, z których nieliczni znali po parę irlandzkich słów.

- Czego chce ten młokos? - zapytał Hufeisen Ferdynanda.

Młody Kirchberg też potrzebował pomocy Aithila O'Corry, żeby się dowiedzieć, co powiedział chłopiec.

- Nie wiem, o co mu chodzi. Przecież w końcu mamy odpowiednie uzbrojenie - odparł Hufeisen, gdy Ferdynand przetłumaczył mu uwagę pastuszka.

Toal jednak jeszcze nie skończył.

- Cóż, wygląda na to, że musicie teraz uważać, żeby nie wzięli was za Anglików i z miejsca nie ubili.

Tym razem Hufeisen musiał coś odpowiedzieć.

A Ferdynand przyjrzał się swoim ludziom i porównał ich w duchu z Anglikami, którym odebrali uzbrojenie.

- To podobieństwo jest rzeczywiście fatalne. Musimy coś z tym zrobić - powiedział do Aithila O'Corry.

Ten z uśmiechem skinął głową.

- U nas nie byłoby tak źle, ale będziemy brać udział w wyprawach, na których spotkamy oddziały innych klanów, a one rzeczywiście uznają was za Anglików.

- To może zamiast swojego odzienia włożymy irlandzkie ubrania? - zaproponował Ferdynand.

- To niezbyt dobry pomysł. Anglicy zwerbowali trochę zdrajców i wyposażyli ich w swoją broń, a chyba nie chcecie wyglądać jak tacy zaprzańcy - odparł Aithil, unosząc dłoń w

obronnym gościem.

- Może wymalujemy czarny krzyż na zbrojach i tunikach!

Aithil znowu potrząsnął głową.

- Wielu angielskich żołnierzy nosi czerwone krzyże.

W ciemnościach lasu wyglądają jak czarne i mogłyby się mylić.

Ferdynand zmarszczył czoło.

- Przecież musi być jakieś rozwiązanie!

- Coś wymyślimy! - Oisín O'Corra usłyszał ich rozmowę i uspokajająco uniósł dłoń. -

Dziś świętujemy nasze zwycięstwo. Chodźcie do sali! Ciaro, Saraid, zajmijcie się strawą i miodem. Takiego dnia jak dzisiaj od dawna w Irlandii nie było.

- Wszystko już gotowe! - wykrzyknęła Saraid, którą ucieszył wyjątkowy humor przywódcy. Potem jednak zobaczyła, że do Oisína podchodzi Buirre, i odwróciła się z prychnięciem.

Ciara została przy bracie, żeby móc natychmiast stawić Buirre'owi skuteczny opór. Buirre miał zaciętą minę i rzucił jej wściekłe spojrzenie. A więc naprawdę zamierza porozmawiać z Oisínem i wpłynąć na niego na swoją korzyść.

- I jak było? Ubiliście wielu Anglików? - zapytała, by odwrócić uwagę Oisína od Buirre'a.

Jej brat uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Setki! Byłoby jeszcze więcej, ale zaczęli zmykać jak zające. Poza tym strzelcom O'Néilla skończył się proch.

Gdyby nie to, uciekłyby zaledwie garstka.

- W takim razie było to wielkie zwycięstwo, które jednak mogło być jeszcze większe - odparła po namyśle Ciara. - Powiedźcie mi jednak, jak bili się Niemcy?

„A przede wszystkim Szymon von Kirchberg” - dodała w myślach.

- Wyśmienicie! Udaremnili próbę przedarcia się Anglików i zabili wielu z nich, a zapłacili za to tylko dwoma rannymi. - Oisín zdał krótką relację z działania Niemców, ani słowem jednak nie wspomniał o Szymonie, więc Ciarze nie pozostało nic innego, jak o niego zapytać.

- Pan Szymon też pewnie dzielnie walczył?

- Dowódca musi być przykładem dla swoich żołnierzy - odpowiedział jej sam Szymon. - Podobnie jak mój kuzyn, nie oszczędzałem miecza. Ofiarą naszych kling padło paru Anglików, między innymi jeden sierżant i nawet jakiś oficer!

- Och, doprawdy! - Ciara z radości najchętniej uściskałaby Szymona.

Ponieważ była w niego zapatrzona, nie zauważyła ironicznego uśmiechu brata ani grymasu niezadowolenia, który przemknął przez twarz Ferdynanda. To on zabił sierżanta i oficera, a Szymon tylko jednego zwykłego żołnierza. Teraz kuzyn przedstawił wszystko tak, jakby to on dokonał największych czynów.

Zły nastrój szybko mu jednak minął, ponieważ Ciara zwróciła się do niego z wesołym śmiechem.

- Wygląda na to, że możecie mi złożyć u stóp pierwszą głowę Anglika.

- Uczynię to z radością! - odparł Ferdynand, a Hufeisen uniósł dwa palce prawej dłoni.

- Możecie doliczyć jeszcze jedną głowę, panno Ciaro. Nasz młokos bił się naprawdę znakomicie.

- A jakże miał inaczej? W końcu to taki sam Kirchberg jak ja - wtrącił lekceważącym tonem Szymon. Nie w smak mu było, że Hufeisen tak chwali jego kuzyna.

Gdy zaraz potem zasiedli w sali, a służące postawiły na stołach pierwsze kubki z miodem, znalazł okazję, żeby wychwalać własną dzielność, a czyny Ferdynanda przedstawiać tak, jakby tamten mógł ich dokonać tylko dlatego, że on sam zostawił mu łaskawie obu Anglików.

- Jesteście tacy szlachetni - pochwaliła go Ciara, która zignorowała karcące spojrzenie brata i usiadła przy stole obok Szymona.

- Zawstydzacie mnie - odpowiedział mile polechtany Szymon. - Robiłem tylko to, co do mnie należało.

- Jesteście mężem nie tylko szlachetnym, ale i skromnym - powiedziała Ciara, która wierzyła w każde jego słowo.

Hufeisen, który siedział przy stole kawałek dalej, usłyszawszy jej słowa, aż się zakrztusił. Kaszląc, ze łzami w oczach poprosił Ionatána, żeby go klepnął w plecy. Ten chętnie to uczynił, gdyż Niemcy traktowali go z szacunkiem, podczas gdy Irlandczycy słuchali Buirre'a i patrzyli na niego z góry, bo kiedyś był parobkiem.

Ferdynand też usłyszał, jak Ciara chwali jego kuzyna.

Choć nie żałował mu pochwał, to jednak był zazdrosny.

Wolałby, żeby Ciara wychwalała jego czyny i jego charakter, nawet jeśli nie mógł się równać z kuzynem. Nie dość, że był młodszy, to jeszcze nie miał doświadczenia jako dowódca.

Lecz Ferdynand także doczekał się pochwały, choć nie od Ciary, tylko od Aithila O'Corry, którego niejedną raz zirytowało to, że Szymon ciągle się wahał.

- Ten młokos walczy jak prawdziwy Irlandczyk - powiedział i ze śmiechem poklepał

Ferdynanda po ramieniu. - Przynieście miodego mężowi, któremu powierzyłbym własne życie!

Polecenie dotyczyło dziewczek i służących, którzy biegali po sali z wielkimi dzbanami, żeby natychmiast uzupełniać opróżnione kubki. Bríd od razu do nich podeszła. Jej ładna, pokryta piegami twarz aż promieniała, gdy napełniała kubek Ferdynanda. Potem odstawiała dzban i zanim się obejrzał, pocałowała go dwa razy.

- Za każdego Anglika, którego ubijecie, dostaniecie ode mnie całusa - powiedziała ze śmiechem i zabrała z powrotem dzban.

Gdy zaskoczony Ferdynand patrzył, jak służąca odchodzi, rozległ się głos Hufeisena.

- Mnie też możesz przynieść miodego, dziewczyno, a oprócz tego dać mi trzy całusy! Choć co do trzeciego Anglika nie mam pewności, czy posłałem go do piekła, czy tylko zraniłem. Zabrało go paru jego kamratów.

Aithil przetłumaczył ciężką angielszczyznę Hufeisena na irlandzki, a potem kazał Bríd pocałować także podoficera.

Dziewczyna się wahała, ponieważ co innego całować dwudziestoletniego młodzieńca, a co innego groźnego męża z gęstą brodą. Ponieważ jednak żądanie głośno poparli irlandzcy wojownicy, którzy widzieli, jak walczył Hufeisen, podeszła nieśmiało do Niemca i znalazła się w jego ramionach.

Stary wiarus przycisnął usta do jej warg i przytrzymał długo, po czym z powrotem zwrócił się do Aithila.

- Jak sądzicie, to wystarczy za jednego czy od razu za trzech?

- Powiedziałbym, że za trzech, bo umrzemy wszyscy z pragnienia, zanim pocałujecie ją drugi raz - odparł ze śmiechem Aithil, unosząc puchar. - Za nasze zwycięstwo i za dzielnych ludzi, którzy je wywalczyli!

Wszyscy natychmiast zerwali się z miejsc i wypili toast.

Oisín O'Corra uniósł dłoń, żeby się uciszyli.

- Świętujemy dziś wielkie zwycięstwo! Oby nastąpiło po nim wiele innych!

- My nie mamy nic przeciwko - oznajmił Hufeisen, gdy Oisín powtórzył swoje słowa po angielsku.

- Z całą pewnością - wtrącił Szymon von Kirchberg surowym tonem. - Zabijemy każdego nędznego heretyka, jakiego napotkamy. Napisałem już list do Rzymu, do Ojca Świętego, żeby przysłał nam posiłki i zapasy. Gdy tylko dotrą, wyruszymy na jedno z nadbrzeżnych miast i zdobędziemy je, żeby mieć bezpieczny port dla wszystkich, którzy zechcą nas wesprzeć w tej pobożnej walce.

- Dobrze mówi! - wykrzyknął ojciec Maitiú, chcąc o sobie przypomnieć.

- Niech to będzie port po zachodniej stronie, ale na tyle blisko, żebyśmy byli w stanie ochronić także prowadzące ku niemu drogi - zgodził się z nim Aithil O'Corra.

Oisin też pokiwał głową, choć znał własne ograniczenia. Uniemożliwiały one prowadzenie otwartej walki czy oblężenie któregoś z zajmowanych przez Anglików miast portowych. Żeby nie pozbawiać swoich ludzi ufności, której nabrali po pierwszym zwycięstwie, uniósł puchar.

- Przyjaciele, dziś świętujemy! O tym, jak będziemy walczyć dalej, postanowi rada wojenna. A teraz pijcie!

Dla niejednego z nas będzie to zapewne ostatni miód, jakim się uraczy. Lecz nawet jeśli walka będzie ciężka, pamiętajcie, że walczymy o słuszną sprawę!

- Wszyscy walczymy dla Boga! - wtrącił kapłan. - A naprzeciwko siebie mamy czarcie pomioty, które należy wytępić z powierzchni ziemi. Anglicy nie zasługują na litość. Zabijajcie ich, gdy tylko ich napotkacie! Zabijajcie też ich kobiety i dzieci, bo są tak samo zepsute przez szatana!

W głosie księdza było tyle nienawiści, że nawet twardzi żołnierze Szymona von Kirchberga wsunęli głowy między ramiona, choć nie zrozumieli słów kapłana.

Większość Irlandczyków postukała z aprobatą w stoły, a wraz z rosnącą liczbą wypitych kubków, groźby wobec Anglików stawały się coraz drastyczniejsze.

Po chwili Szymon von Kirchberg popatrzył z wyrzutem na swojego gospodarza.

- Chciałbym wnieść skargę! Mój do niczego niezdatny kuzyn i stary zabijaka Hufeisen dostali całusy od pięknego dziewczęcia, a ja bieduję.

- Gdzie Bríd? - zapytał ze śmiechem Aithil. - Skoro pocałowała już dwóch Niemców, to co jej szkodzi pocałować trzeciego? - Zaczął się rozglądać, lecz służki nigdzie nie było. Saraid zauważyła, że tamta wysączyła już sporo miodu, i nie chciała, żeby pijana dziewczyna pozwoliła na coś, czego wstydziłaby się następnego dnia.

Szymon von Kirchberg został na razie bez całusa. Lecz gdy wstał późną nocą i wyszedł z sali, żeby trafić do swojej kwatery, przed drzwiami napotkał czekającą na niego Ciarę.

- Wasza nagroda, mój bohaterze - szepnęła i delikatnie pocałowała go w usta. A potem uciekła tak szybko, że ramiona Szymona natrafiły na pustkę.

Rozzłościł się, bo choć był pijany, chętnie zabrałby dziewczynę do swojego łóżka. Nie pozostało mu jednak nic innego, jak zakląć cicho i przejść przez dziedziniec do komnaty, którą przeznaczył dla niego Oisin.

Po drodze przeszedł przez przypominający stodołę budynek, w którym w dwóch

pomieszczeniach rozlokowali się jego ludzie. Większość opuściła przyjęcie jeszcze przed nim i odsypiała teraz pijaństwo.

W przedniej części kolejnego pomieszczenia natknął się na swego kuzyna. Ferdynand też już spał, a żywa mimika świadczyła o tym, że coś mu się śni. Na ten widok przez twarz Szymona przemknął uśmiech. Ferdynanda pocałowała tylko prosta dziewczka, a jego dziewczka ze szlacheckiego rodu.

5

Zwycięstwo nad Anglikami i powrót wojowników pozwoliły na chwilę zapomnieć o napiętych stosunkach panujących na zamku Ui'Corra. Ciara nie zamierzała jednak godzić się dłużej na obecną sytuację, więc postanowiła, że następnego ranka porozmawia o wszystkim z bratem, zanim ten z jakiegoś powodu będzie musiał nieoczekiwanie opuścić zamek.

Na jej pukanie odpowiedział najpierw niechętny jęk.

W końcu usłyszała, że brat wstaje z łóżka i podchodzi do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczyła, że jest w samej koszuli i bardzo zaspany.

- To ty, Ciara! O co chodzi? Czy O'Néill przysłał posłańca, czy może to wiadomość o nowych ruchach angielskich oddziałów?

- Nic takiego. Chodzi o Saraid i Buirre'a, a pośrednio także o Ionatána i Maeve.

- Co się znowu stało? - Oisín jęknął i potarł bolącą głowę. - Czy możesz powiedzieć jakiejś dziewczce, żeby przyniosła mi wodę do mycia, tylko zimną, prosto ze studni, żebym się jakoś obudził?

- Mogę - odpowiedziała Ciara, rozczarowana, że bratu najwyraźniej bardziej zależy na tym, żeby się umyć niż na tym, żeby ją wysłuchać.

Oisín zauważył jej niezadowolenie i posłał jej słaby uśmiech.

- Tymczasem każ przygotować dla mnie śniadanie, a potem przynieś je do mojej komnaty. Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał i porozmawiamy o wszystkim.

- Dziękuję! Zaraz wracam.

- Daj mi chociaż czas na ochłodzenie sobie głowy - odpowiedział Oisín, krzywiąc się z bólu.

Zaraz potem jedna ze służących przyniosła wiadro wody i postawiła je na małym stoliku przy ścianie.

Drgnęły jej przy tym kąciki ust, jakby powstrzymywała się od uśmiechu, że nadmiar miodu zaszkodził taoiseachowi tak samo jak niemieckim żołnierzom.

Oisin nie zwracał na nią uwagi, tylko obiema rękami zaczerpnął z wiadra wody i oplukał sobie twarz.

- O, jak dobrze - westchnął, ściągnął koszulę i zaczął się myć.

- Potrzebujecie jeszcze czegoś, panie? - zapytała służka.

- Nie, niczego. Możesz wrócić do swoich obowiązków.

Dziewczyna prychnęła. Uważała się za urodziwą i miała nadzieję, że spodoba się przywódcy klanu.

W końcu Maeve złowiła sobie kogoś takiego jak Buirre.

Wyglądało jednak na to, że Oisin O'Corra nie jest taki prędko do kobiet jak zarządca jego zamku. Rozczarowana wyszła z komnaty, a w kuchni natknęła się na Bríd, która przygotowała dla Oisina miskę owsianki na śniadanie.

- Jeśli chcesz, możesz zanieść to panu - powiedziała Bríd.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Ty to zrób! Ja sprawdzę, czy pan Aithil czegoś nie potrzebuje. - Miała nadzieję, że wojownik nie będzie tak obojętny na jej wdzięki jak taoiseach.

Bríd wzruszyła ramionami i nalala jeszcze kubek miodu z niemal pustego dzbana. Potem postawiła wszystko na tacy i poszła do komnaty Oisina O'Corry. Ten właśnie się ubierał.

- Postaw to! - nakazał, nawet się nie odwracając.

Dziewczyna wykonała polecenie, dygnęła i wyszła.

Na zewnątrz spotkała Ciarę.

- Przyniosłaś śniadanie mojemu bratu?

- Tak, pani! - Bríd chciała ją minąć, lecz zatrzymał ją głos Ciary:

- Sprawdź, czy pan Szymon z Kirchbergu dostał już śniadanie.

- Chyba nie, bo bardzo późno poszedł spać - odpowiedziała Bríd, lecz przez małe okienko zobaczyła, że Niemiec właśnie wychodzi na dziedziniec, a wygląda przy tym tak rześko, jakby przespał całą noc. Schodząc na dół, Bríd pomyślała, że zabierze też śniadanie dla młodego kuzyna Szymona i mrukliwego Hufeisena. Rażno zabrała się do pracy.

Tymczasem Ciara weszła do komnaty swojego brata i natychmiast usłyszała pretensje.

- Kto powiedział, że mam dziś ochotę na miód na śniadanie?

- Przecież zawsze pijesz miód do śniadania - zdziwiła się Ciara.

- Ten jest już niedobry - burknął jej brat.

- Co takiego? - Ciara natychmiast chwyciła kubek i wypila łyk. - Cóż, moim zdaniem, z tym miodem wszystko jest w porządku - oznajmiła, odstawiając trunek.

- Mnie nie smakuje! - Oisín skrzywił się i zaczął grzebać łyżką w owsiance. Zanim zaczął jeść, popatrzył na Ciarę.

- Niech mi przyniosą coś innego do picia.

- Mogę ci przynieść wody albo kwaśnego piwa, które warzymy dla parobków i którego nigdy dotąd nie chciałeś.

- W głosie Ciary słychać było irytację, ponieważ odniosła wrażenie, że brat marudzi tylko po to, żeby uniknąć rozmowy z nią.

- Przynieś mi dzban piwa, a raczej każ mi go przynieść!

W tym czasie porozmawiamy.

- Oczywiście! - Ciara podeszła do drzwi i przywołała pierwszego parobka, którego zobaczyła. Kazała mu przynieść piwa, a potem zwróciła się do brata: - Wnoszę skargę na Buirre'a. Dopuszcza się nierządu z żoną Ionatána, Maeve.

- Nie jestem w stanie powstrzymać mężczyzn od zagładania pod spódnicę kobiet innych niż ich własne żony - odparł Oisín, machnąwszy z lekceważeniem ręką.

- Robili to w kuchni! Widziała to Saraid, ja i paru innych.

Ostry ton w głosie siostry dał Oisínowi do zrozumienia, że tak łatwo tego tematu nie odpuści.

- To rzeczywiście irytujące, że Buirre i Maeve zapomnieli się akurat w kuchni - odparł i zaczął się zastanawiać, jak ułagodzić siostrę, a przede wszystkim kuzynkę.

- Najgorszą zniewagą dla żony jest, gdy jej mąż uprawia nierząd z inną kobietą w jej własnej kuchni! - oznajmiła Ciara.

- Zapomniałaś o małżeńskim łóżu! To byłoby jeszcze gorsze.

Twarz Ciary aż pociemniała od gniewu, a z jej oczu posypały się iskry.

- To także moja kuchnia, a ja nie pozwolę, żeby Buirre zamienił ją w zamtuż! Żądam, żeby został za to ukarany.

Jeśli tak się nie stanie, ja i Saraid nawet palcem nie kiwniemy na tym zamku, przysięgam ci!

Oisín wiedział, jak bliskie są sobie jego siostra i kuzynka, i miał ochotę spoliczkować Buirre'a za jego głupotę. Lecz gdyby to zrobił, Buirre wypowiedziałby mu posłuszeństwo. Nie mógł tak ryzykować. Odłożył łyżkę, oparł oba łokcie na blacie stołu i uważnie przyjrzał się Ciarze.

- Rozumiem, że Saraid jest zła, ale nie mogę odprawić Buirre'a. Jest jednym z moich najlepszych wojowników i jednym z nielicznych, którym mogę powierzyć bezpieczeństwo naszego zamku, a zarazem twoje!

Powiedz to Saraid i poproś ją w moim imieniu, żeby okazała wyrozumiałość.

- Dopóki Buirre podczas twojej nieobecności na zamku będzie zgrywał pana i traktował nas jak służące, obie z Saraid założymy dłonie na podółkach i będziemy się przyglądać, jak sam zapędza ludzi do pracy! - Choć Ciara starała się, żeby jej głos brzmiał zdecydowanie, czuła, że tak naprawdę już się poddała.

Oisín też to zauważył, ale jednocześnie zrozumiał, że nie może już dłużej wyznaczać Buirre'a na kasztelana.

- Dobrze więc, skoro się upierasz, odwołam Buirre'a z funkcji zarządcy i zabiorę go ze sobą jako mojego zastępcę. Jego miejsce na zamku zajmie Aithil i to on będzie was chronił. Jesteś zadowolona?

Po krótkim namyśle Ciara pokiwała głową.

- Tak! Ale tylko dlatego, że jest wojna i nie możesz zrezygnować z Buirre'a. Ale jeśli jeszcze raz przyniesie naszej kuzynce taką hańbę, będziesz musiał postąpić inaczej.

To było dla Oisina oczywiste. Nie było nic złego w tym, że mężczyzna oprócz żony ma kochankę. Lecz pozycja Buirre'a w hierarchii klanu była niższa niż jego żony, więc musiał mieć na nią wzgląd. Spółkowanie z dziewczką w pomieszczeniu, które podlegało jej władzy, było niczym policzek, którego żadna szanująca się niewiasta nie mogła zaakceptować.

- Porozmawiam z Buirre'em - obiecał, żeby ułagodzić Ciarę.

Oboje wiedzieli jednak, że ta rozmowa ograniczy się do paru daremnych słów. Choć Ciara uważała, że mężowi Saraid się upiekło, była po części zadowolona, bo pozbyły się przynajmniej Buirre'a jako zarządcy zamku.

Miała nadzieję, że z Aithilem się dogada i że Saraid będzie tego samego zdania.

- Dziękuję! - powiedziała i ruszyła do drzwi.

- Ja też ci dziękuję! - Oisín z uśmiechem skinął głową, myśląc, że jego siostra ma temperament, ale w przeciwieństwie do większości niewiast, potrafi nad nim zapanować. A to w jego sytuacji było cenniejsze niż złoto.

Za drzwiami komnaty Ciara natknęła się na Gamhain, która wyraźnie dała jej do zrozumienia, że w życiu są ważniejsze sprawy niż kłótnie z bratem. Suka była rozbrykana i chciała na spacer. Ciarze nie pozostało nic innego, jak razem z nią opuścić zamek i wyruszyć na wędrowną. Nie miała więc zbyt wiele czasu, żeby pomyśleć o swoich sprawach.

6

W porównaniu z wielkimi bitwami owych czasów starcie pod Clontibret było zaledwie potyczką, lecz odbiło się echem, które dotarło aż do Londynu. Elżbieta, królowa Anglii, popatrzyła wyczekująco na mężczyzn, którzy właśnie weszli. Młodszy z nich podszedł szybkim krokiem do tronu, zostawiając swego towarzysza nieco z tyłu. Nie zadowolił się też jedynie ukłonem, tylko uklęknął przed królową i ujął jej prawą dłoń, żeby złożyć na niej pocałunek.

- Wasza Wysokość! - wykrzyknął, choć nie udzieliła mu głosu. - Angielskie sztandary zostały zbrukane! Ten dureń Bagenal pozwolił sobie przegrać bitwę z irlandzkimi dzikusami!

Elżbieta z westchnieniem przewróciła oczami, bo doskonale wiedziała, co teraz usłyszy.

Robert Devereux, hrabia Essex, kontynuował, nie zwracając uwagi na jej miny.

- Błagam Waszą Wysokość, byście pozwolili mi pociągnąć z armią do Irlandii i zmazać tę hańbę.

Zbuntowany hrabia Tyrone powinien zostać obalony, a pozostali irlandzcy przywódcy zmuszeni do posłuszeństwa.

- Na razie nie stało się nic ponad to, że sir Henryk Bagenal nie mógł ruszyć z odsieczą dla zamku Monaghan - wtrąciła monarchini.

- To prawda, Wasza Wysokość - przytaknął odziany w ciemny strój mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiała.

Hrabia Essex rzucił Robertowi Cecilowi pełne nienawiści spojrzenie. Ten niezwykle ceniony przez królową dworzanin zbyt często, zdaniem Essexa, działał na jego niekorzyść i dbał o to, by królowa nie poświęcała jego dokonaniom uwagi, na jaką zasługiwały. Żeby zdobyć przewagę nad Cecilem i zmniejszyć jego wpływ na Elżbietę, starał się teraz o dowództwo w Irlandii.

Z oddziałami, które miałby pod swoimi rozkazami, stałby się najpotężniejszym człowiekiem w Anglii i wreszcie byłby w stanie powstrzymać królową przed decyzjami, które szkodziły chwale królestwa.

- Wasza Wysokość - zaczął od nowa. - Czy chcecie, by Hiszpania, Francja, ba, cała Europa śmiała się z Anglii, bo ta nie potrafi zapanować nad małą wysepką na krańcu świata? Którą zresztą poddał już kiedyś władzy Anglii wasz szacowny przodek, król Henryk II?

Namiętna przemowa wzruszyła Elżbietę i przez moment zastanawiała się, czy nie ulec Essexowi. Potem jednak zauważyła, że Cecil sugestywnie kręci głową, więc odrzuciła ten

zamysł. Nie zamierzała podejmować decyzji, dopóki nie dowie się więcej o sytuacji w Irlandii.

Pochyliła się więc nieco i popatrzyła na Essexę ze smutnym uśmiechem. Jak zwykle odziany był wytwornie, w przetykany srebrem brokat i aksamit. Jego wykonana z najdelikatniejszej koronki kryza była tak dopasowana, że zadbana i lśniąca kasztanowa broda opadała miękko na kołnierz, a nie sterczała do przodu, jak u jego towarzyszy.

Elżbieta przez chwilę przyglądała się sekretarzowi Essexę. Strój Anthony'ego Bacona nie ustępował przepychem odzieniu jego mocodawcy, lecz z kryzą zdecydowanie przesadził, bo wyglądało to tak, jakby założył sobie na szyję młyńskie koło.

Bacon stał trzy kroki za swoim panem, lecz raz po raz wyciągał ręce, jakby miał ochotę odsunąć Essexę i sam z nią porozmawiać. Ponieważ zgadzał się z każdym słowem swojego mocodawcy, konwersacja z nim przebiegałaby zapewne równie nieprzyjemnie. Tyle że Bacon mógłby odprawić paroma ostrymi słowami.

Z Robertem Devereux, Robinem, jak go w duchu nazywała, tak się nie dało. Dlatego starała się zachować uprzejmość.

- Mój drogi Essexie, doceniam waszą odwagę i gotowość służenia mi. Lecz nazbyt mnie cieszy wasza obecność i nie pozwolę się jej pozbawić. Niech inni generałowie rzucają Irlandię na kolana! I tak nigdy nie dorównają waszej sławie.

Choć królowa przemówiła do niego jak do przyjaciela, Devereux obrócił się gwałtownie i wskazał ręką Roberta Cecila.

- To on! Przyznajcie! To on nie chce, żebym zdobył dla Anglii Irlandię. Wasza Wysokość, nie słuchajcie Cecila, tylko wyślijcie mnie do Irlandii. Położę wam ją u stóp.

Entuzjazm Essexę był zaraźliwy. Elżbieta czuła, że krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach i znów poczuła się młoda. Lecz to zaraz minęło. Była królową Anglii, a tytuł lorda namiestnika Irlandii nie był różą, którą mogłaby podarować ukochanemu niczym zadurzone dziewczę.

- Już podjęłam decyzję, milordzie. Bagenal sam musi naprawić szkodę, za którą jest odpowiedzialny. Gdybym posłała was tak od razu do Irlandii z wielką armią, wszyscy władcy Europy uznaliby, że nie jesteśmy w stanie utrzymać naszej władzy nad wyspą, co mogłoby ich skłonić do wtrącenia się do sprawy na naszą niekorzyść.

W głosie monarchini słychać było nutę ostrzeżenia, by zostawić już ten temat w spokoju, lecz Essex był zbyt rozemocjonowany, by zwrócić na to uwagę.

- To nie wasza decyzja, tylko tego kaleki!

Oskarżycielskim gestem wskazał palcem Roberta Cecila, który zagarnął już parę

wysokich urzędów, na które Devereux miał chrapkę.

Pomimo obraźliwych słów Cecil zachował spokój, a Anthony Bacon z rezygnacją pokręcił głową. Ileż to razy przekonywał swojego pana, że pochlebstwem więcej można działać niż wybuchami wściekłości. Lecz Essex miał o sobie niezwykle wysokie mniemanie i złościł się, że Elżbieta, która w jego oczach była po prostu starą babą, mniej szanuje jego zdanie niż zdanie Roberta Cecila czy też jego ojca, lorda Burghleya.

Elżbieta nie dała po sobie poznać, jak bardzo irytuje ją porywczy charakter Essex'a. Ogólnie rzecz biorąc, był cudownym kawalerem i prawdziwą ozdobą jej dworu.

Nie mogła mu też odmówić odwagi, gdyż pragnął dorównać wielkimi czynami sir Gawainowi i Lancelotowi. Lecz miał zbyt niestałą naturę, by choć jedną sprawę doprowadzić do takiego końca, jakiego ona oczekiwała.

Ponieważ Essex nie otrzymał odpowiedzi, poczuł się zlekceważony i wybuchnął na nowo.

- Wasza Wysokość, musicie mnie mianować dowódcą w Irlandii. Ten człowiek - znów wskazał palcem Cecila - doprowadzi was i Anglię do klęski. Wiem z pewnego źródła, że planuje zdradę...

- Przypiszę te oskarżenia waszemu rozczarowaniu. Ale nigdy więcej ich nie powtarzajcie! - ostrzegła go z gniewem Elżbieta. Nienawidziła, gdy jej dworzanie śledzili się wzajemnie i zwalczali, bo to sprawiało, że nie mogli, tak jak ona, wszystkich swoich sił poświęcić Anglii.

Essex wyglądał na tak rozwścieczonego, jakby przy całym dworze nazwała go robakiem.

- Jeszcze będziecie tego żałować! - wykrzyknął, odwrócił się i minąwszy Anthony'ego Bacona, wypadł z komnaty.

Elżbieta patrzyła za nim z zaciśniętymi ustami, aż służący zamknął drzwi. Dopiero potem zwróciła się do Cecila.

- Mam nadzieję, że nie macie do niego pretensji o te nierozważne słowa. Jutro na pewno będzie ich żałować.

Choć Robert Cecil zdecydowanie w to wątpił, przytaknął.

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość.

Tymczasem Anthony Bacon uznał, że pora się wstawić za swoim panem. Podszedł kolejny krok ku Elżbiecie i głęboko się uklonił.

- Wasza Wysokość, mój pan nie pragnie niczego więcej, jak służyć wam ze wszystkich sił i gromić waszych wrogów. Tylko dlatego ośmielił się poprosić was o wysłanie

go do Irlandii.

- Powinien mi służyć tak, jak uznam to za stosowne, a nie folgować swoim humorom!

Zbyt często mnie irytują.

Przekaż mu to, Bacon!

Ruchem dłoni, który towarzyszył jej słowom, Elżbieta jednoznacznie dała mu do zrozumienia, że może odejść.

Nie chcąc zirytować monarchini jeszcze bardziej, uklonił się i wycofał tyłem. Zanim dotarł do drzwi, dobiegł go głos Cecila.

- Poczekajcie na mnie na zewnątrz, Bacon! Muszę jeszcze coś z wami omówić.

- Ale to dopiero, gdy ja z wami skończę - oznajmiła Elżbieta z gorzkim uśmiechem.

Gdy Anthony wychodził, zwróciła się do Cecila:

- Co ten Essex sobie myśli? Czy z jego powodu mam opróżnić szkatułę aż do dna, żeby mógł się popisywać armią w Irlandii?

- Nie zawsze warto być oszczędnym - odparł z namysłem Cecil. - Wasza Wysokość powinna poświęcić powstaniu w Irlandii niezbędną uwagę. Hrabia Tyrone to nie jest jakiś dzikus z irlandzkich lasów i bagien.

Mieszkał w Palisadzie dość długo, żeby poznać nas, Anglików. Zdążył zgromadzić wokół siebie kilka klanów gotowych dla niego walczyć, choć niektóre z nich były wcześniej jego zagorzałymi wrogami.

- Więc nie sądzicie, że sir Henryk Bagenal będzie w stanie powstrzymać bunt w Ulsterze?

Elżbieta się zamyśliła. Jeśli Cecil mówił prawdę, to rzeczywiście będzie musiała posłać do Irlandii wodza z armią, a ponieważ żaden z generałów nie będzie chciał się narazić Essexowi, tylko on będzie mógł wypełnić to zadanie.

Myśli Roberta Cecila podążały w tym samym kierunku.

- Modłę się do Boga Wszechmogącego, żeby dał Bagenalowi siłę do pokonania Hugh O'Neilla. Lecz jako wierny sługa Waszej Wysokości nie mogę wykluczyć możliwości porażki.

- Przemyslcie tę możliwość i przedstawcie mi jutro wasze wnioski! Jestem zmęczona, chcę odpocząć.

Elżbieta podniosła się z trudem, żeby opuścić komnatę.

Kątem oka spostrzegła jeszcze, że Cecil się kłania, a potem, powłócząc nogami, rusza do drzwi. Z tyłu wyraźnie było widać garb, którym obdarzył go Bóg.

Umysł miał za to ostry jak brzytwa, a jako syn wiernego Burghleya został przez niego

wprowadzony w obowiązki.

Miała całkowitą pewność, że w przeciwieństwie do hrabiego Essex nie porwie się, kierowany emocjami, na coś, co zaszkodziłoby jej, a przez to Anglii.

Na myśl o Robercie Devereux głęboko westchnęła.

Przypominał jej o czasach, gdy śmiała się i słuchała komplementów kawalerów. Teraz była stara i czuła się wyczerpana.

- Dlaczego Robin nie potrafi się opanować i poddać mej woli? - mruknęła cicho pod nosem, wchodząc do swych prywatnych komnat.

Robert Cecil mówił tymczasem do Anthony'ego Bacona, który czekał na korytarzu:

- Dziękuję wam, Bacon, że na mnie poczekaliście.

Przekażcie ode mnie lordowi Essexowi, że nigdy nie byłem jego wrogiem i nadal nim nie jestem. Rozumiem jego rozczarowanie decyzją Jej Wysokości, że nie wysłała go od razu do Irlandii. Powiedźcie mu jednak także to, że gdyby teraz ruszył i zwyciężył buntowników, w całej Europie mówiliby, że pokonał paru zbuntowanych dzikusów. A takiej sławy z pewnością sobie nie życzy.

- Lord Essex nie poprzestałby na daniu nauczki Hugh O'Neillowi, tylko zmusiłby wszystkich w Irlandii do uznania panowania Jej Wysokości - odpowiedział Bacon, starając się korzystnie przedstawić motywy swojego pana.

Na wargach Roberta Cecila pojawił się drwiący uśmiezek. Doskonale wiedział, że Essex pragnął udać się do Irlandii tylko z jednego jedyne go powodu, po to mianowicie, by powiększyć własną chwałę. Lecz wojna była zbyt poważną sprawą, żeby pozostawić ją młodemu i zadufanemu w sobie szlachcicowi. Poza tym Cecil obawiał się, że gdy Bagenal zawiedzie, Elżbiecie nie pozostanie nic innego, jak powierzyć Essexowi wyprawę do Irlandii. Jego zadaniem było więc zadbać o to, by ta kampania wojenna nie zakończyła się fiaskiem. Dlatego objął Anthony'ego Bacona ramieniem i zaczął mówić do niego cicho, ale kategorycznym tonem.

7

Po klęsce pod Clontibret Henryk Bagenal wycofał się do Palisady, owego otaczającego Dublin rejonu, którym Anglicy władali od setek lat. Saraid stwierdziła z drwiną, że będzie tam lizał rany. Dzięki temu Ui'Corra zyskali czas na budowę blokującej ruch fortecy przy drodze. Na dodatek Aithil okazał się zręcznym zarządcą, który wiedział, że mądrze będzie dogadać się z Ciarą i Saraid.

One obie dbały o to, żeby dziewczki, parobkowie i najemnicy pilnie pracowali.

Ponieważ nie groził im bezpośredni atak Anglików, chłopcy mogli powrócić do swoich zagród, by ostrzyć owce i zebrać plony.

Życie na zamku Ui'Corra mogłoby więc płynąć spokojnie, gdyby nie skrywane napięcie pomiędzy Buirre'em a jego żoną. Na rozkaz Oisina Maeve nie mieszkała już na zamku, tylko w odległej zagrodzie na skraju lasu, gdzie pracowała jako służąca. Nie podobało jej się, że musi sprzątać oborę albo przekopywać ogród, więc za każdym razem, gdy odwiedzał ją Buirre, użalała się na swój ciężki los.

Tego dnia także powitała go skargami.

- Tak dalej nie może być! Popatrz na moje dłonie. Są zupełnie zniszczone. Poza tym bolą mnie plecy od wrywania chwastów. Nie będę tego dłużej robić.

Przecież jesteś zastępcą taoiseacha. Zrób coś!

Wyglądała tak markotnie, że Buirre niemal stracił ochotę, żeby się z nią zabawić. Nie chcąc już słuchać jej jazgotu, niechętnie skinął głową.

- Porozmawiam z gospodarzem, żeby przydzielał ci lżejsze prace!

Lecz Maeve to nie zadowoliło.

- Nie chcę mieszkać w tej nędznej zagrodzie! Niech gospodarz znajdzie sobie inną dziewczkę. On sam prawie nic nie robi, parobek to też leń, a co dopiero ta druga służąca.

Parobek i druga służąca byli już starzy, toteż cieszyli się, że w zagrodzie pojawiła się młoda, energiczna i silna kobieta. To było dla Buirre'a oczywiste. Lecz równie dobrze wiedział, że zarówno dzierżawca, jak i jego służba przymykają oczy, gdy odwiedza dziewczynę. Z tego, co się orientował, Maeve nie pracowała wcale więcej niż każda inna dziewczka w zagrodach doliny Ui'Corra w czasach, gdy większość mężczyzn brała udział w wojnie. Zamiast się cieszyć, że może zjeść do syta i że od czasu do czasu dostaje od niego jakiś podarek, zrzędziła jak marudna żona.

Ta myśl przypomniawszy Buirre'owi o Saraid i przeklął fakt, że wypowiedziała mu małżeńską wspólnotę.

Zastanawiał się, czy w ogóle miała prawo to zrobić.

Przecież zawarli związek przed księdzem, a co Bóg połączył, tego człowiek niech nie waży się rozdzielać.

Nagle przeszła mu ochota na spółkowanie z Maeve, zwłaszcza że ta najwyraźniej nie umyła się po wyrzuceniu gnoju. Odwrócił się bez słowa i podszedł do swojego konia.

Maeve najpierw popatrzyła na niego zdumiona, lecz potem ruszyła za nim i chwyciła go, gdy chciał wsiąść w siodło.

- Co to ma być? - zapytała.

- Jadę na zamek - odpowiedział szorstko Buirre.

- Przecież chcieliście...

- Nic nie chciałem. Żegnaj! - Buirre odepchnął ją, wsiadł na konia i odjechał.

Maeve pobiegła za nim.

- Dlaczego to robicie? Panie Buirre, zostańcie.

Możemy przecież...

Nie odpowiedział, tylko popędził konia galopem, bo naraz zapragnął znaleźć się jak najdalej od tej kobiety, której głos tarł o jego nerwy niczym piła. Nagle nie mógł pojąć, co w niej widział. Właściwie wszystkie kobiety są takie same i wszystko jedno, z którą się człowiek pokłada.

Ważne jest tylko to, kim ona jest i jaką korzyść może odnieść mężczyzna z takiego związku. Pod tym względem Maeve daleko było do Saraid. Ona była przynajmniej bliską krewną przywódcy klanu i dopóki pozostawała jego żoną, Buirre zajmował w hierarchii klanu najwyższe miejsce, tuż za Oisinem, wyżej nawet niż Aithil. Z tą myślą pogalopował dalej, słysząc za sobą pełen gniewu głos Maeve.

- Buirze O'Corra, pożałujecie tego. I zapłacicie za to!

Ponieważ Maeve była zaledwie najemną dziewczką, nie potraktował jej gróźb poważnie. Jeśli zacznie wyczyniać jakieś cuda, spierze ją, aż da spokój. Buirre nawet już nie pamiętał, że kilka dni temu usilnie jej pragnął, a jeszcze tego dnia przejechał nocą dziesięć mil, żeby ukoić swą żądzę.

„Teraz znów będę to robić z własną żoną” - powtarzał sobie. Był jednak świadom, że to nie będzie łatwe. Saraid jest wściekła i go odtrąci. Ale jest jej mężem i ona musi go słuchać. Pomyślał o Ciarze, która na pewno stanie po stronie Saraid. Z jej powodu nie mógł tak po prostu chwycić Saraid i zaciągnąć ją do swojej komnaty. Musiał wymyślić coś innego.

Książd! Może athair Maitiú mu pomoże. Warto spróbować. Czując ulgę, galopował dalej i tuż po północy dotarł na zamek. Płonące pochodnie wskazywały, że na murach jest wartownik. Gdy go zobaczył i zapytał, kim jest, Buirre się skrzywił. Dlaczego musiał trafić akurat na Ionatána?

- Otwieraj! To ja, Buirre O'Corra, dowódca drugiego hufca klanu! - odparł.

Ionatán też nie był zachwycony, że widzi Buirre'a, bo niemal każdy kontakt z nim oznaczał kłopoty. Zaciśnął więc usta i uniósł pochodnię, żeby się upewnić, że Buirre jest rzeczywiście sam i nikt za nim nie idzie. Potem zszedł na dół na dziedziniec i otworzył bramę. Nie powitał jednak Buirre'a tak, jak zwykle witał członków klanu.

- Gdzie książd? - zapytał Buirre.

- W przybudówce kaplicy. Ale teraz śpi - odpowiedział Ionatán.

- Jako duszpasterz dzień i noc odpowiada za swoją trzodę - powiedział Buirre bardziej do siebie niż do rozmówcy. Rzucił Ionatánowi wodze konia, pomaszerował do kaplicy i zastukał do drzwi szopy, którą przydzielono księdzu jako kwaterę.

Chwilę trwało, zanim ojca Maitiú obudziło łomotanie do drzwi. Gdy w końcu otworzył, jego mina wyraźnie pokazywała, że nie jest zadowolony z pobudki. Buirre opadł przed nim na kolana i ucałował jego dłoń.

- Wielebny ojcze, wybaczenie, że kłopotam was o takiej porze. Ciężko mi na sercu i potrzebuję waszej pomocy!

Ojciec Maitiú popatrzył na niego, marszcząc czoło.

- Toż ty jesteś mężem, który porzucił swą żonę dla dziewczki służebnej!

Buirre skinął głową ze skruszoną miną.

- To prawda, wielebny! Lecz głęboko tego żałuję i błagam was, byście wstawili się za mną u mojej żony.

Jeśli tak po prostu do niej pójdę, obije mnie tylko miotłą, a ja nie będę mógł mieć jej tego za złe.

„A teraz tylko pięknie odegrać skruszonego grzesznika - powtarzał sobie Buirre - to klecha z pewnością mi pomoże”.

Jego taktyka okazała się skuteczna, gdyż twarz ojca Maitiú wygładziła się i kapłan uczynił nad nim znak krzyża.

- Niewiasta powstała z żebra mężczyzny i dlatego jest mu poddana - oznajmił z naciskiem. - Jeśli nie jest posłuszna, należy wymóc na niej posłuszeństwo kijem!

Ale w tym właśnie tkwił problem Buirre'a. Nie mógł bić Saraid i czekać, aż ustąpi. Toteż dalej udawał skruszonego.

- Wielebny ojcze, zgrzeszyłem przed Bogiem i zhańbiłem własną żonę. Jeśli poczęstuję ją kijem, słusznie się na mnie rozgniewa. Proszę, porozmawiajcie z nią i przekonajcie, żeby pomimo uporu ustąpiła i znów była mi żoną, z którą połączył mnie Pan Bóg w niebiesiech.

- Opuuszczam ci twoje grzechy i pomogę ci, mój synu.

Przyjdź rano, a ja porozmawiam z twoją żoną. - Ojciec Maitiú chciał wrócić do swojej szopy, lecz Buirre go zatrzymał.

- Wybaczenie, wielebny ojcze, ale czy nie moglibyście zrobić tego od razu? Jutro rano muszę wracać do moich wojowników i dalej uwalniać Irlandię od angielskich heretyków.

- Mam o tej porze rozmawiać z Saraid? - zapytał zdumiony kapłan.

Buirre energicznie pokiwał głową.

- Tak, panie! Chcę, żeby między mną i nią wszystko znowu było w porządku, zanim ponownie wyciągnę miecz na Anglików!

Choć nie zapowiadała się żadna bitwa ani żadna wyprawa, Buirre był tak przekonujący, że ksiądz się poddał i z westchnieniem nałożył habit. Zabrał też różaniec i ruszył za Buirre'em w stronę wejścia do budynku mieszkalnego.

W tych niebezpiecznych czasach ryglowano drzwi od wewnątrz, więc Buirre musiał zapukać. Dopiero po chwili zabrzmiał czyjś głos, który zapytał, kto o tej godzinie prosi o wpuszczenie.

- To ja, Buirre O'Corra, i jego wielbność athair Maitiú! - oznajmił Buirre.

Ktoś uchylił nieco drzwi i przybliżył pochodnię.

- To rzeczywiście ty. Co się dzieje? Czy taoiseach przysłał posłańca, a może Anglicy atakują? - zapytał mężczyzna.

- Ani to, ani to! Chcemy wejść do środka i porozmawiać z moją żoną. - W głosie Buirre'a słychać było irytację, bo gdyby wciąż był kasztelanem, wpuściliby go od razu.

W końcu drzwi się otwarły i Buirre z księdzem mogli wejść do środka.

- Chcesz iść do Saraid? To uważaj, żeby w rozmowie nie użyła patelni - powiedział z szerokim uśmiechem wartownik, który spał za drzwiami.

Ojciec Maitiú już miał upomnieć strażnika, lecz Buirre chwycił kaganek i pociągnął go za sobą.

- Niech ten dureń gada, co chce! Ważniejsze, byście przemówili mojej żonie do sumienia.

Kapłan pragnął jak najszybciej znaleźć się z powrotem w łóżku, więc skinął w milczeniu głową i poszedł za Buirre'em na górę. Gdy Buirre otworzył drzwi do komnaty, w której do niedawna mieszkał ze swoją małżonką, nikogo tam nie było.

- Gdzie ona może być? - zaczął się zastanawiać.

Ksiądz dostrzegł okazję, żeby szybko wrócić do łóżka.

- Jutro jej poszukamy, mój synu!

- Przecież mówiłem, że nie mam na to czasu. Oisín oczekuje mnie jutro wcześnie rano w fortecy przy drodze!

- Wściekły Buirre myślał intensywnie, gdzie mogła się schować jego żona. Nagle uderzył się dłonią w czoło.

- Oczywiście! Pewnie jest u Ciary. Tam ją znajdziemy.

Chodźcie.

Ojciec Maitiú nie miał ochoty wyrywać ze snu siostry przywódcy klanu dobrze po północy, lecz Buirre pociągnął go trzy drzwi dalej i zastukał tak głośno, że echo wypełniło całą wieżę.

- Nie możesz być ciszej? Przecież wszystkich obudzisz - upomniał go ksiądz, bo Gamhain natychmiast zaczęła szczekać.

Nie miał pojęcia, że Buirre'owi właśnie na tym zależało. Jak najwięcej osób powinno widzieć, jak ksiądz nakazuje Saraid, żeby była mu na powrót posłuszna.

Z grymasem zadowolenia na twarzy czekał, aż Ciara otworzy drzwi i wyjrzy na korytarz.

- Co się dzieje? Czy mój brat przysłał jakąś wiadomość? - zapytała, zanim rozpoznała mężczyzn stojących u jej progu.

Ojciec Maitiú uznał, że powaga jego urzędu wymaga, żeby przejął już od Buirre'a dowodzenie. Z tego względu popatrzył na Ciarę surowym wzrokiem i oznajmił:

- Szukamy Saraid.

- Czego ode mnie chcecie? - dobiegł ich zaspany głos z głębi komnaty. Saraid też się obudziła i zdziwił ją widok księdza o tej porze.

Kapłan się wyprostował, żeby móc patrzeć na nią z góry.

- Twój mąż poskarżył się na ciebie! - powiedział.

- Jak dla mnie, to Buirre może się skarżyć, ile chce! - Głos Saraid zabrzmiał szorstko, a ona sama chciała zamknąć drzwi.

Buirre szybko zablokował jej stopą i gestem zażądał od księdza, żeby kontynuował kazanie.

Ten nie namyślał się długo, tylko zaatakował Saraid zręcznie dobranymi słowami.

- Niewiasta to służebnica męża i powinna zawsze go słuchać! Tak ustalił Pan nasz w niebiesiech, który najpierw stworzył mężczyznę, a dopiero potem kobietę!

- A co to ma ze mną wspólnego? - zapytała Saraid.

- Odmawiasz mężowi małżeńskiego pożycia i obrzucasz go obelgami. Miałby więc wszelkie powody, by różgą wymóc na tobie posłuszeństwo, które jesteś mu winna - kontynuował kapłan.

- Przecież ma swoją nałożnicę! - prychnęła rozgniewana Saraid.

- Niewiasta winna pokornie schylić głowę i służyć swojemu panu. Nie ma tu żadnych wyjątków! Wracaj więc do komnaty męża i bądź mu żoną, bo Bóg cię z nim połączył! Zważ, że obiecał odprawić tamtą dziewczkę i nigdy już nie przynieść ci wstydu! - Ojciec Maitiú chciał w końcu wrócić do łóżka i miał już dość przemawiania do Saraid.

Ta wysunęła co prawda dolną wargę, ale surowe słowa kapłana sprawiły, że poczuła się niepewnie. Spojrzała na twarz Ciary i wyczytała w niej wściekłość nie tylko na Buirre'a, lecz także na księdza. Zanim kuzynka zdążyła powiedzieć cokolwiek, co zdenerwowałoby ojca Maitiú, odsunęła ją szybko w głąb komnaty.

- Mój mąż uczynił mi największą hańbę, jaką można uczynić małżonce, gdyż parzył się z tą swoją wywłoką na moich oczach! - oznajmiła, lecz w jej głosie nie było wcześniejszej determinacji.

Kapłan wyczuł jej niepewność i domyślił się, że wystarczy jeszcze jeden mały argument, żeby skapitulowała.

- Posłuszna żona i to znieść musi! Pamiętaj, że zniechęciłaś męża swoją oziębłością. To twoja wina, że zaczął zaspokajać swoje potrzeby z dziewczką. Jeśli będziesz mu posłuszna, nie będzie musiał tego robić.

A teraz idź z nim!

- Nie rób tego! - szepnęła Ciara do kuzynki. - Buirre nie jest tego wart.

Saraid zastanowiła się, a potem spuściła głowę.

- Przykro mi, ale wyszłam za niego, i jeśli wielebny ojciec Maitiú mówi, że powinnam go słuchać, to muszę tak zrobić.

Gdy ujrzała triumfującą minę swojego męża, poczuła mdłości. Mimo to włożyła suknię i wyszła z komnaty Ciary. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był sztylet w ręku Ciary. Wiedziała, że kuzynka użyje broni, jeśli Buirre za mocno zacznie ją bić. Lecz obiecała sobie, że nigdy do tego nie dopuści.

Posłusznie, jak nakazał ksiądz, poszła przed Buirre'em do komnaty, poczekała, aż otworzy drzwi, weszła i położyła się do łóżka.

- Rozbierz się - zażądał mąż, choć kapłan nie zdążył jeszcze wyjść.

Saraid ze wzruszeniem ramion zsunęła z siebie suknię, ale zostawiła koszulę. Więcej Buirre nie może od niej oczekiwać, w przeciwnym razie powie księdzu na spowiedzi, że mąż żąda od niej rzeczy, które podług praw świętego Kościoła są grzechem.

Buirre poczekał, aż kapłan sobie pójdzie, a potem rozpiął rozporek i wyjął członek. Popatrzył na żonę, która podciągnęła koszulę, odsłaniając łono, i posłusznie rozsunęła nogi. Zanim się na niej położył, zgasł kaganek.

Buirre'owi to nie przeszkadzało. Gdy wsunął się między jej uda i wszedł w nią, powtarzał sobie, że to symbol jego zwycięstwa nad Saraid, a także nad Ciarą. Poza tym Saraid pachniała ładniej od Maeve i wcale mu nie przeszkadzało, że w ogóle się nie ruszała i wydawała się całkowicie obojętna.

8

Ciara była zbyt rozgniewana, żeby położyć się z powrotem spać.

- Co ten Buirre sobie myśli, że schowa się za plecami księdza, żeby zmusić Saraid do posłuszeństwa? - prychnęła i rzuciła sztyletem w drzwi. Wyobraziła sobie, że stoi tam Buirre albo ten arogancki klecha. Nie miała jednak prawa, by ranić czy wręcz zabić któregokolwiek z nich. Już sama myśl o podniesieniu ręki na sługę bożego przysporzyłaby jej wielu lat czyśćca.

Ciara przeraziła się tej wizji i pośpiesznie pomodliła do Przenajświętszej Dziewicy Maryi, by ta wybaczyła jej, że pobiła. Lecz jeśli chodzi o Buirre'a, to nie zmieniła zdania. Był nadętym słabeuszem, który pozostałby prostym żołnierzem, gdyby Saraid za niego nie wyszła. A teraz pokrewieństwo z przywódcą klanu uderzyło mu do głowy.

- Oisin musi coś z tym zrobić, bo inaczej po prostu zabiję tego prostaka! - W jej głosie słychać było taką żądzę krwi, że aż sama się przestraszyła. - Muszę się przewietrzyć - powiedziała, narzuciła suknię i wyszła z komnaty w towarzystwie Gamhain.

Wartownik, który pilnował drzwi, popatrzył zdumiony, gdy Ciara wyszła z wieży mieszkalnej i zaczęła wchodzić na mury. Nie zatrzymał jej jednak i tylko przymknął drzwi, żeby w każdej chwili mogła wrócić.

Gdy Ciara stanęła na murze, popatrzyła w górę na rozciągający się nad nią nieboskłon, cały usiany gwiazdami. Nagle poczuła się mała i bezradna. „Każdy człowiek poddany jest swojemu losowi, czy tego chce, czy nie - pomyślała. - I dotyczy to nie tylko ludzi, lecz całych krajów. Irlandia walczy z Anglią o wolność.

Saraid też walczyła o swoją wolność i przegrała. Miejmy nadzieję, że to nie jest zły znak” - przemknęło jej przez głowę.

Ciche poszczekiwanie Gamhain dało jej znak, że nie jest już sama na zamkowych murach. Najpierw pomyślała, że to Ionatán, który trzymał nocną wartę. Ale gdy na zbliżającego się mężczyznę padło światło księżyca, rozpoznała, że to Ferdynand von Kirchberg.

Od czasu zwycięstwa pod Clontibret rzadko widywała Szymona von Kirchberga, więc pomyślała teraz, że może od jego kuzyna dowie się czegoś o mężczyźnie, do którego żywiła tak głębokie uczucia. Zdziwiła się też, dlaczego Ferdynand jest na zamku, a nie w fortecy przy drodze.

Zdecydowanym krokiem podeszła do niego i zagadnęła.

- Przynosicie wieści od mojego brata?

Ferdynand myślał, że jest sam, więc wzdrygnął się przestraszony. A potem rozpoznał Ciarę.

- Rzeczywiście przysłał mnie pan Oisín, pani, a nawet pożyczył mi swojego konia. Lecz ten zgubił podkowę i musiałem go prowadzić. Dlatego dotarłem tu dopiero po zapadnięciu zmroku i nie chciałem was niepokoić.

- Stało się coś?

- Nie! Wasz brat chciał was poprosić o przysłanie mu beczki dobrego miodu i beczułki whisky, gdyż spodziewa się szczególnych gości. Dał mi też list dla was.

- Angliści chcą negocjować? A może kolejne klany chcą się z nim sprzymierzyć?! - wykrzyknęła Ciara.

- Aodh Ruadh O'Domhnaill zapowiedział, że chce złożyć waszemu bratu wizytę.

- O'Domhnaill? Ale on to przecież od zawsze najzagorzalszy wróg Aodha Móra O'Neilla! Choć do tej pory nie opowiedział się po stronie Anglików.

Mimo że Ciarę zdziwiła ta wiadomość, miała nadzieję, że zawrą pokój z obcym klanem. Prawdopodobnie na spotkanie przybędzie także Aodh Mór O'Neill. Obaj przywódcy uznali najwidoczniej drewnianą fortecę Oisina za neutralne miejsce, w którym pojawienie się żadnemu z nich nie przyniesie ujmy.

Jej przypuszczenia znalazły potwierdzenie w kolejnych słowach Ferdynanda.

- Przywódca O'Domhnaill chce pertraktować z hrabią Tyrone, wybaczenie, miałem oczywiście na myśli przywódcę klanu O'Neill. - Uśmiechnął się przepraszająco, ponieważ użył angielskiego tytułu swojego dowódcy. Jego kuzyn zawsze mówił o Hugh O'Neill i hrabim Tyrone, więc musiał się zastanowić, jak nazwać go po irlandzku.

- Wybaczam wam - odpowiedziała ze śmiechem Ciara.

- Otrzymacie wszystko, o co poprosił mój brat.

Powiedzcie mu jednak, proszę, że posyłam mu ostatnią beczułkę whisky. Kolejna musi dojrzeć, zanim będzie się nadawać do wypicia. Mam nadzieję, że do tego czasu pokonamy Anglików. Zwycięzcy bowiem nie powinni świętować samym miodem.

Ferdynand nie znał się na produkcji wina, miodu ani wódki na tyle dobrze, żeby móc cokolwiek na ten temat powiedzieć. Zresztą był zajęty podziwianiem młodej damy, która w świetle księżycy wydawała mu się piękna niczym wróżka, o których Irlandczycy tak często wspominali.

- Będziemy świętować zwycięstwo nad Anglikami i uczymy to choćby wodą! - odpowiedział pełen nadziei.

Ciara westchnęła głęboko i spojrzała w gwiazdy.

- To będzie najpiękniejszy dzień mojego życia, piękniejszy od wesela.

- Wychodzicie za mąż? - Ferdynand był przerażony, choć zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdobędzie pięknej Irlandki. Brat Ciary nie zaakceptowałby nawet jego kuzyna, który był doświadczonym wojownikiem i dowódcą własnego hufca. Świadczyło o tym choćby to, że musieli rozbić swój obóz dwadzieścia mil od zamku.

Bolało go, że przez to tak długo nie widział Ciary, i dziękował teraz Bogu, że choć przez chwilę mógł być blisko niej.

Ciara też się zamyśliła, aż wreszcie wzruszyła ramionami.

- Mój brat wspomniał, że szuka dla mnie męża.

W końcu to mój obowiązek, by przez małżeństwo wzmocnić sojusz z jakimś innym klanem.

- To niech wasz brat sam się ożeni! - wyrwało się Ferdynandowi.

- Uczyni to i będzie w wyborze jeszcze ostrożniejszy niż w moim przypadku.

Czuła, że swymi słowami zdradza Szymona von Kirchberga, lecz obowiązki pierwszej córki klanu były ważniejsze niż jej uczucia. Mimo to na myśl o małżeństwie zaaranżowanym przez brata poczuła ucisk w żołądku. Co będzie, jeśli trafi na kogoś takiego jak Buirre, na mężczyznę, który nie będzie się liczył z jej zdaniem? Prychnęła cicho.

- Coś wam jest? - zapytał wystraszony Ferdynand i wyciągnął ku niej rękę.

Ciara pozwoliła, by dotknął jej ramienia. Sprawilo jej to nawet przyjemność. Potem jednak potrząsnęła głową.

Kuzyn Szymona von Kirchberga był niewiele starszy od niej i z pewnością nie był mężczyzną, którego mogłaby polecić bratu jako ewentualnego szwagra. Gdyby mu o tym choćby wspomniała, Oisin natychmiast wsadziłby go na statek wypływający z Irlandii, a ją wydał za pierwszego lepszego przywódcę klanu.

- Czy nie uważacie, że na świecie nie ma sprawiedliwości, panie von Kirchberg? - zapytała po chwili.

- Czemuż to?

- Bo wolna wola człowieka nic nie znaczy! Zwłaszcza gdy jest się kobietą. Młodzi mężczyźni mogą zaspokajać swoje potrzeby ze służącymi albo ladacnicami, ale od dziewczyny o wyższej pozycji oczekuje się, że do zamążpójścia pozostanie nietknięta.

- Cóż, taki jest zwyczaj - stwierdził zaskoczony Ferdynand.

- Zwyczaj, który służy tylko mężczyznom. My, kobiety, jesteśmy ich niewolnicami, a pod wieloma innymi względami pozostajemy niewolnicami praw i zwyczajów.

W głosie Ciary słyhać było gniew, gdyż znowu pomyślała o Saraid i Buirze.

- Mąż może nas bić, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota, a my musimy to znosić. To koszmar być tak zniewolonym!

Ferdynand popatrzył na nią zdumiony i zaczął się zastanawiać, czy brat znalazł jej narzeczonego, którego ona się boi.

- To pożałowania godne, gdy mężczyzna źle traktuje czy bije swoją żonę. Ale taka jest wola Boga, by mężczyzna był panem, przecież jego stworzył najpierw.

- Można na to spojrzeć inaczej - rzuciła zadziornym tonem Ciara. - Gdy Bóg stworzył mężczyznę, nie był zadowolony ze swego dzieła, więc stworzył niewiastę, która wydała mu się szlachetniejsza.

- Ale co z Ewą? Przecież skusiła Adama, żeby zjadł jabłko z drzewa poznania!

- Byliście przy tym i widzieliście? - zapytała uszczypliwie Ciara. - A może mężczyźni powtarzają to tylko po to, żeby przypisać winę Ewie, choć Adam sam z siebie sięgnął po ten owoc?

- Tak stoi w Biblii, a Biblia jest święta! - Nic innego Ferdynand nie zdołał wymyślić.

Ciara popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.

- Jesteście tacy sami jak wszyscy mężczyźni. Żegnajcie!

Nakażę rano parobkom, żeby załadowali wam wóz miodem i whisky, byście mogli je zawieźć mojemu bratu.

Chodź, Gamhain, wracamy do łóżka! - Z tymi słowami odwróciła się i razem z suką zaczęła schodzić z murów.

Ferdynand popatrzył za nią ze smutną konstatacją, że zachował się jak dureń. Zamiast zapewnić ją, że mężczyźni, na jakich się skarżyła, stanowią jedynie godną pogardy mniejszość, jeszcze ich bronił. Nie powinien się dziwić, jeśli Ciara Ní Corra i nim zacznie gardzić.

9

Następnego ranka Ciara i Ferdynand znów się spotkali.

Saraid zaprosiła młodego mężczyznę na śniadanie, bo bała się przebywać sama z kuzynką i Buirre'em. Choć jej mąż właściwie jeszcze w nocy powinien był wrócić do swoich ludzi, został, by pokazać wszystkim, że ujarzmił żonę. Z zewnątrz rzeczywiście mogło to wyglądać tak, jakby był jej panem. Lecz w głębi duszy Saraid czuła do niego wstręt i rozpaczliwie szukała jakiegoś rozwiązania.

Ponieważ Buirre miał wsparcie kapłana, czuła się jak w żelaznych kajdanach. Do tej pory cieszyła ją obecność ojca Maitiú na zamku, ale teraz nienawidziła księdza, bo zmusił ją

do poddania się mężowi. Nie wolno jej jednak było nikomu się na to poskarżyć. Nawet przy Ciarze nie powinna o tym wspominać, bo ta gotowa wdać się w kłótnię z jednym albo z drugim.

Podawała więc Ferdynandowi obfite śniadanie, osobiście dolewała mu miodu i z uśmiechem ignorowała kubek, który podstawiał jej Buirre.

- Nie napełnisz go? - zapytał z gniewem.

- Wybacz, nie zauważyłam. - Z uśmiechem, który nie mógł być bardziej fałszywy, napełniła kubek męża prawie do pełna. Gdy zadowolony zajął się swoją owsianką, dołała mu po kryjomu whisky.

Buirre wziął kubek, wypił jednym haustem i głośno czknął.

- Taki właśnie powinien być miód! Chodź tu, nalej mi jeszcze.

Saraid nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. I tym razem udało jej się niepostrzeżenie dodać sporo whisky.

Buirre znów opróżnił kubek i mrugnął do Ferdynanda, który z apetytem opróżnił miskę.

- Nie ma to jak kubek miodu z rana, co?

- Co prawda, to prawda, panie Buirre.

Buirre uchodził za jednego z zastępców Oisina O'Corry, a na dodatek był z nim spokrewniony, więc Ferdynand rozmawiał z nim jak z człowiekiem szlacheckiego stanu.

To się Buirre'owi spodobało, więc pozwolił sobie na kolejny kubek miodu. Tym razem złapał go tak szybko, że Saraid nie zdążyła dolać whisky. Gdy tylko jej mąż upił łyk, od razu burknął z niezadowoleniem:

- Ten wzięłaś chyba z innej beczki, bo smakuje jak woda. Dalej, podaj mi kubek whisky!

Saraid uczyniła to z przyjemnością. Drwiąc z niego w duchu, przyglądała się, jak jej mąż pije na przemian miód i whisky i każe sobie raz po raz dolewać. Owsianki prawie nie tknął, a miskę już od siebie odsunął. Na koniec zwrócił się do Ferdynanda z krzywym uśmiechem:

- Odprowadzę was do fortecy i przypilnuję waszego ładunku. Żeby ktoś nie ukradł wam, Niemcom, dobrej whisky i miodu!

Buirre roześmiał się, jakby powiedział jakiś dobry dowcip, i znów zabrał się do picia.

Ciara nie mogła się nadziwić, dlaczego jej kuzynka tak chętnie służy swojemu mężowi. Ferdynand wypił jeden kubek miodu i jeden mleka, a Buirre zdążył w tym czasie opróżnić z pół tuzina kubków i wypił jedną trzecią dzbanka whisky.

- Jesteście jeszcze głodni? - zapytała Ferdynanda.

- Nie, miska owsianki zupełnie wystarczy!

- A jak z trunkami?

Ferdynand zrozumiał, że pije do Buirre' a i pokręcił głową.

- Gdybyście mogli kazać przynieść mi jeszcze jeden kubek mleka, byłbym wam wdzięczny. Na miód nie mam już ochoty, bo szybko uderza mi do głowy!

Zauważył, że Saraid dolewa mężowi whisky do kubka, i bał się, że jemu mogła zrobić to samo.

- Tylko Irlandczycy potrafią pić irlandzki miód i irlandzką whisky! - zawołał ze śmiechem Buirre. - Cudzoziemcy nie dają rady!

Buirre należał do tych mężczyzn, którzy kiedy zaczną pić, nie potrafią przestać. Siedział więc dalej przy stole, domagając się raz za razem miodu i whisky.

Czas mijał i Ferdynand zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wyruszyć bez Buirre'a. W końcu miał do pokonania niemal dwadzieścia mil, a z wozem zajmie to parę godzin. Odsunął więc od siebie pustą miskę oraz kubek i wstał.

- Wybaczcie, pani, ale jeśli mam na czas dotrzeć do waszego brata, to muszę już wyruszać.

- Wypiję jeszcze jeden kubek i dołączę do was - wtrącił Buirre, któremu plątał się już język. Opróżnił kubek, dolał sobie resztę whisky i wypił ją z wyrazem błogości na twarzy.

- No, teraz możemy! - oznajmił, po czym z trudem trafił do drzwi.

Ferdynand ruszył za nim, kręcąc głową, bo nie mógł zrozumieć, jak ktoś może sobie folgować o tak wczesnej porze.

Saraid dołączyła do nich z ironicznym uśmiechem.

Zatroskana Ciara chwyciła ją za ramię.

- Dlaczego to zrobiłaś? - szepnęła do kuzynki.

Ta się zatrzymała, a jej twarz wykrzywił złośliwy grymas.

- Buirre zrobił ze mnie pośmiewisko! Więc teraz z niego będą się śmiać. Zapewne utraci też przychyłność taoiseacha, gdy wróci do hufca pijany, zwłaszcza że oddalił się bez pozwolenia Oisina.

Ciara zrozumiała, że Saraid poddała się naciskom księdza i pozornie uległa mężowi, lecz jej nienawiść stała się jeszcze silniejsza i kuzynka pragnęła zemsty.

- Jeśli Buirre zorientuje się, co zrobiłaś, pobije cię do krwi - ostrzegła.

Saraid ze złośliwym uśmiechem machnęła ręką.

- Pożałuje każdego ciosu, mogę ci to obiecać!

Chciała jeszcze coś dodać, ale właśnie dotarli na dziedziniec. Gdy tylko Buirre wyszedł na świeże powietrze, zakręciło mu się w głowie. Potknął się i przytrzymał Ferdynanda, żeby nie upaść.

- Co z wami? - zapytał młody Niemiec, lecz nie uzyskał odpowiedzi, ponieważ Buirre osunął się na ziemię i zaczął chrapać.

Saraid popatrzyła na męża bez cienia współczucia, a potem wskazała na zaprzężony w konie dwukołowy wóz, który stał na dziedzińcu, załadowany beczką miodu i beczką whisky.

- Wygląda na to, że będziecie musieli położyć mojego męża na wozie, a jego konia przywiązać z tyłu. Buirre z pewnością nie będzie w stanie jechać sam.

- Też tak uważam! - Ferdynand westchnął, że będzie musiał pilnować nie tylko wozu, ale i Buirre'a. Był zły na siebie, że nie interweniował, gdy Irlandczyk zaczął balować.

Tymczasem parobek wyprowadził na dziedziniec konia Ferdynanda. Oficer już miał wskoczyć w siodło, lecz powstrzymał go głos Ciary.

- Niestety nie mogę wam dać żadnego parobka do powożenia. Będziecie musieli sami chwycić za lejce!

- Toż ja nie jestem woźnicą! - wykrzyknął Ferdynand, lecz spostrzegł pogardliwy uśmiech Ciary.

Zdecydował się więc, przywiązał wodze swojego konia z tyłu wozu i usiadł na prostym koźle.

- Dobrze ułożyście Buirre'a, żeby nie przewalał się z boku na bok i nie posiniaczył? - zapytał parobków.

Ci nie podłożyli pijanemu nawet derki czy choćby słomy, lecz gorliwie pokiwali głowami.

- Buirre dobrze leży! Nic mu nie będzie - oznajmił jeden z nich i wraz ze swoim towarzyszem wrócił do pracy.

Ferdynand zwrócił się jeszcze raz do Ciary.

- Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy, pani!

- Z całą pewnością! - Ciara się uśmiechnęła, ponieważ w liście, który przywiózł Ferdynand, Oisín nakazywał jej, żeby przybyła do jego twierdzy i pełniła funkcję gospodyni podczas spotkania przywódców klanów, Aodha Móra O'Néilla i Aodha Ruadha O'Domhnailla. Jej brat miał nadzieję, że dzięki temu atmosfera między dawnymi rywalami stanie się znośna. Ciara nie miała nic przeciwko temu, bo cieszyła się, że zobaczy Szymona von Kirchberga. Troszkę żałowała, że nie może jechać od razu, ale musiała poczekać najpierw

niezbędne przygotowania.

W zamyśleniu patrzyła za wozem, który wyjeżdżał właśnie przez zamkową bramę. Ferdynand nie był co prawda woźnicą, ale radził sobie nieźle. Jego kuzyn na jego miejscu z pewnością upierałby się, żeby wozem pokierował parobek. Pod tym względem Szymon von Kirchberg był dumnym i zadufanym w sobie człowiekiem.

Zdumiona tym, że odkryła w Ferdynandzie lepsze cechy niż w człowieku, do którego jej serce należało od lat, weszła do głównej sali zamku i sprawdziła, czy wszystko jest tam na swoim miejscu. Lecz jeszcze długo myślała o kuzynach von Kirchbergach i o tym, który z nich wydaje jej się sympatyczniejszy.

10

Po bitwie pod Clontibret dochodziło jedynie do drobnych potyczek, w których Irlandczycy także zwyciężali.

Wszyscy jednak mieli świadomość, że walka o Irlandię dopiero się zaczęła. Królowa w Londynie miała nadzieję, że przez pertraktacje przekona zbuntowaną irlandzką szlachtę do ustępstw, a tymczasem niektórzy dworzanie, przede wszystkim zaś angielscy panowie w Irlandii, kuli plany, jak zdobyć całą Irlandię i poddać Irlandczyków angielskim prawom.

Wiedzieli o tym także Aodh Mór O'Néill i Aodh Ruadh O'Domhnaill, przywódcy dwóch najpotężniejszych klanów w Ulsterze. Obaj swego czasu uchodzili za stronników Anglii, lecz nie przyniosło im to nic dobrego.

Wręcz przeciwnie, ludzie tacy jak Henryk Bagenal, John Chichester oraz inni angielscy urzędnicy i osadnicy robili wszystko, by ograniczyć wpływy przywódców klanów i zagarnąć dla siebie olbrzymie połacie irlandzkiej ziemi.

I między innymi dlatego ich spotkanie w fortecy Oisina było takie ważne. Pierwsi pojawili się Ui'Domhnaill.

Aodh Ruadh O'Domhnaill i jego kompani, by pokazać, że mają dobre zamiary, przybyli w towarzystwie młodych dziewcząt z klanu. Mieli też nadzieję, że wydadzą kilka z nich za mąż, tworząc w ten sposób sojusze z innymi klanami.

Oisín O'Corra zdawał sobie sprawę, że O'Domhnaill widzi w nim ewentualnego męża dla jednej z dziewczyn, ale wiedział też, że Aodh Mór O'Néill nigdy się nie zgodzi na taki mariaż. Ziemie obu klanów leżały zbyt blisko siebie, a przejście Ui'Corra na stronę Ui'Domhnaill zaburzyłoby kruchą równowagę w tej części Uladh.

Mimo wszystko uprzejmie powitał przywódcę Ui'Domhnaill oraz jego towarzyszy i przydzielił im wygodną kwaterę. Na osadnikach w Laighean zdobyli wystarczającą ilość

żywności, a miodu i whisky też na razie nie brakowało.

Ponieważ Aithil O'Corra przebywał na zamku jako kasztelan, Buirre'owi przysługiwało prawo zasiadania przy stole z przywódcami klanów. Lecz po tym, jak wymknął się ukradkiem, a Ferdynand przywiózł go z powrotem kompletnie pijanego, Oisín nie miał zamiaru obdarzyć swojego towarzysza takim zaszczytem. Zamiast niego zaprosił do stołu księdza, a także Szymona i Ferdynanda von Kirchbergów.

- Wolałbym, żeby O'Néill nie kazał nam na siebie czekać - oznajmił gniewnie Aodh Ruadh O'Domhnaill.

Oisín uspokajającym gestem uniósł dłoń.

- Nasz posterunek dał już znać, że wkrótce się pojawi.

- Jeśli będą zwlekać, to wypijemy całą whisky i miód, a dla nich zostanie tylko woda - zażartował jeden z Ui'Domhnaill.

Jego uwaga rozładowała atmosferę. Gdy zaraz potem zjawiała się okazała delegacja Ui'Néill, a ich grajkowie zaczęli konkurować z tymi od Ui'Domhnaill, wszyscy byli w znakomitych humorach.

Aodh Mór O'Néill i Aodh Ruadh O'Domhnaill objęli się i pocałowali. Potem zajęli miejsca obok siebie u szczytu stołu. Obok nich zasiedli Oisín i najstarszy z Ui'Domhnaill, który skosztował już miodu i whisky i bardzo je chwalił.

Ciarę, która przybyła tuż przed O'Domhnailem, ucieszyły te komplementy, choć wiedziała, że razem z Saraid będą musiały uzupełnić zapasy miodu i whisky.

Siedziała obok brata. Naprzeciwko niej prezentowała swoje wdzięki młoda krewna O'Domhnailla, rośnięta, piękna siedemnastolatka, która miała nadzieję, że może jednak zostanie żoną przywódcy klanu Ui'Corra. Miejsce obok niej Oisín przeznaczył dla Ferdynanda, a Szymon siedział naprzeciwko swojego kuzyna. Do tej pory Szymon celowo nie zwracał uwagi na Ciarę. Ale gdy zauważył, jak doskonale bawi się w towarzystwie Ferdynanda, ogarnęła go zazdrość.

Nie chcąc pozostać w tyle za kuzynem, zagadnął Ciarę:

- Mam nadzieję, że na zamku wszystko w porządku?

- Jak najbardziej, panie von Kirchberg.

To było dziwne, ale zirytowało ją, że Szymon przerwał jej rozmowę ze swoim młodszym kuzynem, choć mówili tylko o Gamhain, która ułożyła się wygodnie pod stołem, mocno ograniczając swobodę ich ruchów.

- To piękny zamek i piękny majątek - kontynuował Szymon von Kirchberg z zazdrością w głosie.

Oisin wskazał na przywódców Ui'Néill i Ui'Domhnaill.

- Jeśli chcecie zobaczyć prawdziwy majątek, Kirchberg, to przyjrzyjcie się posiadłościom naszych gości. Osobisty majątek Aodha Móra O'Néilla obejmuje trzy hrabstwa, na które Anglicy podzielili nasz Uladh.

A posiadłości pana Ui'Domhnaill niewiele im ustępują.

Szymon już o tym wiedział. Chodziło mu o to, żeby samemu zostać panem ziemskim. Ale w tym celu musiałby dysponować czymś więcej niż sześćdziesięcioma ludźmi, których miał pod swoją komendą. Z poczuciem, że los nie jest dla niego sprawiedliwy, napił się miodu i skorzystał z najbliższej okazji, żeby znowu wtrącić się do rozmowy przywódców klanów.

- Uważam, że powinniśmy ostrzej postępować z Anglikami. To parszywi heretycy, których należy zmieść z powierzchni ziemi!

Aodh Mór O'Néill skrzywił się na to wezwanie, natomiast ojciec Maitiú zaczął gorliwie przytakiwać Szymonowi.

- Musimy bić Anglików, gdzie tylko ich napotkamy, i nie wolno nam okazywać litości. To czarcie syny, trzeba ich wytępić.

- Chcemy uwolnić Irlandię, a nie przenieść wojnę na Wyspy Brytyjskie - oznajmił poirytowany O'Néill. - Już tutaj będziemy mieli trudności. Nie powinniśmy przez takie gadanie wywoływać gniewu naszych wrogów. Jeśli królowa Elżbieta uzna, że Irlandia może być zarzewiem ataku katolickich potęg na Anglię, wyśle tu armię liczniejszą niż wszyscy Irlandczycy razem wzięci.

- Ojciec Święty pragnie uratować z rąk heretyków nie tylko Irlandię, ale także dusze Anglików, których wiodą na potępienie fałszywi prorocy - kontynuował tonem kaznodziei ojciec Maitiú. - Irlandia to tylko początek!

Wszystkie heretyckie kraje muszą powrócić na łono świętego katolickiego Kościoła.

- W takim razie papież powinien nam przysłać większe wsparcie niż garstka niemieckich żołnierzy - upomniał kapłana Aodh Mór O'Néill. - Nam chodzi o naszą wiarę i naszą wolność, a nie o to, żeby nieść do Anglii boże posłanie w wersji rzymskiej. To byłoby dla nas zbyt ciężkie brzemię.

Niektórzy Irlandczycy dali wyraz swojemu poparciu, w tym także Oisin i Aodh O'Domhnaill. Lecz ojciec Maitiú nie dawał za wygraną. Kontynuował swe płomienne kazanie, które podobało się raczej świtom niż samym przywódcom klanów. Żądał, by wypędzić Anglików z Irlandii za pomocą żelaznych różeg, a potem przeszedł do sprawy zniszczonych i zbezczeszczonych irlandzkich kościołów i klasztorów.

- To dzieło tych pachołków szatana! Nie ma dla nich litości! Anglicy odebrali świętemu Kościołowi majątek i przekazali go w ręce wrogów naszej wiary. Niebiosa i Kościół wynagrodzą każdego, kto pomści na Anglikach te karygodne czyny.

- A czym wynagrodzą? - zapytał natychmiast Szymon von Kirchberg. Do tej pory nie otrzymał niczego poza żywnością i częściowym uzbrojeniem dla ludzi, a to było dla niego zdecydowanie za mało.

Ojciec Maitiú rozmawiał już z Szymonem wielokrotnie, wiedział więc, o co mu chodzi. Był gotów obiecać oficerowi wszystko, byle tylko ten walczył za jego sprawę.

- Kto wiernie służyć będzie pod bożym sztandarem, może liczyć nie tylko na wstęp do Królestwa Niebieskiego, ale i na ziemie, zamki, wysokie zaszczyty.

- Najpierw trzeba te ziemie odebrać Anglikom! - wykrzyknął rozgniewany Aodh Mór O'Néill.

Jeśli ktoś ma tu rozdzielać ziemie, to on, a nie sługa Kościoła. Rozumiał jednak, że nie może tak zupełnie zbyć obietnicy kapłana, więc zwrócił się do Szymona:

- Jeśli macie ochotę, zaaranżuję wam małżeństwo z jakąś bogatą dziedziczką i jeszcze dam wam ziemię i posiadłości.

- Dziękuję wam, czcigodny panie!

Gdy Szymon z zadowoleniem uklonił się O'Néillovi, Ciara poczuła ukłucie w sercu. Raziła ją pożądlivość, jaką okazywał Szymon wobec bogactw i zaszczytów.

Przesunęła wzrok na Ferdynanda, który wydawał się zamyślony. Czy jemu też tak zależy na majątku jak jego kuzynowi? Pewnie tak, założyła, bojąc się, że czeka ją dziś kolejne rozczarowanie. Jakiś diabełek podkusił ją, żeby zadać pytanie:

- A jak to jest z wami, panie Ferdynandzie? Czy wy także pragniecie zdobyć rękę dziedziczki i pokazać nagrodę?

- I na to, i na to Ferdynand musiałby najpierw zasłużyć!

- wtrącił drwiąco Szymon.

Twarz Ferdynanda spochmurniała, ale zaraz potem cicho się roześmiał.

- Mój kuzyn rzekł prawdę, maighdean Ciaro. Żeby mieć prawo do wysokiej nagrody, muszę najpierw zdobyć chwałę. A jeśli chodzi o żonę, to mam nadzieję, że moja sytuacja pozwoli mi samemu dokonać wyboru.

„Niezły przytyk wobec kuzyna” - uznała Ciara i poczuła jeszcze większą sympatię do Ferdynanda.

Oczywiście nie był on mężczyzną, za jakiego pragnęła wyjść. Po pierwsze nie był Irlandczykiem, a po drugie...

Postanowiła przestać o tym myśleć, bo nie przyszło jej do głowy nic innego, co przemawiałoby przeciwko Ferdynandowi. Nawet fakt, że był cudzoziemcem, nie miał tu nic do rzeczy. Przecież irlandzcy szlachcice brali sobie za żony Francuzki, a nawet Angielki, a niejedna irlandzka panna poszła za mężem do obcego kraju. Zdumiona wnioskami, do jakich zaczęła dochodzić, napiła się miodu, przysłuchując się jednocześnie przywódcom klanów, którzy uważnie mierzyli się wzrokiem.

Aodh Ruadh O'Domhnaill popatrzył z zadowoleniem na swojego konkurenta i jednocześnie sojusznika.

- Wygląda na to, że już wkrótce będziemy mogli uderzyć na Sligeach i zająć miasto.
- Jednym z moich najbliższych celów będzie Inis Ceithleann - skontrował O'Néill.

I tak dalej. Obaj podkreślali swoje znaczenie i prześcigali się w snuciu planów, jak zamierzają pokonać Anglików. Jednakże zasadniczo byli tego samego zdania.

Anglicy ośmielili się ingerować w ich tradycyjne prawa, więc należało dać im nauczkę. Aodh Mór O'Néill był świadkiem, jak Henryk Bagenal ograbił z ziemi jednego z jego kuzynów. Na dodatek Anglik zmusił go, żeby go poparł. W obliczu potęgi angielskiej królowej przez dłuższy czas robił dobrą minę do złej gry. Teraz jednak chodziło o to, czy dalej będzie przywódcą Ui'Néill w Uladh, czy też stanie się jednym z wielu szlachciców, którzy muszą się kłaniać przed angielskim sędzią pokoju.

O'Domhnaill opowiedział z kolei, że i od niego chciano wymusić pokąźną połąć ziemi.

- Głód ziemi jest u Anglików nienasycony! Jeśli który ma majątek z dziesięcioma dzierżawcami, to zaraz chce mieć taki z dwudziestoma. Młodzi synowie ziemskich szlachciców otrzymują w Irlandii tytuł barona, a nawet hrabiego i dostają odpowiednie majątki. My, Irlandczycy, jesteśmy dla nich dzikusami, których można bezkarnie oszukiwać i przepędzać. Jeśli nie pokażemy kłów, skończymy jako dzierżawcy na swojej własnej ziemi.

Szymon von Kirchberg zastanawiał się tymczasem, ile ziemi będzie mógł potem zażądać od Irlandczyków.

Ferdynand z kolei myślał o czymś zupełnie innym. Obaj przywódcy buntowników wbrew pozorom wcale nie wyglądali na pewnych zwycięstwa. A co będzie, jeśli przegrają tę wojnę? Wiedział od Aithila, że Ui'Corra już raz zostali wypędzeni ze swojej ziemi. Jeśli to się powtórzy, co będzie z Ciarą? Dzieciństwo spędziła w odległej wieży na wybrzeżu Tir Chonaill, w tak kamienistej okolicy, że niczego nie da się tam uprawiać.

Czy w razie klęski tam właśnie będzie musiała wrócić?

Jeszcze ważniejsze wydało mu się pytanie, czy Anglicy i sprzymierzone z nimi klany

zostawia tam Ciarę i jej ludzi w spokoju.

W tym momencie Ferdynand przysiągł sobie, że zrobi wszystko, by Ciara mogła żyć w pokoju i bezpieczeństwie. To oznaczało, że będzie walczył i pokaże, że jest kimś więcej niż młodszym kuzynem wielkiego Szymona von Kirchberga. Prowadziła jednak do tego długa i wyboista droga.

11

Dzięki sojuszowi zawartemu przez Ui'Néill i Ui'Domhnaill powstała w Ulsterze potęga, która była w stanie oprzeć się Anglikom. Lecz równie ważne było wciągnięcie do powstania klanów z Chonnacht i An Mhuma, a najlepiej także tych z Laighean. A to wymagało długich pertraktacji.

Ponieważ Anglicy odbierali Irlandczykom nie tylko ziemię, ale także ich wiarę i chcieli prowadzić ich drogą herezji, Aodh Mór O'Néill spodziewał się, że zgromadzi wokół siebie większość krajanów. Tymczasem trzeba było Anglików czymś zająć. Sam chciał się zająć obroną uwolnionych przez siebie obszarów, lecz potrzebował wojowników, żeby móc dokuczać wrogowi.

Niecałe dwa tygodnie po wielkim spotkaniu przywódców klanów Aodh Mór O'Néill pojawił się z paroma jeźdźcami pod zamkiem Ui'Corra i zażądał, żeby Ciara sprowadziła brata i jego dowódców z granicznej fortecy.

Ciara popatrzyła ze zdumieniem na wysokiego męża, po czym rzekła do Ionatána.

- Idź do mojego brata i powiedz mu, że Aodh Mór O'Néill chce z nim mówić.

- Tak jest, pani! - Ionatán już miał biec, lecz O'Néill go zatrzymał.

- Weź konia, chłopcze, i jedź! W przeciwnym razie zajmie ci to za dużo czasu.

Wyruszam jutro skoro świt.

Przerażony Ionatán spojrzał na Ciarę. Jako najemny parobek nigdy się nie uczył jazdy konnej i nie sądził, by potrafił dotrzeć na koniu aż do granicznej twierdzy.

Ciara nie mogła jednak cofnąć swojego rozkazu bez narażania młodzieńca na kpiny, więc tylko zachęcająco skinęła mu głową.

- Rób, jak mówi pan Ui'Néill!

Ionatán z głębokim westchnieniem poszedł do stajni.

Tam czekał już na niego Aithil, który poklepał go po ramieniu.

- Nie martw się, dasz radę!

- Dziękuję, panie! - odpowiedział Ionatán, choć nie wyglądał na przekonanego.

Aithil kazał osiodłać mu konia, który uchodził za najłagodniejszego i w razie czego

sam potrafiłby znaleźć drogę do fortecy. Pomógł Ionatánowi wsiąść i odprowadził go aż do bramy.

- Puść wodze luzem i po prostu trzymaj się siodła - doradził mu cicho i poklepał konia po zadzie. Gdy ten posłusznie ruszył kłusem, Ionatán z trudem utrzymał równowagę. Przejechał przez bramę zamku, a potem ruszył doliną wzdłuż otoczonego pastwiskami i zaroślami strumienia w kierunku lśniącego ciemną zielenią lasu, który znajdował się w odległości mniej więcej godziny jazdy.

Aithil popatrzył za nim, a potem wrócił na zamek. Ciara zaprowadziła już O'Néilla oraz jego towarzyszy do głównej sali i kazała podać im miód i przekąski.

Aodh Mór O'Néill jadł z apetytem, chwając Ciarę i Saraid za strawę i trunek. W końcu pogładził się z namysłem po swej gęstej, rudawej brodzie, patrząc niewidzącym wzrokiem gdzieś w dal.

- Wasz brat zdobył we Francji sławę jako dowódca, maighdean - powiedział wprost.

- Oisin prawie nie opowiada o czasie, który spędził na kontynencie, ale od jego wojowników co nieco się dowiedziałam - odpowiedziała Ciara.

- Mógłbym wykorzystać jego umiejętności tu, w Irlandii - kontynuował O'Néill. - Powinien dać Anglikom popalić. Jak sądzicie, dałby radę?

Zdumiona Ciara przytaknęła.

- Z całą pewnością. Poza tym ma u swego boku żołnierzy Kirchberga.

Dziwne, że na dźwięk tego nazwiska pojawił się przed jej oczami nie Szymon, tylko Ferdynand. Ciara nie zdołała się jednak nad tym zastanowić, ponieważ całą jej uwagę skupił na sobie dostojny gość.

Aodh Mór O'Néill nie mówił już bowiem o wojnie, tylko o innych sprawach. Okazał się dobrym rozmówcą i czas mijał im jak z bicza strzelił. Saraid kazała jeszcze raz podać jedzenie, a gdy misy i deseczki znowu uprzątnięto, na zewnątrz rozległ się tętent kopyt. Zaraz potem do sali wszedł Oisin. Sądząc po wyglądzie, nie oszczędzał konia, gdyż jego odzienie pokryte było błotem, a nogawice kleiły mu się do ud od potu.

- Witajcie na zamku Ui'Corra - powitał O'Néilla, wyciągając dłoń. Z uścisku zrezygnował, ponieważ nie chciał pobrudzić gościa.

- Pozwólcie, że się odświeżę - dodał i od razu wyszedł.

Niedługo potem powrócił. Zmienił ubranie i obmył twarz i ręce. Mógł już uściskać gościa i powitał też jego towarzyszy. W tym czasie siostra napełniła jego kubek.

Oisin się roześmiał.

- Możesz napełnić trzy kolejne, bo zabrałem ze sobą Buirre'a, Kirchberga i jego

kuzyna.

Saraid, która właśnie weszła, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzeba, syknęła cicho, słysząc imię swojego męża. Potem przez jej twarz przemknął drwiący uśmieszek i pośpiesznie zawróciła do kuchni.

Gdy chwilę później Buirre wkroczył do sali zamku wraz z Szymonem i Ferdynandem, na jego miejscu czekał już wielki kubek miodu. Ponieważ Saraid i tym razem nie pożałowała whisky, miód smakował jej mężowi wyjątkowo dobrze, więc opróżnił naczynie jednym haustem. Saraid od razu przyniosła mu kolejny pełny kubek i przystanęła w drzwiach, żeby natychmiast służyć, jeśli coś będzie potrzebne.

Aodh Mór O'Néill dał Oisinowi oraz jego ludziom czas, by się pokrzepili, a potem przemówił. Najpierw opowiedział o sukcesach, jakie stały się już udziałem Irlandczyków, a dopiero potem przeszedł do kwestii, która sprowadzała go do Ui'Corra.

- Musimy rozciągnąć nasze działania na południe, Oisinie O'Corra, i zacząć przechwytywać angielskich posłańców oraz wstrzymać ruch towarów drogami i rzekami. Nie chciałbym zlecać tego któremuś z moich oficerów, bo potrzebuję ich na wypadek, gdyby Henryk Bagenal albo John Chichester znowu zaatakowali. Dlatego proponuję, żebyście wy przejęli to zadanie. Nie trzeba wam będzie więcej jak stu ludzi, ponieważ musicie być ruchliwi, żeby móc uniknąć kontrataków angielskich oddziałów czy milicji. Musicie być jednak wystarczająco silni, by zadawać im bolesne uderzenia. Czy jesteście na to gotowi?

Oisin w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć. Z jednej strony O'Néill dał mu otwarcie do zrozumienia, że podczas walki bardziej liczy na innych dowódców, lecz z drugiej kuszące było działanie na własną rękę i możliwość zdobycia zarówno sławy, jak i łupów. W końcu skinął głową z poważną miną.

- Jeśli zechcecie powierzyć mi to zadanie, podejmę się go.

- Wiedziałem, że się zgodzicie! - Cała twarz Aodha Móra O'Néilla rozpromieniła się, a on przyciągnął Oisina do siebie.

- Bijcie Anglików, gdzie ich tylko napotkacie! Nie dawajcie im spokoju! Niech wasze ataki zabolą Sasów i sprowokują do walki na oślep. Wtedy będziemy mogli zastawić na nich pułapkę i zmiażdżyć jak tę muchę. - Dłoń O'Néilla walnęła mocno w stół, zabijając natrętnego owada, który właśnie zamierzał skosztować miodu.

Podczas gdy Oisin zastanawiał się, gdzie powinien najpierw uderzyć, Ciarze myśli wirowały w głowie. Choć nie znała się na wojnie, to jedną rzecz rozumiała.

Atakowanie na terenach kontrolowanych przez wroga nie będzie łatwe.

Nagle przyszło jej coś do głowy i spojrzała na brata z uśmiechem.

- Z samymi wojownikami nie spełnisz zadania postawionego przez O'Neilla. Musisz zaskoczyć Anglików, a przede wszystkim wykazać się sprytem.

- Co masz na myśli? - zapytał zdumiony Oisín.

- Jak się łapie myszy? - odpowiedziała pytaniem Ciara.

- Buduje się pułapkę, wkłada tam boczek albo ser, a gdy mysz zaczyna to jeść, pociąga się sznureczek i klapka się zamyka.

- I tak samo powinniśmy postąpić z Anglikami - wyjaśniła Ciara z błyskiem w oku. - A że sami mężowie nie wystarczą do roli boczku czy sera, potrzebujecie co najmniej jednej kobiety. Lecz takiej, która umie się posłużyć łukiem i strzałami, żeby mogła wesprzeć was w walce.

- Masz na myśli samą siebie.

Uwaga Oisina była właściwie zbyt cenna, bo na zamku żadna niewiasta poza jego siostrą nie potrafiła dobrze strzelać z łuku.

Ferdynand też to rozumiał i próbował wyperswadować Ciarze ten pomysł.

- Wybaczcie, pani, ale to zbyt niebezpieczne! Moim zdaniem zupełnie wystarczy, jeśli przebierzemy za niewiasty paru żołnierzy.

- Będziecie pięknie wyglądać w spódnicach i chustkach! - odparła drwiąco Ciara, wywołując salwy śmiechu.

- Żaden mąż nie pozwoli sobie zgolić brody, żeby wyglądać jak baba! - Buirre wypił już za dużo specjalnego miodu Saraid, żeby potrafić się grzecznie odezwać.

Oisín rzucił mu poirytowane spojrzenie i pokręcił głową.

- Nie da rady, Ciaro.

- A czemuż to nie? - zapytała gniewnie. - Czy irlandzkie kobiety mają patrzeć ze spuszczoną głową, jak decyduje się ich los?

- Ciara ma rację - wtrąciła się do rozmowy Saraid. - Jeśli Anglicy zwyciężą, to my, kobiety, najbardziej ucierpimy, czy to przez gwałty, czy też biedę i głód.

I dlatego ja też pójdę.

- Nie możesz! - wykrzyknęła Ciara. - Kto podczas twojej nieobecności będzie nadzorować parobków i dziewczki na zamku?

Argument był ważki. Poza Ciarą i Saraid żadna inna kobieta z klanu tego nie potrafiła. Saraid już miała zaproponować, że będą z Ciarą na zmianę towarzyszyć wojownikom, lecz zanim zdołała to zrobić, głos zabrał Buirre.

- Maeve mogłaby pójść! - Po tym, jak zrezygnował z niej na pewien czas, znów pragnął ją posiąść. Pozostali żołnierze przejrżeli jego zamiary i roześmiali się, a Oisín się

skrzywił.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł, bo ta kobieta nie wygląda mi na godną zaufania. Poza tym tak bardzo nienawidzi Anglików, że mogłaby nas zdradzić nieostrożnym zachowaniem.

- W takim razie zabierzemy Bríd - oznajmiła Ciara.

Młoda dziewczka wydawała jej się dość odważna, żeby utrzymać nerwy na wodzy w obliczu oddziału Anglików.

Aodh Mór O'Néill przysłuchiwał się dotąd w milczeniu dyskusji Ui'Corra. Teraz pokiwał głową i ze śmiechem poklepał Oisina po ramieniu.

- Wasza siostra to dzielna dziewczyna. Poza tym ma rację. Kiedy Anglicy zobaczą kobiety, zapomną o wszystkim innym, a wy będziecie mogli ich zaskoczyć.

Ten pomysł zupełnie się Oisinowi nie podobał, wiedział jednak, że nie powinien protestować. Gdyby zostawił Ciarę i dziewczkę na zamku i nie odniósł sukcesu, jakiego oczekiwał O'Néill, to by znaczyło, że nie służy Irlandii z żarliwością godną wolnego syna tej wyspy.

- Dziś świętujemy, jutro przygotujemy wszystko, czego możemy potrzebować w walce, a pojutrze wyruszamy - oznajmił i pociągnął wielki łyk miodu.

A Ciara wskazała na Gamhain, która wstała niedbale ze swojego ulubionego miejsca i podeszła do jej boku.

- Powinniśmy ją zabrać! - powiedziała do brata.

Oisin popatrzył na długonogą sukę i potrząsnął głową.

- Nie, Gamhain zostaje tutaj. Nie możemy ryzykować, że zdradzi nas szczekaniem.

- Ale może nam się przydać - zaprotestowała Ciara.

- Może następnym razem, jak zbierzemy już doświadczenia. - Oisin uznał dyskusję za zakończoną.

Tymczasem Ferdynand wiercił się niespokojnie.

- A co z nami? - zapytał donośnym głosem.

- Wy, Niemcy, nie jesteście przyzwyczajeni do tego rodzaju walki. Z tego względu pozostaniecie w fortecy i będziecie jej bronić - oznajmił Oisin.

Ferdynand z przekorą pokręcił głową.

- Nie przybyłem do tego kraju, żeby siedzieć w jakiejś fortecy i czekać, czy przypadkiem nie pokaże się jakiś Anglik. Chcę walczyć.

- Bądź cicho, durniu - ofuknął go Szymon.

Lecz Ferdynand, nie dając się zbić z tropu, popatrzył zaczepnie na Oisina O'Corrę.

- Albo dacie mi okazję, żeby dać Anglikom popalić, albo poszukam sobie nowego przywódcy, który mi w tym pomoże!

Szymon pogardliwym gestem chwycił się za głowę, a Oisín niechętnie skinął głową.

- Dobrze! Dam wam okazję do walki z Anglikami, Ferdynandzie von Kirchberg. Ale otwarcie wam powiadam, że ani ja, ani moi ludzie nie będziemy na was zważać, jeśli nie zdołacie za nami nadążyć albo w jakikolwiek inny sposób okażecie się przeszkodą.

- Zaryzykuję. - Ferdynandowi było wszystko jedno, jakie czekają go trudności.

Chodziło mu tylko o to, by mógł chronić Ciarę.

[24] Dún Dealgan (ang. Dundalk) - miasto na północno-wschodnim wybrzeżu Irlandii.

CZĘŚĆ CZWARTA

Wojenny podstęp

1

Oisin popatrzył pytająco na Ciarę i Ferdynanda.

- Jesteście gotowi?

- Tak - odpowiedziała Ciara za nich oboje.

Mimo to Oisin zapytał także jego:

- Wiecie, co macie robić?

- Wchodzę do karczmy, zamawiam kubek wina i wznoszę toast za Aodha Móra O'Néilla. A potem wybiegam.

- Mam nadzieję, że dacie radę - wtrąciła zatroskana Ciara.

Ferdynand uśmiechnął się szeroko.

- Już jako mały chłopiec szybko biegałem.

- Ty razem z osłem, niby przypadkiem, wejdiesz w drogę Anglikom ścigającym pana Ferdynanda i postarasz się, żeby zyskał przewagę. Od skraju lasu dzieli go przecież pół mili. A tam czekać już będzie na żołdaków Elżbiety stosowne przyjęcie.

Oisin najchętniej zrezygnowałby z tego szalonego planu, który narażał zarówno Ferdynanda, jak i Ciarę na wielkie niebezpieczeństwo. Lecz na razie ich akcje nie wywołały takiego rozgłosu, na jaki liczył O'Néill. Choć udało im się parę pomniejszych napadów i przechwycili kilku angielskich posłańców, to jednak angielscy administratorzy i dowódcy wysyłali z tymi samymi wiadomościami kolejnych ludzi i któremuś z nich zawsze udało się przedrzeć. Nie zdołali też w istotny sposób zahamować transportu towarów pomiędzy angielskimi twierdzami i miastami. Dlatego Oisin chciał wypróbować nową strategię.

- Niech Bóg ma was w swojej opiece - szepnął do siostry i młodego Niemca.

Ciara była przebrana za ubogą handlarkę, która razem z osłem i skromnymi towarami wędruje od zagrody do zagrody, natomiast Ferdynand miał na sobie zielony kaftan i obcisłe spodnie w kratę. Miecz przypiął na plecach, żeby nie przeszkadzał mu w biegu. Ciemnoblonde włosy sterczały spod ozdobionego srebrną koniczyną beretu, nadając mu nieco zuchwały wygląd.

- Ruszajcie, ale nie jednocześnie! - rozkazał Oisin, a potem zwrócił się do swoich wojowników: - Gotujcie się! W razie czego wybiegniemy Niemcowi naprzeciw.

Ionatánie, weź pięciu ludzi i pilnuj, żeby Ciarze nic się nie stało.

- Po moim trupie! - Ionatán poklepał rękojeść swojego krótkiego miecza, gotów oddać życie w obronie Ciary, dzięki której mógł się przyłączyć do żołnierzy Oisina.

Buirre natomiast zrobił kwaśną minę. Odkąd upił się kilka razy do nieprzytomności, Oisín nie powierzał mu żadnych istotnych zadań. Aż się w nim gotowało, gdy widział, jak były najemny parobek otrzymuje dowodzenie nad pięcioma wojownikami klanu. Zapytał już nawet Oisina, czy nie mógłby się zamienić z Aithilem i na powrót objąć funkcję kasztelana zamku. Lecz taoiseach odmówił i oznajmił, że jak mu coś nie odpowiada, to może się od razu przyłączyć do O'Néilla. Ale u tamtego dowódcy byłby tylko jednym z wielu żołnierzy, a nie kimś, kto może się powoływać na pokrewieństwo z przywódcą klanu.

Teraz Buirre, podobnie jak inni, sprawdzał swoją broń.

Jeśli Niemcowi uda się wywabić Anglików z karczmy i ich tu ściągnąć, zamierzał udowodnić, że jest najlepszym spośród wojowników Oisina.

Tymczasem Ferdynand ruszył w stronę wioski. Nie miała żadnych obronnych umocnień, ale otaczał ją mur ułożony z polnych kamieni. Ocenił wysokość ogrodzenia i stwierdził, że da radę je przeskoczyć, gdyby ktoś zatrzasnął mu bramę przed nosem. Podbudowany wszedł na teren wioski i skierował się do gospody. Na widok uwiązanych przed budynkiem koni wpadł na lepszy pomysł. Nie musiał ryzykować, uciekając pieszo, jeśli ścigający ruszą konno. Postanowił ukraść konia.

Wprawnym okiem wybrał najlepszego rumaka, a potem z uśmiechem na twarzy wkroczył do karczmy. W drzwiach odwrócił się jeszcze i zobaczył, że do wioski wchodzi przebrana Ciara. „Mam nadzieję, że nic jej nie będzie” - pomyślał. A potem zobaczył angielskich żołnierzy, którzy rozsiedli się przy dwóch dużych stołach, rzucając usługującej dziewczce sprośne uwagi.

Gdy jeden z nich dostrzegł Ferdynanda, wskazał na niego ze śmiechem.

- Patrzcie, idzie Irlandczyk! Chodź tutaj, przyjacielu, siadaj z nami i wypij za zdrowie Jej Wysokości królowej Elżbiety!

To powiedziawszy, wstał, chwycił kubek i chwiejąc się, podszedł do Ferdynanda.

- Masz i mów głośno, żebyśmy usłyszeli twój toast!

„Idzie lepiej niż się spodziewałem” - pomyślał Ferdynand, przyjmując trunek.

- Za wasze zdrowie, panowie! - powiedział, naśladowując irlandzki akcent Aithila i z zadowoleniem zauważył, że twarze żołnierzy łagodnieją.

Naprawdę uwierzyli, że jest stronnikiem Anglików albo tchórzem, który boi się im narazić. Poczekał jeszcze chwilę, żeby dać Ciarze czas na dojście pod karczmę, a potem

uniósł kubek najwyżej, jak się dało.

- Za człowieka, którego wy, durni Sasanach, nazywacie Hugh O’Neillem, oswobodziciela Irlandii!

Napić się już nie zdążył. Anglicy zerwali się z wrzaskiem, a ten, który podał mu kubek, chciał go pochwycić. Ferdynand mocnym kopniakiem odesłał go w stronę kamratów, odwrócił się i wybiegł za drzwi. Pięć sekund później trzymał już wodze świetnego rumaka i wskakiwał w siodło.

- Chodź, kochany, przejedziemy się - powiedział uspokajającym tonem, gdy koń zaczął się narowić. Na szczęście zapanował nad ogierem, zanim pojawił się pierwszy Anglik, i popędził galopem.

Ciara pociągnęła obładowanego osła na bok, żeby Ferdynand mógł przejechać, i znalazła się naprzeciwko zgrai przeklinających Anglików.

- Ukradł mojego ogiera! Nie dajcie mu uciec! - zawołał ich dowódca, wskakując na najbliższego konia.

Wierzchowców starczyło jeszcze dla dwóch Anglików.

Pozostali musieli biec pieszo. Po paru krokach wszyscy trafili na Ciarę i jej osła, który akurat zaparł się, blokując im drogę.

- Z drogi, cholerna zdiro! - wrzasnął jeden z nich, podczas gdy jeźdźcy próbowali ją ominąć.

Ciara pociągnęła wodze osła, jakby chciała odciągnąć go na bok. Lecz dwaj Anglicy zaczęli okładać zwierzę pięściami, więc osioł stawiał opór. Gdy się w końcu odsunął, Ferdynand już dawno minął bramę i pogalopował w stronę lasu.

Anglicy popędzili za nim ile sił w nogach, z przodu trzej jeźdźcy, a dalej ich podwładni na piechotę.

Ciara popatrzyła za nimi i z udawanym oburzeniem potrząsnęła głową.

- Co w nich wstąpiło?

- Jakiś człowiek wznosił toast za Aodha Móra O’Néilla, a potem uciekł na koniu jednego ze szlachciców - wyjaśniła jej dziewczka z karczmy, która obserwowała pościg, stojąc w drzwiach. - Jak na moje oko, to go nie dogonią. Ale ty też powinnaś stąd zmykać! Bo jak ten sir tu wróci, może pomyśleć, że koniokradowi tylko dlatego udało się tak szybko zbiec, że spowolniłaś jego ludzi.

Jeszcze wyładuje na tobie swój gniew!

- Dziękuję za ostrzeżenie! - Ciara ucieszyła się, że może opuścić wioskę niepostrzeżenie, bez konieczności wystawiania swojego towaru. Zawróciła osła i energicznie

ruszyła ku bramie. Któryś z mieszkańców wioski zaczął się zastanawiać, czy nie zamknąć przed nią wrót, ale przepuścił ją i wrócił do swoich zajęć. Zaraz potem Ciara przyspieszyła kroku, mając nadzieję, że wszystko przebiegnie tak, jak to zaplanował jej brat.

2

Ferdynand obejrzał się tuż przed dotarciem do skraju lasu. Dowódca Anglików mocno wyprzedził dwóch pozostałych jeźdźców, natomiast piesi żołnierze, pomimo ciężkich zbroi i broni, biegli żwawo tuż za jego towarzyszami. Ferdynand się zawahał. Jeśli ludzie Oisina wyjdą na szlachcica, pozostali Anglicy to zobaczą i mogą się wycofać do wioski. A wtedy zaatakowanie ich spowodowałoby zbyt wielkie straty. Ferdynand minął więc przyczajonych Irlandczyków, mocno wymachując lewą ręką.

- Kryjcie się i zajmijcie się pieszymi!

Spostrzegł jeszcze zdumioną minę Oisina, minął jego ludzi i wjechał wąską dróżką w las. Zerknął do tyłu, żeby się upewnić, że angielscy jeźdźcy cały czas go ścigają.

Spróbował oszacować czas, jakiego potrzebowali piesi, żeby dotrzeć do lasu, a już w następnej chwili usłyszał za sobą hałas i szczęk broni. Natychmiast ściągnął wodze i zawrócił konia.

Uparcie ścigający go Anglik też się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać. Najwyraźniej właśnie się domyślił, że wpadli w pułapkę, i nie bardzo wiedział, co robić. Żeby ułatwić mu sprawę, Ferdynand dobył miecza i ruszył na niego.

- Hej, ty, niewieści pachołku! - zawołał, odnosząc się do faktu, że Anglią rządziła kobieta. - Teraz zobaczymy, czy nie tylko w gębie jesteś taki mocny!

Anglik popatrzył na niego, stwierdził, że atakuje go tylko jeden człowiek i także wyciągnął miecz. Wyglądało jednak na to, że wolałby poczekać, aż dołączą do niego pozostali dwaj jeźdźcy.

Lecz Ferdynand na to nie pozwolił. Popędził konia i uniósł broń. Stal uderzyła o stal, Anglik zaś okazał się z początku godnym przeciwnikiem. Lecz Ferdynand wykonał zwód, na który przeciwnik dał się nabrać. Zaraz potem wbił mu ostrze w ramię. Anglik zsunął się z krzykiem z siodła i zleżł skulony na ziemi.

Ferdynand chciał ruszyć na kolejnego jeźdźcę, zobaczył jednak, że nadbiega kilku Irlandczyków z Ionatánem na czele. Obaj Anglicy też spostrzegli wrogów i radzili, co czynić. Pierwszy skierował swojego rumaka w stronę lasu, a jego towarzysz, po niemal niezauważalnej chwili wahania, ruszył za nim. Nie spełniła się jednak ich nadzieja, że zdołają się w ten sposób wymknąć, gdyż konno poruszali się pomiędzy drzewami wolniej niż Ionatán

i jego ludzie.

Ferdynand chciał jechać za nimi, lecz jego uwagę przyciągnął angielski szlachcic. Jęczał z bólu, ale wstał i próbował podnieść swój miecz, który upadł na ziemię, gdy spadał z konia. Zanim dosięgnął broni, Ferdynand zeskoczył z siodła i wycelował w niego swój miecz.

Mając przed oczami czubek ostrza, Anglik zamarł.

- Jestem waszym jeńcem, panie!

- Niech będzie! - Ferdynand z ulgą podniósł broń przeciwnika i złapał oba konie. -

Ciężko jesteście ranni?

- zapytał, gdy spostrzegł, że spomiędzy palców ręki, którą Anglik przyciskał do ramienia, wypływała krew.

- Cios waszego miecza nie pozbawił mnie życia, choć chyba się wykrwawię, jeśli ktoś mnie wkrótce nie opatrzy - odpowiedział szlachcic i zamarkował ukłon. - Pozwólcie, że się przedstawię. Sir John Crandon do waszych usług.

Ferdynand postanowił także okazać uprzejmość.

- Ja się nazywam Ferdynand von Kirchberg.

- A więc jednak nie jesteście Irlandczykiem! - powiedział z namysłem Anglik. - Od razu tak pomyślałem, uznałem was raczej za potomka jednego z normańskich baronów, którzy przybyli na tę wyspę pod dowództwem Ryszarda Strongbowa[25] i Henryka II, by cywilizować pierwotnych mieszkańców.

- Zamiast gadać, lepiej zajmijmy się waszą raną. Czy dacie radę sami zdjąć zbroję, czy muszę wam pomóc?

Anglik daremnie próbował odpiąć napierśnik.

- Wygląda na to, że jestem całkowicie zdany na waszą łaskę - oznajmił z rezygnacją w głosie.

Ferdynand wskazał na zwalone drzewo.

- Usiądźcie tam.

Crandon posłuchał, a Ferdynand zdjął mu napierśnik, a także kurtkę, kamizelkę i koszulę. Gdy miał właśnie podrzeć koszulę na pasy, chcąc ich użyć do obwiązania rany, zjawił się Oisín z większością swoich ludzi.

Odzienie Irlandczyka zbryzgane było krwią, a że nie wiedli ze sobą żadnych jeńców, Ferdynand się domyślił, że ubili angielskich piechurów.

Za wojownikami szła Ciara ze swoim osłem.

Ferdynand spojrział na nią z ulgą. Już miał ją poprosić o opatrzenie jeńca, gdy Buirre spostrzegł angielskiego szlachcica i wyciągnął miecz.

- To przecież jedna z tych angielskich świń. Zaraz znajdziesz się w piekle, ty psie!

Buirre zamachnął się, żeby zabić Crandona, lecz nim zdołał to uczynić, Ferdynand przystawił mu do gardła czubek miecza.

- Ten człowiek jest moim jeńcem, rozumiecie? Kto tknie go bez mojego pozwolenia, będzie odpowiadał przede mną!

- Wy mi nic nie możecie kazać - zapienił się Buirre i rozejrzał się za wsparciem ze strony kamratów. Ci jednak wyróżnili co prawda piechurów, lecz wiedzieli, że to Ferdynand ściągnął Anglików w pułapkę, i woleli się nie wtrącać.

Gdy Buirre zrozumiał, że żaden z nich go nie poprze, cofnął się z przekleństwem na ustach.

- Jeszcze tego pożałujecie!

Ferdynand nie zwracał uwagi na jego pogroźki, tylko spojrzął na Ciarę i uklonił się przed nią.

- Czy bylibyście tak łaskawi, by go opatrzyć? Nie po to wziąłem jeńca, żeby się teraz wykrwawił. Martwy nie będzie miał dla nas żadnej wartości.

- Chcecie go wypuścić za okupem? - zapytał Oisín.

- W zamian za okup albo za jakiegoś jeńca z naszej strony, to się jeszcze okaże. W każdym razie opłaci się nam go zatrzymać.

- Dla was już się opłaciło, bo zdobyliście wspaniałego rumaka. - Oisín wskazał na ogiera, który niecierpliwie grzebał kopytami.

Ferdynand o tym nie pomyślał. Koń był na pewno lepszy od tego, którego pożyczył mu Oisín, a nawet od nowego wierzchowca kuzyna, z którego Szymon był taki dumny. „Ale zrobi oczy, gdy go zobaczy” - pomyślał i ucieszył się.

Tymczasem myśli Oisína podążyły już w innym kierunku.

- Po tej akcji powinniśmy opuścić te okolice i wrócić w ojczyście strony. Przypuszczam, że Aodh Mór O’Néill będzie nas wkrótce potrzebować. Od Irlandczyka z pobliskiej wioski dowiedziałem się, że Henryk Bagenal zamierza poprowadzić przeciwko nam kolejną kampanię.

Nie możemy opuścić takiej okazji.

W tym momencie Ferdynand spojrzął na swojego jeńca.

Ten wyraźnie się przestraszył, gdy zdał sobie sprawę, że nieprzyjaciel zna już plan przygotowany wspólnie przez Henryka Bagenala i Ryszarda Haresgilla. Wśród Irlandczyków byli tacy, którzy dla pieniędzy gotowi byli wydać swoich rodaków Anglikom, lecz także tacy, którzy dostarczali informacje krajanom z wolnej części Irlandii.

Henryk Bagenal oraz inni angielscy dowódcy i panowie nie mogli właściwie zrobić kroku, żeby zaraz nie dowiedzieli się o tym O'Néill, O'Domhnaill albo Oisín O'Corra.

A Ferdynand wiedział już, że będą mogli wypuścić Johna Crandona dopiero wtedy, gdy zaplanowana przez Bagenala wyprawa zakończy się klęską. Teraz trzeba było jak najszybciej stąd zniknąć i dotrzeć do ziem Ui'Corra, najlepiej nie natknąwszy się już więcej na Anglików.

Nadszedł właśnie Ionatán, który zameldował, że dopadli obu uciekających jeźdźców i schwytali ich konie.

Oisín postanowił więc, że czterej ludzie poniosą Crandona na naprędcie przygotowanych noszach, natomiast broń i inne rzeczy Anglików zostaną załadowane na zdobyczne konie i osła. Łup Ferdynanda powiększył się jeszcze, gdy odkrył w sakwie przy siodle dwa pistolety.

Pieniądze, które Crandon miał przy sobie, oddał Oisínowi, żeby ten podzielił je sprawiedliwie pomiędzy wszystkich swoich ludzi.

Niektórzy Irlandczycy zaczęli wiwatować na cześć Ferdynanda, natomiast Buirre patrzył przed siebie z markotną miną. Wyglądało na to, że jego taoiseach wyżej ceni sobie rady młodego Niemca, w duchu posłał więc ich obu do diabła.

3

Powrót okazał się dla Oisína i jego drużyny gorzkim rozczarowaniem. Oczekiwana bitwa z Anglikami została już rozegrana, a Aodh Mór O'Néill i jego sojusznicy odnieśli wielkie zwycięstwo. Zginął nawet sir Henryk Bagenal, najwyższy rangą przedstawiciel angielskiej królowej. Niestety śmiertelny wróg Oisína O'Corry, Ryszard Haresgill, był tylko ranny i zdołał uciec.

Dokonania Oisína i jego ludzi zbladły w porównaniu z tak wspaniałym zwycięstwem. Dobrze, że chociaż Aithil O'Corra i Szymon von Kirchberg wraz ze swym oddziałem mogli wziąć udział w tej bitwie.

- Powinniście byli zostać z nami - powitał Ferdynanda Cyriakus Hufeisen. - Hugh O'Neill na pewno by was zauważył i mianował oficerem. A tak to awansował waszego kuzyna i przekazał mu dowództwo nad całą kompanią żołnierzy z rozmaitych krajów. A że jest wśród nich paru doświadczonych oficerów, trudno będzie wam zachować pozycję zastępcy dowódcy.

W głosie Hufeisena brzmiał żal, bo już dawno całym sercem polubił tego młodego

człowieka. Znał jednak żelazną zasadę Szymona von Kirchberga, która brzmiała następująco: nie miej bogów cudzych przede mną. Lecz ze swą odwagą i pomysłowością Ferdynand pomału zaczynał stwarzać zagrożenie dla próżności Szymona.

- Cieszę się, że Szymon dostał dobrych oficerów i nowych żołnierzy - odpowiedział Ferdynand. - Wcale nie mam zamiaru wracać pod komendę mojego kuzyna, chcę zostać z panem Oisinem i jego Irlandczykami.

Hufeisen zauważył spojrzenie, które Ferdynand posłał Ciarze, i pokręcił głową.

- To z powodu tej dziewczyny, tak? W takim razie powinniście być ostrożni. Ona jest atrakcyjna nie tylko dla waszego brata, ale także dla Hugh O'Neilla, bo dzięki niej mógłby wzmocnić sojusz z jakimś ważnym klanem z południa. Nie oddadzą jej waszemu kuzynowi, a co dopiero wam.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział Ferdynand ostrzej niż zamierzał, i nie do końca zgodnie z prawdą dodał: - To nie z powodu panny Ciary chcę zostać w drużynie jej brata, tylko dlatego, że sposób walki Irlandczyków lepiej pasuje do tej wyspy niż nasze metody.

To dzielni wojownicy, ale nie są przyzwyczajeni do atakowania w ustalonym bitewnym szyku. Jeśli Aodh Mór O'Neill tak spróbuje, skończy się to katastrofą dla niego i dla Irlandczyków.

- Powinniście mówić na niego Hugh O'Neill, tak jak robi to wasz kuzyn - upomniał go Hufeisen. - Bo tak to nie wiadomo, czy macie na myśli jego, czy innego męża z jego rodu.

- Nazywam przywódcę Ui'Neill takim imieniem, jakiego używają jego irlandzcy krajanie - odparł Ferdynand.

Miał już dość wymówek Hufeisena, a musiał sam przed sobą przyznać, że jest rozczarowany, bo nie miał okazji, żeby tak jak kuzyn zdobyć sławę w bitwie.

W przeciwieństwie do czynów Szymona, jego uczynki przypominały raczej działania jakiegoś opryszka.

W każdym razie codziennie widywał Ciarę i mógł z nią rozmawiać. To była jakaś pociecha. Gdy znów na nią zerknął, zobaczył, że właśnie wita ją Gamhain. Na rozkaz Oisina suka została na zamku, a teraz z wielką radością lizała swoją panią po twarzy i dłoniach. „Następnym razem powinniśmy zabrać Gamhain - pomyślał Ferdynand. - W walce jest warta więcej niż żołnierz i zawsze broniłaby Ciary”.

Tymczasem Szymon von Kirchberg spostrzegł Ferdynanda i wyraźnie zadowolony podszedł do niego i Hufeisena.

- Tutaj jesteś, mały! Szkoda, że z nami nie zostałeś.

W tej bitwie ty też mogłeś się wyróżnić. Ale koniecznie chciałeś pójść z Oisinem. Teraz trudno będzie włączyć cię z powrotem do mojej kompanii, bo Hugh O'Neill przydzielił mi paru doświadczonych oficerów, których nie mogę urazić, faworyzując żółtodzioba, który w życiu nie wahał prochu.

Ferdynand z trudem ukrył gniew. Przecież walczył z Anglikami w bitwie pod Clontibret, a także pod dowództwem Oisina.

- Skoro w twojej kompanii nie ma dla mnie miejsca, to może lepiej będzie, jeśli zostanę z Irlandczykami - odpowiedział szorstko, do czego Szymon nie był przyzwyczajony.

- Nie mówiłem, że nie mam dla ciebie miejsca. Tylko musiałbyś się na razie zadowolić szarżą prostego żołnierza, aż zwolni się dla ciebie miejsce podoficera lub oficera - wyjaśnił Szymon z nutką złośliwości w głosie.

- Wybacz, ale wolę być poddowódcą w oddziale Oisina O'Corry niż prostym żołnierzem pod twoją komendą.

Z tymi słowami Ferdynand odwrócił się do kuzyna plecami i poszedł za Ciarą do głównej sali zamku, w której przygotowywano już ucztę dla powracających wojowników.

Szymon popatrzył za nim ze zmarszczonym czołem.

- Co temu chłopakowi znowu jest? Przecież powinien być dumny, że może pode mną służyć i uczyć się ode mnie.

- Może nie podoba mu się, że cenicie wyżej obcych.

Mogliście zrobić z niego swojego adiutanta, niczego nie tracąc.

Uwaga Hufeisena nie spodobała się Szymonowi tak samo, jak przekorne zachowanie Ferdynanda. Zostawił go więc tak, jak stał, i postanowił go zdegradować. Miał przecież teraz wystarczająco wielu oficerów i sierżantów, z których usług mógł skorzystać.

Gdy wszedł do sali zamku, znów ogarnął go gniew, bo Oisín właśnie wskazywał Ferdynandowi miejsce, które do tej pory zajmował on. Musiał w związku z tym usiąść trochę dalej, przy niższym stole, i stwierdził z irytacją, że przypadło mu nawet gorsze miejsce niż Buirre'owi.

Oisín radował się ze wspaniałego zwycięstwa, lecz jednocześnie czuł złość, że sam nie mógł wziąć udziału w walce. Zaczął się nawet zastanawiać, czy Aodh Mór O'Neill nie trzymał go celowo z daleka, żeby poprowadzić bitwę bez niego. Jego udział w zwycięstwie umocniłby jego sławę w Irlandii i przekonał niektórych znaczących przywódców klanów do oddania mu córki za żonę lub zaproponowania syna na męża dla Ciary. Nie chciał jednak urazić tych swoich ludzi, którzy walczyli w bitwie pod komendą Aithila, więc wznosił toast za zwycięstwo, wychwalając ich czyny.

Aithil wznosił swój puchar z zadowoloną miną, gdyż udział w bitwie umocnił jego pozycję jako zastępcy Oisina i nie musiał się już obawiać konkurencji ze strony Buirre'a.

Ten wszystko to rozumiał i pocieszał się mocnym miodem, którym częstowała go Saraid. Jeszcze bardziej niż umocniona pozycja Aithila w klanie złościło go to, że także Ionatán awansował na podoficera klanu i miał teraz prawo zasiadać naprzeciwko niego. Przypomniała mu się Maeve. Aż do tego dnia drwiła ze swojego męża i twierdziła, że nigdy do niego nie wróci. Ale co będzie, gdy zobaczy, że otoczony uznaniem zasiada przy stole Oisina? Niemal do szału doprowadzała go myśl, że kobieta, której pożądał, może z powrotem znaleźć upodobanie w Ionatanie.

Kiedy Oisín po Aithilu pochwalił Ionatána, zanim wymienił jego imię, Buirre nie potrafił się opanować.

Wstał i wyszedł z sali. Gdy zaś jego przyjaciel Seachlann poszedł za nim i zapytał zdumiony, co się stało, ofuknął go:

- Nie mogę w spokoju pójść się wyszczać?

- Co cię ugryzło? - zapytał zbity z tropu Seachlann.

Potem jednak się uśmiechnął. - To z powodu Ionatána, prawda? Kto by pomyślał, że ten chłopak tak wysoko zajdzie.

- Zostaw mnie w spokoju! - burknął Buirre i odepchnął Seachlanna.

- Już dobrze! - odpowiedział przyjaciel i wrócił do sali, w której panowała wesola atmosfera, a miód płynął strumieniami.

Buirre natomiast zszedł do stajni, rozkazał jednemu z parobków osiodłać swojego konia i opuścił zamek.

Był pijany i nie przyszło mu to łatwo, ale skoncentrował się i utrzymał w siodle. Pojechał do zagrody, w której służyła Maeve. Gospodarza, jego parobka i drugą służącą widział na ucztach, ale Maeve nie.

Musiła zostać w domu, żeby pilnować dobytku. „Na pewno jej to nie ucieszyło” - pomyślał z uśmiechem, ciężko zsuwając się z siodła przed zagrodą.

Drzwi do domu były zamknięte, więc zastukał. Zaraz potem dobiegł go głos Maeve.

- Kto tam?

- To ja, Buirre! Wpuść mnie! - zawołał rozkazującym tonem.

- Czego chcesz? - usłyszał.

To, że natychmiast go nie posłuchała, jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

- Otwieraj, i to już! A może chcesz dostać baty?

Maeve zastanawiała się, co zrobić. Po południu wykapała się i włożyła najlepszą

suknię, żeby iść na ucztę na zamku. Jednak gospodarz i jego czeladź kazali jej zostać w zagrodzie. Użała się nad sobą przez cały czas.

A teraz był tu Buirre. Choć na pewno przyjechał tylko po to, żeby skorzystać z jej ciała, przynajmniej usłyszy parę nowin. Ta myśl przekonała ją, więc otworzyła drzwi.

Buirre wszedł do środka i przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek. Wyglądała czyściej niż podczas ich ostatniego spotkania i miała na sobie całkiem ładną sukienkę. Ten widok sprawił, że wzmocniona alkoholem żądza przerwała wszelkie tamy. Zanim Maeve się obejrzała, przewrócił ją i przycisnął do ziemi.

- Co jest?! - zawołała przestraszona.

W następnej chwili dłonie Buirre' a rozdarły materiał jej sukni, który pękł z paskudnym trzaskiem. Potem zadarł jej koszulę i brutalnie w nią wszedł.

Takiego traktowania Maeve nie potrafiła znieść.

Błagała Buirre'a, żeby był delikatniejszy, a gdy jej nie posłuchał, próbowała go odepchnąć.

Lecz on tylko się roześmiał na tę próbę obrony i niewzruszony kontynuował.

I nagle Maeve nie widziała już przed sobą jego zaczerwienionej, spoconej twarzy, tylko twarz Anglika, który zgwałcił ją jako pierwszy. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

- Zostaw mnie w spokoju, ty bydlaku! - wrzeszczała, okładając go pięściami.

Buirre chciał ją chwycić za ręce, lecz był zbyt pijany i dostał prosto w nos.

- Ty zdiro! - ryknął i kilka razy mocno ją uderzył.

Sprawił tym jednak, że zupełnie spanikowała. Chwyła go za twarz, próbując wydrapać mu oczy. Buirre w ostatniej chwili odwrócił głowę, ale jej paznokcie boleśnie rozcięły mu policzek.

Doprowadzony do ostateczności, chwycił ją za szyję i ścisnął.

- Uspokoisz się, ty dziwko!

Widział jej szeroko otwarte, pociemniałe ze strachu oczy i napawał się władzą, jaką nad nią miał. Jej ręce opadły bezwładnie i szeroko otworzyła usta, żeby zaczerpnąć powietrza. Buirre jednak nie przestawał, tylko tak długo ścisnął ją za szyję, aż całkiem pod nim zwiotczała.

„W końcu dała spokój” - pomyślał zadowolony i znów zaczął ją gwałcić, aż osiągnął spełnienie. Potem dał o sobie znać wypity miód i Buirre zasnął, leżąc na Maeve.

4

Gdy Buirre się obudził, zaczął się zastanawiać, gdzie jest. Przypomnił sobie, że

pojechał do Maeve i po początkowym oporze przymusił ją do posłuszeństwa. Na tę myśl uśmiechnął się z zadowoleniem. Baby są w końcu wszystkie takie same. Wystarczy postraszyć je biciem albo karą w piekle, a natychmiast potulnieją.

Wciąż nieco zamroczony podniósł się i zawiązał spodnie.

- Wstań i przygotuj mi śniadanie! - burknął.

Lecz Maeve wciąż leżała.

Zirytowany obrócił ją ku sobie i dopiero teraz zauważył jej woskową bladość, szeroko otwarte oczy i ciemne plamy na szyi, ślady jego rąk.

- Maeve, co z tobą? - Wyciągnąwszy dłoń, poczuł z przerażeniem, jak zimna jest jej skóra. Mimo to jeszcze chwilę trwało, zanim zrozumiał, że ona nie żyje.

- Zabiłem ją! - powiedział z przestrawieniem.

Różne myśli wirowały mu w głowie, ale w końcu udało mu się skoncentrować na jednej z nich. Nawet jeśli Maeve była tylko służącą, to i tak należała do klanu i Oisín będzie mścił jej śmierć. Nawet przy łagodnym wyroku oznaczało to, że straci wszelkie wpływy wśród Ui'Corra i zostanie prostym żołnierzem. Poza tym Saraid mogła zażądać anulowania ich małżeństwa, ponieważ nie będzie chciała być żoną mordercy. Wtedy nie pomoże mu nawet poparcie ojca Maitiú.

- Nie! - jęknął. - Przecież ja tego nie chciałem! To nie moja wina. Maeve nie powinna się była tak opierać.

Przecież ja tylko złapałem ją za szyję. Na pewno umarła z jakiegoś innego powodu.

Sam jednak wiedział, że nie przekona Oisina O'Corry i starszyny klanu takimi argumentami.

- Nie mogą mnie skojarzyć ze śmiercią Maeve! - szepnął. - To mógł być każdy, jakiś włóczęga, angielski szpieg czy nawet Ionatán!

Gdy Buirre wymówił to imię, od razu się uspokoił. Tak, to jest wyjście. Gdy tylko rozniesie się wieść o śmierci Maeve, musi przypomnieć, że była żoną Ionatána i że rozstali się w gniewie. Przyjaciele na pewno mu uwierzą, przecież ich też irytowało, że Oisín awansował tego żalostnego parobka na wojownika.

Czując ulgę, że znalazł rozwiązanie, opuścił zagrodę i wsiadł na konia. Zupełnie już wytrzeźwiał. Żeby nikt nie zobaczył, że wraca z tej zagrody, zatoczył łuk i podjechał do zamku z innej strony. Mrok jeszcze całkiem nie ustąpił, choć horyzont na wschodzie już się różowił, zapowiadając nastanie dnia. O tej porze na zamku wstawali już zwykle pierwsi służący. Lecz oni także, podobnie jak chłopcy z okolicznych wiosek, popili wczoraj nieco miodu, więc jeszcze wszyscy spali.

Nawet wartownik, który powinien przecież czuwać, przykucnął w kącie murów i chrapał, a ponieważ brama była otwarta, jakikolwiek wróg mógłby bez przeszkód wejść na zamek. Buirre darował sobie jednak budzenie go i strofowanie, zaprowadził konia do stajni, sam go rozsiadł, a potem poszedł do komnaty Saraid. Jego żona też jeszcze spała, obudziła się jednak, gdy się rozebrał i wślizgnął pod kołdrę.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Byłem w wychodku - odpowiedział, udając zaspany głos.

Choć był zmęczony, nie mógł zasnąć. Ciągle miał przed oczami martwe, na wpółnagie ciało Maeve. „Nie powinna była umrzeć” - pomyślał i przeklął zmarłą, jakby to była jej wina.

Ponieważ mąż wiercił się niespokojnie i cały czas mruczał coś pod nosem, Saraid wstała w końcu, zgarnęła suknię i wyszła z komnaty. Zamierzała umyć się i ubrać w komnacie Ciary, żeby Buirre nie widział jej nagiej.

Kuzynka już nie spała. Siedziała na łóżku z rękoma skrzyżowanymi za głową i sądząc po uśmiechu na jej twarzy, myślała o czymś przyjemnym.

- Dzień dobry, moja droga - powitała ją Saraid.

- Dzień dobry! Ale wcześniej wstałaś - odpowiedziała Ciara.

- To przez Buirre'a. Albo chrapie tak, że nie można spać, albo tak się wierci, że boję się, że zaraz zepchnie mnie z łóżka.

Ciara była jedyną osobą, z którą Saraid mogła otwarcie mówić o swoich uczuciach, nie ukrywała więc swojej niechęci do własnego męża. Potrzebowała tego, bo inaczej chyba pękłaby z wściekłości.

- Co dziś robimy? - zapytała ją Ciara.

- Najpierw zjemy śniadanie, a potem sprawdzimy, w jakim stanie panowie zostawili salę. Kiedy wstanie już wystarczająca liczba parobków i dziewczek, zaczną tam sprzątać.

Ciara westchnęła i popatrzyła na kuzynkę z niemal komicznie nieszczęśliwą miną.

- Możesz mi powiedzieć, co takiego mężczyźni widzą we wlewaniu w siebie miodu i whisky tak długo, aż zaczynają je zwracać?

- To tajemnica, którą mógłby wyjaśnić tylko sam Bóg w niebiesiech. W końcu to on stworzył mężczyzn takimi, jakimi są. Nam, niewiastom, oszczędził na szczęście radości z nadmiernego picia.

Saraid przypomniała sobie Buirre'a, który zawsze pił ponad miarę, i nie po raz pierwszy pomyślała, że popełniła błąd, wychodząc za niego za mąż. Wzruszyła jednak tylko ramionami. Przed ślubem był przystojnym, uprzejmym mężem z drużyny Oisina i miał w sobie nawet jakiś urok. Choć teraz nic już z tego nie zostało.

Z pogardliwą miną zwróciła się do Ciary.

- Mężczyźni! Ja ci coś powiem. Gdybyśmy my, kobiety, mogły w jakiś inny sposób mieć dzieci, oni byliby zupełnie zbędni! I wtedy nie byłoby tego całego cierpienia, którego nam przysparzają. Lecz weźmy się już do toalety. A tak przy okazji, o czym myślałaś, jak tu wchodziłam?

Gwałtowna zmiana tematu zaskoczyła Ciarę, która natychmiast poczuła, że czerwienią jej się policzki. Przed wszystkimi innymi zdołałaby ukryć swoje najskrytsze myśli, ale Saraid była nie tylko jej kuzynką, lecz także przyjaciółką, której ufała jak nikomu innemu na świecie.

- O młodym Kirchbergu! - przyznała. - Powinnaś była widzieć Ferdynanda, jak wodził za nos Anglików. Jest bardzo dzielny i mądry, ale też skromny i grzeczny.

- W przeciwieństwie do swojego kuzyna, chciałaś chyba powiedzieć. - Saraid nigdy nie ukrywała swojej niechęci do Szymona, więc poczuła ulgę, że Ciarze najwidoczniej przeszło młodzieńcze zauroczenie tym mężczyzną.

W pierwszej chwili Ciara chciała zaprzeczyć i powiedzieć, że Szymon von Kirchberg, który jest wielkim bohaterem, nie może być tak skromny jak jego kuzyn. Potem jednak przypomniała sobie, jak poprzedniego wieczoru przedstawiał czyny Ferdynanda jako nieistotne, za to mocno podkreślał swoje własne działania podczas bitwy z oddziałami Bagenala. To ostatnie wybaczyłaby mu bez mrugnięcia okiem, ale pomniejszanie czynów kuzyna, żeby lepiej wypaść na jego tle, było zachowaniem niegodnym szlachcica.

- Pan Szymon jest naprawdę bardzo w sobie zadufany - stwierdziła gorzkim tonem. Przez wiele lat kochała skrycie tego mężczyznę i pragnęła go znów zobaczyć.

A teraz sama przed sobą musiała przyznać, że jego charakter nie odpowiada wizerunkowi, jaki sobie stworzyła.

- Cieszę się, że zrozumiałaś w końcu, jaki naprawdę jest Szymon von Kirchberg. Bałam się już, że zapomnisz dla niego o panińskiej skromności. A on naprawdę nie jest mężczyzną, któremu twój brat chciałby cię oddać.

Nasz klan potrzebuje sojuszników, a nie dowódcy, którego wierność zależy od żołdu, jaki jest się w stanie mu wypłacić.

Saraid mówiła z pasją, lecz potem potrząsnęła głową i popatrzyła z żalem na Ciarę.

- Niestety Ferdynand też nie jest człowiekiem, którego taoiseach zaakceptowałby jako szwagra. Wybij go więc sobie z głowy i przygotuj się na to, że oddadzą cię najgorszemu chrapiącemu pijakowi tylko dlatego, że małżeństwo z nim wzmocni nasz klan!

- Wiem! - przyznała gorzko Ciara.

Otrząsnęła się, jakby chcąc o tym zapomnieć, i wyskoczyła z łóżka.

- Szykujemy się, Saraid. Jest już jasno, a parobkowie i dziewczki tylko wtedy dobrze pracują, gdy ktoś ich pilnuje.

Saraid spojrzała na kuzynkę i zaczęła się zastanawiać, czy uczucia Ciary do Ferdynanda nie są silniejsze niż wcześniejsze zauroczenie jego kuzynem. Jeśli tak właśnie jest, to ciężko będzie Oisinowi przekonać siostrę do ślubu z kimś, kogo nie kocha.

5

Sala zamku wyglądała tak, jakby sfora koboldów wyprawiała tam swoje figle, przewracając wszystko dokoła. Kubki i dzbany leżały na podłodze, a pomiędzy nimi spoczywało paru uczujących, którym nie udało się dotrzeć do kwatery w wielkiej szopie, gdzie umieszczano gości podczas takich uroczystości. Pośród tego wszystkiego kręciły się zamkowe psy w poszukiwaniu kości i innych resztek.

Ciara zauważyła obok drzwi Gamhain, która z wyniosłą miną patrzyła na tę scenę, uznając najwyraźniej, że pójście śladem pozostałych psów byłoby poniżej jej godności. Na widok swojej pani wstała, podeszła powolnym krokiem i oparła się o Ciarę, dając tym samym znak, że życzy sobie głaskania.

Z początku Ciara chciała ją odsunąć, ale potem zaczęła gładzić szorstką, falującą sierść i postanowiła, że na następną wyprawę z Oisinem i jego ludźmi zabierze sukę ze sobą. Czowała się bezpieczniej, gdy miała u swego boku to silne zwierzę.

- W ten sposób nie przywrócimy porządku w sali - zadrwiła Saraid, widząc, że Ciara zajmuje się psem.

- Myślałam, że ty zapędzisz dziewczki i parobków do pracy - odpowiedziała ze śmiechem Ciara, ale poklepała Gamhain po grzbiecie. - No, tyle wystarczy! Mam robotę.

Gamhain warknęła, lecz dała się przekonać wielką kością, którą Ciara wyciągnęła spomiędzy pijanych i podała suce.

- Jak ten tam się obudzi, to będą go bolały żebra po spaniu na twardej kości - powiedziała Saraid, kręcąc głową.

Obie niewiasty przywołały do siebie parobków i nakazały im wynieść pijanych. Saraid wróciła do kuchni, a Ciara nadzorowała służbę uprzątającą salę.

Postanowiła, że wszystko tu będzie wyglądać jak należy, zanim Oisin wstanie.

Czas mijał i Ciara już miała dać służącym znać, że pora na obiad, gdy nagle z dziedzińca dobiegły głośne, gniewne głosy. Zaskoczona Ciara pośpieszyła do drzwi i zobaczyła, że Ferdynand i ojciec Maitiú stoją naprzeciwko siebie jak dwa gotujące się do

ataku bojowe koguty. Zgromadziło się już wokół nich sporo mężczyzn.

Większość Irlandczyków stanęła po stronie kapłana, natomiast Ionatán, Hufeisen i jeszcze paru niemieckich żołnierzy trzymali się Ferdynanda.

Ciara szybko do nich podeszła.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała zdumiona.

- Chodzi o Anglika, którego wziąłem do niewoli.

Klecha chce, żeby go zabić! - Ferdynand był oburzony, natomiast ojciec Maitiú uniósł krzyż i donośnym głosem zaczął się domagać śmierci Johna Crandona.

- Ten człowiek to nędzny heretyk, którego miejsce jest w piekle! Jak Irlandia ma kiedykolwiek być wolna, skoro pozwalamy tym psom żyć?

- Sir John Crandon poddał mi się i jest moim jeńcem! - odpowiedział zdecydowanie Ferdynand. - Zabicie go teraz z błahego powodu splamiłoby mój honor.

- Wolą niebios jest, by ten heretyk zginął - zapienił się ksiądz. - Kim ty jesteś, żeby się sprzeciwiać woli Boga?

- Skoro Bóg chce, żeby ten człowiek umarł, to niech sam mi to powie, a nie za twoim pośrednictwem. - Rozgniewany Ferdynand zapomniał o szacunku, jaki należał się Maitiú jako duchownemu, i zaczął mówić do niego jak do byle jakiego parobka.

Kapłan nie miał zamiaru ustąpić, więc zwrócił się do Irlandczyków.

- Czy zapomnieliście, jak Anglicy wypędzili was z waszych własnych domów i musieliście jako żołnierze wyruszyć za waszym taoiseachem w obce kraje?

Powiadam wam, zabijemy każdego Anglika, który wpadnie w nasze ręce!

- Tak jest, tak właśnie uczynimy! - poparł księdza Buirre i wyciągnął miecz.

Lecz gdy ruszył w stronę lochu, w którym zamknięto Crandona, drogę zastąpił mu Ferdynand.

- Nikt nie zabije jeńca bez mojego pozwolenia!

Młody Niemiec skrzyżował ręce na piersi, nie zważając na odsłonięte ostrze Irlandczyka.

Wściekłość i strach, które czuł Buirre, domagały się ofiary, więc przystawił Ferdynandowi miecz do twarzy.

- Zejdź mi z drogi albo potowarzyszysz temu przekłętemu Anglikowi w jego ostatniej drodze!

- Dajcie spokój! - rozległ się głos Oisina. - Jeśli ktoś tutaj może decydować o śmierci człowieka, to tylko ja!

Rozumiecie?

Powiedział to tonem nieznoszącym sprzeciwu, lecz ojciec Maitiú wciąż się nie poddawał.

- Powiedziałem, że jest wolą niebios, by ten Anglik umarł. Każdy, kto w tym przeszkodzi, gorzko pożałuje.

- Nie sędzę, żeby moi ludzie zwrócili się przeciwko swojemu własnemu taoiseachowi na rozkaz kapłana z obcego klanu. Jeniec pozostanie przy życiu tak długo, jak uznam to za stosowne - odparł chłodno Oisín.

Czuł jednak, że powinien coś zrobić, żeby udobruchać swoich niezadowolonych żołnierzy, więc już łagodniejszym głosem oznajmił:

- Niektórzy z naszych wojowników dostali się do angielskiej niewoli. Zaproponuję Anglikom, że wymienię ich za Johna Crandona. Jeśli się na to zgodzą, przeżyje.

Jeśli nie, zginie.

Ferdynand miał nadzieję, że Crandon cieszy się wśród swoich wystarczającym uznaniem, żeby okazał się wart paru Irlandczyków. Poczuł ulgę, że sytuacja przynajmniej na razie została rozładowana. Lecz gdy już się odwracał, dobiegł go głos Szymona.

- Tego Anglika wziął do niewoli mój brat, który pozostaje pod moim dowództwem. Zażądam w zamian za jego wolność wypuszczenia moich żołnierzy, których razem z „Violettą” przejęły angielskie psy. Jeśli to się nie uda, własnoręcznie go ukatrupię.

Ojciec Maitiú z zadowoleniem pokiwał głową, bo był przekonany, że Anglicy nie wypuszczą tylu wrogich żołnierzy, natomiast Ferdynand miał ochotę udusić kuzyna.

Przez chwilę żałował nawet, że wyruszył z Szymonem do Irlandii, zaraz się jednak opamiętał, bo przecież wtedy nie poznałby Ciary Ní Corry. Mimo wszystko złościł go sposób, w jaki Szymon go potraktował. Nie mógł nawet zaprotestować przeciwko jego żądaniu, bo wyszłoby na to, że jest mu obojętny los towarzyszy broni.

Spojrzał na Ciarę i zobaczył na jej twarzy współczucie.

Najwyraźniej rozumiała, co on czuje. Lecz nie chciał od niej litości. Oczywiście nie musiała go podziwiać tak, jak kiedyś podziwiała Szymona. Ale odrobina uznania byłaby mile widziana, podobnie jak odrobina dumy z jego dokonań. Lecz te najwidoczniej niewiele były warte, jak wyraźnie dał do zrozumienia Szymon wczorajszego wieczoru.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, czy nie powinien całkiem rozdzielić się z kuzynem i stanąć na własnych nogach. Przecież Szymon, mimo obietnic, ani nie mianował go swoim zastępcą, ani nie nadał mu oficjalnie rangi podporucznika.

Nie zaszczyciwszy kuzyna nawet spojrzeniem, wrócił na swoją kwaterę i usiadł na trójnogim zydlu. I w tym pomieszczeniu nastąpiły pewne zmiany. Miejsce, na którym spał

przed wyprawą na tereny zajęte przez Anglików, zostało przywłaszczone przez nowego oficera.

Teraz to ci nowi ludzie o wszystkim decydowali, podczas gdy zasłużeni żołnierze, jak Hufeisen, musieli im ustępować.

Gdy Ferdynand to sobie uświadomił, postanowił ostatecznie, że przyłączy się do Oisina O'Corry. Zebrał swoje rzeczy i wyszedł. Na zewnątrz zobaczył Ciarę i Ionatána, którzy właśnie prowadzili gorącą dyskusję z chłopakiem od Szymona. Ten trzymał w rękach wodze konia, którego Ferdynand zdobył na Crandonie.

- Co to ma znaczyć? - ofuknął go Ferdynand.

Chłopak odwrócił się do niego z kpiącym uśmiechem.

- Zabieram tego konia do mojego pana, on będzie na nim jeździł.

Najpierw Ferdynand musiał zrezygnować z jeńca, a teraz chcieli mu jeszcze zabrać wierzchowca. Tego już było za wiele! Upuściwszy swoje rzeczy, zanim wyrostek się obejrzał, chwycił go, bez wysiłku uniósł do góry i odrzucił parę kroków na bok.

- Ty parszywy psie! Spróbuj jeszcze raz sięgnąć po moją własność. Porachuję ci wszystkie kości!

Wrzeszcząc na żołnierza, uświadomił sobie, że przecież wścieka się na niewinnego. Chłopak wypełniał tylko rozkaz Szymona. Lecz kuzyna nie mógłby tak chwycić i obsobaczyć. Kazał wyrostkowi zmykać.

- Stój! - krzyknął, gdy ten już wstał i chciał uciekać. - Przekaż panu Szymonowi von Kirchbergowi, że konia musi sobie sam zdobyć albo kupić. Nie mam zamiaru oddawać mu mojego ogiera.

- Zobaczycie, jak to się dla was skończy - burknął chłopak i zwiął, gdy Ferdynand ruszył w jego stronę z uniesioną ręką.

- Wasz kuzyn nie będzie zadowolony. Ale ja się cieszę, że tym razem nie ustąpiliście - powiedziała z uśmiechem Ciara.

Ferdynand natychmiast się wyprostował i poklepał ogiera po zadzie.

- Szymon może się gniewać, ile chce. Rachunek między nami i tak nie został jeszcze wyrównany.

Ferdynand miał na myśli konia, którego dostał w prezencie od wuja i który na rozkaz kuzyna został wrzucony do morza. Poczul, że łzy napływają mu do oczu.

Ciara domyślała się, że nie powinna widzieć w tych łzach oznaki słabości. Ferdynand von Kirchberg być może przybył do Irlandii jako nieopierzony żółtodziób, ale teraz dojrzał i stał się mężczyzną, który nie pozwoli kuzynowi sobą komenderować i którego nie należy nie

doceniać.

6

Wielu z tych, którzy wieczorem do późna świętowali, szukało sobie wczesnym popołudniem cichego kąta, żeby się przespać. Do nielicznych, którzy byli wciąż na nogach, należał Ferdynand. Ponieważ nie mógł już kwaterować z żołnierzami swojego kuzyna, zabrał swój koc i skromny dobytek, jaki mu pozostał po rejsie „Margheritą”, do izby, którą Ionatán dzielił z dwoma wojownikami Ui’Corra.

Choć izba była mała, przygotowali dla niego dość miejsca, a gdy się zorientowali, że opanował podstawy ich języka, zaczęli z nim prowadzić ożywioną konwersację.

Szymon von Kirchberg zareagował na wyprowadzkę Ferdynanda jedynie kpiącym uśmiechem, ponieważ był pewien, że kuzyn wkrótce wróci z podkulonym ogonem.

A teraz siedział wraz z Oisinem i Aithilem O’Corrami w komnacie na piętrze wieży mieszkalnej, gdzie naradzali się nad kolejnymi działaniami.

- Hrabia Tyrone jest przekonany, że królowa Elżbieta nie przełknie tak łatwo porażki Henryka Bagenala i jego śmierci. Dlatego kazał wzmocnić fortyfikacje na granicach i zbiera wojowników, chcąc być gotowym na wszystko - relacjonował Szymon.

Oisin pokiwał głową, bo zrobiłby dokładnie to samo.

- Musimy zwodzić Anglików tak długo, aż koszty wojny okażą się dla nich zbyt wysokie i królowa dłużej już nie będzie mogła sobie pozwalać na wyprawy przeciwko Irlandii.

- Taki właśnie zamiar ma Hugh O’Neill - wyjaśnił Szymon. - Nie chce jednak poprzestać tylko na tym, lecz zwrócił się także o pomoc do katolickich potęg na kontynencie. Hiszpania już wiele razy przysyłała mu statki załadowane bronią. Teraz poprosił o oddziały, które umożliwiłyby pokonanie Anglików również w otwartej bitwie. Jeśli będziemy ich atakować tylko z ukrycia, nigdy ich stąd nie przepędzimy. Za mocno trzymają się w Dublinie i w Palisadzie.

Szymon napawał się tym, że był lepiej wtajemniczony w plany O’Néilla niż Oisin O’Corra. Oisina nie było podczas bitwy pod Yellow Ford, przez co stracił uznanie.

Oisin był tego świadomy i zastanawiał się, jak to nadrobić. Spojrzał na Szymona. Dużo sobie po nim obiecywał, lecz na razie Kirchberg nie na wiele mu się przydał. Dowódca miał zbyt sztywne poglądy i nie potrafił się przestawić na sposób walki Irlandczyków. Z tego względu był przydatny tylko tam, gdzie miał bronić określonej pozycji. Toteż Oisin wolałby, żeby Szymon całkiem przeszedł do Aodha Móra O’Néilla, bo wtedy nie musiałby dłużej

żywić jego ludzi.

- Powinniście pojechać do O'Néilla i poprowadzić jego żołnierzy - zaproponował Oisín.

Szymon uznał, że prędzej zabłądnie w pobliżu przywódcy powstania niż tu, gdzie diabeł mówi dobranoc, więc skinął głową:

- I tak zamierzałem się wkrótce spotkać z hrabią Tyrone.

- W takim razie ustalone! - powiedział Oisín, postanawiając, że dzień po opuszczeniu zamku przez Szymona von Kirchberga sam też wyruszy i przeprowadzi jeszcze kilka dobrze zaplanowanych ataków na Anglików.

Miał przy tym nadzieję, że Ferdynand von Kirchberg zostanie z nim. Młodzieniec był doskonałym wojownikiem i lepszym oficerem niż Buirre. Ciarę też będzie musiał znowu zabrać. Choć bolało go, że naraża siostrę na niebezpieczeństwo, to jednak stanowiła w tej grze tak ważny atut, że nie mógł go nie wykorzystać.

Narada przycichła, gdyż Oisín i Szymon pogrążyli się w swoich myślach, natomiast Aithil siedział w milczeniu nad kubkiem miodu. Pośród tej ciszy zabrzmiał stukot kopyt koni zbliżających się do zamku. Gdy Oisín wstał, żeby sprawdzić, kto to, rozpoznał gospodarza, u którego pracowała Maeve. Mężczyzna wjechał właśnie na dziedziniec. Po koniu widać było, że nie oszczędzał go w drodze.

- Coś musiało się stać - powiedział Oisín bardziej do siebie i wyszedł z komnaty.

Kiedy dotarł na dziedziniec, wokół gospodarza zebrało się już sporo ludzi. Miał bladą twarz i raz po raz ocierał sobie pot z czoła.

- Co się stało? - zapytał Oisín.

Gospodarz odwrócił się ku niemu i załamał rękę.

- Dziewka! Maeve! Nie żyje!

- Jak to się stało? - zapytał Oisín.

- Nie wiem! Świątowałem wczoraj z parobkiem i drugą dziewczką tutaj, na zamku. A jak dziś przed południem wróciliśmy do zagrody, zauważyliśmy, że krowy w oborze są niespokojne. Kur też nie nakarmiła i w ogóle nie było zrobione nic, co Maeve powinna zrobić. Wołaliśmy ją, ale nie odpowiadała. Drzwi do domu były otwarte. Ogień w palenisku wygasł i nie przygotowała nic na obiad.

Oisína zirytowała paplanina gospodarza, więc mocno go chwycił.

- Chcę wiedzieć, co się stało Maeve!

- Potem zaczęliśmy jej oczywiście szukać.

Mężczyzna zauważył, że Oisín zaraz straci cierpliwość, więc przeszedł wreszcie do

sedna.

- W końcu znalazł ją parobek. Leżała martwa w izbie, którą kazał jej przydzielić pan Buirre. Miała odsłonięte łono i widać było, że została zgwałcona. Na szyi miała ślady po duszeniu, więc raczej nie umarła sama.

- To znaczy, że Maeve została zgwałcona i zamordowana! - Oisin był wstrząśnięty, bo to przecież on posłał ją do tej zagrody, a przez to na śmierć.

Gospodarz pokiwał głową.

- Tak właśnie było, taoiseachu. To moja wina, że kazałem jej zostać w domu, choć bardzo chciała pójść na ucztę. Ale myślałem... - resztę słów stłumił szloch.

Podczas gdy zebrani zaczęli wysuwać przypuszczenia, co się mogło wydarzyć, Buirre poczuł, jak jakaś niewidzialna dłoń zaczyna powoli zaciskać mu się na szyi, tamując oddech. „Nie mogą cię z tym powiązać” - pomyślał i szturchnął swojego przyjaciela Seachlanna.

- To na pewno Ionatán! Był zły na żonę, bo nie wpuszczała go już do łóżka.

- A czy ty go w nim przypadkiem nie zastąpiłeś? - zapytał Seachlann z zawiścią w głosie, bo sam chętnie posiadałby Maeve.

- Powiedzmy, że mnie bardzo polubiła. Musiałbym być z kamienia, żeby nie skorzystać z okazji. Ale szybko zrozumiałem grzeszność swych uczynków i wyspowałem się u wielbnego athaira Maitiú. Od tamtej pory nie odwiedzałem Maeve.

Buirre'owi udało się przekonać Seachlanna.

- Myślisz, że Ionatán to zrobił?

Buirre gorliwie przytaknął.

- A kto inny miałby powód, żeby nie tylko ją zgwałcić, ale też zamordować? Przypomnij sobie, jak ten bękart powstrzymywał się wczoraj od picia. Pewnie czekał, aż większość z nas powali miód i whisky, a potem osiodłał konia i pojechał do zagrody. W nocy była pełnia, więc szybko pokonał te parę mil.

- Tak musiało być - odparł Seachlann po chwili namysłu.

Buirre wycofał się, żeby nie skojarzono go z rzuconym podejrzeniem, podczas gdy jego przyjaciel z zapalem rozpowszechniał pogłoskę. Z kropli zrobiła się strużka, a potem coraz szerszy strumień. W końcu ktoś powiedział na głos to, co wszyscy szeptali.

- To Ionatán jest mordercą! Był jedyną osobą, która miała powód, żeby zabić Maeve.

- Tak, właśnie tak! - poparł go ktoś inny.

Niektórzy wojownicy nie zapomnieli, że Ionatán był parobkiem, zanim Oisin przyjął go do swojej drużyny, i bardzo ich irytowało, że stał się im równy. Natomiast parobkowie i prości ludzie zazdrościli mu awansu, więc teraz wołali raz po raz, że to Ionatán zamordował

żonę, bo odmawiała mu dostępu do siebie.

Ionatán nie wiedział, co się z nim dzieje, ledwo do niego dotarło, że Maeve nie żyje. Gdy sięgnęły po niego czyjeś ręce, a parę kobiet zaczęło rzucać w niego kamieniami i grudkami ziemi, z rozpaczą uniósł dłonie.

- Dobrzy ludzie, to nieprawda. Nie zabiłem Maeve.

Całą wczorajszą noc spędziłem tutaj.

- Każdy może tak powiedzieć! - zadrwił Seachlann. - Ja w każdym razie około północy już cię nie widziałem.

- Nie mogłeś go zobaczyć, bo leżałeś pod stołem - wtrącił jeden z nielicznych, którzy nie byli przekonani o winie Ionatána.

Ciara też w nią nie wierzyła. Była wstrząśnięta śmiercią Maeve, jednak gniew, że członkowie klanu bez żadnych dowodów wskazują Ionatána jako winnego, okazał się silniejszy.

- A ja widziałam Ionatána po północy. Siedział tam z tyłu w kącie z Hufeisenem i panem Ferdynandem! - zawołała, przekrzykując wrzawę.

- Zgadza się! - potwierdził Ferdynand. - Dobrze nam się rozmawiało i bardzo późno poszliśmy spać.

- Mówisz, że rozmawialiście sobie z Ionatánem?

Przecież on nie zna ani słowa po angielsku, a ty po irlandzku - zadrwił Buirre.

Parę osób się roześmiało. Lecz Ferdynand z błyskiem w oku odwrócił się do Buirre'a i powiedział:

- Tú is amháin druidte ábhal abhlóir!

Choć Ferdynand nie przywiązywał wagi do poprawności gramatycznej swojej wypowiedzi, Irlandczyk chwycił za miecz.

- Żaden parszywy Gearmánach nie będzie się tak do mnie odzywał!

- A więc zrozumiałeś, że jesteś wielkim głupcem! Czyli udowodnione zostało, że mogłem się porozumieć z Ionatánem. A poza tym on zna trochę angielski. Więc rozmowa wcale nie była dla nas taka trudna.

Mówiąc to, Ferdynand przesunął dłoń w stronę rękojeści miecza, gdyż Buirre wciąż wyglądał tak, jakby chciał się na niego rzucić.

Wtedy wtrącił się Oisín.

- Daj spokój, Buirre! Sam jesteś sobie winien, bo nie rób drugiemu co tobie niemiłe. A was, Ferdynandzie von Kirchberg, zapytuję, o której poszliście spać.

- Mniej więcej o tej samej godzinie co ojciec Maitiú, to znaczy widziałem, że już

idzie, a potem ja też poszedłem spać.

Oisín zwrócił się więc do kapłana, który do tej pory przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu.

- A wy wiecie, która była wtedy godzina, wielbny ojcze?

Ksiądz potrząsnął głową.

- Nie bardzo.

- A więc Ionatán mógł wziąć konia i pojechać do Maeve! - Buirre tym razem sam spróbował podgrzać atmosferę, lecz większość zgromadzonych zachowała spokój. Parobek, który w nocy siodłał mu konia, uniósł rękę, lecz potem ją opuścił, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

- To nie mógł być Ionatán - powiedział jeden z ludzi, którzy spali w tym samym pomieszczeniu. - Budziłem się w nocy kilka razy i widziałem, że śpi obok mnie.

- To mogła być tylko zwinięta derka! - wykrzyknął Buirre.

- Derka nie chrapie tak jak Ionatán! - odparł spokojnie mężczyzna. A potem potarł czoło. - Ale coś mi się przypomniało. To ty opuściłeś wczoraj ucztę o wczesnej porze.

Buirre najchętniej ubiłby go na miejscu. Lecz nie chcąc kierować na siebie podejrzeń, machnął ręką ze sztucznym uśmiechem.

- Sporo wypilem i musiałem położyć się wcześniej do łóżka. - Mówiąc to, zrozumiał, że zdał się właśnie na łaskę Saraid. Jeśli ona powie, że było inaczej, wyjdzie na kłamcę. Lecz potem przypomniał sobie, że jako jego żona nie może zeznawać przeciwko niemu i odetchnął z ulgą.

- A nie mógł to być jakiś włóczęga albo angielski maruder? - zasugerował jeden z mężczyzn, którego przeraziła myśl, że Maeve mógł zamordować ktoś z ich własnego klanu.

Buirre natychmiast przytaknął, gotowy chwycić się każdej deski ratunku.

- To możliwość, którą należy wziąć pod uwagę. Po lasach zawsze ktoś się kręci. Może chciał coś ukraść z zagrody, a Maeve go zaskoczyła.

Gwałtowna zmiana przekonań, jaka zaszła w Buirze, nie umknęła uwadze Saraid i Ciary, a także Ferdynanda i Oisina. W tym momencie chłopak stajenny zdecydował, że jednak powie, co mu ciąży na sercu.

- Ktoś wyjechał w nocy z zamku na koniu - zaczął, ostrożnie dobierając słowa.

- Kto? - zapytał Oisín ostrym tonem, a Buirre zaczął rozpaczliwie pokazywać chłopakowi na migi, żeby milczał. Ten jednak już wskazywał go palcem.

- Pan Buirre! Bóg by mnie pokarał, gdybym nie powiedział prawdy.

- Buirre? - Oisín zwrócił się zdumiony do swojego byłego kasztelana: - Czy to

prawda?

Zanim Buirre zdążył zaprotestować i zarzucić chłopakowi stajennemu, że ten mści się za otrzymane od niego razy, do rozmowy wtrącił się jeden z wojowników.

- On ma rację! Ja też widziałem, jak Buirre opuszcza w nocy zamek.

Nagle na dziedzińcu zapadła taka cisza, jakby wszystko zamarło. Buirre zrozumiał, że stąpa po cienkim lodzie i nie może popełnić żadnego błędu, jeśli nie chce pójść na dno.

- Na Boga, wpadłem wczoraj na głupi pomysł, żeby się przejechać, i to po pijaku. Chyba nikt nie myśli, że pojechałem do Maeve, żeby ją zgwałcić? Jak do niej chodziłem, to zadzierała spódnice, zanim jeszcze zdążyłem wygrzebać fiuta ze spodni.

Nikt się nie roześmiał. Buirre rozejrzał się wokół z wściekłością.

- Czy ktokolwiek wątpi w moje słowa?

- Tak, ja! - odpowiedziała Saraid. - Byłeś jedyną osobą, która w nocy opuściła zamek i długo cię nie było.

Gdy wróciłeś, było już prawie jasno. Twierdziłeś, co prawda, że byłeś w wychodku, ale tam akurat nie cuchnie końmi. Gdybyś wrócił wcześniej, nie czułabym zapachu konia, ale on był świeży.

Buirre uniósł rękę i krzyknął:

- Milcz, babo, bo już ja cię nauczę posłuszeństwa!

Saraid podeszła do niego z błyskiem gniewu w oczach.

- Nie, Buirze O'Corra, nie będę milczeć! Nie mogę udowodnić, że zgwałciłeś i zabiłeś nieszczęsną Maeve.

Ale będę tak uważać, dopóki twoja niewinność nie zostanie udowodniona. Dopóki tak się nie stanie, odmawiam współżycia z tobą. Nie będę dzielić z tobą ani łoża, ani stołu, nie będę ci prac ani gotować. Dla mnie jesteś tylko jednym z wojowników klanu, tyle że ich nie podejrzewam o popełnienie takiej zbrodni.

- To przecież bzdura! - ryknął Buirre i ruszył na Saraid. Ciara chciała zastąpić mu drogę, lecz brutalnie ją odepchnął. Buirre zdążył uderzyć tylko raz, bo Ferdynand chwycił go i powalił na ziemię.

- Tyle tylko umiesz? Bić niewiasty? - zapytał lodowatym tonem.

Buirre zerwał się na nogi, wyciągnął szybko miecz i wziął zamach. Lecz Ferdynand już trzymał swoją broń w ręku i sparował cios. Gdy Buirre ponownie zaatakował, Ferdynand wybił mu miecz z ręki i kopnął go na bok.

- Jeśli chcesz, załatwimy to po męsku, a nie jak byle zabijacy! - krzyknął do Buirre'a.

Ten wiedział, że w uczciwym pojedynku nie miałby szans z Ferdynandem, więc

odwrócił się do niego plecami. Odejść nie zdołał, gdyż zatrzymał go Oisín.

- Nie zapomniałeś o czymś, Buirre? Jesteś podejrzany o popełnienie okropnej zbrodni. Jeśli chcesz pozostać pośród moich wojowników, będziesz musiał przysiąc na święte relikwie, że nie zamordowałeś Maeve!

- Jeśli trzeba, to chętnie przysięgnę! - Buirre'owi udało się to powiedzieć bez drżenia w głosie.

„W sumie to prawda” - powiedział sobie w duchu. Nie zamordował Maeve. Jej śmierć to był wypadek, którego wcale nie chciał. Lecz gdy ojciec Maitiú poszedł do zamkowej kaplicy i wrócił z drewnianym relikwiarzem, na tyle skromnym, że uchował się przed angielskimi okupantami, Buirre zaczął się pocić. Jeszcze gorzej się poczuł, gdy kapłan zazaądał, by położył prawą dłoń na relikwii i wypowiedział słowa przysięgi, którą miał złożyć: „Ja, Buirre O’Corra, przysięgam na Boga Wszechmogącego, syna jego jedynego Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego, że nie jestem winien śmierci Maeve Ní Corry. Jeśli mówię nieprawdę, skazany będę na męki piekielne i nie uzyskam zbawienia w dniu Sądu Ostatecznego”.

Pierwsze zdanie Buirre zdołał jeszcze wypowiedzieć.

Lecz gdy przyszło do mąk piekielnych, zaczął drżeć i pobladły zabrał dłoń z relikwiarza.

- Ja jej nie zamordowałem! To był wypadek!

Zgromadzeni wokół patrzyli na niego, jakby nie rozumieli, lecz Saraid wskazała na niego z odrazą.

- Bądź przeklęty, Buirze O’Corra! Nawet Maeve już cię nie chciała i dlatego musiała umrzeć.

- Niech Bóg się zlituje nad jej biedną duszą! - Ciara przeżegnała się i poprosiła w duchu Maeve o wybaczenie, że zazaądała od brata, żeby oddalił ją z zamku. Z tego powodu spadła na nią część winy za jej śmierć. Ta myśl zaboliała i Ciara poczuła wstręt do Buirre’a, który swoim uczynkiem zepsuł im wszystkim radość ze wspnianiełego zwycięstwa pod Béal an Atha Buidhe[26].

7

W Anglii tymczasem ktoś musiałby chyba zamordować samą królową, żeby wzbudzić większy gniew niż klęska Henryka Bagenala i strata niemal dwóch tysięcy żołnierzy.

Elżbieta Tudor musiała przyjąć do wiadomości, że próba stłumienia powstania w

Irlandii przy jak najmniejszym nakładzie pieniężnym i militarnym się nie powiodła.

Tego popołudnia, siedząc na podwyższeniu, spoglądała na członków rady królewskiej. Niektórzy byli tak rozgniewani, jakby chcieli własnoręcznie ukarać Irlandczyków za to, że nie chcą zaakceptować angielskiej władzy. Na razie jednak niewiele zaproponowano, a jeszcze mniej postanowiono. Zamiast tego panowie jeden za drugim wygłaszali długie tyrady tłumaczące przyczyny klęski sir Bagenala.

Choć nikt tego nie powiedział, Elżbieta czuła, że uważają, że ona też przyczyniła się do tej katastrofy przez swoje wahanie i nadmierną oszczędność. Zacisnęła pomalowane na czerwono usta, a jej blada twarz wyrażała złość. Czy ci ludzie nie wiedzą, że każdego suwerena, którego wydaje, musi odzyskać z powrotem w postaci podatków albo innych przychodów? Jak trudno to zrobić, nie wie żaden z tych, którzy bredzą tutaj teraz o honorze Anglii, który należy odzyskać, i żądają pomszczenia poległych rodaków.

Poszukała wzrokiem Roberta Cecila. Zwykle słuchała jego rad, lecz na razie pozwalał się wypowiadać innym, przede wszystkim Robertowi Devereux, hrabiemu Essex.

Ten siedział na swoim miejscu z zadowoloną miną i raz po raz gładził się dłonią po rudawej brodzie. Elżbieta czuła się tak, jakby umiała czytać mu w myślach. Teraz, gdy Henryk Bagenal zginął, będzie musiała posłać go do Irlandii. To była dla niej gorzka pigułka, lecz jaki miała wybór? Żaden z jej zaufanych nie będzie miał odwagi przejąć dowództwa w Irlandii, bo naraziłby się w ten sposób Essexowi, który cieszył się jej względami. Nawet jeśli czasami się z nim kłóciła, to i tak uważano, że ma na nią ogromny wpływ. Inni dworzanie obawiali się, że jedno jego słowo może zniszczyć czyjąś karierę.

Elżbieta zastanawiała się, czy przez te wszystkie lata nie traktowała Essex'a zbyt łagodnie. Parę tygodni w Tower nauczyłoby go niezbędnej skromności. Dała się jednak omamić jego czarowi i traktowała mniej przyjemne cechy jego charakteru jako wybacalne grzeszki. To był błąd, bo teraz będzie go musiała posłać razem z górą pieniędzy i mnóstwem żołnierzy, mając jedynie nadzieję, że Essex przynajmniej tym razem zachowa się zgodnie z jej wolą.

Zirytowana, bo doradcy wciąż gadali po próżnicy, postukała otwartą dłonią w oparcie tronu.

- Czekam na propozycje, panowie, a nie gdybania, co by było, gdyby sir Henryk Bagenal zachował się inaczej!

- Wasza Wysokość ma rację! - przytaknął jej natychmiast Robert Cecil. - Choćby po to, by pokazać innym europejskim potęgom, przede wszystkim Hiszpanii, Francji, ale także Szkocji i rzymskiemu papieżowi, że Anglia gotowa jest stanowczo reagować na takie żalosne

rewolty, jak bunt Hugh O'Neilla, musimy wysłać do Irlandii armię o odpowiedniej sile.

Elżbieta zauważyła, że na słowa Cecila Essexowi aż się oczy zaświeciły. Wiedział, że nie będzie mogła go pominąć, ale czekał, aż ktoś inny zaproponuje wysłanie do Irlandii wielkiej armii. Teraz czuł podwójny triumf, bo uczynił to akurat jego arcywróg Robert Cecil.

Pozostali doradcy zgodzili się z Cecilem i zaczęli wysuwać własne propozycje. Elżbieta kilka z nich uznała za słuszne, lecz resztę natychmiast odrzuciła.

W końcu Robert Cecil znów zabrał głos.

- Wasza Wysokość może też zakończyć ten przykry irlandzki incydent, wysyłając tam mniejszą armię, czterocy pięciotysięczną, pod dowództwem zdolnego generała.

To potrwa parę lat, ale ci wszyscy O'Neillowie, O'Donnellowie, i jak się jeszcze tamte klany nazywają, zostaną pokonani.

Essex skrzywił się z irytacją, natomiast Elżbieta zaczęła rozważać tę opcję. Z całą pewnością mniej by ją to kosztowało niż uzbrojenie ogromnej armii, jaką jej faworyt z pewnością uzna za niezbędną.

Zanim zdecydowała, co odpowiedzieć, Robert Cecil uniósł rękę.

- Jak już wspomniałem, musimy wysłać sygnał. Wiemy, że Hugh O'Neill prowadzi tajną korespondencję z Hiszpanią i że otrzymuje od niej broń i złoto. Jeśli będziemy działać niezdecydowanie, skłonimy w ten sposób Hiszpanów do jeszcze większego wsparcia buntowników, a może nawet do wysłania drugiej armady w celu zdobycia Irlandii. Jeżeli Hiszpanie się tam znajdą, Anglia będzie w wielkim niebezpieczeństwie. Wtedy sojusz Hiszpanii i Francji będzie dla nas oznaczać wojnę na dwa fronty. A jeśli wtrąci się do tego wszystkiego Szkocja, Anglia będzie zgubiona.

Choć Cecil nie mówił głośno, jego słowa długo wybrzmiewały w uszach pozostałych doradców. Nawet Essex lekko skinął głową. Elżbieta natomiast rozważała skutki kampanii wojennej i nie potrafiła podjąć decyzji.

W końcu wstała gwałtownym ruchem.

- Moi panowie! Obwieszczę wam moją decyzję w odpowiednim czasie.

Większość członków rady królewskiej odebrała to jako znak do opuszczenia komnaty. Tylko Essex z obrażoną miną podszedł do królowej.

- Wasza Wysokość, musicie działać teraz! Jakakolwiek zwłoka to hańba dla Anglii i triumf naszych wrogów. - Wyciągnął ku niej dłoń, lecz ona szybko się cofnęła.

- Zachowajcie należną odległość, sir! I nie wątpcie w me królewskie prawo do podejmowania decyzji wtedy, gdy uznam to za słuszne.

Essex pobladł i zacisnął pięści. Poszukał wzrokiem Cecila, który gestem kazał mu się

uspokoić.

- Milordzie, zaproponuję Jej Wysokości, by wysłała was do Irlandii jako swojego namiestnika, byście zakończyli ten bunt i pokazali Europie, że Anglia potrafi bronić swoich spraw!

Essex pragnął zostać dowódcą armii w Irlandii, by pokonać O'Néilla, a potem powrócić w chwałę do Londynu. Nominacja na namiestnika oznaczała jednak, że musiałby zostać dłużej na tej żalosnej wyspie, zajmując się podatkami, krowami i owcami. W tym czasie jego konkurent Robert Cecil mógłby bez przeszkód umacniać swój wpływ na królową. Najchętniej odpowiedziałby, że nie jest zainteresowany tym stanowiskiem, lecz w ten sposób zrezygnowałby także z dowodzenia armią, która miała zdobyć Irlandię. Akurat zaś wojskowa władza kusiała go, stanowiąc środek, który umożliwiłby realizację jego ambitnych planów.

Uklonił się więc przed Elżbietą, ignorując Cecila.

Z sali wyszedł jednak pierwszy, gdyż jakiś inny doradca objął go i wyprowadził na zewnątrz.

Robert Cecil też zamierzał wyjść, lecz powstrzymał go gwałtowny gest królowej. Elżbieta poczekała, aż drzwi się zamkną, a potem obrzuciła swojego kanclerza gniewnym spojrzeniem.

- Czy jest jakaś inna możliwość niż wysłanie Essex'a do Irlandii?

- Gdybym o niej wiedział, poinformowałbym Waszą Wysokość z przyjemnością. Ale nie ma innej możliwości.

Anglia musi udowodnić, że panuje nad Irlandią. Proponuję przydzielić hrabiemu Essex doświadczonego generała.

Wasza Wysokość powinna też wydać mu dokładne rozkazy, co ma robić w Irlandii.

- Myślicie, że ich posłucha? - zapytała Elżbieta gorzkim tonem. - Essex już zbyt często działał po swojej myśli, nie osiągając przez to sukcesów, które były w zasięgu ręki. Może i jest wspaniałym dworzaniec oraz dzielnym wojownikiem, ale postępuje zbyt pochopnie.

- Wasza Wysokość może być pewna, że już o tym myślałem. Rozkazy dla hrabiego Essex zostaną szczegółowo określone. Ma nie prowadzić wielkich bitew, tylko przemówić Irlandczykom do rozsądku samą swoją obecnością. Z taką armią może niepowstrzymany dotrzeć do Ulsteru i pogonić O'Néilla. Jeśli on zostanie pokonany, pozostali przywódcy klanów też się poddadzą.

Trzeba to wyjaśnić hrabiemu Essex bardzo dokładnie.

Musi też wiedzieć, że każde odstępstwo od rozkazów oznaczać będzie zdradę. Z tego

względu zaprosiłem dziś wieczór do siebie jego sekretarza Anthony'ego Bacona.

Ma nieustannie przypominać Essexowi o lojalności wobec was oraz o tym, że najlepiej okaże tę lojalność, słuchając waszych rozkazów.

- Mam nadzieję, że wam się uda! Jeśli nie, to was pošlę do Irlandii, i to z o wiele mniejszą armią niż ta, którą będę musiała dać Essexowi.

Pomimo trosk Elżbiecie udał się dowcip, bo jeśli ktokolwiek z jej dworzan najmniej nadawał się na żołnierza, to właśnie garbaty Robert Cecil o krzywych nogach. Miał za to najbystrzejszy umysł w całej Anglii.

Skoro taki właśnie plan uważał za słuszny, z pewnością miał powody. Jednakże Essex go nie lubił i zazdrościł mu pozycji, jaką zajmował na dworze królowej.

- Ja również mam taką nadzieję - odpowiedział Cecil po chwili milczenia. - I dlatego Wasza Wysokość powinna wziąć tę kwestię pod uwagę podczas wybierania generałów, którzy będą towarzyszyć Essexowi.

- Kogo macie na myśli? - zapytała Elżbieta.

- Myślałem o lordzie Mountjoyu, o sir Conyersie Cliffordzie...

Zanim wymienił kolejne nazwiska, królowa mu przerwała.

- Obaj są wiernymi stronnikami Essexa i nie staną mu na drodze, jeśli będzie chciał obejść moje rozkazy.

- Ale są też bardzo dobrymi dowódcami, którzy będą w stanie służyć mu i radą, i czynem. Postaram się, żeby i oni otrzymali rozkazy, z którymi wyruszy Essex.

- Postarajcie się także o to, żeby wszystko poszło po mojej myśli. - Elżbieta chciała opuścić komnatę, lecz gdy Cecil odchrząknął z zakłopotaniem, zatrzymała się.

- Czy coś jeszcze was gnębi?

- Mnie nie, Wasza Wysokość. Lecz sir Ryszard Haresgill z Gillsborough, jeden z naszych osadników w Irlandii, prosi o prywatną audiencję. Wielokrotnie się do mnie zgłaszał, bym przedstawił wam jego sprawę.

- Ryszard Haresgill? A kto to jest? - zapytała Elżbieta.

- Angielski szlachcic. Objął w Ulsterze spore dobra, z których wypędzili go Hugh O'Neill i jego wasal O'Corra. Brał udział w bitwie pod Yellow Ford jako dowódca jazdy i został tam ranny.

- W takim razie przyjmę tego człowieka. Na pewno będzie umiał powiedzieć o Irlandii coś konkretnego. - Elżbieta zajęła z powrotem swoje miejsce. Popatrzyła za Cecilem, który ukłoniwszy się, podszedł do drzwi i rozkazał służącemu, żeby poprosił Haresgilla.

Zaraz potem do komnaty wkroczył Ryszard Haresgill.

Wysoki i szczupły mężczyzna odróżniał się od dworzan przede wszystkim swoim skromnym odzieniem. Nie nosił kryzy, tylko prosty koronkowy kołnierz. Poza tym miał na sobie pludry i rajtuzy. W rękę trzymał płaski brązowy kapelusz z wąskim rondem.

Choć lekko utykał, krzywiąc przy tym boleśnie twarz, Elżbieta nic nie mogła zarzucić jego ukłonowi.

- Jesteście, panie, sir Ryszard Haresgill? - zapytała.

- Do usług Waszej Wysokości! - Haresgill odważył się podnieść wzrok na królową, która miała na sobie suknię o szerokim dole i obcisłej górze. Upudrowana na biało twarz wydawała się pozbawiona wieku, lecz wydało mu się, że w jej oczach dostrzega znużenie. Jej włosy wyglądały na zbyt gęste, by mogły być prawdziwe, jednak peruka nadawała jej władczy wygląd.

- Przybywacie z Irlandii? - Pytanie Elżbiety przerwało obserwacje Haresgilla.

- Tak jest, Wasza Wysokość! A dokładniej rzecz biorąc, z okolic Drummoney. Posiadam tam kilka tysięcy mórg, na których osiedliłem ponad czterdziestu dzierżawców. Wspaniali Anglicy, znaczy się, nie leniwi i brudni Irlandczycy. To dzikusy, Wasza Wysokość, zupełnie jak ci półnaczy poganie z drugiej strony oceanu.

Właściwie to są jeszcze gorsi, bo twierdzą, że są chrześcijanami, ale trzymają się przeciw swoich starych, pogańskich zabobonów, które w każdym prawdziwym Angliku wywołują odrazę. Choć posiadam mniej niż dziesiątą część ziemi w hrabstwie, wypracowuję niemal jedną czwartą podatków, jakie należą się waszej królewskiej mości. Irlandczycy, którzy mają tam jeszcze ziemię, nie płacą prawie nic. Nie potrafią uprawiać roli, tak jak się należy, a ich krowy nie dają tyle mleka co nasze angielskie. Poza tym ich owce są małe, chude i dają tak mało wełny, że ledwo się opłaca w ogóle je strzyc.

Elżbieta domyśliła się, że mężczyzna zamierza jeszcze długo prowadzić swój wywód, więc uniosła dłoń.

- Dość! Sami wiemy, jak jest w Irlandii. Poprosiliście o prywatną audiencję. Co macie mi do przekazania, czego nie mogliście powiedzieć w obecności moich dworzan i dam dworu?

Haresgill jakby stracił pewność siebie. Zebrał się jednak w sobie i na nowo uklonił.

- Wasza Wysokość, proszę o zwrot moich dóbr.

Zbuntowani Irlandczycy wypędzili mnie i moich dzielnych angielskich dzierżawców. Choć robię wszystko, co w mojej mocy, nie jestem w stanie wykarmić głodnych ludzi, których mam w swej pieczy. Moje bogactwo opierało się na ziemi, na krowach i zyskach, jakie wypracowywali moi dzierżawcy. Skromną sumę pieniędzy, jaką dysponowałem,

wydałem już prawie do ostatka i będę niczym żebrak, dopóki oddziały Waszej Wysokości nie stłumią buntu, a ja nie będę mógł powrócić na swoją własność. I...

Elżbieta ponownie uniosła dłoń.

- Wystarczy! Możemy wam przekazać dobrą wiadomość. Przedsięwzięliśmy środki w celu umocnienia naszej władzy w Irlandii. Wkrótce będziecie z powrotem panem swoich włości.

- Wasza Wysokość sprawiła mi ogromną radość! - wykrzyknął szlachcic.

Elżbieta przyjrzała mu się i pomyślała, że nie chciałaby widzieć tego gadatliwego człowieka na swoim dworze.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Zezwalamy wam wziąć udział w odzyskaniu Irlandii i waszych ziem i mianujemy was dowódcą chorągwi jazdy w armii hrabiego Essex! Na pewno będziecie dzielnie walczyć, i to nie tylko o wielką chwałę, ale także o naszą łaskę i kolejne posiadłości.

Po tych słowach królowa dała lokajom znak, że audiencja została zakończona. Ci otworzyli drzwi, a Robert Cecil wyprowadził Haresgilla. Ryszard odszedł w nadziei, że po pokonaniu O'Neilla zgarnie jeszcze więcej ziem, natomiast Cecil przystanął niezdecydowany.

Elżbieta wstała i podeszła do niego.

- Najbardziej odpowiadałoby mi, gdyby Hugh O'Neill i inni buntownicy po pojawieniu się mojej armii przemyśleli sobie wszystko i złożyli broń. Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich.

- Dopóki O'Neill i pozostali są nie tylko właścicielami ziemskimi, lecz także przywódcami klanów, którymi rządzą podług swoich własnych praw, w Irlandii nie będzie pokoju. Jeśli Anglia chce przetrwać, musi ukształtować sąsiednią wyspę na swoją modłę.

Irlandczycy muszą się stać Anglikami, tak samo jak Anglosasi i Normanowie. A to oznacza tę samą mowę, tę samą wiarę i te same prawa. Bez tego Irlandia na zawsze pozostanie ostoją buntu.

Przygnębiona Elżbieta pokiwała głową.

- Ilu żołnierzy będzie jeszcze musiało umrzeć, zanim to nastąpi?

- To wie tylko nasz Pan w niebiesiech - odpowiedział Cecil i pomodlił się w duchu, by wyprawa hrabiego Essex zakończyła się sukcesem.

8

Na zamku panował ponury nastrój. Choć Oisín O'Corra starał się do tego nie dopuścić, jego ludzie podzielili się na trzy grupy. W pierwszej znalazł się on sam, Aithil i

większość Ui'Corra. Druga grupa otaczała Buirre'a, który pomimo nalegań Ciary nie został wykluczony z klanu, a nawet zachował swoją podoficerską szarżę. Do grupy tej obok przyjaciela Buirre'a, Seachlanna, przyłączył się ku ogólnemu zaskoczeniu także ojciec Maitiú. Kapłan pomimo wątpliwości udzielił Buirre'owi rozgrzeszenia. Jednak jego małżeństwa z Saraid nie mógł już uratować. Saraid dotrzymała obietnicy, spała w komnacie Ciary i traktowała swojego męża, jakby był powietrzem.

Czasem Buirre'a koczyło, żeby za pomocą kija nauczyć upartą babę posłuszeństwa. Wiedział jednak doskonale, że Ciara natychmiast stanęłaby po stronie Saraid. A gdyby w gniewie uderzył i ją, mógłby już całkiem stracić przychylność Oisina. Obie kobiety, Ionatán i paru prostych żołnierzy, a także większość zamkowych dziewczek i parobków tworzyli trzecią frakcję. Należeli do niej także Ferdynand i Cyriakus Hufeisen.

Ponieważ dłużej tak nie mogło być, Oisín poprosił siostrę, by wyszła razem z nim na mury.

- Musimy porozmawiać!

Ciara wzruszyła ramionami.

- A o czym tu rozmawiać? Dopóki Buirre tu pozostanie, nie będzie spokoju.

- Nie mogę go tak po prostu odesłać po tym, jak ojciec Maitiú wybaczył mu śmierć Maeve w imieniu Boga. Poza tym potrzebuję go. Póki nie pije, jest równie dobry jako żołnierz i podoficer jak Aithil.

Oisina irytował upór siostry i kuzynki. Wiedział jednak, że nie może rozkazać Saraid, by wróciła do męża. Choć większość kobiet na zamku nie lubiła Maeve czy wręcz nią pogardzała, to wzburzyła je wiadomość o jej gwałtownej śmierci i miały do niego żal, że nie ukarał zbrodni.

- Proszę, Ciaro, chodź ze mną. To ważne! - nalegał.

Siostra westchnęła i skinęła głową.

- Już dobrze! Ale nie próbuj zmuszać mnie do czegoś, czego nie chcę.

Oisín, zadowolony, że go przynajmniej posłuchała, zaprowadził ją na zamkowe mury. Ujrzał stamtąd najbliższą położoną wioskę. Pola wokół nie zostały obsiane, ponieważ dzierżawcy należeli do jego drużyny, a ich żony nawet przy pomocy parobków nie dawały sobie rady.

Lecz dopóki trwała wojna z Anglikami, mógł odsyłać do domu tylko część swoich ludzi. Reszta musiała pilnować twierdzy albo brać udział w kampaniach O'Néilla.

- To czego chcesz? - Ciara przystanęła i popatrzyła na brata nieufnie.

Oisín chciał się roześmiać, lecz dźwięk, który z siebie wydał, tak naprawdę zdradził

jego bezsilność.

- Otrzymałem wieści od O'Néilla. Aodhowi Ruadhowi O'Domhnaillowi udało się zająć Sligeach i przepędzić stamtąd Ui' Connor. Teraz Aodh Mór O'Néill także zamierza atakować zajęte przez Anglików miasta. Na jego rozkaz ja też mam ze swoim hufcem zdobywać miasta.

- Do tego z pewnością nie potrzebujesz mojej pomocy - odpowiedziała Ciara, unosząc dłoń w obronnym geście.

- Podczas naszej ostatniej wyprawy okazałaś się bardzo przydatna. Możliwe, że znów będę cię potrzebować, żeby przechytrzyć Anglików. - Oisín wskazał na zamek. - Chciałbym zakończyć tę okropną sytuację i rozdzielić jakoś ciebie i twoich ludzi od Buirre'a i jego popleczników.

- Nic prostszego - odpowiedziała Ciara. - Odeślij Buirre'a! Pójdzie za nim nie więcej jak trzech, czterech ludzi, a może i nikt.

Oisín gwałtownie pokręcił głową.

- Nasz klan jest mały i słaby, Ciaro, i nie mogę zrezygnować z żadnego człowieka. Nawet z Buirre'a!

Wyruszę więc z ponad setką żołnierzy, a resztę zostawię tutaj pod dowództwem Buirre'a. Ty i Saraid pojedziecie ze mną. Mam nadzieję, że Bríd da radę nadzorować pozostałe służące. Choć należy do twoich zwolenniczek, to podobnie jak pozostałe niewiasty, będzie się zachowywać spokojnie, gdy was dwóch tutaj nie będzie.

Ciara pomyślała, że jej brat ma właściwie rację. To ona i Saraid otwarcie występowały przeciwko stronnictwu Buirre'a. Robili to jednak także Ionatán i Ferdynand von Kirchberg.

- Jest jeszcze ktoś, kogo nie możesz zostawić, a mianowicie Ionatán. Buirre go nienawidzi i będzie go tak długo prowokować, aż tamten chwyci za broń - powiedziała po namyśle.

- Nie miałem zamiaru go zostawiać, podobnie jak pana Ferdynanda - oznajmił Oisín.

Serce aż podskoczyło Ciarze w piersi. Sama nie miała odwagi zapytać o Ferdynanda, by nie zdradzić swoich uczuć wobec młodego Niemca. Teraz jednak z uśmiechem skinęła głową.

- Wszystko sobie dobrze przemyślałeś, Oisínie. Mimo to tylko odsuwasz problem w czasie. Gdy wrócimy z wyprawy wojennej, wszystko będzie tak jak teraz.

Oisín ufał jednak, że z czasem mury po obu stronach konfliktu zaczną kruszeć i obie kobiety pogodzą się z obecnością Buirre'a w klanie. Na razie zyskał przynajmniej czas. Po paru zwycięstwach nad Anglikami śmierć Maeve pójdzie w zapomnienie, a dzięki temu

skończą się niesnaski wewnątrz klanu.

- Dziękuję, że się zgadzasz - powiedział z radością. - Wyruszamy pojutrze. Aithila jeszcze dziś poślę do O'Néilla, żeby przekazał mu wiadomość. Potem do nas dołączy. Nie chcę urazić żadnego z nich, ani Aithila, ani Buirre'a, mianując jednego kasztelanem, a drugiego czyniąc tym samym jego podwładnym.

- Za bardzo się cackasz z Buirre'em! - odparła gorzko Ciara.

- To był dobry człowiek, zanim wziął za żonę Saraid, i mam nadzieję, że znów taki będzie.

- To brzmi niemal tak, jakbyś obwinił Saraid za to, jaki stał się Buirre!

Głos Ciary zabrzmiał tak gniewnie, że Oisín uspokajającym gestem uniósł dłonie.

- Na Boga, nie o to mi chodziło! Ale ślub z nią mu nie posłużył. To silna kobieta o silnej woli. On jednak próbował bezwzględnie forsować swoje zdanie, przez co przekroczył granice, które powinien był uszanować.

- Ja także jestem kobietą o silnej woli.

Oisín zrozumiał, co Ciara chciała przez to powiedzieć.

Choć byli rodzeństwem, przed swoim powrotem do Irlandii widział ją zaledwie przez parę tygodni i właściwie nic o niej nie wiedział. Podczas pobytu we Francji nie mógł jej nawet posyłać pieniędzy, żeby choć trochę ułatwić jej życie. Wyobraził sobie teraz, jak bosa, odziana w starą sukienkę szuka na plaży muszli i ptasich jaj, by nie umrzeć z głodu. Ona żyła swoim życiem, a on swoim, i nic tych egzystencji nie łączyło. Przykro mu było, że siostra jest dla niego obcą osobą, i pomyślał, że nie powinien wydawać jej za męża wbrew jej woli. Dzięki Saraid i Buirre'owi wiedział, co się dzieje, gdy małżonkowie do siebie nie pasują.

Zaskoczona długim milczeniem brata Ciara popatrzyła na niego.

- Nie usłyszałaś, co powiedziałam?

- Jak najbardziej - odparł Oisín z westchnieniem. - Nawet cieszę się z tego, że masz silną wolę, choć to niewiastom nie bardzo przystoi. Powinny przecież słuchać swoich ojców, braci i mężów.

- Gráinne Ní Mháille[27] wcale nie słuchała - odpowiedziała mu siostra. - Była panią swego klanu i władczynią mórz.

- A mimo to musiała się pokłonić przed królową Elżbietą i błagać ją o życie i wolność swojego syna - powiedział Oisín, mimowolnie podsuwając Ciarze kolejny argument.

- Gráinne Ní Mháille była najsilniejszą kobietą Irlandii, tak jak Elżbieta jest najsilniejszą kobietą Anglii.

Żadna z nich nigdy nie poddała się woli mężczyzny.

Oisin zrozumiał, że wkroczył na grząski teren. Jeśli będzie kontynuować temat, może się skończyć na tym, że jeszcze wyciągnie przeciwko własnej siostrze miecz.

Dlatego zmusił się do uśmiechu i poklepał Ciarę po ramieniu.

- Jesteś w porządku taka, jaka jesteś. Ale teraz powinnaś już iść i zawiadomić Saraid. Postaraj się, żeby Bríd dała radę was zastąpić. Kto wie, jak długo będziemy poza domem. I jeszcze coś. Tym razem zabierzemy Gamhain! Wolę, żeby była z nami i mogła cię chronić!

„Chronić przed kim?” - już miała zapytać Ciara, lecz pomyślała, że nie powinna dokładać bratu trosk i zeszła z murów.

9

W drodze do kuchni Ciara spotkała Szymona von Kirchberga. Chciała go szybko wyminąć, lecz on uniósł kapelusz i zagadnął ją:

- Niech będzie pochwalony, panno Ciaro. Śpieszycie przez zamek niczym burza. Powinniście choć raz sobie odpocząć.

- Odpocznę dopiero wtedy, gdy Irlandia będzie wolna, a my, niewiasty, nie będziemy musiały wykonywać pracy naszych mężczyzn, którzy potrzebni są teraz w walce z Anglikami.

Ciara nie miała ochoty na rozmowę. Choć kiedyś ten mężczyzna jej się podobał, odkąd go lepiej poznała, zauroczenie ustępowało miejsca coraz silniejszej pogardzie.

Szymon von Kirchberg teatralnym gestem uniósł ramiona.

- Jesteśmy na dobrej drodze do wyzwolenia Irlandii.

Anglia poniosła druzgocącą porażkę i kto wie, czy odważy się jeszcze przysłać tutaj swoje wojska. Ta heretyczka Elżbieta wie, że Pan Bóg stoi po naszej stronie.

Módlcie się więc za nasze zwycięstwo i bądźcie pewni, że i ja się do niego przyczynię.

I znowu te przechwałki, które kiedyś uważała za oznakę pewności siebie i odwagi. Jednak zaprzyjaźnieni wojownicy z klanu donieśli jej, że Szymon wcale nie wyróżniał się bojowym duchem. Przede wszystkim kazał walczyć swoim żołnierzom, a sam angażował się dopiero wtedy, gdy było to nieuniknione. Jego kuzyn był zupełnie inny. Gdy pomyślała o Ferdynandzie, poczuła, że rumienią jej się policzki. On nigdy nie przechwalałby się własnymi dokonaniem, pomniejszając zasługi innych.

- Wybaczcie, panie von Kirchberg, ale muszę już iść.

Jak sami powiedzieliście, mam dużo zajęć. Chyba że wolicie pić do posiłków wodę zamiast miodu? - dodała, gdy Szymon nie ustępował jej z drogi.

- Naprawdę jesteście gospodynią, o jakiej mężczyzna może tylko marzyć.

Ten komplement wcale nie znaczył, że Szymon miał chęć się z nią ożenić. Do zalotów skłaniała go wyłącznie myśl o tym, że Ferdynand może jej się spodobać i otrzymać to, czego on sam nie miał do tej pory odwagi od niej zażądać.

Ciara wymknęła mu się bez słowa i ruszyła dalej.

Szymon popatrzył za nią w zamyśleniu. Ta dziewczyna to prawdziwa piękność, mało takich spotkał na kontynencie.

Zaczął się zastanawiać, czy małżeństwo z nią rzeczywiście byłoby dla niego tak niekorzystne. Te parę miesięcy spędzonych w Irlandii wystarczyło, by uświadomił sobie, że żaden z wielkich przywódców klanów nie odda jemu, obcemu, córki za żonę. Wiedział też, że również Oisín O'Corra wcale nie widziałby go chętnie w roli szwagra, ponieważ miał nadzieję, że dzięki Ciarze zawrze przymierze z jakimś silniejszym klanem.

Z drugiej strony Hugh O'Neill dał w jego obecności do zrozumienia, że Oisín nie powinien mierzyć zbyt wysoko, jeśli nie chce utracić jego przychylności. Dla niego oznaczało to, że powinien trzymać się raczej O'Neilla niż O'Corry. Posiadając ziemię, którą spodziewał się otrzymać od Aodha Móra O'Neilla, i mając za żonę Irlandkę ze szlacheckiego rodu, mógłby się tutaj urządzić o wiele lepiej niż w ojczyźnie.

Przypomniał sobie swojego i Ferdynanda wuja, Franciszka, pana na zamku Kirchberg. Marzył, by po nim dziedziczyć. Jednakże Franciszek miał syna i dwóch wnuków, więc nigdy do tego nie dojdzie. Jeśli nie zamierzał całe życie być prostym oficerem, musiał uczynić wszystko, by zdobyć własny majątek. Gdyby na dodatek dostał Ciarę, to miałoby swój urok, bo w ten sposób pokazałby Ferdynandowi jego miejsce. Ten dureń ubóstwiał siostrę Oisina O'Corry, i to od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Wróciłby na kontynent jak niepyszny, ze świadomością, że nigdy jej nie zdobędzie.

Szymon, zadowolony, bo nie czuł się już pokrzywdzony przez los, lecz miał przed oczami obiecujący cel, dostojnym krokiem wyszedł przez zamkową bramę, żeby popatrzeć, jak jego nowi oficerowie i podoficerowie ćwiczą ponad dwie setki żołnierzy, których od niedawna miał pod dowództwem. Dzięki nim był w Irlandii potęgą, której respekt będzie musiał okazać nawet Oisín.

Ciara, nie mając pojęcia, o czym myśli Szymon, weszła do kuchni. Saraid tłumaczyła akurat Bríd, jak należy podać obiad w głównej sali zamku i jak trzeba go wcześniej przygotować.

Ciara uśmiechnęła się do nich.

- Dobrze, że Bríd będzie wiedziała, co robić, gdy nas tu nie będzie.

- Jak to nas nie będzie? - zapytała zdumiona Saraid.

- Mój brat chce nas ze sobą zabrać. Wiesz, mamy zwodzić Anglików, żeby nasi żołnierze łatwiej obcinali im głowy. A Bríd będzie w tym czasie gospodynią na zamku.

- Ale ja nie umiem! - wykrzyknęła przerażona dziewczyna.

Ciara odpowiedziała na to wzruszeniem ramion.

- To musisz się nauczyć. Taka jest decyzja taoiseacha.

- Skąd twojemu bratu przyszedł do głowy taki głupi pomysł? - zapytała zaskoczona Saraid, ale zaraz potem zmrużyła oczy. - To przez Buirre'a?

- Tak! Zgodnie z wolą mojego brata Buirre ma znowu objąć dowództwo nad zamkiem i twierdzą. A my ruszymy na wojnę!

Saraid się roześmiała.

- Niech mu będzie! Mąż zostanie i będzie pilnować domu, a żona tymczasem uwolni Irlandię.

- Oisin na pewno o tym nie pomyślał. Na Boga, ale się Buirre wścieknie! - Ciara zaczęła chichotać, więc i Bríd nie potrafiła dłużej skrywać swego rozbawienia.

- Wścieknie się jeszcze bardziej, jak będzie musiał jeść to, co ja mu położę na talerzu. Rozpieszczać go z pewnością nie zamierzam i będę bardzo oszczędna z mięsem, miodem i przyprawami.

Podeksytowane zaczęły rozprawiać o tym, jak jeszcze można dokuczyć Buirre'owi podczas ich nieobecności na zamku. Nie zapomniały jednak o tym, by wyjaśnić młodej służącej, jak ma prowadzić całe gospodarstwo. Nie chodziło tylko o gotowanie. Gospodyni zamku odpowiadała także za to, żeby parobkowie i dziewczki pilnie pracowali, a dzierżawcy dostarczali potrzebne produkty.

- Znowu pošlesz kobiety i dzieci do lasu, żeby nzbierały korzonków, żołądzi i bukwi[28] - powiedziała Ciara, która doskonale wiedziała, jak szybko opróżnia się spizarnia podczas długiej i wilgotnej zimy.

- Nie róbcie też za dużo pitnego miodu. Miodu i ziarna potrzebujemy do gotowania - upomniała dziewczkę Saraid.

- To co mam zrobić, jak mężczyźni będą żądać miodu?

- zapytała wystraszona Bríd.

- Masz im powiedzieć, że więcej nie ma i że mają pić piwo. Ale piwo warzcie raczej na ziołach niż na jęczmieniu. Zrozumiałaś? - Ciara poczekała, aż służka pokiwa głową, i mrugnęła do Saraid.

- Da sobie radę. To przecież mądra dziewczyna.

- Dziękuję! - Bríd wcale nie była przekonana, że potrafi je obie zastąpić. Bała się też

Buirre'a, który robił się coraz bardziej ponury i nie znosił sprzeciwu nawet ze strony swoich ludzi. Co powie, gdy odmówi jego żądaniom dobrego jedzenia i miodu? Czuła się jednak zbyt zobowiązana wobec Ciary i Saraid, żeby mu ustąpić.

- Życie mi powodzenia! - poprosiła, a potem wskazała na kocioł. - Zupa się wygotuje.

Zanim zdążyła coś zrobić, Ciara chwyciła za ścierkę i odsunęła znad ognia pałąk, na którym wisiał kocioł.

- Nic się jeszcze nie przypaliło - powiedziała, gdy ściągnęła z ognia także obie patelnie razem z trójnogami, na których stały, i uważnie obwąchała ich zawartość.

- Bogu niech będą dzięki! - wyrwało się Bríd, bo nie miała ochoty podać przywódcy klanu i jego najbliższemu zaufanemu posiłku, który byłoby czuć spaleniżną.

Ciara już zdążyła zapomnieć o jedzeniu. „Co przyniesie nowa wojenna wyprawa? - zastanawiała się. - A przede wszystkim, jak Anglia zareaguje na klęskę pod Béal an Atha Buidhe?” Potem pomyślała, że Ferdynand też na pewno wyruszy, bo w przeciwnym razie ciągle ścierałby się z Buirre'em, więc cieszyła się, że opuści zamek razem z młodym Niemcem.

10

Pożegnanie było krótkie i niezbyt wylewne. Ciara, Saraid i Ionatán zignorowali Buirre'a, natomiast Ferdynand wyzywającym gestem poklepał się po mieczu, kiedy go mijał. Oisin zamienił z nim zaledwie parę słów. To, co ważne, przekazał już swojemu zarządcy poprzedniego wieczoru.

Buirre patrzył za wyruszającym oddziałem z ponurą miną. Nigdy nie wybaczy Oisinowi, że nie stanął po jego stronie i nie zmusił Saraid i Ciary do milczenia. Przecież nawet sługa boży wstawił się za nim, a to powinno dać taoiseachowi do myślenia.

Ksiądz także pozostał na zamku. Wcześniej udzielił błogosławieństwa wojownikom, a także obu niewiastom i młodemu Toalowi, który również dołączył do oddziału.

Kapłan miał nadzieję, że wyprawa się uda. Lecz nie był całkiem zadowolony i ze zmarszczonym czołem rzekł do Buirre'a:

- My, Irlandczycy, powinniśmy pobić angielskich heretyków w otwartej bitwie, mając Pana, Boga naszego, i Najświętszą Dziewicę Maryję na swoich sztandarach.

Zamiast tego Oisin O'Corra wyrusza niczym przywódca bandy rabusiów, którzy napadają z zasadzki na niewinnych ludzi.

- Czy to nie wszystko jedno, w jaki sposób zginą Anglicy? - zapytał Buirre,

wzruszając ramionami.

Ojciec Maitiú powrócił do Irlandii, zakładając, że będą się tu toczyć takie same bitwy jak w Italii, z rycerzami w lśniących zbrojach pod powiewającymi sztandarami, a jego strona zwycięży dzięki boskiemu wsparciu. To, czego dotąd doświadczył, nijak się jednak miało do tych wyobrażeń.

Dlatego żywo się teraz obruszył.

- Żeby chociaż Oisín O'Corra zabijał każdego heretyka, którego napotka! Ale on ich oszczędza, rzekomo w celu wymiany za własnych ludzi. Pomyśl o tym Crandonie, którego przyprowadził ze swojej ostatniej łupieżczej wyprawy. Jego świętym obowiązkiem było natychmiast posłać go prosto do piekieł.

- To wszystko wina tego przeklętego Niemca. To on skłonił Oisina, żeby oszczędził tego Sasanach! - wykrzyknął z nienawiścią Buirre.

Ojciec Maitiú rzucił mu wyzywające spojrzenie.

- Ale teraz nie ma tutaj ani taoiseacha, ani młodszego Kirchberga.

Wskazówka była jednoznaczna. Buirre natychmiast chwycił za miecz, lecz potem się zawahał.

- Oisín się wścieknie!

- Wolą Pana naszego w niebiesiech jest, by doszczętnie wytępić heretyków. Kto nie przyczynia się do tego dzieła czy wręcz mu się sprzeciwia, popełnia ciężki grzech.

Kapłanowi chodziło nie tylko o Anglika, lecz także o własną władzę. Bóg wybrał go po to, by uwolnić Irlandię. Lecz dopóki pozostawał kaznodzieją na zamku Ui'Corra, nic nie mógł zdziałać. Aby sprostać boskiemu powołaniu, musiał skłonić Oisina, by uznał jego autorytet, a potem zdobyć władzę nad innymi przywódcami klanów, jak Aodh Mór O'Néill czy Aodh Ruadh O'Domhnaill.

- Zabij Anglika! - zażądał od Buirre'a donośnym głosem.

Ten zerkał niepewnie to na księdza, to na drzwi, za którymi siedział zamknięty Crandon. Wahał się jeszcze chwilę, a potem dał upust swojej wściekłości spowodowanej rezerwą Oisina O'Corry. Wielkimi krokami zbliżył się do lochu, rozkazał strażnikowi otworzyć drzwi i zaraz potem stanął przed Johnem Crandonem.

Ten spojrział na niego zaskoczony, bo nie była to jeszcze pora na posiłek.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, Buirre uniósł miecz i pchnął go między żebra. Z ust Crandona dobył się zduszony dźwięk, a potem Anglik osunął się na ziemię i legł w kałuży krwi.

Oprócz kapłana za Buirre'em wszedł do lochu także Seachlann, lecz w

przeciwieństwie do ojca Maitiú, który przeżegnał się z widoczną satysfakcją, twarz wojownika wyrażała czyste przerażenie.

- Czemu to uczyniłeś, Buirre? Taoiseach rozkazał, żeby dbać o Anglika. Wścieknij się, gdy się o tym dowie.

- Wolą Boga było, by ten heretyk umarł! Oisín O'Corra musi uznać tę prawdę, jeśli nie chce być odrzucony przez naszego Pana.

W głosie kapłana brzmiał triumf, bo po tym czynie Buirre'owi nie pozostawało nic innego, jak opowiedzieć się całkowicie po jego stronie i wspierać go w sporach z przywódcą klanu.

Seachlann bezradnie potrząsnął głową.

- Nie powinieneś był tego robić, Buirre. Podzielisz przez to nasz klan jeszcze mocniej niż mordując Maeve.

Do tej pory wojownik trzymał się wiernie swojego przyjaciela i uznawał śmierć Maeve za niezamierzony przez Buirre'a nieszczęśliwy wypadek. Lecz teraz wspomniął o morderstwie, a jego mina zdradzała, że nie ma co do tej sprawy żadnych wątpliwości.

- Nic nie rozumiesz! - ofuknął go Buirre. - Musimy tak prowadzić wojnę, żeby Anglicy zaczęli się nas bać. Przez takie drobne napady, jakie planuje Oisín, tylko ich rozdrażnimy i powrócą z silniejszą armią.

- Pan Buirre ma rację! Irlandia takich właśnie wojowników potrzebuje. Z ludźmi takimi jak on razdwa przepędzimy z naszej wyspy tych żalosnych heretyków!

Ojciec Maitiú napawał się własnymi słowami.

W końcu na jego rozkaz popłynęła angielska krew, i to nie po raz ostatni. Z takim postanowieniem pobłogosławił Buirre'a, stawiając mu znak krzyża na czole, i opuścił loch, by w zamkowej kaplicy wzniesć dziękczynne modły za śmierć Anglika.

Buirre spojrział na ciało Crandona i z zadowoleniem pokiwał głową. Wreszcie udało mu się pokazać, że wciąż jeszcze coś znaczy w klanie. Lekceważącym gestem skinął na przyjaciela.

- Zabierz stąd to ścierwo, Seachlann, i zakop je gdzieś na zewnątrz! - Z poczuciem, że dokonał wielkiego czynu, opuścił loch, w którym zadźgał bezbronny i niczego się niespodziewającego jeńca niczym parszywego psa.

11

Ciara, Ferdynand i Oisín nie mieli pojęcia o śmierci Johna Crandona. Skupiali się na tym, żeby czynić Anglikom jak najwięcej szkód. Ich motywy były tak różne jak oni sami.

Ciarze, Saraid i Ionatánowi chodziło o uwolnienie Irlandii od angielskiego jarzma, natomiast Oisín O’Corra wybiegał myślami daleko w przyszłość.

Dla niego liczyło się nie tylko zwycięstwo, lecz także to, by zapamiętano jego dzielne czyny. Tylko w ten sposób mógł stać się kimś więcej niż poślednim lennikiem Aodha Móira O’Néilla. Choć wiedział, że nigdy nie uniknie jego zwierzchności, to chciał uzyskać dla siebie i swojego klanu tyle samodzielności, ile się tylko da.

Ferdynand miał nadzieję, że przysłuży się swoim mieczem katolickiej wierze i pomoże wypędzić heretyków. W przeciwieństwie do swego kuzyna Szymona, nie marzył o nagrodzie w postaci ziem, dzierżawców i parobków, tylko o tym, żeby wzbudzić podziw Ciary. Co będzie potem, to się okaże. Nie popełnił błędu i nie zaczął się zalecać już teraz, ponieważ wiedział, że brat jej pilnuje i chce ją zaproponować jako żonę jednemu ze swoich krajanów. Lecz on nie zamierzał na to pozwolić. Zamyślona drużyna pokonała pierwszą część drogi w niemal całkowitym milczeniu. Choć Oisín rozważał wcześniej zdobycie An Cabhán[29], to teraz zrezygnował. Miasto wydawało się za dużym kąskiem dla niecałej setki ludzi, jakimi dysponował. Przez chwilę dręczyła go myśl, jak niewielkie jest jego znaczenie w porównaniu z wielkimi klanami, których przywódcy prowadzili czasem do walki nawet kilka tysięcy wojowników. Miał nadzieję, że przyłączy się do niego więcej ludzi, lecz zbyt wielu żołnierzy Ui’Corra pozostało na kontynencie, zamiast wrócić do Irlandii i służyć pod jego rozkazami.

„Przywrócę chwałę naszemu klanowi” - obiecywał sobie. Jednocześnie czuł złość, że nie mógł zabrać ze sobą żołnierzy Szymona von Kirchberga. Jednakże ludzie Szymona nie byli przyzwyczajeni do takiej wojny, jaką on prowadził, a w lasach i na trzęsawiskach stanowiliby raczej obciążenie niż wsparcie. Poza tym musiał przyznać, że przestali się z Szymonem rozumieć. Oisín nie wiedział, kiedy dokładnie stali się sobie obcy, lecz natrętne pragnienie starszego Kirchberga, by uzyskać w nagrodę ziemię i ludzi, wzbudzało w nim wstręt. Kiedyś niemiecki szlachcic był zupełnie inny. Wtedy umieli razem pić i się śmiać. Teraz też mogli razem pić, ale do śmiechu nie było żadnemu z nich.

Oisín, machnąwszy ręką, odsunął od siebie te rozważania. Teraz trzeba skupić wszystkie myśli na tym, żeby zdobyć miasteczko, które wybrał jako nowy cel.

- Przez dwa dni będziemy się niepostrzeżenie przekradać przez lasy, a potem zaufamy Bogu. Niech wystąpią zwiadowcy! - zawołał w stronę swoich ludzi.

Zwiadowcy, których wybrano jeszcze na zamku, zebrali się wokół niego. Byli wśród nich Ionatán i Toal, który potrafił poruszać się w lesie niemal bezszelestnie.

- Jak daleko mamy dojść? - zapytał chłopak.

- Zbadacie okolicę aż do okolicznych miasteczek. Lecz niech nikt was nie zobaczy, a jeśli tak się stanie, starajcie się robić wrażenie zupełnie nieszkodliwych! - Oisín spróbował się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego pełen napięcia grymas.

Zwiadowcy mieli skromne odzienie oraz broń w postaci prostych, krótkich mieczy i sztyletów. Nosili też barwy Ui'Connora. Klan ten został wypędzony ze swoich ziem przez Ui'Domhnaill, wędrowcy z takimi oznaczeniami najmniej zwracali na siebie uwagę.

Mężczyźni zgromadzeni wokół Oisina uzgodnili jeszcze, który gdzie ma się udać, i wyruszyli. Ich dowódca patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli w lesie, a potem dołączył do Ferdynanda i niewiast, które na razie dzielnie dotrzymywały kroku żołnierzom. Gamhain, która nie odstępowała Ciary na krok, niechętnie ustąpiła mu miejsca i udobruchała ją dopiero pieszczota Saraid.

- Mam nadzieję, że nasi zwiadowcy odkryją coś, co nam pomoże. W przeciwnym razie będziemy musieli wdrzeć się nocą na mury i unieszkodliwić całą angielską załogę razem z miejskimi strażnikami - oznajmił Oisín.

- A nie byłoby lepiej, gdybyśmy razem z Saraid weszły do miasta jako wędrownie handlarki i otwały wam w nocy bramę? - zapytała Ciara.

- Też o tym myślałem. Ale przy bramie będzie stać co najmniej dwóch wartowników, a wy sobie z nimi nie poradzicie.

- Mogłybyśmy spróbować! - zapewniła Ciara wojowniczym tonem, lecz jej brat potrząsnął głową.

- Gdyby się nie udało, zabiliby was albo Anglicy wzięliby was jako zakładniczki. A wtedy razem z całym klanem musiałbym się poddać Sasanach.

- Nigdy! Walczyłbyś i uwolnił nas albo pomścił w razie czego! - wykrzyknęła Ciara.

W tym momencie wtrącił się Ferdynand.

- Wasz brat ma rację, maighdean Ciara! To zbyt niebezpieczne. Pan Oisín i my wszyscy stracilibyśmy honor, gdyby wam i pani Saraid coś się stało. Zdajmy się na Pana Boga w niebiesiech, że odda to miasto w nasze ręce!

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli czekać, aż Bóg albo ktokolwiek to uczyni - odparła z sarkazmem Ciara.

Zakłopotany Ferdynand uniósł rękę.

- Wcale tak nie twierdzę, pani. Tylko że wojownicy powinni przy tym przelewać własną krew, a nie waszą i waszej kuzynki.

- To po co nas w takim razie zabraliście? Tylko po to, żebyśmy wam gotowały? - zapytała oburzona Saraid.

Oisin i Ferdynand zrozumieli, że nie będzie łatwo odwieść obie niewiasty od ich zamiarów. Mieli nadzieję, że zwiadowcy powrócą z wieściami, które umożliwią zdobycie miasteczka w inny sposób.

Na razie maszerowali dalej w kierunku celu. Noc spędzili pod rozłożystymi dębami, rezygnując z rozpalenia ogniska, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Z zamku zabrali suszone mięso, chleb i trochę kielbasy, więc zadowolili się zimną kolacją.

Przebywanie w pobliżu angielskich placówek nakazywało wystawienie warty. Ferdynand i Hufeisen zgłosili się, lecz Oisin odmówił.

- Jesteście wojownikami z obcych krajów i nie znacie naszych lasów. Moi ludzie potrafią odróżnić Anglika od zająca.

Ta uwaga rozbawiła Irlandczyków. Natomiast Hufeisen się skrzywił.

- Za kogo oni się uważają, panie Ferdynandzie? - zapytał oburzony po niemiecku.

Temu też nie spodobała się ta odmowa. Lecz ponieważ nie chciał wszczynać kłótni z Oisinem, kazał Hufeisenowi trzymać język za zębami. Niezadowoleni usiedli nieco na uboczu pod starym, sękatym drzewem. Gdy Hufeisen zaczął podnosić żołędzie i rzucać nimi w wymyślony cel, podeszły do nich obie niewiasty.

- Możemy się do was dosiąść? - zapytała Ciara.

Ferdynand zerwał się i zgarnął szybko trochę suchych liści, które zostały z zeszłego roku, żeby Ciara i Saraid mogły usiąść na miękkim. Zorientowawszy się, że czekają na odpowiedź, skinął głową.

- Cieszymy się z waszego towarzystwa, szanowne damy.

- Damy są tylko w Anglii. My jesteśmy kobietami irlandzkiej krwi i jesteśmy z tego dumne! - Ciara wygięła z pogardą usta, bo nie rozumiała szlachetnych dam, które siedziały w swoich komnatach, nie troszcząc się o sprawy tych, którzy dla nich pracowali. Wyjaśniła to Ferdynandowi dosadnie, wbijając w niego rozpalony wzrok.

- Umiem zrobić miód, piwo i whisky, umiem peklować mięso i robić kielbasy, potrafię gotować. Nauczono mnie także opatrywać rany wojowników i znam wiele leczniczych ziół. Potrafię określić, na co choruje zwierzę, i pomóc mu, jeśli Bóg, nasz Pan, na to pozwoli. Może wy uważacie haftowanie szat i ołtarzowych obrusów za bardziej wartościowe zajęcia. Ale ja nie.

- Jestem pewien, że to też cudownie potraficie - odparł Ferdynand z uśmiechem. - A jeśli chodzi o inne wasze umiejętności, to przypominacie mi moją ciotkę Irmbergę, żonę stryja Franciszka. Też potrafi wiele rzeczy i jest, według słów swojego małżonka, skarbem, jaki cudem mu się trafił.

- Opowiedzcie mi o waszej rodzinie - poprosiła Ciara, którą ogarnął melancholijny nastrój.

Ferdynand wzruszył ramionami.

- Niewiele jest do opowiadania. Mój stryj jest właścicielem zamku i ziem w księstwie Bawarii. Mój ród pochodzi od Gundoberta, ministra[30] grafa von Ebersberga, który wziął za żonę nieślubną córkę swego pana i otrzymał w posagu położony na uboczu zamek. Ich potomkowie po wymarciu Ebersbergów po mieczu należeli do książęcej świty w Monachium, a później otrzymali dobra Kirchberg. Stąd nazwisko von Kirchberg.

Mój dziadek miał trzech synów, Franciszka, najstarszego i dziedzica Kirchbergu, ojca Szymona i mojego ojca.

Franciszek i mój ojciec ożenili się z dwiema siostrami, natomiast ojciec Szymona porwał bogatą dziedziczkę i zrobił jej dziecko. Miał nadzieję, że dzięki temu zdobędzie majątek, ale się rozczarował. Kobieta umarła, rodząc Szymona, a potem jej brat zaczął się na porywacza i kazał swoim ludziom go zabić.

Ponieważ mój ojciec też wcześniej umarł, mnie i Szymona wychowywał nasz stryj. Ja jednak jestem młodszy od moich kuzynów, więc opuściłem Kirchberg, dopiero gdy Szymon zaproponował mi miejsce podporucznika w swoim oddziale.

- Obietnica, której nigdy nie dotrzymał - wtrącił ponuro Hufeisen. - A przecież pan Ferdynand doskonale się na tę funkcję nadaje. Ten bufon, który ją teraz zajmuje, nie potrafiłby dowodzić dziećmi, a co dopiero dorosłymi mężczyznami!

Hufeisen wciąż był wściekły na Szymona von Kirchberga, który z całkowitą obojętnością pominął jego i Ferdynanda, awansując swoich nowych podwładnych.

- Macie swój własny majątek? - zapytała Ciara Ferdynanda, nie zwracając uwagi na słowa Hufeisena.

Ferdynand z uśmiechem machnął ręką.

- Jestem właścicielem dwóch chłopskich zagród, które jakimś przypadkiem odziedziczyła moja matka.

- A ona jeszcze żyje? - dopytywała się dalej Ciara.

- Nie! - Twarz Ferdynanda na chwilę spochmurniała. - Umarła, gdy miałem dziesięć lat. Moja ciotka uważała, że to z tęsknoty za ojcem. Ale dlaczego zostawiła mnie samego?

- Wola Boża jest dla nas często niezrozumiała - powiedziała cicho Ciara. - Dlaczego pozwala, żeby angielscy heretycy byli naszymi sąsiadami, a nie jakiś lud, z którym moglibyśmy żyć w pokoju? Zabili już tylu dobrych Irlandczyków! I to przez nich nigdy nie poznałam własnej matki. Miałam ledwo rok, gdy umarła z powodu ran, które zadali jej

siepacze Haresgilla!

- Nie sądzę, by znał na to odpowiedź jakiś uczony kleryk, biskup czy nawet sam papież. - Ferdynand roześmiał się cicho, by złagodzić wymowę swoich słów.

Tymczasem zapadła noc. Młody Niemiec wskazał na niebo, na pojedynczą gwiazdę, która pokazała się między gałęziami drzew.

- Panowie astrolodzy twierdzą, że potrafią odczytać z gwiazd los człowieka. Może powinniśmy ich zapytać, co będzie z Irlandią.

- Astrolodzy to też ludzie i kłamią, żeby przypodobać się tym, którzy zadają im pytania - odparła Ciara surowym tonem. - Widzę jednak, że Oisin i jego ludzie już się położyli i śpią. My też powinniśmy tak uczynić.

Lekko szturchnęła Saraid, której zamykały się już oczy, i owinęła się swoim płaszczem parę kroków od Ferdynanda. Kuzynka poszła jej śladem, a zaraz potem regularne oddechy zdradziły, że obie zasnęły.

Hufeisen też się położył, ale spojrzał jeszcze na Ferdynanda.

- To wspaniała niewiasta, panie Ferdynandzie. Lepszej nie znajdziecie. A jak ją spytacie, to chyba z wami pójdzie.

- Dokąd? - odparł Ferdynand z gorzkim śmiechem. - Nawet gdybym sprzedał oba gospodarstwa, którymi stryj zarządza w moim imieniu, nie mógłbym jej zapewnić życia, jakie przystoi damie szlchetnego rodu.

- Sama powiedziała, że w Irlandii nie ma dam, tylko kobiety, które potrafią pracować - odpowiedział Hufeisen i postanowił nie suszyć już Ferdynandowi głowy.

Młodzieniec musiał sam zrozumieć, co jest dla niego ważne.

12

Drużyna przemieszczała się tak niepostrzeżenie, jak to zaplanował Oisin. Jeszcze jedną noc spędzili w lesie, lecz tym razem Ciara unikała towarzystwa Ferdynanda. Jakoś rozzłościło ją to, że on ją niby to adoruje, ale w żaden sposób nie próbuje się do niej zbliżyć. Nawet myśl o tym, że powinna przecież zachować cnotę dla przyszłego męża, nic nie pomogła. Następnego ranka wstała w złym humorze i zaczęła przeszukiwać tobolek, w którym schowała swój prowiant.

Saraid zobaczyła jej minę i potrzęsnęła głową.

- Co się z tobą dzieje? Przecież dobrze nam idzie.

- Tak, to prawda - odpowiedziała Ciara, która wciąż była zła, bo Ferdynand nie okazywał, że jej pragnie. Nie miała jednak odwagi powiedzieć o tym kuzynce, więc przez

całe przedpołudnie była milcząca i wycofana.

Po skromnym śniadaniu Oisín O'Corra poprowadził swoich ludzi dalej tajemniczymi ścieżkami przez las.

Znajdowali się już niedaleko miasteczka, które chciał zdobyć, i miał nadzieję, że wkrótce napotkają swoich zwiadowców.

Nagle Gamhain wydała z siebie przytłumione szczeknięcie. Oisín natychmiast wyciągnął miecz, a kątem oka zauważył, że Ferdynand i Hufeisen także sięgnęli po broń.

Zbliżał się jednak do nich nie wróg, lecz Ionatán.

Musiał prędko biec, ponieważ dyszał i przyciskał rękę do brzucha, jakby męczyła go silna kolka.

Gdy w końcu stanął przed Oisínem, jeszcze chwilę potrwało, zanim zdołał złapać oddech i przemówić.

Wzburzony od razu wskazał za siebie.

- Panie, napotkaliśmy oddział angielskich żołnierzy, którzy idą do Léana. Toal ich podsłuchał. Mają zmienić załogę. Tak rozkazał hrabia Essex.

- A co on ma do tego? - zapytał Oisín.

- Królowa, to znaczy angielska królowa, mianowała Essexą nowym lordem namiestnikiem Irlandii i głównodowodzącym. Ponoć wylądował w Baile Atha Cliath z wielką armią.

Ferdynand nie rozumiał co to za nazwa, i zapytał:

- Gdzie?

- W Dublinie - pomógł mu Oisín. Czuł jednocześnie, jak narasta w nim gniew. Aodh Mór O'Néill musiał o tym wiedzieć wcześniej, ale najwyraźniej nie uznał za stosowne, żeby się z nim tą wiedzą podzielić.

- To co teraz robimy? Rezygnujemy i czekamy co dalej czy zajmujemy to miasto? - zapytał Ferdynand.

Oisín ani myślał rezygnować, choć wiedział, że niełatwo będzie utrzymać Léana przez dłuższy czas. Lecz żeby zwiększyć znaczenie klanu, potrzebował broni i wielu innych rzeczy, które Anglicy tam zgromadzili.

- Ilu jest tych żołnierzy? - zapytał.

- Toal naliczył pięćdziesięciu i jeszcze dziesięciu! - odpowiedział Ionatán.

- A więc sześćdziesięciu - powiedział Oisín ponuro.

Miał o połowę więcej ludzi. Ale jeśli przygotują zasadzkę i zaatakują wrogi oddział, strzały zaalarmują garnizon w mieście. Wtedy próba wkroczenia do Léana będzie skazana na

niepowodzenie.

- Może panie mogłyby nam pomóc - rzucił Ferdynand.

Ciara natychmiast nadstawiła uszu.

- Co macie na myśli?

- Jeśli zdołacie odwrócić ich uwagę, my będziemy mogli ich otoczyć. Może wtedy się poddadzą.

- A jeśli nie, zaczną do nas strzelać i w mieście będą wiedzieć, że po okolicy grasują irlandzcy buntownicy. - Oisin potrząsnął głową, choć zdawał sobie sprawę, że to ich jedyna szansa. Jeśli do miasta wejdą nowe oddziały, będą czujnie pilnować murów. Zaatakowanie ich zniecka nie będzie możliwe. Dlatego się wahał.

- Powinniśmy odbyć naradę - zaproponował Ferdynand. W tym momencie żałował, że nie ma z nimi ani Aithila, ani Buirre'a. Jako doświadczeni wojownicy na pewno mieliby jakąś radę.

Oisin usiadł pod drzewem, zapraszając Ferdynanda, Ionatána i dwóch swoich wojowników, żeby do niego dołączyli. Zirytował się, gdy Ciara i Saraid usiadły obok niego jakby nigdy nic, ale ich miny zdradzały jednoznacznie, że chcą zostać wysłuchane.

- Co myślicie o propozycji pana Ferdynanda, żeby zastawić na Anglików pułapkę przy pomocy niewiast? - zapytał swoich ludzi.

- Uważam, że to dobry pomysł - powiedziała Ciara, zanim którykolwiek zdążył odpowiedzieć.

- Przecież to niebezpieczne! - upomniał ją Ferdynand, choć to był jego własny pomysł.

- Boicie się? - zadrwiła z niego Ciara.

- Nie o siebie, tylko o was! - uśmiech Ferdynanda sprawił, że Ciarze od razu poprawił się humor.

Ucieszyła się, że się o nią troszczy. Mimo to popatrzyła na niego i na swojego brata zdecydowanym wzrokiem.

- Kto w tych czasach chce odnosić sukcesy, musi ryzykować. Nie mamy też czasu na długie narady.

W przeciwnym razie oddział dotrze do miasta, a my nic nie wskóramy.

Oisin westchnął głęboko, a potem skinął głową.

- Zaryzykujemy! Lecz niech Bóg się zmiłuje nad Anglikami, jeśli tobie spadnie choćby włos z głowy.

- Zaradzimy temu! - Ferdynand zdecydowanym gestem poklepał rękojeść miecza i wyjawiał im swój plan.

13

Ciara skubała sukienkę, która na nią nie pasowała, patrząc na swoją towarzyszkę. Saraid w podartej spódnicy i uszytej byle jak, poplamionej koszuli wyglądała na bardzo zaniedbaną. Aż westchnęła na myśl, że sama przedstawia podobny widok. Jeśli jednak chciały odnieść sukces, musiały ponieść tę ofiarę. Ionatán, Toal i dwaj inni ludzie, którzy im towarzyszyli, też wyglądali jak włóczędzy. W owych czasach w Irlandii ich nie brakowało, więc w takim przebraniu nie zwróca na siebie uwagi. Oisin, Ferdynand i pozostali wojownicy mieli iść za nimi niepostrzeżenie.

Zerknęła nerwowo na las, ale nic tam nie dostrzegła.

- Mam nadzieję, że ich nie zgubiliśmy. Już słyszę za nami Anglików - szepnęła z troską.

- Nie martwcie się, taoiseach i jego ludzie są nie dalej niż sto kroków od nas - starał się ją pocieszyć Ionatán.

Saraid gorzko się roześmiała.

- To może być o sto kroków za dużo, jeśli Anglicy od razu nas zarąbią.

- Jaki mieliby ku temu powód? - odparła Ciara, choć wcale nie była taka pewna swego. Co innego uknuć plan, a co innego go zrealizować. W napięciu nasłuchiwała, co się dzieje z tyłu, i wiedziała, że Anglicy szybko ich doganiają. Prawą ręką prowadziła osła, a lewą trzymała w gęstej sierści na karku Gamhain. Wielka suka była w tym momencie jej najlepszą obroną. Lecz pies nie poradzi sobie z mieczami Anglików.

Choć minęło zaledwie parę chwil, Ciarze wydawało się, że całą wieczność trwało, zanim Anglicy się z nimi zrównali. Byli to dobrze odziani i dobrze uzbrojeni piesi, którym przewodził oficer na koniu. Wyglądał bardzo młodo i zawdzięczał swoją rangę raczej wysokiej pozycji społecznej niż doświadczeniu. Tuż za nim szedł krępy sierżant z halabardą. Jedna trzecia oddziału była wyposażona w muszkiety, a reszta dzierżyła piki. Gdy Anglicy zobaczyli Ciarę i jej towarzyszy, sierżant rozkazał żołnierzom przyspieszyć i wyprzedził nawet swojego oficera. Ten chyba nie bardzo wiedział, co robić, więc dał swojemu podwładnemu wolną rękę.

Część Anglików przyspieszyła więc i dogoniła grupkę włóczęgów. Oficer trzymał się z tyłu, więc to sierżant podszedł do wędrującej szóstki i wykrzywił twarz w uśmiechu, ukazując popsute zęby.

- A kogo my tu mamy? - zapytał drwiąco.

Ionatán poczuł jednocześnie zimno i gorąco, gdy usłyszał jego głos. Choć tamten miał

na sobie inne odzienie, już po pierwszych słowach rozpoznał człowieka dowodzącego ludźmi, których Ryszard Haresgill przysłał, żeby spalili ich wioskę i upokorzyli mieszkańców.

Wyraźnie ujrzał przed sobą scenę, gdy ten mężczyzna rzucił się na Maeve i zgwałcił ją jako pierwszy. Powoli przesunął rękę na rękojeść krótkiego miecza, który skrywał pod byle jaką opończą, natomiast Ciara zmierzyła Anglika zimnym wzrokiem.

- Jesteśmy wędrowcami i zmierzamy do Léana.

- Co za przypadek! My też się tam wybieramy! - zawołał jeden z żołnierzy z irlandzkim akcentem.

Podoficer natychmiast zgromił go wzrokiem.

Popatrzawszy na Ciarę i Saraid, stwierdził, że brudne i porwane odzienie skrywa dwie piękne kobiety.

Uśmiechając się krzywo, oblizał wargi i chwycił Ciarę za podbródek.

- A ja wam powiem, kim jesteście. Nikim!

A dokładniej gównem, które wróciło do Irlandii i przypadkiem przybrało ludzką postać. Trzymacie z tym przeklętym O'Neillem oraz jego buntownikami i szpiegujecie dla nich. Bogu na pewno się spodoba, gdy skrócimy was o głowę.

- Sierzancie, co to ma być? - wtrącił się młodziutki oficer.

Podoficer zwrócił się do niego z przesadnie pokorną miną.

- Wybaczcie, milordzie, ale ja wiem, jak trzeba traktować Irlandczyków, żeby słuchali. Ich baby najlepiej kłaść na ziemi i wbijać im do brzuchów prawdziwych Anglików, a mężczyzn wieszać na najbliższym drzewie.

Gdyby nasz dobry Henryk Bagenal, niech Pan zmiłuje się nad jego biedną duszą, od początku tak robił, łaskawy hrabia Essex nie musiałby przybywać zza morza z armią dzielnych Anglików, żeby pokazać temu motłochowi, kto tu rządzi. A tych tutaj już my pouczymy. Dalej, zwiążcie tych czterech! A z babami spędzimy parę miłych chwil.

Jeśli wy, panie, chcecie pierwsi mieć tę młodszą, to ja zajmę się drugą. Też się nieźle trzyma.

- Przecież nie możemy tego zrobić! - wtrącił zszokowany oficer.

Jego podwładny nie zwracał już na niego uwagi, tylko chwycił Ciarę i chciał ją siłą położyć na ziemi. Lecz dobiegł go warkot Gamhain.

- Zabić tego kundla! - zawołał do swoich ludzi.

Zanim któryś z nich zdołał cokolwiek uczynić, Ionatán wyciągnął miecz i zaatakował. Sierżant stracił ramię, którym chwycił Ciarę. Ionatán nie poprzestał na tym, lecz szybkim ruchem zamachnął się ponownie i rozplątał mu gardło.

Drugi Anglik zginął, zanim pozostali zdążyli zareagować. A gdy rozwścieczeni chcieli się rzucić na Ionatána, dobiegł ich czyjś gniewny głos, który sprawił, że zamarli.

Ponieważ Anglicy całą swoją uwagę skupili na Ciarze oraz jej towarzyszach, Ferdynand, Oisin oraz ich ludzie zdołali się podkraść bardzo blisko. Gdy Ionatán zabił sierżanta, Ferdynand zdecydowanym krokiem przeszedł pośród zaskoczonych Anglików, chwycił wodze konia, na którym siedział oficer, i przyłożył mu miecz do gardła.

- Nie ruszać się - zawołał - jeśli chcecie, żeby ten szlachcic przeżył!

Żołnierze najpierw znieruchomieli, a potem powoli się obrócili. Ujrzeni nie tylko swojego dowódcę, który w każdej chwili mógł stracić życie, ale także irlandzkich bojowników, którzy z uśmiechem na ustach wyszli z lasu z bronią w rękach. Paru Anglików próbowało podpalić lonty muszkietów, lecz Ferdynand zauważył to i natychmiast zareagował:

- Jeden wystrzał czy pchnięcie, a wszyscy zginiecie! - Potem zwrócił się do oficera: - I co, panie? Co wy na to?

A może odebrało wam mowę?

Młody mężczyzna, który miał najwyżej szesnaście lat, pocił się jak mysz. Honor nakazywał mu stawić opór, nawet gdyby miało go to kosztować życie. Lecz gdy zaczął mówić, ogarnął go strach.

- Jeśli oszczędzicie moich ludzi, złożymy broń.

Ferdynand wymienił spojrzenie z Oisinem.

- Tak zrobimy! - oznajmił Oisin i odetchnął, kiedy Anglicy zaczęli rzucać broń na ziemię, jakby ich parzyła.

Dwaj jego ludzie ściągnęli młodziutkiego oficera z konia i związali mu ręce. Inni zajęli się pozostałymi Anglikami.

Ku zdumieniu Ferdynanda niektórzy żołnierze zaczęli rozbrajać swoich kolegów.

- Co jest? - zapytał.

Jeden z nich odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Jesteśmy Irlandczykami i chcemy walczyć za naszą ojczyznę.

- Przecież macie na sobie angielskie mundury i wyruszyliście, żeby zabijać Irlandczyków dla Sasanach.

- Ferdynand im nie ufał, lecz ich rzecznik rozłożył ręce.

- Z czegoś trzeba przecież żyć, wasza miłość, nawet jeśli to żołd wypłacany przez Anglików. Mimo to jesteśmy dobrymi Irlandczykami i jesteśmy dumni, że możemy się przyłączyć do naszych dzielnych rodaków.

Sądząc po waszych oznaczeniach, jesteście Ui'Corra.

W takim razie jesteśmy krewnymi. Jestem Deasún O'Corraidh. Wy, Ui'Corra, jesteście oddzielną gałęzią naszego klanu.

- To Ui'Corraidh są oddzielną gałęzią naszego klanu! - poprawił go jeden z wojowników Oisina.

Gdy zaczęła się kłótnia, do której przyłączyli się inni, Ferdynand schował miecz i podszedł do Ciary.

- Byłyście bardzo dzielne! Ale ja i tak mało nie umarłem, gdy ten angielski podoficer chciał się do was zbliżyć.

- Cały czas byłam bezpieczna, bo wiedziałam, że mnie chronicie! - Ciara uśmiechnęła się z zadumą. Śmiało wkraczając pomiędzy wrogów, Ferdynand uratował nie tylko Ionatána, ale także rozbroił wszystkich Anglików.

Tymczasem Ionatán patrzył na zabitego sierżanta, czując, jak jego gniew słabnie i ustępuje bezmiernemu smutkowi. W geście rozpaczony otarł sobie łzy z oczu i spojrzał na Ciarę.

- To on dowodził ludźmi, którzy napadli na naszą wioskę, i on pierwszy zgwałcił Maeve. Musiałem go zabić. Byłem jej to winien.

Saraid położyła mu dłoń na ramieniu i spróbowała się uśmiechnąć.

- Tak, byłeś to winien Maeve. Gdyby nie ten człowiek, być może wciąż by żyła i była twoją żoną, tak jak Bóg przykazał. O, niebioso, jak ja nienawidzę tych Anglików!

Chciałabym, żeby oni wszyscy mieli jedną szyję, którą mogłabym rozplatać jednym cięciem sztyletu.

- Ale nie mają. I dlatego musimy walczyć dalej. Teraz powinniśmy zająć miasteczko. - Ferdynand nakazał, by uprzątnięto oba ciała, a potem podszedł do Oisina. - Mamy sześćdziesięciu jeńców, czyli sześćdziesiąt angielskich żołnierskich odzień. Powinniśmy to wykorzystać.

- Chcecie, żebyśmy weszli do miasta jako angielscy zmiennicy i pokonali starą załogę? Ale nie będzie ich mniej niż nas, a przeciwko nam wystąpi także straż miejska - zaproponował Oisín.

- Nie, jeśli zabierzemy ze sobą do miasta niemal pięćdziesięciu rzekomych jeńców, Anglików. Czy ufacie Deasúnowi O'Corraidhowi? - zapytał Ferdynand.

- Na oczach swojego oficera przeszli na naszą stronę i na pewno nie chcą nas rozczarować - odparł Oisín.

- Mimo to wołałbym nie zostawiać ich z jeńcami.

Myślę, że dziesięciu ludzi wystarczy, żeby dopilnować angielskich żołnierzy. Reszta

niech się szykuje.

Powinniśmy działać szybko. Jeśli ktoś w Léana zauważy, że pojaliśmy ten oddział, zamkną nam bramy miasta przed nosem.

Oisin przytaknął.

- Zabierzemy jeńcom ich odzienie. Ale nie oczekujcie ode mnie, że będę udawać angielskiego oficera. Mój irlandzki akcent jest zbyt silny.

- Poza tym macie nieco zbyt szerokie ramiona, żeby zmieścić się w kaftan tego młodzieńca. - Mówiąc to, Ferdynand zrozumiał, do czego zmierza Oisin, i potrząsnął głową.

- Nie możecie żądać, bym ja to uczynił!

- A widzicie tu kogoś innego, kto by się nadał? - Oisin ze śmiechem klepnął Ferdynanda po plecach, a potem nakazał swoim ludziom zabrać jeńcom ubrania.

Anglicy byli oburzeni, ale nie mieli wyjścia. Pół godziny później wyruszyła więc grupa odzianych po angielsku żołnierzy, którzy prowadzili równie dużą gromadę irlandzkich jeńców. Ich więzy były jednak tylko luźno obwiązane wokół nadgarstków, a pod ubraniami mieli poukrywane noże i sztylety. Poza tym obławowano osła taką ilością krótkich mieczy, że ledwo trzymał się na nogach. Żeby je ukryć przed niepożądanymi spojrzeniami, okryto zwierzę derką. Ciara prowadziła osła i starała się wyglądać na tak skruszoną, jakby rzekomi Anglicy schwytali ją razem z Irlandczykami. Saraid też szła z nimi, natomiast Ionatán wraz z dziesięcioma ludźmi został z jeńcami. Ponieważ na własne oczy widzieli, jak potraktował ich sierżanta, nikt się nie spodziewał, by mieli mu sprawić kłopoty.

14

Ferdynand patrzył na leżące przed nimi miasteczko i czuł, że pot wystąpił mu na czoło. Léana było małym miastem i miało jakiegokolwiek znaczenie tylko ze względu na twierdzę zabezpieczającą most na Shannon. Most rozpinał się sześcioma łukami nad rzeką i kończył tuż przy bramie miejskiej, chronionej przez potężną okrągłą wieżę. Mury miejskie były wysokie na dwóch ludzi, a te otaczające zamek jeszcze dwa razy wyższe.

Szarość kamieni, z których je wzniesiono, nieprzyjemnie kontrastowała z zielenią łąk i granatową wodą rzeki, sprawiając, że miasto i twierdza wyglądały na tle krajobrazu jak jakieś obce ciało. „Bo to jest obce ciało - pomyślał Ferdynand. - To przecież Anglicy wzniesli ten zamek i otoczyli murami położoną obok irlandzką wioskę, narzucając mieszkańcom swoje prawa”.

Według relacji Oisina w Léana mieszkało więcej Anglików niż Irlandczyków. A do tego dochodziła załoga zamku, którą szacował na sześćdziesiąt ludzi.

Patrząc na potężny główny budynek zamku i trzy obronne wieże, Ferdynand zrozumiał, dlaczego Oisin uważał, że miasto można zdobyć tylko podstępem. Ale czy ich podstęp się uda? Wątpił w to, gdy podjeżdżał do bramy. Choć sześćdziesięciu ich ludzi miało na sobie odzienie angielskich żołnierzy, a on sam przywdział ubranie młodego oficera, trudno mu było sobie wyobrazić, że komendant twierdzy da się nabrać. Ponieważ kaftan angielskiego młodzieńca był na niego trochę za ciasny, musiał porozcinać go w ramionach i mimo upalnej pogody okryć się szeroką opończą, którą z tyłu wcisnął za siodło.

Ze zbroi zrezygnował, bo była zdecydowanie za wąska w piersiach.

Kopyta jego rumaka zastukały na moście, przypominając mu, że właśnie zdobył na Anglikach drugiego konia. Tego też nie odda Szymonowi. Prędzej Oisinowi, a najlepiej Ciarze. Na pewno ucieszyłaby się z takiego podarunku.

Zamyślony podjechał pod bramę. Była zamknięta, a jej żelazne okucia wyglądały bardzo porządnie. Żeby ją wyważyć, potrzebowaliby tarana.

Z zaciętą miną ściągnął wodze i popatrzył na żołnierzy, którzy spoglądali na nich ciekawie z bramnej wieży.

„Teraz się rozstrzygnie” - pomyślał. Albo wypowie słowa, które sobie wcześniej przygotował, niczym angielski szlachcic, albo huk muszkietów będzie ostatnią rzeczą, jaką w życiu usłyszy. Starał się mówić po angielsku bez miękkiego akcentu, który słyszał u Irlandczyków.

- Jestem sir James Mathison, nowy komendant zamku.

Otwierać! A może mam was pogonić?

Ponieważ nie wiedział, czy znają tutaj nazwisko młodego oficera, czy nie, wolał nie używać wymyślonego.

Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że nikt nie zna prawdziwego Jamesa Mathisona.

Na wieży pojawił się mężczyzna, którego Ferdynand, sądząc po odzieniu, uznał za komendanta zamku. Ten popatrzył na niego zdziwiony, a potem wskazał na związanych ludzi.

- Po co sprowadziliście tutaj tych ludzi?

- Złapaliśmy ich niedaleko stąd. Spali bez straży na leśnej polanie. Mój sierżant natknął się na nich, gdy odszedł za potrzebą. Pomyślałem, że od razu ich zgarniemy i zamkniemy tutaj!

Fortel najwyraźniej się udał, bo komendant zaczął się śmiać.

- Tacy właśnie są Irlandczycy! Potrafią tylko pić i spać. Żeby ich zmusić do pracy, trzeba użyć bata.

Otwierać! - Ostatnie słowo skierował do wartowników, którzy czekali na decyzję

dowódcy.

Ferdynandowi kamień spadł z serca, gdy otwarły się oba skrzydła bramy. Hufeisen, który odgrywał rolę sierżanta, wrzasnął tuż za nim donośnie, że oddział ma ruszyć.

Angielscy żołnierze na murach uśmiechnęli się.

- Sprawni są ci młodzi! - powiedział jeden z nich.

- Spędzą w naszym garnizonie parę miesięcy, to się uspokoją - odparł jego kamrat i odwrócił się, żeby popatrzeć, jak Ferdynand na czele swoich żołnierzy oraz rzekomych jeńców wjeżdża do miasta, a potem dociera do zamku.

Przy bramie zostało dwudziestu ludzi, podczas gdy reszta żołnierzy weszła na zamek. Niektórzy wartownicy odwrócili się już nawet od przybyszów plecami, by powrócić do swoich zajęć, gdy nagle Irlandczycy wyciągnęli z pochew miecze i zanim komendant oraz wartownicy się obejrzel, mieli przed nosami ich nagie ostrza.

- Co to ma znaczyć? - zapytał zdumiony komendant.

Oisin elegancko się przed nim uklonił.

- Pozwólcie, że się przedstawię. Nazywam się Oisín O'Corra i właśnie zająłem to miasto razem z twierdzą.

Anglikowi dosłownie oczy wyszły z orbit.

- O'Corra? Siepacz O'Néilla?

- Niezbyt to uprzejme określenie. W każdym razie oddajcie mi swój miecz. Chyba że mam wam go odciąć razem z ręką.

Choć Oisín nie mówił poważnie, groźba skłoniła Anglika do odpięcia pasa z mieczem. Gdy ludzie komendanta zobaczyli, że się poddał, także złożyli broń.

Oisín ruszył ulicą, zadowolony, że tak łatwo przyszło im zdobycie bramy, ale martwił się jednocześnie, co się dzieje w twierdzy. Brama prowadząca na zamek była otwarta, a gdy ją minął, zobaczył, że Ferdynand siedzi na koniu uśmiechnięty, a jego ludzie trzymają w szachu dziesiątki angielskich żołnierzy.

- Wygląda na to, że nasz wojenny podstęp w pełni się udał! - wykrzyknął Oisín.

- Można tak powiedzieć, bracie - odpowiedziała Ciara, która razem z osłem i psem stała obok Ferdynanda.

- Proponuję, żebyście gdzieś ich wszystkich zamknęli i dopilnowali, by nie uciekł żaden z ich towarzyszy, którzy mogli się gdzieś tu ukryć. Mnie się marzy ceber gorącej wody, żeby się mogła w końcu umyć. Saraid na pewno jest tego samego zdania.

- Baby! - jęknął Oisín, a potem objął Ferdynanda, który zsiadł już z konia. - Chwała Bogu! No tośmy porządnie uszczypnęli angielskiego lwa w ogon! - zawołał wesoło.

Ferdynand jednak pozostał poważny.

- Dopóki będziemy Anglików tylko szczytać w ogon, to ich zaboli, ale też jeszcze bardziej rozeźli.

Potrzebujemy zwycięstwa, które im pokaże, że Irlandia nigdy się im nie podda.

- Jeśli Bóg pozwoli, tak się właśnie stanie. - Oisín był zbyt szczęśliwy, żeby w tym momencie myśleć o przyszłości. Roześmiał się głośno, a potem kazał paru swoim ludziom poszukać miodu, którym mogliby uczcić odniesiony sukces.

[25] Ryszard Strongbow (Ryszard de Clare, hrabia Pembroke, 1130-1176) - angielski możnowładca, który odegrał istotną rolę w podbojach w północnej Irlandii za czasów króla Anglii Henryka II Plantageneta.

[26] Béal an Atha Buidhe - bitwa pod Yellow Ford, zwana także bitwą nad Żółtym Brodem, miała miejsce 14 sierpnia 1598 roku.

[27] Gráinne Ní Mháille (ang. Grace O'Malley) - żyjąca w XVI wieku słynna irlandzka królowa piratów.

[28] Bukiew - owoce buka, przysmak dzików, po uprażeniu jadalne także dla ludzi.

[29] An Cabhán (ang. Cavan) - miasto w Irlandii niedaleko granicy z Irlandią Północną.

[30] Ministeriał - w średniowiecznych Niemczech niewolny urzędnik dworski i członek orszaku możnowładcy, który pochodził z gminu i posiadał niewiele ziemi lub nie miał jej wcale, był więc raczej najemnym żołnierzem i pracownikiem niż wasalem.

Z czasem mógł awansować, zostając rycerzem.

CZĘŚĆ PIĄTA

Odmiana losu

1

Setki mil od Irlandii Franciszek von Kirchberg stał w kaplicy swojego zamku, patrząc z rozpaczą na dwie stojące przed nim trumny. Serce mu waliło i zaciskał pięści w bezsilnym gniewie. Potem jednak opuścił głowę i uklęknął przed utrzymanym w czerwieni, złocie i błękicie ołtarzem przedstawiającym *Mater Dolorosa*.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna... - zaczął modlitwę, która miała ulżyć jego przepełnionemu żalem sercu i dać mu nową nadzieję. Jednak za słaba to była pociecha na tak ogromną stratę. Kiedy w końcu powiedział „amen”, wstał i wyszedł z kaplicy. Dopiero gdy znalazł się na zewnątrz, zauważył, jak zimno było w środku.

„Tak zimno jak w moim sercu” - pomyślał i przystanął na chwilę, żeby poczuć na skórze promienie słońca. Lecz nic nie mogło rozgrzać jego wnętrza. Z bólem na twarzy ruszył dalej i wszedł na zamek. Nawet nie zauważył sługi, który otworzył mu drzwi. Wszedł po schodach i skierował się do swojej komnaty. Zanim do niej dotarł, drzwi się otworzyły i wyszła z nich jego żona. Irmberga von Kirchberg nigdy nie była piękną, ale była postawną, przystojną kobietą. Teraz jednak cierpienia i troski przygarbiły ją i wryły na jej twarzy głębokie zmarszczki.

Gdy zobaczyła męża, uniosła rękę, jakby chciała go zatrzymać.

- Co z chłopcem? - zapytał z lękiem Franciszek von Kirchberg.

- Medyk mówi, że uratować go może tylko cud. On już niewiele może zdziałać. Jeśli nie zaingerują moce niebieskie, nasz wnuk nie dożyje świtu.

- Boże, za co nas tak karzesz! - Franciszek von Kirchberg oparł się o ścianę i z rozpaczą uderzył pięścią w mur. Łzy płynęły mu po twarzy, gdy wyrzekał na Boga i wszystkich świętych.

- Przecież oni byli na pielgrzymce ku czci Najświętszej Dziewicy Maryi. Jak Bóg mógł pozwolić, żeby zachorowali podczas tak chwalebnej podróży? Syn pochował żonę już w Altötting[31], a sam razem z najstarszym synem umarł zaraz po powrocie. A teraz Bóg odbiera nam jeszcze ostatniego wnuka.

Irmberga von Kirchberg popatrzyła na męża, nie wiedząc, jak go pocieszyć. Strata jedynego syna i wnuków rozdzierała jej serce. Powtarzała sobie jednak, że życie musi się

toczyć dalej. Ze smutnym uśmiechem podeszła do męża i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Błagam cię, mój ukochany, nie rozpaczaj! Pan nasz w niebiesiech ciężko nas doświadcza, lecz musimy wytrwać w wierze i zaufać mu. Jeśli Bóg wszechmogący zechce zabrać do siebie także naszego najmłodszego wnuka, to przecież nie cała nadzieja będzie stracona.

Pomyśl o Ferdynandzie! Jako potomek twojego brata i mojej siostry jest dla nas niczym własne dziecko.

- Bardzo go lubię. Lecz jeśli wyznaczę go na spadkobiercę, Szymon będzie się domagał swoich praw jako syn następnego po mnie brata. Podług zasad rodu von Kirchbergów będzie się mógł domagać przyznania mu pierwszeństwa w dziedziczeniu.

Głos Franciszka brzmiał ponuro, bo jeśli któryś z bratanków miał zostać jego dziedzicem, powinien to być Ferdynand, a nie Szymon. Lecz nie było na to rady.

Jego żona nie traciła jednak ducha i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Też przejrzałam prawa spadkowe rodu. Ale one nie zostały wykute w kamieniu! Są precedensy. Za pozwoleniem jego książęcej mości już dwaj panowie na Kirchbergu przeforsowali miłego sobie dziedzica, choć podług rodowej tradycji dziedziczenia inni mieli większe prawa. Powinieneś się na to powołać.

Franciszek von Kirchberg pokiwał głową w zamyśleniu.

- Jeśli nasz wnuk umrze, po jego pogrzebie pojedę do Monachium i poproszę księcia Maksymiliana, żebym mógł wyznaczyć Ferdynanda na dziedzica. Szkoda, że go tutaj nie ma. Byłby dla nas podporą w tym trudnym momencie.

- Ja też żałuję. - Irmberga von Kirchberg westchnęła, a potem potrząsnęła głową. - Nie powinieneś być pozwolić Szymonowi zabrać Ferdynanda. Tak się martwię o naszego młodszego bratanka. Ojciec Święty wysłał ich obu do Irlandii, by walczyli z angielskimi heretykami.

Przecież coś może mu się tam przydarzyć.

- Nie zapeszaj! - napomniał ją małżonek. - Bóg nie mógł się tak całkiem od nas odwrócić. W każdym razie wolałbym widzieć jako następnego pana na Kirchbergu Ferdynanda, a nie Szymona. Chodź, moja miła! Pójdźmy do kaplicy i pomódlmy się. Może Przenajświętsza Dziewica Maryja ulituje się nad nami i uprosi Boga o życie naszego wnuka.

Choć Irmberga dostrzegła w oczach medyka brak jakiegokolwiek nadziei, skinęła i podała mężowi rękę.

- Tak uczynimy, mój drogi, i poprosimy od razu Najświętszą Panienkę o opiekę nad Ferdynandem.

2

Po tym, jak udało im się zająć miasteczko i twierdzę Léana, Oisin i Ferdynand sprowadzili rozbrojonych Anglików z lasu i zamknęli ich razem z jeńcami pojmanymi w mieście. Dwaj oficerowie, James Mathison i Humphrey Darren, dostali osobną celę, gdzie mogli przedyskutować, który z nich okazał się większym głupkiem, dając się wciągnąć Irlandczykom w pułapkę.

Oisin przywołał do siebie burmistrza miasta i kazał mu obwieścić, że mieszkańcy mają oddać broń. Oczywiście nie wszyscy posłuchali, lecz Oisin i Ferdynand poczuli się potem pewniej. Nie wiedzieli tylko jeszcze, jak hrabia Essex zareaguje na utratę miasteczka. Zakładali, że wyśle w ich kierunku część swoich oddziałów, więc zaczęli uzbrajać miasto. Mieszkańcy, których lojalności nie byli pewni, musieli opuścić Léana i udać się w stronę Baile Atha Cliath, gdzie Anglicy wciąż mocno się trzymali.

Oisin z Ferdynandem przejrzeni także zapasy żywności oraz prochu i kazali przygotować do użycia cztery armaty, którymi dysponowała twierdza.

Wieczorami przesiadywali razem w jednej z komnat zamku, pili angielskie piwo ale[32], którego beczki wypełniały piwnice, i rozmawiali o tym, jak przeciwstawić się wrogowi. Pociągnawszy głęboki łyk z kufła, Oisin zamoczył palec w piwie i narysował na blacie stołu obrys miasta.

- Jeśli Essex przyśle tu armię, to nadejdą z tej strony - oznajmił.

- Będą musieli pokonać fosę i miejskie mury, a to nie będzie łatwe. Poza tym wciąż będziemy zajmować twierdzę - odpowiedział Ferdynand.

- Zgadza się, ale mogą przejść przez rzekę wyżej i odciąć nam drogę ucieczki, gdybyśmy musieli poddać miasto. - Oisin chciał sobie to wszystko dokładnie przemyśleć, lecz Ferdynand narysował na stole linię, która przedstawiała rzekę.

- Jeśli będzie trzeba, wycofamy się na łodziach, zostawimy je w dole rzeki i przebijemy się przez las.

- A jeśli zablokują tę właśnie drogę? - wtrącił Oisin.

- W takim razie powiosłujemy w górę rzeki. Prąd nie jest silny i na pewno będziemy szybsi niż piechurzy. Tylko na początku musielibyśmy się liczyć z ostrzałem z muszkietów. Później mielibyśmy do czynienia już tylko z jazdą, a ta kiepsko sobie radzi w lesie.

Ferdynand widział to wszystko bardziej optymistycznie niż Oisin, którego bardzo strapiła wieść, że Robert Devereux, hrabia Essex, przybył do Irlandii z ponad siedemnastoma tysiącami ludzi.

- Może macie rację, Kirchberg - powiedział po krótkiej przerwie. - W każdym razie powinniśmy zorganizować wystarczającą liczbę łodzi. Nie chciałbym utkwic jak szczur w pułapce, gdy pojawią się tutaj żołnierze Essexu.

- Skoro macie takie wątpliwości, może lepiej byłoby splądrować miasto i je porzucić - zaproponował Ferdynand.

Oisin roześmiał się smutno.

- Dopóki mamy Léana, Essex musi się tym zająć i nie może ruszyć prosto do Uladh. Bałby się, że zaatakujemy go od tyłu albo ograbimy jego magazyny. Taka wielka armia nie wyżywi się tylko tym, co oferują ziemie, przez które ciągnie.

- Może powinniśmy poprosić O'Néilla o posiłki.

Oisin natychmiast pokręcił głową.

- Nie! W ten sposób stałbym się ostatecznie jego pomagierem. A ja chcę, żeby nasz klan był tak samo ważny jak inne klany, które przyłączyły się do powstania.

Choć Ferdynand rozumiał motywy Oisina, uważał, że to błędna decyzja. Jak już powiedział jego przyjaciel, powinni utrzymać Léana tak długo, jak to możliwe, żeby Essex nie mógł ruszyć na O'Néilla całą swoją potęgą.

Lecz zanim zdążył to powiedzieć, usłyszeli pukanie do drzwi i do środka weszła Ciara.

- Wybaczcie, jeśli przeszkadzam, ale Aithil przybył z wiadomością od Aodha Móra O'Néilla.

- Aithil tu jest? Zaproś go tutaj! - Oisin zerwał się z miejsca i od razu napełnił kufel dla swojego zastępcy.

Zaraz potem Ciara wróciła z Aithilem. Była bardzo ciekawa, więc została w komnacie. Pod pretekstem sprawdzenia, czy czegoś nie potrzeba, do środka wślizgnęła się też Saraid.

Oisin nie wyprosił niewiast, ponieważ bardzo pomogły podczas zdobywania miasta. Poza tym wiedział, że może liczyć na ich dyskrecję. Rzucił im jednak ostrzegawcze spojrzenie, żeby nie przeszkadzały w rozmowie.

- Masz, pij! Na pewno jesteś spragniony - powitał Aithila, wciskając mu w dłoń kufel.

- I to jak! - Aithil roześmiał się, przystawił kufel do ust i opróżnił go do dna. - O, jak mi było tego trzeba! - powiedział i poklepał się po brzuchu. - Ale dobrze byłoby też coś zjeść.

- Przyniosę ci coś - zaferowała się Saraid, po czym wyszła z komnaty.

- My też jesteśmy głodni! - zawołał za nią Oisin, a potem zwrócił się do Aithila: - Co nowego? Ciara mówiła, że przywozisz wieści od O'Néilla.

Aithil pośpiesznie przytaknęła.

- Tak. I jedna z nich jest bardzo dobra. Essex umieścił większość swoich żołnierzy w Baile Atha Cliath i w Palisadzie, a z resztą ruszył na południe. Chce najpierw podporządkować sobie w An Mhuma parę klanów, które zbuntowały się przeciwko angielskiemu jarzmu. Będzie na to potrzebować trochę czasu i straci trochę ludzi. Dla nas to korzystne.

- Z całą pewnością! - zgodził się Oisín. - A co jeszcze?

- Druga wiadomość nie jest już taka dobra. Essex wysłał w naszym kierunku dwa tysiące ludzi pod dowództwem Conyersa Clifforda. Teraz pytanie, czy dojdą aż do Léana, czy też, jak sądzi Aodh Mór O'Néill, zlekceważą nas i pociągną prosto do Sligeach, żeby wesprzeć Ui' Connor przeciwko Ui' Domhnaill.

- Clifford nie może nas zignorować. Miałby nas wtedy za plecami - stwierdził Oisín.

- O'Néill uważa, że zrobi tak ze względu na rozkazy.

Ui' Connor tracą grunt pod nogami. Ui' Domhnaill wypędzili ich z większości ich ziem i cały czas dają się im we znaki. Jeśli Essex nie przyśle wsparcia, nie pozostanie im nic innego, jak podporządkować się Aodhowi Mórowi O'Néillovi, o ile nie chcą zostać całkowicie wytepieni. A jeśli tak się stanie, Chonnacht będzie dla Anglików stracone.

Tymczasem wróciła Saraid i postawiła przed nimi wielki talerz z pieczoną baraniną, królikami oraz wodnym ptactwem. Jakby nigdy nic, usiadła z powrotem obok Ciary w rogu komnaty.

- Mówili coś ważnego? - zapytała kuzynkę.

Ciara uniosła dłoń, żeby ją uciszyć, bo chciała słyszeć, co mówią mężczyźni. Lecz na razie próbowali odgadnąć, którą drogę wybierze Conyers Clifford wraz ze swymi żołnierzami.

W końcu Ferdynand potrząsnął głową.

- To nic nie da, jeśli będziemy tutaj siedzieć i trząść się niczym króliki przed wężem. Powinniśmy wysłać ku nim zwiadowców, żeby śledzili trasę ich marszu, a jednocześnie ściągać wojowników, żeby w razie czego móc dać im odpór. W tej twierdzy obronimy się przed dwoma tysiącami.

Ciara najchętniej by mu przyklasnęła. Pomna jednak ostrzeżenia brata, zachowała milczenie.

Po krótkim namyśle Oisín zgodził się z Ferdynandem.

- Macie rację. Nie możemy chować się jak zbite psy z podkulonymi ogonami, bo cała Irlandia będzie się z nas śmiała. Jeśli sprowadzę tutaj Buirre'a z jego ludźmi i żołnierzami

waszego kuzyna, zdołamy utrzymać to miasto.

Na wzmiankę o Buirze Aithil się skrzywił.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć, taoiseachu. Byłem krótko w Caisleán[33] Ui'Corra. Buirre jeszcze tego samego dnia, gdy wyruszyłeś, własnymi rękoma zabił Johna Crandona.

Oisin zerwał się jak oparzony.

- Co ty mówisz? To niemożliwe! Przecież miał rozkazy!

- Uczynił to. Bríd mi powiedziała, a Seachlann potwierdził. To przyjaciel Buirre'a i nie skłamałby.

- Ale dlaczego to zrobił?

- Ksiądz go podburzył. Wiesz jak ojciec Maitiú nienawidzi Anglików. Nie umiał pogodzić się z tym, że oszczędziłeś Crandona wbrew jego woli.

Aithil wolałby przynieść przywódcy klanu lepszą wiadomość, ale ta sprawa była zbyt ważna, żeby mógł ją pominąć.

Nie tylko Oisin, lecz także Ferdynand czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

- Crandon był moim jeńcem. Zabiję go! - Sam nie był przy tym pewien, czy ma na myśli Buirre'a, czy też coraz bardziej despotycznego ojca Maitiú.

Tymczasem Oisin zaczął krążyć po komnacie.

W którymś momencie walnął pięścią w ścianę.

- Buirre i klecha chyba postradali zmysły! Nie możemy tak po prostu zabijać schwytanych Anglików. Kiedyś będziemy musieli przystąpić do negocjacji, a wtedy szlachcice tacy jak Humphrey Darren czy James Mathison będą na wagę złota. John Crandon też był cennym zakładnikiem.

Wtedy do rozmowy wtrąciła się Ciara.

- Nienawiść do Anglików jest ogromna! Pomyśl tylko o wiosce Ionatána i o Maeve. A gdzie indziej Anglicy poczynali sobie jeszcze gorzej.

- Ale to nie znaczy, że można wbrew moim rozkazom zabijać jeńców! Jestem głową klanu. Buirre swoim czynem podważył mój autorytet! - wykrzyknął oburzony Oisin.

- Powinieneś być wykluczyć go z klanu i odesłać po tym, jak zabił Maeve.

Stwierdzenie Ciary także podważało autorytet Oisina, który już miał jej ostro odpowiedzieć, ale potrząsnął tylko głową.

- Znasz powody, dla których postąpiłem inaczej. I nic się w tym względzie nie zmieniło. Buirre pozostanie kasztelanem naszego zamku. Ale do tego miasta nie wejdzie ani on, ani kapłan. A co z nimi zrobię, gdy Irlandia będzie już wolna, to się jeszcze okaże.

Ferdynand wstał i pełen gniewu podszedł do Oisina.

- Wy, Irlandczycy, za dużo mówicie o tym, co będzie kiedyś, gdy zwyciężymy. Lecz zanim zacniemy myśleć o przyszłości, musimy najpierw wypędzić Anglików.

Buirre jest niczym wrzód na waszym klanie. Jeśli dalej będziecie go popierać, skłoni innych wojowników, żeby też działali wbrew waszym rozkazom. Nie możecie do tego dopuścić!

Oisin rzucił Ferdynandowi chłodne spojrzenie.

- Na wiele sobie pozwalacie, Kirchberg. Buirre O'Corra jest moim krewnym i dzielnym człowiekiem.

Poza tym przed laty we Francji uratował mi życie. Nie mogę go potępić i nie uczynię tego.

- To wasza decyzja! Oby Bóg sprawił, że nie będziecie jej nigdy żałować. A ja życzę już paniom, wam i panu Aithilowi dobrej nocy. - Ferdynand odwrócił się i wyszedł z komnaty.

3

Ciarze też nie podobało się zachowanie brata. Ponieważ Oisin nie zwracał na nią uwagi, wstała energicznie i ruszyła za Ferdynandem. Gdy zamknęła za sobą drzwi, zobaczyła, że młody Niemiec szybkim krokiem podchodzi do wyjścia z głównej wieży i opuszcza ją. Wyszedłszy na zewnątrz, spostrzegła go na murach. Szybko weszła po schodach i stanęła obok niego.

- Wybaczcie, panie Ferdynandzie, ale nie chciałabym, żebyście rozstawali się z moim bratem w gniewie - powiedziała.

Ferdynand odwrócił się do niej z zamyślonym uśmiechem.

- Nie opuszczam waszego brata, pani. Ale musi mi pozwolić mówić to, co myślę. Uważam, że popełnia błąd, zostawiając Buirre'a na jego stanowisku. To człowiek przeżarty nienawiścią. Na razie ta nienawiść kieruje się głównie na Anglików, ale on nienawidzi też Ionatána, Saraid i was.

- Zapomnieliście o kimś, kogo Buirre nienawidzi jeszcze bardziej, czyli o was samych! Obwinia was o to, że stracił wpływ na mojego brata - odparła cicho Ciara.

- Nie martwię się o siebie, ale o was i waszą kuzynkę.

Obawiam się, że Buirre może chcieć was skrzywdzić.

- Gamhain na to nie pozwoli - Ciara z uśmiechem wskazała na sukę, która właśnie wyszła z głównego budynku zamku i wspięła się po schodach. Stała teraz niczym cień obok

swojej pani, nie spuszczać z niej wzroku.

- Mam nadzieję, że taka ochrona wystarczy. Boję się jednak, że Buirre może się porwać na takie czyny, przed którymi Gamhain nie zdoła was obronić. A mamy przecież dosyć trosk z powodu Essexa i jego armii; niepotrzebne nam zatargi we własnych szeregach.

- To prawda - zgodziła się z nim Ciara. - Jesteście takim dzielnym i mądrym mężem! Mój brat powinien słuchać raczej was, a nie Buirre'a czy waszego kuzyna.

Ferdynand wzruszył ramionami.

- Szymon chętnie zostanie komendantem Léana, to dodałoby mu znaczenia, na którym tak bardzo mu zależy.

- A wam na czym zależy, mój panie? - zapytała z ciekawością Ciara.

- Tylko na tym, by was nigdy nie zawieść.

Ciara spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem.

- To się nigdy nie stanie! - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. Poczula jego bliskość niczym odurzający zapach i oparła się o niego.

- Nigdy mnie nie zawiedziecie - powtórzyła i pozwoliła, by ją objął. - Obiecujcie mi jedno. Że nie opuścicie mojego brata, kiedy nadejdzie chwila, gdy będzie potrzebował wiernego przyjaciela.

- Nie odstąpię waszego brata tylko z powodu paru nieprzemyślanych słów, pani, choćby ze względu na was - odpowiedział Ferdynand z powagą.

„Już choćby dlatego - pomyślała Ciara - warto go przytulić”. Ich usta odnalazły się same i przez krótką chwilę pod lśniącymi gwiazdami istnieli tylko dla siebie.

Ciepłe i silne kobiece ciało, które do niego przywarło, rozbudziło w Ferdynandzie mocne pożądanie. Wiedział jednak, że nie powinien na nią naciskać. Jest dumną kobietą i sama zdecyduje, czy mu się odda i kiedy. Jemu pozostała jedynie nadzieja, że ta chwila kiedyś nadejdzie.

Serce Ciary także biło szybciej. Czula pragnienie, żeby być blisko niego i może nawet się z nim zjednoczyć. To był jedyny mężczyzna, któremu mogłaby się oddać.

Przypomniała sobie swoje dziecięce zadurzenie w jego kuzynie. Wobec uczucia, które teraz ją ogarnęło, było niczym gasnący popiół w porównaniu z buchającym jasno płomieniem. Jednak ta chwila jeszcze nie nadeszła. Ona i Ferdynand byli ludźmi, a nie zwierzętami, które ulegają popędom. Ale kiedyś to się stanie, choćby po to, by pokazać jej bratu, że nie wyjdzie za żadnego innego mężczyznę poza tym młodym Niemcem, który przybył na ich wyspę, żeby walczyć za jej wolność.

Gdy na dole na dziedzińcu rozległy się czyjeś kroki, oderwali się od siebie, choć

trzymali się jeszcze za ręce.

- Kocham was, pani - szepnął Ferdynand.

Ciara popatrzyła na niego.

- Ja was też!

Puściła go i odbiegła, zanim osoba, która właśnie wchodziła po schodach, zdążyła ją zobaczyć.

Zaraz potem do Ferdynanda podszedł Oisín i położył mu dłoń na ramieniu.

- Chciałbym jeszcze z wami porozmawiać, zanim położymy się spać, byście myśleli o mnie lepiej niż myślicie teraz.

- Mówcie! - zachęcił go Ferdynand.

- Wiem, że gardzicie Buirre'em, lecz patrzycie ze swojego punktu widzenia. Tutaj, w Irlandii, jest inaczej niż na kontynencie. Buirre nie jest tylko moim wasalem, jak waszym jest Hufeisen, on należy do klanu, a własny klan to dla Irlandczyków świętość. Buirre robi wszystko, żeby chronić Ui'Corra. Może nie jest tak zręczny w mowie jak Aithil, ale to prawy człowiek. Jeśli chodzi o śmierć Johna Crandona, będę musiał go upomnieć i przypomnieć mu o lojalności, jaką jest winien mnie, taoiseachowi klanu. Chciałbym jeszcze coś powiedzieć.

Kapłan, który stara się zarazić nas swoim świętym gniewem na angielskich heretyków, nie należy do Ui'Corra. To wy i wasz kuzyn sprowadziliście go do Irlandii z Rzymu.

- Choć nie ja go wezwałem, żałuję, że z nami przybył.

To fanatyk, którego szaleństwo nie zna granic. Postarajcie się, by nie przekroczył bram tego miasta. - Ferdynand aż pokręcił głową na myśl o tym, co ojciec Maitiú mógłby zrobić tu, w Léana.

Oisín przytaknął z zaciętą miną.

- Zadbam o to. A teraz podajmy sobie dłonie. Przed nami trudne walki, do których powinniśmy stanąć ramię w ramię.

Ferdynand wyciągnął do Oisína prawicę, a ten natychmiast ją ujął i przytrzymał kilka chwil.

- Cieszę się, że nie stoi już między nami żaden cień - powiedział Oisín.

- Ja również, i modlę się, by tak zostało - odparł Ferdynand, myśląc przy tym nie tyle o walce z Anglikami czy o Buirze, ile o Ciarze. Od teraz wiedział już, że nie będzie w stanie wielbić jej z oddali. W końcu się odnajdą, a on mógł mieć tylko nadzieję, że nie wywołają gniewu Oisína. Po tym, jak Ciara go pocałowała, nie było już odwrotu.

4

Przez ponad tydzień Ciara, Ferdynand i Oisín nie wiedzieli, dokąd Conyers Clifford poprowadzi swoich żołnierzy. Szybki atak na miasto mógł przynieść mu zwycięstwo, ponieważ dysponowali zaledwie setką wojowników. Lecz Anglicy nie nadeszli, a gdy Ionatán doniósł, że widział żołnierzy Szymona von Kirchberga krzepkim krokiem zmierzających ku miastu, wszyscy poczuli wielką ulgę.

Choć ostatnimi czasy Ferdynand często złościł się na kuzyna, ucieszył się na jego widok i pośpieszył do bramy miejskiej na powitanie. Szybko jednak poczuł pierwszą kroplę goryczy, bo zobaczył, że pewny siebie Szymon jedzie na ogierze, którego on zdobył na zamordowanym niedawno Johnie Crandonie. Choć musiał zostawić konia na zamku Ui'Corra, wcale nie był gotowy zrezygnować z niego na rzecz kuzyna. Z wymuszonym uśmiechem zastąpił Szymonowi drogę.

- Szczęść Boże. Widzę, że pomyślałeś, żeby przyprrowadzić mi konia. Jestem ci za to wdzięczny!

Twarz Szymona pobladła.

- Jeszcze nie wiadomo - prychnął i popędził konia ostrogami, omal nie tratując kuzyna.

Ferdynand zrobił unik.

- A właśnie, że tak! - zawołał za nim i przeszedł do następnego ciosu. - Poza tym zdobyłem jeszcze lepszego konia i podarowałem go panie Ciarze.

Gdy Szymon to usłyszał, tak mocno ściągnął wodze, że ogier aż zarżał w proteście.

- Na zbyt wiele sobie pozwalasz, mały, zapominając, że ja jestem starszy i pierwszy mam do wszystkiego prawo.

Głos Szymona zabrzmiał tak, że Ferdynand nie miał wątpliwości, że kuzyn nie ma na myśli tylko wierzchowców, ale także Ciarę. Do czasu przybycia do Irlandii zawsze ustępował Szymonowi. Teraz jednak wyprostował się jak struna i rzucił Szymonowi drwiące spojrzenie.

- Nie jesteś moim bratem, a nawet gdybyś był, musiałbyś najpierw zasłużyć na udział w moim łupie. Inna sprawa, gdybyś mianował mnie podporucznikiem i zastępcą w twojej kompanii, tak jak obiecałeś. A teraz jestem panem samego siebie i mogę robić, co mi się podoba.

Z oczu Szymona trysnęły błyskawice, a jego dłoń powędrowała ku rękojeści miecza. Lecz zanim zdążył wyciągnąć broń, podszedł do nich jeden z flamandzkich oficerów, których przydzielił mu Aodh Mór O'Neill, i stanął tuż przed Ferdynandem.

- Czy mam zatłuc tego robaka dla was, panie kapitanie?

- zapytał Szymona.

Ten spojrział krzywo na Ferdynanda i pomyślał, że kuzynowi należy się porządna bura. Żeby nie wyglądało na to, że napuszcza Flamandczyka na Ferdynanda, roześmiał się.

- Zostawcie mojego kuzyna przy życiu, Vandermeer.

Jeśli jednak sięgnie po mojego ogiera, możecie z nim zrobić, co chcecie! - Dzięki temu Ferdynand nie odważy się już domagać tego konia.

Ferdynand natomiast zrozumiał coś innego. Jeśli teraz się podda, Szymon w przyszłości odbierze mu wszystko, co będzie mu miłe i drogie, także Ciarę. Musiał stawić czoła temu wyzwaniu. Flamandczyk był od niego o pół głowy wyższy i znacznie mocniejszej budowy. Mimo to popatrzył na niego wyzywająco.

- Jak wolicie, panie, na miecze czy na pięści?

Vandermeer nie mógł z początku uwierzyć, że ten chudy, niedojrzały młokos naprawdę odważył mu się postawić. Potem zaczął intensywnie myśleć. Pojedynek na miecze to coś dla ludzi zwinnych, a Ferdynand von Kirchberg na takiego właśnie wyglądał. Uniósł więc obie pięści i wysunął je w stronę chłopaka.

- Wybieram pięści, choć niektórzy szlachcice uważają to za chłopską rozrywkę.

Oisin i inni Irlandczycy zaczęli pomrukiwać, bo Flamandczyk wyglądał na silniejszego i zapewne także bardziej wprawionego w walkach na pięści niż młody Kirchberg.

Ferdynand też to rozumiał i poczuł ucisk w żołądku.

- Niech będzie na pięści! Proponuję zamkowy dziedziniec. Chcecie może wcześniej trochę odpocząć?

Żeby potem nie mówić, że pokonałem was, bo byliście znużeni marszem.

Vandermeer zaczął łapczywie chwytać powietrze niczym ryba wyrzucona z wody.

- Ty szczyłu! Spiorę cię na kwaśne jabłko!

- Wy i was, poproszę, w końcu jestem szlachcicem! - odparł spokojnie Ferdynand.

Podczas gdy Flamandczyk wrzeszczał na Ferdynanda, że wdepcze go zaraz w ziemię, zaskoczony Szymon zmarszczył czoło. Nie miał pojęcia, skąd bierze się dziwny spokój, którym emanuje jego kuzyn. Odkąd przybyli do Irlandii, w Ferdynandzie nastąpiła jakaś zmiana, której nie rozumiał.

„Naprawdę już pora, żeby ktoś przemówił temu młokosowi do rozumu” - pomyślał sobie, a potem zwrócił się do Oisina:

- Jak widzicie, maszerowaliśmy szybko, żeby zdążyć przed Anglikami.

Oisin z niewzruszoną miną skinął głową, po czym nakazał Aithilowi i Ionatánowi

zaprowadzić żołnierzy na ich kwaterę.

Lecz wtedy Szymon uniósł dłoń.

- Wybaczcie, ale moi ludzie chcieliby popatrzeć, jak mój kuzyn da sobie radę z najsilniejszym spośród nich.

- W takim razie niech odłożą piki i muszkiety i zbiorą się na dziedzińcu. Jest tam dość miejsca! - Głos Oisina nie brzmiał zbyt przyjaźnie. Jego gniew wzmógł się, gdy na końcu kolumny dostrzegł ojca Maitiú.

- A co wy tutaj robicie? Przecież kazałem wam pozostać na moim zamku - ofuknął kapłana.

Ten popatrzył mu prosto w oczy.

- Wybaczcie, panie Oisinie, ale nie jestem waszym zamkowym kapelanem. Przybyłem do Irlandii z żołnierzami pana Szymona, by uwolnić moją ojczyznę.

- Czyli jesteście kapelanem pułkowym! Proszę bardzo!

Jeśli się dowiem, że domagacie się czegoś sprzecznego z moimi rozkazami albo to wręcz czynicie, pociągnę was do odpowiedzialności.

Groźba Oisina wcale nie zrobiła na księdzu wrażenia.

Był pewien ochrony ze strony Szymona von Kirchberga i żołnierzy. Rozumiał jednak, że nie powinien czynić sobie wroga z głowy klanu Ui'Corra. „Przynajmniej na razie - pomyślał. - Ale on wkrótce pożałuje swojej wyrozumiałości wobec schwytych angielskich heretyków”. Teraz jednak kapłan wykonał gest błogosławieństwa i wszedł za żołnierzami do miasta.

5

Dries Vandermeer tak bardzo chciał obić Ferdynanda, że zrzucił tylko w pośpiechu zbroję i skórzane odzienie, które nosił pod spodem. A potem stanął przed widzami i napiął swoje potężne muskuły. Żołnierze powitali Flamandczyka głośnymi okrzykami, nawet Szymon uniósł dłoń w życzliwym geście.

W oknie zamku stała Ciara i drżąc ze zdenerwowania, spoglądała na dziedziniec.

- O Święta Madonno, dlaczego pan Ferdynand w ogóle wdał się w tę bójkę? - szepnęła do Saraid.

Ta spojrzała w dół, a potem odwróciła się do kuzynki.

- Ten Flamandczyk wydaje się bardzo pewny zwycięstwa. A to może być błąd! Pan Ferdynand nie jest słabeuszem, którego jednym ciosem odeśle na drugi koniec dziedzińca.

- Ferdynand jest dzielny, ale stawanie do walki z tym olbrzymem to szaleństwo! -

wykrzyknęła Ciara.

- Z tego, co mówił Ionatán, to Szymon von Kirchberg jest wszystkiemu winien. To on poszczuł Flamandczyka na pana Ferdynanda. - Saraid nigdy nie lubiła Szymona i teraz okazało się, że miała rację.

- Pan Szymon to spowodował? - Ciarze trudno było w to uwierzyć. Potem jednak przypomniała sobie, jak często dowódca umyślnie postponował swojego kuzyna, a jej twarz przybrała kamienny wyraz. - Jeśli panu Ferdynandowi coś się stanie, Szymon von Kirchberg tego pożałuje.

Saraid popatrzyła na kuzynkę z przerażeniem. Słowa Ciary zabrzmiały tak, jakby w takim wypadku zamierzała własnymi rękoma zabić Kirchberga.

- Ależ uspokój się! Pan Ferdynand jeszcze nie przegrał.

Zaraz potem obie umilkły, gdyż Aithil wystąpił i przedstawił zasady pojedynku po irlandzku i po angielsku. Tak naprawdę obu przeciwnikom wszystko było wolno, poza wybijaniem sobie oczu czy wrywaniem jąder.

Vandermeer wykrzywił się i pogroził Ferdynandowi pięścią. Ten myślał - jakie to dziwaczne, że będzie się ze sobą bić dwóch mężczyzn, którzy walczą o tę samą sprawę. Ale to była wina Szymona. Ferdynand żałował tylko, że kuzyn nie stanął sam naprzeciw niego, tylko wysłał tego flandryjskiego głupka. Najwyraźniej Szymon obawiał się, że z nim przegra.

Ta myśl dodała mu odwagi. Uważnie obserwował Flamanda, żeby nie dać się zaskoczyć. W momencie, gdy Aithil jako sędzia dał znak do rozpoczęcia walki, Vandermeer natychmiast zaatakował. Zaczął młócić pięściami w kierunku Ferdynanda, ale wcale nie trafiał.

Ferdynand szybko wycofał się poza zasięg jego ramion.

Rozpędzony Flamand nie mógł wyhamować i wpadł na jednego z widzów.

Kilku Irlandczyków się roześmiało, podsycając tym gniew Vandermeera.

- Ty będziesz następny! - warknął na Ionatána, który patrzył na niego drwiąco, i z powrotem zwrócił się w stronę Ferdynanda. Tym razem podszedł do sprawy rozważniej i chciał lepiej wycelować. Lecz Ferdynand znów zrobił zręczny unik.

- Nie możesz stać spokojnie, cymbale?! - ryknął Flamand.

Wtedy Ferdynand dopadł go niczym atakujący jastrząb i dwa razy mocno walnął go w nos.

Coś zgrzytnęło, a Flamandowi krew pociekła z obu nozdrzy. To jednak tylko zwiększyło jego wściekłość i zaczął młócić ramionami niczym skrzydłami wiatraka.

Gdziekolwiek jednak uderzył, trafiał w pustkę. Ferdynand dreptał wokół niego, coraz

częściej zmuszając przeciwnika do obrócenia się wokół własnej osi, aż olbrzym zachwiało się, bo zakreśliło mu się w głowie.

Dokładnie w tym momencie Ferdynand znowu zaatakował. Vandermeerowi coraz trudniej było znosić kolejne ciosy, więc pokuśtykał parę kroków na oślep przez dziedziniec i walnął pierwszego człowieka, jakiego napotkał. Był to jeden z żołnierzy Szymona, który wybuchnął gniewem.

- Ej, durniu! Czego mnie bijesz? Twój przeciwnik jest za tobą!

Mówiąc to, popchnął Flamandczyka w kierunku Ferdynanda. Ten zamierzył się i z całej siły zadał cios.

Dries Vandermeer stał jeszcze przez chwilę na własnych nogach, a potem przechylił się powoli do tyłu i mocno uderzył o bruk dziedzińca.

Widzowie przez moment byli tak zaskoczeni, że wokół słychać było tylko wiatr hulający między murami. A potem Irlandczycy zaczęli wiwatować. Żołnierze Szymona natomiast z niedowierzaniem patrzyli na swojego najsilniejszego kompana, który leżał nieruchomo na plecach, wpatrując się w niebo szklanym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że nie roztrzaskał sobie czaszki, uderzając o bruk - powiedział Ionatán tonem, który zdradzał, że wcale by go to nie zmartwiło.

Aithil pochylił się nad leżącym Flamandczykiem i obejrzał go.

- Stracił tylko przytomność i obudzi się z bardzo ciężką głową. Zabierzcie go do kwatery i połóżcie mu mokrą ścierkę na nosie, żeby zahamować krwawienie. Saraid da wam zioła, które zmniejszą obrzęk.

Oisín podszedł do Ferdynanda, kręcąc głową.

- Pokonaliście tego kolosa z taką łatwością, jakby to był jakiś niedorostek próbujący się zmierzyć z doświadczonym wojownikiem.

- Vandermeer powinien był posłuchać mojej rady i odpocząć. Był znużony forsownym marszem - odpowiedział Ferdynand, ciężko dysząc. Nie chciał, żeby jego zwycięstwu przypisywano nadmierne znaczenie.

Wolał podsunąć Flamandczykowi wymówkę dla porażki, żeby nie robić sobie z niego wroga.

Kamratom Vandermeera spodobały się jego słowa.

Głośno wyrazili swoją akceptację, a kilku poklepało go nawet po ramieniu i nazwało najszybszym pięściarzem, jakiego, do diaska, widzieli. Inni zanieśli nieprzytomnego Flamandczyka do sali, którą przydzielono im na kwaterę, i zajęli się jego połamanym nosem.

Podczas gdy Ciara wciąż bezradnie patrzyła w dół, nie mogąc uwierzyć w to, co się

tam wydarzyło, Saraid przyniosła ze swojej komnaty trochę ziół do zimnych okładów, które zamierzała położyć na stłuczeniach Vandermeera. W końcu Flamandczyk nie był wrogiem, tylko sprzymierzeńcem, który miał pomóc wypędzić Anglików. Po drodze spotkała Ferdynanda i zatrzymała się na chwilę.

- Pozwólcie się obejrzeć! Wygląda na to, że nic wam nie jest. Podziękujcie za to Panu Bogu! Choć niekoniecznie, bo gdyby Flamandczyk was pobił, to nie ja chciałabym was pielęgnować, tylko Ciara.

W jej słowach pobrzmiwała ironia, ale także uznanie.

Choć Saraid nie podobało się, że Ciara ofiarowała swoje serce cudzoziemcowi, to ten Niemiec był dziesięć razy lepszy od poprzedniego.

Na myśl o tym, że Ciara mogłaby siedzieć tuż obok niego i leczyć jego rany, Ferdynand niemal pożałował, że wyszedł z pojedynku bez szwanku. Potem jednak uznał, że powinien się cieszyć, że stało się tak, a nie inaczej.

Nie zwracając uwagi na Szymona, przywołał do siebie Ionatána.

- Postaraj się, żeby zadbano o ogiera, którego przyprowadził mi kuzyn. Chcę na nim jutro pojeździć.

Rozejrzał się za kuzynem i zobaczył, że ten zagryzł wargi, ale nie miał odwagi zaprotestować. To był dla Ferdynanda większy triumf niż zwycięstwo nad potężnym Flamandczykiem.

6

Na zamku nie było dość miejsca, więc większość żołnierzy zakwaterowano w mieście. To byli nieokrzesani ludzie, których nikt nie chciał mieć za gości. Za to sama ich obecność zapobiegała buntom mieszkańców, którzy w duchu trzymali z Anglikami. Podczas gdy oni mieli nadzieję, że uwolni ich armia Conyersa Clifforda, Ciara i większość Irlandczyków modliła się o to, by skierowała się ona przeciwko O'Domhnaillowi.

Ferdynand nie mógł wytrzymać napięcia panującego w Léana. Żeby pokazać, że ogier należy do niego, kazał go osiodłać i wyruszył za miasto. Nie odjechał daleko, gdy usłyszał za sobą innego jeźdźcę. Odwrócił się szybko i zobaczył Ciarę, która z trudem utrzymywała się w siodle.

Zawrócił konia i pokłusował ku niej.

- Na Boga, co wy tutaj robicie?

- Uczę się jeździć - odpowiedziała nieco zakłopotana Ciara. - Ale nie myślałam, że to takie trudne. Koń jest taki szybki, trudno mi sobie wyobrazić, że można dłużej utrzymać się w

siodle. Może wam, mężczyznom, jest łatwiej, bo obejmujecie korpus konia nogami. Ale kto wpadł na taki głupi pomysł, żeby niewiasty zwiślały z jednej strony niczym worki z mąką.

- Nie powinniście zwiśać, tylko siedzieć w siodle, podpierając się na lewym strzemieniu. Zaraz wam pokażę!

- Ferdynand zeskoczył z siodła, przywiązał swojego ogiera do drzewa i podszedł do Ciary. Na zamku Kirchberg często towarzyszył swojej ciotce Irmberdze podczas konnych przejażdżek. Wiedział więc, jak dama powinna siedzieć na koniu, i mógł to Ciarze objaśnić.

Najpierw skrócił jej pułsisko, a potem chwycił za biodra, żeby prawidłowo usiadła w siodle.

Ciara jego dotyk nie był niemiły i uśmiechnęła się do niego z góry.

- Dziękuję wam, panie Ferdynandzie. Ponieważ to wy podarowaliście mi tego konia, waszym obowiązkiem jest nauczyć mnie na nim jeździć.

- Z przyjemnością wypełnię ten obowiązek! - Ferdynand rzucił okiem, czy Ciara dobrze siedzi, wskoczył na swojego ogiera i wskazał na miasto.

- Pojedziemy z powrotem, bo na pewno już was szukają.

Ciara to nie odpowiadało, więc potrząsnęła głową.

- Nie możecie być tacy nieuprzejmi i uczyć mnie jazdy na oczach naszych przyjaciół. Wiecie, że będą się śmiać do rozpuku, gdy zobaczą, że zwisam z siodła jak worek.

Jeźdźmy dalej! Tu na drodze nauczę się na pewno szybciej niż w mieście.

Ferdynand wahał się jeszcze przez chwilę, ale potem się poddał.

- Dobrze! Ale musicie robić dokładnie to, co powiem.

- Będę zaszczycona - Ciara zamarkowała ukłon i natychmiast zaczęła się zsuwać z siodła.

Zanim spadła, Ferdynand podjechał bliżej, wsunął dłoń pod jej siedzenie i zadbał o to, żeby znowu siedziała poprawnie.

- Gdy robicie coś takiego, musicie się oprzeć na strzemionach - upomniał ją, choć wcale nie żałował udzielonej pomocy.

Dłoń, którą jej dotknął, płonęła niczym ogień, a on pomyślał nawet, czy nie powinien pojechać z nią do lasu, żeby znaleźli się sam na sam. Lecz wtedy spostrzegł jeźdźcę, który zatrzymał konia w cieniu drzew. Czy był to Oisín pilnujący siostry? Zaraz potem rozpoznał Aithila.

To na pewno Oisín kazał mu jechać za Ciarą. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, że chce podążyć niewłaściwą ścieżką, zaprosił gestem Aithila do nich.

Ten zbliżył się po krótkim wahaniu.

- Nie chciałem wam przeszkadzać, tylko dopilnować, żeby wszystko było w porządku.

- A kto uważa, że miałyby nie być? - zapytała poirytowana Ciara. - Poprosiłam pana Ferdynanda tylko o to, żeby mnie nauczył jeździć konno.

- Po tym, co widziałem, to faktycznie niezbędne - odparł Aithil z uśmiechem.

Ferdynand uznał, że już sobie pogadali, i kazał Ciarze jechać za sobą. Żeby jej nie zniechęcić, ruszył na razie stępa. Ale dla Ciary to i tak było trudne i już po chwili bolały ją wszystkie mięśnie.

- Dobrze się trzymam, jak myślicie?

- Trzymacie się znakomicie!

Ferdynand z zachwytem patrzył na młodą amazonkę. Jej włosy lśniły czerwienią w promieniach słońca, które przebijało się przez listowie, a jasna cera tworzyła piękny kontrast z ciemnym tłem lasu, który ciągnął się po obu stronach drogi, wysuwając gałęzie tak daleko, że troje jeźdźców raz po raz musiało składać głębokie ukłony.

Teraz jednak młoda dama pilnowała, żeby nie zsunąć się z siodła. Ferdynand trochę tego żałował, bo chętnie dotknąłby ją jeszcze raz i poczuł delikatny zapach jej włosów. Lecz w towarzystwie Aithila musiał odgrywać rolę uprzejmego nauczyciela jazdy konnej, choć miał ochotę na coś zupełnie innego.

Ciara nie skarżyła się na ból, wręcz przeciwnie, wciąż chciała jechać dalej. Dojechali więc z nią aż do następnego skrzyżowania dróg. Wtedy dotarły do nich jakieś odgłosy. Aithil i Ferdynand natychmiast zeskoczyli z koni. Ferdynand podał Irlandczykowi wodze swojego wierzchowca.

- Wprowadź konie w las. Ja zajmę się panną Ciarą.

Aithil skinął głową i pociągnął rumaki za sobą, podczas gdy Ferdynand wyciągnął ręce ku Ciarze i pomógł jej zsiąść z konia.

- Musimy się ukryć, bo nie wiem, kto to jest. Jeśli mamy pecha, to może być cała armia Clifforda maszerująca na Léana.

- Nie wywołujcie wilka z lasu! - szepnęła przerażona Ciara.

Choć dołączyli do nich żołnierze Szymona von Kirchberga, czekała ich ciężka walka, jeśli Anglicy będą chcieli odbić miasto. Z bijącym sercem weszła za Ferdynandem pomiędzy potężne dęby, których korony zasłoniły ich niczym tarcze. Zarośla o ciemnych kwiatach nadały się na kryjówkę dla koni, a Ciara, Ferdynand i Aithil też się tam schowali.

Po chwili Ferdynand potarł czoło.

- Słyszeliśmy, że tam na przedzie ktoś maszeruje, ale nikt się nie zbliża.

- Pewnie Clifford idzie jednak na Sligeach - odpowiedziała Ciara tak cicho, jakby się

bała, że wiatr poniesie jej słowa ku obcej armii.

- Musimy mieć pewność. Panie Aithilu, uważajcie, proszę, na pannę Ciare. Ja przekradnę się naprzód i sprawdzę, czy to rzeczywiście oddziały Clifforda. Może to ludzie O'Neilla, którzy idą na pomoc Ui'Domhnaill, a my niepotrzebnie się przed nimi chowamy.

- To Sasanach! Irlandczycy nie obwieszają się taką ilością żelaza - poinformowała go Ciara. Lecz on nic już nie odpowiedział, tylko pośpiesznie wyruszył.

Ciara popatrzyła za nim, a potem gwałtownie zwróciła się do Aithila.

- Pójdę za panem Ferdynandem. Jest Niemcem i nie wie o Anglikach tyle co my.

- A nie lepiej, żebym ja poszedł? - zapytał Aithil.

Ciara potrząsnęła głową.

- Ja nie utrzymam trzech koni. Jeśli jeden z nich się wyrwie i wybiegnie na drogę, Anglicy zwrócą na nas uwagę!

Choć Aithilowi wcale się to nie podobało, musiał przyznać jej rację. Z pochmurną miną skinął głową.

- Dobrze! Ale bądźcie ostrożni, maighdean!

- Zawsze jestem ostrożna - odpowiedziała Ciara z cichym śmiechem i ruszyła za Ferdynandem.

Znalazła go leżącego płasko na ziemi za jakimś krzewem niedaleko skrzyżowania. Szybko położyła się obok, opierając się na łokciach i popatrzyła przed siebie.

To faktycznie byli Anglicy, którzy ciągnęli w kierunku Sligeach. Piechota, jazda, armaty oraz wozy pełne prowiantu i prochu.

Gdy Ciara zrozumiała, że to nie Léana jest celem wroga, przeżegnała się z ulgą. A potem popatrzyła na rozgniewaną twarz Ferdynanda i skuliła się.

- Przecież powiedziałem wam, że macie zostać przy koniach - ofuknął ją cichym, ale ostrym głosem.

- Martwiłam się o was! Mogliście napotkać Irlandczyków, którzy by was nie znali i mogli wziąć za Anglika - skłamała z szelmowskim uśmiechem.

Samo to, że leżeli tu obok siebie, obserwując wrogich żołnierzy, warte było narażenia się na niebezpieczeństwo.

Lecz jej myśli powróciły do Anglików. Marsz wojska dowodził, że nie zamierzają zrezygnować z panowania w Irlandii. Ciara uświadomiła sobie, że trzeba będzie jeszcze wielu bitew, zanim jej ojczyzna stanie się wolna.

Pomodliła się w duchu, by straty po ich stronie nie były zbyt wysokie. Myśl, że w walce mógłby zginąć jej brat albo Ferdynand, była tak bolesna, że aż przycisnęła dłonie do

ust, żeby się nie zdradzić okrzykiem bóleści.

W przeciwieństwie do niej Ferdynand patrzył na wroga okiem żołnierza. Uzbrojenie Anglików było nowe, ale żołnierze w większości także byli nowicjuszami.

Doświadczeni wojacy maszerują inaczej. Może dlatego Conyers Clifford nie pociągnął na Léana, tylko zmierzał w kierunku Sligeach, by tam dołączyć do Ui' Connor.

Razem mogło im się udać wypędzić O'Domhnailla z Chonnacht.

- Aodh Ruadh O'Domhnaill musi dopaść Anglików, zanim dotrą do oddziałów Ui' Connor - powiedział do Ciary, gdy tylna straż wrogów minęła krzyżówkę dróg.

- Zrobi to, co będzie uważał za stosowne! - Ciara nie znała się na wojnie na tyle, by móc decydować, co najlepiej zrobić. Dlatego ufała swoim przywódcom, którzy już niejedną raz wyróżnili się w walce z Anglikami. Jasno dała to Ferdynandowi do zrozumienia.

Ferdynand uśmiechnął się na ten jej entuzjazm, lecz zbyt dobrze wiedział, że sam zapał i umiłowanie wolności nie przyniosą im zwycięstwa. Żeby pokonać Anglię, Irlandia musi się zjednoczyć, a przede wszystkim znaleźć sojuszników na kontynencie. To jednak było zadaniem ludzi takich jak Aodh Mór O'Néill czy Aodh Ruadh O'Domhnaill, a nie jego. On musiał teraz przede wszystkim bezpiecznie odwieźć przedsiębiorczą młodą damę z powrotem do Léana.

7

Dla Ciary powrót do miasta okazał się torturą. Poobijane siedzenie i mięśnie nóg bolały ją tak, że z trudem powstrzymywała łzy. W końcu Ferdynand potrząsnął głową.

- To nie ma sensu. Panie Aithilu, chwycicie, proszę, wodze Ciary. Ja wezmę ją na swojego konia. Może wtedy będzie lepiej.

- Skoro tak uważacie... - Aithil nie wyglądał na przekonanego.

Za to Ciara ucieszyła się, że poczuje wokół siebie ramiona Ferdynanda, i zapomniała trochę o bólu.

Pozwoliła, by Ferdynand podniósł ją z siodła i posadził na swoim ogierze. Trzymał ją przy tym tak, że bez trudu utrzymała się na grzbiecie wierzchowca.

Choć taki sposób jazdy nie był łatwy, oboje żałowali, że szybko dotarli do miasta, wjechali na dziedziniec i wycieczka była skończona.

Oisin zobaczył, że nadjeżdżają, i przestraszony wybiegł im naprzeciw.

- Coś się stało?

Aithil pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem.

- Ciara ma tylko parę otarć na tej części ciała, którą siedzi się w siodle. Pan Ferdynand

kilka razy ją prosił, żebyśmy zawrócili, ale wciąż chciała jechać dalej, i teraz ponosi tego konsekwencje.

Oisin z trudem stłumił uśmiech. Choć kochał siostrę, uważał, że odrobina bólu jej nie zaszkodzi. Może to będzie dla niej ostrzeżenie.

- Idź do Saraid! Ona się tobą zajmie - powiedział do niej, a potem popatrzył na Ferdynanda. - Powinniście byli zostawić ją na jej koniu, wtedy przekonałaby się, co to znaczy nieposłuszeństwo.

- Panna Ciara nie była nieposłuszna! To chyba raczej ja byłem zbyt pobłażliwy. Ale nasza wycieczka się opłaciła.

Mogliśmy poobserwować armię Conyersa Clifforda.

Ciągną na Sligeach.

- W takim razie nas nie zaatakują, chyba że zawrócą - dodał Aithil.

- To dobra wiadomość! - Oisin wyraźnie odetchnął i rozkazał Ionatánowi, żeby sprowadził Szymona von Kirchberga. - Spotkamy się w wieży i naradzimy, jak dalej postępować - dodał i skinął na Ferdynanda i Aithila, żeby za nim ruszyli.

Tymczasem Ciara dotarła do pomieszczeń kuchennych zamku. Gamhain leżała obrażona w kącie, bo pani nie zabrała jej na przejażdżkę. Gdy jednak poczuła krew, zerwała się ze szczeniakiem i przywarła do Ciary.

Znalazła się przy tym tak blisko poranionych miejsc, że pani zdecydowanie ją od siebie odsunęła.

- To boli! - skarciła sukę i poszła szukać swojej kuzynki. Gdy stanęła naprzeciwko Saraid, ta domyśliła się natychmiast, co jej dolega, i pokręciła głową. - Ty niecierpliwa istoto, pewnie chciałaś nauczyć się jeździć w jeden dzień, tak? Bardzo boli?

Ciara najpierw potrząsnęła głową, ale potem przytaknęła z jękiem.

- Cały tyłek pali mnie jak ogień, a nogi bolą tak, jakby z czarował je jakiś elf!

- Nie mów tak, bo jeszcze zapeszysz! - Przerażona Saraid rozejrzała się wokół i odetchnęła, gdy nie znalazła w kuchni żadnej tajemniczej istoty.

Ciarę za bardzo bolały mięśnie, żeby myśleć o elfach i duchach. Z jękiem oparła się o framugę drzwi i dotknęła swych bioder.

- Możesz mi jakoś pomóc?

- Oczywiście! Pójdź od razu do naszej komnaty.

Przyniosę maści. - Saraid już miała się odwrócić, lecz powstrzymał ją głos Ciary.

- Widzieliśmy Anglików. Ich oddziały minęły Léana i zmierzają ku Sligeach.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła Saraid.

Lecz ani jej, ani Ciarze nie umknęło, że kilka dziewczek służebnych strapiło się na tę wieść. To je zdenerwowało, bo przecież były takimi samymi Irlandkami jak one. Saraid postanowiła zmyć im potem głowy, ale na razie pomocy potrzebowała jej kuzynka. Ostрым tonem przypomniała służącym, na co mają zwrócić uwagę, a potem poszła do izby, w której trzymała swoje maści i lekarstwa, żeby zabrać wszystko, co potrzeba.

Gdy zaraz potem znalazła się w komnacie, którą dzieliła z Ciara, ta właśnie próbowała zdjąć z siebie suknię. Saraid patrzyła na nią przez chwilę, a potem pokręciła głową.

- Ale ci dopiekło! Chodź, pomogę ci!

Razem poszło łatwiej. W końcu Ciara stanęła przed Saraid w samej koszuli. Ta przyjrzała się czerwonym ranom, które zostawiły na białym płótnie ślady krwi i ropy i potrząsnęła głową.

- Głuptasie! Musiałaś jechać aż tak daleko? Teraz przez parę dni nie będziesz w stanie usiąść, a spać będziesz mogła tylko na brzuchu. - Saraid już miała ściągnąć kuzynce koszulę przez głowę, gdy spostrzegła, że materiał w kilku miejscach przykleił się Ciarze do ud.

- Ciągle z tobą kłopoty - burknęła, jakby miała do czynienia z małym dzieckiem, a nie z dziewczyną w wieku odpowiednim do zamęścia. Dopiero gdy zmoczyła przyklejone fragmenty koszuli ciepłą wodą, udało jej się oderwać je od skóry. To, co Saraid wtedy zobaczyła, przeszło jej najgorsze obawy.

- Jak będziesz mieć pecha, to zostaną ci blizny, których będziesz żałować do końca życia - ofuknęła kuzynkę i kazała jej się położyć na łóżku na brzuchu. Opatrując Ciare, cały czas pomstowała. W którymś momencie jednak się roześmiała.

- O co chodzi? - zapytała zaskoczona Ciara.

- Właśnie przyszło mi do głowy, że twój brat przez następne dni nie będzie się musiał martwić, że popełnisz jakieś głupstwo. Przy takich ranach nie ma mowy o żadnej namiętności.

- Co to ma znowu znaczyć? Mówisz tak, jakbym miała stracić dziewictwo z jakimś pierwszym lepszym! - wykrzyknęła z oburzeniem Ciara. Z drugiej strony cieszyła się, że Saraid nie widzi, jak się zaczerwieniła.

W ramionach Ferdynanda rzeczywiście czuła pragnienie, by się z nim połączyć.

- Nie z pierwszym lepszym - odpowiedziała spokojnie Saraid. - Tylko z tym młodym Niemcem. Mam na myśli Ferdynanda, nie jego kuzyna. Z nim na pewno poszłabyś do łóżka. Ale nic z tego, moja droga. Już ja cię dopilnuję.

- Naprawdę opowiadasz dzisiaj głupstwa! Jak tak będzie dalej, pójdę spać gdzie indziej! - wykrzyknęła oburzona Ciara i dopiero gdy Saraid zaczęła się głośno śmiać, dotarło

do niej, co właśnie powiedziała.

- Nie chodziło mi wcale o to, co myślisz! - dodała rozeźlona.

- A właśnie, że tak. Ferdynand to naprawdę przystojny młodzieniec. Podoba mi się nawet bardziej niż Buirre w swoich najlepszych czasach. - Mówiąc to, Saraid uważnie przyglądała się kuzynce i zauważyła, że Ciara lekko drży.

- A co cię obchodzi Ferdynand? - zapytała Ciara, z trudem nad sobą panując.

Saraid znowu się zaśmiała.

- Wiesz, od czasu do czasu samotność w łóżku doskwiera i pragnie się pary męskich ramion, do których można by się przytulić i nie tylko. Ale sama się zorientujesz, gdy kiedyś wyjdiesz za mąż.

Na ostatnie słowa kuzynki Ciara aż się skrzywiła, bo przypomniała sobie, że brat w każdej chwili może ją wydać za zupełnie obcego człowieka, żeby wzmocnić jakiś sojusz. Zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby temu zapobiec, lecz jedyne, co jej przyszło do głowy, to była ucieczka. A że sama nie mogłaby jej podjąć, potrzebowała Ferdynanda.

I jeszcze bardziej pożałowała tego, że, jak stwierdziła przed chwilą Saraid, z powodu pokaleczonego siedzenia przez dłuższy czas nie będzie mogła mu się oddać.

Westchnęła głęboko, mając nadzieję, że Oisín w najbliższym czasie nie zdecyduje się na szukanie dla niej narzeczonego.

Była tak cicho, że kuzynka zaczęła jej współczuć. Lecz zaraz pomyślała, że nie powinna wspierać Ciary w postępowaniu przeciwko prawom i obyczajom. Potem jednak przypomniała sobie, że sama nie zachowała się lepiej. Poróżniła się z Buirre'em i popchnęła go w ramiona Maeve. Była winna jej śmierci tak samo jak jej mąż.

Niedługo jednak rozważała pomysł wybaczenia Buirre'owi i zaproponowania mu powrotu do życia w zgodnym stadle. Opatrzyła Ciarę najlepiej, jak się dało, posmarowała jej rany maścią, a tam gdzie trzeba, założyła opatrunki. Gdy skończyła, podała kuzynce świeżą koszulę i doradziła jej włożenie lekkiej sukni.

- Inaczej za bardzo uciśnie twoje poranione siedzenie.

Ale uważaj, żeby wiatr nie unióś ci sukni i nie odsłonił nóg albo czegoś więcej! - dodała z drwiną w głosie.

Ciara skinęła głową, postanawiając, że rany nie przeszkodzą jej w uczynieniu tego, co jej zdaniem było niezbędne, by mogła utrzymać swój los we własnych rękach.

8

Wkrótce potem do Léana dotarła wieść, że Aodh Ruadh O'Domhnaill odniósł kolejne

wielkie zwycięstwo nad Anglikami. Ciara zapomniała o bolącej pupie i pośpieszyła do głównej sali zamku, żeby posłuchać posłańca, którego przysłał przywódca klanu Ui'Domhnaill. Teraz Ui'Domhnaill panowali na zachodzie Uladh i na północy Chonnacht, a Ui'Néill w środku i na południu Uladh wraz z sąsiadującymi obszarami Laighean, więc wydawało się, że wolność Irlandii jest blisko.

Ciara z radości objęła brata oraz Aithila i odważyła się nawet cmoknąć Ferdynanda w policzek. Wtedy nagle wyrósł przed nią Szymon von Kirchberg i rzucił jej natarczywe spojrzenie.

- Czy nie chcecie podzielić się swoją radością także ze mną i mnie także po przyjacielsku ucałować, panno Ciaro?

- zapytał ochryplym głosem, cały czas się w nią wpatrując.

Choć dziewczyna nie miała tak wysokiej rangi, jakiej pragnął dla swojej narzeczonej, to mimo wszystko była na tyle dobrze urodzona, że mogło to posłużyć jego ambicjom. Przede wszystkim jednak chciał zdobyć Ciarę, żeby udowodnić swojemu kuzynowi, który z nich jest lepszy. Szymon nie zapomniał Ferdynandowi, że ten odmówił mu ogiera, a poza tym zazdrościł mu uznania, jakie zdobył u Oisina O'Corry i jego wojowników.

Żądanie Szymona zirytowało Ciarę. Nie mogąc jednak zbyć sojusznika swojego brata, wyciągnęła szyję i musnęła wargami policzek Szymona. Potem chciała odejść, lecz on ją przytrzymał.

- Czy wiecie, jaka jesteście piękna? - zapytał cicho.

- Oczywiście, przecież od czasu do czasu patrzę w lustro! - odpowiedziała oburzona, próbując się uwolnić.

Lecz Szymon przyciągnął ją do siebie, żeby pocałować ją w usta. Opierała się i rozglądała wokół, szukając pomocy. Ale wszyscy dookoła skupili uwagę na posłańcu Aodha Ruadha O'Domhnailla, który z kuflem w dłoni opowiadał o zwycięskiej bitwie z armią Conyersa Clifforda. Nawet Ferdynand uważnie go słuchał.

Wiła się jak piskorz, nie chcąc ustąpić Szymonowi.

Chwycił ją mocniej, wbijając przy okazji palce w miejsce wciąż obolałe po nauce jazdy. Wydała z siebie okrzyk bólu i zobaczyła, że biegnie ku niej Gamhain, gotowa jej bronić. W tej samej chwili odwrócił się ku niej Ferdynand.

Gdy zrozumiał, że Ciara broni się przed natarczywością jego kuzyna, natychmiast do nich przyskoczył.

- Puść pannę Ciarę, bo inaczej zatłukę cię jak psa!

Ferdynand mówił cicho, żeby inni nie zwrócili uwagi na tę scenę, lecz ostrzeżenie

było wystarczająco dobitne.

Szymon chciał mu odpowiedzieć, że to nie jego sprawa, co robi z Ciarą. Lecz ona wykorzystała moment jego nieuwagi i wymknęła mu się.

- Dziękuję, panie Ferdynandzie! Wygląda na to, że wasz kuzyn wypił za dużo miodu i zapomniał o dobrych manierach. - Ciara z uśmiechem zamarkowała ukłon i odbiegła.

Szymon chciał za nią ruszyć, lecz na drodze stanęła mu Gamhain, ukazując białe kły, więc zrezygnował. Gdy suka pobiegła za swoją panią, chwycił Ferdynanda za ramię i przyciągnął go do siebie.

- Już pora, mały, żebyś przestał się wtrącać w cudze sprawy! - Poczucie, że znów przegrał z młodszym kuzynem, tak go bolało, że dodał ze złością: - Poza tym byłbym wdzięczny, gdybyś w przyszłości zwracał się do mnie w sposób należny szlachcicowi!

Ferdynand zrozumiał, że od tej pory Szymon nie będzie uznawał łączących ich więzów pokrewieństwa. Jemu było to już jednak obojętne. Skinął więc tylko głową.

- Niech tak będzie, panie von Kirchberg. Pozwolicie jednak, że domagać się będę od was tego samego.

Nazwijcie mnie jeszcze raz chłopcem albo małym, a nie uda wam się już posłać na mnie jakiegoś Vandermeera, tylko sami będziecie musieli zmierzyć się z moim mieczem albo z moimi pięściami.

Ostrzeżenie było jednoznaczne, a jednocześnie stanowiło obrazę, bo sugerowało, że Szymon jest tchórzem.

Ten aż zazgrzytał ze złości zębami, wiedział jednak, że w tym momencie nic nie wskóra przeciwko kuzynowi.

Z przerażeniem musiał przyznać, że boi się Ferdynanda.

Kuzyn powalił przecież Driesa Vandermeera, najsilniejszego z jego żołnierzy, a sam nie odniósł żadnego obrażenia. Szymon czuł się z tym nieswojo i postanowił na razie unikać Ferdynanda.

Pełen nienawiści odwrócił się do kuzyna plecami, przyłączając się do Vandermeera i pozostałych oficerów, którzy także przysłuchiwali się opowieści posłańca. Jego słowa jednak do niego nie docierały, ponieważ cały czas się głowił, jak odpłacić Ferdynandowi za upokorzenie, nie narażając się na pojedynek.

Ten, nieświadom nienawistnych rozważań kuzyna, podszedł do Ciary i uśmiechnął się do niej.

- Mam nadzieję, że macie się dobrze!

- Tak, dzięki waszej interwencji! Skoro pytacie, to powiem wam, że już niedługo

będziemy mogli kontynuować lekcje jazdy.

Ciara postanowiła dążyć prosto do celu. Jej brat musiał zrozumieć, że ona wyjdzie tylko za jednego człowieka, za tego tutaj. A potem przypomniała sobie pożądanie w oczach Szymona i stwierdziła, że powinna się uzbroić w ukryty pod suknią sztylet dla obrony przed kolejnymi napaściami.

Ferdynand popatrzył na nią tęsknie, żalując, że nie ma okazji, by udowodnić Oisinowi O'Corze, że jest jej wart.

To nie będzie łatwe. Lecz ponieważ nawet po zwycięstwie O'Domhnailla nad Conysem Cliffordem w Irlandii wciąż stacjonowały angielskie oddziały, miał nadzieję, że już wkrótce się z nimi zmierzy i będzie się mógł wyróżnić. Ciara wydawała mu się równie dzielna jak ponętna, była dla niego najlepszą nagrodą, jaką mógłby w życiu zdobyć. „Zdobędę ją, cokolwiek miałyby się stać” - przysiągł sobie i zaczął znów słuchać opowieści posłańca, którego przysłał do nich Aodh Ruadh O'Domhnaill i który specjalnie dla niego, Szymona oraz jego ludzi powtarzał wszystko po angielsku, żeby cudzoziemscy żołnierze też się dowiedzieli o chwalebnych osiągnięciach jego klanu.

9

Podczas gdy Irlandczycy mieli nadzieję, że wkrótce zrzucą angielskie jarzmo ze swojej wyspy, nad Londynem gromadziły się ciemne chmury. Choć doradcy królowej z Robertem Cecilem na czele powstrzymywali się od krytyki działań hrabiego Essex, to jednak raporty docierające do Elżbiety z Irlandii były jednoznaczne.

Tego dnia niemłoda już królowa stała przed swoim tronem wyprostowana jak świeca i patrzyła na zgromadzonych wokół panów zimnym wzrokiem.

Niektórzy z nich wyglądali tak samo szaro i ponuro jak Robert Cecil, który w podobnym do sutanny kaftanie i sztywnej kryzie przypominał raczej uczonego lub kapłana niż dworzanina. Inni natomiast nosili stroje z haftowanym klejnotami brokatu i jedwabiu, a ich palce zdobiły cenne pierścienie, za które można by wystawić całe kompanie gotowych do boju żołnierzy.

Przez chwilę Elżbieta zastanawiała się, czy nie zażądać od panów ich biżuterii w ramach wspierania królestwa, lecz szybko porzuciła tę myśl, bo wywołałoby to tylko wielkie oburzenie i gniew, którego sprawa nie była warta.

Poza tym to nie jej doradcy byli winni sytuacji w Irlandii, tylko ona sama. Nie powinna była ulec Robertowi Devereux, który chciał, żeby go wysłać na sąsiednią wyspę. Powinna była być na tyle roztropna, żeby odróżnić odwagę i dowcip od geniuszu wojennego.

Tych pierwszych Essexowi nie brakowało, lecz jako dowódca wypraw wojennych do tej pory wykazywał się tylko wtedy, gdy miał ze sobą mądrych doradców i do tego ich słuchał.

- Cóż, moi panowie, co macie mi do powiedzenia? - Głos Elżbiety przerwał panującą w sali ciszę.

Mężczyźni popatrzyli na siebie niezdecydowanie.

W końcu Robert Cecil wystąpił krok do przodu, lecz potem się zawahał.

- Nie słyszę - naciskała monarchini. - A przecież nawet wróble na dachach ćwierkają, że w Irlandii polegli angielscy żołnierze razem ze swoim generałem. Pomału zaczynam mieć dosyć wysłuchiwanie takich wiadomości.

Bagenal, Chichester, Clifford, ilu moich szlachciców i oficerów musi jeszcze umrzeć, zanim ten buntowniczy lud zostanie pokonany? Na Boga, powinnam była mianować lordem namiestnikiem Irlandii hrabiego Tyrone i zadowolić się jego przysięgą lenną, a nie posyłać tam takich ludzi.

Jej doradcy pochowali głowy w ramiona niczym mali chłopcy, którzy boją się burzy. Choć Elżbieta powiedziała

„ludzi”, wszyscy wiedzieli, że ma na myśli jednego konkretnego człowieka, a mianowicie Roberta Devereux, hrabiego Essex, faworyzowanego przez nią arystokratę.

Ponieważ jednak królowa już nieraz go strofowała, a potem znowu mu wybaczała, nikt nie ważył się powiedzieć przeciwko niemu choćby słowa.

Jeden z panów należących do stronników Essexu próbował się nawet za nim wstawić:

- Wasza Wysokość nie powinna obciążać hrabiego winą za porażkę Conyersa Clifforda. To wyłącznie jego wina, że wpadł w pułapkę zastawioną przez tego buntownika O'Donnella. Essex przecież podporządkował już sobie kilka rebelianckich klanów w Munster, a na dodatek zdobył zamek Cahir[34].

Królowa gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Nie po to wysłałam Essexu do Irlandii, żeby podejmował bezsensowne wyprawy wojenne w Munster!

Irlandzcy panowie, którzy buntują się tam przeciwko nam, poddaliby się natychmiast, gdyby został pokonany przywódca powstania, czyli Hugh O'Neill. Wydałam Essexowi bardzo dokładne rozkazy, a w listach napominałam go, żeby ich przestrzegał. Lecz on o to nie dba.

Zapadło pełne zakłopotania milczenie. Do tej pory królowa nie użyła słów, które byłyby decydujące dla losu Essexu, słów „zdrada stanu”. Choć Essex swoją arogancją zraził do siebie niejednego, nikt nie chciał być tym, który pierwszy rzucił to hasło. Robert Cecil

zwilżył językiem usta, a potem podniósł dłoń.

- Proszę Waszą Wysokość o pozwolenie na zabranie głosu.

- Od kiedy to potrzebujecie mojego pozwolenia? - zapytała Elżbieta z ironią w głosie.

- Wezwijcie Essexa z powrotem, mianujcie go pierwszym parem Anglii, każcie mu pisać sonety i przygrywać wam na lutni, ale przekazcie innym ludziom zadanie pokonywania waszych wrogów.

Rada była słuszna, Elżbieta wiedziała to doskonale.

Lecz równie dobrze rozumiała, że Essex nigdy nie zadowolony się samym dworskim ceremoniałem. Potrząsnęła więc głową.

- Nie, panie! Nie sprowadzę hrabiego Essex z powrotem z Irlandii, tylko wydam mu surowy rozkaz, by nie opuszczał tej wyspy, dopóki nie stłumi buntu. Wciąż dysponuje dużą armią i dowódcami, których rad powinien słuchać.

Elżbieta popatrzyła na wszystkich swoich doradców, których знаła jako stronników Essexa, i wskazała na nich.

- Napiszcie mu to! I napiszcie mu także, że jest moim życzeniem, by natychmiast ruszył na buntownika O'Neilla z Tyrone. Po to dałam mu największą armię, jaka kiedykolwiek opuściła Anglię. Niech nie waży się prowadzić jej z powrotem do ojczyzny w hańbie.

Nikt nie protestował. Kilku panów odetchnęło nawet z ulgą, ponieważ niezadowolenie Elżbiety z sytuacji w Irlandii rosło z tygodnia na tydzień. Sama królowa zastanawiała się teraz, czy nie wydała owego rozkazu z tchórzostwa, by nie musiała po powrocie Essexa wysłuchiwać jego wymówek, w których hrabia odpowiedzialnością za swoje porażki obciążał innych.

Wciąż jednak miała nadzieję, że Essex w obliczu swojej sytuacji wykrzesze z siebie zdecydowanie niezbędne do tego, by pokonać takiego wroga jak Hugh O'Neill. Nie po raz pierwszy żałowała, że Irlandczyk nie chce się poddać angielskim prawom i przynajmniej na pokaz zachowywać się tak, jakby porzucił katolicką wiarę i przyjął religię panującą w Anglii. Lecz jak większość Irlandczyków był uparty i nie chciał zrozumieć, że nie wszystko mu wolno.

Nagle zorientowała się, że doradcy wciąż na nią patrzą, więc machnęła ręką, jakby odpędzała muchę.

- Co tak tu wszyscy ciągle stoicie? Przecież powiedziałam, że macie napisać do hrabiego Essex i powiadomić go, że nie spotka się z moją niełaską tylko pod warunkiem, że wróci do Londynu jako pogromca Irlandii!

Uznała to za wręcz komiczne, że tak zwykle dostojni panowie w pośpiechu opuszczają salę. Nawet Robert Cecil oddalił się z ukłonem, a sądząc po jego minie, nie bardzo wiedział, co sądzić o hrabim Essex i jego poczynaniach w Irlandii.

Ona sama też napisze list do Essexu i dokładnie wyjaśni, czego od niego oczekuje. Nie wybaczy mu kolejnego rozczarowania. Na tę myśl łzy napłynęły jej do oczu. Kochała Roberta Devereux jak własnego syna i miała nadzieję, że on okaże się tego godzien. Lecz ta nadzieja umarła, a Elżbieta czuła, jak jej serce ogarnia chłód.

- Proszę, Robinie, nie rozczaruj mnie znowu - szepnęła, otarła łzy z oczu i z kamienną twarzą wkroczyła do swoich komnat.

Natychmiast podeszły do niej damy dworu i ukłoniły się. Elżbieta, ominąwszy je wzrokiem, wskazała na swoje biurko.

- Przynieście mi papier, inkaust i pióro, byle szybko!

Damy rozbiegły się niczym wystraszony drób, jednak przyniosły co trzeba i zaraz potem królowa trzymała w dłoni pióro, zastanawiając się, jak zacząć list do Essexu. Jej słowa powinny zabrzmieć ostro i wyraźnie dać mu do zrozumienia, że może popaść w niełaskę, lecz muszą być jednocześnie na tyle uprzejme, żeby nie wywołać gniewu u znanego z gwałtownego charakteru hrabiego. Próbowwała sformułować odpowiednie zdania, jednak zrozumiała, że tego się raczej pogodzić nie da.

10

Dzięki zwycięstwu Aodha Ruadha O'Domhnailla pod Curlew Pass[35] Léana było na razie bezpieczne. Oisín O'Corra mógł odetchnąć i liczyć na to, że będzie w stanie utrzymać to małe miasteczko jako centrum poszerzonego terytorium klanu. Do tego potrzebował jednak sprzymierzeńców i tu w grę wchodziło ewentualne zamążpójście Ciary. Musiał także podjąć decyzję, czy będzie się dalej trzymać Aodha Móra O'Néilla, czy też sprzymierzy się z jego sojusznikiem i największym rywalem, Aodhem Ruadhem O'Domhnailem. Niczego na razie nie przesądzając, wybrał się na poszukiwanie siostry.

- Mogę z tobą porozmawiać? W cztery oczy! - powiedział, gdy Saraid zbliżyła się z ciekawością.

Ciara przyjrzała mu się. Próbując wyczytać coś z jego twarzy, stwierdziła, że wciąż są sobie obcy. To pewnie dlatego, że brat był od niej piętnaście lat starszy, a na dodatek większą część swojego życia spędził na kontynencie.

- Możemy wspiąć się na mury - zaproponowała.

- Dobrze! - Oisín przepuścił ją, a potem musiał jeszcze ustąpić Gamhain, która nie

pozwoliła rozdzielić się ze swoją panią. Gdy stali na murach, Oisín zamyślił się, patrząc na okolicę.

Las wydawał się stąd dziwnie daleki, ponieważ wokół miasta rozciągały się szerokie pola, na których pracowali gospodarze i parobkowie. A zbocza wzgórz porastały gęste pastwiska dla krów i owiec.

- To żyzna ziemia i chciałbym ją zatrzymać - rozpoczął rozmowę.

Zaskoczona Ciara zmrużyła oczy.

- Leży zbyt daleko od naszego zamku.

- Nie tak bardzo daleko. Obu części wcale nie musi łączyć szeroki obszar. Wystarczą dwie albo trzy mile, no może pięć - odpowiedział, choć równie dobrze jak siostra wiedział, że żaden z ich sąsiadów na to nie pozwoli. - Do tego potrzebujemy sojuszników - kontynuował. - Najlepszy byłby klan, który łączyłyby z nami więzy pokrewieństwa.

Dopiero teraz Ciara zrozumiała, czego od niej chce, i stanowczo pokręciła głową.

- Nie wyjdę za człowieka, którego nie znam, tylko po to, żebyś mógł utrzymać to miasto.

- To twój obowiązek jako córki klanu! - Nic innego nie przyszło Oisínowi do głowy. A potem przypomniał sobie jej zauroczenie Szymonem von Kirchbergiem i mocno ją chwycił.

- Nie myśl sobie, że dam cię temu Niemcowi!

Przestraszona Ciara pomyślała, że domyślił się jej uczucia do Ferdynanda, lecz następne słowa brata świadczyły o tym, że nie zna jej prawdziwych uczuć.

- Szymon von Kirchberg to dzielny żołnierz, ale ma niewielu ludzi. Największa część jego batalionu to żołnierze przekazani pod jego dowództwo przez Aodha Móra O'Néilla, któremu on sam przysiągł wierność. Nie będą dla nas walczyć, jeśli inne klany zaczną wysuwać roszczenia wobec tych ziem.

- Dlaczego chcesz walczyć z innymi klanami o to małe miasteczko, Oisínie? To Anglicy są naszymi wrogami, a nie nasi irlandzcy rodacy. - Ciara miała nadzieję, że skłoni brata do ustępstw, lecz Oisín wyznaczył już sobie cel i zamierzał za wszelką cenę go osiągnąć.

- Znajdę ci dobrego człowieka, kogoś, kto będzie cię traktować z szacunkiem i kto pomoże naszemu klanowi zadbać o jego prawa. To moje ostatnie słowo!

Zanim Ciara zdołała cokolwiek powiedzieć, nadbiegł Ferdynand. Jego oczy lśniły podnieceniem i nawet nie zadał sobie trudu, żeby zapiąć koszulę.

- O'Néill przysłał posłańca! Mamy dołączyć do niego z tyloma ludźmi, ilu tylko

zdołamy zebrać. Essex wyruszył i zmierza ku Uladh.

- Co wy mówicie? - Oisin zostawił siostrę i pośpieszył ku Ferdynandowi.

- Zbliża się decydująca bitwa! Jeśli uda nam się pokonać oddziały hrabiego Essex, angielska królowa nie znajdzie już żadnego dowódcy, który odważy się poprowadzić armię przeciwko Irlandii.

Entuzjazm Ferdynanda udzielił się Oisinowi. Ukląkł i złożył dłonie.

- Mój Boże, dziękuję, że dajesz mi możliwość udowodnienia dzielności i potęgi naszego klanu, i proszę cię, daj nam siłę, byśmy pokonali wroga i pokazali wszystkim Irlandczykom, kim są Ui'Corra.

- Więc jednak Essex atakuje! - Ciara też się przeżegnała, ale raczej z troską, gdyż przez ostatnie tygodnie wiele słyszała o ogromnej armii Anglików, która zdawała się niepokonana. Poszukała wzroku Ferdynanda i zrozumiała przyczynę jego entuzjazmu. Chciał pokazać, że jest jej godny. To jednak znaczyło, że będzie walczył nierozsądnie, nie zważając na własne życie. Na myśl o tym, że mógłby zginąć, poczuła ból i postanowiła, że poprosi go, żeby był ostrożny. Przede wszystkim chciała być blisko, by móc go opatrzyć, gdyby został ranny.

Drżąc w głębi duszy, podeszła do brata.

- Jadę z wami.

Oisin już miał jej odmówić, ale potem pomyślał, że w ten sposób będzie miał okazję przedstawić siostrę paru przywódcom klanów jako kandydatkę na żonę albo synową, więc skinął głową.

- Dobrze, ty i Saraid możecie jechać. Ale potrzebujecie kogoś do ochrony. Kirchberg, wy będziecie za to odpowiedzialni! Strzeżcie mojej siostry jak oka w głowie.

I mojej kuzynki oczywiście też.

- Oczywiście, panie Oisinie! - Ferdynand poczuł na sobie spojrzenie Ciary i pomyślał, że to zupełnie jakby wyznaczyć lisa do pilnowania kurnika.

11

Ciara opuściła miasto z przeczuciem, że nigdy więcej nie zobaczy Léana. Z westchnieniem potrząsnęła głową i nazwała się w duchu głuptasem. „Bóg nie opuści Irlandii w potrzebie, nie w obliczu angielskich heretyków” - powiedziała sobie i popatrzyła przed siebie. Oisin jechał na czele kolumny, a za nim Ferdynand i Aithil. Potem maszerowali pozostali wojownicy Ui'Corra. Niedaleko jechał na czarnym mule ojciec Maitiú. W czarnym habicie wyglądał niczym anioł śmierci albo jak *bean sidhe*, zjawą będąca posłańcem

śmierci[36]. Brat nie mógł zostawić fanatycznego kapłana w mieście, ponieważ przetrzymywano tam ponad stu Anglików. Oisín nie miał też odwagi zostawić ich pod opieką ludzi ze swojego klanu, bo obawiał się, że po otrzymaniu złych wieści mogliby wyładować frustrację na jeńcach i ich pozabijać.

A ci byli zbyt cenni jako zakładnicy i chciał ich oszczędzić na jakąś stosowną okoliczność.

Zostawił więc jako załogę w mieście Szymona von Kirchberga i jego żołnierzy. Po pierwsze, stało się oczywiste, że dwaj kuzyni przestali się dogadywać, a po drugie, Ferdynand lepiej rozumiał irlandzki sposób walki.

Ciara, zaskoczona tym, dokąd ją prowadzą jej własne myśli, spostrzegła, że została w tyle za maszerującą kolumną, więc popędziła konia. Postanowiła, że podróż odbędzie na wierzchowcu. Saraid też siedziała w siodle, ale na osie, który towarzyszył im już podczas wielu wojennych wypraw. „Z niego przynajmniej blisko do ziemi” - pomyślała Ciara i zachichotała. A potem skupiła swoją uwagę na Gamhain, która kłusowała obok niej.

Widać było, że wielka suka jest urażona. Nie lubiła, gdy pani siedziała tak wysoko nad nią. Próbowwała stanąć na tylnych nogach i oprzeć się przednimi na siodle, ale ogier za każdym razem usuwał się w bok.

- Chodź i bądź grzeczna! Dostaniesz na kolację coś wyjątkowego. - Ciara próbowała ułagodzić sukę.

A jej myśli znów powędrowały mimowolnie do Szymona von Kirchberga. Dysponował on teraz tylko tymi żołnierzami, z którymi przepłynął morze, ponieważ Aodh Mór O'Néill odebrał mu ludzi, których mu wcześniej przydzielił. Ich oddział maszerował teraz pod dowództwem Driesa Vandermeera niedaleko przed nimi.

Szymon wpadł we wściekłość, gdy dotarła ta wiadomość, i obrzucił O'Néilla wszelkimi możliwymi inwektywami.

Ciara uważała, że mu się należało, bo ostatnimi czasy zachowywał się bardzo natarczywie.

- Chyba naprawdę rozzłościłmy królową elfów, bo zaczyna padać! - mruknęła Saraid.

Ciara odwróciła się do niej ze śmiechem.

- Przecież w naszym kraju często pada!

- Owszem, ale moglibyśmy przecież, do dia... - Saraid przerwała i kontynuowała, nie wypowiedziawszy słowa do końca - nie moknąć, skoro jesteśmy w drodze. Wczoraj na przykład wcale nie padało, a przedwczoraj tylko odrobinę.

- W takim razie miejmy nadzieję, że i dziś popada tylko odrobinę. - Ciara spojrzała w niebo, które wisiało nad nimi niczym wąski pas szarości. Po obu stronach drogi ciągnął się ciemny, tajemniczy las. Wydawał się nieruchomy, a mimo to był pełen życia. Zapewniał też żywność, gdy żniwa się nie udały, a głód, niczym wychudzone widmo, stukał do drzwi.

Krople deszczu, które spadły jej na twarz, przypomniały jej uwagę Saraid. Niestety nie wyglądało na to, żeby miała to być przelotna mżawka. „Choć właściwie to dobrze - pomyślała - bo gdy drogi pokryje błoto, Anglikom z armatami i wozami z prowiantem będzie trudniej się poruszać niż ich ludziom”. Irlandczycy mogli swobodnie maszerować pod porastającymi las olbrzymimi drzewami, bo to, co niezbędne, nieśli na własnych plecach.

Przez kolejne godziny padało bez przerwy, a Ui'Corra zaczęli żałować, że maszeruje przed nimi oddział Driesa Vandermeera. Ponieważ jego ludzie rozdeptywali drogę, podłoże robiło się tak błotniste, że oni zapadali się już po kostki. W końcu Oisin dał rozkaz, żeby skrócić w las.

Dla Ciary, Saraid oraz pozostałych jeźdźców oznaczało to, że muszą zsiąść z wierzchowców i iść pieszo. Choć kolumna rozproszyła się pośród drzew w bezładną gromadę, poruszali się szybciej niż na drodze, a wieczorem Toal, który służył jako zwiadowca, powiadomił ich, że wyprzedzili żołnierzy Flamandczyka.

- Są chyba wolniejsi od Anglików - zadrwił Aithil.

- Nie sędzę, bo tamci prowadzą ze sobą wozy i armaty.

Gdyby mogli, postawiliby nawet te swoje zamki na kołach i zabrali ze sobą, żeby się zabezpieczyć przed naszymi atakami! - Oisin ze śmiechem klepnął Aithila w ramię i osobiście zabrał się do przygotowania obozowego ogniska. Najpierw ścięli dwie długie gałęzie, ogołocili je z liści, a potem wbili w ziemię. Nad nimi rozciągnęli starą skórzaną derkę, która zasłaniała rozpalony pod spodem ogień przed deszczem. Nad nim powieszono kocioł, w którym należało ugotować zupę.

Ciara i Saraid nie mogły zignorować rzucanych im spojrzeń, więc zabrały się do pracy. Przy pozostałych ogniskach wyznaczono do gotowania najmłodszych wojowników. Toal zgłosił się nawet na ochotnika, żeby poczuć się jeszcze bardziej potrzebnym. Ionatán nie zawahał się, by mu pomóc.

- Nastroje są doskonałe. Nie widać wcale, że ciągniemy na bitwę z przeważającymi siłami wroga - pochwalił Ferdynand Irlandczyków.

- Dlaczego mielibyśmy się bać? - zapytał ze śmiechem Aithil. - Dopóki Pan Bóg jest z nami, liczba wrogów nas nie przerazi. Jak to stało w Biblii? Bóg pokonał faraona, jego jeźdźców, konie i rydwany! Teraz też tak będzie.

Angielskie chorągwie legną w pyle...

- Raczej w błocie - zadrwił Ferdynand.

- A razem z nimi angielska duma - kontynuował Aithil, nie zwracając na niego uwagi.

- Śmierć Anglikom! Śmierć wszystkim heretykom! - wykrzyknął ojciec Maitiú. -

Ludzie, nie miejcie litości!

Każdy zabity Anglik jest niczym szczebel w drabinie prowadzącej was do Królestwa Niebieskiego. Zabijcie ich wszystkich i zadbajcie o to, by ta ich nibykrólowa, fałszywa Elżbieta, bękart tej dziwki Anny Boleyn, skryła swą twarz ze wstydu i zgryzoty. Powiadam wam... - I tak dalej.

Ferdynandowi nie podobało się przemówienie kapłana, więc oddalił się od ogniska. Nagle tuż obok niego pojawił się cień, którym okazał się Cyriakus Hufeisen.

Oficer z odrazą pokręcił głową.

- Tak na gębę to Irlandczycy już tę wojnę wygrali.

Miejmy nadzieję, że spełnią to, co tak chępliwie zapowiadają.

- Irlandczycy są dzielni. Sam już nieraz mogłeś się o tym przekonać. Cieszymy się ich odwagą - ofuknął starego wiarusa Ferdynand.

- Nie mam nic przeciwko odwadze, panie Ferdynandzie. Nie mówię też, że Irlandczycy są mocni jedynie w gębie. Tyle że jak dla mnie, to za bardzo ufają Bogu, a za mało własnemu rozumowi. Ale cóż! Siedzimy w tym po uszy i możemy mieć tylko nadzieję, że tego nie pożałujemy. Proszę nie brać mi za złe tych słów. Jak kogoś zobaczę, zagwizdzę. - Z tymi słowami Hufeisen dotknął dwoma palcami swojego przemoczonego beretu i odszedł.

Ferdynand popatrzył za nim w zamyśleniu, a zaraz potem zorientował się, że w pobliżu jest także Ciara. Tak stanęła za drzewem, żeby nie było jej widać od strony ognisk i kiwnęła na niego.

Ferdynand podszedł do niej i się uklonił.

- Wybaczcie, pani, ale nie powinniście oddalać się tak bardzo od ognisk. Żołnierze Vandermeera mogą obozować gdzieś w pobliżu, a to nieokrzesani ludzie.

- Ufam waszej opiece, panie Ferdynandzie - powiedziała Ciara z uśmiechem, a serce łomotało jej w piersi. Zastanawiała się, czy to jest właśnie ta okazja, na którą tak długo czekała. I czy Ferdynand w końcu zrozumie, że ona cała chce być tylko jego.

Ferdynand poczuł pokusę niczym słodki, odurzający zapach. Zanim się opamiętał, trzymał ją w ramionach i całował. Ona pozwoliła na to przez chwilę, a potem wskazała na pobliskie obozowisko.

- Powinniśmy wejść trochę dalej w las, panie Ferdynandzie, i znaleźć jakieś suche

miejsce. Nie chciałabym, żeby ktoś nas zobaczył.

- Boże broń, oczywiście, że nie! - Szczęśliwy, że przynajmniej ona zachowała trochę rozsądku, podał jej ramię i zaprowadził w miejsce, gdzie drzewa rosły gęściej, a ich korony tworzyły dach, zapraszając do schronienia się przed deszczem.

- Dlaczego nie rozbiliśmy obozu tutaj? - zdumiał się Ferdynand. - Przecież mielibyśmy dużo bardziej sucho niż tam, bliżej drogi.

- To nie jest miejsce na obóz, panie Ferdynandzie. My też nie powinniśmy tutaj zbyt długo przebywać. W takich miejscach znajdują się wejścia do królestwa wrózek albo kręcą się chochliki, które płatają ludziom figle. Żaden Irlandczyk nie położyłby się tutaj spać.

- Ale my wcale nie zamierzamy spać! - Ferdynand rozłożył na ziemi swój płaszcz i usiadł.

Ciara wahała się przez chwilę, ale potem usiadła obok niego. Najpierw siedzieli koło siebie w milczeniu. Żadne nie śmiało nic powiedzieć, żeby nie zepsuć czaru tej chwili. Lecz powoli przysuwali się do siebie, aż w końcu Ciara oparła się o niego i spojrzała mu w oczy. Było już zbyt ciemno, żeby mogła widzieć jego twarz. Dostrzegła tylko jasne punkciki jego oczu. „Niczym dwie gwiazdy” - pomyślała rozmarzona i pogładziła go po policzku.

- Czy ty też wierzysz, że dwoje ludzi może być sobie przeznaczonych? - zapytała po chwili.

- Oczywiście! - Ferdynand objął ją, zapominając o kuzynie, o krewnych w Bawarii, a nawet o Oisinie, Aodhu O’Néillu i Anglikach. Czuł się tak, jakby byli na świecie tylko oni dwoje. „Jak kiedyś Adam i Ewa” - pomyślał, przysuwając ją do siebie i całując.

A ona się nie bronila i odwzajemniła pocałunek.

Znów minęły długie chwile, kiedy nic się nie działo.

Tylko jego uścisk był coraz mocniejszy, a on czuł, że krew w żyłach płynie mu coraz szybciej.

- Pragnę cię - szepnął. - Pragnę cię bardziej niż własnego życia!

- Ja też cię pragnę. I to nie pożądanie mnie ku tobie skłania, lecz moja wola, by należeć do ciebie po wszystkie czasy.

Ciara zdawała sobie sprawę, że moment, w którym mogłaby się wycofać, właśnie minął, lecz nie żałowała tego. Od Saraid wiedziała co nieco jak to przebiega.

Jednak nie chciała parzyć się z mężczyzną za krzakiem jak byle dziewczka z pośpiesznie podciągniętą spódnicą, więc zaczęła się powoli rozbierać. A że w ciemnościach nie było to łatwe, poprosiła Ferdynanda o pomoc.

Zaraz potem leżała na jego płaszczu naga, ale okryta zasłoną nocy przed spojrzzeniami

i ciekawskich, i Ferdynanda.

Jego dłonie dotknęły jej ciała, poczuły jego ciepło i kształt, który był po kobiecemu miękki, a jednocześnie mocny.

A ona czuła, że płonie pod jego dotykiem. Zapagnęła poznać jego ciało, tak jak on poznawał jej, więc sięgnęła mu pod koszulę.

- Rozbierz się! - poprosiła, bo chciała dotknąć go nagiego. Jego pierś była twarda i muskularna. Zdradzała, że jest w nim więcej siły niż wskazywała na to jego szczupła sylwetka.

Teraz Ferdynand potrzebował jej pomocy. Zaraz potem leżeli przy sobie, wędrując dłońmi po swoich ciałach.

Ciara głęboko westchnęła.

- Nie powinniśmy zwlekać zbyt długo. Tylko że ja tego jeszcze nigdy nie robiłam. A ty?

- Parę razy! No cóż, właściwie to dwa. Jak miałem czternaście lat, jedna dziewczka w majątku mojego stryja uwiodła mnie na stogu siana, a potem mój kuzyn Andrzej zabrał mnie w Augsburgu do zamtuza. Ale tam mi się nie podobało.

Ferdynand uznał, że zamiast grzebać w pamięci, powinien przejść do rzeczy. Delikatnym ruchem ułożył Ciarę na plecach, rozsunął jej uda i położył się na niej.

Najpierw wystraszona wstrzymała oddech, ale potem poddała się namiętności i pozwoliła mu na wszystko.

Choć jego doświadczenia z kobietami nie dotyczyły dziewic, wiedział, że powinien być ostrożny i panował nad sobą. Najpierw pieścił piersi Ciary ustami, a potem przesunął się i delikatnie w nią wszedł.

W pierwszej chwili Ciara poczuła się dziwnie, mając w sobie jego członek, ale zaraz potem się odprężyła i napawała się bliskością, jakiej nie doświadczyła dotąd z nikim innym. Czuła podniecenie, gdy on ruszał się powoli do przodu i do tyłu, i pragnęła, by ta chwila nigdy się nie skończyła.

Sami nie wiedzieli, ile trwali w namiętności, ale w końcu Ferdynanda opuściły siły i legł obok niej, ciężko dysząc.

- To było cudowne - szepnął.

Ciara przytaknęła, mimo że on nie mógł tego zobaczyć.

- Owszem! Ale nie powinniśmy popełnić następnego głupstwa i leżeć sobie tutaj, aż ktoś nas znajdzie. Dalej, pomóż mi się ubrać. A ja potem pomogę tobie.

- Chciałbym móc poprosić twojego brata o twoją rękę - odpowiedział Ferdynand,

który myślał raczej o przyszłości niż o chwili obecnej.

- Nadejdzie taki dzień!

„Nawet jeśli najpierw moje ciało będzie się musiało zaokrąglić” - dodała w myślach. Ferdynand pochodził ze szlachty, był dzielny i roztropny wojownikiem. Gdyby nawet Oisín najpierw się rozgniewał, to w takim przypadku nie pozostanie mu nic innego, jak zgodzić się na jej ślub z Ferdynandem. To jednak trochę potrwa, a ona nie chciała przez nieostrożność zwrócić uwagi Oisina na to, że między nią a Ferdynandem coś się dzieje.

Ubrała się przy pomocy Ferdynanda, a potem pomogła mu z nogawicami, koszulą i kaftanem.

- Butów nie wkładajmy, żeby nas nie usłyszeli, gdy wrócimy do obozu. Tylko nie krzycz, jeśli nadepniesz na jakiś kolec! - ostrzegła go.

Ferdynand z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Nie martw się, będę milczał jak grób! - A potem pomyślał, że to nie najlepsze porównanie i dodał, że będzie milczał jak las nocą.

- Lepiej nie! Sam posłuchaj - poradziła mu Ciara.

Do Ferdynanda natychmiast dotarł szum olbrzymich drzew, okrzyki polujących sów i mnóstwo innych dźwięków, które sprawiały, że las wydawał się żywą istotą. Aż poczuł się nieswojo, gdy szli za rękę ku obozowym ogniskom, których niewielkie płomienie podtrzymywali pełniący wartę.

Droga była dłuższa niż się wydawało, i zanim dotarli do obozu, z ciemności oderwał się jakiś cień. Ciara ledwo zdołała powstrzymać okrzyk; była pewna, że ich przyłapano. Ale to był tylko Cyriakus Hufeisen, który wiernie trzymał straż.

- Długo was nie było - powitał ich, a po jego głosie można było rozpoznać, że się uśmiecha. - Ale chodźcie już! My z panem Ferdynandem wrócimy razem i skupimy na sobie uwagę, żebyście wy, panno, mogli niepostrzeżenie wślizgnąć się do obozu.

- Pewnie miłujecie swojego pana? - zapytała cicho Ciara.

- Czy w przeciwnym razie wystąpiłbym z jego powodu ze służby u Szymona von Kirchberga, choć pan Ferdynand nie ma ani grosza, żeby mi zapłacić? - odpowiedział Hufeisen pytaniem.

- Ferdynand jest o niebo lepszy od Szymona! - Oczy Ciary aż zaiskrzyły, ostrzegając obu mężczyzn przed próbami protestu.

Hufeisen roześmiał się cicho, a Ferdynand poczuł, że krew uderza mu do głowy. Nigdy nie chciał się wywyższać ponad Szymona ani kogokolwiek, a jednak ucieszył się, że Ciara widzi w nim kogoś lepszego od kuzyna.

- Pośpieszmy się - powiedział, poszukał w ciemnościach ręki Ciary, podniósł ją do ust i pocałował. - Jesteś cudowna!

- Cieszę się! - Ciara uściśnęła jego dłoń i poczekała, aż razem z Hufeisenem wejdą do obozu.

- I co? Zauważyliście coś? - zapytał stary wiarus wartowników.

Ci odwrócili się do niego i pokręcili głowami.

W świetle ogniska wyglądało to tak dziwnie, że rozbawiona Ciara ledwo stłumiła śmiech. Szybciutko przemknęła za plecami mężczyzn do miejsca, w którym jej kuzynka już spała. Tam owinęła się derką i poczuła z irytacją, że ta jest cała mokra, podczas gdy paręset kroków stąd ochroniłby ich przed deszczem królewski dach z liści. Potem jej myśli zaczęły błądzić. Nie wiedziała, co przyniesie jej przyszłość, ale jedno było dla niej jasne: jej miejsce zawsze już będzie u boku Ferdynanda.

12

Następnego dnia pomimo deszczu dalej maszerowali drogą, by poznać oddziały innych klanów. Wymieniano wesołe okrzyki, przywódcy witali się z radością i pili whisky ze srebrnych manierek.

Wojownicy też się bratali, co wcale nie przeszkadzało im sobie docinać.

- Hej, krowokrady! Znowu się gdzieś wybieracie? - rzucił ktoś do Aithila.

Ten uśmiechnął się szeroko i odparł przyjaźnie:

- Tym razem złapiemy porządną krowę, angielską.

Ponoć dają dziesięć razy więcej mleka niż irlandzkie.

- Racja! Ale w takim razie zostawcie w spokoju nasze.

Mówiąc między nami, jak następnym razem przyłapiemy jakiegoś Ui'Corra w pobliżu którejś z naszych krów, powiesimy go i będzie sobie dyndał że ho, ho!

- Co za zbieg okoliczności! My mamy wobec was takie same zamiary. - Aithil podał swojemu rozmówcy dłoń. - Ale zanim się nawzajem powywieszamy, powinniśmy jeszcze troszkę podokuczać Anglikom. Spokojnie, jest ich tylu, że starczy dla wszystkich! Hrabia Essex zebrał ponoć pod swoimi chorągwiami wszystkich włóczęgów z Anglii!

- W takim razie to musi być potężna armia, bo włóczęgów akurat w Anglii nie brakuje. Ale założę się z tobą, Aithilu O'Corra, że każdy z nas pośle do piekła pięć razy więcej Anglików niż wy. Przecież każde dziecko w Irlandii wie, że jeden Ui'Rueirc jest wart pięć razy tyle co jeden Ui'Corra.

- Za te słowa będziesz mnie po bitwie przepraszał, Cuolánie O'Rueirc - oznajmił

Aithil surowym tonem. - My, Ui'Corra, pokażemy bowiem, że każdy z nas jest wart tyle co pięciu waszych.

Ferdynand z uśmiechem przysłuchiwał się wzajemnym docinkom Irlandczyków, choć nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ci ludzie zbyt lekko traktują wojnę. W końcu mieli naprzeciw siebie największą armię Anglii, z naczelnym dowódcą, którego odwagę sławiono w całej Europie. Miał nadzieję, że nie nastąpi gorzkie otrzeźwienie. Po chwili odwrócił się i zaczął szukać wzrokiem Ciary. Przyłączyła się do grupy kobiet i dziewcząt, które podobnie jak ona towarzyszyły wojownikom swoich klanów. Były to w większości młode, szczupłe niewiasty o jasnych, pokrytych piegami twarzach. Miały jasne lub lekko rudawe włosy, ale żadna z nich nie mogła równać się urodą z Ciarą.

Także kobiety i dziewczęta traktowały to wszystko bardziej jak wycieczkę niż wyprawę wojenną, która może zdecydować o losie ich wyspy. Dużo rozmawiały, głównie o młodzieńcach, którzy kręcili się wokół nich, prężąc muskuły.

- Oni chyba szukają sobie narzeczonych - mruknął Hufeisen, który maszerował obok Ferdynanda. - Mam nadzieję, że na weselu nie zagra im kostucha.

- Ja też mam taką nadzieję! - Wobec tych wszystkich radosnych twarzy wokół Ferdynand czuł się nie na miejscu i pomyślał, że chyba nigdy nie zrozumie Irlandczyków.

Wrażenie to pogłębiło się, kiedy dotarli na miejsce zbiórki. Aodh Mór O'Néill osobiście witał każdego z przywódców, całując ich i przytulając do swej potężnej piersi. Oisin, który był o pół głowy niższy od hrabiego Tyrone i o wiele szczuplejszy, wyglądał w porównaniu z nim jak jakiś niedorostek, który przypadkiem znalazł się pomiędzy dorosłymi.

Ferdynand ucieszył się, że jego nie witają w ten sposób. Ponieważ Oisin wyznaczył go do ochrony Ciary i Saraid, przyłączył się do nich i razem z nimi poszedł tam, gdzie ludzie O'Néilla wyznaczyli im miejsce na obozowisko.

Gdy jakiś czas później barany tkwiły już na roznach i nalano piwa oraz miodu, wyglądało to tak, jakby Aodh Mór O'Néill wezwał klany na jakieś wielkie święto. Nikt nie szykował się do walki, mimo że hrabia Essex obozował ze swoimi oddziałami w odległości niecałego dnia marszu.

Kiedy Oisin zapytał o to O'Néilla, ten ze śmiechem machnął ręką.

- Prawdopodobnie nie będzie żadnej bitwy. Hrabia Essex zaproponował przystąpienie do negocjacji. Mam się z nim jutro spotkać.

- W takim razie po co zwołaliście tych wszystkich żołnierzy? - zapytał zdumiony Oisin.

- Żeby Angol się nie rozmyślił. Jego armię osłabiły choroby i dezercje, a większość

jego pochodzących z Irlandii ludzi przeszła na moją stronę. I on o tym wie.

Wie także, że zginęli już Henryk Bagenal, John Chichester i Conyers Clifford, a wraz z nimi tysiące angielskich żołnierzy. A że jesienne deszcze czynią drogi niemal nieprzejezdnymi, tak że armaty i wozy z prowiantem niedługo zaczną się zapadać w błocie aż po osie, to mamy nad Anglikami przewagę. Bo możemy w każdej chwili zaatakować ich z bagien czy lasów. Jeśli hrabia Essex wyruszy teraz na Uladh, będzie się zaraz musiał ze wstydem wycofać, a na to nie pozwoli mu duma. Dlatego chce się ze mną spotkać, żeby uniknąć walki. Ma inne plany, które okażą się dla nas korzystne.

Jakie to były plany, tego Aodh Mór O'Néill nie zdradził. Ale wyglądał na tak zadowolonego, jakby zawarł już z hrabią Essex korzystny dla siebie układ pokojowy.

Oisin był zdruzgotany. W gruzach legły jego nadzieje, że pomnoży swe wpływy i władzę dzięki dzielnej postawie podczas bitwy. Gdy wrócił do swoich ludzi i oznajmił im, jakie są zamiary O'Néilla, młody Kirchberg sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przybitego, bo on też miał nadzieję, że się wyróżni w walce.

- To przecież głupie! - wykrzyknął Ferdynand. - O'Néill nie może zawrzeć z Anglikami pokoju, skoro w tym kraju aż się roi od angielskich twierdz.

- Może Essex obiecał mu, że je usunie - wtrącił Aithil.

- W przeciwnym razie nie zgodziłbym się nawet na zawieszenie broni.

Ferdynand był wściekły na przywódcę powstania, który zdawał się podążać za swoimi własnymi celami i niczym parobków traktował dumnych ludzi, takich jak Oisin. To nie wróżyło dobrze przyszłości Irlandii. Młody Niemiec zaczął się nawet zastanawiać, czy hrabiemu Essex nie zależy na zawieszeniu broni tylko po to, żeby odczekać, aż Irlandczycy zaczną się kłócić między sobą. Anglicy mogli mieć wtedy pewność, że ta strona, której grozić będzie przegrana, zwróci się do nich o pomoc. Od swoich irlandzkich przyjaciół wiedział, że działo się tak już wiele razy. Lecz jeśli tym razem Anglicy wrócą, to nie zadowolą się już drobną częścią wyspy, tylko wezmą sobie wszystko.

Z poczuciem, że walczy z hydrą, której głowy odrastają w tempie szybszym niż da się je obcinać, zostawił zgromadzonych wokół Oisina O'Corry i przeszedł do kobiet. Saraid prowadziła gorączkowe rozmowy z innymi Irlandkami, Ciara zaś odłączyła się od reszty i usiadła na jakimś pniaku.

- Mogę się do was przysiąść? - zapytał tak uprzejmie, jakby poprzedniej nocy nie leżeli nago przytuleni do siebie. Dla obojga istotne było zachowanie pozorów.

Ciara była tego świadoma. Przesunęła się z uśmiechem, żeby zrobić mu miejsce.

- Coś jesteście ponurzy, panie Ferdynandzie.

- Nie tyle ponurzy, ile bezradni. O'Neill chce negocjować z Essexem. Moim zdaniem nic dobrego z tego nie wyniknie.

Ciara od razu się z nim zgodziła.

- Słyszałam, że chcą się jutro spotkać przy brodzie.

Każdy ma przybyć z nielicznym orszakiem, jakby nie chcieli, żeby ludzie się dowiedzieli, że ze sobą negocjują.

Miała świadomość, że rozmowa pomiędzy Aodhem Mórem O'Neillem i Robertem Devereux, hrabią Essex, może zdecydować także o losie ich obojga. Doskonale pamiętała, że O'Neill też miał tytuł hrabiego, mianowicie swoich ojczystych ziem, Tyrone, jak Anglicy nazywali Tir Eoghain, przekręcając oryginalną nazwę. To jednak nie robiło na niej wrażenia, a wręcz przeciwnie.

Z szelmowskim uśmiechem rzekła do Ferdynanda:

- Tak całkiem sekretnie nie będą sobie mogli porozmawiać. Wysłałam Ionatána, żeby znalazł miejsce, z którego będziemy ich mogli podsłuchać. To bardzo ważne nie tylko dla Ui'Neill, ale też dla Ui'Corra, a przez to również dla mnie.

Więcej nie odważyła się powiedzieć, żeby nikt nie zaczął podejrzewać, o co tak naprawdę jej chodzi.

Ferdynand zrozumiał, co chciała mu przekazać, i zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeśli nie uda im się otrzymać od Oisina zgody na ślub. W żadnym wypadku nie mógł zrezygnować z Ciary. Jeśli nie da się inaczej, opuszczą w tajemnicy Irlandię i poszukają schronienia na kontynencie. Jego stryj Franciszek na pewno pomoże mu znaleźć taką posadę, by mogli z Ciarą żyć na odpowiednim dla młodej Irlandki poziomie.

Dobrze, że Ciara nie miała pojęcia, o czym myśli Ferdynand, bo Irlandia, jej ojczyzna, była całym jej sercem. Propozycja opuszczenia wyspy z pewnością doprowadziłaby do kłótni. Na szczęście zaczęli się z Ferdynandem naradzać, jak wymknąć się rankiem z obozu, żeby zająć pozycję obserwacyjną przy brodzie.

- Ionatán musi znaleźć jakieś naprawdę dobre miejsce - stwierdził Ferdynand. - Nie możemy sobie pozwolić na to, by ktoś nas przyłapał.

Przeżrana Ciara przeżegnała się pośpiesznie.

- Na litość boską, to byłoby straszne! Aodh Mór O'Neill obwiniłby mojego brata, że to on nas przysłał, i odwróciłby się od niego. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co by się wtedy stało. Na pewno musielibyśmy oddać Léana Ui'Neill i ostatecznie stalibyśmy się ich wasalami. - Uspokoiła się jednak i mrugnęła do Ferdynanda. - Wszystko będzie dobrze! My, Irlandczycy, jesteśmy dziećmi lasu i potrafimy się dobrze schować.

„Ale ja nie” - miał już powiedzieć Ferdynand.

Darował sobie jednak, bo wtedy Ciara na pewno by zażądała, żeby został. A on za nic w świecie tego nie chciał.

13

Kolejny poranek wynurzył się z nocy mglisty i deszczowy. Derka, którą owinął się Ferdynand, była mokra, a on cały zeszywniał od leżenia na twardym podłożu. W takich momentach jak ten tęsknił za miękkim, ciepłym łóżem, najlepiej z Ciarą u boku i jeszcze do tego mnóstwem czasu, żeby mógł okazać, jak bardzo ją kocha.

Przez chwilę oddał się takim marzeniom. Potem jednak przypomniał sobie, że musi wstać, jeśli chce razem z nią i Ionatánem na czas dotrzeć do kryjówki przy brodzie, więc wypłatał się z przemoczonego okrycia.

Gdy obmył twarz zimną wodą ze strumyka nieopodal obozu, poczuł się lepiej. Przyszykował się sprawnie i pierwszy dotarł na miejsce spotkania, które uzgodnili z Ciarą. Nie czekał na nią długo. Ionatán przyszedł za nią po pewnym czasie, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że się zmówili.

- Wszystko w porządku? - zapytał Ferdynand.

Ciara skinęła.

- Wszyscy myślą tylko o dzisiejszym spotkaniu dwóch hrabiów, więc nikt nie zainteresował się nami, gdy opuszczaliśmy obóz.

- Mimo to powinniśmy się pośpieszyć z dotarciem do kryjówki. Aodh Mór O’Neill wkrótce wyruszy - dodał Ionatán.

- W takim razie w drogę! - Ferdynand klepnął Irlandczyka, by dodać mu odwagi, i zaoferował Ciarze ramię, żeby wygodniej jej było iść przez las. Odmówiła z cichym parsknięciem, bo była przecież zwinna niczym sarna i poruszała się po lesie o wiele lepiej niż on.

W przeciwieństwie do obojga Irlandczyków Ferdynand musiał bardzo się starać, żeby nie robić zbyt wiele hałasu.

Jego buciory nie nadawały się do ukradkowego skradania się tak dobrze jak obuwie Ciary i Ionatána, nie był też tak doświadczony w przemykaniu się pomiędzy drzewami i krzewami. Mimo to w mniej więcej pół godziny dotarli przez nikogo niezauważeni do rzeki i zatrzymali się tam, wciąż w ukryciu, ponieważ drugi brzeg patrolowali angielscy żołnierze strzegący brodu.

- Hrabia Essex chyba się boi, że Irlandczycy mogą chcieć wziąć go do niewoli, gdy

będzie negocjował z O'Neillem - stwierdziła z ironią Ciara.

- Ja bym powiedział, że jest po prostu ostrożny. Mam nadzieję, że Aodh Mór O'Neill także - odpowiedział Ferdynand.

- Oby nie za bardzo, bo wtedy nas przyłapią.

Uśmiechając się szelmowsko, Ciara ruszyła dalej.

Ionatán zaprowadził ich w miejsce, gdzie rzeka podmyła brzeg, a sięgające wody gałęzie zarośli skrywały spore zagłębienie. Ionatán uprzedził ich, że będą stać po kolana w wodzie.

Ciara machnęła ręką, podwinęła spódnicę i weszła do kryjówki.

- Chodźcie, panie! - ponaglił Ionatán Ferdynanda.

Ten posłuchał go i znalazł się w małej, osłoniętej zieloną zasłoną grocie. Musiał się co prawda pochylać, żeby nie uderzyć głową o zwisające gałęzie, ale gdy odsunął kilka z nich, mógł swobodnie obserwować bród, nad którym miało się odbyć spotkanie.

- Musimy być zupełnie cicho, żeby nikt nas nie usłyszał - ostrzegł współpiskowców.

- To nie pluskaj nogami tak głośno jak przed chwilą - doradziła mu wesoło Ciara.

- Masz język ostry jak miecz - odpowiedział Ferdynand teatralnym szeptem.

Ionatán położył mu dłoń na ramieniu.

- Cicho! Już są!

Wszyscy troje skupili wzrok na brodzie. Drogi po swojej stronie rzeki nie mogli dojrzeć, widzieli za to cały bród oraz przeciwległy brzeg. Tam pojawili się właśnie trzej jeźdźcy w lśniących zbrojach, z których jeden dzierżył wielką chorągiew. Ferdynand wiedział, że czerwony krzyż na białym polu to flaga Anglii.

Czterodzielna chorągiew z trzema lampartami, trzema liliami, różą i harfą przedstawiała herb królowej. W takim razie ta trzecia, haftowana złotymi i srebrnymi nićmi należała do hrabiego Essex.

„Co za skromny człowiek” - pomyślał z drwiną Ferdynand, gdy dostrzegł, że pośród haftów na chorągwi Essexu lśnił szlachetny kamień.

Angielscy heroldzi zatrzymali się na brzegu i patrzyli na drugą stronę. Co się tam działo, tego Ciara, Ferdynand i Ionatán mogli się tylko domyślać po dobiegających ich dźwiękach. Wyglądało na to, że Aodh Mór O'Neill także wysłał przodem jeźdźców, którzy właśnie zawołali do Anglików po drugiej stronie rzeki, że ich pan jest gotów spotkać się z jego lordowską mością, hrabią Essex.

W odpowiedzi angielski herold nazwał O'Neilla hrabią Tyrone, żeby mu pochlebić, a jednocześnie wskazać na podobieństwa między dowódcami obu armii.

Po wymianie kilku zdań heroldzi zawrócili i na dość długi czas zapanowała cisza. Ferdynandowi woda naląła się do butów i kłął pod nosem, podczas gdy Ciara z napięciem wpatrywała się w przeciwległy brzeg, nie mogąc się doczekać, kiedy zobaczy hrabiego Essex.

Najpierw jednak powrócili heroldzi. Za nimi jechała grupka młodych szlachciców w kolorowych szatach z herbem hrabiego na piersiach. Za nimi ciągnęła przyboczna straż, uzbrojona w długie halabardy i odziana w ciemne pancerze. Gdy zajęli miejsca, pojawili się kolejni wystrojeni oficerowie w lśniących napierśnikach i zdobionych pióropuszcami hełmach.

Ferdynand nie znał żadnego z nich, natomiast Ionatán wskazał na wysokiego, szczupłego mężczyznę o gniewnej, nienawistnej twarzy.

- To Ryszard Haresgill. Ten, który odebrał nam, Ui'Corra, nasze rodzinne ziemie.

Zdenerwowany Irlandczyk powiedział to całkiem głośno, lecz w tym samym momencie zabrzmiały fanfary, które go zagłuszyły.

Dopiero wtedy pokazał się Robert Devereux, lord namiestnik Irlandii, hrabia Essex oraz posiadacz wielu innych angielskich tytułów i wysokich godności.

Ferdynand chyba nigdy dotąd nie widział tak wspaniałego konia, a siodło i czaprak mieniły się złotym haftem oraz szlachetnymi kamieniami. Zbroja hrabiego była prawdziwym cudem sztuki płatnerskiej i podobnie jak pochwa miecza, ozdobiona została klejnotami.

Choć Ferdynand widział już na kontynencie wielkich panów w lśniących złotem zbrojach, to żaden z nich nie mógł się równać z Essexem. Miało się niemal wrażenie, że ten człowiek samym swoim wyglądem zamierza skłonić Irlandczyków do kapitulacji.

Tymczasem na miejsce przybył także Aodh Mór O'Néill. Heroldzi znów wymienili kilka doskonale dobranych słów, a potem zarówno angielski, jak i irlandzki dowódca wjechali w wodę, podczas gdy ich orszaki pozostały na brzegu.

Gdy O'Néill pojawił się w polu widzenia, Ferdynand aż przełknął ślinę z wrażenia. Ich dowódca też był w pełnej zbroi, zupełnie jakby miał przed sobą pojedynek, a nie pokojowe rozmowy. Gęsta broda O'Néilla sięgała mu piersi i została ozdobiona wstążkami. Jego ubiór może nie był tak okazały jak strój przeciwnika, ale też podkreślał wysoką rangę, podobnie jak kosztowny czaprak i pokrycie siodła. Był trochę starszy od Essex'a i siedział na potężnym ogierze, który był w stanie go udźwignąć. Anglik był wyższy, ale za to szczuplejszy, więc Aodh Mór O'Néill ze swoją posturą wyglądał przy nim niczym potężny dąb z irlandzkich lasów.

Przywódca Irlandczyków zamarkował właśnie ukłon.

- Wasz uniżony sługa, milordzie!

Essex popatrzył na niego nerwowym wzrokiem, a potem zadarł głowę.

- Oskarżam was, milordzie, w imieniu Jej Wysokości, królowej Anglii.

Aodh Mór O’Neill z udawanym zaskoczeniem uniósł dłonie.

- Wybaczcie, milordzie, ale nie rozumiem.

- Zbuntowaliście się przeciwko Jej Wysokości królowej Anglii i Irlandii, i jesteście winni rebelii! - kontynuował Essex.

- Wybaczcie, milordzie, ale ja nigdy nie podniosłem miecza przeciwko Jej Wysokości królowej Elżbiecie, a jedynie broniłem swoich ziem i ziem moich przyjaciół przed wrogami, którzy chcieli je nam odebrać.

„O’Neill kłamie jak z nut” - stwierdził Ferdynand.

Choć widział go zaledwie kilka razy, a jeszcze rzadziej miał okazję go usłyszeć, doskonale pamiętał, jak tamten szydził z angielskiej królowej.

Hrabia Essex zachował się jednak tak, jakby uwierzył słowom Irlandczyka.

- W imieniu jej królewskiej mości daję wam słowo, że oskarżenie wobec was zostanie zbadane, a wam oddana będzie sprawiedliwość, milordzie Tyrone. Niech więc broń umilknie, a my żyjemy w pokoju.

- Niech tak będzie! - odpowiedział O’Neill donośnym głosem.

Ferdynand czuł się tak, jakby obserwował przygotowaną wcześniej scenkę. Zorientował się, że Ciara ma takie samo wrażenie. Obaj panowie rozmawiali dalej, lecz chodziło już tylko o jakieś sporne drobiazgi, które zostały uzgodnione po myśli Aodha Móra O’Neilla.

Ferdynand w zamyśleniu przyglądał się ludziom na drugim brzegu. Na twarzach angielskich szlachciców widział zaskoczenie, wstyd i nieskrywaną wściekłość.

Wyglądało na to, że hrabia Essex nie wtajemniczył w swoje plany nawet własnych podwładnych. „Ale co ten człowiek knuje?” - zastanawiał się Ferdynand.

Zawieszenie broni, które zaproponował Irlandczykowi, nie tylko dawało im największą część wyspy, ale także oznaczało rezygnację Anglii z kilku najważniejszych zdobyczy. Jeśli ten układ miałby się ziścić, O’Neill odniósłby ogromny sukces.

Jednakże Ferdynandowi trudno było w to uwierzyć.

Rezygnacja z praw do Irlandii nie pasowała do narodu, który wypowiedział posłuszeństwo w wierze papieżowi i upokorzył Hiszpanię, niszcząc jej Wielką Armadę.

Zatopiony w myślach, prawie nie usłyszał kolejnych słów, które Essex skierował do O’Neilla:

- Przysięgnijcie, że nigdy nie działaliście przeciwko interesom Jej Wysokości królowej Anglii i że uznajecie ją jako swoją władczynię, a wtedy ten traktat stanie się

rzeczywistością.

- Przysięgam z całego serca! - Głos Aodha Móra O'Neilla zabrzmiał tak szczerze, jakby naprawdę traktował tę przysięgę poważnie.

Gdy Ferdynand wciąż się zastanawiał, co powinien sądzić o tym, co zobaczył i usłyszał, panowie pożegnali się i wrócili do swoich orszaków. Anglicy po drugiej stronie rzeki nie byli w stanie dłużej nad sobą panować.

Niektórzy, jak Ryszard Haresgill, zaczęli jednocześnie mówić coś do Essexu, inni przeklinali, a reszta wyglądała na zdruzgotanych.

„Takie nastroje - pomyślał Ferdynand - nie dają żadnej gwarancji na przyszły pokój między Anglikami i Irlandczykami, tylko już noszą w sobie załążek nowych konfliktów”. Lecz gdyby znowu doszło do wojny, pokazałby Oisinowi O'Corze, że jest człowiekiem, któremu nie powinien odmawiać swojej siostry.

Chwilę jeszcze potrwało, zanim Ciara, Ferdynand i Ionatán odważyli się opuścić kryjówkę. Ferdynand miał pełno wody w obu butach, a nogawice mokre aż po samą górę. Zazdrościł Ciarze, która uniosła suknię, a teraz mogła ją opuścić z powrotem. Jej lekkie obuwie też wyschnie szybciej niż jego buty z cholewami, które wydawały teraz przy chodzeniu mlaszczące odgłosy.

- Powinniście ściągnąć buty i wylać wodę - poradziła mu Ciara.

Ferdynand skinął głową i posłuchał tej rady. Przyglądał się przy tym młodej Irlandce, lecz nie był w stanie odczytać z jej miny, co myśli o rozmowie pomiędzy Aodhem Mórem O'Neillem i Robertem Devereux, hrabią Essex. „A może była to rozmowa pomiędzy Anglikiem i sir Hugh O'Neillem, hrabią Tyrone?” - zastanawiał się.

Wskazywałyby na to przysięga, w której O'Neill oddał hołd królowej Elżbiecie. Nie był jednak całkiem pewien, więc gdy już włożył buty z powrotem i mogli ruszyć dalej, zapytał Ciarę, jak ocenia sytuację.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na gęsty las, przez który sunęły niczym zjawy kłęby mgły, a potem wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Jeśli mówili szczerze, to O'Neill zdobędzie w Irlandii taką władzę, że żaden Irlandczyk już nigdy nie będzie mógł się z nim zmierzyć.

- A jeśli nie? - dopytywał Ferdynand.

- To wtedy ty i mój brat pokażecie Anglikom, że nie oplaca się napadać na Irlandię.

Ciara popatrzyła przy tym na Ferdynanda tak rozpromienionym wzrokiem, że natychmiast zapomniał o wątpliwościach i chwycił za rękojeść miecza.

- Tak uczynimy!

Poszli dalej, a tam czekał już na nich Cyriakus Hufeisen.

- No i czego się dowiedzieliście? - zapytał, ale nie poczekał na odpowiedź. - Irlandczycy świętują! Ci głupcy sądzą, że odnieśli nad Anglikami ostateczne zwycięstwo.

Gdybym był na miejscu Essex, kazałbym teraz zaatakować i raz na zawsze skończyłbym tę aferę.

- Nie sądzę, żeby miał to zrobić. Wyglądał raczej na szczęśliwego, że nie będzie się musiał z nami bić - odpowiedział Ferdynand ze śmiechem, a jego przyjaciele nie wiedzieli, czy to śmiech pełen radości, czy raczej drwiny.

- Obojętne, co ci panowie postanowili, bo wojna będzie się toczyć dalej. Ale co tam! Jesteśmy żołnierzami i naszym obowiązkiem jest walczyć. - Hufeisen poklepał Ferdynanda po ramieniu, a potem wskazał na obóz. - Myślę, że też się ustawię pod jedną z beczek. A ty, Ionatanie?

- Sam nie wiem... - odparł Irlandczyk z wahaniem.

Hufeisen objął go więc ramieniem i po prostu ze sobą pociągnął.

Ciara popatrzyła za nimi i najpierw pokręciła głową, dziwiąc się, po co mężczyźni piją piwo i miód, skoro wiedzą, że następnego ranka będą się źle czuli. Potem dopiero zrozumiała, że Hufeisen chciał dać jej i Ferdynandowi okazję do bycia sam na sam i chwyciła ukochanego za rękę.

- Jak myślisz? Sprawdzimy, czy za tymi gęstymi drzewami jest wciąż tak pięknie jak wczoraj w nocy?

- Nie mam nic przeciwko. I tak muszę zdjąć buty i spodnie, żeby wyschły - odpowiedział Ferdynand, za co dostał od Ciary klapsa.

14

Po angielskiej stronie większość oficerów aż kipiała z wściekłości na układ, który Essex zamierzał zawrzeć z buntownikiem O'Neillem. Ryszard Haresgill, który stracił posiadłości na rzecz Oisina O'Corry, odszukał zastępcę Essex Karola Blounta, ósmego barona Mountjoy, by dać upust swojemu niezadowoleniu.

- Co hrabia sobie myśli, zawierając pokój z tym irlandzkim motłochem?! - wykrzyknął z oburzeniem. - Musicie zawiadomić Jej Wysokość, że nie może zaakceptować tego haniebnego układu. Nie mówię tylko za siebie, ale także w imieniu wielu porządnych angielskich szlachciców, którzy przez głupotę Essex stracą ziemię i majątki. Zrobiliśmy wszystko, żeby ten kraj przynosił zyski, sprowadziliśmy tutaj dobre angielskie krowy i owce, żeby zwiększyć przychody podatkowe Jej Wysokości, a przez to pomnażać chwałę Anglii na

świecie. Ale zamiast okazać nam szacunek, który należy się nam za ucywilizowanie Irlandii, Essex depta nasze prawa i pozwala, żeby takie dzikusy jak Hugh O'Neill czy Oisín O'Corra śmiali nam się w twarz!

Baron Mountjoy najpierw w milczeniu słuchał potoku jego słów, a potem uniósł dłoń, by samemu móc coś powiedzieć.

- Nazywanie Hugh O'Neilla dzikusiem wydaje mi się brakiem szacunku. Jej Wysokość uczyniła go przecież hrabią Tyrone, nadając mu tytuł, który ustanowił Jego Wysokość jej ojciec, nasz dobry król Henryk.

- Hugh O'Neill może sobie mieć tyle tytułów, ile chce, ale wciąż pozostanie Irlandczykiem, czyli nikczemnikiem i zdrajcą. A przede wszystkim jest pachołkiem biskupa Rzymu!

Ostry ton, jakim Haresgill zwracał się do arystokraty, był nie na miejscu, lecz jego gniew nie znał granic.

Zdenerwowany podszedł bliżej, przez co ich kaftany niemal się zetknęły, i wbił w Blounta wyzywający wzrok.

- My, Anglicy z Irlandii, nigdy nie zaakceptujemy tego układu! Oddaliśmy tutaj za Anglię naszą krew i uczyniliśmy tę ziemię urodzajną. Z tego i z wielu innych powodów Essex nie ma prawa przekazywać naszych majątków Irlandczykom. Prędzej znowu pojedę do Londynu, by przedstawić Jej Wysokości naszą sprawę.

Karol Blount odsunął od siebie Haresgilla.

- Uspokójcie się, panie, i poczekajcie trochę. Układ, który Essex wynegocjował z Hugh O'Neillem, nie został na razie podpisany przez Jej Wysokość. Jeszcze dziś napiszę do Londynu, że są wobec tych ustaleń ogromne zastrzeżenia. Więcej w tym momencie nie mogę dla was zrobić.

- Uczynicie to! - rzucił Haresgill, jakby jego rozmówca był jakimś działającym w jego imieniu pokątnym adwokatem, a nie zastępcą lorda namiestnika Irlandii.

Dla Mountjoya była to trudna sytuacja. Czuł się odpowiedzialny za Essex'a i na jego miejscu postąpiłby inaczej. Mając nadzieję, że uda mu się powstrzymać przełożonego przed popełnieniem poważnego błędu, przeprosił Ryszarda Haresgilla i poszedł poszukać Essex'a. Hrabia od powrotu do Dublina niemal nie opuszczał swych prywatnych komnat. Jego przyboczna straż pilnowała drzwi i nie wpuszczała nikogo, kogo hrabia nie chciał przyjąć. Nawet Karol Blount musiał czekać, choć uważał się za przyjaciela Essex'a. Dopiero po dłuższym czasie przyszedł jeden z wartowników, odebrał mu miecz i sztylet i dopiero wtedy otworzył drzwi. Baron głęboko zaczerpnął powietrza i wkroczył do komnaty. Było w niej tak

ciemno, że musiał odczekać, aż zacznie coś dostrzegać. Hrabiego, który siedział w fotelu po drugiej stronie pomieszczenia, zauważył dopiero po chwili.

- Czy to wy, Mountjoy? - zapytał Essex.

- Wasz uniżony sługa, Wasza Ekszelencjo - odpowiedział Blount, zauważając, że użył tego samego zwrotu co Hugh O'Neill podczas pokojowych negocjacji.

- Prawdziwy z was przyjaciel, Mountjoy, i rozumiecie, dlaczego muszę zawrzeć pokój z O'Neillem - kontynuował hrabia Essex. - Moi przyjaciele w Londynie, a także tutaj w Irlandii, spiskują przeciwko mnie i oczerniają mnie wobec Jej Wysokości. Z daleka od dworu nie jestem w stanie bronić się przed tymi łotrami.

Dlatego wracam do Londynu, żeby pokonać zawistników i wyjaśnić Jej Wysokości, że nic tylko mnie oczerniają.

Karol Blount poczuł się tak, jakby Robert Devereux właśnie go zniecka spoliczkował.

- Wasza Ekszelencjo, nie możecie tego uczynić! Jej Wysokość wydała wam jasny rozkaz, że macie zostać w Irlandii, aż stłumiony zostanie bunt tego krnąbrnego ludu.

- Królowa jest słabą kobietą i ulega swoim doradcom.

Widzę, jak panowie rada sączą jej do uszu jad, jad, który ma zabić mnie! Lecz przysięgam wam, że tak się nie stanie. Prędzej wyruszę z całą moją armią do Anglii i zadbam, by fałszywi doradcy znaleźli się w Tower, i będę czekać na ich egzekucję.

Przez chwilę Karol Blount zastanawiał się, czy nie wyjaśnić Essexowi, że podległa mu armia nigdy nie wzięłaby udziału w takim zamachu stanu. Bał się jednak, że Essex mógłby go aresztować, więc rozpaczliwie szukał innych argumentów.

- Wybaczcie, Wasza Ekszelencjo, lecz nie mamy statków, żeby przerzucić oddziały do Anglii.

Musielibyśmy najpierw wyprowadzić posłańców, żeby je sprowadzić...

- I w ten sposób ostrzegliśmy Cecila i pozostałe kreatury - przerwał mu gwałtownie Essex. - Naopowiadaliby Jej Wysokości jeszcze więcej kłamstw na mój temat, a może nawet nie dopuściliby do wysłania statków po moją armię. Kapitanowie i tak są w zмовie z Cecilem i Raleighem i pomagają im mnie oczerniać i pozbawiać przysługujących mi praw.

- Więc zostajecie w Irlandii? - zapytał z nadzieją Blount.

Essex gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie mogę zostać w Irlandii, bo muszę uchronić Jej Wysokość przed zgubnym wpływem tych łotrów.

Postarajcie się zgromadzić tyle łodzi, żebym mógł zaokrętować się razem ze służbą i

strażą przyboczną.

Blount zrozumiał, że nie przekona Essexa, więc poprosił o pozwolenie na odejście.

- Idźcie! - powiedział hrabia i zawołał swojego osobistego lokaja, któremu nakazał pakować rzeczy i przygotować wszystko do podróży.

Ludzie byli przyzwyczajeni do słuchania go i niezadawania żadnych pytań. Także wartownicy przyjmowali jego rozkazy bez szemrania, a jego najbliżsi przyjaciele, którzy wybrali się z nim do Irlandii, by zdobyć chwałę i zaszczyty, ucieszyli się, że po tej rozczarowującej kampanii wojennej mogą wrócić do Anglii.

Gdy Ryszard Haresgill i jego przyjaciele wciąż czekali na audiencję u hrabiego, by przekazać lordowi namiestnikowi swój sprzeciw, ten wsiadł na statek i opuścił Irlandię. Jego ostatnią urzędową czynnością było wyznaczenie Karola Blounta na nowego naczelnego dowódcę pozostałych oddziałów, a potem hrabia Essex skierował już swoje myśli ku chwili, gdy stanie przed Elżbietą i będzie mógł jej przedstawić swój punkt widzenia.

15

To, że wojna w Irlandii potoczyła się zupełnie inaczej niż planował, było tylko jednym z powodów, dla których Essex chciał wrócić do Anglii. Drugim była obawa, że utraci swoje wpływy na dworze, a przede wszystkim u królowej. Już kilka razy podczas jego nieobecności Elżbieta podjęła decyzje, na które on nigdy by się nie zgodził. Na myśl o tym, że gdy on jest daleko, ona da znowu posłuch Robertowi Cecilowi albo Walterowi Raleighowi, dostawał szału.

Statek, którym zmierzał do Anglii, płynął jego zdaniem zbyt wolno, przeklinał kapitana i nazywał go zdrajcą, który chce mu zaszkodzić. Gdy w końcu dotarli, kazał wyprowadzić konie i natychmiast ruszać.

Jego towarzysze mieli nadzieję, że najpierw zapomną o deszczu i błotnistych drogach Irlandii przy dobrym winie i obfitym posiłku w domu któregoś z jego przyjaciół. Lecz w Essexa jakby diabeł wstąpił. Pędził ze swoją świtą przez południową Anglię niczym szaleniec, nie zważając na jesienne deszcze, które przemaczały odzienie ani na niemal całkiem rozmiękłe drogi. Błoto tryskało spod kopyt galopujących koni, brudząc ubrania, lecz Essex nie znał litości. Godziny mijały, a on wciąż siedział w siodle i popędzał swojego wierzchowca. Do domów i pałaców swoich przyjaciół zaglądał tylko po to, by wymienić konie i przespać się kilka godzin, a następnego ranka jechał dalej w takim samym pośpiechu.

Nikt z jego towarzyszy nie rozumiał, dlaczego tak pędził. Byli jednak przyzwyczajeni do jego zaskakujących decyzji, więc jechali za nim, aż dotarli do Londynu. Lecz zamiast

pojechać do domu, żeby chociaż obmyć twarz z kurzu i przebrać się w czyste ubranie, Essex skierował konia do pałacu, na dziedzińcu zeskoczył z siodła na zeszywniałe nogi i mijając wartowników, wkroczył przez główny portal.

Rzucano mu zdumione spojrzenia, lecz nikt nie odważył się go powstrzymać. Wszyscy obawiali się jego wpływu na królową, a jeszcze bardziej jego mściwości, która już niejednemu raz doprowadziła do rozlewu krwi.

To nie była jeszcze pora, gdy królowa przyjmowała gości i petentów. Jedna z dam dworu, którą Essex napotkał po drodze, uniosła z przestachem ręce.

- Proszę was, milordzie, przyjdźcie później! Jej Wysokość nie jest jeszcze gotowa zajmować się sprawami państwowymi.

- Dla mnie na pewno będzie gotowa! - wykrzyknął Essex i odsunął ją na bok. Szybkim krokiem ruszył do prywatnych komnat Elżbiety, nie zważając na to, że jego brudne buty zostawiają na szlachetnym parkiecie grudki błota.

Wartownicy przy drzwiach chcieli uniemożliwić mu wejście, ustąpili jednak, gdy sięgnął po miecz i do połowy wysunął go z pochwy.

- Milordzie, błagam was, poczekajcie, aż Jej Wysokość zacznie przyjmować! - poprosiła raz jeszcze dama dworu, która za nim przybiegła.

Essex nikomu jednak nie dał się zatrzymać.

Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wszedł do środka.

W antyszambrze nie było nikogo, lecz usłyszał głosy z sąsiedniej komnaty. Bez wahania ruszył dalej, otworzył kolejne drzwi i ujrzał gromadę stojących do niego tyłem dam. Dopiero potem dostrzegł Elżbietę, która siedziała na stołku w cienkiej koszuli. Stopy trzymała w wanience z ciepłą wodą, a jedna z dam myła jej twarz i dłonie wilgotną gąbką.

Essex nigdy dotąd nie widział takiej królowej. Jej głowę, którą zwykle pokrywały ufryzowane rude włosy, porastał zaledwie cieniutki puszek, nieumalowana twarz pełna była zmarszczek i plam. Szyja też była pomarszczona, a ciało okryte koszulą bardzo chude.

Najlepiej wypadały nogi, które zachowały kształt dzięki jeździe konnej i tańcom.

Gdy Essex wpatrywał się w niezbyt majestatycznie prezentującą się niewiastę, myśląc, że wygląda jak pierwsza lepsza starucha, Elżbieta go spostrzegła.

W pierwszej chwili się przestraszyła, lecz zaraz potem ogarnął ją wściekły gniew.

- To wy, milordzie? Cóż za niespodziewany widok!

Damy dopiero teraz zauważyły intruza i przerażone zerwały się z miejsc. Miały jednak dość odwagi i refleksu, by ustawić się pomiędzy Essexem a królową i osłonić ją przed jego wzrokiem.

Essex zorientował się, że dłoń wciąż trzyma na rękojeści miecza, więc puścił ją gwałtownie, jakby parzyła. Jednocześnie opadł na kolano i w rozpaczliwym geście wyciągnął ramiona.

- Wybaczcie moje najście, Wasza Wysokość, lecz zmusiły mnie do tego okoliczności. Zawistnicy i oszczercy knują przeciwko mnie, próbując pomniejszyć moją sławę i zbrukać honor.

- Skoro mówicie o brukaniu, to muszę przyznać, że nie wyglądacie najczyściej.

Królowa zapanowała już nad swym przestraczem i patrzyła na młodego mężczyznę znad ramienia jednej z dam. „Coś się z nim stało” - pomyślała. Młodzieńcza świeżość, którą tak w nim uwielbiała, gdzieś się ulotniła.

Miała teraz przed sobą rozdartego wewnątrz człowieka, który instynktownie wyczuwał, że nie sprostą wysokim wymaganiom, jakie sam sobie postawił.

Ileż to razy on rozpaczał, a ona go pocieszała? Sama już nie wiedziała. Gdyby był tylko jej lojalnym dworzaniem Robertem Devereux, uczyniłaby to ponownie. Lecz teraz stał przed nią lord namiestnik Irlandii, człowiek, którego wysłała, by raz na zawsze stłumił powstanie na tej buntowniczej wyspie. A on zupełnie zawiódł, i to pomimo potężnej armii, jakiej do tej pory żaden angielski monarcha nie powierzył jednemu dowódcy. „Gdyby chociaż spuścił głowę i przyznał, że poniósł porażkę” - pomyślała ze smutkiem. Lecz na to raczej liczyć nie powinna.

Tymczasem Essex zastanawiał się, jak zacząć, i uznał, że najlepszą obroną będzie atak.

- Wasza Wysokość, zawarłem z hrabią Tyrone honorowy pokój i umocniłem wasze panowanie na wyspie. Jednak niechętni mi ludzie wąż się mnie oczerniać. Muszę prosić, byście ich nie słuchali i byście ukarali ich za tę bezczelność.

To był Essex, jakiego Elżbieta znała, nieumiarkowany i podejrzliwy, niezasługujący na jej łaski. „Gdyby był choć trochę taki, jak Cecil czy Raleigh” - pomyślała zniechęcona. Lecz odwaga służy tylko wtedy, gdy kieruje nią rozsądek, a tego Robertowi Devereux już nieraz zabrakło.

Elżbieta nie chciała liczyć, ile tysięcy funtów straciła tylko dlatego, że działał wbrew jej rozkazom, żeby zwiększyć własną chwałę. I zawsze ponosił klęskę. Tym razem też powrócił nie jako promienny zwycięzca, tylko jako nieudacznik. W pierwszej chwili to słowo ją przeraziło, ale jakim innym słowem można było określić to, czego dokonał w Irlandii?

Jako kobieta współczuła mu i myślała, że powinna była nim wcześniej pokierować i utemperować go, przystrzyc niczym drzewo w szpalerze. Na zbyt wiele mu pozwalała, a

przez to ponosiła część odpowiedzialności za to, co się teraz stało.

- Sir, proszę, byście wrócili do swojego domu w Londynie i się wykąпали. Pojawcie się na dworze, gdy będę was mogła przyjąć tak, jak się należy! - powiedziała Elżbieta spokojnym tonem.

W duchu wyrzucała sobie jednak, że jest zbyt miękka.

By nie zaszkodzić Anglii jeszcze bardziej, nie powinna dłużej oddawać takiej władzy w ręce człowieka, którego już tyle razy pocieszała. Tego, co mu przekazała, nie wykorzystał w służbie kraju, tylko wyłącznie dla siebie.

Essex usłyszał delikatność w głosie Elżbiety i poczuł triumf. Wciąż miał władzę nad tą kobietą, może nawet większą niż kiedyś, bo była stara, zużyta i potrzebowała wsparcia, jakiego taki kretyn jak Robert Cecil nigdy nie będzie jej w stanie zapewnić. Energicznym gestem wstał i uklonił się przed nią. Stłumił uśmiech, bo z tą łysą czaszką i pomarszczoną twarzą nie wyglądała już na Królową Wrózek, jak ją kiedyś nazywano.

- Za pozwoleniem Waszej Wysokości oddalę się teraz i wrócę o bardziej odpowiedniej porze - powiedział i wyszedł tyłem z komnaty. Nie odważył się odwrócić i pokazać jej pleców. Już raz ją to rozgniewało i sprawiło, że spoliczkowała go na oczach całego dworu.

W swojej obecnej sytuacji nie mógł sobie pozwolić, żeby jeszcze raz tak ją rozzłościć. Lecz gdy tylko usunie swoich wrogów z dworu oraz z irlandzkiej armii, postara się, żeby ten szkielec zajmował się wyłącznie ceremoniałem, jemu pozostawiając rządzenie.

Elżbieta popatrzyła za nim i wyczuła jego myśli. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, ofuknęła swoje damy.

- Pośpieszcie się! Chcę się ubrać. I zwołajcie do mnie Roberta Cecila. Muszę z nim coś omówić.

Damy dworu zrozumiały, że pośpiech jest niezbędny.

Zaraz potem królowa stała odziana we wspaniałą suknię, na głowie miała perukę, a pomarszczoną szyję skrywała suto marszczona kryza. Jej twarz upudrowano na białą, usta podkreślono czerwoną szminką. Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by zyskała pewność, że prezentuje się odpowiednio, więc rozkazała, by wprowadzono kanclerza.

- Możecie odejść - powiedziała do dam, gdy Robert Cecil wszedł i się uklonił. A potem zwróciła się do niego.

- Opowiedzcie mi o Irlandii!

- Wyprawa wojenna hrabiego Essex okazała się, mówię to z prawdziwą przykrością, całkowitą katastrofą.

Ani nie posłuchał wydanych mu rozkazów, ani nie odniósł decydującego zwycięstwa.

Do tej pory Robert Cecil rzadko wypowiadał się o Essexie w tak bezlitosnych słowach. Elżbieta, która doskonale go знаła, rozumiała, że może być nawet gorzej niż podpowiadały jej najgorsze przeczucia.

- Jak tam tak naprawdę jest? Mówcie otwarcie, niczego nie ukrywając! - nakazała.

Twarz Roberta Cecila się napięła, bo wiedział, jak królowa lubi Essex. Jednak ze względu na dobro państwa nie mógł usprawiedliwić jego działań.

- Wasza Wysokość, Jego Ekscelencja hrabia Essex zawarł z buntownikiem Hugh O'Neillem zawieszenie broni. Układ ten oddaje rebeliantowi ponad połowę Irlandii, i to bez żadnej kontroli ze strony Anglii. Jeśli Wasza Wysokość zaakceptuje ten traktat, Hugh O'Neill będzie mógł w każdej chwili sprowadzić do Irlandii Hiszpanów albo inne wrogie oddziały, a Anglia nie będzie mogła się temu przeciwstawić.

- Uważacie, że jestem idiotką, Cecil? - W głosie Elżbiety zabrzmiał zarówno smutek, jak i ironia.

Przerażony Cecil uniósł dłoń.

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość! Otrzymałem wiadomość, że wszyscy oficerowie hrabiego Essex są oburzeni jego układem z O'Neillem. W trakcie powstania dziesiątki angielskich właścicieli zostały wypędzone, a wielu straciło nawet życie. Miasta takie jak Sligo czy Enniskillen znajdują się pod władzą Irlandczyków i można się obawiać, że rebelianci będą umacniać swoje pozycje.

Królowa słuchała go z narastającym gniewem, a na koniec ze złością zastukała ręką w oparcie krzesła.

- Nie pozwolimy zdeptać honoru Anglii, sir Robercie.

Powiadomcie lorda Mountjoja, że mianuję go naczelnym dowódcą w Irlandii i nakazuję stłumić rebelię wszelkimi środkami! Negocjacje dotyczące zawieszenia broni czy pokoju są dopuszczalne tylko za moją wyraźną zgodą!

- Doskonale, Wasza Wysokość! - Cecil uklonił się i poprosił o pozwolenie na odejście, żeby napisać odpowiednie listy i je rozesłać.

- Odejdźcie - powiedziała Elżbieta i postanowiła, że pośle do Karola Blounta własnoręcznie napisany list.

W przeciwieństwie do Essex był to dobry, bezkompromisowy żołnierz, i właśnie takiego potrzebowała, żeby pokonać Irlandię.

[31] Altötting - miasto w Bawarii z założonym w IX wieku klasztorem, miejsce kultu maryjnego i cel licznych pielgrzymek.

[32] Ale (wym.: ejl) - piwo górnej fermentacji, o bardziej złożonym smaku i aromacie

niż piwa dolnej fermentacji, czyli lagery (np. pilzner).

[33] Caisleán - irl. zamek.

[34] Cahir (irl. An Cathair) - miasto w południowej Irlandii.

[35] Bitwa pod Curlew Pass miała miejsce 15 sierpnia 1599 roku i stanowi klasyczny przykład udanej irlandzkiej zasadzki.

[36] Bean sidhe (irl. „kobieta ze wzgórza”, ang. banshee)

- w mitologii irlandzkiej zjawia w kobiecej postaci, najczęściej zwiastująca śmierć.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Żaloba i miłość

1

Ferdynand wyjrzał na maszerującą kolumnę Anglików i potrząsnął głową.

- Nie ma sensu ich atakować. Jest ich za dużo. Poza tym mielibyśmy do czynienia z co najmniej setką muszkietierów. Nawet jeśli oddadzą tylko jedną salwę, stracimy połowę ludzi.

- Przecież nie możemy pozwolić, żeby te psy tak po prostu przeszły przez naszą ziemię! - wykrzyknęła oburzona Ciara. - To zdrajcy i oszuści! Hrabia Essex zawarł z nami układ, ale oni go nie przestrzegają. Pomyśl o wiosce, którą wczoraj spalili. A przecież jej mieszkańcy nawet nie należeli do żadnego z klanów, które przyłączyły się do Aodha Móra O'Neilla.

- Nie, ale dostarczali naszym ludziom zapasy. Wygląda na to, że Mountjoy temu właśnie chce zapobiec.

Choć Ferdynand zakładał, że Anglicy nie dotrzymają zawartej przez Essexa umowy, to nie spodziewał się, że będą przeciwko niej występować aż tak otwarcie. Mimo to uważał, że atak setką zgromadzonych przez Oisina O'Corrę wojowników na niemal dwukrotnie liczniejszego i lepiej wyposażonego przeciwnika byłby zbyt ryzykowny.

Próbował przekonać o tym brata Ciary.

Oisin patrzył na niego niezdecydowany, natomiast oczy młodej kobiety znów rozbłysły wolą walki.

- Jeśli mnie i Saraid uda się odwrócić ich uwagę, będziemy mieli szansę!

- A wy znajdziecie się w krzyżowym ogniu i możecie zostać ranne albo nawet zabite - ostrzegł Ferdynand.

- Wy, mężczyźni, ryzykujecie to samo. Dlaczego my, niewiasty, miałybyśmy się bać?

- Ciara nie ukrywała, że pragnie, by angielscy żołnierze zostali w końcu ukarani.

Nie tylko spalili wieś, ale także zastrzelili część mężczyzn, a kobiety pohańbili. Resztę mieszkańców wypędzili do lasu i wołali za nimi z drwiącym śmiechem, żeby poszli do Hugh O'Neilla i kazali mu się nakarmić.

- Powinniśmy byli zaatakować wczoraj, gdy żołnierze rozdzielili się w wiosce, tak jak proponowałem - dodał Ferdynand.

Oisin potrząsnął głową.

- Było nas wtedy za mało i ta walka by nas wykończyła. Ale teraz dołączył do nas Aithil z czterdziestką ludzi. To musi wystarczyć.

- A więc chcecie to zrobić? - Ferdynand chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz Oisin położył mu dłoń na ramieniu.

- Zrozumcie, panie Ferdynandzie! Tu jest nasza ojczyzna i nie możemy pozwalać, żeby Anglicy palili wieś za wsią i wypędzali z nich mieszkańców.

- To poproście Aodha Móra O'Néilla, żeby przysłał wam tylu ludzi, żebyśmy przeważyli Anglików. Mogliby tu dotrzeć w ciągu trzech dni. I wtedy zrobimy z tym oddziałem taki porządek, że aż im oko zbieleje.

Propozycja Ferdynanda była rozsądna i Oisin to wiedział. Jednak trzy dni czekania oznaczały, że angielscy żołnierze spustoszą i splądrują co najmniej dwie kolejne wioski. Poza tym przywódcą oddziału był człowiek, który kiedyś odebrał jego klanowi ojczyznę.

- Zatrzymamy Haresgilla i pokażemy mu, że nie ma tu czego szukać - oznajmił Oisin po krótkim wahaniu. Jego ludzie z zadowoleniem pokiwali głowami, a Ciara wydała z siebie cichy, choć pełen nienawiści okrzyk.

Zmartwiony Ferdynand się skrzywił, a i Hufeisen nie był zachwycony.

- To się nie skończy dobrze! - szepnął do Ferdynanda.

Ten znów popatrzył na Anglików, którzy zbliżyli się podczas ich rozmowy. Maszerujący żołnierze uważnie obserwowali las. Stamtąd nie dałoby się ich zaskoczyć.

Ferdynand zrozumiał jednak, że nie przekona już Oisina, żeby poczekać na wsparcie.

- Niech nas chronią Bóg i Przenajświętsza Panienka - pomodlił się i spojrzał pytająco na Oisina.

- Jak chcecie to zrobić?

- Cofniemy się o pół mili. Potem Ciara, Saraid i Ionatán wyjdą Anglikom naprzeciw. Jak tylko zwrócą na nich uwagę, atakujemy.

Plan Oisina wcale się Ferdynandowi nie podobał. Do tej pory zawsze uczestniczył w manewrach odwracających uwagę wroga. Czy Oisin myśli sobie teraz, że on się boi im towarzyszyć?

- Idę z nimi - oznajmił, mając nadzieję, że nie będzie to dla niego i Ciary droga bez powrotu.

Oisin zgodził się po chwili wahania.

- Dobrze! Uważajcie na moją siostrę i na Saraid.

Będzie ciężko.

- Mam nadzieję, że nie zbyt ciężko - mruknął Hufeisen.

- Panie Oisinie, macie za mało muszkietów na taką potyczkę. Poza tym jest tam jeszcze pięćdziesięciu jeźdźców, których prowadzi Haresgill. Nie będzie z nimi łatwo!

Rzuciwszy ostatni raz okiem na posuwających się powoli, ale wytrwale Anglików, odwrócił się i poszedł za Ferdynandem i Irlandczykami do lasu. W tym momencie osioł Ciary zaczął rozpaczliwie ryczeć. Dziewczyna wzdrygnęła się przerażona, a Gamhain kłapnęła zębami, jakby chciała w ten sposób zmusić osła do milczenia.

Ferdynand wstrzymał oddech, ale zaraz potem głośno wypuścił powietrze z płuc i skinął Oisinowi głową.

- Teraz faktycznie nie pozostaje nam nic innego, jak posłać Ciarę z osłem naprzeciwko Anglikom i mieć nadzieję, że dadzą się zmylić.

Irlandczyk pokiwał głową z zaciętą miną. Nie podobało mu się to, że siostra i kuzynka narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Lecz gdyby teraz zrezygnowali, daliby wolną rękę podpalaczom i mordercom Haresgilla.

2

- Uważajcie na siebie, panie Ferdynandzie! - upomniał młodego szlachcica Hufeisen.

Ten się roześmiał, choć w jego śmiechu nie było radości.

- Zrobię, co się da! Ale ty też na siebie uważaj, przyjacielu. Bez ciebie byłbym w tym kraju cholernie samotny.

- Niezupełnie... - odpowiedział Hufeisen, zerkając na Ciarę. A potem potrząsnął głową. - Niewiasty nie powinny brać udziału w wojnie!

- Za to powinnyśmy dawać się żołnierzom wroga okradać, gwałcić i zabijać, tak? - ofuknęła starego wiarusa Saraid.

- Jakkolwiek by patrzeć, wojna to straszna rzecz.

Zastanawiam się, dlaczego Bóg w swojej mądrości nie zapobiegł temu, że ludzie się nawzajem zabijają. - Były to niezwykle słowa jak na takiego żołnierza, jakim był Hufeisen, ale Saraid wiedziała, że mówi zupełnie poważnie.

Posłała mu uśmiech i ruszyła za Ciarą, która szła już drogą z osłem i psem. Ionatán szedł obok niej, a Ferdynand trzymał się kilka kroków z tyłu. Miecz ukrył pod derką, którą opatulił się niczym opończą. Wyglądał na spiętego i czujnego. Saraid czuła się podobnie i wiedziała, że Ciara też nieustannie obserwuje otoczenie.

Nagle Saraid przypomniała sobie, że żona Ionatána została zgwałcona przez ludzi Haresgilla na jego rozkaz.

Przyśpieszyła kroku. Gdy dołączyła do młodego Irlandczyka, chwyciła go za rękę.

- Nie czyni nic nieprzemysłanego, bo wszystkich nas narazisz na niebezpieczeństwo.

Ionatán oddychał ciężko i miał niespokojny wzrok. Już dawno postanowił, że Ryszard Haresgill zapłaci za wszystko, co uczynił jemu i całemu klanowi Ui'Corra.

Wiedział jednak, że nie może działać na oślep. Wtedy Anglicy zabiliby nie tylko jego, ale także Ciarę i Saraid, i Ferdynanda. Oisín ze swoją drużyną nie mógłby ich uratować.

- Zapanuję nad sobą - odpowiedział cicho, przysięgł sobie jednak w duchu, że wykorzysta każdą szansę, by uwolnić świat od Haresgilla.

Zaraz potem usłyszeli nadchodzących z naprzeciwka Anglików. Żołnierze maszerowali energicznym krokiem, a dowódca raz po raz nakazywał im czujność.

- Odwrócimy ich uwagę, żeby Oisín i nasi mogli ich zaskoczyć - szepnęła Ciara. Jej słowa zabrzmiały niczym modlitwa.

Ferdynand chciał jej wierzyć, lecz sposób, w jaki Ryszard Haresgill prowadził swoich ludzi, wskazywał na to, że wróg wyciągnął wnioski ze swoich dotychczasowych porażek.

Mieli przed sobą zakręt. Gdy tylko go minęli, ujrzeli tuż przed sobą Anglików. Na ich widok oddział natychmiast się zatrzymał. Kilkudziesięciu muszkieterów błyskawicznie zabezpieczyło las, jeźdźcy zaś wyciągnęli pistolety z olstrów i szykowali się do strzału.

- Stać, nie ruszać się! - zawołał w ich stronę jeden z podoficerów. Jednocześnie w ich małą grupkę wycelowano kilkanaście muszkietów.

- No to nici z niespodzianki - mruknął Ferdynand, myśląc rozpaczliwie, co robić.

- Posłuchaj, Ionatanie - szepnęła. - Gdy tylko tu dojdą, atakujemy, a potem bierzemy nasze panie i znikamy w lesie. Ty zajmiesz się Saraid, a ja Ciarą. Zrozumiałeś?

Ionatán domyślił się, że tego dnia nie zdoła się zemścić na Ryszardzie Haresgillu. Ufał jednak Niemcowi, więc skinął głową. Odezwać się nie odważył, ponieważ podszedł już do nich podoficer z sześcioma muszkieterami. Wszyscy cały czas uważali, żeby grupka nieznajomych ciągle pozostawała w polu ostrzału ich towarzyszy.

- Kim jesteście? - wrzasnął na nich podoficer.

Jego ostry ton sprawił, że Gamhain zaczęła szczeleć.

Dwaj z sześciu muszkieterów natychmiast skierowali lufy na psa. Pozostali czterej i podoficer też skupili na nim uwagę.

- Ionatán, teraz! - zawołał Ferdynand, wyciągnął miecz i powalił podoficera. Zanim Anglicy zdążyli zareagować, trafił kolejnego żołnierza. Wycelowali w niego dwie lufy muszkietów. Lecz Ciara mocno uderzyła osła, który oburzony pognął do przodu, tratując Anglików. Muszkiety wystrzeliły, kule pomknęły jednak w powietrze.

Jeden z muszkieterów obrócił użytą broń i zamachnął się nią niczym maczugą, ale

sztylet Saraid był szybszy.

- Święta Mario, Matko Boża, wybacz mi! - wykrzyknęła i przeżegnała się.

Nagle Ionatán mocno ją popchnął. Saraid potoczyła się w kierunku lasu, opadła na kolana, ale natychmiast się zerwała i pobiegła dalej ile sił w nogach. Za nią mknęła zwinna niczym sarna Ciara, natomiast Ferdynand walczył z kolejnym Anglikiem, widząc kątem oka, że muszkietrzy z głównej grupy przykładają broń i strzelają.

Ferdynand zdołał jeszcze skoczyć, ale poczuł coś ciepłego na plecach i na wpółoszołomiony upadł obok drogi. Na szczęście osioł zapewnił mu na chwilę osłonę, padając ofiarą kolejnej salwy. Gdy zwierzę z pełnym żalości rykiem legło na ziemi, Ferdynand podniósł się i pobiegł za Ciarą, Saraid i Ionatánem. Gamhain trzymała się jego boku, szcękając, jakby chciała go popędzić.

- Dalej, za nimi! - usłyszał głos jednego z angielskich oficerów i uśmiechnął się pomimo odczuwanego bólu. To była okazja, na którą czekał Oisín.

Klucząc pośród drzew, ujrzał nagle Aithila. Irlandczyk skinął mu głową, wyciągnął miecz i ukrył się za potężnym dębem. Ferdynand dostrzegł także Oisina, Deasúna O'Corraidha i innych.

Zatrzymał się, ignorując palący ból pleców, i mocniej chwycił za miecz. Nie wiedział, ilu żołnierzy go ściga, lecz pośród drzew mieli szansę stawić czoła siepaczom Haresgilla.

Ciężkie kroki Anglików były coraz bliżej. Jeden z młodych Irlandczyków już chciał opuścić kryjówkę, lecz Oisín odepchnął go z powrotem.

- Pozwolimy, by nas minęli, i zaatakujemy ich od tyłu.

- Dobry pomysł! - Ferdynand skinął Oisínowi głową, głęboko zaczerpnął powietrza i czekał, aż minie go jeden z odzianych w twarde buty, spodnie z grubego płótna i skórzaną kurtkę Anglików.

W momencie, gdy Oisín ostro zagwizdał, Ferdynand ruszył na wroga i zamachnął się mieczem. Mężczyzna uniósł broń, lecz nie zdołał się obronić i dostał cios w ramię. Z krzykiem upuścił miecz, opadając na ziemię.

Ferdynand już się nim nie interesował, tylko pośpieszył za czterema Anglikami, którzy ścigali Ciarę i Saraid i zaczęli je doganiać.

Saraid, zostawszy trochę z tyłu za kuzynką, już czuła na karku oddech prześladowców. Przerazona zerknęła do tyłu, potknęła się i przewróciła.

- Mamy ją! - wykrzyknął jeden z czterech Anglików, wyciągając rękę, by poderwać ją z ziemi.

- Tak ci się tylko wydaje! - To rzekłszy, Ferdynand zaatakował. Pierwszy Anglik

osunął się z jękiem na ziemię, lecz pozostali trzej natychmiast skierowali broń na młodego Niemca.

- Odmów swoją ostatnią modlitwę, brudny Irlandczyku!

- rzucił jeden z nich, krzywiąc się.

- Nie jestem Irlandczykiem - odparł Ferdynand z uśmiechem, chcąc dać Saraid czas, by odczołgała się w bok.

- W takim razie jesteś pewnie brudnym Hiszpanem!

- Zgadywanie nie idzie ci najlepiej. Jestem Niemcem, a przede wszystkim człowiekiem, który pośle was do piekła! - Z tymi słowami ruszył na nich. Pierwszy zrobił unik i sam uderzył. Ferdynand dostał w ramię, ale jednocześnie też trafił. Kolejny Anglik padł na ziemię.

Dwukrotnie ranny Ferdynand poczuł, że traci siły.

Wciąż jednak miał naprzeciwko siebie dwóch wrogów.

Z zaciśniętymi zębami parował wściekle ciosy jednego z nich. Drugi próbował zająć go od tyłu, lecz tam zjawił się nagle brunatny cień i powalił napastnika.

- Dziękuję, Gamhain! - jęknął Ferdynand. Miał jednak świadomość, że nie da sobie rady, choć został już tylko jeden przeciwnik.

Anglik zaatakował z wściekłym okrzykiem. Ferdynand sparował cios, lecz broń wypadła mu z ręki. Przeciwnik już uniósł miecz, by go zabić, gdy nagle otworzył usta i bezwładnie upadł na twarz.

Za nim pokazała się Ciara z zakrwawionym sztyletem w dłoni. Wbiła go Anglikowi w plecy.

Ferdynand uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

- To był ratunek w ostatniej chwili!

- Jesteś ranny! - podeszła do niego przerażona, lecz on uniósł dłoń.

- To nieważne. Sprawdźmy, jak sobie radzi Gamhain.

Ferdynand pośpieszył w stronę psa, wciąż trzymającego przy ziemi Anglika, na którego skoczył. Nie mógł jednak zapobiec temu, że tamten wyciągnął sztylet.

Zanim zdołał zadać cios, Ferdynand odciął mu głowę mieczem. Gdy wycierał klingę o odzienie wroga, a Ciara uspokajająco głaskała sukę, usłyszeli, że dobosze Haresgilla wybijają sygnał do odwrotu. Ci Anglicy, którzy trzymali się jeszcze na nogach, odbiegali od Irlandczyków i wracali na drogę.

- No to daliśmy im popalić! - zawołał Ionatán, a Oisín popatrzył na Ferdynanda z zadowoleniem.

- Dobra robota! Załatwiliśmy ich ponad trzydziestu.

A teraz zajmijmy się resztą!

- Chyba nie zamierzacie atakować? - zapytał przerażony Ferdynand.

- Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie wykorzystali przewagi. Dalej, ludzie, za nimi.

Niech wam żaden nie umknie.

- Nie, nie róbcie tego! Pójdziecie na pewną zgubę!

Rozpaczliwy apel Ferdynanda był daremny.

Irlandczycy, oszołomieni łatwym zwycięstwem nad Anglikami, którzy ścigali jego, Ciarę, Saraid i Ionatána, rzucili się z wrzaskiem na wroga.

- Co za durnie! Biegają prosto pod lufy muszkietów! - Zanim wybrzmiały jego słowa, Ferdynand już usłyszał pierwsze wystrzały.

Ciara zamierzała opatrzeć mu rany, lecz stała tylko przestraszona i patrzyła przed siebie z lękiem. Niewiele widzieli przez gęstwinę drzew, ale nieustanny ogień Anglików wskazywał na to, że wbrew oczekiwaniom nie rozpierzchli się w panice, tylko stawiali zaciekły opór.

Pomimo bólu Ferdynand chciał ruszyć na pomoc pozostałym, lecz Ciara chwyciła go i mocno przytrzymała.

- Zostań tutaj! Jesteś ranny!

Gdy nie chciał jej posłuchać, zawołała na pomoc Saraid.

- Musimy go zatrzymać! W przeciwnym razie się wykrwawi!

Z dwiema kobietami Ferdynand nie dał już sobie rady.

Oslabiony osunął się na ziemię i nie protestował, gdy Ciara zdejmowała mu kaftan, kamizelkę i koszulę.

- To nie wygląda dobrze - szepnęła przerażona, gdy zobaczyła zalane krwią plecy. Rana na ramieniu też mocno krwawiła. Ciara oderwała więc dół swojej spodniej sukni i zaczęła obwiązywać rany Ferdynanda.

Młody Niemiec z rozpaczą wpatrywał się w skraj lasu.

Od strony drogi wciąż docierały do nich odgłosy walki, ale teraz widział też pierwszych Irlandczyków, którzy wycofywali się pod osłonę drzew. Niektórzy utykali, innych prowadzili towarzysze. Dwóch czy trzech osunęło się na ziemię i już tam zostało. Jeden uniósł dłoń, prosząc o pomoc. Lecz wszyscy mijali go, nawet na niego nie patrząc. A potem pojawił się Ionatán, pochylił się i pomógł mu wstać. Gdy ten znowu się przewrócił, Ionatán wrzucił go sobie na plecy.

Ferdynand liczył kolejnych Irlandczyków, którzy chowali się w gęstwinie. Ostatni

wrócił Oisin.

Z poszarzałą twarzą stanął obok niego.

- Powinienem był was posłuchać, panie Ferdynandzie.

Było ich zbyt wielu i walczyli jak diabeł wcielony - wyrzucił z siebie zrozpaczony.

- Ilu straciliście ludzi?

Oisin wzruszył ramionami.

- Nie wiem. W każdym razie więcej niż wytrzyma to klan. Poza tym większość tych, którzy przeżyli, jest ranna.

Jeśli ludzie Haresgilla za nami ruszą, niewielu im ujdzie.

- Zdrowi i lekko ranni powinni utworzyć szereg obronny i powoli wycofywać się w las. Może w ten sposób uratujemy tych, którzy przeżyli! - zaproponował Ferdynand, ale zaraz potem uświadomił sobie, że mają za mało ludzi stojących na własnych nogach, by mogli walczyć, a jednocześnie pomagać rannym.

Mimo to Oisin posłuchał jego rady i rozkazał wojownikom, żeby przygotowali się do obrony.

Ferdynand też chciał do nich dołączyć, lecz Ciara natychmiast go przytrzymała.

- Oszalałeś? Jeszcze nie skończyłam cię opatrywać.

W ten sposób wykrwawisz się po drodze.

- Moja siostra ma rację! - wtrącił Oisin. - Jesteście dla mnie zbyt cenni jako towarzysze broni i doradca, żebyśmy mieli was bezsensownie poświęcić. Ciara, opatrz jego rany, a potem zajmij się innymi.

Ferdynand nie chciał, żeby inni przez niego cierpieli, więc leżał spokojnie, aż Ciara z pomocą Saraid obwiązała mu porządnie pierś.

- Teraz może być. Ale musisz się na kimsz opierać! - oznajmiła na koniec.

Choć Toal był wątłym chłopcem, natychmiast pośpieszył z pomocą Ferdynandowi, lecz ten zaprotestował.

- Czy możesz się zakraść i podejrzeć, co robią Anglicy? Na razie nie weszli do lasu i obawiam się, że knują jakąś diabelską sztuczkę.

Chłopiec skinął głową i pobiegł. Zaraz potem z zarośli wyszedł Hufeisen i podał Ferdynandowi gałąź, którą właśnie ostrugał.

- Nie mogę wam pomóc, panie, bo jest paru w gorszym stanie. Ale jeśli weźmiecie ten kostur, może dacie radę iść samemu.

- Zachowujecie się wszyscy tak, jakbym się zaraz wybierał na tamten świat - odparł oburzony Ferdynand.

Ale czuł, że potrzebuje tej laski. Dopóki opierał się na kij, był w stanie posuwać się do przodu, nawet jeśli przy każdym kroku plecy piekielnie go bolały. Byli jednak i tacy, których towarzysze musieli nieść na naprędcie skleconych noszach. Ferdynand widział ich zrozpaczone twarze i strach w oczach, że zostaną zostawieni bez pomocy.

Ojciec Maitiú do tej pory trzymał się z tyłu, lecz teraz on też zaczął zerkać nerwowo w stronę, z której słychać było Anglików, i podszedł do Oisina.

- Kto ma dość sił, powinien uciekać, mój synu. Nie powinniśmy się obciążać rannymi, bo wpadniemy w łapy tych przeklętych heretyków.

- To bardzo po chrześcijańsku! - zbeształ go Ferdynand.

Ciara też wyglądała tak, jakby miała ochotę przeorać twarz bożego sługi paznokciami. Już miała coś powiedzieć, lecz powstrzymał ją brat.

- Bądź cicho!

A potem zwrócił się do kapłana.

- Nigdy nie porzucę moich rannych. Albo uda nam się uciec wszystkim, albo będziemy walczyć.

- To bardzo szlachetne, ale bezrozumne - zaczął narzekać ojciec Maitiú.

- W każdej chwili możecie nas opuścić i próbować ratować swoją skórę na własną rękę - odparł niewzruszony Oisín i nakazał wymarsz.

Gdy Ferdynand zobaczył gromadę ludzi, którzy ledwo się wlekli przez las, a mimo to pomagali towarzyszom, którzy byli w jeszcze gorszym stanie, pokręcił głową.

„Cóż za żalosny pochód!” - pomyślał. Lecz to Oisín musiał wziąć na siebie winę za tę katastrofę. Zbyt łatwe zwycięstwa w przeszłości sprawiły, że brat Ciary zaczął być lekkomyślny. To było szaleństwo prowadzić drużynę na liczniejszy i lepiej uzbrojony oddział.

- Jeśli naprawdę chcemy powstrzymać Anglików, potrzebujemy więcej muszkietów. Mogliśmy się wszyscy przekonać, że wróg potrafi je bardzo skutecznie wykorzystać - powiedział Ferdynand do Oisina, na co ten się skrzywił.

- Skąd mielibyśmy wziąć muszkiety? Są drogie i trzeba je tutaj szmuglować statkami. A nawet jeśli jakieś przyplyną, to biorą je wielkie klany, a nam nic nie zostaje.

- Skoro tak uważacie, to możecie się od razu poddać.

Jedyna możliwość, jaką widzę, to ostrzeliwanie niewielkimi oddziałami z ukrycia maszerujących angielskich kolumn oraz atakowanie ich, gdy wejdą do lasu. Zwróćcie się do Aodha Móra O’Néilla i powiedzcie mu, że musi nam dać muszkiety albo idźcie do Léana i każcie mojemu kuzynowi wydać wam te, które tam zdobyliśmy.

Aithil i wielu innych przytaknęło płomiennej przemowie Ferdynanda. Lecz zanim

Oisín zdołał cokolwiek odpowiedzieć, dołączył do nich Toal. Pomimo gorzkiej porażki, której właśnie doświadczyli, uśmiechał się.

- Anglicy boją się wejść do lasu, bo spodziewają się kolejnej zasadzki!

Potem jednak wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił i chłopak opuścił głowę.

- Te świny kolbami muszkietów zabiły każdego z naszych rannych, którzy wpadli w ich ręce. Nikt już nie zdołał uciec.

Zapadła przytłaczająca cisza. Umilkły nawet jęki i lamenty rannych. A potem Oisín głęboko zaczerpnął powietrza i klasnął rozkazująco w dłoń.

- Czyli nas nie ścigają? W takim razie możemy się wycofać i z powrotem zebrać siły.

Nie wspomniał ani o własnych zabitych, ani o wioskach, które staną się kolejnymi ofiarami siepaczy Haresgilla. Starał się dodać otuchy swoim ludziom i obu niewiastom.

3

Choć Anglicy rzeczywiście ich nie ścigali, odwrót był trudny, bo zginęło wielu wojowników. Ferdynand próbował po drodze policzyć, ilu z tych, którzy przeżyli, jest zdolnych do walki, i wyszła mu przerażająco skromna liczba. Ponad połowa tych, którzy przetrwali, była ranna, a niektórzy z nich ciężko. Kilka razy musieli przerwać marsz, żeby wykopać grób. Oznaczony prostym krzyżem, składającym się z dwóch związanych ze sobą gałęzi, stawał się on miejscem ostatniego spoczynku wojownika, który zmarł po drodze.

Oisín O'Corra z porażającą jasnością zrozumiał, że z tą drużyną niczego już nie osiągnie. Jego marzenia, by ich klan zdobył poważanie i władzę, rozprysły się niczym mydlane bańki w ogniu angielskich muszkietów. By ratować to, co się jeszcze uratować dało, przekazał dowodzenie Aithilowi, a sam wyruszył do Aodha Móra O'Neilla. Choć oznaczało to, że na zawsze pozostanie jego wasalem, był na to gotów, by ratować swój klan.

Zabrał ze sobą dziesięciu zdolnych do walki mężczyzn, reszta miała się przebić do Léana.

Oisín miał nadzieję, że w tym mieście będą mogli odpocząć i w spokoju zdrowieć. Ci, którzy byli w stanie ustać na nogach, powinni wesprzeć żołnierzy Szymona von Kirchberga w obronie miasta przed ewentualnym angielskim atakiem.

Ojciec Maitiú bez pytania przyłączył się do Oisina.

Ponieważ Ui'Corra byli osłabieni porażką, nie chciał zostać przy tym klanie. Jego celem było przysłużenie się Aodhowi Mórowi O'Neillowi, by wreszcie osiągnąć wpływy, jakich pragnął od chwili powrotu do Irlandii.

Choć ranni potrzebowali duchowego wsparcia, Ferdynand z ulgą przyjął odejście

kapłana. Z tym swoim fanatyzmem był prawdziwą zakałą pośród Irlandczyków i zatrwał umysły rodaków pełnymi nienawiści tyradami przeciwko Anglikom. Dlatego Ferdynand uważał, że jest współodpowiedzialny za ten nieudany atak na ludzi Haresgilla. Gdyby nie ksiądz i jego przepowiednie, że niebo obdarzy Irlandczyków zwycięstwem nad wrogami, Oisín O'Corra być może zrezygnowałby z bezsensownego ataku.

Tymczasem uznano, że mogą już sobie pozwolić na odpoczynek. Żałosny pochód zatrzymał się na brzegu niewielkiego jeziora. Z jednej strony las sięgał aż po brzeg, a drzewa wyciągały swe gałęzie nad wodą.

Z drugiej strony wysokie sitowie zapewniało schronienie, a rosnące pośród niego lecznicze zioła mogły się przydać do pielęgnowania ran.

Choć Ciara koniecznie chciała opatrywać rany Ferdynanda, najpierw zajęła się najciężej poszkodowanymi. Niektóre rany już się zagoiły.

Wyływała z nich ropa, okropnie cuchnąc.

- Trzeba zacząć kopać groby, bo nie sądzę, że wszyscy dożyjemy poranka - szepnęła Saraid do Ciary.

Ta, walcząc ze łzami, pokręciła głową.

- Nie będziemy kopać, dopóki żyją. Bo wtedy straciliby ostatnią nadzieję i poddali się, a może jeden czy drugi mimo wszystko przeżyje.

- Pomyślałam tylko, że wtedy moglibyśmy stąd szybciej odejść. Kto wie, czy Haresgill nie ruszył naszym śladem, żeby nas w końcu ukatrupić.

Ciara popatrzyła na przerażoną twarz Saraid i musiała przyznać sama przed sobą, że w głębi duszy też trzęsie się ze strachu. Nie mogła jednak pozwolić, żeby ludzie widzieli przygotowywane dla siebie groby.

- Najświętsza Panienna nam pomoże, podobnie jak święta Brigid i święty Pádraig!

„To nasza ostatnia nadzieja” - pomyślała Ciara, pielęgnując rannych niczym prawdziwa samarytanka.

Gdy w końcu mogła obejrzeć Ferdynanda, tego opatrywał właśnie Hufeisen. Młody Niemiec był blady, a gdy przyłożyła mu dłoń do czoła, poczuła, że jest gorące.

Wzrok miał jednak przejrzysty, a spojrzenie pełne podziwu.

- Dziękuję ci! - powiedział cicho.

- Za co?

- Dajesz ludziom nadzieję, gdy oni już ją stracili.

Przeżyje paru takich, którzy umarliby bez ciebie i Saraid.

A w tych dniach potrzebujemy każdego wojownika, którego Irlandia może wystawić.

- Nawet jeśli ma tylko jedną nogę albo tylko jedną rękę? - zapytała gorzkim tonem Ciara. - Wielu ludziom będziemy musieli odjąć członki, bo ich rany zagorzały.

Ale tutaj nie mogę tego zrobić, musimy poczekać, aż znajdziemy się w Léana!

- Tak długo nie możecie czekać - wtrącił Hufeisen - bo ze zgorzelą nie ma żartów. Powinniśmy rozpaść ognisko i rozgrzać żelazo, żeby wypalić rany, a w razie konieczności także kikuty rąk czy nóg.

- Wypalić rany? Ja nie umiem! - Na samą myśl Ciarze zrobiło się niedobrze.

Hufeisen objął ją ramieniem, smutno się uśmiechając.

- W takim razie ja się tym zajmę. Dość razy widziałem, jak podczas kampanii wojennych robił to felczer. Musimy działać szybko, w przeciwnym razie zostawimy po drodze więcej trupów niż to nieuniknione.

- Słusznie! Choć dopiero raz brałem udział w kampanii wojennej, to mój stryj Franciszek wielokrotnie opowiadał, że wahanie tylko przedłuża cierpienie. Może ja pomogę? - Ferdynand spróbował wstać, lecz Hufeisen go odepchnął.

- Posiedźcie sobie grzecznie, panie Ferdynandzie, bo złapała was gorączka. Obyście nie poczuli się gorzej!

Zrobię, co trzeba. Ionatán to zręczny chłopak, on mi pomoże. A wy, panno Ciaro, zgromadźcie bandażę, żebyśmy mieli czym obwiązać tych biedaków!

- Zrobimy, co w naszej mocy - odpowiedziała zamiast Ciary Saraïd - ale łatwo nie będzie. Siostra taoiseacha i ja poświęciłyśmy już nasze spodnie suknie. Teraz użyjemy naszych koszul. Mówię o tym po to, żebyście się nie śmiali, gdy wiatr podwieje nam suknie i zobaczycie nasze gołe tyłki!

Pomimo trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, Hufeisen się uśmiechnął.

- Macie rację, pani Saraïd, podobnie jak wasza kuzynka. Dziękuję Bogu, że z nami jesteście. Miłe słowo niewiasty pomaga czasem lepiej niż lekarstwo. Jedno wam obiecuję, moje panie. Jeśli któryś z tych tutaj będzie się z was śmiał albo wam dokuczał, już ja mu zmyję głowę, i to tak, że sam siebie nie rozpozna.

Saraïd popatrzyła zaskoczona na starego wiarusa. Do tej pory ani gestem, ani spojrzeniem nie zdradził, że niewiasty cokolwiek dla niego znaczą. Poza tym ze względu na jego opryskliwość i skołtunioną brodę, zakładała, że ma ponad czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt lat. A teraz ze zdumieniem stwierdziła, że ma niewiele ponad trzydziestkę. W każdym razie był dzielnym człowiekiem, i ulżyło jej, że wyręczy je w tej strasznej pracy.

- Pójdiesz, proszę, z nami i obejrzyś rannych, żebyśmy mogli ustalić, któremu potrzebna jest amputacja.

- Niezbyt to miłe zadanie. Obcięcie wrogowi głowy podczas walki to jedna sprawa, a czymś zupełnie innym jest odrąbanie jakiegoś biedakowi nogi albo ręki. Na Boga, chciałbym, żeby był wśród nas ktoś, kto zna się na tym lepiej niż ja. Ale cóż byłby ze mnie za mężczyzna, gdybym zostawił taką robotę niewiastom? - Hufeisen aż się wzdrygnął, a potem znów próbował się uśmiechnąć. - Damy radę, nie martwcie się!

Saraid ze wzruszeniem pomyślała, że stara się napełnić ją i Ciarę otuchą. A tej potrzebowały mnóstwo, bo powinny rozpocząć jak najszybciej to straszne dzieło i jak najszybciej je zakończyć.

- Jeśli jesteś gotów, chodźmy.

- Jestem gotów - odpowiedział Hufeisen, ale skrzywił się przy tym tak, jakby znalazł się sam jeden naprzeciwko całej angielskiej armii.

4

Kolejne godziny były dla wszystkich koszmarem. Zdrowi przytrzymywali tych, którym trzeba było w tak prymitywnych warunkach amputować członki. By uciszyć wrzaski okaleczanych, Hufeisen wsuwał im do ust dREWienka, na których mogli zaciskać zęby. Jeśli to nie pomagało, inni pomocnicy przyciskali im do ust kawałek materiału, omal ich nie dusząc.

Ciara czuła dreszcze przerażenia, lecz podobnie jak Saraid nie odstępowała Hufeisena i pomagała, jak się dało.

- Gdybyśmy mieli chociaż odrobinę whisky, którą moglibyśmy ich napoić - jęknęła udręczona.

- Po drugiej stronie jeziora widziałem wioskę. Jeśli chcecie, pobiegnę tam i zapytam, czy dadzą nam whisky - zaproponował Toal, którego aż mdliło od jęków cierpiących i cuchnącego odoru wypalanych ran.

- Lepiej nie! - prychnął Hufeisen. - Nie wiemy, kto tutaj z kim trzyma. Nie wszystkie klany są wrogię Anglikom, a ja się obawiam, że nawet sprzymierzeńcy mogliby nas zdradzić z tchórzostwa. Nie powinniśmy też przebywać tu zbyt długo. A widział ktoś z was ostatnio Deasúna O'Corraidha albo któregoś z jego ludzi?

Teraz także inni zauważyli, że Irlandczycy, którzy przeszli na ich stronę, gdzieś zniknęli.

- Może poszli razem z Oisinem - powiedziała bez przekonania Ciara.

Ferdynand machnął zdrową ręką.

- Na pewno nie! Widziałem ich jeszcze, kiedy Oisina już nie było. Zniknęli dopiero wtedy, gdy rozbiliśmy obóz.

Deasún O'Corraidh i jego ludzie już raz zdradzili Irlandię i walczyli po stronie Anglików. A potem ich oszukali, przyłączając się do nas. Więc bardzo możliwe, że i teraz uciekli, skoro nie zwyciężyliśmy.

Aithil z wściekłości aż zacisnął pięści.

- Lepiej, żeby nie weszli nam w drogę, bo zawisną na najwyższej gałęzi, jaką tylko znajdziemy w lasach Irlandii.

Czuł się osobiście zdradzony przez dezertarów, bo to jemu Oisín przekazał dowództwo nad tamtym oddziałem.

Poza tym był zły sam na siebie, że ich lepiej nie pilnował.

- Mam sprawdzić, czy Gamhain podejmie ich trop? - zapytał Toal, który miał nadzieję, że dzięki temu oddali się od koszmarnego, wywołującego mdłości zapachu.

Aithil pokręcił głową.

- Zostawmy te świnię! Potrzebujemy psa tutaj. Gamhain ostrzeże nas, gdyby zbliżali się obcy. A poza tym jesteś najlepszym zwiadowcą, jakiego mamy.

Chłopiec aż się wyprostował, słysząc pochwałę, i jakoś łatwiej mu było znieść to, co działo się wokół. Nie chciał jednak patrzeć na amputację członków, więc przyłączył się do Ferdynanda.

- Myślicie, że Ui'Corraidh nas zdradzą? - zapytał.

Ferdynand chciał się wyprostować, lecz zrezygnował, krzywiąc twarz z bólu. A potem wzruszył prawym, zdrowym ramieniem.

- Za mało znam Deasúna O'Corraidha, żeby móc to ocenić. Ale jeśli znów zmienił stronę, to można się obawiać, że będzie chciał się wkraść z powrotem w łaski Anglików, dzieląc się z nimi wiedzą o nas.

- Co możemy zrobić? - zapytał Toal.

- Nawet jeśli zdrajcy będą się posuwać szybko, dotarcie do oddziału Haresgilla zajmie im co najmniej jeden dzień, a ten będzie potrzebować kolejnego dnia, żeby dotrzeć tutaj. My w tym czasie będziemy już w Léana. Haresgill z siłami, jakie prowadzi, nie będzie w stanie oblegać miasta. Nie zapominaj, że Szymon von Kirchberg dowodzi ponad pięćdziesięcioma żołnierzami i wszyscy są uzbrojeni w muszkiety.

- Więc to nie takie złe, że zdrajcy uciekli?

- Nawet lepiej, bo to mogłoby się zdarzyć w momencie, w którym ich zdrada zablokowałaby nas bardziej.

- Mnie boli bardzo! - wtrącił Aithil, który do nich dołączył. - Zaufałem temu psu Deasúnowi O'Corraidhowi i częstowałem go nawet whisky z własnej piersiówki.

A że zbrukały ją usta tego nędznego zdrajcy, nie mogę już z niej pić. - Prychając z wściekłości, oderwał srebrną piersiówkę od pasa i z odrazą wrzucił ją do jeziora.

- Czy to było konieczne? - zapytał Ferdynand. - Mogliśmy podać whisky rannym.

- To, co było w środku, oddałem już Ciarze - odpowiedział Aithil i odszedł.

Zaniepokojony Ferdynand poprosił Toala, żeby pomógł mu wstać.

- Chcę obejrzyć rannych - powiedział, jakby sam nie był jednym z nich. Oparty na kosturze pokuśtykał na łąkę, na której opatrywano innych.

Hufeisen dobrze się spisał. A jeszcze bardziej niż wojaka Ferdynand podziwiał niewiasty, które wspierały go w koszarnej robocie, pocieszając przy tym rannych ze współczuciem i sympatią.

- Noc spędzimy jeszcze tutaj, żeby wszyscy choć trochę odpoczęli. A chcąc wyruszyć jutro z samego rana, potrzebujemy lepszych noszy - oznajmił Ferdynand i nakazał Ionatánowi i Toalowi ściąć w tym celu młode drzewa. Inni też się zebrali, żeby pomóc. Ferdynand popatrzył na nich z zadowoleniem. Może Ui'Corra ponieśli klęskę, ale nie stracili nadziei.

Z ulgą zwrócił się do Ciary.

- Jak stoimy z zapasami?

- Niedobrze! Jeśli wszyscy będą chcieli jeść, wystarczy jedzenia do jutra. Dlatego Saraid, ja i zdrowi wojownicy dostaniemy tylko odrobinę chleba, a resztę damy rannym.

- To nie jest najlepszy pomysł - odpowiedział Ferdynand z pełnym żalu uśmiechem. - Mężczyźni potrzebują sił, żeby nieść rannych i w razie czego móc stanąć do walki. Ty i twoja kuzynka też nie powinnyście głodować.

- To dla nas żaden kłopot - odpowiedziała Ciara, odwzajemniając uśmiech, i pomyślała, że młody Niemiec jest dobrym przywódcą.

W przeciwieństwie do niego Aithil i jej brat byli zbyt porywcy. Oisín pozwolił, by ogarnęła go nienawiść, i pośpiesznie zaatakował Haresgilla. I zapłacili za to bardzo wysoką cenę...

Ponieważ takie myśli mogły popsuć jej humor, odsunęła je od siebie i poprosiła Ferdynanda, żeby jej opowiedział o swojej ojczyźnie. Miała nadzieję, że dzięki temu odnajdzie wewnętrzny spokój, którego tak jej brakowało.

5

Następnego dnia musieli wykopać tylko jeden grób.

Pochowali w nim nie tylko mężczyznę, który zmarł w nocy, ale też wszystkie amputowane członki. Gdy wyruszali po skromnym śniadaniu, okazało się, że trzeba nieść

dziesięciu ludzi i prawie drugie tyle potrzebowało kogoś, kto podpierałby ich podczas marszu.

Ferdynand odrzucił wszelką pomoc.

- Ufam mojemu kosturowi - powiedział Hufeisenowi, który nie chciał dać się zbyć. - Zajmij się jednym z tych, którzy są w gorszym stanie ode mnie albo zmień po drodze któregoś z tragarzy.

- Skoro tak chcecie! - Żołnierz odwrócił się, pomrukując coś pod nosem, i natychmiast spostrzegł kogoś, kto potrzebował jego pomocy.

Ale Ferdynandowi nie poszło tak łatwo, jak się spodziewał. Gdy po kilkuset krokach zatrzymał się, żeby odsapnąć, Ciara podeszła do niego i wsunęła mu się pod ramię.

- Oprzyjcie się o mnie! - zażądała.

A on poczuł, że jej bliskość dodała mu nowych sił i uśmiechnął się z wdzięcznością.

Po drodze nie napotkali nikogo. Wydawało się, jakby celowo schodzono im z drogi, bo nie chciano im pomóc albo obawiano się to uczynić.

Toal wielokrotnie proponował, że kupi żywność w jednej z wiosek, które widzieli z drogi, ale Ferdynand mu tego zakazał.

- W naszej sytuacji to byłoby zbyt niebezpieczne. Jeśli będziesz miał pecha, trafisz na ludzi, którzy są po stronie Anglików, i oni cię zabiją.

- To nie do zniesienia, że jako Irlandczyk muszę się bać Irlandczyków - wyrzucił z siebie chłopak.

- Irlandczycy to też tylko ludzie - odpowiedział Ferdynand, wzruszając ramionami. - Każdy stara się radzić sobie jak najlepiej w tych okolicznościach. Gdy tylko Aodh Mór O'Neill odniesie kolejne zwycięstwo, będą go fetować. Jeśli zostanie pokonany, schowają się do swoich chat i będą zwracać się do każdego napotkanego Anglika „wasza lordowska mość”, jakby tamci byli wielkimi panami.

Ciara spojrzała na Ferdynanda. Czy on naprawdę tak nisko cenił jej naród?

Lecz zanim zdążyła zareagować, on już mówił dalej.

- W bitwach zawsze bierze udział tylko część ludności.

Większość ma nadzieję i modli się, żeby tylko przetrwać.

W Irlandii jest dokładnie tak samo jak w mojej ojczyźnie czy we Włoszech. Skarzenie się na to byłoby kwestionowaniem stworzenia świata takim, jakim stworzył go Bóg.

- Przedstawiacie dość odpychający obraz człowieka - wtrąciła Ciara.

Ferdynand pokręcił głową.

- Nie odpychający, tylko prawdziwy. Dlaczego jakiś chłop czy parobek miałby ryzykować życie dla swojego pana, który kiedy indziej tresuje go batem i rości sobie prawo

do korzystania z jego żony i córek?

- Pewnie tak jest - odpowiedziała zniechęcona Ciara.

Rozmowa umilkła, a ich grupa w ciszy posuwała się dalej. Wszyscy niecierpliwie wyczekiwali dotarcia do Léana, gdzie będą mogli w końcu odpocząć.

Choć każdy dawał z siebie wszystko, wszyscy byli już u kresu sił, gdy wreszcie ujrzeli przed sobą mury miasta.

Ferdynand najpierw popatrzył na zamkową wieżę. Z ulgą stwierdził, że wciąż powiewa na niej chorągiew Oisina O'Corry. Tuż obok ujrział wcale nie mniejszy proporzec z nieco zmienionym herbem von Kirchbergów, którego używał Szymon. „To podobne do mojego kuzyna, że zachowuje się tak, jakby był równy Oisinowi” - pomyślał Ferdynand, ale był zbyt zmęczony, żeby się tym zdenerwować.

Ciara nie zwróciła uwagi na to, że Szymon von Kirchberg zdaje się uważać za równoprawnego włodarza miasta. Cieszyła się, że stoją już pod bramą. Lecz wartownicy Szymona wcale nie zamierzali im otworzyć.

- Co się dzieje? - zapytał poirytowany Hufeisen. - Przecież widzicie, że to my.

Ferdynand wysunął się naprzód.

- Hej, wy tam! Otwierajcie! Mamy tu rannych, którzy pilnie potrzebują pomocy medyka.

Nie otrzymał odpowiedzi, usłyszał jednak, że wartownicy na wieży wypowiedzieli jego imię.

Na moment ogarnął go lęk, że Szymon mógł przejść na stronę Anglików i odmówi im wstępu do miasta.

Natychmiast jednak odrzucił tę nedorzeczną myśl. Jego kuzyn nie wywiesiłby wtedy na wieży flagi Oisina, tylko angielski czerwony krzyż na białym tle albo herb królowej Elżbiety. Nie bez ironii pomyślał, że ona chyba jednak nie zdzierzyła flagi Szymona jako równoprawnej.

W końcu za bramą coś zaczęło się dziać. Otwarto jedno skrzydło i na zewnątrz wybiegł tuzin uzbrojonych w muszkiety żołnierzy. Choć nie skierowali broni bezpośrednio na Ferdynanda i Irlandczyków, to on uznał ich zachowanie za bezczelność. Wrażenie to spotęgowało się, gdy Szymon wyjechał przez bramę i zatrzymał się tuż przed Ferdynandem na jego własnym ogierze, którego zostawił, wyruszając na kampanię.

- Wygląda na to, że przesadziliście z tą bijatyką z Anglikami! - zawołał Szymon, zamiast się przywitać.

- Mamy rannych, którymi trzeba się pilnie zająć. Ustąp więc z drogi! - Ferdynand nie

miał ochoty na rozmowę z kuzynem.

Ten wykrzywił twarz w drwiącym grymasie i skinął na swoich muszkieterów, żeby się odsunęli. Wkraczanie do miasta w taki sposób było upokarzające. Mieszkańcy Léana, którzy nigdy nie pogodzili się z zajęciem miasta przez Ui'Corra, obrzucali żalosny pochód obelgami, a nawet kamieniami. Gdy jeden z nich trafił muszkietera Szymona, ten wraz z kolegami wycelował w tłum i napastnicy uciekli w głąb jednej z uliczek.

Ostatni odcinek drogi na zamek przebyli w spokoju.

Ferdynanda rozzłościło jednak, że nikt nie wyszedł im pomóc we wnoszeniu rannych po schodach. Pomocy nie udzielono też ani jemu, ani tym wszystkim, którzy stali co prawda na własnych nogach, lecz trzymali się na nich już ostatkiem sił.

- Pan Szymon traktuje nas jak niemile widzianych gości, a nie sojuszników - wyrzucił z siebie rozgniewany Hufeisen. Gdy jeden z żołnierzy chciał przeszkodzić mu w wejściu do pomieszczeń, które przed wymarszem zajmowały obie niewiasty, a także Ferdynand, Aithil i on sam, jego cierpliwość się skończyła.

- Albo zejdziesz mi z drogi, albo tak ci przyłożę, że nakryjesz się nogami! - ofuknął go.

Żołnierz sięgnął ku rękojeści miecza, jakby zamierzał go wyciągnąć.

Wtedy podszedł do niego Ferdynand.

- Z drogi!

Żołnierz nie miał odwagi spierać się ze szlachcicem, a do tego krewnym swojego dowódcy. Ferdynand ominął go z ponurą miną i skinął na pozostałych, żeby za nim ruszyli.

- Zadbajcie o to, żeby ranni dostali wygodne miejsca i poślijcie po medyka, cyrulika albo choćby położną, która zna się na pielęgnowaniu ran - rozkazał i poczuł, że nogi się pod nim uginają.

Hufeisen chwycił go w ostatnim momencie i zaniósł do izby, którą zamieszkiwali przed wymarszem.

- Będziecie musieli spać na brzuchu, panie Ferdynandzie - powiedział, gdy kładł swojego dowódcę na łóżku.

- W porządku! - odparł Ferdynand. - Możesz mi przynieść coś do picia? Jestem spragniony!

Zanim Hufeisen zdążył zareagować, Ciara, która szła za nimi w milczeniu, pobiegła i wróciła z dzbankiem oraz dwoma kubkami.

- Proszę, panie Ferdynandzie! Ale uważajcie. To mocny miód.

- Próbowałaś? - wymamrotał Ferdynand, który już prawie zasnął.

- Oczywiście! Przecież mnie też chciało się pić - odpowiedziała Ciara z uśmiechem, napełniła kubek i przysunęła go Ferdynandowi do ust.

Ten zaczął łapczywie pić i nawet nie zauważył, że wokół niego zrobiło się ciemno i że zapadł w przypominający omdlenie sen.

- Mój Boże, co z nim?! - wykrzyknęła przestraszona Ciara.

Hufeisen sprawdził tętno Ferdynanda i odetchnął z ulgą.

- Jest po prostu zupełnie wycieńczony. Nic dziwnego po tym, co przeszedł.

W jego głosie słychać było, że jest zły na Aithila, który podczas forsownego marszu powrotnego oddał się własnym rozmyślaniom, troskę o rannych pozostawiając Ferdynandowi i dwóm niewiastom.

- Jest taki dzielny! - Ciara chwyciła Ferdynanda za rękę i przez chwilę mocno ją trzymała.

Ona też była skrajnie wyczerpana i najchętniej położyłaby się na łóżku obok niego. Lecz czekało je zbyt wiele pracy, a nie chciała zostawiać wszystkiego Saraid.

- Muszę zajrzeć do innych. Zostaniesz tu z Ferdynandem, aż wrócę?

Hufeisen zerknął na niemal pełny dzbanek miodu i skinął głową.

- Jasne! Gdybym zasnął, obudźcie mnie, jak przyjdziecie.

- Nie zrobię tego, tylko pozwolę ci się wyspać.

Zasłużyłeś na odpoczynek tak samo jak pan Ferdynand.

Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły.

Po tych słowach Ciara wyszła z izby, żeby sprawdzić, jak się mają inni ranni. Na korytarzu spotkała Szymona von Kirchberga, który zastąpił jej drogę z wyniosłym spojrzeniem.

- Jak miewa się mój kuzyn? Jest ciężko ranny?

Ciara wyczuła, że jego pytanie nie wynika wcale z troski o krewnego, tylko ze złośliwej ciekawości.

I dlatego w pierwszej chwili chciała powiedzieć, że Ferdynand czuje się lepiej niż było w rzeczywistości, ale potem uznała, że powie prawdę.

- Pan Ferdynand jest poważnie ranny. Pilnie potrzebuje medyka, podobnie jak wielu, którzy z nami szli.

- A gdzie wasz brat? Nie widziałem go - dopytywał się dalej Szymon.

- Oisin pojechał do Aodha Móra O'Néilla, żeby się z nim rozmówić.

- A więc żyje. - Szymon nie potrafił ukryć rozczarowania, bo najwyraźniej miał nadzieję, że brat Ciary zginął. Wtedy poprzez małżeństwo z jego siostrą mógłby zostać

nowym taoiseachem klanu Ui'Corra.

Zastanawiał się jednak, czy warto byłoby się o to starać, skoro sytuacja w Irlandii uległa zmianie. Po opuszczeniu wyspy przez hrabiego Essex dowództwo przejął lord Mountjoy, który wyglądał na żołnierza i który znał się na swojej robocie.

Léana nie było położone aż na takim uboczu, żeby omijały je najświeższe wieści. Wiedzano zatem, że Mountjoyowi w krótkim czasie udało się przedrzeć przez Leinster i rozdzielić rebeliantów z Ulsteru i z Munsteru.

Działął przy tym z taką bezwzględnością, że teraz już mało który irlandzki chłop odważyłby się dać powstańcowi kawałek chleba ze strachu, że Anglicy powieszą go za to na najbliższym drzewie.

Szymon głowił się od wielu dni, jak się zachować w tych nowych okolicznościach. Ponieważ Anglicy zaczęli wygrywać, kazał traktować angielskich oficerów, z Humphreym Darrenem i Jamesem Mathisonem na czele, raczej jako gości niż jeńców.

Zapewniono im czyste izby, dawano dobre jedzenie, pozwalano grać w karty i rozmawiać. Wolności im jednak nie dał, bo byli cennymi zakładnikami, których będzie można w odpowiedniej chwili wykorzystać.

Z tego powodu nie podobało mu się, że część Ui'Corra powróciła, i postanowił, że jednoznacznie da Aithilowi do zrozumienia, kto tutaj dowodzi. A jeśli chodzi o Ciarę, to tutaj nie będzie mu mogła umknąć. Musiał się tylko zdecydować, czy nadaje się ona na kogoś więcej niż kochankę. W każdym razie fakt, że Ferdynand był ranny, bardzo mu odpowiadał. Teraz ten głupek nie będzie mu wchodzić w paradę.

Szymon umilkł, więc Ciara przemknęła obok niego i zajrzała do rannych. Poczowała ulgę, widząc, że jest już z nimi medyk i opatruje ich rany. Najchętniej poprosiłaby go, żeby zajął się najpierw Ferdynandem. Nie mogła jednak wymagać, by ludzie, którym amputowano członki, jeszcze dłużej czekali na pomoc medyka.

Gdy zamierzała już iść do swojej komnaty, na jednym z korytarzy dostrzegła stojących pod kilkorgiem drzwi wartowników i podeszła do nich z ciekawości.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała jednego z żołnierzy.

Ten nie widział powodu, by nie udzielić jej odpowiedzi.

- Pilnujemy angielskich oficerów, których zakwaterowano w tych izbach.

- Angielskich oficerów? - Ciara się zdziwiła, bo w tych komnatach mieszkał zwykle dowódca zamku wraz z najwyższymi rangą podwładnymi i szczególnymi gośćmi.

Jeńców nie powinno tu być. Zdziwiona otworzyła drzwi łączące korytarze i poszła do swojej komnaty.

Saraid nadzorowała tam już kilka służek, które napełniały wielki ceber ciepłą wodą.

- Pomyślałam, że przyda nam się kąpiel.

- Słusznie! - Ciara z westchnieniem usiadła na zydłu i ukryła twarz w dłoniach. Była zmęczona, głodna i czuła się okropnie brudna. Jednocześnie wstydziła się własnej słabości. W końcu wielu wojowników z ich klanu czuło się o wiele gorzej.

- Myślę, że woda jest już wystarczająco ciepła. Jeśli chcesz, możesz się wykąpać pierwsza - zaproponowała Saraid.

Z początku Ciara nie zareagowała, ale potem wstała i sztywnymi ruchami zaczęła się rozbierać.

- Musimy koniecznie zmienić ubrania na świeże - powiedziała, wchodząc nago do wody.

- Już kazałam je przynieść. Masz tutaj mydło. Umyć ci włosy? - Saraid już się miała do tego zabrać, lecz uświadomiła sobie, jak bardzo sama jest brudna, więc z odrazą zsunęła z siebie suknię.

- Przynajmniej taka korzyść z tego wszystkiego - powiedziała ze śmiechem - że zużyliśmy nasze spodnie suknie i koszule na opatrunki, więc mamy mniej do zdejmowania i szybciej możemy się znaleźć w kąpieli.

Umywszy sobie dłonie i ramiona, zaczęła namydlać włosy kuzynki.

Ta nagle uniosła głowę i popatrzyła jej w oczy.

- Wiesz może, dlaczego von Kirchberg zakwaterował angielskich oficerów tuż za rogiem?

Saraid prychnęła z pogardą.

- Chce się wkupić w ich łaski na wypadek, gdyby to Anglia okazała się zwycięzcą. Ale się przeliczył. My, Irlandczycy, zapędzimy ten motłoch z powrotem na ich własną wyspę.

- Codziennie modlę się o to, by nam się udało. - Ciara zadrżała i zanurzyła się głębiej w ciepłą wodę.

- Hej, nie tak szybko! Jak mam ci teraz umyć włosy? - upomniała ją Saraid.

Ciara natychmiast przestała się kręcić, więc Saraid już po chwili mogła z zadowoleniem popatrzeć na mokre i lśniące włosy kuzynki.

- No to teraz wyszoruję ci plecy, a potem ty wyświadczysz mi taką samą przysługę.

Przez następne minuty unikały poważnych tematów i rozmawiały o błahostkach, takich jak nowy olejek zapachowy, który Saraid skomponowała tuż przed wyruszeniem na wyprawę wojenną, i o nowym przepisie na mydło.

Gdy Saraid też była już czysta, wytarły się i włożyły suknie, które przyniosła im

służąca. Ponieważ przez ostatnie dni czuły wokół nóg tylko wierzchnie suknie, nagle zrobiło im się w spodnich sukniach ciasno i niewygodnie.

- To śmieszne, że niewiasty muszą nosić tyle warstw ubrań - pożałowała się Ciara, po czym otrzymała od Saraid prztyczka w nos.

- Taki jest obyczaj. A może chcesz, żeby powiew wiatru uniósł ci suknię i wszyscy mogli podziwiać twój tyłek?

- Nie, oczywiście, że nie. - Ciara westchnęła, sprawdziła, czy ma już suche włosy i podeszła do drzwi.

- Jestem okropnie samolubna, bo dla własnej wygody zupełnie zapomniałam o naszych rannych.

- Chyba masz na myśli jednego konkretnego rannego - zadrwiła Saraid i zaczęła się zastanawiać, czy nie przemówić kuzynce do rozumu, uznała jednak, że Ferdynand nie jest w tym momencie w stanie nastawać na cnotę Ciary, więc odłożyła swoje kazanie na później.

- Wiesz, co mnie złości? - zapytała.

- Co?

- Że ojciec Maitiú zostawił nas, nie udzielając ani nam, ani rannym błogosławieństwa.

I to ma być kapłan!

- Cieszę się, że nie poszedł z nami - odpowiedziała Ciara. - Pamiętasz tego angielskiego oficera, którego kazał Buirre'owi zabić? Z tymi jeńcami też pewnie nie zawahałby się tak zrobić.

- Nie sądzę, żeby Szymon von Kirchberg do tego dopuścił. On toczy swoją własną grę i przyznam, że zupełnie mi się to nie podoba. Ale czy nie miałaś iść zajrzeć do rannych?

Saraid ucieszyła się, że kuzynka wyszła. Chciała przemyśleć sobie spokojnie kilka spraw, które leżały jej na sercu, jednak znużenie wzięło górę i położyła się do łóżka. Gdy tylko przyłożyła głowę do cienkiej poduszki, zapadła w jakiś dziwny, zawity sen.

6

Ferdynand obudził się, bo ktoś chwycił go za ramię i potrząsnął. Odwróciwszy się z trudem, spojrzał w górę.

Stał nad nim nieznajomy mężczyzna w obcisłych spodniach i szarym kaftanie. Podłużna twarz o bladych oczach miała zimny wyraz.

- Kim jesteście? - zapytał zaspany Ferdynand po niemiecku, a potem powtórzył pytanie po angielsku.

- Nie jesteście Irlandczykiem, ale Anglikiem też nie.

Ostatecznie jest mi to całkowicie obojętne. W końcu złapie was i powiesi któryś z szeryfów królowej Elżbiety.

A ja jestem medykiem, którego żeście, łotry, kazali wezwać! - Mężczyzna w ogóle nie starał się być uprzejmy i od razu zapytał Ferdynanda, gdzie jest ranny.

- W ramię i przez całe plecy - odpowiedział zniechęcony Niemiec.

- W takim razie musicie zdjąć kaftan i koszulę. I tak niewiele są już warte!

Pomimo opryskliwości medyk pomógł Ferdynandowi się rozebrać, a potem rozwiązał opatrunki. Te mocno przywarły do skóry i Ferdynand czuł piekielny ból, gdy medyk je odrywał. Aż łzy napłynęły mu do oczu, zagryzł jednak zęby, żeby nie krzyknąć i nie dać nieprzyjaznemu medykowi satysfakcji.

- Nazywacie nas łotrami, więc pewnie jesteście z Anglii? - zapytał, gdy najgorszy ból już minął.

- Mój ojciec był Irlandczykiem. Przeniósł się do Londynu, ożenił tam i został w mieście do końca życia. Ja uczyłem się fachu u felczera, lecz potem posłuchałem rady przyjaciela, by przeprowadzić się do Irlandii i tutaj otworzyć praktykę. Pacjenci w Londynie wolą korzystać z usług wykształconych panów *doctores*, a ja, jako felczer, byłem niewiele lepszy od balwierza. Tutaj w zasięgu wielu mil nie ma żadnego medyka, który mógłby ze mną konkurować.

Mężczyzna sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego, a mówił to wszystko, badając jednocześnie Ferdynanda. W końcu pokiwał głową.

- Muszę przyznać, że goi się na was jak na psie. Cięcie na waszym ramieniu już się zamknęło i nie zagorzało.

Niedługo będziecie mogli korzystać z ręki, jakby nic się nie stało.

Ferdynand z ulgą przyjął tę wiadomość. Bardziej jednak martwiła go rana na plecach. Medyk obejrzał ją, skubnął kilka miejsc palcami, a potem wyjął ze swojej torby małą lampkę i drut.

- Muszę wypalić wam trochę ziarniny - oznajmił, zapalając lampkę i trzymając drucik w ogniu. - Każcie przynieść sobie kawałek drewna, na którym będziecie mogli zacisnąć zęby. Nie do pogardzenia byłby też dzban miodu, a jeszcze lepiej duży kubek whisky.

- Zaraz przyniosę! - Hufeisen spał, ale już się obudził i wyszedł z izby, akurat gdy wchodziła do niej Ciara.

- Jak się ma pan Ferdynand? - zapytała go wprost.

- Mam przynieść mu miodu albo whisky, żeby medyk mógł przy nim pomajstrować. - Hufeisen zostawił drzwi otwarte, żeby Ciara mogła wejść, i pośpieszył do piwnicy, by

przynieść jakiś trunek.

Medyk zauważył, że weszła jakaś niewiasta, i głośno prychnął.

- To nie jest miejsce dla ciebie! Wyjdź lepiej, bo jeszcze nam tutaj zemdlejesz.

- Bądźcie nieco grzeczniejsi - upomniał go Ferdynand.

- To siostra taoiseacha Ui'Corra i powinniście się do niej odpowiednio zwracać.

- Jak sobie życzyacie! - Medyk nie przerywał swojej pracy. - Byłem bliski stwierdzenia, że to typowy dla tchórzliwych Irlandczyków strzał w plecy. Ale ta kula przeszła bokiem i zostawiła na waszych plecach długie rozcięcie. Na wasze szczęście rana tylko lekko się zaogniła. Jeszcze odrobina szczęścia, wkrótce się zamknie i nie będzie wam już tak dokuczać.

Mężczyzna mówił to wszystko tak beznamiętnym tonem, że Ferdynand najchętniej wypędziłby go i kazał sprowadzić jakąś irlandzką zielarkę albo akuszerkę. Gdy się nad tym zastanawiał, do izby wrócił Hufeisen z dzbanem miodu oraz wielkim kubkiem whisky.

- Skorzystałem z zapasów pana Szymona. Chyba nie będzie żałował dla swojego krewnego - powiedział z uśmiechem, podając Ferdynandowi kubek z whisky.

Ten niechętnie wypił mocny trunek, a gdy Hufeisen i Ciara wmusili w niego jeszcze parę kubków miodu, poczuł, że otacza go gęsta mgła i że zaraz zaśnie ze zmęczenia.

- Skoro nie ma kawałka drewna, wsadźcie pacjentowi do ust zwiniętą szmatkę, żeby mógł ją zagryźć - polecił medyk.

Ciara natychmiast posłuchała, a potem przyłożyła dłoń do policzka Ferdynanda.

- Będzie dobrze, z całą pewnością - powiedziała z naciskiem.

Ferdynand nie zdołał nic odpowiedzieć, gdyż medyk uznał, że drucik jest wystarczająco nagrany i zaczął wypalać ziarninującą tkankę. Bolało tak, że Niemiec miał ochotę wrzeszczeć na całe gardło. Jednocześnie rozszedł się tak koszmarny odór, że Ciara podbiegła do okna i otworzyła je szeroko, by wpuścić świeże powietrze.

Hufeisen domyślił się po minie Ferdynanda, jak bardzo tamten cierpi, i potrząsnął głową.

- Chyba minęliście się z powołaniem, medyku!

Powinniście byli zostać pomocnikiem kata.

Medyk odwrócił się do niego z drwiącym uśmiechem.

- Cieszcie się, że nim nie zostałem. Wtedy wasz przyjaciel miałby się o wiele gorzej. Nie sądzę, żeby w zasięgu trzydziestu mil znalazł się ktoś z takimi umiejętnościami jak moje. Cóż, teraz muszę już tylko jeszcze raz rozgrzać drucik i na dzisiaj skończone!

- Bogu niech będą dzięki - wymamrotał Ferdynand i jęknął, bo rozgrzany do

czerwoności drut znów przypalił mu plecy.

W końcu medyk odłożył drucik i zgasił lampkę. Na koniec wyjął z torby małą buteleczkę, wsypał jakiś rdzawy proszek do kubka i dolał miodu.

- To zmielona kora pewnego drzewa z Ameryki Południowej. Sprzedał mi to jeden marynarz jako cudowny środek na rany. Ale pomaga właściwie na wszystko. Przede wszystkim obniża gorączkę i zapobiega zgorzeli. Wypijcie. Dobrze wam zrobi.

Ponieważ Ferdynand nie był w stanie utrzymać kubka, Ciara wlała mu miksturę do ust. Niemiec był już tak pijany, że pomimo bólu zasnął.

Medyk spojrział na niego z irytacją, po czym zwrócił się do Ciary i Hufeisena.

- Będziecie go musieli podtrzymać, żebym mógł go obwiązać. Na Boga, myślałem, że taki mężczyzna jak on poradzi sobie z paroma kubkami miodu.

Ciara już miała odpowiedzieć, że Ferdynand prawie nic nie jadł przez ostatnie dwa dni i dlatego zmogły go whisky i miód. Powstrzymała się jednak i z pomocą Hufeisena podniosła Ferdynanda na tyle, by medyk mógł założyć opatrunek.

- No to gotowe! - oznajmił ten na koniec. - Komu mam przedstawić rachunek? Zajęcie się ponad dwoma tuzinami rannych będzie kosztować.

- Dajcie go mnie! - powiedziała Ciara, a potem dała mu niemal wszystkie monety, jakie zostały jej w sakiewce.

Gdy medyk wreszcie sobie poszedł, zrezygnowana rzekła do Hufeisena:

- Nie wiem, czy będzie nas stać, żeby wezwać go ponownie.

Hufeisen odpiął swoją sakiewkę od pasa i podał ją Ciarze.

- Proszę, weźcie to! Oddacie, jeśli coś zostanie. Ale chcę, żeby mój pan oraz inni wojownicy mieli dobrą opiekę.

- Szlachetny z was człowiek, Hufeisen - odpowiedziała cicho Ciara.

- Tylko tego nie rozprowadzajcie! Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział.

- Nikomu nie zdradzę!

Ciara domyślała się, czego wojak się obawia.

Ponieważ przybył do tego kraju, by walczyć za pieniądze, nie chciał, żeby jego dawni towarzysze wyśmiali jego dobry uczynek. Saraid musi się jednak dowiedzieć, może wtedy zacznie uprzejmiej traktować Hufeisena. Ona na pewno tak zrobi, nawet jeśli żołnierzowi chodziło przede wszystkim o Ferdynanda, a nie o rannych Ui'Corra.

„Stój!” - pomyślała sobie natychmiast. Może podejrzewa go o coś zupełnie niesłusznie. Po namyśle nalała miodu do kubka i podała go Hufeisenowi.

Przyjął go z podziękowaniem i popatrzył na nią, szeroko się uśmiechając.

- Choćby za ten wasz miód i waszą whisky warto dla was, Irlandczyków, walczyć.

- Dopóki je tylko mieć będziemy, nigdy nie będziecie chodzili spragnieni -
odpowiedziała Ciara z uśmiechem i usiadła przy łóżku Ferdynanda. Zasnął i sądząc po wyrazie twarzy, o czymś śnił. „Mam nadzieję, że o mnie”

- pomyślała i wybiegła myślami w przyszłość, w której żaden Anglik nie będzie już zagrażać jej szczęściu.

7

W odległości kilku mil od Léana Ryszard Haresgill ze zmarszczonym czołem przyglądał się irlandzkiemu chłopu.

- A nie kłamiesz?

- Nie, mój panie, na pewno nie. Widziałem tych ludzi.

Jest ich sześciu i schowali się w szopie mojego sąsiada.

To Anglik, żebyście wiedzieli! Opuścił swoją zagrodę, gdy wybuchło powstanie, a mnie powierzył opiekę nad nią. Gdyby tu był, mógłby wam powiedzieć, że jestem wiernym poddanym Jej Wysokości królowej Elżbiety, że nigdy nie miałem nic wspólnego z buntownikami O’Néilla. To wstrętny drań, powiadam wam, a ludzie z jego klanu to zwykli awanturnicy i koniokrady.

Nienawidzimy ich bardziej niż... niż Ui’Domhnaill z Donegal. - Chłop w ostatniej chwili ugryzł się w język i zamienił Anglików na nazwę jednego ze zbuntowanych klanów.

Haresgill był zbyt podekscytowany, żeby zwrócić na to uwagę.

- Sześciu O’Corra, powiadasz? Musimy ich dorwać! - Te słowa skierował do swojego sierżanta.

Chłop skłonił się usłużnie, mając nadzieję, że przekazując tę wiadomość nie podzieli losu mieszkańców sąsiedniej wsi, którym ludzie Haresgilla podpalili strzechy nad głowami. Chłopów i ich rodziny po części zabili, a po części wypędzili do lasu.

- Jak chcecie, możemy wyruszyć od razu. Ale zanim tam dotrzemy, zapadnie już noc - wtrącił sierżant.

- Ten tutaj nas poprowadzi. Jeśli ich złapiemy, zostanie na swojej zagrodzie. Jeśli nie, powiesimy go na najbliższym drzewie, a wy zrobicie z jego żoną i córkami, co będziecie chcieli.

Ton głosu Haresgilla zabrzmiał tak, jakby wręcz chciał, żeby poszukiwania okazały się daremne, a irlandzki chłop zaczął się modlić do wszystkich świętych, żeby sześciu wojowników, których odkrył rankiem, wciąż przebywało w opuszczonej zagrodzie.

Dwaj Anglicy na rozkaz Haresgilla związali mu ręce i założyli postronek na szyję.

- Na wypadek, gdybyś chciał zwiąć - zadrwił sierżant i wymierzył mu siarczysty policzek. - Jeśli się okaże, że z nas kpisz, będziemy mogli od razu cię powiesić. Ale najpierw popatrzysz sobie, jak ujeżdżamy twoje baby!

Jego pan myślał tymczasem o sześciu wojownikach klanu, których chłop uznał za Ui'Corra, i popędzał swoich ludzi, żeby szli szybciej. Choć udało im się kilka dni temu krwawo odeprzeć ich atak, to wciąż bolały go straty, które ponieśli.

- Chcę Oisina O'Corrę i chcę go widzieć na stryczku! - wyrzucił z siebie.

Sierżant zarechotał.

- Już my się o to postaramy, sir!

- Ponoć Oisin O'Corra ma piękną siostrę i nie mniej ładną kuzynkę. Im obu osobiście pokażę, kto tutaj jest panem. A potem wy będziecie mogli je mieć - kontynuował Haresgill.

- Nie możemy się doczekać! - uśmiechnął się szeroko sierżant.

Przez ostatnie tygodnie on i jego kamraci zgwałcili niejedną kobietę i zabili niejednego Irlandczyka. Lecz ponieważ apetyt rośnie w miarę jedzenia, miał nadzieję, że w wiosce, do której zmierzali, natrafią na jakieś ładne niewiasty.

Już po chwili chłop prowadził oddział wąską ścieżką na wzgórzu. Haresgill nieufnie rozglądał się wokół, bo wydawało mu się, że to idealne miejsce na zasadzkę.

- Bądźcie czujni! - rozkazał sierżantowi.

Ten skinął głową i przykazał swoim ludziom, żeby trzymali broń w pogotowiu.

Minęło kilka godzin, ale nie padł żaden strzał, z krzaków nie wyskoczyli też żadni klanowi wojownicy, by zaatakować angielski oddział. Gdy zapadał już zmierzch, wreszcie zobaczyli przed sobą wioskę. Choć zagrody były rozrzucone, od razu rozpoznali, gdzie osiedlili się Anglicy, a gdzie mieszkali Irlandczycy.

Angielskie domy były większe i zostały wzniesione w stylu dominującym w ich ojczyźnie, podczas gdy irlandzkie chaty zbudowano z warstw rudy darniowej, a ich dachy porastała trawa.

Haresgill prychnął z pogardą i zażądał od przewodnika, by pokazał, gdzie widział wojowników Ui'Corra.

Mężczyzna wskazał na okazały majątek nieopodal.

- To tam, panie! A obok jest moja skromna chata, jeśli wolno wtrącić.

- A co z pozostałymi zagrodami? - zapytał Haresgill.

- Większość stoi pusta. Ci, którzy trzymają z Anglikami, uciekli na początku rebelii, a zwolennicy O'Néilla zwiali, gdy otrzymali wieść o waszym przybyciu.

- Otoczcie tę zagrodę, ale po cichu! - rozkazał Haresgill swoim jeźdźcom.

W przeciwieństwie do muszkieterów, konni nie ponieśli niemal żadnych strat podczas potyczki z ludźmi Oisina, ale tak samo jak wszyscy chcieli pomścić kompanów. Pomknęli naprzód i po kilku minutach byli przy zagrodzie. Najpierw panowała tam cisza, lecz nagle z jednego z budynków wybiegło kilku ludzi i próbowało uciec do lasu.

Było już jednak za późno. Na polach i łąkach otaczających domostwo jeźdźcy Haresgilla mieli przewagę. Nawet żywopłoty przeszkadzały im mniej niż uciekającym, ponieważ ich konie po prostu je przeskakiwały.

Zabłyśły ostrza mieczy i na ziemię runęły trzy zakrwawione ciała. Zadowoleni Anglicy wrócili do zagrody i otoczyli ją. Zaraz potem zjawili się muszkieterzy, którzy wpadli do środka z bronią gotową do strzału.

Haresgill kilka razy okrążył zagrodę, złoszcząc się, że i ją musiał opuścić dobry Anglik, żeby uciec przed irlandzkimi buntownikami.

- Złapaliśmy resztę tych łotrów!

Okrzyk sierżanta przerwał tok myśli Haresgilla.

Skierowawszy konia ku zagrodzie, którą rozświetlało teraz obozowe ognisko, patrzył, jak jego ludzie wyrzucają z domu trzech obdartych Irlandczyków.

- Mamy was, psy! - wrzasnął na nich.

Dwóch skuliło się ze strachu, trzeci jednak, choć też zalękniony, popatrzył na Haresgilla z przebiegłym wyrazem twarzy.

- To wy, sir Ryszardzie. Co za szczęście. Właśnie mówiłem Rory'emu, Bory'emu i Mory'emu, że to nie mogą być buntownicy O'Néilla, ale bracia nie chcieli mnie słuchać. Niech Bóg ulituje się nad ich duszami! - Mężczyzna przeżegnał się, nie spuszczać wzroku z Haresgilla.

Ten popatrzył na niego zdumiony.

- Kim jesteś, człowieku? - zapytał.

- Deasún O'Corraidh, do waszych usług, wasza lordowska mość. Jestem dobrym żołnierzem w służbie Anglii. Nasza jednostka została rozbita przez tych nędznych rebeliantów.

- Nie jesteście O'Corra? - zapytał nieufnie Haresgill.

- Na Boga, nie! Skąd taki niedorzeczny pomysł?

Ui'Corra oddzielili się od nas paręset lat temu i nie stało się to pokojowo, jeśli wolno dodać.

Deasún O'Corraidh łągał w żywe oczy. Nie miał zamiaru wspominać, że wraz z

towarzyszami zaatakował akurat oddział Haresgilla. Ten człowiek był znany z tego, że nie okazuje łaski.

Tymczasem zbliżył się do nich sierżant i przyjrzał się Deasúnowi spod przymrużonych powiek.

- Kłamiesz! Widziałem cię przecież pośród Ui'Corra, gdy nas atakowali.

Irlandczyk wiedział, że zaraz zawisnie na najbliższym drzewie, więc musiał się jakoś wyłgać.

- Ja i moi towarzysze nie byliśmy z tymi typami z własnej woli. Należeliśmy do oddziału sir Jamesa Mathisona, na którego Ui'Corra zastawili pułapkę i którego wzięli do niewoli. Ten łotr, to znaczy Oisín O'Corra, nie szanowny sir James, groźbami zmusił nas, rodowitych Irlandczyków, byśmy się przyłączyli do jego złodziejskiej bandy. Dopiero gdy wasza lordowska mość dał im w kość, mieliśmy szansę uciec i liczymy teraz na łaskawość i zrozumienie ze strony waszej lordowskiej mości.

- Byliście z Oisínem O'Corrą? - Szczęki Ryszarda Haresgilla poruszały się, jakby coś żuł. - Co o nim wiecie?

- Porządnie daliście w kość jego ludziom, wasza lordowska mość - oznajmił Deasún. - Mieli wielu rannych i chcieli ich odprowadzić do Léana.

Powiedziałbym wręcz, że wybiliście Oisínowi O'Corze prawie wszystkie zęby. Z resztką klanu, jaka mu została, nie odważy się już atakować.

- A więc Oisín O'Corra wycofał się do Léana. - Haresgill był zły, że jego oddział jest zbyt mały, żeby oblec miasto i je zdobyć.

Jednak Irlandczyk potrząsnął głową.

- Nie do końca, wasza lordowska mość.

Obserwowaliśmy jeszcze trochę wroga i widzieliśmy, że Oisín O'Corra wraz z częścią zdrowych ludzi ruszył w kierunku północnym. Wydaje mi się, że zmierza do Hugh O'Néilla. Tylko ranni ruszyli dalej do Léana. Ale nie wzmocnią tamtejszej obsady, tylko będą stanowić parę dodatkowych gąb do wyżywienia.

- To miasto zajmują cudzoziemscy żołnierze, którzy znają się na wojaczce, a nie parszywi Irlandczycy - warknął Haresgill.

Przez twarz Deasúna O'Corraidha przemknął przemądrzały uśmieszek.

- Poznałem tych żołnierzy. To twardzi ludzie, którzy są posłuszni swojemu dowódcy, a nie Ui'Corra. Pan Szymon von Kirchberg to według mnie człowiek, z którym można się dogadać. Poza tym gardzi tymi dzikusami Ui'Corra i na pewno nie będzie miał ochoty oddać życia za przegraną sprawę.

- Sądysz, że można by pertraktować z Kirchbergiem? - dopytywał się Haresgill.

- Jeśli zaoferuje mu się coś konkretnego, powinien być chętny do rozmów. To najemnik i patrzy na zysk. Jeśli zostanie po stronie Ui'Corra, kiepsko na tym wyjdzie.

Deasún wyczuł zainteresowanie Haresgilla i nabrał nadziei, że tym razem mu się upiecze. Lecz gdy usłyszał kolejne słowa Anglika, pożałował, że go w ogóle spotkał.

- Puszczę cię, chłopcze. Ale pójdziesz do Léana i pogadasz z tym Kirchbergiem w moim imieniu.

Przekażesz mu, że chcę z nim rozmawiać.

- Ale, wasza lordowska mość, jeśli Ui'Corra mnie zobaczą, natychmiast mnie zabiją! - wykrzyknął przerażony Irlandczyk.

- To postaraj się, żeby cię nie zobaczyli.

Tymi słowami Haresgill zakończył rozmowę. Wydał sierżantowi rozkaz, żeby zostawić trzech Irlandczyków pod strażą i rozejrzał się za irlandzkim przewodnikiem, który wciąż stał obok ze związanymi rękoma i postronkiem na szyi.

Mężczyzna, pomimo więzów, zamarkował ukłon.

- Jak widzicie, panie, powiedziałem prawdę. W tej zagrodzie ukrywało się sześciu ludzi.

Haresgill wyczuł, że chłop ma nadzieję, że go wypuszczą i będzie mógł zostać w gospodarstwie wraz ze swoją rodziną. Lecz miał inne plany.

- Było tu sześciu ludzi, to prawda. Ale to wcale nie byli przekłenci O'Corra, tylko rozproszeni żołnierze jej królewskiej mości. Trzech nie żyje, a to tylko i wyłącznie twoja wina, bo myśleli, że jesteśmy buntownikami, i zaczęli uciekać. Pozbawiłeś więc armię Jej Wysokości trzech dzielnych wojowników. Mamy być ci za to wdzięczni?

- Ależ wasza lordowska mość! - wykrzyknął oburzony i jednocześnie przerażony Irlandczyk.

Lecz Haresgill już zwrócił się do swojego sierżanta.

- Powieście go, zajmijcie jego zagrodę i skorzystajcie z jego kobiet. A potem wszystko spalcie. Tylko pamiętajcie, że jutro rano wszyscy mają być gotowi do wymarszu. Kto nie będzie gotów, zasmakuje bata.

- Dokąd ruszamy, panie? - zapytał sierżant, zaskoczony zarządzone nagle pośpiechem.

- Do Léana!

- Ale to miasto wciąż jest w rękach wroga.

Haresgill popatrzył na podwładnego z wyższością.

- I to właśnie zamierzam zmienić. Pośpieszcie się, bo zostanie wam mało czasu na baby!

8

Ciara skrzywiła się, gdy podszedł do niej Szymon von Kirchberg. Jego zaczerwieniona twarz i ciężki oddech wskazywały na to, że jest pijany. Chciała go szybko ominąć, lecz on przyciągnął ją do siebie.

- Nie chcecie ze mną troszkę pokonwersować? - zapytał bełkotliwie.

- Saraid na mnie czeka! Muszę biec. - Ciara chciała się uwolnić, lecz Szymon mocno ją przytrzymał.

- Tędy nie idzie się do kuchni. A więc znów wybieracie się do mojego nic niewartego kuzyna. Ale on jest zbyt słaby, żebyście mieli z niego pożytek. Za to ja...

- Nie wiem, o czym mówicie! - wykrzyknęła zdenerwowana Ciara.

- Taka piękna kobieta jak wy nie chce wiedzieć, co to miłość? - W głosie Szymona zabrzmiała ironia. Alkohol sprawił, że puściły ostatnie bariery, a on nie bał się już jej brata. Po ostatniej porażce Oisín powinien się cieszyć, jeśli Hugh O'Néill przyjmie go na oficera do swojej armii. I nigdy nie zostanie wielkim panem, jak miał kiedyś nadzieję.

- To, co wy nazywacie miłością, to tylko lubieżność, którą może zaspokoić pierwsza lepsza ładaczka.

Zostawcie mnie w spokoju! - Ciara usiłowała się wyswobodzić z jego objęć, lecz jemu udało się przesunąć wargami po jej policzku w poszukiwaniu ust.

- Po co mi jakaś ładaczka, skoro mogę mieć was! - Szymon próbował zaciągnąć Ciarę do swojej komnaty, lecz ona zamierzyła się i z całej siły kopnęła go w piszczel. Czując ból, puścił ją, ale zaraz potem znów próbował złapać.

Ciara była szybsza i gotując się z gniewu, uciekła. Co mu przyszło do głowy, żeby traktować ją tak, jakby mógł z nią zrobić, co chce? Nagle uświadomiła sobie, że nie może ani chwili dłużej pozostać w Léana, jeśli nie chce, żeby dopadł ją i zgwałcił. Zrezygnowawszy z wizyty u Ferdynanda, wróciła inną drogą do swojej komnaty.

Wpadła do niej tak gwałtownie, że kuzynka się wystraszyła i ukuła się igłą, którą właśnie cerowała koszulę.

- Co się stało? - zapytała Saraid, wsuwając palec do ust, żeby zatamować krwawienie.

- Musimy natychmiast stąd odejść! I to dziś! Kirchberg nie może się o tym dowiedzieć, bo nas zatrzyma.

Ciara mówiła tak szybko i nieskładnie, że Saraid nie mogła się połapać.

- O co chodzi? - zapytała ponownie. - Dlaczego miałybyśmy opuścić miasto?

- Przez Szymona von Kirchberga. Chciał mnie zaciągnąć do swojej komnaty!

Mówiąc to, Ciara zaczęła już zbierać swoje rzeczy i wiązać je w tobolek.

- Co ty mówisz? Kirchberg chciał cię zgwałcić? To przecież... - Saraid nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa, żeby opisać tak haniebne zachowanie.

Ciara pokiwała głową z błyskiem w oku.

- On już wcześniej nie miał ochoty podporządkować się mojemu bratu. A kiedy Oisín stracił tylu ludzi, Kirchberg zaczął się zachowywać tak, jakby to było jego miasto. Traktuje nas jak petentów. Już kilka razy mnie zaczepiał, a dziś pokazał mi swoją prawdziwą twarz. To drań, i to gorszy niż Anglicy!

Coś rzeczywiście musiało się wydarzyć, skoro Ciara użyła najgorszej obelgi. Saraid zaczęła się zastanawiać, czy Kirchberg nie dopiął swego, natychmiast jednak odrzuciła tę myśl. W takim przypadku Ciara nie ograniczyłaby się do obraźliwych słów, tylko wzięłaby sztylet i zakłuła nim gwałciciela.

- Co zamierzasz? - zapytała.

- Wracam na zamek Ui'Corra. Tam będę bezpieczna przed Kirchbergiem.

To znaczyło, że znalazłyby się pod władzą Buirre'a, a tego Saraid się bała. Miała zaprotestować, pomyślała jednak, że nie powinna zostawiać kuzynki w potrzebie.

- Dobrze, w takim razie wracamy do domu. Ale nie powinnyśmy wyruszać w drogę same. Po terenach granicznych kręci się zbyt wielu angielskich maruderów, a także wojownicy klanów, które sprzymierzyły się z Sasanach.

- Masz rację. - Ciara zaczęła myśleć, komu mogą zaufać, ale niewiele osób przyszło jej do głowy. - Ionatán nie będzie miał ochoty wracać do Buirre'a. Och, wybacz.

Zapomniałam, że ty też nie masz na to ochoty!

W głosie kuzynki było tyle rozpaczy, że Saraid machnęła lekceważąco ręką.

- Aż tak źle nie będzie! Poza tym można podejrzewać, że gdy zabraknie ciebie, Kirchberg zwróci uwagę na mnie, a to wcale by mi się nie podobało. Jeśli chodzi o Ionatána, to on pójdzie za tobą nawet w ogień. Powinnyśmy też wziąć Hufeisena, a pana Ferdynanda wolałabym nie zostawiać pod opieką jego niemiłego kuzyna.

- Ale on jest taki osłabiony! - zaprotestowała Ciara.

- Będzie jeszcze słabszy, jeśli jego krewny odmówi mu niezbędnej pomocy. Nie ufałabym mu, bo zawsze nienawidził pana Ferdynanda, ponieważ ten jest prawdziwym szlachcicem, a on jedynie sprzedajną szmatą.

Saraid skrzywiła się z obrzydzeniem i wzięła się do pakowania. Jednocześnie

obmyślała dalsze działania.

- Zostaniesz w komnacie i zaryglujesz drzwi, kiedy mnie nie będzie!

- Co chcesz zrobić?

- Postaram się, żeby Hufeisen i Ionatán przygotowali się do wymarszu. Powinniśmy opuścić miasto po zapadnięciu zmroku. I to przez boczną furtkę, której nie pilnują żołnierze Kirchberga.

- Czuję się winna, że zostawiamy tylu naszych.

Powinniśmy zabrać wszystkich, gdyby się tylko dało! - Myśl o rannych ciążyła Ciarze na duszy, lecz Saraïd była przekonana, że jej kuzynka będzie bezpieczna, tylko jeśli wymkną się po kryjomu.

- Zwracalibyśmy na siebie uwagę, a niosąc rannych, byłibyśmy tak powolni, że Kirchberg by nas dogonił. Poza tym uważam, że lepiej będzie, jeśli zostanie tutaj paru zdrowych, którzy będą mogli się zająć rannymi.

Ciara musiała przyznać jej rację. Gdy Saraïd wyszła z izby, zaryglowała drzwi i usiadła na łóżku. Myślała o Ferdynandzie, który znów będzie musiał znosić trudy ucieczki. Z przygnębieniem zastanawiała się, co przyniesie im przyszłość.

9

Wracając, Saraïd zabrała Gamhain, która na rozkaz Szymona von Kirchberga została zamknięta w zamkowej psiarni. Suka natychmiast przyskoczyła do Ciary, oparła łapy na jej ramionach i polizala ją po twarzy swoim długim, jasnoróżowym językiem.

- Zostaw! - prychnęła Ciara, choć cieszyła się, że znów ma psa u swojego boku. Z Gamhain czuła się bezpieczniej.

Musiały jednak prędko zniknąć, bo Szymon nienawdził psa, odkąd ten jednoznacznie okazał mu swoją niechęć, i zagroził nawet, że każe go zastrzelić, jeśli jeszcze raz będzie się wałęsać po zamku.

- Udało ci się porozmawiać z Hufeisenem i Ionatánem?

- zapytała Ciara.

- Tak. Ionatán chciał powiadomić Aithila, że Kirchberg cię napastował, ale udało nam się mu to wyperswadować.

Aithil na pewno wpadłby w gniew i zrugałby Kirchberga, a ten pozbawiony charakteru człowiek kazałby go zamknąć. A ponieważ nasi by na to nie pozwolili, niewątpliwie doszłoby do walki. Jednak żołnierzy Kirchberga jest o wiele więcej i to mógłby być nasz koniec. Hufeisen wyjaśnił to Ionatánowi i przekonał go.

- Zgadza się. Nie możemy sobie pozwolić na zatarg z Kirchbergiem i jego żołnierzami. Tak właściwie Léana jest bardziej jego miastem niż naszym. - Porzuciła jednak tę myśl i zapytała o to, co najbardziej leżało jej na sercu.

- Jak się ma pan Ferdynand? Czy będzie mógł nam towarzyszyć?

- Hufeisen uważa, że tak. Ale nie chce mu od razu mówić, że napastował cię jego kuzyn, bo się boi, że pan Ferdynand będzie się chciał z nim rozmówić pomimo swoich ran.

- Bardzo dobrze! - Ciara zerknęła przez okno i zobaczyła, że pomarańczowoczerwona kula słońca chowa się właśnie za zielonymi wzgórzami na zachodzie.

- Powinniśmy wkrótce wyruszać.

- Hufeisen chce, byśmy byli przy bocznej furtce, gdy wieżowy zegar zabije kolejny raz. Ionatán już opuścił Léana i czeka na nas na zewnątrz. Powiedział, że postara się o pochodnie, żebyśmy mogli w nocy daleko zajść.

Ciara z ulgą pokiwała głową, gdyż chciała jak najszybciej zniknąć z otoczenia Szymona von Kirchberga.

Brzydził ją ten człowiek i nie potrafiła sobie wyjaśnić, jak mogła się w nim kiedyś durzyć.

Gdy patrzyła, jak niebo po zachodniej stronie purpurowieje, Saraid sprawdziła, czy spakowały już wszystko, a potem szturchnęła lekko kuzynkę.

- Powinniśmy iść.

Ciara wzięła swój tobolek i ostrożnie otworzyła drzwi.

Nikt nie zapalił tam lampki czy lucywa, więc było ciemno choć oko wykol. Ciara ostrożnie wymacała drogę do tylnych schodów, zeszła na dół i wstrzymując oddech, minęła kwatery żołnierzy Kirchberga, żeby dotrzeć do wyjścia. Gamhain cicho kroczyła u jej boku.

- Grzeczny pies! - szepnęła Ciara, kiedy znalazły się na zamkowym dziedzińcu. Płonęło tu kilka pochodni, lecz obaj wartownicy na murach patrzyli w noc i nie zauważyli, że przez dziedziniec przemknęły dwie niewiasty z psem i zniknęły w ciemnym kącie.

Teraz Saraid musiała przejąć prowadzenie. Chwilę potrwało, zanim znalazła boczną furtkę. W tym momencie na ich korzyść zadziałała angielska oszczędność, gdyż Anglicy pożałowali wydatków na porządny zamek i wstawili tylko od wewnątrz rygiel, który można było z łatwością odsunąć. Po chwili obie niewiasty i pies były już na zewnątrz.

- A gdzie pan Ferdynand i Hufeisen? - zapytała zaniepokojona Ciara.

- Tutaj! - rozległ się czyjś głos kilka kroków od nich.

Zobaczyły tylko dwa cienie na tle odrobinę jaśniejszego tła. Mimo to zarówno Ciarze, jak i Saraid kamień spadł z serca.

- Jak się macie, panie Ferdynandzie? Nie mogłam was dzisiaj odwiedzić - powiedziała Ciara.

- Czuję się o wiele lepiej - zapewnił ją Ferdynand.

I nie kłamał. Gorączka prawie całkiem spadła, rany dobrze się goiły, a Ciara i Hufeisen zapewnili mu przez ostatnie dni wzmacniające posiłki. Choć lewe ramię miał na temblaku, to rana już nie bolała, a ta na plecach tylko trochę.

- Podziękujmy za to Przenajświętszej Panience! - szepnęła Ciara.

A potem rozejrzała się i wysunęła na prowadzenie.

Z początku posuwali się powoli, gdyż księżyc jeszcze nie wzeszedł, a gwiazdy świeciły zbyt słabo, żeby oświetlić ścieżkę, którą podążali.

Lecz wkrótce Ionatán wychynął niczym zjawą z ciemności, witając ich z ogromną ulgą.

- Już się bałem, że się miniemy - powiedział i zaczął rozdmuchiwać ogień, żeby zapalić pierwszą pochodnię.

- Czy nie jesteśmy zbyt blisko miasta? - zapytała z niepokojem Saraid.

- Nie możemy błąkać się po ciemku, ryzykując, że połamiemy nogi - zauważył Hufeisen. - Pan Ferdynand nie jest jeszcze całkiem zdrowy.

- Nie mów tak, jakbym był jakimś mięczakiem - odpowiedział rozeźlony Ferdynand.

- Pan Hufeisen ma rację! Potrzebne nam światło, żeby posuwać się naprzód. Ionatanie, trzymaj pochodnię nisko, by nie rzucała zbyt wiele światła.

Słowa Ciary zakończyły dyskusję. Pięcioro ludzi rozpoczęło marsz, a Gamhain raz po raz wybiegała do przodu, wężąc na wszystkie strony.

Po niedługim czasie dotarli do lasu i teraz już nikt z Léana nie mógł dostrzec świateł ich pochodni. Minął też strach, że ludzie Szymona natychmiast ruszą za nimi w pościg, więc Ciara odważyła się zapytać o dowódcę miasta.

- Gdy widziałem go po raz ostatni, był nieźle pijany i groził, że jutro nie pozwoli, byście traktowali go jak głupca - oznajmił Hufeisen.

Ciara wymieniła z Saraid znaczące spojrzenie.

Wyglądało na to, że opuściły miasto w samą porę.

- Jak daleko chcemy zająć w ciągu nocy? - zapytał Ferdynand.

- Ile się tylko da, panie. A i rano nie powinniśmy odpoczywać. Waszemu kuzynowi mogłoby przyjść do głowy, żeby znów zaprosić nas w gościnę, ale ani ja, ani obie panie wcale nie mamy na to ochoty - stwierdził Hufeisen.

Ferdynand z zaciętą miną pokiwał głową. Dowiedział się już od Hufeisena, że

Szymon napastował Ciarę.

W pierwszym odruchu chciał żądać od kuzyna satysfakcji.

Sam sobie jednak uświadomił, że niczego w ten sposób nie osiągnie. Ranny nie miał szans z Szymonem, więc nie pozostałoby mu nic innego, jak go zastrzelić. Tego jednak nie chciał. Przysiągł sobie jednak, że kiedyś Szymon mu za to zapłaci.

10

Nikt nie ścigał Ciary, Ferdynanda i ich towarzyszy. Nie mieli jednak pojęcia, że zawdzięczają to szczęśliwemu dla nich przypadkowi. Ryszard Haresgill zbliżył się bowiem do miasta na mniej niż pół dnia marszu i wysłał Deasúna O'Corraidha jako swego parlamentariusza.

Obrotny Irlandczyk nie wiedział, jakie panują w mieście stosunki, więc zostawił białą flagę w lesie i zbliżył się do bramy jako zwykły wędrowiec.

Ponieważ mieszkańcom potrzebne było zaopatrzenie, wpuszczano do miasta chłopów i handlarzy. Trzymający wartę żołnierze sprawdzali jednak każdego dokładnie i pilnowali, by w tłum nie wmieszał się żaden zbrojny.

Odsyłali też z kwitkiem podróżnych, jeśli w mieście zgromadziło się już zbyt wielu obcych.

Deasún przyszedł odpowiednio wcześniej i stanął naprzeciwko krępego wartownika, który zażądał od niego miecza i sztyletu.

- Dostaniesz z powrotem, gdy będziesz opuszczał miasto - wyjaśnił łamaną angielszczyzną.

Deasún poczuł ulgę, że ma do czynienia z żołnierzem Kirchberga, a nie jakimś Ui'Corra. Podał mu swoją broń i mrugnął okiem.

- Mam wiadomość dla pana Szymona von Kirchberga, twojego dowódcy.

- Co?! - wykrzyknął tamten, patrząc na niego w zdumieniu.

- Zaprowadź mnie do niego albo go tutaj przyprowadź.

To bardzo ważne - naciskał Deasún.

- Nie mogę stąd odejść - powiedział żołnierz i przepędził kilka kobiet, które za jego plecami próbowały wemknąć się do miasta. - Hej! Najpierw musicie wnieść opłatę targową.

A potem znów zwrócił się do Deasúna O'Corraidha.

- Chcesz się dostać do dowódcy?

Irlandczyk zrozumiał, że pora sięgnąć po inne argumenty niż słowa, żeby go

przekonać, więc wyciągnął szylinga.

- Dostaniesz to, jeśli umożliwisz mi rozmowę z panem Szymonem von Kirchbergiem. Ale nikt nie może się o tym dowiedzieć. - Deasún dodał to, bo kątem oka zauważył, że za bramą zaczęli się gromadzić Ui'Corra, którzy brali udział w nieudanym ataku na oddział Haresgilla.

- Poczekaj w wartowni! - Z tymi słowami żołnierz wepchnął Deasúna przez drzwi i przywołał do siebie Toala, który stał za bramą i zastanawiał się, gdzie się podział jego przyjaciel Ionatán.

- Hej, chłopcze, biegnij na zamek i powiedz panu von Kirchbergowi, żeby tu przyszedł!

Toal zdziwił się, ale posłuchał i natychmiast pobiegł spełnić polecenie. Na zamku nie dopuszczono go jednak do Szymona. Przekazał więc sprawę komuś ze straży przybocznej dowódcy i z powrotem wyruszył na poszukiwanie Ionatána. W ciągu następnych godzin dowiedział się, że zniknęli także Ciara, Saraid i Hufeisen, a gdy zdumiony wpadł do izby, w której miał wypoczywać ranny Ferdynand, okazało się, że i jego nie ma.

Tymczasem jeden z żołnierzy zameldował Szymonowi von Kirchbergowi, że ktoś przy bramie pilnie chce z nim mówić. Szymon wciąż był zły na Ciarę, która dała mu poprzedniego dnia kosza, właśnie się do niej wybierał, żeby jednoznacznie pokazać, kto tutaj rządzi. Pomyślał jednak, że młoda Irlandka mu nie ucieknie, i ruszył w kierunku bramy.

Ponieważ odnosił się opryskliwie do rannych Ui'Corra, nie dotarły do niego wieści o przejściu Deasúna O'Corraidha na stronę wroga, więc w pierwszej chwili pomyślał, że przysłał go Oisín O'Corra.

- Czego chcesz? - zapytał poirytowany.

Deasún rozejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje, a potem nachylił się ku Szymonowi.

- Mam wam przekazać wiadomość od pewnego wielkiego pana, który chce dojść z wami do porozumienia.

„To zupełnie nie w stylu Oisina O'Corry” - pomyślał Szymon i kazał Irlandczykowi mówić.

- Tylko jeśli dacie mi gwarancję, że będę mógł bez przeszkód opuścić to miasto, nawet jeśli pertraktacje nic nie dadzą! - Deasún wcale nie był pewien, czy Kirchberg go w ogóle wysłucha, a nie chciał wylądować w lochu albo, co gorsza, zostać oddany w ręce Ui'Corra.

Szymon von Kirchberg zastanowił się i skinął głową.

- Niech tak będzie. A teraz mów!

- Przysłał mnie tu bardzo znaczny pan, prawdziwy angielski lord - zaczął Deasún, żeby postawić się we właściwym świetle.

- Anglik? - zapytał zdumiony Kirchberg. - Przecież jesteś człowiekiem Oisina O'Corry!

- Teraz już nie. A właściwie to nigdy nie byłem jego człowiekiem. Nie chciałem tylko, żeby mnie zabili albo wsadzili do lochu. A teraz służę sir Ryszardowi Haresgillowi. Powinniście wiedzieć, że to śmiertelny wróg Ui'Corra.

- Wiem o tym! A może uważasz mnie za głupca? - ofuknął go Szymon von Kirchberg. Deasún uniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Wspomniałem o tym tylko na wszelki wypadek. Sir Ryszard na rozkaz lorda Mountjoya ma oczyścić te okolice z rebeliantów. To miasto bardzo by mu się przydało jako baza i dlatego ma dla was bardzo dobrą propozycję.

Przekażcie mu miasto i przyłączcie się do niego! Opłaci się wam.

Przyjęcie tej propozycji oznaczałoby zdradzenie Ui'Corra. Szymon doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Z drugiej strony jego zaangażowanie w Irlandii jak na razie nie przyniosło mu tego, czego się spodziewał. Oisín O'Corra wciąż był mu winien pieniądze, których potrzebował, żeby podtrzymać morale swoich żołnierzy, nie zapewnił mu też ani dodatkowych ludzi, ani broni.

Dopóki Hugh O'Neill i Hugh O'Donnell panowali na północy Irlandii, nie powinien czynić sobie z nich wrogów. Potrzebował jednak umowy z Ryszardem Haresgillem na wypadek, gdyby Anglia dalej zwyciężała, żeby wyjść z tej całej sytuacji bez szwanku.

- Powiedz sir Ryszardowi, że dopóki O'Neill tutaj panuje, nie mogę przekazać mu Léana, nie wzbudzając jego gniewu. Obiecuję jednak jego lordowskiej mości, że będę się trzymać z dala od tej wojny i nie uczynię nic, co zaszkodziłoby Anglii. Gdy tylko sir Ryszard zapłaci mi odpowiednią kwotę i zagwarantuje bezpieczne dotarcie do wybrzeża, sprawa będzie wyglądać inaczej.

Deasún O'Corraidh nie miał pojęcia, jakimi środkami dysponuje Haresgill, przeczuwał jednak, że może nie mieć w kiesie dość pieniędzy, żeby zadowolić Szymona von Kirchberga. Lecz jego zleceniodawca udzielił mu dodatkowych instrukcji.

- Sir Ryszard polecił mi przekazać wam, że otrzymacie swoje wynagrodzenie nie w brzęczącej monecie, lecz przede wszystkim w ziemi. Gdy tylko zostanie stłumione to powstanie, kilka klanów utraci swe majątki, które zostaną przyznane wiernym poddanym Jej Wysokości królowej. Jeśli przyłączycie się do jego lordowskiej mości, otrzymacie dość ziemi,

by stać się jednym z najbogatszych ludzi w Irlandii. Musicie jednak pomóc sir Ryszardowi w ostatecznym zniszczeniu Ui'Corra!

- Dość ziemi, powiadacie? - Taką ofertę Szymon dostał także od Oisina O'Corry, lecz teraz wiedział już, że tamten nie będzie w stanie samodzielnie rozdzielać majątków. Mógł to uczynić najwyżej Hugh O'Neill, ale ten sam przejąłby większość ziem, a jemu zostawił najwyżej jakieś resztki.

- Skoro sir Ryszard obiecuje mi dość ziemi, będę z nim współpracować - wyrwało się Szymonowi, który nie zdążył ugryźć się w język i wyraził swe myśli wprost.

Deasún odetchnął. Niemiec chwycił przynętę. Wciąż jednak pozostawał do rozwiązania jeden problem. Deasún zastanawiał się przez chwilę, czy w ogóle o tym wspominać, jeśli jednak Szymon okazał gotowość, by zdradzić swoich irlandzkich sojuszników, na pewno da się przekonać do zrobienia następnego kroku.

- Żeby móc zostać tu, w Irlandii, jednym z wielkich panów, jak powiedział jego lordowska mość sir Ryszard, musielibyście wyrzec się katolickiej wiary i uznać Jej Wysokość królową Elżbietę za głowę waszego nowego Kościoła.

Stawianie takiego żądania wobec człowieka, którego wysłał do Irlandii osobiście sam papież, było czystą bezczelnością. W pierwszej chwili Szymon miał się oburzyć, powstrzymał się jednak i zastanowił. Jeśli wróci do Włoch, być może dopisze mu szczęście i zyska kiedyś jakiś niewielki majątek. Bardziej prawdopodobne wydało mu się jednak, że straci życie podczas jednej z licznych wypraw wojennych i zostanie pochowany na jakimś wiejskim cmentarzu. Tu natomiast mógł awansować na jednego z najbardziej znaczących ludzi w Irlandii.

Ta myśl zdecydowała.

- Dobrze - powiedział do Deasúna. - Przekażcie jego lordowskiej mości, że jestem gotów, by się z nim spotkać i porozmawiać twarzą w twarz. Ale żądam absolutnej poufności! Nie chcę zobaczyć nagle pod bramami oddziałów O'Neilla i usłyszeć od sir Ryszarda, że nie jest w stanie udzielić mi wsparcia.

- Ależ oczywiście, sir! - Deasún uśmiechnął się z ulgą.

Jednocześnie pomyślał, że sir Ryszard powinien w konkretny sposób docenić jego umiejętności dyplomatyczne. Obiecał Szymonowi, że następnego dnia wróci z odpowiedzią Haresgilla i opuścił miasto w trochę lepszym humorze niż do niego wkraczał.

Szymon von Kirchberg wrócił na zamek. Po drodze zastanawiał się, czy poszukać Ciary i dać jej do zrozumienia, że nie pozwoli traktować się jak głupca.

Machnął jednak ręką i wszedł do swojej komnaty, żeby przyjrzeć się mapie Irlandii.

Skoro ma tutaj otrzymać ziemię, to niech będzie tak położona, żeby mu się to opłacało. Uznał, że w tym momencie to jest ważniejsze niż zaspokojenie chuci.

11

Nie mając pojęcia, że to akurat propozycja złożona przez Haresgilla Szymonowi von Kirchbergowi zapewniła im czas na ucieczkę, Ciara i jej towarzysze wędrowali przez dziewicze lasy, których od pradawnych czasów nie tknęła ludzka ręka, w kierunku doliny Ui'Corra.

Podczas swojej pierwszej wędrowki przez te okolice Ciara podziwiała potężne drzewa o szerokich koronach, porośniętych zwisającym z gałęzi wilgotnym mchem.

Teraz jednak nie zwracała uwagi na typowy dla Irlandii pierwotny krajobraz. Nawet gdy dotarli do celu i wyszli z półmroku lasu na jasne światło słońca, nie poczuła radości. A zostawiła resztę w tyle, żeby w końcu zobaczyć miejsce, w którym żyło tyle pokoleń Ui'Corra i w którym ona sama się urodziła. Jednak wydało jej się, jakby czar prysnął, i gdy ujrzała przed sobą zamek, nie był już miejscem mistycznym, tylko budowlą z szarego kamienia, która nosiła wyraźne ślady obecności Ryszarda Haresgilla, ponieważ kazał ją przebudować na angielską modłę. Nagle Ciara poczuła się tutaj obco i skuliła ramiona, jakby było jej zimno.

- Zaraz będziemy w domu - powiedział pocieszająco Ionatán.

„To jego ojczyzna - pomyślała Ciara. - Dorastał tutaj, tu się ożenił, tu przeżył chwile szczęścia i cierpienia. Aż do wypraw wojennych z ostatnich miesięcy nigdy nie opuszczał tej otoczonej łagodnymi wzgórzami i gęstymi lasami doliny”.

Ciara zaczęła się zastanawiać, dlaczego akurat teraz ogarnęły ją takie myśli. To przecież ziemia Ui'Corra!

Jednakże Ryszard Haresgill przez dwadzieścia lat zdołał odcisnąć na niej swój ślad. Uprawy urządzone po angielsku, nie po irlandzku, tak samo w angielskim stylu wzniesiono większość domostw, w których mieszkali dzierżawcy. Zamiast Toala jakiś inny chłopiec pilnował angielskich krów. Owce i świnie, nawet kury zostały sprowadzone z sąsiedniej wyspy.

- Jakby na wszelkie sposoby usiłowali zrobić z nas Anglików - szepnęła.

Temu jednak stały na przeszkodzie religia, język i opowieści jej ludu, który wolał słuchać sag o Deirdre[37] i Diarmuidzie[38] albo o bohaterskich czynach Fionna Mac Cumhaila[39] niż o królu Arturze, Alfredzie Wielkim czy jakimś tam Wilhelmie Zdobywcy.

- Co ci jest? Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła *bean*

sidhe - zapytała Saraïd, której uwadze nie umknął ponury nastrój Ciary.

- Ja... - Ciara urwała, nie wiedząc, jak wyjaśnić kuzynce, co ją trapi. - Martwię się o tych, których zostawiliśmy w Léana - odpowiedziała w końcu, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Mam nadzieję, że mój kuzyn o nich zadba, bo w przeciwnym razie do końca życia będę sobie wyrzucał, że zostawiłem ich w potrzebie - wtrącił Ferdynand.

Dobrze zniósł marsz przez dzikie ostępy, był jednak skrajnie wyczerpany, a przez to tak samo podatny na ponure rozmyślenia jak Ciara.

Ionatán, który już nawet nie pamiętał, że wszystko tutaj wyglądało kiedyś inaczej, przerwał ich pełne przygnębienia rozważania okrzykiem oburzenia.

- Co się tutaj dzieje? Na murach nie ma ani jednego wartownika. Przy bramie też nikt nie stoi.

Pełni zdumienia podeszli bliżej. Rzeczywiście nikt nie trzymał straży. Za to do ich uszu dobiegły dźwięki wesołych przyśpiewek. Były to irlandzkie piosenki, co jednak wcale Ciary nie uspokoiło. Zanim Ferdynand zdołał ją powstrzymać, przebiegła bramę i pośpieszyła do głównej sali zamku, w której najwyraźniej doskonale się bawiono.

Po drodze minęli służki niosące pełne dzbany miodu.

Kobiety popatrzyły na nich, lecz pośpieszyły dalej, bo Buirre głośno domagał się więcej miodu. Ciara i jej towarzysze poszli za nimi i znaleźli się w sali, którą rozjaśniały otwarte paleniska. Buirre i pięciu mężczyzn, którzy zostali na straży, siedzieli przy górnym stole zastawionym wielkimi misami z pieczonym mięsem oraz kubkami, które właśnie znowu napełniano.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała donośnym głosem Ciara.

Buirre odwrócił się powoli i wlepił w nią wzrok.

Chwilę potrwało, zanim w końcu rozpoznał w skromnie odzianej dziewczynie siostrę przywódcy swojego klanu.

- Ciara, a skąd ty się tu wzięłaś? - odpowiedział pytaniem na pytanie. Jego bełkotliwa mowa i szkliste oczy dowodziły, że wypił już o wiele za dużo.

- Z Léana! Ale to nie ma nic do rzeczy. Chcę wiedzieć, dlaczego nikt nie strzeże zamku. Gdybym była Ryszardem Haresgillem, mogłabym go migiem zająć. - Oczy Ciary tryskały gniewem. Choć nie wszystko w Buirze jej się podobało, to nigdy by nie przypuszczała, że mógł tak zapomnieć o swoich obowiązkach, żeby zaniedbać bezpieczeństwo zamku.

Buirre wcale nie wyglądał na poczuwającego się do winy. Wziął do ręki kubek i

wysunął go w stronę Ciary.

- Świątujemy zwycięstwo O'Néilla nad Mountjoyem!

Porządnie dał mu popalić pod Bealach na mhaighre[40].

Gdy Ferdynand to usłyszał, zapomniał o zmęczeniu i bólu.

- Co mówisz? O'Néill znowu pokonał Anglików?

- I to jak! - oznajmił Buirre zarożumiałym tonem. - Nasz taoiseach też tam był i ponoć wyróżnił się w walce.

Aodh Mór O'Néill w podziękowaniu jeszcze na polu bitwy podarował mu złoty łańcuch.

Ciara odetchnęła z ulgą, bo to znaczyło, że jej brat wyszedł z bitwy bez szwanku. Hufeisen też był zadowolony i z wdzięcznością przyjął kubek, który podał mu jeden z Irlandczyków. Ferdynand natomiast podziękował za miód, bo obawiał się, że za szybko uderzy mu do głowy. Zapytał za to, co wiedzą o walkach.

Buirre napawał się tym, że jest najlepiej poinformowany, i długo opowiadał o bitwie, w której Aodh Mór O'Néill po raz kolejny uniemożliwił lordowi Mountjoyowi wkroczenie do Uladh.

Choć Ferdynand ucieszył się z nowiny, to szybko uświadomił sobie, że zwycięstwo nie mogło być aż tak znaczące, jak to przedstawiał Buirre. Straty Anglików były o wiele mniejsze niż podczas poprzednich bitew, a lord Mountjoy zdołał się spokojnie wycofać wraz ze swoimi oddziałami. Był więc w stanie w każdej chwili znów zaatakować w kierunku Uladh.

Młody Niemiec zachował jednak te przemyślenia dla siebie i surowym wzrokiem popatrzył na wesołe towarzystwo.

- Rozumiem, że chcieliście oblać zwycięstwo O'Néilla. Mimo to nie powinniście byli zostawiać bramy bez straży.

Jego ton bardzo się nie spodobał Buirre'owi. Wstał i podszedł do Ferdynanda tak blisko, że ich nosy niemal się zetknęły.

- Oisin O'Corra mnie mianował kasztelanem swojego zamku, a nie ciebie! To ja decyduję o tym, co się tutaj dzieje. Jeśli uważam, że zamek jest bezpieczny, to możemy sobie tu siedzieć i pić, a żaden przeklęty Gearmánach nie ma prawa nam tego zakazywać.

Ferdynand już miał zareagować na tę bezczelną gadkę, lecz Saraid pociągnęła go za rękaw.

- Nie kłóć się z Buirre'em. Jest pijany i w takim stanie sam nie wie, co robi. To hańba, że za nasze ojczyste strony odpowiada ktoś taki jak on.

- Cicho bądź, babo! - huknął na nią Buirre. - Obrażasz naszego taoiseacha, bo to on wyznaczył mnie na swojego zastępcę. Oisín wie, co robi. A jeśli o ciebie chodzi, to masz natychmiast iść do naszej komnaty. Mam dziś na ciebie ochotę. - Zaśmiał się gromko, a jego śmiech podchwycili siedzący przy stole kompani.

Saraid zbladła. Spodziewała się kłótni z Buirre'em, ale nie tego, że tak bezczelnie upomni się o swoje małżeńskie prawa. Najchętniej wrzasnęłaby mu prosto w twarz, że może iść do diabła. Lecz niestety zarówno ona, jak i Ciara, Ferdynand oraz dwaj pozostali byli od niego zależni. Mówiąc wprost, wpadli z deszczu pod rynnę.

Jej mąż uznał, że milczy zbyt długo.

- Tylko nie waz się chować w komnacie Ciary.

Wyciągnę cię stamtąd, choćbym miał wyważyć drzwi!

Saraid odwróciła się bez słowa i wyszła. Hufeisen popatrzył za nią ponurym wzrokiem, gładząc rękojeść miecza, podczas gdy Ciara z trudem się powstrzymywała, żeby nie powiedzieć Buirre'owi, co o nim myśli. Lecz i ona była boleśnie świadoma tego, że w obecnej sytuacji żadne z nich nie może sobie pozwolić na otwarty konflikt z kasztelanem zamku.

Ale Buirre jeszcze nie skończył. Aroganckim gestem wskazał na Ionatána.

- Ten człowiek ma odłożyć miecz i wrócić do pracy w polu. To brudny parobek i zawsze nim pozostanie.

Ionatán cofnął się o krok, zastanawiając się, jak zareagować na takie żądanie, natomiast Ciara odsunęła Ferdynanda i stanęła tuż przed Buirre'em.

- Ionatán to mój przyboczny strażnik! Spróbuj go tknąć, a przekonasz się, co znaczy mój gniew!

W pierwszej chwili Buirre zamierzał zlekceważyć to ostrzeżenie. Lecz jego przyjaciel Seachlann szturchnął go.

- Usiądź już i nie gadaj po próżnicy. Nie możesz przecież córce Ui'Corra zabronić wyznaczenia go na jej przybocznego strażnika.

Te słowa nieco otrzeźwiły Buirre'a, który przypomniał sobie, że są granice, których nie wolno mu przekraczać.

Zażądanie od Saraid, by okazała mu posłuszeństwo, to jedno. Była jego ślubną małżonką, więc jego ludzie stanęliby po jego stronie. Lecz jeśli zagrozi siostrze przywódcy klanu czy podniesie na nią rękę, będzie się musiał liczyć z tym, że przyjaciele zwrócą się przeciwko niemu.

Zaklął w duchu, że nie może postawić na swoim.

Odwrócił się do Ciary plecami i usiadł. Dopiero gdy Seachlann upomniał go szeptem, przypomniał sobie, że z przyzwyczajenia zajął miejsce przywódcy klanu. Nawet jeśli Oisín był daleko, obrażał w ten sposób taoiseacha, jakby uważał, że jest mu równy.

Kubek miodu wypity jednym haustem nieco złagodził jego gniew. Postanowił, że po prostu nie będzie więcej zwracać uwagi na Ciarę. Kazał znów napełnić swój kubek i wznosił toast do kompanów. Ci jednak nie odpowiedzieli z takim entuzjazmem jak wcześniej.

Dręczyły ich wyrzuty sumienia, że zostawili zamkową bramę bez straży. W przeciwieństwie do Buirre'a wstydziła się swojej niefrasobliwości.

12

Tymczasem Saraid dotarła do komnaty, w której dawniej mieszkała z Buirre'em. Choć przerażała ją to, że będzie musiała dzielić łóżko z człowiekiem, którego zdążyła znienawidzić, dla bezpieczeństwa Ciary oraz ze względu na Ferdynanda i Ionatána gotowa była ponieść tę ofiarę.

W myślach poprzysięgła jednak Buirre'owi ponurą zemstę.

Ledwie zdążyła rzucić swój tobolek na łóżko, ktoś otworzył drzwi i Saraid się przestraszyła. Nie był to jednak jej mąż, tylko Bríd, która zastępowała ją na zamku podczas jej nieobecności. Piękna służąca uśmiechnęła się chytrze, stawiając na skrzyni, w której zamknięte były rzeczy Buirre'a, dzban pełen miodu i butelkę whisky.

- Myślę, że ci się to przyda - powiedziała.

W pierwszej chwili Saraid pomyślała, że Bríd będzie ją namawiać, żeby upiła się tak, by potem nie pamiętać, co z nią robił Buirre.

Ale dziewczyna powiedziała:

- Buirre co wieczór każe sobie przynosić do komnaty dzban miodu. Jeśli dodasz do miodu whisky, to w nocy będziesz się mogła skarżyć najwyżej na jego chrapanie, ale na pewno nie na jego poządliwość.

- Dziękuję! - Saraid dostrzegła błysk w oczach Bríd i zapytała: - Masz w tym doświadczenie, prawda?

Dziewczyna niechętnie skinęła głową.

- Można tak powiedzieć. Gdy Buirre pierwszy raz zażądał miodu, byłam na tyle głupia, że sama mu go przyniosłam. Nie udało mi się, niestety, mu wymknąć. Od tamtej pory robię wszystko, żeby to się nie powtórzyło.

Dlatego on się teraz zabawia z paroma zamkowymi dziewczkami, których morale nie jest zbyt wysokie albo które za bardzo się boją go odprawić.

Ostatnie słowa Bríd wypowiedziała gorzkim tonem, gdyż upadkowi moralnemu na zamku towarzyszył wszechogarniający brak dyscypliny i niedbalstwo.

Zdziwiona Saraid zapytała Bríd, skąd mają ten cały miód. Bo gdy opuszczali zamek, beczki były prawie puste.

Służka roześmiała się, choć nie było jej wesoło.

- Przez pierwsze tygodnie Buirre i jego ludzie robili wypadki do opuszczonych przez Anglików wiosek i przywozili stamtąd miodu i whisky, ile tylko znaleźli.

Teraz mają tego tyle, że mogą pić całymi dniami. Ale muszę już iść, bo jeszcze wejdzie tu Buirre i rzuci się na nas obie! - Bríd pożegnała się i opuściła komnatę.

Saraid poczekała, aż służka zamknie za sobą drzwi, a potem wzięła butelkę whisky i wlała czwartą jej część do miodu. Potem usiadła na swoim łóżku, wyjęła igłę i nici i zaczęła cerować rąbek swojej spódnicy.

Wiedziała, że na dłuższą metę nie wymknie się Buirre'owi. Lecz dopóki będzie pił tyle co teraz, jego pożądanie da się utrzymać w ryzach.

13

Bitwa pod Bealach na mhaighre, zwana przez Anglików bitwą pod Moyry Pass, nie zmieniła status quo w Irlandii.

Karol Blount, lord Mountjoy, utrzymywał swoje oddziały w doskonałej formie i kazał ścinać drzewa po obu stronach dróg, którymi zamierzał ruszyć na Ulster.

Tworzył w ten sposób szerokie dukty, na których Irlandczycy nie mogli atakować z zaskoczenia. Ponieważ na jego rozkaz żołnierze chronili drwali, powstańcom tylko z rzadka udawało się likwidować ich grupy.

Aodh Mór O'Néill zrozumiał, że z takimi środkami, jakimi dysponuje, nie jest w stanie obronić się przed Mountjoyem, wzmógł więc starania o pozyskanie wsparcia ze strony wrogów Anglii.

Ciara otrzymała list od brata, w którym ten powiadamiał, że wyrusza z misją dyplomatyczną do Hiszpanii. Między wierszami wyczytała, że Oisín miał wątpliwości, czy ta wyprawa to zaszczyt, czy też raczej O'Néill po porażce z Haresgillem nie wierzył już, że Oisín sprawdzi się jako dowódca w akcjach przeciwko Anglikom.

Bitwa pod Moyry Pass miała jednak bezpośredni wpływ na los Ui'Corra. Po tym, jak lordowi Mountjoyowi nie udało się pokonać Irlandczyków i wkroczyć do serca Irlandii, Szymon von Kirchberg nie miał odwagi oddać miasta Léana Ryszardowi Haresgillowi. Nie zerwał jednak umowy, tylko podnosił swoją cenę tak długo, aż sir Ryszard zażądał dwóch,

trzech tysięcy żołnierzy, żeby otoczyć miasto i zatkać gębę temu bezczelnemu Niemcowi.

Jego bezpośredni przełożony George Carew zapewnił mu jedynie uzupełnienie poniesionych strat, nakazując, by dalej atakował irlandzkie wioski i pilnował, żeby ich mieszkańcy nie mogli przekazać buntownikom O'Néilla nawet ziarnka jęczmienia.

Haresgill był jednym z wielu dowódców, którzy otrzymali takie rozkazy. Mountjoy i Carew wyjaśnili swoim podwładnym, że mają unikać bezpośredniej konfrontacji z oddziałami O'Néilla, a jednocześnie zadawać Irlandczykom tyle strat, ile się tylko da.

Choć Haresgill palił się do odzyskania swoich włości, które nadal zajmowali Ui'Corra, wahał się z atakiem na klan. Nie dość, że musiałby się zapuścić ponad pięćdziesiąt mil na teren wroga, to jeszcze miałby palić zagrody, na których później zamierzał osiedlić swoich dzierżawców.

I przede wszystkim dlatego Ciara i Ferdynand cieszyli się względnym spokojem. Buirre im nie dokuczał, zależało mu tylko na tym, żeby na stole zawsze było dość miodu i piwa. Szybko też przestał się interesować Saraid.

Ona jednak nie odważyła się wyprowadzić z ich wspólnej komnaty, żeby go nie rozgniewać. Przejęła natomiast na powrót obowiązki gospodyni i rządziła się po swojemu.

Chciała, żeby i Ciara na nowo okazała zainteresowanie prowadzeniem zamkowego gospodarstwa, lecz jej kuzynka oddała się pielęgnowaniu Ferdynanda. Ten opadł z sił po wyczerpującym marszu z Léana do zamku Ui'Corra i bardzo powoli je odzyskiwał.

Tego wieczoru Buirre i jego pięciu kompanów znów świętowali w głównej sali zamku. Miód płynął strumieniami, a pijackie przyśpiewki rozbrzmiewały po całym zamku. Tym razem nikt nie mógł narzekać, bo Buirre wyznaczył Ionatána do pilnowania murów.

O północy miał go zmienić Cyriakus Hufeisen. Ten rozkaz zadowolili wszystkich. Ponieważ Ionatán wyręczał innych w wykonywaniu nieprzyjemnych zadań, został przez nich zaakceptowany jako wojownik. Hufeisen też nie miał ochoty dołączać do pijanego towarzystwa i nie podobało mu się, że obja się bezużytecznie, podobnie jak Buirre, Seachlann i pozostała czwórka. Dlatego dzielił z Ionatánem nocne warty.

Ponieważ Saraid była jeszcze zajęta w kuchni, Ciara napełniła dzban lekkim piwem, które nie uderzało do głowy tak mocno jak słodki miód czy whisky, ukroiła kawałek chleba i baranej pieczeni i poszła do izby Ferdynanda.

Na zamku zostało niewielu wojowników, więc przeznaczyła dla niego osobne pomieszczenie, a Hufeisena i Ionatána umieściła w sąsiedniej izbie. Gdy weszła do środka, Ferdynand spał. Przy obiedzie nie miał apetytu.

A przecież musiał jeść. Postawiwszy więc dzban i miskę na skrzyni, dotknęła jego

ramienia.

Ferdynand drgnął i wydał z siebie parę pomruków.

- Pobudka! - powiedziała z uśmiechem Ciara. - Kolacja! Chcesz przecież szybko odzyskać siły.

Na jej rodzinnym zamku nie zwracali się już do siebie tak, jak wymagał obyczaj od dwojga szlachciców.

Ferdynand przez chwilę wyglądał na zdumionego.

- A, to ty! - wyrzucił z siebie. - Śniło mi się, że jestem w Kirchbergu, u mojego stryja, który właśnie dawał mi burę, bo za późno wróciłem z Irlandii.

Ten sen wcale się Ciarze nie spodobał, pozwolił jej się jednak domyślić, że Ferdynand częściej myśli o swojej odległej ojczyźnie niżby jej to odpowiadało. Ona widziała siebie razem z nim na zamku w Irlandii, z polami, dzierzawcami i kościołem, który każe wznieść, gdy tylko uda się wypędzić Anglików. Nie zdradziła jednak swoich myśli, tylko uśmiechnęła się i wskazała na dzban.

- Przyniosłam ci piwo. Na pewno jesteś spragniony.

- I troszkę głodny - odpowiedział Ferdynand, zerkając na misę z mięsem i chlebem.

- Cieszę się! - Ciara napełniła kubek. - Smacznego! Na razie nie chcę ci dawać miodu, bo on spowalnia gojenie się ran. A przede wszystkim sprawia, że głowa jest ciężka, i nie zauważyłbyś, że kładziesz się na plecach, a wtedy dopiero co zagojone blizny znowu by się pootwierały.

- Ze mną już wszystko w porządku - oznajmił Ferdynand nie do końca zgodnie z prawdą.

- Nieprawda! - upomniała go Ciara, bo nie uszło jej uwadze, jak bardzo schudł. Martwiło ją też to, że wciąż nie może normalnie korzystać z lewej ręki.

Napił się, wziął kawałek chleba i w zamyśleniu zaczął przeżuwać.

- Są jakieś wieści od O'Néilla?

- Nie! Odkąd przyszedł list od Oisina, nie było tu nikogo obcego. Można by pomyśleć, że świat o nas zapomniał.

A Ciara bardzo chciała wiedzieć, czy jej krajanom udało się znów pokonać Anglików. Wyglądało na to, że Aodh Mór O'Néill i lord Mountjoy obserwowali się od bitwy pod Moyry Pass niczym dwa czujne psy.

- Oisin pewnie już dotarł do Hiszpanii.

Ciarze wydało się, że słyszy w głosie Ferdynanda jakiś żal.

- Chciałbyś być na jego miejscu?

- Najchętniej wyruszyłbym do Hiszpanii razem z tobą i z nim. Na pewno by ci się tam spodobało.

- Niemożliwe! Nie ma piękniejszego kraju niż moja ojczyzna i ja nigdy jej nie opuszczę. - By podkreślić powagę swych słów, Ciara gwałtownie potrząsnęła głową. Jednocześnie błagała w duchu Najświętszą Panienkę, żeby Ferdynand pokochał Irlandię równie mocno.

Ferdynand widział jednak oczyma duszy krajobraz, w którym dorastał. Tam też było wiele lasów, lecz nie były tak gęste i nie wyglądały tak tajemniczo, jak pradawne knieje na tej wyspie. Choć i tutaj ludzie wyrąbywali drzewa, by wznosić miasta i zdobywać ziemię na pola i pastwiska, to irlandzkie lasy, zwłaszcza w deszczu, naprawdę wyglądały tak, jakby zamieszkiwały je jakieś tajemnicze istoty.

Ferdynandowi podobał się ten kraj szarych miast i wiosek z prostymi chatami z torfu i darni, lecz Irlandia była mu w głębi duszy obca. Dla Ciary był jednak gotów tu zostać i tu szukać swojego szczęścia. Popatrzył na nią w zadumie i poprosił, żeby znów napełniła mu kubek.

- W każdym razie do tutejszego piwa będę się musiał przyzwyczaić. Smakuje zupełnie inaczej niż w domu.

- Jeśli chcesz, możemy sprowadzić browarnika z twojej ojczyzny. Zrobię wszystko, żebyś czuł się tutaj dobrze.

Na parę chwil oboje oddali się swoim najskrytszym uczuciom i byli szczęśliwi. Lecz Ciara nie zapomniała o potrzebach Ferdynanda i skłoniła go, żeby zjadł wszystko, co przyniosła.

- Dobre było - powiedział, wypijając kolejny kubek cienkiego, dziwnie smakującego piwa, które uwarzono z niewielką ilością jęczmiennego siodu, za to z mnóstwem wrzosu.

- Za to należy ci się całus! - Ciara odsunęła jego rękę z kubkiem, pochyliła się i przycisnęła wargi do jego ust.

- Kocham cię - szepnęła, gdy już się od niego oderwała.

- Ja ciebie też! - Ferdynand odstawił przeszkadzający mu kubek i wziął ją w ramiona.

- Jak widzisz, moja lewa ręka już świetnie mi służy! - dodał i po raz pierwszy, odkąd odniósł rany, poczuł potrzebę, żeby dotknąć czegoś więcej niż jej ust. Przesunął dłońmi po jej ciele, zbliżając się do wrażliwych miejsc, a Ciara aż westchnęła.

Najpierw chciała mu powiedzieć, że powinien oszczędzać siły, lecz potem poczuła, że i w niej rośnie pożądanie.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jeśli mnie chcesz, musisz mi ustąpić miejsca na łóżku.

- Pytanie! - Ferdynand zerwał się tak gwałtownie, że natychmiast poczuł w plecach silny ból.

- Co ci? - zapytała, bo skrzywił się i westchnął.

- Ach, nic!

Ferdynand postanowił, że nic nie zepsuje tej chwili.

Wyciągnął się trochę, żeby rozluźnić mięśnie, a potem pomógł Ciarze zdjąć suknię wierzchnią i spodnią i popatrzył na nią, gdy była już tylko w samej koszuli.

Lecz zanim ją zdjęła, zgasła lampkę i w izbie zapanowała ciemność.

- Czemu to zrobiłaś? - zapytał zdumiony.

- Bo to grzech, że kładziemy się razem do łóżka, choć nie połączył nas ksiądz - szepnęła Ciara niemal niesłyszalnie, jakby się bała, że ściany izby przekażą jej słowa dalej, do Saraid albo kogoś innego.

Do tej pory byli ze sobą tylko kilka razy w ciemnościach lasu i Ferdynand chętnie popatrzyłby na nią w pełnym świetle. Lecz rozumiał jej nieśmiałość, więc nic nie powiedział, tylko gładził ją delikatnie, żeby zeszło z niej napięcie i mogła się cieszyć ich miłością tak samo jak on.

Jej słów nie pozostawił jednak bez odpowiedzi.

- Chciałbym poślubić cię jak najszybciej, ale do tego potrzeba księdza, który nam zaufa. Tu na zamku nie ma żadnego, a nie wiem, czy chciałbym, żeby to ojciec Maitiú uczynił nas mężem i żoną.

Na wspomnienie księdza Ciarę przeszedł dreszcz.

- Kapłan powinien być człowiekiem świętym, takim, który rozumie ludzi. Ale ten kaznodzieja to sama nienawiść.

- A my nie chcemy rozmawiać o nienawiści, tylko o miłości - odparł cicho Ferdynand i wsunął się na nią.

Trudno mu było podpierać się lewą ręką, ale nie chciał przydusić Ciary swoim ciężarem. Kochał się z nią powolnymi ruchami. Ciara już miała go poprosić, żeby robił to mocniej, poczuła jednak, że ten delikatny sposób jej odpowiada, i zamruczała jak kotka. Po chwili położył się obok niej spocony i zdyszany.

- Więcej dziś nie dam rady!

- Dałeś mi więcej niż trzeba - odpowiedziała z uśmiechem i zaczęła pieścić jego plecy. Nagle poczuła, że dotknęła zranionego miejsca i błyskawicznie cofnęła rękę. - Przepraszam, nie chciałam.

- Czego?

- Sprawić ci bólu, dotykając rany.

- Nic mnie nie zabolalo - zapewnił ją Ferdynand.

Ciara nie całkiem mu uwierzyła. Wstała, podeszła do drzwi i uchyliła je. Ponieważ na zewnątrz nikogo nie było, pomknęła i przyniosła jedną z długich szczap, które rozświetlały korytarz. Za jej pomocą zapaliła z powrotem lampkę, a potem sięgnęła po swoją koszulę. Choć szybko ją na siebie zarzuciła, Ferdynand przez chwilę mógł podziwiać ją taką, jak ją Pan Bóg stworzył. Była przepiękna, ale nie odważył się tego powiedzieć, bojąc się, że ją zawstydzi.

Trochę zdumiony zaczął myśleć o tym, że podług nauki Kościoła małżonkowie powinni ze sobą spółkować, by płodzić dzieci, a jednocześnie widok ich nagich ciał stanowił grzech.

- Połóż się na brzuchu, żebyś mogła obejrzeć ci plecy - powiedziała Ciara.

Ferdynand posłuchał i poddał się całkowicie dotykowi jej delikatnych, chłodnych rąk.

- Rany dobrze się zagoiły i nic się też nie stało, kiedy... kiedy na mnie leżałeś - stwierdziła z ulgą Ciara.

- W ogóle już mi nie przeszkadza. Za to ręka wydaje mi się taka słaba, że ledwo utrzymuję w niej kubek.

- Jesteś leworęczny? - zapytała zaskoczona Ciara, bo nigdy tego u Ferdynanda nie zauważyła.

Z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie, ale parę razy próbowałem coś przytrzymać albo podnieść lewą ręką i nie jest tak, jak powinno być.

- Odwróć się! - Ferdynand nie zareagował od razu, więc Ciara chwyciła go za ramię i obróciła, żeby móc obejrzeć jego rękę. Wzięła w dłoń lampkę, by oświetlić zranione miejsce, i okazało się, że także ta rana dobrze się zagoiła.

- Powinieneś często używać tej ręki, nawet jeśli z początku będzie boleć - doradziła.

- Myślisz? - zapytał i sięgnął lewą ręką do jej piersi, które zaznaczały się wyraźnie pod cienkim materiałem koszuli.

Ciarze jego dotyk sprawiał przyjemność i poprosiła, żeby poruszał też palcami.

- Tak, tak jest dobrze - westchnęła, gdy jej brodawki stały się twarde i sterczące. Zastanawiała się, czy nie poprosić go, żeby wziął ją jeszcze raz, jednak z ciężkim sercem zrezygnowała, bo nie chciała nadmiernie go zmęczyć. W każdym razie wyglądało na to, że wracał do zdrowia, co przyjęła z ogromną ulgą.

14

Przez kolejne tygodnie okoliczności sprzyjały temu, by Ciara i Ferdynand mogli się oddawać swojej miłości.

Buirre i jego kompani nie interesowali się nimi, a Hufeisen i Ionatán, nawet jeśli coś zauważyli, milczeli ze względu na łączącą ich przyjaźń. Jeśli chodzi o Saraid, to była zbyt zajęta sobą, żeby móc obserwować kuzynkę.

Byłoby inaczej, gdyby obie jak dawniej spały w jednej komnacie. A tak Ciara mogła późną nocą niepostrzeżenie wracać do łóżka. Saraid nadal mieszkała z Buirre'em i za pomocą miodu z ukradkiem dolewana whisky dbała o to, by uciążliwe dla niej było jedynie jego chrapanie.

Od czasu do czasu na zamek Ui'Corra docierały jakieś wieści i zwykle nie były dobre. Karolowi Blountowi, baronowi Mountjoy, udało się przejąć kontrolę nad całym obszarem wokół Palisady i powoli, ale konsekwentnie dążył do tego, by krok po kroku podporządkować sobie Irlandczyków. Jego oddziały przyzwyczyły się już do niespodziewanych ataków powstańców, więc Aodh Mór O'Néill nie był w stanie odnieść żadnych znaczących zwycięstw. Po porażce pod Moyry Pass Mountjoy zrezygnował z dążenia do szybkiego rozstrzygnięcia, a zamiast tego angażował przeciwnika w zmagania z karnymi hufcami, takimi jak ten pod dowództwem Ryszarda Haresgilla, stopniowo poszerzając w ten sposób strefę swoich wpływów.

Ciara często rozmawiała z Ferdynandem o pogarszającej się sytuacji Irlandczyków. Jej entuzjazm gdzieś uleciał i cały czas myślała o tysiącach rodzin, które zostały gwałtem wypędzone przez Anglików ze swoich rodowych siedzib. Te wypędzenia wciąż trwały, a klany, które przyłączyły się do Aodha Móra O'Néilla, traciły najlepsze i najżyźniejsze ziemie na wyspie. A człowiek, który nadal zwał się hrabią Tyrone, borykał się teraz przede wszystkim z coraz większymi trudnościami w zaopatrzeniu swoich ludzi, zwłaszcza żołnierzy.

- Mam nadzieję, że Oisín wkrótce wróci i sprowadzi z Hiszpanii wielką armię - powiedziała tego popołudnia Ciara z westchnieniem.

Razem z Ferdynandem wybrali się na spacer i najpierw musieli się zająć Gamhain, która koniecznie domagała się zabawy z patykiem. Teraz zadowolona suka truchtała obok nich, a oni mogli spokojnie porozmawiać.

- To musiałyby być bardzo duża armia - odpowiedział Ferdynand po chwili namysłu - i wyposażona w broń oraz żywność na kilka miesięcy. Nie sądzę, żeby Aodh Mór O'Néill był

w stanie wyżywić dziesięć czy piętnaście tysięcy hiszpańskich żołnierzy. Zastanawiam się jednak, czy Hiszpania rzeczywiście przysła wystarczającą ilość wojska, żeby przepędzić Anglików z Irlandii. Oni walczą już przecież zaciekle z powstańcami w Niderlandach.

- Przecież nie mogą nas, Irlandczyków, zostawić w potrzebie! Bronimy jedynej prawdziwej wiary przed angielskimi heretykami! - odpowiedziała z oburzeniem Ciara.

Ferdynand z poważną miną pokręcił głową.

- Hiszpania nic nie jest nam winna. Król Filip zrobi coś tylko wtedy, jeśli da mu to jakąś korzyść.

Przypuszczam, że wysłał marne parę tysięcy żołnierzy, żeby Anglicy byli zajęci w Irlandii i nie mieli sił do wspierania niderlandzkich buntowników.

- Te nędzne psy oddały się kacerstwu i podniosły broń przeciwko swemu władcy, królowi Hiszpanii! - W oczach Ciary zalśnił gniew, bo nie potrafiła zrozumieć, jak ludzie mogą odstąpić od prawdziwej wiary i zbuntować się przeciwko ustanowionemu przez Boga porządkowi.

Ferdynand natomiast myślał o tym, jak bardzo podobna jest sytuacja Irlandii i Niderlandów. W obu krajach mieszkańcy się zbuntowali, bo ich władcy modlili się inaczej niż oni. W Niderlandach byli to zmarły król Filip II i jego syn Filip III, a tu, w Irlandii, król Henryk VIII i jego córka Elżbieta. Na kontynencie protestanci powstali przeciwko katolickiemu królowi, a tutaj katolicy przeciwko protestanckiej królowej. Wyglądało jednak na to, że te bunty miały więcej przyczyn niż sama walka o wyznanie. Oba narody, Holendrzy i Irlandczycy, cierpieli, bo rządili nimi ludzie, którzy mówili innym językiem i którzy gardzili nimi jako dzikusami i głupimi chłopami.

- Świat staje na głowie - mruknął.

- Wypędzimy Anglików z naszej wyspy bez względu na to, czy Hiszpania przysła tysiąc żołnierzy, czy sto tysięcy.

- Głos Ciary brzmiał tak wojowniczo, jakby sama miała chwycić pikę lub muszkiet i przyłączyć się do wojowników O'Néilla.

Jej słowa pobudziły Ferdynanda do działania.

- Moje rany już się zagoiły i już dawno powinienem wrócić do naszych wojowników. Na Boga, powinienem był stworzyć hufiec z ludzi, których zostawiliśmy w Léana, i nauczyć ich, jak stawiać czoła wyćwiczonemu oddziałowi.

Ciara się przeraziła. Jeśli jej ukochany wyruszy z powrotem w bój, będą się widywali bardzo rzadko, a jeszcze rzadziej będą się mogli kochać. Była gotowa ponieść tę ofiarę dla dobra Irlandii, ale nie pozwoli mu iść samemu.

- Ja i Saraid też pójdziemy, bo nie zostaniemy u Buirre'a. Poza tym ty i pozostali potrzebujecie kogoś, kto będzie dla was gotować i pielęgnować wasze rany.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Już gdy to mówił, wiedział, że nie zdoła przekonać Ciary, by mu nie towarzyszyła. To było wręcz konieczne, bo ani u Buirre'a, ani w Léana nie miałyby ochrony, jakiej potrzebuje. Wciąż go bolało, że Szymon wykorzystał jego stan, żeby napastować Ciarę i pozbawić ich oboje koni.

Dokładnie rzecz biorąc, był w tym momencie pozbawiony środków i nie mógłby nawet opłacić podróży statkiem na kontynent.

- Porządnie dokuczemy Anglikom, moja droga - próbował pocieszyć Ciarę, ale i siebie.

- A jakże! - odpowiedziała z uśmiechem. - My, Irlandczycy, musimy wywalczyć sobie naszą wolność, czy to pod własnym królem, czy innym z jakiegoś katolickiego kraju. Dalsze życie pod panowaniem tej heretyczki Elżbiety byłoby koszmarem. Jaka to straszna kobieta, to widać choćby po tym, że bez litości kazała stracić lorda Essexa tylko dlatego, że ten gotów był uznać nasze prawa do naszego własnego kraju.

Choć Ferdynand nie sądził, żeby lord Essex został skazany na śmierć tylko z powodu swojej sympatii dla Irlandii, to też uznał to za dziwne, że najznamienitszy arystokrata Anglii i długoletni faworyt królowej stracił życie z powodu swoich pertraktacji z Irlandczykami. Los Essexa interesował go jednak mniej niż szczupłe, uwodzicielskie ciało Ciary. Gdy napotkał wzrokiem gęste zarośla, które zapewniały ochronę przed niepożądanymi spojrzeniami, wskazał Ciarze to miejsce.

- Jak myślisz? Niedługo nie będziemy mieli tylu okazji, żeby być sam na sam.

Ciara uważnie przyjrzała się krzewom, które otaczały porośnięte mchem drzewa. Choć w lesie panował zielonkawy półcień, jej ukochany będzie widział jej ciało, a z tego musiałaby się kiedyś wypowiadać. Odrzuciła jednak głowę, aż jej włosy zafalowały i przez chwilę lśniły niczym zielone włosy nimfy. Kochała Ferdynanda, a on kochał ją. Dziwiło ją, dlaczego grzechem miałyby być to, że chcą nasycić oczy swoim widokiem.

- Chodź! - powiedziała, chwytając go za rękę. - Gamhain ostrzeże nas, gdyby ktoś się zbliżył.

- Mam nadzieję, że przepędzi każdego intruza. - Ferdynand obiecał w duchu suce wielką kość, jeśli tak zrobi, bo w tym momencie chciał mieć Ciarę tylko dla siebie.

Dwa dni później, po tygodniach spokoju, piękny czas na zamku Ui'Corra raptownie się skończył. Aithil przyprowadził do doliny tych, którzy przeżyli atak na oddział Haresgilla, a jego ponura twarz rozjaśniła się dopiero wtedy, gdy w bramie powitali ich Ciara i Ferdynand.

- Tak sobie myślałem, że udaliście się właśnie tutaj. Ja też już dawno bym tu był, gdybym nie wolał poczekać, aż ostatni ranny stanie z powrotem na nogi. A jak wasze rany, panie Ferdynandzie? Czy możecie chwycić za miecz, by poobcinać głowy kreaturom z Albionu?

- A jakże! - odparł Ferdynand, obejmując towarzysza broni.

- Szlachetny z was człowiek! Ale wasz kuzyn, wybaczenie, że to mówię, to drań. Pojmanych angielskich oficerów podejmuje niczym dawno niewidzianych przyjaciół, podczas gdy my, Ui'Corra, musieliśmy niemal zebrać o każdy kawałek chleba. Gdy mnie to rozgniewało, zawołał żołnierzy i zaczął mi grozić. Miałem ochotę dobyć miecza i skrócić go o głowę. Ale miał wokół siebie zbyt wielu swoich ludzi.

Aithil wyszczerzył zęby. A potem klepnął Ferdynanda w ramię.

- Przyjdzie pora, że mu odpłacimy. Powiedz jednak, dlaczego opuściliście wtedy miasto, nie mówiąc mi ani słowa?

- Bo ja tak chciałam - odpowiedziała Ciara zamiast Ferdynanda.

- A dlaczego? - zapytał Aithil, nie zwracając uwagi na jej niechętną minę.

- Bo to było konieczne - odparła krótko Ciara.

Jej krewny w końcu się domyślił.

- Szymon von Kirchberg wpadł w szal, gdy zniknęliście, i miał do nas pretensje. Chyba już wiem, jaki mieliście powód. Maighdean, powinnaś mi była powiedzieć, że nie traktował cię z szacunkiem, jaki ci się należy.

- I co by to dało? - odpowiedziała gorzkim tonem Ciara. - Sam właśnie powiedziałaś, że chowa się za plecami swoich żołnierzy, zamiast przyjąć wyzwanie, jak przystało szlachcicowi. A poza tym byli jeszcze nasi ranni. Co by się z nimi stało, gdyby doszło do kłótni czy wręcz do walki?

Aithil w zadumie pokiwał głową.

- Nie pomyślałem o tym. Przypuszczam, że ten drań byłby gotów wyrzucić naszych z miasta pomimo ich ran.

Ale pomówmy o czymś przyjemniejszym. Czy macie dość miodu i whisky dla

naszych spragnionych gardel?

- Będziecie się musieli zadowolić tym, co zostawili Buirre, Seachlann i ich kompani. Im dłużej przebywają na zamku, tym większe mają pragnienie.

Ciara nawet nie starała się ukryć pogardy, jaką odczuwała wobec męża Saraid. Nie był jej tak wstrętny jak Szymon von Kirchberg, lecz miała mu za złe, że ciągle pokazywał, że ma władzę nad Saraid.

- Miałem nadzieję, że okażą się rozsądniejsi! Przecież taoiseach powierzył im odpowiedzialne zadanie - Aithil był zły, bo nikt nie trzymał warty, i jednocześnie zszokowany, gdy poszedłszy za Ciarą i Ferdynandem do głównej sali zamku, zobaczył tam ludzi Buirre'a. Dwaj siedzieli jeszcze przy stole, trzymając łokcie w kałużach miodu, i pili na wyścigi, zaś trzej pozostali leżeli już na podłodze i chrapali. Buirre'a nigdzie nie było widać.

- Leży w swoim łóżku i śpi - oznajmiła Saraid, która też weszła do sali i zauważyła spojrzenie Aithila.

- Wczesnym popołudniem? - Aithil spojrzał z pogardą na pięciu ludzi. - Zabierzcie ich stąd i wrzucicie do obory.

Niech tam odeśpią kaca. Na Boga, z takimi ludźmi mamy uwolnić Irlandię? Pora, żeby taoiseach wrócił i zrobił tu trochę porządku.

- Mielście jakieś wieści od Oisina? - zapytał Ferdynand.

- Tak! Napisał, że wyruszy przed Hiszpanami, żeby przygotować wszystko na ich przybycie. Mają wylądować w Sligeach. Tam będą się mogli dogadać z O'Domhnaillami i O'Neillami i natychmiast wyruszyć na Mountjoia.

- Oisín wreszcie wraca! - Ferdynand z jednej strony się cieszył, bo to znaczyło, że będzie go mógł poprosić o rękę Ciary. Z drugiej strony ta wiadomość oznaczała kres ich beztróskiego czasu na zamku.

[37] Deirdre - tragiczna bohaterka irlandzkiej mitologii, która umarła ze smutku, gdy król Conchobhar zmusił ją do małżeństwa i zabił jej ukochanego Naoise'a.

[38] Diarmuid (Diarmuid Ua Duibhne) - waleczny wojownik z mitologii celtyckiej, młodzieniec z magicznym znamieniem miłości na czole, w którym zakochiwała się każda kobieta.

[39] Fionn Mac Cumhaill - legendarny wojownik w mitologii irlandzkiej, który posiadał mądrość magicznego Łososia Wiedzy.

[40] Bealach na mhaighre - starcie zbrojne pod Moyry Pass, które miało miejsce na przełomie sierpnia i września 1600 roku.

CZEŚĆ SIÓDMA

Umierająca nadzieja

1

Oisín O'Corra może być niezamożny, ale wiedział, jak zadbać o wygląd odpowiedni do swojej rangi. Gdy na dziedzińcu zamku Ui'Corra zsiadał z rasowego hiszpańskiego ogiera, miał na sobie kaftan z zielonego, haftowanego złotem aksamitu, krótkie pludry, pod nimi obcisłe zielone pończochy, a na głowie wielki, czterokątny, złotozielony beret. Olbrzymia kryza ograniczała mu ruchy głowy, ale nie przeszkodziła w uściskaniu najpierw Ferdynanda, a potem Aithila. Gdy zwrócił się w stronę Buirre'a, zauważył, że ten z trudem utrzymuje się na nogach. Oisín z odrazą poczuł unoszący się wokół jego zastępcy odór miodu i whisky.

- Nie powinieneś tyle pić, Buirre! Jesteś jednym z moich najważniejszych towarzyszy. Jak mam ci powierzać wojowników, skoro jesteś tak pijany, że nie odróżnisz swojego od wroga?

- Anglika rozróżnię na pewno i, na Boga, żałuję, że nie ma tu przede mną choć jednego. Już ja bym go... - Buirre sięgnął po miecz, ale wysunął go z pochwy tylko do połowy.

Oisín popatrzył na niego i pokręcił głową.

- Gdybym był Anglikiem, wystarczyłoby, żebym chuchnął, a ty od razu byś się przewrócił. Zapanuj nad sobą na przyszłość!

Po tej naganie odwrócił się do Buirre'a plecami i powitał innych mężczyzn z klanu, a na koniec podszedł do siostry i kuzynki.

- Cieszę się, że zastaję was obie w zdrowiu.

- Moja radość byłaby większa, gdybym przez ostatnie miesiące nie musiała co noc znosić pijackiego chrapania mojego męża - odparła gorzkim tonem Saraid, gdy tymczasem Ciara stanęła obok Ferdynanda, żeby pokazać bratu, kto jest jej bliski.

Wzrok Oisína przesunął się z Saraid na Buirre'a i z powrotem.

- Czy zmusił cię, żebyś była mu powolną, mimo że tego nie chciałaś?

- Tak! Ale nie zdarzało się to zbyt często, bo wolał miód i whisky.

Saraid spuściła głowę, żeby Oisín nie widział jej twarzy. W końcu to ona sama dbała o to, żeby alkohol powalił Buirre'a, zanim zdążył ją dotknąć. Ale była zła na przywódcę klanu i na innych, że opuścili ją w trudnej chwili, nie martwiąc się wcale, jak jej się powodzi.

Oisin zauważył niezadowolenie Saraid, a także upór na twarzy Ciary. Podczas podróży do Hiszpanii uzgodnił z zaprzyjaźnionym przywódcą innego klanu, że wyda swoją siostrę za jego brata. Ale sądząc po minie Ciary, nawet nie da mu dokończyć, gdy zacznie o tym mówić.

Poirytowany postanowił odłożyć sprawę na później i uznał, że najpierw powinien uczcić swój powrót.

- Mam nadzieję, że Buirre'owi zostało dosyć miodu i whisky, żebyśmy mogli zwilżyć gardła. Kto wie, jak długo posiedzimy w swoim towarzystwie. Przed nami ostatnia wielka walka o Irlandię. Aodh Mór O'Néill zlecił mi zebranie wszystkich wojowników Ui'Corra i przyłączenie się do jego armii. Gdy tylko do Irlandii dotrą ich ekscelencje don Juan de Aguila i don Diego Brochero wraz ze swymi oddziałami, wyrzucimy z naszej wyspy heretyków Mountjoya.

Aithil i pozostali Irlandczycy wzniesli radosne okrzyki, natomiast Ferdynand rzucił Oisinowi pytające spojrzenie.

- Ilu Hiszpanów przybędzie nam na pomoc?

Oisin chciał, żeby jego ludzie nacieszyli się wieściami, więc lekko się zirytował.

- Jego Wysokość król Filip III był łaskaw wysłać nam sześć tysięcy swoich najlepszych żołnierzy.

- Tylko sześć tysięcy? - zapytała rozczerowana Ciara, wymieniając z Ferdynandem krótkie spojrzenie.

Wyglądało na to, że jego wątpliwości były słuszne.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, do rozmowy wtrącił się ojciec Maitiú, który towarzyszył Oisinowi w Hiszpanii. Domagając się uwagi, uniósł dłonie.

- To nie liczba żołnierzy zdecyduje, tylko Duch Święty, który poprowadzi wojowników i ich miecze! Czy to nie Pan Bóg sprawił, że Gideon z pięciuset ludźmi zwyciężył wielką armię Madianitów? Czy to nie On zatopił wojowników, konie i rydwany faraona w Morzu Czerwonym i zburzył dla Jozuego mury Jerycha? Pan pobłogosławi też naszą broń i naszych hiszpańskich braci, byśmy nie tylko przepędzili z naszej ukochanej wyspy heretyków, lecz także zniszczyli herezję w samej Anglii.

- A ja wiem, że niebiosa sprzyjają raczej armiom z dostateczną liczbą żołnierzy, a nie tym ze zbyt małą - mruknął Hufeisen pośród wiwatów wznoszonych przez Irlandczyków na cześć Oisina, ojca Maitiú, Aodha Móra O'Néilla i innych irlandzkich przywódców.

Ferdynand pomimo wrzawy usłyszał jego słowa i uznał je za zły omen. Spojrzawszy na Ciarę, domyślił się, że zajmują ją również inne troski, bo wyglądała na bardzo zmartwioną.

Zauważyła spojrzenie Oisina i zrozumiała, że on wciąż planuje wydać ją za jakiegoś irlandzkiego przywódcę.

Cóż jednak mogła zrobić? Oisin był jej bratem i głową klanu. Jeśli każe jej wyjść za mąż, zgodnie z irlandzkim zwyczajem będzie musiała posłuchać. Lecz nie była na to gotowa. Nie weźmie za męża żadnego Irlandczyka tylko po to, żeby jej brat zyskał większe wpływy. Choć nie była zachwycona jedynym rozwiązaniem, jakie jej pozostało.

Zamiast się poświęcić, razem z Ferdynandem odejdzie od Ui'Corra i w razie czego pójdzie za nim do jego ojczyzny.

Ciara bała się tego, co może ją czekać na obczyźnie, ale od dzieciństwa przywykła do skromnego życia, a z Ferdynandem będzie szczęśliwa choćby w żołnierskim namiocie w jakimś odległym kraju.

Teraz, gdy podjęła już decyzję, uznała, że powinna o tym jak najszybciej porozmawiać. Najpierw jednak należało się przyłączyć do armii O'Neilla i przegonić Anglików.

2

Gdy Ciara ujrzała wielką armię, którą zgromadził wokół siebie Aodh Mór O'Neill, nie mogła się nadziwić. Nie miała pojęcia, że w Irlandii jest aż tylu ludzi.

W porównaniu z tą armią oddział Ui'Corra wyglądał niczym kropla w morzu. Ale właśnie to morze zmyje w końcu z ich wyspy Anglików, myślała sobie, zbliżając się u boku Oisina do otwartego z trzech stron namiotu, w którym siedział Aodh Mór O'Neill ze swoimi zaufanymi. Towarzyszył im ojciec Maitiú, natomiast Ferdynand i Aithil musieli zostać.

O'Neill rozmawiał z jakimś odzianym po cudzoziemsku mężczyzną o szczupłej twarzy, ciemnych oczach i opadających na ramiona ciemnoblonde lokach. Przerwał rozmowę, by zwrócić się do Oisina.

- Mój drogi O'Corra, cieszę się, że was widzę. Don Luisa de Cazalle już znacie.

Na dźwięk swego imienia Hiszpan skłonił głowę.

- Miałem zaszczyt poznać don Oisina de Corra w Madrycie.

Oisin odwzajemnił ukłon.

- Cieszę się, że znów was widzę, don Luisie, i nie mogę się doczekać, kiedy ramię w ramię zaczniemy walczyć z Anglikami.

- A będziecie mieć ku temu okazję wcześniej niż myślicie - oznajmił O'Neill. - Usiądźcie jednak i napijcie się z nami. Widzę, że przyprowadziliście swoją siostrę.

Miło mi, maighdean! Przynieście krzesło dla damy.

Oisinowi przydzielono krzesło tylko trzy miejsca od O'Néilla, natomiast Ciarę posadzono w kącie namiotu.

Gdy usiadła, zauważyła, że jakiś starszy człowiek i drugi, nieco młodszy, którzy mogli być braćmi, lustrują ją wzrokiem, jakby była kłaczą na sprzedaż. Czy jeden z nich to ten narzeczony, którego wybrał dla niej Oisín?

Obejrzała ich sobie od stóp do głów i stwierdziła, że żaden w najmniejszym stopniu nie może się równać z Ferdynandem. Sądząc po oznaczeniach na beretach, pochodzili z południa. Ciara założyła, że to Ui'Laoghaire z Laighean. To było tak daleko od jej domu, że równie dobrze mogła się wybrać z Ferdynandem na kontynent.

Była tak zatopiona we własnych myślach, że niemal nie zwracała uwagi na rozmowy przywódców i drgnęła, gdy Aodh Mór O'Néill walnął w stół swą olbrzymią pięścią.

Uwaga wszystkich obecnych natychmiast się na nim skupiła.

- Nasi hiszpańscy sojusznicy przybili do brzegów Irlandii! - zawołał donośnym głosem.

Wiwaty rozległy się po całym obozie, a O'Néill dał swoim ludziom czas na wyrażenie radości. Dopiero po chwili uniósł dłoń, żeby nakazać spokój.

- Nieubłagane wichry i morze sprawiły jednak, że do brzegów naszej wyspy dotarła tylko część ich armii. Nie wylądowali też, jak planowano, w Sligeach, tylko trafili do Cionn tSáile!

Większości Irlandczyków ta nazwa nic nie mówiła, więc znów zaczęli wiwatować. Oisín natomiast zmarszczył czoło.

- Cionn tSáile? To na samym południu!

- Zgadza się - przyznał O'Néill. - Moi zwiadowcy dowiedzieli się, że Karol Blount zbiera swoje oddziały, żeby ruszyć z nimi na Cionn tSáile. Don Luis wyjaśnił mi, że jego generał don Juan de Aguila zakłada, że obroni Cionn tSáile przed Anglikami. Lecz siły naszych sprzymierzeńców nie pozwolą na to, by przerwali oblężenie. De Aguila prosi nas w związku z tym, żebyśmy pośpieszyli mu z pomocą, żebyśmy wzięli Anglików w dwa ognie i raz na zawsze wyplenili kacerstwo z Irlandii.

Oisín pomyślał, że się przesłyszał.

- Mamy przejść setki mil przez kontrolowane przez Anglików obszary, nie mogąc liczyć ani na wsparcie, ani na zaopatrzenie, i to w samym środku zimy? To się nie może udać!

- Staliście się tchórzem, O'Corra, odkąd Haresgill ze swoim oddziałem spuścił wam i waszym ludziom lanie? - zapytał z drwiną w głosie jeden z irlandzkich przywódców.

- Nie, ale ślepa odwaga nic nam nie da. Poślijcie don Juanowi de Aguilii wiadomość,

żeby utrzymał Cionn tSáile do wiosny. Wtedy to ludzie Mountjoya będą sobie musieli poradzić z zimnem i deszczem. A my zbierzemy się w marcu i w lepszym momencie wyruszymy do Cionn tSáile.

Propozycja była rozsądna, nawet O'Neill zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział jednak, jaka jest sytuacja Hiszpanów. Większość wyładowanych bronią i prowiantem statków nie dotarła do celu, a oddziały Aguili nawet bez zewnętrznego zagrożenia nie wytrzymają do wiosny. Jeśli Anglikom uda się pokonać Hiszpanów albo zmusić ich do opuszczenia wyspy, wiele klanów, które stanęły po jego stronie, zmieni front i przyłączy się do Mountjoya.

- Nie zostawimy don Juana de Aguili i jego żołnierzy w potrzebie, tylko wyruszymy na południe, gdy tylko dołączą do nas ostatni ludzie - oznajmił tonem, który jednoznacznie wskazywał, że nie dopuści żadnych sprzeciwów.

Zdesperowany Oisín potrząsnął głową, ale nie odważył się zaprotestować.

Natomiast ojciec Maitiú z rozpromienioną twarzą wyszedł przed namiot i wyciągnął ramiona ku niebu.

- Moje dzieci! - wykrzyknął z całych sił. - Bóg w niebiesiech przysłał tych dzielnych hiszpańskich żołnierzy, żebyśmy połączyli się z nimi i wspólnie do cna wykorzenili herezję. Duch Święty pokieruje naszymi krokami, a Święta Dziewica Maria roztoczy nad nami swój płaszcz, by nie dokuczyła nam ani pogoda, ani miecze i kule Anglików. Kto jeszcze się waha, ten nie jest Irlandczykiem prawdziwej wiary, lecz człowiekiem, którego serce draży już kacerska trucizna i który odmawia posłuszeństwa samemu Bogu! Wyruszmy, a doświadczycie cudów, jakie przewidzieli dla nas Pan Nasz Jezus Chrystus, Przenajświętsza Dziewica i święty Pádraig.

Gdy kapłan umilkł, przez chwilę panowała cisza jak w kościele. Potem jednak rozbrzmiały wiwaty głośniejsze nawet niż wcześniej. Przyjaciele, ale i zupełnie obcy ludzie padali sobie w ramiona i wszystkich Irlandczyków ogarnęła fala entuzjazmu. Aithil wiwatował równie gromko jak inni i nawet Ferdynand nabrał nieco nadziei, że ta wojenna wyprawa może się jednak dobrze skończyć.

Hufeisen też zaczął udawać zachwyt, gdy poczuł na sobie parę krzywych spojrzeń. Wyobrażał sobie trudy długiego marszu w zimowym deszczu, ale był żołnierzem, który posłucha, gdy padnie rozkaz wymarszu. Pomyślał też, że przecież Anglicy także będą musieli się zmagać z kapryсами pogody. A więc perspektywy obu stron są jednakowe. Zwyciężyła armia, która ma lepszego dowódcę, a on miał nadzieję, że don Juan de Aguila to właściwy człowiek. W końcu Hiszpanie mają najlepszą piechotę na świecie. Gdy taki zdyscyplinowany oddział przyłączy się do masy Irlandczyków, to może oznaczać koniec Anglików na tej

wyspie.

3

Aodh Mór O'Néill śpieszył się, ponieważ ani nie miał środków, żeby zaopatrzyć swoją armię, ani nie chciał ryzykować, że Anglicy odniosą zaskakujące zwycięstwo nad Hiszpanami, którzy wylądowali w Cionn tSáile.

Z tego powodu Irlandczycy wyruszyli już po kilku dniach.

Ponieważ najważniejsze drogi i rzeki były kontrolowane przez angielskie twierdze, musieli się przedzierać przez lasy i nie mogli zabrać ze sobą nawet tych niewielu armat i skromnych zapasów, którymi dysponowali. Mieli też za mało jucznych zwierząt, żeby przewieźć prowiant i podstawowe uzbrojenie. Wszyscy żołnierze i każda towarzysząca im niewiasta musieli więc dźwigać na plecach spory ciężar.

Ciara i Saraid człapały więc wolno, podobnie jak inne kobiety, i nawet Gamhain przywiązano do grzbietu tobołek, co suce zupełnie się nie podobało. Ugięta pod swoim bagażem Ciara raz po raz popędzała psa i żałowała osła, który nie przeżył potyczki z oddziałem Haresgilla.

Pogoda był tak paskudna, jakby błagalne prośby ojca Maitiú o wsparcie nie trafiły jednak do świętych w niebie, i ociekająca wodą chmara parła pośród lodowatego wiatru w stronę południa. Nie tracili animuszu tylko dlatego, że wiedzieli, że Anglikom wcale nie jest lepiej. Wielu Irlandczyków nigdy dotąd nie wyprawiało się tak daleko od ojczystych stron, więc w większości nieufnie spoglądali na krajobraz, który różnił się od znajomych im okolic. Lasy wydawały im się ciemniejsze, a w oparach mgły raz po raz dostrzegali czyhające na nich tajemnicze postacie. Serca i umysły maszerujących wypełniały pradawne sagi i przeróżne lęki, toteż niejednen mamrotał pod nosem stare zaklęcia, których nauczyły ich babki, ufając im bardziej niż modłom i kadzidłu, którymi duchowni próbowali odganiać złe duchy.

Żeby pokazać, że nigdy nie podda się woli brata, Ciara trzymała się Ferdynanda. Wziął już od niej część jej bagażu i dźwigał razem ze swoim. Była mu wdzięczna, ale myślała o tym, że szlachcic nie powinien nieść takich ciężarów. Żaden z irlandzkich dowódców nie niósł na ramionach tobołków, nawet Oisín. Jej brat założył, że wszystko poniosą wojownicy Ui'Corra.

Hufeisen też był mocno obciążony, lecz traktował to ze zgryźliwym humorem.

- Jak myślicie, panie Ferdynandzie? Ile dni będziemy jeszcze maszerować, zanim dotrzemy do Cionn tSáile?

- Musiałbyś zapytać O'Néilla. Ale nawet nasz wielki przywódca nie będzie raczej w

stanie określić dokładnej daty - odpowiedział Ferdynand.

- Gdybyśmy ją znali, moglibyśmy podzielić nasze zapasy tak, żeby wystarczyły, pobić szybko Anglików i skorzystać z ich wozów z prowiantem. A tak być może wlecemy ze sobą mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, którym lepiej by było w naszych żołądkach!

Hufeisen otarł czoło, po którym spływał zmieszany z deszczem pot, i rzekł do Saraid, która człapała obok niego z zaciętą miną.

- Teraz pewnie żałujecie, że nie zostaliście na zamku Ui'Corra.

Saraid pokręciła głową, aż wkoło poleciały kropelki wody.

- Nigdy w życiu! Wolałabym pójść na koniec świata niż dalej musieć spać w jednej izbie z Buirre'em.

- Dlaczego wyszliście za niego, skoro jest wam taki wstrętny? - zapytał Hufeisen.

- Był dzielnym wojownikiem i cierpliwie się o mnie starał. Poza tym w starej wieży nad morzem, w której mieszkaliśmy i której prawie nikt nie odwiedzał, nie miałam wielkiego wyboru. Na początku byłam przekonana, że się do siebie przyzwyczaimy, a poza tym bałam się, że zostanę starą panną. Jednak Buirre, który wrócił z kontynentu do Irlandii, nie był już tym samym wesołym młodzieńcem. Oisín mianował go jednym ze swoich dowódców, a to przewróciło mu w głowie. Po powrocie Buirre zaczął ode mnie wymagać bezwzględnego posłuszeństwa, choć miłym słowem działałby więcej, i przypisywał sobie prawa, które mu nie przysługiwały. Gdy tylko pokonamy Anglików, tak ułożę sobie życie, żeby nigdy więcej go nie oglądać. Może Oisínowi uda się doprowadzić do tego, żeby moje małżeństwo z Buirre'em zostało rozwiązane. Wtedy on mógłby wziąć sobie żonę, która będzie potulnie znosić jego złe humory, a ja...

Saraid przerwała i przygryzła wargi, bo Hufeisen zaczął się cicho śmiać.

- Wy też chętnie wyszlibyście znowu za męża, co?

Samemu w łóżku jest jednak trochę za zimno.

- A co was to obchodzi? - odparła ostrym tonem Saraid i ruszyła szybszym krokiem.

Hufeisen także przyspieszył.

- Nie gniewajcie się na mnie! - poprosił. - Ja po prostu nie mogę uwierzyć, że taka wspaniała młoda kobieta jak wy chciałaby żyć jak mniszka.

- Jeśli myślisz, że rozchylę przed tobą uda, to się grubo mylisz! Zadowol się łaskawie sam albo poszukaj sobie baby, która będzie na tyle głupia, żeby pozwolić się pokryć germańskiemu mułowi.

- Jeśli już to bykowi! Muły nie kryją samic. - Hufeisen powiedział to tak obojętnym tonem, że Saraid musiała się roześmiać.

- Jesteś niemożliwy - stwierdziła, kręcąc głową, ale została obok niego i zaczęła go wypytywać o jego dotychczasowe życie.

- Niewiele jest do opowiadania - oznajmił, ale opowiedział jej co nieco o swojej młodości. - Dorastałem w Kirchbergu. Mój ojciec był zarządcą majątku, a matka córką zamożnego chłopca. Zgodnie z ich wolą miałem poślubić dziedziczkę dużej zagrody. Majątek mi się podobał, ale dziewczyna nie. Poza tym cały czas spędzałem z dwoma młodymi paniami, to znaczy z Szymonem von Kirchbergiem i jego kuzynem Andrzejem, synem pana na zamku. Pan Ferdynand był wtedy jeszcze chłopcem. W okolicznych gospodach świetnie znano obu kuzynów, a Andrzej von Kirchberg był bardzo hojny.

Postawił mi niejedną kubek wina i piwa, pan Szymon zresztą też.

Hufeisen westchnął, wspominając tamte czasy.

- Obaj młodzi panowie pozwolili sobie na niewybredny żart wobec jednego z sąsiadów i zostali przyłapani. Pan Franciszek osobiście złajał swojego syna, ale Szymon nie chciał go słuchać i opuścił Kirchberg, żeby zostać najemnym oficerem. Pomimo złości stryj dał mu listy polecające do słynnego dowódcy i od tego wszystkiego zaczął się mój pech. Pan Franciszek wzięby mnie na służbę jako zarządcę majątku, ale pan Szymon zaproponował, żebym towarzyszył mu jako jego sługa.

Wizja przygód i zwiedzania dalekich krajów była zbyt kusząca, więc poszedłem z nim. Z biegiem czasu awansowałem na jego pierwszego podoficera, ale teraz znowu jestem tylko służącym. Tyle że pana Ferdynanda, który w przeciwieństwie do pana Szymona stał się uczciwym i porządnym człowiekiem. W Kirchbergu miałbym lepsze życie niż tutaj, ale gdybym tam został, nie poznałbym was. A byłoby szkoda.

Ostatnim słowom Hufeisena towarzyszyło pełne zachwyty spojrzenie, które wprawiło Saraid w zakłopotanie. Zaczerwieniła się, bo wyglądała jak zmokła kura i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

- To miałeś ciekawe życie - odpowiedziała po namyśle.

- Nie do końca. Jako żołnierz siedzi człowiek zwykle w jakimś garnizonie i nudzi się na śmierć. Ale przyśpieszmy trochę, bo wszyscy nas już sporo wyprzedzili.

Rozmowa zamarła i już nie została na nowo podjęta, gdyż każde z nich oddało się swym własnym rozmyśleniom. Podczas gdy Hufeisen myślał o zbliżającej się bitwie, Saraid myślała o nim. Jego pochodzenie nie równało się jej, ale z Buirre'em było podobnie.

Teraz żałowała, że uchodzi za mężatkę, choć już dawno nie żyje z mężem. Nie mogła wziąć kolejnego ślubu. A co do jednego Hufeisen miał rację - nie chciała spędzić reszty życia w samotności. Mogła jednak zostać jedynie czyjąś kochanką, jeśli nie chciała zgrzeszyć i

popęłnić bigamii. „Ale czy Cyriakus Hufeisen to odpowiedni człowiek? - zastanawiała się. - A może zmieni się na gorsze tak samo jak Buirre?”. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Wiedziała zresztą, że nie powinna tak dalej myśleć, jeśli nie chce uchodzić za kobietę lekkich obyczajów. Kobieta, która rozstała się z mężem, powinna podług nauk Kościoła żyć w skromności, a najlepiej od razu wstąpić do klasztoru.

„Dobrze, że Anglicy zniszczyli większość klasztorów w Irlandii” - pomyślała w przyływie wisielczego humoru i powiedziała sobie, że na razie nie ma co myśleć o przyszłości. Co będzie jutro, to wie tylko Pan Bóg, i z całą pewnością nie zdradzi jej tego wcześniej na ucho.

4

Armia rozbiła obóz kilka mil od Cionn tSáile. Żeby Ciara i Saraid nie musiały siedzieć i spać w deszczu, Ionatán ściął kilka młodych gałęzi i zaczął pleść z nich prowizoryczny daszek. Hufeisen ruszył mu pomagać, a Ferdynand tylko patrzył z podziwem.

Wtedy podszedł do niego Oisín.

- Powinniśmy obaj pójść do Aodha Móra O'Néilla.

Ferdynand z żalem w oku spojrzął na niegotowe schronienie i poszedł za bratem Ciary. Zamiast rozmawiać z dowódcą powstańców, wolałby zrobić coś dla Ciary, żeby jej pokazać, jak bardzo się o nią troszczy.

A ona popatrzyła za nim i uśmiechnęła się.

Jeśli O'Néill posłał po Ferdynanda, to znaczy, że wieści o jego odwadze i pomysłowości już się rozniosły.

Miała nadzieję, że w zbliżającej się bitwie uda mu się na tyle wyróżnić, że jej brat nie będzie mu mógł odmówić.

Ferdynand myślał w tym momencie o czymś zupełnie innym. Gdy razem z Oisinem zbliżał się do namiotu Aodha Móra O'Néilla, który jego służący przewieźli na grzbietach zwierząt, czuł się całkowicie wyczerpany, a deszcz i zimno sprawiły, że dokuczały mu stare rany.

Wewnątrz namiotu było niewiele cieplej, ale przynajmniej nie dawał się we znaki nieustający zimowy deszcz.

O'Néill siedział na składanym krześle, natomiast ojciec Maitiú i don Luis de Cazalla stali obok niego. Za nimi pojawił się właśnie Aodh Ruadh O'Domhnaill, który zerknął O'Néillowi przez ramię. Wszyscy czterej mieli na sobie suche odzienie, czego Ferdynand zazdrościł im nawet bardziej niż kubków z parującym ponczem, które trzymali w rękach.

- Prawie dotarliśmy do Cionn tSáile - rozpoczął O'Néill naradę. - Teraz musimy ustalić, co robimy dalej.

- Powinniśmy natychmiast zaatakować Anglików, zanim zdążą się przygotować - zaproponował Oisín.

- To niemożliwe! - zawołał oburzony don Luis. - Don Juan de Aguila musi zostać powiadomiony o ataku, żeby mógł dokonać wypadu i uderzyć na Anglików od tyłu.

- Tak właśnie zrobimy! - O'Néill skinął głową w stronę Hiszpana, a potem zwrócił się do Oisína i Ferdynanda: - Wy dwaj zakradniecie się do miasta i przekazecie don Juanowi mój plan bitwy. W żadnym razie nie może on wpaść w ręce wroga. Zrozumieliście?

Oisín pokiwał głową.

- Tak jest.

Aodh Mór O'Néill z uśmiechem zadowolenia rozłożył mapę okolicy.

- Tutaj - powiedział, wskazując znak na mapie - leży Cionn tSáile. Według meldunków moich zwiadowców Anglicy zajmują stanowiska tutaj, tutaj i tutaj. My jesteśmy tu, więc na razie na tyle daleko, że psy Mountjoya jeszcze nas nie zauważyły.

Palec wskazujący O'Néilla zatańczył po mapie, zatrzymując się jedynie na moment przy odpowiednich miejscach.

- Naszym celem jest zaatakowanie Anglików jednocześnie w trzech miejscach, żeby nie mogli się wzajemnie wspierać. Don Juan w tym samym czasie opuści miasto i zajmie wroga od swojej strony. W sumie plan jest dość prosty. Ważne, żeby wszystko nastąpiło w uzgodnionym czasie. Tu są moje wskazówki dla don Juana! On zna szyfr i będzie je w stanie odczytać. Anglicy nie. Mimo to macie się starać ze wszystkich sił, żeby was nie zauważyli.

„O'Néill mówi do nas, jakbyśmy byli jakimiś głupimi rekrutami” - pomyślał rozeźlony Ferdynand. On sam wcale nie uważał, że plan jest taki prosty, jak przedstawił to przywódca powstania. Trzy irlandzkie kolumny musiały uzgodnić swoje działania, a oprócz tego byli jeszcze Hiszpanie w mieście. Ale to nie było jego zadanie, tylko ludzi, których O'Néill wyznaczył na dowódców poszczególnych części armii.

- Don Luis będzie wam towarzyszyć. Ruszajcie z Bogiem! - kontynuował O'Néill.

- Pomoc niebios bardzo nam się przyda - szepnął Oisín do Ferdynanda, gdy opuszczali namiot.

Ten potrząsnął głową.

- Jak mamy wejść do miasta? Nie sądzę, żeby Anglicy nie pilnowali dróg.

Nie zauważyli, że tuż za nimi wyszedł z namiotu Aodh Ruadh O'Domhnaill.

- Chodźcie ze mną. Ta ścieżka prowadzi do zatoczki.

Tam czeka już na was łódź. Najprostszy sposób dla was to powiosłować wzdłuż wybrzeża. Angielskie statki nie podpływają do miasta z obawy przed hiszpańskimi armatami, więc po drodze nikt was nie złapie.

- Dziękujemy, panie! - Oisín zamarkował ukłon, a potem zwrócił się do Ferdynanda i Luisa de Cazalli: - Proponuję, byśmy wyruszyli natychmiast. Nie chciałbym robić tego w nocy, bo zamiast wylądować w mieście, moglibyśmy trafić prosto na Mountjoya.

Nikt się nie roześmiał. O'Domhnaill życzył im powodzenia, a Ferdynand zastanawiał się, czy uda mu się pożegnać z Ciara. Lecz jej brat już ruszył ścieżką ku plaży, a jemu nie pozostało nic innego, jak za nim podążyć.

Ścieżka prowadziła do małej, skalistej zatoczki. Na jej brzegu czekała już łódź z dwoma marynarzami. Obaj patrzyli na Ferdynanda, Oisina i de Cazallę z ciekawością, ale wcale nie mieli zamiaru pomóc im wsiąść do chybotliwej łodzi.

- Mamy was zabrać do Cionn tSáile - powiedział jeden z nich.

„To nie było pytanie, tylko stwierdzenie” - pomyślał Ferdynand i zaczął się zastanawiać, skąd O'Domhnaill miał pewność, że tym dwóm można ufać. Równie dobrze mogli powiosłować wprost pod lufy angielskich muszkietów. Był zły sam na siebie, że ma wątpliwości, ale wiedział już, że nie wszyscy Irlandczycy chcą, żeby Aodh Mór O'Néill był najpotężniejszym człowiekiem w ich kraju, nawet jeśli pochodził ze starego królewskiego rodu. Aodh Ruadh O'Domhnaill również mógł się pochwalić arystokratycznymi korzeniami, a jako rí Tir Chonaill nosił nawet tytuł małego króla, jednego z tych, którzy władali niegdyś Irlandią, a w niektórych regionach panowali do dziś. Tak właściwie Aodh Mór O'Néill i Aodh Ruadh O'Domhnaill byli konkurentami i tylko wojna z Anglią sprawiła, że nie walczyli ze sobą o władzę.

Z tymi niewesołymi myślami Ferdynand pierwszy wsiadł do łodzi. Gdy tylko usiedli, wiosłarze odbili od brzegu i chwycili za wiosła. Ferdynand uznał, że dwóch wiosłarzy na trzech pasażerów to za mało i miał ochotę pomóc. Nie było jednak drugiej pary wiosł, więc mógł jedynie siedzieć spokojnie jak Oisín i de Cazalla i patrzeć na brzeg. Spodziewał się, że w każdej chwili może tam ujrzeć w popołudniowym słońcu błysk angielskich muszkietów i usłyszeć huk wystrzałów. Wciąż znajdowali się w zasięgu strzałów i mogli oberwać.

Poczuł ulgę, gdy nic się nie wydarzyło, i już wkrótce zobaczyli przed sobą szare mury Cionn tSáile. Wiosłarze skierowali się do portu, a Ferdynand dostrzegł nawet maszty hiszpańskich statków, które tam cumowały.

Zaraz potem usłyszał gniewne pomruki Oisina.

- Czyli Aguila mógł załadować ludzi na statki i popłynąć do Sligeach, tylko pewnie za

bardzo się bał angielskiej floty i zimowych burz na morzu - powiedział Oisín po irlandzku, żeby de Cazalla nie mógł go zrozumieć.

- Słusznie! Jeśli dobrze zrozumiałem O'Néilla, do tego portu dotarła co najmniej połowa hiszpańskich statków - odpowiedział w tym samym języku Ferdynand.

- Bez ryzyka nie ma zwycięstwa! W każdym razie w ten sposób Aguila postawił nas, Irlandczyków, w trudnej sytuacji. Nasi wojownicy muszą teraz stanąć do otwartej bitwy z przeszkoloną piechotą. Popłynie dużo krwi, mój przyjacielu, możesz być tego pewien. Potrzeba nam będzie i pomocy niebios, i geniuszu dowódców, żeby wyjść z tej historii cało - przepowiedział Oisín ponurym tonem, gdy łódź zbliżała się do nabrzeża.

- Kim jesteście?! - krzyknął hiszpański wartownik.

De Cazalla natychmiast wstał, oparł się o burtę łodzi i pomachał do niego.

- Jestem don Luis de Cazalla i muszę pomówić z Jego Ekszelencją don Juanem de Aguila y Arellano.

Tymi słowami Hiszpan mianował się posłem O'Néilla, degradując Oisína i Ferdynanda do roli nieistotnych towarzyszy. Oisín znów zaczął gniewnie pomrukiwać, ale nie mógł poradzić na to, że hiszpańscy wartownicy zgięli się w ukłonie przed de Cazallą, a jemu i Ferdynandowi nie pozwolili nawet zejść na ląd.

- Hej, co to ma być?! - zawołał oburzony.

- To rozkaz Jego Ekszelencji don Juana de Aguila y Arellano. Żaden cudzoziemiec nie może wejść do miasta.

W przeciwnym razie Anglicy mogliby się dowiedzieć, jak zamierza bronić murów - wyjaśnił de Cazalla.

- Nie jestem Anglikiem, do diaska, tylko Irlandczykiem, waszym sojusznikiem! - Oisín podniósł głos, ale nie zrobiło to na Hiszpanie wrażenia.

De Cazalla zdecydowanym gestem wyciągnął rękę.

- Daj mi wiadomość od conte de Néill!

- Nie, do diabła! To mnie zlecono przedstawienie planu bitwy O'Néilla don Juanowi. Wszystko musi zostać dograne, bo w przeciwnym razie skończy się dla nas katastrofą. - Oisín mało nie pękł z wściekłości, lecz ich hiszpańskiemu towarzyszowi nie brakowało buty.

- Znam conte de Néilla lepiej niż wy, więc będę potrafił lepiej objaśnić plan Jego Ekszelencji. A wy poczekajcie, aż wrócę.

Z tymi słowami de Cazalla odwrócił się i wkroczył do miasta, podczas gdy Ferdynand i Oisín utknęli naprzeciw szóstki hiszpańskich piechurów, którzy zagrozili im opuszczonymi pikami.

Oisín użył chyba wszystkich irlandzkich przekleństw.

Podobnie jak Ferdynand był oburzony zachowaniem Hiszpanów. A przecież to tylko ich głupota sprawiła, że wylądowali tutaj, na południu wyspy, zamiast w obszarze kontrolowanym przez O'Neilla i jego sojuszników, niezmiernie komplikując sytuację.

5

Luisa de Cazalli nie było ponad pięć godzin, a po powrocie miał na dodatek czelność się pochwalić, że Juan de Aguila zaprosił go na kolację. Ferdynand, Oisín i dwóch wioślarzy nie dostali choćby łyka wody i, jak oznajmił mało uprzejmym tonem Oisín, musieli nawet szczać za burtę do portowego basenu, więc słowa Cazalli bardzo ich rozeźliły.

- Naprawdę nie wiem, czy Hiszpanie jako panowie Irlandii są na pewno lepsi od Anglików - stwierdził Oisín ponurym głosem.

Ferdynand wzruszył ramionami.

- Przynajmniej wyznają tę samą wiarę.

- To prawda, ale za to każdy z nich jest dwa razy bardziej napuszony niż angielski lord. Niech Bóg nas broni przed jednymi i przed drugimi!

Oisín się przeżegnał, a potem milczał aż do momentu, gdy w środku nocy znów znaleźli się w małej zatoczce, z której wyruszyli.

Wartownicy, którzy tam na nich czekali, okazali się, ku ich uldze, Irlandczykami. Jeden z nich od razu pobiegł powiadomić Aodha Móra O'Neilla o powrocie posłańców.

O'Neill czekał na nich trzech w swoim namiocie.

Wyjątkowo nie padało, ale było zimno, więc Ferdynand chętnie wypiłby kubek ciepłego miodu, jaki ich przywódca trzymał właśnie w ręku. Nikt jednak nie pomyślał o tym, żeby zaproponować cokolwiek jemu czy Oisínowi. O'Neill tylko patrzył na nich wyczekująco.

- Rozmawialiście z don Juanem. Co powiedział? Czy zgadza się na mój plan?

Oisín i Ferdynand milczeli rozeźleni, rzucając tylko wymowne spojrzenia na Luisa de Cazallę. Ten, odchrząknąwszy, zamarkował ukłon przed przywódcą powstania.

- Rozmawiałem z Jego Ekszelencją don Juanem de Aguila y Arellano i objaśniłem mu wasz plan. Zgadza się na niego poza pewnymi szczegółami.

- A jakie to szczegóły? - Tym razem Aodh Mór O'Neill zapomniał o grzeczności, gdyż całe godziny opracowywał ten plan i obawiał się trudności, jeśli Hiszpanie zażądadzą jakichkolwiek zmian.

- Jego Ekszelencja don Juan de Aguila y Arellano kazał przekazać, że wraz ze swymi

oddziałami opuści miasto Kinsale dopiero wtedy, gdy będzie miał pewność, że wasze oddziały już uderzyły na Anglików. Jego Ekscelencja obawia się, że heretycy mogliby spróbować podstępem przejąć miasto.

Luis de Cazalla przemawiał jak uczonego na akademii, jakby miał przed sobą jakiegoś durnego rekruta, a nie tak doświadczoną dowódcę jak O'Neill. Nie najlepiej wypadło też to, że określił Cionn tSáile angielską nazwą tego miasta.

Rudawa broda Aodha Móira O'Neilla zadrzała, gdy zaczął mówić, i widać po nim było, że najchętniej użyłby bardziej dosadnych słów. Nie zrobił tego jednak ze względów dyplomatycznych.

- Don Juan de Aguila musi rozpocząć swój wypad dokładnie w tym momencie, który określiłem. Jeśli nasze działania nie będą zgrane w czasie, damy Anglikom możliwość przygotowania się na atak i pokonania naszych kolumn jedna za drugą.

- Jego Ekscelencja don Juan de Aguila y Arellano zaatakuję dokładnie w tym momencie, który uzna za stosowny - rzucił ostatnie słowo de Cazalla.

O'Neill zrozumiał, że nie uzyska żadnej innej odpowiedzi, i zacisnął pięści. To on ze swoją armią śpieszył zimą przez pół kraju, żeby wesprzeć przybyłych Hiszpanów, a oni traktują go jak sługusa.

- Atakujemy jutro rano - zwrócił się do Oisina - i to tak, jak zaplanowano, w trzech kolumnach. Ja z pospolitym ruszeniem zajmę te wzgórza! - Palcem wskazującym pomknął przez mapę i zatrzymał się w pobliżu miasta. - Stąd zaatakuję środkowe siły Anglików. Nasza druga kolumna pod dowództwem O'Domhnailla zaatakuję tutaj, a trzecia w tym miejscu.

Jutro musimy pobić Anglików! Jeśli przegramy tę bitwę, nie będziemy już wolnymi ludźmi, tylko niewolnikami królowej, która w każdej chwili będzie mogła strącić nasze głowy jednym ruchem pióra, dokładnie tak, jak to zrobiła z biednym hrabią Essex.

- Zwycięzimy choćby po to, by pokazać tym napuszonym Hiszpanom, co potrafią Irlandczycy! - Oisín z gniewu aż zacisnął pięść, a potem uklonił się przed O'Neillem i poprosił Ferdynanda, żeby z nim poszedł.

- Może dostaniemy jeszcze coś do jedzenia. Od wczorajszego śniadania nic nie miałem w ustach! - To był kolejny przytyk wobec de Cazalla, któremu Oisín i Ferdynand nie poświęcili już ani chwili uwagi. Wyszli z namiotu O'Neilla i przy świetle pochodni udali się do tej części obozu, w której kwaterowali ich towarzysze.

Większość Ui'Corra już spała. Tylko Ciara, Saraíd, Aithil, Hufeisen i Ionatán czekali na ich powrót.

Ciara najpierw uściskała rękę brata, a potem Ferdynanda.

- Wróciliście szczęśliwie! Bardzo się bałam, odkąd się dowiedziałam, że O'Neill wysłał was do tamtego miasta.

- Nic nam nie jest! Tylko burczy nam w brzuchach.

Hiszpanie byli bowiem tak gościnni, jakby sami już dawno wszystko zeżarli. - Oisin usiadł przy ognisku, które już właściwie dogasało, i popatrzył ponuro w żar. - Jutro się dowiemy, czy O'Neill słusznie uczynił, prowadząc nas tak daleko na południe.

- A więc będzie bitwa. - Choć Ciara wiedziała, że do tego dojdzie, chwyciła się dłoni Ferdynanda, jakby chciała się czegoś przytrzymać.

Migoczące ognisko rzucało przedziwne cienie na jej twarz i wydała się Ferdynandowi piękna, a jednocześnie obca niczym jakaś królowa wrózek, które ponoć zamieszkiwały ten kraj.

- Uważaj na siebie! - mówiło jej spojrzenie, a on odruchowo przytaknął.

- Oczywiście!

6

Świtało już prawie, gdy ktoś obudził Ferdynanda, szturchając go w ramię. Otworzył oczy i zobaczył Toala z płonąca pochodnią.

- Zaczyna się? - zapytał chłopca.

- Anglicy! - powiedział Toal. - Opuścili swoje pozycje i ruszyli na nas.

- Co ty mówisz? - Ferdynand natychmiast się obudził.

Wyglądało na to, że wbrew przewidywaniom wróg zauważył ich marsz. Klnąc po cichu, zrzucił z siebie mokre okrycie, zerwał się i dwoma susami znalazł się przy Oisinie, którego Toal obudził jako pierwszego. - Co robimy?

Oisin otrząsnął z siebie resztki snu i wskazał na śpiących ludzi.

- Budzimy wszystkich i szykujemy się do walki.

Śniadania nie zdążymy zjeść, jeśli chcemy na czas dotrzeć na wzgórze.

- Czy trzy kolumny nie powinny zaatakować równocześnie? - zapytał Ferdynand.

- Aodh Mór O'Neill na pewno się postara, żeby tak było. W każdym razie nie będzie nas trzymać przy sobie, tylko wyśle znowu do miasta, żebyśmy kopnęli Hiszpanów w tyłki. Ale ja mam na to zbyt delikatne stopy. Niech don Luis to zrobi. My będziemy walczyć!

Po ostatnich słowach Oisin zaczął kolejno szturchać czubkiem buta swoich wojowników.

- Dalej, wstawać, lenie! - wołał. - Kto natychmiast nie chwyci za broń, temu wylejemy wiadro wody na głowę.

- Cóż, bardziej mokry niż teraz i tak nie będę! - mruknął Aithil, wskazując na swoją derkę, po której spływała woda.

- Jeśli pokonamy Anglików, od nich weźmiesz sobie suche okrycie - wtrącił Ionatán z krzywym uśmiechem.

- Które następnego dnia i tak przemoknie. Jest coś do żarcia? - Aithil się rozejrzył, lecz nikt dotąd nie rozpałił ognisk pod kociołkami, a teraz było już za późno.

- Mamy jeszcze trochę chleba! - zawołała Ciara.

Podobnie jak Saraid obudziło ją nagłe zamieszanie.

Pośpieszyła rozdzielać skromne zapasy pieczywa. Jeden z największych kawałków podała Ferdynandowi.

- Niech cię chroni Przenajświętsza Panienska - szepnęła.

- Ty też bądź ostrożna i niech Gamhain będzie przy tobie! Z nią będziesz bezpieczniejsza. Poza tym musicie się z Saraid przygotować na to, że trzeba będzie stąd uciekać - oznajmił w pośpiechu Ferdynand.

- Myślisz, że nie pokonacie Anglików? - zapytała przerażona Ciara.

- Wolę być przygotowany na wszystko. Tylko głupcy zdają się na przypadek albo łut szczęścia. Macie pieniądze? Nawet jeśli zwyciężymy, możemy zostać rozdzieleni. - Ferdynand przekazał Ciarze jeszcze kilka innych rad, których miała razem z Saraid posłuchać.

Nagle podszedł do niego Hufeisen i poklepał go w plecy.

- Macie się gotować, panie. Przybył właśnie posłaniec od O'Néilla z nowymi rozkazami.

- Dziękuję! Życz mi szczęścia! - Te słowa skierował do Ciary, która stała przed nim rozpaczliwie blada, załamując bezradnie ręce. Choć wierzyła w Ferdynanda, swojego brata i wszystkich Irlandczyków, którzy się tutaj zbrali, przeraził ją nieoczekiwany ruch Anglików, którzy nie zostali na swoich miejscach, tylko przejęli inicjatywę.

Ferdynand nie miał czasu, żeby się zastanawiać nad zachowaniem przeciwników. Przy pomocy Hufeisena uzbroił się do walki i przyłączył do hufca Ui'Corra, którzy szybkim krokiem wychodzili z lasu, zmierzając po chybottliwym gruncie bagniska ku wzgórzu, które Aodh Mór O'Néill chciał mieć koniecznie obsadzone.

Dołączały do nich setki irlandzkich wojowników i można by sądzić, że to wesola rywalizacja o to, który klan pierwszy wejdzie na szczyt, gdyby nie zacięte miny żołnierzy, trzymających w dłoniach miecze oraz piki i niosących na plecach okrągłe tarcze. Razem z nimi maszerowali muszkietrzy O'Néilla, lecz z ich broni ściekała woda i tylko nielicznym

udało się zapalić lonty.

„Mam nadzieję, że potrafią strzelać” - pomyślał Ferdynand. Z rosnącym zwątpieniem kroczył dalej, bo trzeba było dotrzeć na wzniesienie przed wrogami. Kątem oka spostrzegł Aodha Móra O’Néilla, który popędzał swoich ludzi z grzbietu olbrzymiego ogiera. Obok niego zjawił się ojciec Maitiú, niosąc wielki drewniany krzyż.

Znaleziono go po drodze w jednym ze zniszczonych klasztorów.

Zaraz potem Ferdynand zobaczył też Aodha Ruadha O’Domhnailla. Jego wojownicy zostali trochę w tyle za Ui’Néill, a pomiędzy nimi pojawiła się niewróżąca nic dobrego luka.

- Zaraz dotrzemy!

Głos Oisina sprawił, że Ferdynand znów popatrzył przed siebie. Tymczasem wschodzące słońce rozpędziło cienie nocy i mógł dostrzec Anglików, którzy szeroką kolumną ciągnęli ku nim od strony Cionn tSáile. Było ich cholernie dużo, a najgorsze było to, że wieźli ze sobą armaty.

Aithil się przeżegnał.

- Święty Pádraigu, spraw, żeby ich proch był mokry!

- A jeśli nie, to niech przynajmniej te świny chybują!

- zawołał Hufeisen, który zasapany pokonał ostatni odcinek na szczyt i przystanął obok Ferdynanda. - W każdym razie Anglicy muszą teraz wejść do nas pod górę, a to nam daje pewną przewagę - dodał, rzuciwszy okiem na wroga.

Ferdynand wytarł rękę o podbity futrem kaftan, który służył mu jako zbroja. Lecz materiał był tak samo przemoczony jak wszystko.

- Przynajmniej możemy odsapnąć parę chwil, podczas gdy oni będą się musieli tutaj wspinać.

- Pozostałe dwie kolumny powinny się szykować do walki! - Oisin popatrzył w stronę, w którą pomaszerowali ludzie Aodha Ruadha O’Domhnailla. Lecz tam nikogo nie było widać. Nie słyszeli też ani nie widzieli nigdzie trzeciej kolumny.

- Wygląda na to, że tańce rozpoczniemy sami! - Hufeisen splunął i wyciągnął swój krótki miecz, żeby się przygotować na pierwsze natarcie Anglików.

7

Aodh Mór O’Néill wiedział już, że atak nie przebiega tak, jak zaplanował. Choć przeciwnik był słabszy liczebnie niż zjednoczona armia Irlandczyków, to on sam stał naprzeciw przeważającym sił wroga. Wyglądało na to, że lord Mountjoy poprowadził przeciwko niemu całe swoje wojsko, nie przejmując się wcale Hiszpanami na swoich tyłach

ani dwiema pozostałymi irlandzkimi kolumnami. Najgorsze było to, że Mountjoy mógł w ten sposób osiągnąć sukces.

Zmartwiony O'Néill przywołał do siebie swoich oficerów.

- Gdzie się podziewa O'Domhnaill i pozostali? Jeśli natychmiast nie zaatakują, wróg nas otoczy, a my nie będziemy już mieli żadnej możliwości manewru.

Odpowiedziały mu wzruszenia ramion i pełne zakłopotania spojrzenia.

- Cholera! - wrzasnął. - Znajdźcie O'Domhnailla i przekazcie mu rozkaz ataku! A ktoś inny niech pędzi do miasta i powie tym przeklętym Hiszpanom, że muszą zrobić wypad.

Kilku ludzi natychmiast pobiegło, a pozostali patrzyli na Anglików, którzy posuwali się naprzód równymi szeregami. Nagle wrogi front się zatrzymał.

Muszkietierowie wystąpili dwa kroki do przodu, przyłożyli broń i wypalili. Grad ołowiu posypał się na szeregi Irlandczyków, którzy stanowili na wzgórzu łatwy cel.

- Do diaska, gdzie nasi muszkietrzy?! - ryknął O'Néill, bo nie słyhać było żadnej odpowiedzi.

- Większości zamókł proch - wyjaśnił jeden z oficerów.

- Ale Anglikom nie! - Aodh Mór O'Néill aż się zapienił z wściekłości. - Czy wy nie rozumiecie, że to jest decydująca chwila? Jeśli nas tutaj pokonają, Irlandia utraci wolność na zawsze!

- Atakujmy wreszcie! - wykrzyknął ojciec Maitiú. - Przenajświętsza Panienska i wszyscy święci są po naszej stronie. Ich błogosławieństwo pozwoli nam zwyciężyć.

O'Néill popatrzył na przeważające siły wroga i jego muszkietierów, którzy znów naładowali broń i oddali kolejną salwę. Znów padło wielu Irlandczyków, którzy nie byli w stanie odpowiedzieć na atak. Momentalnie podjął decyzję.

- Wycofujemy się, żeby nie mogli nas otoczyć. Gdy tylko dwie pozostałe kolumny uderzą na wroga, my też ruszymy i razem ich rozbijemy.

- Nie! Atakujemy! Bóg jest z nami! - Ojciec Maitiú porwał proporzec O'Néilla z rąk chorążego, a w drugą dłoń chwycił swój wielki krzyż. Dla ludzi wokół był to jednoznaczny sygnał, więc natychmiast ruszyli. - Naprzód, Irlandczycy, zniszczcie heretyków! - Okrzyk kapłana zagrzmiał nad szeregami wojska.

Ferdynand, Oisin i pozostali wojownicy nie mieli ze swojego stanowiska tak dobrego oglądu sytuacji jak O'Néill. Gdy zobaczyli, że ksiądz maszeruje na Anglików, a za nim coraz więcej żołnierzy, Oisin też wyciągnął miecz.

- Naprzód! - zawołał i pognął przed siebie. Ferdynand z Hufeisenem natychmiast za nim ruszyli.

- Wreszcie coś się dzieje! A czy na dobre, czy na złe, to się dopiero okaże - stwierdził Hufeisen ponurym tonem i schował głowę w ramiona, gdy kolejna salwa angielskich muszkietów trafiła ich oddział, dziesiątkując żołnierzy.

Żeby nie stanowić dłużej łatwego celu dla heretyckich kul, Irlandczycy zaczęli biec. Zanim jednak dotarli do szeregów wrogich piechurów, ci się ścięśli, by ich jazda mogła uderzyć przez powstałe luki. Kirasjerzy posuwali się równomiernym kłusem, z głowami, pierściami, nogami i rękoma osłoniętymi żelazem i z pałaszami w dłoniach. Jeden z nich podjechał do ojca Maitiú, który wyróżniał się z tłumu Irlandczyków, dzierżąc chorągiew i krzyż.

- Zgiń, nieczysty duchu, idź do pie...! - zawołał jeszcze ksiądz, zanim Anglik zamierzył się i zadał cios.

Przerażeni Irlandczycy patrzyli, jak głowa kapłana leci w powietrze i upada na ziemię parę kroków dalej. Jego ciało zrobiło jeszcze dwa, trzy kroki, a potem się osunęło, przygniatając sobą proporzec O'Néilla.

Dla Irlandczyków to był ostrzegawczy sygnał. Wciąż jednak stali jak zaczarowani, gdy jeźdźcy wpadli pomiędzy ich szeregi, zabijając jednego po drugim.

Hufeisen widział, jak kamraci wokół niego padają, prawie w ogóle się nie broniąc, więc rzekł do Ferdynanda:

- Nic z tego nie będzie, panie. Heretycy mogą nas łać, ile wlezie. Weźmy nogi za pas i sprawdźmy, czy da się stąd zwać.

- Mamy uciekać? - W pierwszej chwili Ferdynand chciał z oburzeniem odrzucić tę propozycję. Potem jednak zobaczył, że coraz więcej Irlandczyków zawraca i ucieka.

- Chyba masz rację! - wykrzyknął i zaczął się cofać krok za krokiem, odparowując ciosy atakujących Anglików.

Oisin, Aithil i inni Ui'Corra, którzy przeżyli pierwsze uderzenie Anglików, poszli za jego przykładem. Nadzieja, że uda im się wycofać w jakiś zorganizowany sposób, szybko jednak umarła, bo gdy tylko Anglicy zobaczyli, w jak kiepskiej sytuacji znajduje się wróg, zaczęli uderzać jeszcze mocniej, atakując każdego, kto jeszcze stał albo się choćby poruszał.

W końcu Irlandczycy rzucili miecze, tarcze i wszystko, co utrudniało bieg, i uciekali niczym zające.

Pośród tego chaosu Ferdynand napotkał Aodha Móra O'Néilla, który rozpaczliwie próbował zatrzymać swoich ludzi. Lecz daremnie. Nawet gdy tuż obok rozległ się sygnał do ataku, który świadczył o tym, że Aodh Ruadh O'Domhnaill i jego ludzie uderzyli na wroga, żaden Irlandczyk się nie zatrzymał. Uciekających dzielił od dającego schronienie skraju lasu

szeroki pas bagnistej ziemi, lecz angielscy jeźdźcy ścigali ich nawet tutaj.

Ferdynand biegł razem z całą gromadą, lecz nagle stanął jak wryty.

- Musimy biec do niewiast, bo zostały bez żadnej obrony! - zawołał do Hufeisena.

Ten natychmiast przytaknął.

- Łatwo nie będzie!

- Jeśli nie spróbujemy, nigdy się nie dowiemy! - odkrzyknął Ferdynand i skręcił w lewo.

Ui'Corra dalej biegli na oślep przed siebie i tylko Hufeisen ruszył za nim. Przebiegli kilkaset kroków, gdy Ferdynand usłyszał za sobą parskanie konia. Odwrócił się i przeraził, gdy spostrzegł, jak blisko znalazł się jeździec.

Najwyraźniej podkowy konia pochłonęło wcześniej bagnisko.

Anglik, wydawszy z siebie triumfalny okrzyk, uniósł pałasz do ataku. Ferdynand stał bez ruchu, jakby poraził go strach. Tak naprawdę czekał na swoją szansę i sam się dziwił, że ogarnął go taki spokój.

W momencie, gdy koń niemal napał na niego piersią, zboczył na krok, a pałasz Anglika minął go o włos.

Atakujący nie miał możliwości, by zadać kolejny cios, bo Ferdynand chwycił go i ściągnął z siodła. Kirasjer ciężko uderzył o ziemię, ale pomimo utrudniającego ruchu pancerza natychmiast próbował wstać. Ferdynand z całej siły kopnął go obcasem w głowę. Usłyszał chrupnięcie pod hełmem, a potem jęk, który szybko ucichł.

- To było bardzo lekkomyślne z waszej strony, panie Ferdynandzie. Powinniście go byli powalić mieczem - upomniał go Hufeisen, który schwytał rumaka Anglika.

- Gdyby moja broń ześlizgnęła się po jego pancerzu, mógłby wyprowadzić drugi cios. Nie mogłem ryzykować - odpowiedział Ferdynand i obejrzał się. Na szczęście gonił ich tylko ten jeden jeździec. Pozostali dalej pędzili za uciekającymi w małych grupkach Irlandczykami.

Hufeisen też się obejrzał i głęboko odetchnął.

- Wygląda na to, że mieliśmy cholernie dużo szczęścia i uda nam się uciec. Weźcie konia i jedźcie do pań.

Chrońcie je jak najlepiej!

- Będziemy je chronić razem. Dalej, wsiadaj! Ta szkapa jest dość silna, żeby udźwignąć nas obu. - Ferdynand wskoczył w siodło i wyciągnął rękę do Hufeisena.

Po krótkim wahaniu ten także wsiadł na konia, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na pole bitwy i potrząsnął głową.

- To był zdecydowanie najgorzej przygotowany i najgorzej przeprowadzony atak, w

jakim brałem udział jako żołnierz - stwierdził, chwytając się mocno Ferdynanda.

Ten popędził konia, by jak najszybciej dotrzeć do Ciary i Saraid.

8

Na zdobyczym koniu Ferdynand i Hufeisen dotarli do obozu przed większością uciekających. Niektórzy z irlandzkich szlachciców, którzy także dosiadali koni, próbowali w rozpaczliwym pośpiechu zebrać swoje rzeczy. Inni plądrowali namioty w poszukiwaniu odrobiny złota czy żywności, zanim się stamtąd oddalą.

Hufeisen rzucił okiem na cały ten zamęt i machnął ręką.

- Nie wierzę, żeby O'Néillovi udało się jeszcze raz zebrać armię. Powinien się cieszyć, jeśli zatrzyma przy sobie swój podstawowy hufiec. Inni znikną w nadziei, że jakoś się dogadają z Anglikami.

- Myślisz, że to już koniec powstania? - zapytał przerażony Ferdynand.

- Jestem o tym przekonany. W tym, co teraz nastąpi, nie odegramy już żadnej roli. Najlepiej zabierzcie pannę Ciare do swojej ojczyzny. Tutaj wy dwoje nie znajdziecie szczęścia.

Zabrzmiało to tak beznadziejnie, że Ferdynand miał ochotę złać swojego towarzysza. Potem jednak uznał, że Hufeisen jako żołnierz ma o wiele większe doświadczenie niż on i z pewnością lepiej potrafi ocenić sytuację.

Ważniejsze od spierania się z nim było odnalezienie obu niewiast.

Ferdynand, skierowawszy konia do tej części obozu, w której mieszkali Ui'Corra, zsiadł z wierzchowca. Nagle pojawił się jakiś mężczyzna, ściągnął Hufeisena z konia i sam chciał mu wskoczyć na grzbiet. Jednak Hufeisen mocno chwycił Irlandczyka i wymierzył mu tak siarczasty policzek, że napastnikowi aż krew trysnęła z nosa.

- Jak chcesz mieć szkapę, to zrzuć z niej sobie łaskawie jakiegoś Anglika, tak jak to zrobił pan Ferdynand - ryknął Hufeisen i zamierzył się po raz wtóry.

Irlandczyk natychmiast się ulotnił. Tymczasem Ferdynand zaczął wołać Ciare. Ale nikt mu nie odpowiadał.

- Gdzie one mogą być? - zapytał zrozpaczony.

Hufeisen trzymał konia na krótkiej wodzy, żeby go przypadkiem nie stracili, i rozglądał się wokół.

- Może już uciekły? - zasugerował.

Wtedy Ferdynand dostrzegł pomiędzy drzewami jakąś postać, która energicznie do niego machała.

- Tam są! - wykrzyknął i pośpieszył w tamtym kierunku.

Hufeisen ruszył za nim, prowadząc konia, musiał jednak wyjąć miecz, żeby powstrzymać paru takich, którzy mieli chrapkę na wierzchowca.

- Zwiewać stąd! Gdybyście walczyli tak, jak się należy, nie musielibyście teraz uciekać jak króliki! - wrzasnął na Irlandczyków.

Hufeisen wciąż walczył z jednym z nich, który za nic nie chciał zrezygnować, gdy Ferdynand dotarł do Ciary i wziął ją w ramiona.

- Wreszcie cię znalazłem!

- Czy z tobą wszystko dobrze? Tak? Och, Święta Maryjo, dzięki ci za to! - Ciara pocałowała go, lecz potem zaczęła się rozglądać. - A gdzie mój brat i inni?

- Zostaliśmy rozdzieleni! Potem udało mi się zabrać konia angielskiemu kirasjerowi. Pozostali dotrą tu później.

- Panie Ferdynandzie, jeśli dłużej będziecie flirtować z panną, zamiast mi pomóc, to tej chabety zaraz nie będzie, a my zostaniemy z pustymi rękoma! - wrzasnął Hufeisen w ostatniej chwili.

Ferdynand odwrócił się i zobaczył, że na jego towarzysza naciera trzech Irlandczyków łąsych na konia.

Dwoma susami znalazł się obok Hufeisena i zaczął okładać napastników płazem miecza.

- Zmiatać stąd! - ofuknął ich, grożąc im bronią.

Ciara poszła za nim i gdy tylko Irlandczycy uciekli, chwyciła go za rękę.

- Czy bitwa rzeczywiście tak źle nam poszła, jak mówią ludzie?

- Bitwa? - Hufeisen gorzko się roześmiał. - Tam nie było żadnej bitwy, panno Ciaro, tylko strzelanie do kaczek, z tym że to Anglicy strzelali, a my byliśmy kaczkami. Atak Anglików tak pokrzyżował szyki O'Neill'a, że wszystko, co tylko mogło, poszło źle. Powiedźcie mi jednak, gdzie pani Saraid? Mam nadzieję, że nie uciekła sama?

- Oczywiście, że nie! Czeka na mnie w lesie. Chodźcie!

Choć Ciara raz po raz oglądała się za Oisinem i innymi Ui'Corra, rozumiała, że nie mogą zwlekać. Wkrótce do obozu dotrą Anglicy i zabiją każdego, kogo w nim jeszcze zastaną.

Poprowadziła Ferdynanda i Hufeisena w zarośla na skraju obozu. Tam zobaczyli Saraid.

Siedziała obok stosu chrustu, pod którym z bliska dostrzec można było skórzane sakwy. W torbach znajdowało się wszystko to, co razem z Ciarą zdołały pośpiesznie zebrać.

Obok Saraid stała Gamhain, która błyskała zębami na przemykających obok Irlandczyków i groźnie warczała.

- Przynajmniej wy dwaj wróciliście - powitała ich głosem, w którym słyhać było strach i przerażenie.

A potem zobaczyła konia i z ulgą pokiwała głową.

- Bardzo dobrze! Mając konia, możemy zabrać wszystko, co udało nam się zabezpieczyć. Dalej, pomóżcie mi ładować!

Odsunęła chrust i podniosła pierwszą sakwę.

- Co to jest? - zapytał zdziwiony Ferdynand.

- Całe jedzenie, jakie udało nam się zgarnąć, gdy nadeszły wieści, że bitwa przegrana. Przed nami daleka droga, a uciekający żołnierze i tak nie zdołaliby zabrać swoich rzeczy.

W gruncie rzeczy obie niewiasty splądrowały swój własny obóz, ale w przeciwieństwie do większości tych, którzy coraz liczniej uciekali do lasu, myślały przede wszystkim o żywności, a nie o paru srebrnych talarach czy pucharach należących do szlachciców.

Ferdynand pochwalił je za to w duchu. Czekala ich długa i ciężka droga, nie mogli stukać do obcych drzwi, by prosić o jedzenie. Lord Mountjoy na pewno wyraźnie dał już Irlandczykom do zrozumienia, czym się kończy pomaganie powstańcom, a mianowicie wypędzeniem z domów i pól, a często nawet śmiercią.

Hufeisen pomógł Saraid szybko obładować konia, więc wkrótce i oni mogli zniknąć w lesie. Ferdynand wahał się jednak, raz po raz zerkając na obóz. Nagle wydał z siebie okrzyk ulgi.

- Widzę Oisina!

- Gdzie? - Ciara powędrowała wzrokiem tam, gdzie wskazywał ręką Ferdynand. I rzeczywiście spostrzegła tam swojego brata. Aithil szedł obok niego, trzymając się za rękę, natomiast Oisín nie wyglądał na rannego. Było przy nich mniej więcej dziesięciu żołnierzy z pięćdziesiątki, z którą wyruszyli z Ulsteru.

- Oisinie, tutaj jesteśmy!

Na głos Ciary Oisín się odwrócił, zobaczył ją i podbiegł.

- Bogu niech będą dzięki, że was znaleźliśmy. Ale teraz szybko uciekajmy! Anglicy deptali nam niemal po piętach, a oni nie biorą jeńców.

Dopiero wtedy spostrzegł Ferdynanda i wziął go w ramiona.

- Myślałem, że już was straciliśmy.

- Pobiegliśmy w inną stronę, a przy okazji pan Ferdynand zdobył tego pięknego

rumaka. To bardzo dobrze, nie będziemy musieli dźwigać naszych rzeczy. Ale co z pozostałymi? Czy naprawdę tak niewielu zdołało umknąć? - Na twarzy Hufeisena widać było przerażenie.

Przecież przed paroma miesiącami Oisín dowodził ponad setką wojowników. Trudno było uwierzyć, że zostało mu tak niewielu.

- Mam nadzieję, że innym też udało się przeżyć. Ale oni będą musieli na własną rękę przedrzeć się w ojczyste strony. Nie możemy czekać. - Oisín zadrżał, jakby miał gorączkę. Opanował się jednak i dał znak do wymarszu.

- Co robimy? - zapytała przygnębiona Ciara.

Jej brat wypuścił powietrze przez zęby.

- Najpierw biegniemy, ile sił w nogach, żeby Anglicy nas nie dopadli. A potem przedzieramy się przez Irlandię, aż dojdziemy do domu, pakujemy wszystko i uciekamy do starej wieży w Tir Chonaill. Mając tak niewielu ludzi, którzy mi zostali, nie zdołam utrzymać doliny Ui'Corra.

Miejmy nadzieję, że nad samym morzem Anglicy zostawią nas w spokoju. Nie pozostaje nam nic innego.

Podczas ucieczki Oisín zgubił pochwę, zarzucił więc swój miecz na ramię i zaczął zagłębiać się w las.

Towarzyszący mu ludzie ruszyli za nim w niemal całkowitym milczeniu, ponieważ każdy zdawał sobie sprawę, że spotkanie z angielskim patrolem oznaczałoby ich koniec.

9

Bitwa pod Cionn tSáile, które Anglicy nazywali Kinsale, zmieniła wszystko. Za jednym zamachem pogrzebane zostały nadzieje Irlandczyków na wolność ich wyspy i wolność ich wyznania. Podczas gdy niedobitki armii zgromadzonej przez Aodha Móra O'Néilla przedzierały się na północ, wieść o ich klęsce szybko się rozniosła, docierając także do Léana. Szymon von Kirchberg wciąż zarządzał miastem w imieniu Oisina, lecz po kryjomu negocjował już sojusz z Ryszardem Haresgillem.

Gdy Deasún O'Corraidh pojawił się w mieście, z uśmiechem podając Szymonowi dokument z pieczęcią i podpisem lorda Mountjoya, Niemiec zrozumiał, że przyszedł czas na działanie. List zawierał właściwie tylko informację, że Karol Blount, ósmy baron Mountjoy, odniósł miażdżące zwycięstwo nad irlandzkim buntownikiem Hugh O'Neillem oraz zmusił hiszpańskie oddziały pod dowództwem Juana de Aguilii do opuszczenia Irlandii.

- To dobra wiadomość, sir! Jego lordowska mość polecił wam przekazać, że chce teraz zająć Léana. Dzięki temu uzyska spory kawałek tortu, który będzie potem do podziału. To leży także w waszym interesie - oznajmił z krzywym uśmiechem Deasún O'Corraidh.

Szymon von Kirchberg przeczytał list po raz drugi, lecz jego treść pozostała taka sama. Choć takie wieści często przedstawiano w przesadny sposób, to nawet gdyby odjął połowę, klęska Irlandczyków i tak byłaby druzgocąca.

Jeśli teraz nie zmieni strony dostatecznie szybko, potem może być już za późno, pomyślał i popatrzył na Deasúna.

- Muszę pilnie pomówić z sir Ryszardem!

- Jego lordowska mość już to przewidział. Oczekuje was dziś po południu przy starej karczmie na drodze do Enniskillen[41].

Choć Deasún O'Corraidh był Irlandczykiem, użył angielskiej nazwy sąsiedniego miasta, żeby Kirchberg wiedział, o co chodzi.

Ten otarł twarz dłonią, a potem skinął głową.

- Przekaż sir Ryszardowi moje pozdrowienia i powiedz mu, że będę tam o umówionej porze.

- Jego lordowska mość będzie zachwycony. - Deasún O'Corraidh uklonił się i opuścił komnatę w doskonałym nastroju.

Zaraz potem pomyślał, jak bardzo zmieniła się jego sytuacja, od kiedy Haresgill po raz pierwszy posłał go do Szymona von Kirchberga. Teraz w Léana nie było żadnych Ui'Corra, którzy widzieliby w nim zdrajcę i mogli pozbawić go głowy. Ci, którzy stanęli na nogi, zostali odesłani przez Kirchberga z powrotem do ich doliny, a tych, którzy pomarli, pochowano na pobliskim cmentarzu. W każdym razie Deasún uznał, że jego usługi są cenne zarówno dla Haresgilla, jak i dla Kirchberga, więc postanowił, że w odpowiednim momencie przypomni o tym obu panom.

Szymon von Kirchberg także się zastanawiał, jakiej nagrody zażądać od Haresgilla. Za pokojowe przejście miasta chyba będzie gotów dać mu jakiś spory majątek z paroma tuzinami dzierżawców.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że padł ofiarą kwiecistego stylu Deasúna O'Corraidha, który określał Ryszarda Haresgilla mianem jego lordowskiej mości, choć ten był najzwyczajszym szlachcicem. Haresgill zdecydowanie nie był na tyle wysoko postawioną osobą, by mógł wedle uznania rozdawać majątki w Irlandii. Lecz tak właśnie sądził Szymon von Kirchberg i oczyma wyobraźni już widział siebie, jak w przepysznym stroju zostaje przedstawiony królowej, która wita go z wielką łaskawością.

Jednakże nadzieje i marzenia nie sprawiły, by zapomniał o tym, co tu i teraz. O umówionej godzinie wyruszył w drogę. Ponieważ żaden z jego żołnierzy nie był wprawnym jeźdźcem, kazał osiodłać konia dla sir Jamesa Mathisona. W końcu ten młody człowiek był synem potężnego angielskiego lorda, a Szymon chciał sobie zapewnić także jego przychylność.

Po drodze konwersował z Mathisonem, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Z każdym jednak jardem, który przybliżał ich do starej karczmy, rosło w nim napięcie.

Karczma stała tuż nad rzeką i otaczały ją wysokie dęby.

Kiedyś zaglądali do niej szyprowie i woźnice. Karczmarz uciekł na samym początku powstania; od tamtej pory budynek stał opuszczony. Dach z trzciny przegnił i w kilku miejscach się pozapadał. W murowany komin od frontu uderzył piorun. Pokruszone kamienie leżały we wnętrzu ruiny, a pomalowane niegdyś na zielono drzwi kołysały się na wietrze, głośnie skrzypiąc.

Szymon nie widział żadnych koni, tylko łódkę, którą nieopodal wyciągnięto na brzeg. „Najwyraźniej Ryszard Haresgill wybrał szlak wodny. Ale gdzie on jest?” - zastanawiał się Szymon, gdy jakaś postać oderwała się od ściany lasu. Sir Ryszard w brązowym kaftanie z kryzą, w szerokich pumpach i w butach z cholewami podszedł do Szymona i poczekał, aż ten zsiądzie z konia. Towarzyszyli mu Deasún O’Corraidh oraz dwóch angielskich żołnierzy.

- Cieszę się, że was widzę, sir - powiedział na powitanie.

Szymon wykonał zamaszty ukłon.

- Cała przyjemność po mojej stronie, wasza lordowska mość.

Zadowolony z użytego tytułu Haresgill łaskawie skinął głową. Wciąż żywił nadzieję, że za swoje czyny w Irlandii rzeczywiście dostanie od królowej arystokratyczny tytuł. Najpierw jednak musiał przejąć Léana.

Już zacierał w duchu ręce, opanował się jednak i wskazał na ruiny karczmy.

- Gospoda jest, co prawda, tak samo podupadła, jak niemal wszystko tutaj w Irlandii, ale moi ludzie przygotowali już stół. Zabraliśmy też piwo i dzin, żeby nam się lepiej rozmawiało.

- Z chęcią napiję się czegoś dobrego. - Szymon uśmiechem starał się zamaskować swoje zdenerwowanie.

Najbliższa godzina zdecyduje o tym, czy pozostanie prostym najemnym dowódcą, czy też przewyższy rangą swojego stryja Franciszka i kuzyna Andrzeja. To, że w tym celu musi zdradzić katolicką wiarę, uznał za nieistotny drobiazg.

Deasún O’Corraidh przytrzymał drzwi dla obu panów.

Potem wyjął ze stojącego w rogu koszyka butelkę oraz dwa kubki i nalał do pełna.

- Za wasze zdrowie, von Kirchberg! - zawołał Haresgill.

- Za zdrowie waszej lordowskiej mości! - odpowiedział Szymon i z przyjemnością wypił piwo o kremowym smaku.

- To zupełnie inny trunek niż irlandzki miód - powiedział i mrugnął do Haresgilla. - Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł zapisywać swoje nazwisko po angielsku. Sir Szymon z Mountchurch brzmiałoby niezłe, jak sądzicie?

Haresgill roześmiał się cicho.

- Mnie się podoba. Ale z tego „z” będziecie musieli zrezygnować. To są kontynentalne obyczaje. Jeśli już, to będziecie sir Szymonem Mountchurch skądś tam, mianowicie z majątku, który obejmiecie w posiadanie.

Te słowa były niczym miód dla uszu Szymona.

- A więc postanowione, że za wierność Anglii otrzymam irlandzką ziemię?

- Nie mam nic przeciwko temu! - oznajmił z pewnością siebie Haresgill. - Gdy tylko ten nędzny O'Neill i jego kompan O'Donnell w końcu zostaną pokonani, będzie tutaj do podziału bardzo dużo ziemi. Dlaczego nie mielibyście otrzymać swojej części? Jednakże - pohamował się nieco - będziecie musieli w tym celu udać się do Londynu, na dwór Jej Królewskiej Mości, bo tylko ona może potwierdzić nadanie ziemskie.

- Czy taka podróż naprawdę jest konieczna? - zapytał Szymon. - Przecież Elżbieta może złożyć podpis i pieczęć na odpowiednim dokumencie i wysłać go tutaj przez posłańca.

W tym momencie Haresgill powinien był odkryć karty i wyjaśnić, że on sam nie ma uprawnień, by rozdawać ziemię. Lecz pragnienie zemsty na Oisinie O'Corze i jego klanie rozwiało wszelkie wątpliwości.

- Mój drogi panie, w Anglii nie można zostać szlachcicem bez osobistego otrzymania od Jej Królewskiej Mości odpowiednich dokumentów.

Niepojawienie się na dworze byłoby wielką niegrzecznością.

Szymon się poddał.

- Dobrze, w takim razie pojedę do Londynu, gdy tylko przekażę miasto waszej lordowskiej mości.

Haresgill potrząsnął głową.

- Tak szybko to się nie da. Muszę najpierw wysłać kilka listów do członków rady wojennej, a także do sir Roberta Cecila, sekretarza Jej Królewskiej Mości, by utorować drogę nadaniu wam ziemi. Do tego momentu bądźcie łaskawi pomóc mi w uporaniu się z pewną pilną sprawą.

- Jeśli tylko mogę się przysłużyć, bardzo chętnie. - Szymon był gotów na wiele, by Haresgill czuł się wobec niego zobowiązany.

- Chodzi o Oisina O'Corrę. Nie otrzymałem wieści, czy przeżył bitwę pod Kinsale, jednak taki człowiek jak on ma zapewne kilka żywotów, niczym kot. Dopóki przebywa pośród żywych, stanowi dla mnie nieustające zagrożenie. Powinniście wiedzieć, że Irlandczycy nie są tacy, jak inni ludzie. Człowiek rozsądny wie, kiedy przegrał, i potrafi się z tym pogodzić. Ale Irlandczycy potracili rozumy od życia na tej odległej, położonej na krańcu świata wyspie. Można ich bić ile wlezie, ale oni ciągle się buntują. Spokój można mieć dopiero wtedy, gdy się ich zabije.

- Czyli chcecie, żeby Oisín O'Corra zginął! - Szymon pomyślał przez chwilę o tym, że kiedyś nazywał tego człowieka swoim przyjacielem, a na kontynencie wypił z nim nawet bruderszaft. Jeśli jednak chciał iść swoją drogą, nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. W końcu według Oisina O'Corry nie był dość dobry, żeby dostać jego siostrę.

Gdy Szymon o tym rozmyślał, Haresgill mówił dalej:

- Dopóki Oisín O'Corra żyje, muszę się liczyć z tym, że wróci i podpali mi dach nad głową albo dopuści się zamachu na moje życie. Trzeba go usunąć. Ale Irlandczyka równie trudno złapać jak węgorza gołą ręką.

Szymon wyczuł jego strach i pomyślał, że powinien to wykorzystać.

- Byłbym gotów pomóc waszej lordowskiej mości w ostatecznym pozbyciu się Oisina O'Corry, jeśli uzyskam za to spory kawałek ziemi albo brzęczącą monetę.

- Wpłynę na jej królewską mość, byście otrzymali tyle ziemi ile tylko możliwe.

Taka obietnica nie kosztowała Haresgilla wiele, zaledwie parę zdań, które będzie musiał napisać i wysłać na dwór do Londynu. Przypisywał sobie wielki udział w stłumieniu irlandzkiego powstania, więc nie przyszło mu do głowy, że królowa mogłaby mu odmówić. Choć Kirchberg prawdopodobnie dostanie mniej ziemi, niż pragnie, jego to zupełnie nie obchodziło.

- Wasza lordowska mość powinien jak najszybciej przejąć miasto, a potem ruszyć do doliny O'Corrów, zanim Oisín powróci z południa i zdąży się tam umocnić - zasugerował Szymon.

Haresgill zmierzył go pełnym irytacji wzrokiem.

- Jeśli to zrobię, ten lis wyczuje pułapkę i przedrze się do Francji albo do Hiszpanii. Wtedy do końca życia będę się obawiał, że albo sam wróci, albo pośle do mnie skrytobójcę.

- Pozwólcie uciec jego ludziom, którzy wciąż są na zamku, wtedy będzie musiał się o nich zatroszczyć. A ja wiem, gdzie ich poprowadzi - odparł Szymon z uśmiechem.

Haresgill popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Słyszałem o jakiejś starej wieży na wybrzeżu Donegal, która należy ponoć do O'Corrów. Ale gdzie ona dokładnie jest, tego nie wie nikt.

- Ja wiem! Przed kilkoma laty byłem tam w gościnie i trochę się rozejrzałem. Wieża jest dobrze ukryta, ale jestem pewien, że ją znajdę.

Szymon von Kirchberg uśmiechnął się zadowolony.

Wyglądało na to, że zdoła wykorzystać sir Ryszarda Haresgilla do swoich celów. Zaraz potem omówili przejęcie miasta i wspólnie uradzili, co należy czynić dalej.

Gdy żegnał się z Haresgillem, robił to z poczuciem, że znalazł dobrego przyjaciela i sojusznika.

W drodze powrotnej chciał pogadać z Jamesem Mathisonem, lecz ten milczał, patrząc tępo przed siebie.

Choć był Anglikiem, nie w smak mu była tak jawna zdrada Niemca wobec jego dotychczasowych sprzymierzeńców.

Szymon miał więc czas, żeby pomyśleć o swojej przyszłości. Najpierw pośmiał się w duchu z Haresgilla, który boi się irlandzkich skrytobójców, potem jednak musiał przyznać, że sam znajdzie się w podobnej sytuacji, kiedy wyjdzie na jaw, że zdradził Oisina O'Corrę. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie o jego wkładzie w upadek Oisina. Mimo to czuł jakiś niepokój, który nie chciał go opuścić.

Musiał być jakiś sposób, żeby nie stał się w oczach Irlandczyków wrogiem, tylko kimś, kto co prawda został angielskim poddanym, ale wciąż żywi do nich sympatię.

Po chwili wpadł na dobry pomysł. Jeśli uda mu się go zrealizować, na zawsze pozostanie dla Irlandczyków szlachetnym człowiekiem i zbawcą w potrzebie, a jednocześnie ostatecznie pokaże swojemu kuzynowi Ferdynandowi, gdzie jego miejsce.

10

O ile James Mathison, pełen ideałów młody człowiek, potępiał postępowanie Szymona von Kirchberga, o tyle Humphrey Darren, były komendant miasta, był zachwycony tym, że zamieni status jeńca na status wolnego angielskiego szlachcica. Ostatnie przemyślenia skłoniły jednak Szymona do modyfikacji planu przekazania miasta.

Zgodnie z ustaleniami Ryszard Haresgill pojawił się pod miastem ze swoim oddziałem, twierdząc, że jest zaledwie szpicą wielkiej armii. Siedząc na koniu z mieczem w dłoni przed zamkniętą bramą miasta, zażądał od Szymona, by natychmiast oddał mu Léana.

- Jeśli dziś po południu przy trzecim uderzeniu dzwonów bramy miasta nie zostaną

przede mną otwarte, zaatakujemy, a wszyscy Irlandczycy i żołnierze, którzy będą wewnątrz, zostaną bez litości zabici. Léana zostanie splądrowane i spalone, by stało się dla wszystkich Irlandczyków symbolem tego, że bunt i popieranie buntu pociągają za sobą najsrozsze kary.

Jego słowa brzmiały niczym cytat ze sztuki Williama Szekspira.

Szymon stał na murach i z udawaną rozpaczą słuchał grózb Haresgilla.

- Wasza lordowska mość, czy mogę prosić o czas na naradzenie się z moimi oficerami i przedstawicielami mieszkańców miasta?

- Macie czas do trzeciego bicia dzwonów. Jeśli miasto do tej pory nie otworzy bram, zostanie zniszczone.

Po tych słowach Haresgill wsunął miecz z powrotem do pochwy i zawrócił wraz ze swoimi żołnierzami.

Zanim jeszcze umilkł stukot kopyt, przerażeni mieszczanie podbiegli do Szymona i na kolanach zaczęli go błagać, żeby zgodził się na warunki Anglików.

- Sir, jeśli nie poddacie miasta, oni nas wszystkich zabiją, a kobiety okrutnie zgwałcą!
- wykrzyknął pastor, którego pozostali wyznaczyli na swojego rzecznika, choć w większości wyznawali katolicyzm.

Szymon, udając oburzenie, potrząsnął głową.

- To miasto powierzył mej pieczy Oisín O'Corra.

Tylko na jego rozkaz mógłbym je poddać!

Zrozpaczony pastor załamał rękę.

- Sir, Oisín O'Corra mógł już dawno polec pod Kinsale!

- W takim razie potrzebuję dowodu jego zgonu - odparł szorstkim tonem Szymon.

- Ależ sir, za murami stoją setki angielskich żołnierzy, a sir George Carew nadciąga z kolejnymi oddziałami.

Takiej armii nie oprzecie się ze swoimi żołnierzami.

Pomyślcie o swoich ludziach! Mają zginąć, bo chcecie dochować wierności Oisínowi O'Corze za wszelką cenę?

Pastor prawie się rozplakał. Choć był protestantem, bał się żołnierzy, którzy mieli oblegać miasto. Jeśli wojaków nikt porządnie nie przypilnuje, będą zagrożeniem także dla niego i jego rodziny.

Szymon udawał, że głęboko się namyśla. W końcu zwrócił się do dwóch podoficerów, którzy mu zostali.

- A co wy myślicie?

Mężczyźni niespokojnie przestępowali z nogi na nogę.

Umierać nie chciał żaden z nich, ale nie chcieli też wyjść na tchórzy.

- Cóż, panie von Kirchberg, może powinniście pertraktować z sir Ryszardem, żeby oszczędził miasto i pozwolił nam odejść z honorami - powiedział w końcu jeden z nich.

- Skoro tak sobie życzyacie, ulegnę mu! - Po tych słowach Szymon odwrócił się i wspiął z powrotem na mury. Gdy tam dotarł, zobaczył, że w pobliżu wałęsał się Deasún O'Corraidh, który czekał na uzgodnioną wcześniej odpowiedź dla Haresgilla.

- Przekażcie jego lordowskiej mości, że jestem gotów poddać mu miasto. Ma się to jednak odbyć z wszelkimi honorami, tak by dzielnym mieszkańcom tego miasta nic się nie stało i bym ja mógł ze swoimi ludźmi bezpiecznie odejść.

- Przekażę - obiecał Irlandczyk z krzywym uśmiechem i pobiegł.

- Jesteście, panie, dzielnym wojownikiem i czcigodnym panem! - zawołał z ulgą pastor, który poszedł za Szymonem na mury.

- Nałożyliście na mnie wielki ciężar! - oznajmił Szymon z miną cierpiętnika, choć był zadowolony.

Wszyscy świadkowie poddania Léana Anglikom będą mogli potem potwierdzić, że zgodził się na kapitulację tylko ze względu na swoją odpowiedzialność za mieszkańców miasta.

Nie minęła godzina, gdy sir Ryszard Haresgill wjechał do miasta przez otwartą bramę na czele swojego oddziału.

Anglicy, którzy tu mieszkali, oraz Irlandczycy, którzy ich popierali, wiwatowali na cześć żołnierzy, a niektóre młode dziewczęta witały ich nawet kwiatami.

Mieszkańcy z ulgą czekali na rynku na wkraczających żołnierzy, natomiast miny angielskich wojaków wskazywały, że woleliby wziąć miasto szturmem, a potem do woli plądrować i gwałcić. A tak mogli liczyć jedynie na to, że ktoś poczęstuje ich kubkiem wina.

Ich dowódcy, a także Szymonowi von Kirchbergowi, uczucia prostych ludzi były obojętne. Odegrali pierwszą część przedstawienia, które miało doprowadzić do zguby Oisina O'Corrę i cały jego klan.

11

Wiść o klęsce dotarła także do doliny Ui'Corra.

Zdrzutany Buirre natychmiast wypił na pociechę kilka kubków miodu, natomiast w głowie Bríd myśli aż wirowały. Nie знаła się na wojaczce, czuła jednak, że z sześcioma ludźmi nie zdołają utrzymać ani zamku, ani otaczającej go ziemi.

Buirre był już pijany, więc poszukała Seachlanna.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.
- Pewnie znowu jakaś bzdura - odparł lekceważąco wojownik.
- Wiesz już, że nasi zostali pokonani na południu?
- Tak, wiem - warknął Seachlann niczym pies łańcuchowy.
- Wierzysz w to? - zapytała.
- Myślisz, że to może być kłamstwo Anglików, żeby nas wystraszyć?

Bríd wzruszyła ramionami.

- Nie wiem! Ale ta wiadomość nie wyglądała na podstęp.

- A więc w to wierzysz! - Seachlann odetchnął głęboko i popatrzył na nią uważnie. - Ja także, bo znam człowieka, który nam o tym powiedział. Nie walczy, ale skrycie nam sprzyja. Poza tym miał przy sobie pismo z pieczęcią lorda Mountjoja, który przechwalał się zwycięstwem nad naszymi oddziałami. Ten Sasanach nie robiłby tego, gdyby został pokonany.

- W takim razie musimy coś przedsięwziąć! - wykrzyknęła zrozpaczona Bríd.
- Co takiego?

- Nie możemy zostać w dolinie. Zanim Oisín wróci tutaj z naszymi ludźmi, miną całe tygodnie. A Ryszard Haresgill ze swoimi oddziałami jest dwa, trzy dni marszu stąd. Gdy się dowie, że O'Neill został pokonany, w pierwszej kolejności przyjdzie tutaj. Myślisz, że w sześciu dacie radę setce ciężkozbrojnych Anglików?

Rozpaczliwy apel Bríd podziałał. Seachlann nerwowym gestem potarł sobie brodę i popatrzył w dal.

- Bardzo możliwe, że Haresgill skorzysta z okazji. Już od dawna się obawiałem, że wykorzysta nieobecność naszych wojowników i zaatakuje. Ale najwyraźniej czekał na wieści z południa i na wynik bitwy. Gdyby nasi wygrali, miałby przeciwko sobie armię złożoną z wielu klanów, a wtedy by nie ryzykował. Ale teraz nic go już nie powstrzyma.

- Jeśli tu zostaniemy, padniemy ofiarą jego żołnierzy.

A ja nie chcę, żeby mnie czy innej kobiecie przydarzyło się to, co Maeve. Marnie potem skończyła.

Seachlann rzucił jej pytające spojrzenie.

- To co, według ciebie, powinniśmy zrobić?

- Przenieść się z powrotem do Tir Chonaill. Stara wieża, w której dawniej mieszkaliśmy, leży z dala od wszystkich dróg, a Anglicy nie wiedzą, gdzie ona jest.

Tam będziemy bezpieczni i będziemy mogli czekać na naszych przyjaciół. Oisín na pewno pomyśli, że Haresgill zajął dolinę i skieruje się od razu tam.

- Jeśli w ogóle żyje! - wtrącił ponurym tonem Seachlann.

- Jeśli nie żyje, to tym bardziej powinniśmy się tam udać. I to jak najszybciej, zanim Haresgill stanie pod bramą. Nie ścierpię tych angielskich łotrów, prędzej się zabiję niż ich do siebie dopuszczę, choćbym miała trafić za to do piekła.

Roztrzęsiona Bríd z trudem walczyła ze łzami, gdy myślała o tym, co się przydarzyło Maeve. Uważała, że tamta postradała zmysły przez niegodziwość Anglików, a potem zaraziła tym szaleństwem Buirre'a.

- W takim razie powinniśmy niedługo wyruszyć. Z tym że niewiele możemy ze sobą zabrać. - Seachlann wyraził na głos swoje wątpliwości.

- Parę krów, dwa konie, które nam zostały, i trzy osły.

Trochę na nie załadujemy i to musi wystarczyć. Ale to ty musisz wydać rozkaz - nalegała Bríd.

Seachlann pokręcił głową.

- Buirre musi to zrobić! Ja jestem tylko jego zastępcą.

- Buirre jest zbyt pijany!

- Mimo to będzie się gniewał. - Seachlannowi wcale się nie podobało, że miałby pominąć swojego przyjaciela i dowódcę, ale Bríd tylko machnęła lekceważąco ręką.

- Powiemy mu po prostu, że to rozkaz Oisina. Poza tym wystarczy, że przywiążemy beczkę miodu do grzbietu osła, a Buirre już sam za nim popędzi.

- A był kiedyś takim wesołym i dzielnym człowiekiem - powiedział przygnębiony Seachlann.

Wypuścił głośno powietrze i skinął głową.

- Zaczynaj się już pakować! Powiem ludziom, że wyruszamy. Kto z dzierżawców i parobków zechce, może iść z nami. Nikomu nie odmówię.

Oboje rozumieli ciężar podjętej decyzji. Po raz drugi w ciągu trzech dziesięcioleci Ui'Corra musieli opuścić ojczystą ziemię i nie wiadomo było, czy kiedykolwiek będą mogli powrócić. Lecz ważniejsze od ziemi i budynków było życie członków klanu i to należało ratować. Zarówno Bríd, jak i Seachlann zbyt wiele słyszeli o postępach lorda Mountjoja w Palisadzie i w Laighean, by nie wiedzieć, że Haresgill nie zostawiłby przy życiu nikogo z ich klanu.

12

Pomimo nalegań i ostrzeżeń nie wszyscy wyruszyli wraz z nimi. Najemni robotnicy, paru parobków i parę dziewczek służebnych oraz część dzierżawców, którzy żyli tutaj jeszcze

za panowania Haresgilla, mieli nadzieję, że dalej będzie to możliwe. Kilka rodzin, które były z nimi w Tir Chonaill, też wolało zostać w dolinie, żeby nie być skazanymi na biedę i głód na surowym wybrzeżu. Bríd próbowała ich przekonać, ale odpowiedziały jej wzruszenia ramion i uniesione w obronnym geście dłonie.

- Jestem za stara, żeby znów wędrować nad morze - powiedziała jedna z kobiet. - A mój wnuk zostaje tutaj, żeby się mną opiekować.

- Haresgill każe was zabić! - powiedziała zrozpaczona Bríd.

Staruszka machnęła ręką.

- Haresgill też potrzebuje ludzi, żeby dla niego pracowali, a ja jestem chętna do pracy. Mamy już dość wojny, chcemy żyć w pokoju.

Seachlann położył rękę na ramieniu Bríd.

- Zostaw. Ludzie nie chcą opuszczać ojczyzny po raz drugi. Ja ich nawet rozumiem, bo klan został zniszczony.

Nawet jeśli Oisín przeżył, to zdoła zebrać wokół siebie tylko paru ludzi.

- A więc to koniec Ui'Corra - szepnęła Bríd przez łzy.

- Ui'Corra będą istnieć, dopóki żyjemy! - Po tych słowach Seachlann odwrócił się i poszedł na zamek, żeby sprawdzić, czy kolumna uciekinierów jest gotowa do wymarszu. Aż ścisnęło go w sercu na widok zrozpaczonej gromadki. Wielu z nich musiało po raz drugi porzucić ojczyste strony. Podczas pierwszej ucieczki wierzyli jeszcze, że kiedyś powrócą. Teraz ta nadzieja umarła.

Seachlann z westchnieniem wyciągnął sztylet, wzruszył nim ziemię i zawinął grudki w chustkę. Skoro nie będzie mógł wrócić, to niech przynajmniej towarzyszy mu ziemia, która wyżywiła tyle pokoleń Ui'Corra. Na koniec podszedł do Buirre'a, który gapił się na zgromadzonych przekrwionymi oczami, jakby nie rozumiał, co się wokół niego dzieje.

- Możemy wyruszać, gdy tylko wydasz rozkaz!

Buirre się wzdrygnął.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne? Tutaj w dolinie mamy przecież wszystko, czego potrzebujemy.

„Przede wszystkim miód, którym możesz się upijać” - pomyślał Seachlann z narastającą złością. Lecz Buirre wciąż był wyznaczonym przez taoiseacha zarządcą, a tym samym jego dowódcą.

- To konieczne, mój przyjacielu. W przeciwnym razie Oisín nigdy nie przesłałby nam takiego rozkazu! - Seachlanna bolało, że musi kłamać, lecz w innym przypadku nigdy nie skłoniliby Buirre'a do opuszczenia zamku.

- Dobrze więc. Wyruszamy! - Głos Buirre'a się załamał, bo pomimo kaca on też boleśnie odczuwał utratę ojczyzny. Ponieważ po drodze mogli zostać zaatakowani, sprawdził swój pas, czy na pewno przypiął miecz. A potem wziął włócznię i ruszył, nie oglądając się już za siebie.

Uciekinierzy poszli w jego ślady. Większość płakała, tracąc ojczyznę, a także przyjaciół i znajomych, którzy woleli się poddać władzy Anglików niż opuścić dolinę, w której narodzili się ich przodkowie.

Jedna z kobiet przeszła kilka kroków obok siostry, która zdecydowała się odejść.

- Musisz mnie zrozumieć, Dairíne. Tu wszystko jest zielone, a tam w Tir Chonaill są tylko nagie skały i morze.

Ja...

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć - odpowiedziała szorstko starsza z niewiast. - Jeśli twój mąż przeżył i dotrze do Tir Chonaill, powiem mu, gdzie cię znaleźć.

- Życz mi przynajmniej powodzenia! - błagała siostra, lecz nie otrzymała odpowiedzi.

13

Szymon von Kirchberg, Ryszard Haresgill i jego zastępca stali na wzgórzu, obserwując wymarsz uciekinierów.

Szymon uśmiechał się z zadowoleniem, natomiast oficer Haresgilla zaciskał dłoń na rękojeści miecza.

- Teraz moglibyśmy zabić ich wszystkich - zaproponował.

Szymon wymienił spojrzenie z Haresgillem.

- Nie, pozwolimy im odejść. Jeśli Oisín O'Corra do nich dotrze, będzie się musiał nimi zaopiekować. Będą dla niego niczym kula u nogi, a on nie będzie mógł zwać za morze. Bo gdyby to uczynił, wymknąłby się nam, a my przez lata musielibyśmy żyć w strachu przed jego zemstą.

Na te słowa Haresgill aż się wzdrygnął. Szybko się jednak opanował i cicho roześmiał.

- Macie rację. Chcę zdeptać tej zmił głowę, a nie jej ogon. Zlikwidowanie tego motłochu nic nam teraz nie da.

W ten sposób tylko ułatwilibyśmy Oisínowi O'Corze błyskawiczną ucieczkę z Irlandii. Dopadniemy ich w tej sekretnej wieży na wybrzeżu Donegal. Tam nikt nam nie umknie, nawet dziecko w łonie matki!

- Proszę pamiętać o jednym! - wykrzyknął zaniepokojony Szymon. - Siostra Oisina,

Ciara, jest moja!

- A co wy chcecie od tej dzikuski? - zapytał z drwiną w głosie Haresgill.

- Ożenić się z nią! Dzięki temu zostanę dziedzicem O'Corrów i uchronię się przed ich zemstą.

W pierwszej chwili Haresgill spojrział na niego zdumiony, ale potem zrozumiał, co planuje Szymon, i roześmiał się.

- Sądzicie, że w ten sposób przekonacie do siebie Irlandczyków? Sprytnie. Ale powiadam wam, ten naród rozumie tylko jeden język, a mianowicie wyłącznie przemoc!

Tymczasem pochód uciekinierów oddalił się i zniknął im z pola widzenia. Zastępcy Haresgilla bardzo było nie w smak, że puścili ich wolno, więc rzekł poirytowany do swojego dowódcy:

- A co zrobimy z ludźmi, którzy zostali w dolinie?

Załatwimy ich?

- A zamierzacie siać dla mnie i kosić? - zadrwił Haresgill. - Nie, potrzebujemy Irlandczyków do pracy.

Ale muszą wiedzieć, że jakkolwiek protest zostanie stłumiony żelazną ręką. Gdy tylko zajmiemy dolinę, kobiety przez trzy dni będą do dyspozycji naszych żołnierzy. A poza tym powiesimy co czwartego mężczyznę. Zadbajcie jednak o to, żeby pozostali ci najbardziej przydatni. Do dzieła! Na to, co teraz nastąpi, czekałem od chwili, gdy opuszczaliśmy tę dolinę!

Haresgill dał znak i żołnierze, którzy czekali pod wzgórzem, wkroczyli do doliny. Po drodze minęli drewnianą twierdzę, którą Oisín O'Corra wznosił na polecenie Aodha Móira O'Néilla, a która teraz stała porzucona, nie oferując dolinie i jej mieszkańcom żadnej obrony. Wkrótce potem ujrzeli przed sobą zamek i ludzi, którzy się na nim zgromadzili i machali zatkniętą na drągu białą chustą. Haresgill wiedział, że nie muszą się obawiać oporu, a jego żołnierze już zadbają o to, żeby w przyszłości było podobnie.

14

Uciekinierzy utracili wszystko poza dumą, a i ta nie miała się najlepiej. Najłatwiej było Ferdynandowi i Hufeisenowi, bo Irlandia nie była ich ojczyzną, tylko krajem, do którego przybyli walczyć. Natomiast Oisín O'Corra szedł obok nich ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach. Zbyt wielu ludzi zaprowadził na śmierć i miał świadomość, że przez klęskę pod Cionn tSáile ostatecznie utracił ziemie należące do klanu. Wszelkie nadzieje, jakie kiedykolwiek żywił, rozwiął lodowaty wiatr, który gwizdał nad Irlandią.

Ciara też wiedziała, że ta wyspa nie będzie już jej ojczyzną, jakiej pragnie, i podobnie jak Saraid opłakiwała śmierć wielu przyjaciół.

Nadzieja, że większość wojowników Ui'Corra przeżyła i dołączy do nich po drodze, nie spełniła się. W sumie dołączyło do nich dwóch ludzi, a oprócz nich jeszcze z tuzin Irlandczyków, którzy tak jak oni wyruszyli z Uladh, by pomóc obleganym przez lorda Mountjoya Hiszpanom.

Nikt nie wiedział, dlaczego nie powiódł się atak Aodha Móra O'Neilla, wszyscy jednak przeklinali Hiszpanów, którzy zza bezpiecznych murów Cionn tSáile patrzyli, jak Anglicy rozbijają irlandzkie oddziały, lecz nie wkroczyli do walki.

Pomysł Ciary i Saraid, by spakować zapasy i zabrać to, co w przeciwnym razie wpadłoby w ręce Anglików, okazał się zbawienny, ponieważ oszczędził ich gromadce konieczności pukania do obcych drzwi i zebrania o jedzenie. Ci, którzy tak robili, zbierali razy albo byli wydawani Anglikom, czy to ze strachu przed żołdakami Mountjoya, czy też dlatego, że należeli do klanu od pokoleń skłóconego z gospodarzami.

Nie ominęły ich za to zimne noce spędzone w lesie albo na bagnisku, podczas których otulali się przemoczonymi opończami, żeby choć chwilę pospać i następnego ranka wstać z trudem na sztywne nogi w niewiele lepszym stanie niż poprzedniego wieczoru. Gdy wreszcie zbliżyli się do granicy Uladh w pobliżu Béal Tairbirt[42], mężczyźni, którzy nie należeli do ich klanu, odłączyli się od ich grupy, żeby dotrzeć do swoich wiosek.

Następnego ranka Ferdynand popatrzył na otaczające ich nagie bagniska, na gęste łąkowe lasy i niezliczone małe jeziora. Przypomniała mu się pewna legenda, którą opowiedziała mu Saraid. Dawno, dawno temu pewien olbrzym pił tutaj ze swojej piersiówki. Wiele kropel trunku upadło na ziemię, stając się jeziorami.

- Tutaj powinniśmy byli walczyć z Anglikami.

Wyprawa na południe była bez sensu i przyniosła niepotrzebne ofiary - powiedział do Oisina.

- Przetnęła nam krzyż - odparł gorzko Irlandczyk. - Jak mam dalej walczyć z garstką ludzi, która mi została?

Taki Aodh Mór O'Neill może próbować pertraktować z Anglikami, a oni może nawet na to pójdą. Ja takiej możliwości nie mam. Sasanach wydadzą mnie najwyżej Ryszardowi Haresgillowi, a on z przyjemnością powiesi mnie na wieży mojego własnego zamku.

- Co zamierzacie? - zapytał Ferdynand.

- Zabiorę ludzi z naszej doliny i zaprowadzę ich do Tir Chonaill. Potem wrócę na kontynent i będę walczyć dla królów, którzy nie są moimi królami, w bitwach, które tak

naprawdę nic mnie nie obchodzą. - W głosie Oisina słychać było gnębiące go zwątpienie.

Ferdynandowi zrobiło się go żal, więc spróbował podnieść go na duchu.

- Jutro dotrzemy do Léana. Tam nareszcie odpoczniemy i postanowimy, co dalej!

- Dobry z was człowiek! Ale nie sądzę, żeby miasto nadal było nasze. Wasz kuzyn to nie jest ktoś, kto walczyłby za przegraną sprawę. Przypuszczam, że już oddał miasto Anglikom.

- Aż tak pozbawiony honoru chyba nie jest! - Mówiąc to, Ferdynand przypomniał sobie konie, które Szymon odebrał mu wbrew wszelkim prawom oraz wielkopańskie zachowanie kuzyna podczas ich ostatniego pobytu w mieście. Poza tym napastował Ciarę. Nagle przeszła mu ochota, żeby iść do Léana, i przywołał do siebie Toala.

- Dobry z ciebie zwiadowca. Myślisz, że dałbyś radę przedrzeć się do Léana i sprawdzić, jak się tam sprawy mają?

Toal energicznie pokiwał głową.

- Pewnie! Jak chcecie, to wyruszę od razu. Mogę się przespać w zaroślach koło miasta i rozejrzeć się z samego rana. A potem wyjdę wam naprzeciw.

- Zrób tak, mój chłopcze! - Ferdynand poklepał Toala po ramieniu i popatrzył, jak ten biegnie i znika pomiędzy sękatymi drzewami.

Potem spojrzał w niebo, które zawisło nad nimi niczym ołów, próbując oszacować, która jest godzina. Było to jednak niemożliwe, więc nie pozostało mu nic innego, jak zdać się na przeczucia.

- Musimy pójść jeszcze kawałek dalej, a potem poszukać sobie kryjówki - powiedział do Oisina.

Ten wzruszył ramionami.

- Każde miejsce jest tak samo dobre albo tak samo złe jak inne. Wszędzie będzie mokro, zimno, a mnie będą dręczyć koszmary.

- Nie powinniśmy się poddawać koszarom, tylko musimy wziąć swój los w swoje ręce. Irlandia jest duża, a lasy zapewnią nam schronienie. Poza tym wy, Irlandczycy, znacie tutaj każdy kąt, w którym można się schować przed Anglikami. Dlaczego nie spróbować pozadawać im jak najwięcej strat?

- Gdybym kontynuował walkę z tą garstką ludzi, która mi została, stalibyśmy się bandą rabusiów, których Anglicy prędzej czy później złapaliby i powiesili - odpowiedział Oisin z gorzkim uśmiechem. - Bardziej prawdopodobne jednak, że umarlibyśmy w lesie z głodu, bo nikt nie odważyłby się dać nam choć kromki chleba.

Poza tym jestem odpowiedzialny za żony i wdowy po moich ludziach oraz ich dzieci.

Chcę je zaprowadzić w bezpieczne miejsce, do Tir Chonaill.

- A jeśli nie będą tam bezpieczne? - zapytał Ferdynand.

- Wtedy będą musiały udać się z nami na kontynent.

- A dlaczego nie pójdziecie do O'Néilla i nie przyłączycie się do niego? On na pewno będzie kontynuował walkę!

Oisín popatrzył na Ferdynanda i pokręcił głową.

- Wbrew rozsądkowi związałem swój los i los mojego klanu z Aodhem Mórem O'Néillem i bardzo źle na tym wyszedłem. Uczynić to po raz drugi byłoby zbyt dużym ryzykiem. O'Néill będzie walczył tak długo, aż będzie mógł zawrzeć pokój. Gdyby ceną za niego miała być moja głowa, zgodzi się, bo jego własna głowa jest mu o wiele bliższa.

Ferdynand zrozumiał. Skoro Oisín zrezygnował z walki, to on nie miał żadnego powodu, by pozostać w Irlandii, i musiał zdecydować, dokąd się uda. Jedno było wszakże równie niewzruszone jak szczyty gór, które widział w oddali: jeśli wróci do ojczyzny, to tylko z Ciarą u swego boku.

Zdecydowany, by postawić sprawę jasno, rzekł do Oisina:

- Zanim ruszymy dalej, chciałbym was o coś poprosić.

- O cóż to chcecie poprosić żebraka? - zapytał gorzkim tonem Oisín.

- O rękę waszej siostry! Chcę poślubić Ciarę.

Coś w końcu wyrwało Oisina z letargu.

- Co takiego?! - zawołał z oburzeniem. - Przecież nie jesteście Irlandczykiem!

- To prawda, nie jest. Ale jest mężczyzną, którego kocham, i nie chcę należeć do nikogo innego! - Ciara przysłuchiwała się ich rozmowie i teraz się wtrąciła, żeby przedstawić swoje zdanie.

Żeby pokazać Oisinowi, że sprawa jest poważna, stanęła obok Ferdynanda i wzięła go za rękę.

- Gdyby był tutaj kapłan, jeszcze dziś złożylibyśmy małżeńską przysięgę. Lecz nawet bez tego od dziś będę z nim spać pod jedną opończę.

- A kto ogrzeje mnie? - wtrąciła Saraid ze szczerym strachem, bo w trakcie długiego marszu spały razem z Ciarą.

- Jeśli koniecznie kogoś wam potrzeba, to chętnie służyć - wyrwało się Hufeisenowi.

W jednej chwili Saraid się odwróciła i wymierzyła mu taki siarczysty policzek, że aż las rozbrzmiał echem.

- Poszukaj sobie dziwki gdzie indziej! Jestem kobietą zamężną.

Hufeisen był tak zdumiony tym atakiem, że Saraid zrobiło się go żal.

- Nie chciałam was urazić ani sprawić wam bólu - wyjąkała.

- Nie uraziliście mnie, tylko zachowaliście się jak cnotliwa niewiasta. Choć nie musieliście bić aż tak mocno. - Hufeisen uśmiechnął się z trudem.

Lecz Saraid jeszcze się nie uspokoiła.

- Jak chcesz, możesz mnie uderzyć. Zasłużyłam na to.

- Za mówienie takich głupstw jak teraz, to rzeczywiście zasługujecie. Ja jednak nigdy dotąd nie uderzyłam niewiasty i nie uczynię tego, jeśli Bóg pozwoli, do końca moich dni. Mogę wam pożyczyć moją opończę, bo pan Ferdynand nie będzie już potrzebować swojej, jeśli panna przytuli go do swej piersi.

Hufeisen powiedział to tak komicznym tonem, że Saraid zaczęła chichotać, natomiast Ciara wyglądała tak, jakby chciała zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Ich przekomarzania sprawiły, że Oisín nie odpowiedział jeszcze na pomysł swojej siostry i Ferdynanda. A gdy teraz miał coś powiedzieć, poczuł, że nie ma ani ochoty, ani siły, ani też prawa, żeby sprzeciwiać się woli ich obojga.

- Róbcie, co chcecie! A teraz idziemy! Postanowiliśmy, że pomaszerujemy jeszcze godzinę - burknął tylko i ruszył na czele pochodu.

Ciara wzięła Ferdynanda pod rękę i rzuciła Hufeisenowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie chcę już słyszeć od ciebie żadnych przytyków!

Jeśli biorę sobie pana Ferdynanda za męża, to dlatego, że przysięgłam to przed Panem Bogiem.

Żołnierz z udawanym żalem popatrzył na Saraid.

- Rozumiecie, o co chodzi waszej kuzynce? Ja nie pamiętam, żeby powiedział choć słowo, które mogło ją urazić.

- Chodź już! A może chcesz tu zostać? - odpowiedziała Saraid szorstkim tonem, ale wzięła Hufeisena pod rękę. - Przyjmę twoją opończę, ale najpierw porządnie ją wytrzępię. Bo jeszcze przejdą na mnie twoje wszy.

Jej cięte słowa odjęły mowę nawet doświadczonemu wojakowi. W milczeniu popatrzył na kobietę u swojego boku i uznał, że nie miałby nic przeciwko dzieleniu z nią swej opończy. Nie zaproponował jej jednak tego po raz drugi, bo bał się jej ciętego języka.

15

Po kolejnej chłodnej i wilgotnej nocy dotarli późnym popołudniem do drogi wiodącej do Léana. Oisín już miał oznajmić, że odpoczną pod osłoną zarośli i poczekają na Toala, gdy ujrzą, że chłopiec zmierza w ich stronę.

Z daleka widać było, że nie przynosi dobrych wieści.

- Mielicieście rację, panie! - powiedział przybity, gdy stanął przed Oisinem. - Léana okupują Anglicy.

Widziałem ich proporce na wieży. Haresgill przejął miasto. I zajął też ponoć naszą dolinę.

- A skąd to wiesz? - zapytał Ferdynand, bo Oisinowi najwyraźniej odjęło mowę.

- Spotkałem pod miastem człowieka, który zawsze był nam przychylny, a on wszystko mi opowiedział. Szymon von Kirchberg po początkowym wahaniu oddał miasto na prośbę mieszkańców, bo Haresgill zagroził, że po oblężeniu je splądruje i każe spalić. A potem Haresgill razem ze swoimi żołnierzami wyruszył na północ, żeby zdobyć nasz zamek.

Szczupłe ramiona Toala zadrżały, bo chłopiec walczył z długo powstrzymywanymi łzami.

- A kto teraz pilnuje miasta? - zapytał Ferdynand.

- Sir Humphrey Darren z częścią swoich ludzi i paru muszkieterów Haresgilla. Jeńców bowiem uwolniono, gdy Anglicy przejęli miasto - odpowiedział Toal.

Ferdynand pokiwał głową.

- To było do przewidzenia. Ale co z moim kuzynem i jego żołnierzami?

- Żołnierze wciąż są w mieście i uchodzą za jeńców, a pan Szymon został wypuszczony na słowo honoru. Gdy tylko kraj znajdzie się pod panowaniem Anglików, będzie mógł opuścić Irlandię wraz ze swoimi ludźmi.

- Myślę, że właśnie to, a nie błagania mieszkańców, skłoniły go do otwarcia bram - wtrąciła Ciara z pogardą.

Ferdynand uniósł dłoń, żeby ją uciszyć, bo chciał się zastanowić.

- Nawet jeśli Haresgill wyruszył do doliny Ui'Corra z połową swoich ludzi, to Buirre i reszta nie mają żadnych szans, żeby go powstrzymać. Nie będą nawet w stanie utrzymać zamku.

- Wybaczcie, panie Ferdynandzie - odezwał się znowu Toal. - Ale ten człowiek pod miastem przekazał mi także pogłoskę, że nasi opuścili dolinę, zanim Haresgill ją zajął.

Ponoć widziano, że ludzie ciągną stamtąd na północny zachód. Tylko paru mężczyzn, ale sporo kobiet i dzieci.

- Jeśli to prawda, to Buirre wykazał się większym rozsądkiem niż bym się po nim spodziewał. - Ferdynand nie do końca wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

W każdym razie Haresgill, stary znajomy Ui'Corra, natychmiast wykorzystał przewagę, jaką dała mu przegrana Irlandczyków pod Cionn tSáile. - Co teraz zrobimy? -

zapytał Oisina. - Do Léana nie możemy pójść, a wasze rodzinne ziemie znajdują się teraz w rękach wroga.

- W takim razie musimy iść dalej, aż do wybrzeża Tir Chonaill, i tam się ukryć. - Oisin starał się, by jego głos brzmiał energicznie, lecz wszyscy czuli jego przygnębienie i żal.

Pragnął choć jeszcze jeden raz przejść po komnatach, w których się wychowywał, lecz niebezpieczeństwo, że zastaną tam żołnierzy Haresgilla, było zbyt wielkie.

Odwrócił się więc tyłem do drogi i wkroczył do lasu, który wznosił się nad nim niczym potężna, zielona katedra.

Pozostali ruszyli za nim ze zwieszonymi ramionami.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że przed nimi jeszcze długi marsz przez pustkowia, a na koniec czeka ich całkowita nędza.

Ciara chwyciła Ferdynanda za rękę i mocno ją ścisnęła.

- Mam nadzieję, że znajdziemy dziś dla siebie jakieś w miarę suche miejsce i staniemy się mężem i żoną!

- Ja również mam taką nadzieję - odparł cicho Ferdynand i pomyślał, że przy całej tragedii, która ich dotknęła, jednak jest szczęściarzem, że znalazł tak wspańiałą kobietę.

Żadne z nich nie miało pojęcia, że Deasún O'Corraidh przyczaił się niedaleko i obserwował ich, aż zniknęli w lesie. A potem zatarł ręce.

- Świetna robota, Deasún! Miałeś nosa. To jednak ten smarkacz Toal O'Corra kręcił się pod miastem.

Zadowolony, że poszedł za intuicją i ukradkiem śledził chłopaka, zawrócił do Léana, wziął stamtąd konia i popędził na północ, do doliny Ui'Corra, żeby donieść Ryszardowi Haresgillowi i Szymonowi von Kirchbergowi, że mysz wkrótce wpadnie w pułapkę.

16

Choć Ryszard Haresgill zajął dolinę zaledwie przed tygodniem, to Deasúnowi wydała się ona mocno odmieniona. Mężczyźni w angielskich mundurach strzegli drewnianej twierdzy u wejścia do doliny, a na wieży zamku obok proporca Haresgilla powiewał angielski czerwony krzyż świętego Jerzego.

Gdy Deasún zsiadał z konia na zamkowym dziedzińcu, z głównej sali wyszedł Ryszard Haresgill. Tuż za nim pojawił się Szymon von Kirchberg i natychmiast zapytał:

- Dowiedziałeś się czegoś o Oisinie O'Corze?

Deasún z uśmiechem pokiwał głową.

- I nie tylko, wasza lordowska mość. Widziałem go nawet z resztką jego ludzi. Muszę

przyznać, że wyglądali bardzo kiepsko.

- Gdzie są? - Haresgill nie miał ochoty wysłuchiwać rozwlekłych opowieści Irlandczyka.

- Jeśli nie zmienili kierunku, moim zdaniem kierują się do Donegal.

- A więc Donegal! - stwierdził Haresgill takim tonem, jakby wcale się tego nie spodziewał.

- Tak, Donegal! - przytaknął Deasún. - Jeśli się pośpieszycie, wasza lordowska mość, możecie ich dopaść w drodze.

- Co wy na to? - zwrócił się Haresgill do Szymona.

Ten z uśmiechem potrząsnął głową.

- Ja bym tego nie robił. W razie czego Oisin może zwać do lasu, a wtedy na pewno nie da wam spokoju.

„I mnie także” - dodał w myślach.

- Dobrze więc! Zrobimy tak, jak proponowaliście. Ale strzeżcie się, by ptaszek nam przez to nie wyfrunął.

Szymon nie przejął się groźbą Haresgilla, tylko ze śmiechem machnął ręką i poklepał Deasúna po ramieniu.

- Dobra robota! Teraz Oisin już nam nie umknie.

Jedziemy we dwóch. Jego lordowska mość razem ze swoimi ludźmi wyruszy pół dnia marszu po nas.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Deasúna.

- Jeśli zabierzecie mnie do Ui'Corra, oni mnie zabiją.

- Tamten zamek trudno znaleźć. Dlatego ze mną pojedziesz. Zanim dotrzemy do samej wieży, zostaniesz z tyłu, żeby pokazać drogę jego lordowskiej mości. A ja już pierwszej nocy dam wam znak. Nie powinniście wtedy zwlekać. - Swoje ostatnie słowa Szymon skierował do Haresgilla, który patrzył na niego z ponurą miną.

- Będziemy gotowi, by zdeptać to kłębrowisko żmij.

A teraz jedźcie! Szkoda mi każdej minuty, w której Oisin O'Corra jeszcze żyje.

- Za pozwoleniem waszej lordowskiej mości! - Szymon odwrócił się i przywołał parobka. - Osiodłaj mojego konia!

Mężczyzna był jednym z Irlandczyków, którzy pozostali w dolinie. Widział śmierć kilku swoich przyjaciół, których powieszono na rozkaz Haresgilla. Strach, że podpadnie temu bezlitosnemu człowiekowi i także straci życie, sprawił, że posłuchał bez sprzeciwu.

Dzięki temu Szymon już po chwili mógł dosiąść swojego konia. Pomachał jeszcze

Haresgillowi i popędził wierzchowca ostrogami. Deasún uklonił się Haresgillowi i szybko ruszył za Niemcem.

- Myślę, że niewiele trzeba, żeby wykończyć Oisina O'Corrę - powiedział, żeby zagaić rozmowę.

Szymon skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

- Oisinowi O'Corze, mój przyjacielu, mógłbyś odciąć rękę, a on i tak dałby sobie radę z trzema takimi jak ty.

Te słowa sprawiły, że Deasún na chwilę umilkł. Jednak nie chował długo urazy, tylko znów zaczął wesoło paplać.

Niektóre z podawanych przez niego informacji wydały się Szymonowi przydatne i dlatego go słuchał.

Jednocześnie zastanawiał się, czy nie zapytać Deasúna o swojego kuzyna. Stryj Franciszek na pewno będzie chciał wiedzieć, co się stało z Ferdynandem, kiedy Szymon odwiedzi go na zamku w Kirchbergu. Ale potem przypomniał sobie, że wkrótce zostanie bogatym posiadaczem ziemskim w Irlandii i prawdopodobnie nigdy już nie zobaczy swoich krewnych w Bawarii.

Zamiast dalej myśleć o stryju, skupił się na Oisinie i na tym, jak go przechytryć. Przemknęło mu przez głowę, że kiedyś nazywał go swoim przyjacielem. Ale to było dawno temu, a teraz powinien wreszcie pomyśleć o sobie.

17

Powietrze, zamiast leśnej ciszy, wypełniał ogłuszający szum i grzmot morskiej kipieli. Nawet ziemia zdawała się wibrować w harmonii z falami. Ciara wskazała na skalisty cypel, który wbijał się w morze na ponad pół mili.

- Wracam teraz tam, skąd wyruszyłam, a nie przynoszę ze sobą nic oprócz krwawych łez.

- Mam nadzieję, że jednak coś więcej, choćby moją miłość - odpowiedział łagodnym tonem Ferdynand, biorąc ją za rękę.

Młoda Irlandka skinęła głową z oczami pełnymi łez.

- Tak, noszę ją w sercu. To jedyne, co trzyma mnie przy życiu.

- Nadejdą lepsze dni, zarówno dla nas, jak i dla twojego klanu.

Ferdynand starał się, by w jego słowach zabrzmiała pewność, ale nie bardzo mu to wyszło. Ta okolica go przerażała. Wokół nich były same nagie skały, na których nie rosło

nawet żdźbło trawy. Przy stromym brzegu tryskała w górę morską piana, przyjmując kształty przypominające zjawy. Kto tu żył, musiał brać wszystko, co potrzebne do życia, od morza, a ono raczej nie było temu przychylnie.

Gdy ruszyli dalej, dostrzegł wieżę. Była okrągła i szersza niż jakakolwiek wieża, jaką widział dotąd w Irlandii, i miała co najmniej sześćdziesiąt stóp wysokości. Wejście znajdowało się na wysokości dwóch ludzi nad ziemią. Wejść można było po drabinie, którą potem wciągano na górę. W dolnej części wieży było kilka otworów strzelniczych, natomiast w górnej parę małych okienek. Wieńczył ją łupkowy dach, a obok stał kamienny budynek, który służył jako stajnia i stodoła.

O rzut kamieniem widać było chaty członków klanu, którzy nie mieszkali w wieży.

Aithil dołączył do Ferdynanda i wskazał na budynki.

- Pójdę z paroma ludźmi do wioski i sprawdzę, z których chat da się skorzystać. A wy idźcie do wieży.

Właściwie to Oisín powinien był wydać ten rozkaz, ale od klęski pod Cionn tSáile nie był sobą. Teraz też spojrzał tylko i pokiwał głową.

- Uczyńcie tak!

Aithil skinął na trzech ludzi, żeby z nim poszli. Ruszyli z nimi także ci, którzy wcześniej mieszkali w tych chatach.

Dołączyła do nich większość kobiet i dzieci, a przy Oisínie zostało tylko parę osób.

„Stracili zaufanie do mojego brata - pomyślała Ciara. - A przecież to jego najmocniej dotknął niefortunny los”.

Zmartwiona otarła łzy, które napłynęły jej do oczu, i oparła się o Ferdynanda.

- Trzymaj mnie mocno! Prawie nie widzę drogi.

- Płacz sobie spokojnie, mój skarbie. Niech łzy wypłuczają smutek z twojego serca, robiąc miejsce na przyszłe szczęście.

- Pięknie to powiedziałaś, Ferdynandzie! - Ponieważ uchodzili teraz za zaręczonych, zrezygnowali z grzecznościowej formy i mówili sobie na ty nawet przy innych.

Ciara była zadowolona, że nie musi już ukrywać swojej miłości. Martwiła się jednak, co przyniesie przyszłość.

Ale najpierw trzeba było przystosować starą wieżę do ponownego zamieszkania.

Podeszli bliżej i szybko zauważyli, że ktoś ostatnio naprawił stajnię. Przystanęli zaniepokojeni. A wtedy wyszli im naprzeciw Seachlann, Bríd i inni mieszkańcy doliny Ui'Corra.

Ciarze znów napłynęły łzy do oczu. Tym razem łzy ulgi.

- Naprawdę udało wam się uciec! - wykrzyknęła, obejmując Bríd.

- Tak się cieszę, że was widzę! Gdy dotarła do nas wieść o przegranej Aodha Móra O'Néilla, baliśmy się, że wszyscy zginęliście - Bríd też zapłakała i objęła Ciarę tak mocno, jakby już nigdy nie chciała jej puścić.

Po chwili zwolniła uścisk i przytuliła po kolei Saraid, Ferdynanda, Hufeisena oraz Ionatána. Oisina przywitać w ten sposób jednak nie śmiała. Nawet jeśli klan liczył teraz tylko garstkę ludzi, to wciąż był taoiseachem i znacznie przewyższał ją rangą.

- Ilu was tu przyszło? - zapytała Ciara.

Przez twarz Bríd przemknął cień.

- Mniej niż mogło. Wielu zostało, żeby się poddać Ryszardowi Haresgillowi.

- Daj Boże, żeby Sasanach okazał im litość! - Ciara się przeżegnała. Cieszyła się, że to nie ona pierwsza dotarła do pustej wieży na stromym brzegu morza. To byłoby zbyt bolesne, gdyby musiała do niej wejść i zobaczyć cały kurz, który wiatr przywiał przez otwarte okna.

- A gdzie Buirre? - zapytała Saraid, która nieszczerze tęskniła za mężem, ale chciała mieć jasność, co się z nim dzieje.

- Jest w wieży i boi się wyjść wam naprzeciw, bo okropnie się wstydzi! Gryzie go sumienie, że nie był w stanie obronić naszej doliny - odpowiedziała Bríd.

- Jeśli ktoś powinien się tu wstydzić, to ja! To ja sprowadziłem na was klęskę. - Oisín zdrzął, jakby miał gorączkę, walcząc z obrazami śmierci i zniszczenia, które pojawiły się przed jego oczami.

Zanim ktoś zdążył odpowiedzieć, Toal wskazał do tyłu.

- Patrzcie! Jechał za nami jakiś jeździec!

Ferdynand błyskawicznie wysunął miecz z pochwy.

Hufeisen i Ionatán również chwycili za broń.

A wtedy Ciara prychnęła ze złością.

- To Kirchberg!

-...i z tego, co widzę, jest sam! - dodał Hufeisen.

Wszyscy poczuli ulgę. Mimo to byli czujni, bo nie rozumieli, co robi Szymon von Kirchberg w tej opuszczonej okolicy.

Gdy się zbliżył, Ferdynand zobaczył, że jedzie na ogierze, który właściwie należał do niego, i przypomniał sobie, ile razy kuzyn go zirytował, odkąd przybyli do Irlandii. Mimo to poczuł ulgę, że widzi go całego i zdrowego.

Oisín czuł chyba podobnie, bo z radością wyszedł Szymonowi naprzeciw.

- Dzięki Bogu, że umknęliście cali temu angielskiemu łotrowi! - zawołał, wyciągając

dłoń.

Szymon zeskoczył z siodła i stanął przed nim z opuszczonymi rękoma.

- Wolałbym przybyć do was z lepszą nowiną. Jednak musiałem poddać Léana. Nie utrzymalibyśmy się w obliczu przeważających sił wroga, a ja nie chciałem prowadzić swoich dzielnych ludzi na bezsensowną śmierć. Gdyby przybyły posiłki...

Przekonał Oisina, który uniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Nie trąpcie się już tym, Kirchberg. Słusznie uczyniliście. Chodźcie do wieży! Sprawdzimy, czy jest tam choć łyk miodu. Choć nie możemy świętować zwycięstwa, to wypijemy za lepszą przyszłość!

- Tak jest! Na pewno będzie lepsza! - Szymon von Kirchberg poklepał Oisina po ramieniu i podszedł do Ferdynanda.

- Widzę, że przeżyłeś. Cieszę się, bo nie chciałbym stanąć przed stryjem Franciszkiem bez ciebie. Proszę, weź tego konia. Ja nadal mam swoich żołnierzy, z którymi wkrótce mam nadzieję powrócić na kontynent. Może los sprawi, że znów wyruszymy razem przeciwko jakiemuś wrogowi, choćby dla papieża, Hiszpanii czy Francji.

- Słuszne słowa! - Oisín wziął Szymona pod rękę i ruszył z nim w stronę wieży. Apatia, w którą popadł od czasu Cionn tSáille, gdzieś się ulotniła.

Choć Ciara nie lubiła Szymona, cieszyła się, że przybył, bo jego obecność dobrze wpłynęła na jej brata. Podzieliła się tą myślą z Ferdynandem. Ten pokiwał głową, ale miał złe przeczucia. Jego kuzyn był przecież bardzo zawistny i oddanie cennego wierzchowca zupełnie do niego nie pasowało. A na dodatek jeszcze zapewniał, że ma nadzieję dalej wspierać Ui'Corra.

18

Bríd i Seachlann przygotowali już wszystko na przybycie głowy klanu, więc Oisín mógł zamknąć się z Szymonem, Ferdynandem i Buirre'em w izbie na górze wieży i przy kubku miodu omówić z nimi to, co się ostatnio wydarzyło.

Buirre wyjątkowo był trzeźwy i opowiedział o tym, jak się dowiedział o klęsce pod Cionn tSáile i postanowił, że porzuci zamek, którego nie był w stanie obronić.

- Właściwie to nie ja - dodał gorzkim tonem - tylko Bríd. To ona nalegała na wymarsz i ona wszystkim pokierowała.

- I dobrze zrobiła - pochwalił dziewczynę Oisín. - Wygląda na to, że kobiety wzięły sprawę w swoje ręce, gdy my, mężczyźni, zawiedliśmy.

Szymon uniósł kubek w stronę Oisina i zauważył:

- Chyba nie powinniśmy być aż tak skromni. My też dokonaliśmy chwalebnych czynów. Przypomnijcie sobie zdobycie Léana.

- To były inne czasy! - powiedział Oisín.

- I za nie wypijmy! - Szymon znów uniósł kubek i stuknął się z pozostałymi. - Za nas wszystkich i za to, by fortuna znów była nam przychylna! - Przytknął kubek do ust i udał, że łapczywie pije. A tak naprawdę przełknął tylko odrobinę miodu. Żeby nikt tego nie zauważył, wziął dzban i dolał sobie oraz innym aż po brzegi kubków.

- W takich smutnych czasach to nawet dobrze, gdy człowiek się trochę upije. Boli go potem głowa, ale kiedy już wytrzeźwieje, troski wydają się mniejsze i ma się siłę, by stawić im czoła - kontynuował Szymon, zachęcając Oisina i Buirre'a do opróżnienia kolejnych kubków.

Ferdynand też najpierw z nimi pił, ale potem uniósł rękę.

- Jak jeszcze trochę wypiję, będziecie musieli zanieść mnie do łóżka! To już wolę sam się położyć. - Po tych słowach wstał i lekko się zataczając, wyszedł z izby. Nie tylko alkohol tak na niego podziałał, lecz także zmęczenie i wyczerpanie.

- I to ma być mężczyzna! - zadrwił Szymon, po czym znów napełnił kubki Oisina i Buirre'a.

Perorując na temat dawnych czasów, kiedy to wszystko było lepsze, jednym uchem nasłuchiwał, co się dzieje na zewnątrz. W wieży powoli zapadała cisza. Zmęczenie po długim marszu przez całą Irlandię dopadło wszystkich.

Głowa Oisina opadła i przywódca klanu zaczął chrapać.

Zauważywszy to, Buirre mruknął, że musi się położyć.

- Zrób tak! Ja też zaraz poszukam sobie miejsca do spania - oznajmił Szymon i popatrzył za Buirre'em, który na chwiejnych nogach wyszedł z izby.

Teraz został z Oisinem sam na sam i z łatwością mógł zabić śmiertelnego wroga Ryszarda Haresgilla. Już sięgał po sztylet, ale ogarnął go lęk. Był na samym szczycie wieży. Jeśli ktoś odkryje, że zadźgał Oisina, Ui'Corra zdąży go posiekać na kawałki, zanim Ryszard Haresgill podejdzie ze swoimi żołnierzami choćby na sto kroków do wieży.

Siedział więc spokojnie i czekał, aż w budynku ucichnie ostatni dźwięk. Gdy słyszał już tylko szum morza i wycie wiatru wokół murów, wziął ze stołu oliwną lampkę i podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na ląd. Wystawiwszy przez nie lampkę, pomachał nią kilka razy. „To musi wystarczyć jako sygnał dla Haresgilla” - pomyślał i odetchnął, gdy u stóp pobliskiego wzgórza dostrzegł przez moment blask ognia.

Teraz należało rozwiązać ostatni problem, przy czym powinien zachować najwyższą

ostrożność. Wyszedłszy z izby, zakradł się po schodach na dół. Tuż przed sienią zatrzymał się i odłożył lampkę na gzyms. Zobaczył, że pod drzwiami wyjściowymi leży ciemny cień Gamhain, i odruchowo chwycił za miecz. Suka spała, lecz przez sen poruszała niespokojnie łapami. „Ta przeklęta bestia w każdej chwili może się obudzić” - pomyślał Szymon.

Mimo to oderwał dłoń od rękojeści miecza, jakby go parzyła. Jeśli teraz wysunie broń, suka najpewniej usłyszy ten dźwięk i zacznie szczekać. Zły, że nie pomyślał o tym wstrętnym kundlu, chwycił oparty o ścianę drąg. „Teraz muszę działać szybko” - postanowił.

Jednym skokiem pokonał ostatnie stopnie i natychmiast uderzył. Gamhain jednak zdążyła się zerwać na nogi i chciała go ugryźć. Wtedy drąg opadł na nią dwa razy, trafiając w głowę. Suka z cichym jękiem osunęła się na podłogę.

„Wredna bestia załatwiona!” - pomyślał Szymon z ulgą, otworzył drzwi i najciszej, jak się dało, spuścił drabinę.

Zaraz potem zobaczył grupę mężczyzn z pochodniami zbliżających się do wieży. To był najbardziej niebezpieczny dla niego moment, więc podszedł do schodów i zaczął nasłuchiwać. Na szczęście w wieży panowała cisza.

Angielscy żołnierze szybko się zbliżyli i Szymon dostrzegł pośród nich Haresgilla. Już trzymał w dłoni miecz, choć musiał przecież jeszcze wejść po drabinie.

- Wszystko poszło dobrze? - zapytał Szymona, jego zdaniem o wiele za głośno.

- Tak, ale pośpieszcie się teraz! Coś tam się dzieje na górze - odpowiedział Szymon, odsuwając się od drzwi.

Na znak dany przez Haresgilla jego żołnierze wspięli się po drabinie i wpadli do wnętrza wieży.

Szymon głęboko odetchnął. Począł, aż Haresgill znajdzie się w środku, a potem wskazał na schody.

- Oisin O’Corra nie ma tu w wieży nawet tuzina wojowników, wszyscy są teraz w pułapce.

- A gdzie pozostali? - zapytał nieufnie Haresgill.

- W chatkach wokół wieży. Jak tylko załatwimy Oisina, będziecie mogli się zająć także nimi - oznajmił Szymon.

Haresgill potrząsnął głową.

- To zbyt niepewne. Chcę dorwać ich wszystkich.

Tuzin ludzi idzie ze mną, pozostali atakują wioskę. Niech żaden mężczyzna nie ujdzie z życiem! A babom możecie powpychać do brzuchów swoje bachory, żebym za dziewięć miesięcy miał nowych parobków.

Roześmiał się cicho, a potem ruszył ze swoimi ludźmi po schodach.

Szymon postął jeszcze trochę przy drzwiach, potem pomyślał jednak, że chce wziąć Ciarę, zanim dopadną ją ludzie Haresgilla. Gdy pokonywał pierwsze stopnie, usłyszał dobiegający z góry dziki wrzask.

19

Saraid nie chciała spać w jednej izbie z Buirre'em, więc Ciara ulokowała ją razem z Bríd w malutkiej izdebce.

A sama wybrała sobie izbę, którą zamierzała dzielić z Ferdynandem. Była zmęczona, więc szybko się tam znalazła i położyła do łóżka. Obudziła się tylko na chwilę, gdy Ferdynand wrócił i zaczął zdejmować buty.

- Czy wy, mężczyźni, zawsze musicie robić tyle hałasu?

- mruknęła i zaraz potem znowu zasnęła.

Gdy się znów obudziła, słyszała tylko szum morza.

Towarzyszył jej przez całe dzieciństwo, ale tej nocy wydał jej się groźny. Zaniepokojona wstała i podeszła do okna. Fale w dole w regularnym rytmie uderzały o stromy brzeg. Przypomniała sobie, że jako dziecko bała się, że wieża się przewróci i wpadnie do morza. Teraz ogarnął ją podobny lęk, tylko że o wiele silniejszy.

„Opanuj się!” - szepnęła i postanowiła, że pójdzie do wychodka, zanim położy się z powrotem do łóżka.

Podszedłszy do drzwi, usłyszała na schodach kroki i ciche głosy rozmawiające po angielsku.

Przeżrana otworzyła drzwi i zobaczyła w świetle pochodni, że na górę wchodzą angielscy żołnierze. Jednym susem znalazła się przy Ferdynandzie i szturchnęła go.

- Wstawaj! Atakują nas - szepnęła i wymacała jego miecz, żeby mu go podać.

- Co ty mówisz? - Ferdynand się zerwał, chwycił miecz i pośpieszył do drzwi. Jednocześnie wydał z siebie ostrzegawczy okrzyk, tak głośny, że nawet mewy na klifie wyfrunęły przerażone ze swoich gniazd.

- Do broni! Zdrada, zdrada!

Zbiegł po schodach i uniósł miecz na pierwszego Anglika. Klatka schodowa była tak niska, że aż iskry poleciały, gdy zarysował czubkiem miecza sufit. Wtedy kopnął napastnika w pierś, aż ten przewrócił się na następnego.

Intruzi mocno się jednak chwycili sznura, który służył jako poręcz, i zaczęli atakować go pikami. Ferdynand cofał się na górę, aż zobaczył pod otwartymi drzwiami bladą jak kreda

Ciarę. Zawołał do niej, żeby podbiegła i razem z nim zaczęła wchodzić na górę. Lecz gdy Ciara próbowała to zrobić, Anglicy swoimi długimi pikami zapędzili ją z powrotem do izby.

Ani Ciara, ani Ferdynand nie mieli pojęcia, co się dzieje. Przerazona dziewczyna zatrzasnęła drzwi, a on bronił się mieczem przed Anglikami, kątem oka dostrzegając, że w głębiej położonym korytarzu otwierają się jakieś drzwi. Buirre, Seachlann i jego czterej towarzysze wybiegli na zewnątrz i rzucili się na napastników.

Irlandczycy byli w samych koszulach albo i bez, ale walczyli jak szaleni. Nie mieli jednak żadnych szans.

W ciągu paru chwil chronieni pancerzami i lepiej uzbrojeni Anglicy ich pokonali. Ostatni padł na swojego przyjaciela Seachlanna Buirre.

Ciara widziała to kątem oka, gdy próbowała przemknąć za plecami napastników na schody i pójść za Ferdynandem. Choć nie lubiła męża Saraid, poczuła ból w sercu. Zaraz potem znalazła się naprzeciwko Anglików, z których ostrzy kapała jeszcze krew jej rodaków. Jeden z napastników zagroził jej bronią, podczas gdy pozostali pobiegli za Ferdynandem.

Na jego szczęście schody były tak wąskie, że Anglicy przeszkadzali jeden drugiemu. Mimo to Ferdynand musiał się cofać stopień po stopniu, aż w końcu dotarł na piętro, na którym wieczorem pił razem z Oisinem, Szymonem i Buirre'em.

Ledwie dotarł na podest schodów, otwarły się drzwi i wypadł przez nie Oisín.

- Co się dzieje? - zapytał zdumiony.

- Zdrada! - wykrzyknął Ferdynand, trzęsąc się z gniewu. - Są tu jakieś piki, żebyśmy mogli trzymać ich na dystans? A najlepsze byłyby pistolety!

Oisín bezradnie rozłożył ręce.

- Mam tylko miecz i sztylet. - Nagle otworzył szeroko oczy i zawołał: - Uwaga!

Ferdynand też już zobaczył. Kilku Anglików weszło na górę z muszkietami i płonącymi lontami. Celowali prosto w nich. Pierwsza salwa zabrzmiała niczym grzmot, a on poczuł, że gorący ołów musnął mu policzek.

- Musimy iść na samą górę. Tam jest kłapa, której tak łatwo nie otworzą! - Oisín kiwnął na niego, odwracając wzrok od muszkietierów. Gdy rozległ się kolejny wystrzał, drgnął i krzyknął. W jego piersi pojawiła się czarna dziura wielkości kciuka, z której zaczęła wypływać krew.

Utrzymał się jednak na nogach i chwiejąc się, zaczął wchodzić wyżej.

- Chodź już! - ponaglił przyjaciela.

Ferdynand chwycił pierwszy mebel, jaki miał pod ręką, i zrzucił go w dół schodów. Potem wspiął się za Oisinem najszybciej, jak mógł. Znowu rozległy się wystrzały i stuk kul

uderzających o ściany. Ale tym razem nie trafili.

Tymczasem Oisin, dotarłszy na najwyższe piętro, wyciągnął rękę, żeby pomóc Ferdynandowi dostać się do izby pod samym dachem. Gdy ten się wdrapał, Oisin zatrzasnął klapę w podłodze i zasunął rygiel.

- Teraz będą musieli coś wymyślić. Tak łatwo się tu nie dostaną.

- Ale przecież my jesteśmy tutaj zamknięci i skazani na bezczynność! - ofuknął go Ferdynand. - Te łotry mają Ciarę. Musimy ją uwolnić!

- Zrobimy to. Jakoś! Na świętego Pádraiga, powinienem był kazać tu wnieść kilka pistoletów. Wtedy moglibyśmy dać im popalić. Ale tak... - Jego słowa zagłuszył kaszel.

Gdy otarł usta ręką, zobaczył na niej krew.

- Wygląda na to, przyjacielu, że mnie załatwili. Ale to dobrze. Najlepsi ludzie z naszego klanu już czekają na mnie po drugiej stronie.

- Nie wolno wam tak mówić! Musimy uwolnić Ciarę! - zawołał zrozpaczony Ferdynand.

Oisin w napięciu uniósł rękę.

- Bądź cicho! Coś słyszę!

Ferdynand też nadstawił uszu i usłyszał czyjś szorstki głos.

- Nie będę ryzykować utraty dobrych ludzi, żeby wykurzyć ich z tego gołębnika. Przynieście proch i lonty!

Wysadzimy szczyt wieży, a oni trafią prosto do piekła.

- Haresgill! Osiągnął swój cel. - Oisin osunął się na podłogę i oparł poszarzałą twarz o deski. Krew ciekła mu pomiędzy przyciśniętymi do rany palcami, a jego mina zdradzała, że już się poddał.

Ferdynand nie widział innego wyjścia, jak tylko rzucić się na dół i zabrać ze sobą tyłu Anglików, ilu zdoła. Już miał się pożegnać z Oisinem, gdy ten mocno złapał go za rękę.

- Nie możecie bezsensownie poświęcić swego życia, przyjacielu. Widzicie to okno tam? Jest wąskie, ale może uda wam się precyzyjnie przycisnąć i skoczyć do morza. Jest głęboko, ale ponoć Eachanna O'Néilla, zabójcę mojego przodka Brana, zamknięto w tej izbie, a on uciekł w taki właśnie sposób.

Ferdynand potrząsnął głową.

- Niemożliwe! Roztrzaskam się o skały.

- Tam jest miejsce bez skał. Przynajmniej spróbujcie!

Tu czeka was pewna śmierć. Pomyślcie o Ciarze!

Przecież chcecie ją uwolnić.

Ferdynand uległ namowom Irlandczyka, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Skinął głową i odwrócił się.

- Bez was nie idę!

- Musicie, mój przyjacielu! Moje życie dobiega końca i nikomu się już nie przydam. Powodzenia! Pozwólcie mi jeszcze powiedzieć, że jestem dumny, że mogłem walczyć u waszego boku. Ratujcie Ciarę! - Po tych słowach głowa opadła Oisnowi na pierś i Ferdynand zrozumiał, że wraz z krwią wypłynęło z niego życie.

Z dołu dobiegły go głosy Anglików. Usłyszał, jak jeden stwierdził, że prochu już wystarczy. Zdecydowanym ruchem przecisnął się przez okno, spojrzął w dół i skoczył. Spadając nogami w dół, modlił się o pomoc do wszystkich świętych.

20

Ciara patrzyła bezradnie, jak Ferdynand i jej brat wycofują się w górę wieży. Gdy udało im się dotrzeć na najwyższe piętro i zatrzasnąć za sobą klapę, kamień spadł jej z serca. Lecz wtedy na jej piętrze pojawił się Haresgill i rozkazał wysadzić szczyt wieży.

Przepełniona nienawiścią cofnęła się do łóżka i chwyciła swój sztylet. Nawet jeśli zapłaci za to życiem, nie pozwoli swemu wrogowi zatriumfować.

Akurat podeszła do drzwi, gdy jeden z Anglików zauważył ostrze w jej dłoni i uderzył ją płazem miecza.

Ciara, wydawszy z siebie zduszony jęk, osunęła się na podłogę. Haresgill obrócił się i spojrzął na młodą kobietę, która nawet nieprzytomna wciąż zaciskała dłoń na sztylcie.

Angielski szlachcic z drwiącą miną, która miała ukryć strach, pochylił się nad Irlandką.

- Piękną klaczkę chciałby mieć dla siebie nasz przyjaciel Kirchberg. Najchętniej sam bym ją ujeździł!

Jego nienawiść do Ui'Corra była tak wielka, że zaczął się zastanawiać, czy nie odmówić dziewczyny Kirchbergowi. Wtedy jednak musiały się pozbyć także Kirchberga, żeby nie obawiać się jego zemsty. W końcu dał mu słowo, i to publicznie. Jeśli nie chce wyjść w oczach swoich ludzi na krzywoprzysięcę i zdrajcę, nie ma wyjścia i musi oddać dziewczynę Niemcowi.

- Gdzie Kirchberg? - zapytał.

- Tutaj! - Gdy walki w wieży dobiegły końca, Szymon odważył się wejść na górę.

Haresgill wskazał na Ciarę.

- Weźcie sobie tę dziewczkę! Deasún O'Corraidh zabierze was do najbliższego

kontrolowanego przez Anglików portu. Stamtąd możecie wyruszyć do Londynu i przedstawić Jej Królewskiej Mości waszą prośbę.

- Ale przecież wy mieliście... - zaczął Szymon, lecz Haresgill przerwał mu szorstko:

- Co mogłem dla was zrobić, już uczyniłem. A teraz opuśćmy lepiej tę wieżę, żeby ostatni O'Corra mógł z hukiem wyruszyć do piekła!

„A Ferdynand razem z nim” - pomyślał Szymon z ponurą satysfakcją, podnosząc z podłogi Ciarę, by znieść ją na dół.

Gdy Haresgill też chciał opuścić wieżę, podszedł jego zastępca.

- Złapaliśmy dwie kobiety, muszę przyznać, że całkiem niebrzydkie. Po Irlandkach nigdy bym się nie spodziewał.

Na jego skinienie dwóch żołnierzy wepchnęło do środka Saraid i Bríd. Haresgill zmierzył wzrokiem obie wystraszone niewiasty i skinął głową.

- Niezły połów! Najpierw skorzystam z wdzięków jednej, a potem tej drugiej. Potem wy możecie je mieć, wszyscy po kolei.

- Angielska świnią! - warknęła Saraid.

Lecz Haresgill tylko się roześmiał i rozkazał zabrać je obie na zewnątrz.

- Paru Irlandczyków wciąż żyje. Mamy im poderżnąć gardła? - zapytał jego zastępca.

- Zostawcie! I tak zginą, gdy zawali się wieża! - odparł Haresgill, po czym zszedł na dół. Nie zauważył, że Buirre lekko się uniosł i powiódł za nim przekrwionymi oczami.

Ostatni Anglik podpalił lont, zanim opuścił wieżę.

Potem słychać było tylko syk ognia i nieustający szum morskiej kipieli. Buirre zrozumiał, że umrze, jeśli zostanie na miejscu, więc podniósł się z trudem i stanął na nogach.

W dół po schodach szło mu się tak ciężko, że musiał się przytrzymywać starego sznura, który służył za poręcz.

W którymś momencie wyczuł, że ktoś za nim idzie.

Odwrócił się i zobaczył Seachlanna. Krew ciekła mu strumieniem z rany na głowie, ale się uśmiechnął.

- Cieszę się, że i ty stoisz na własnych nogach, stary przyjacielu!

Buirre, popatrzawszy na płomień lontu, który szybko mknął w górę schodów, zrozumiał, że nie zdoła go dogonić i ugasić.

- Musimy się stąd wydostać! Wysadzają wieżę!

- Wydostać się? I wpaść Anglikom prosto pod miecze?

- Zanim Seachlann zdołał wykrzesać z obolałej głowy jakąś klarowną myśl, otwarła się kłapa zamykająca spiżarnię w piwnicy, a Hufeisen wyciągnął rękę i chwycił go za nogę.

- Szybciej, chodźcie tutaj! Mury są grube, a sklepienie porządne. Może wytrzymają wybuch.

Buirre z Seachlannem zeszli do piwnicy. Hufeisen zamknął za nimi masywną klapę i zasunął rygiel.

Zaraz potem rozległ się huk. Wieża się zachwiała, jakby się miała przewrócić. Pojedyncze kamienie rozprysły się niczym szkło, zasypując piwnicę odłamkami. Sklepienie jednak wytrzymało, a gdy hałas ucichł, Hufeisen wiedział, że przeżyli wybuch.

- Skąd się tutaj wziąłeś? - zapytał Buirre z nieufną miną.

- Ionatán i ja obudziliśmy się, gdy oni byli już w wieży - wyjaśnił Hufeisen. - Było ich zbyt wielu, żebyśmy mogli dać im radę. Pomyślałem sobie więc, że się ukryjemy i poczekamy na lepszą okazję, a wtedy może uwolnimy tych, których wzięli do niewoli. - Hufeisen sam miał wątpliwości, czy postąpił mądrze, czy też zachował się jak tchórz, porzucając swojego pana.

Otrząsnął się i wskazał na klapę w suficie.

- Sprawdźmy teraz, czy zdołamy się wydostać z tego przeklętego miejsca.

- Mają zgwałcić Saraid, i to wszyscy po kolei. I Bríd też - wyrwało się Buirre'owi.

Twarz Hufeisena sposepniała.

- Chodźcie! Mamy coś do zrobienia!

Podobnie jak pozostali, zdawał sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie będą musieli zabić obie niewiasty, żeby nie padły ofiarą Haresgilla i jego żołnierzy. Ich też będzie to kosztować życie, ale jeśli wyślą paru Anglików do piekła, to warto tę cenę zapłacić. Hufeisen i Ionatán ze wszystkich sił natarli na klapę w suficie, żeby ją otworzyć. Ale nie dali rady. Już zaczęli się obawiać, że zostali pochowani żywcem, jednak zebrali wszystkie siły i jeszcze raz natarli na drewno. W końcu usłyszeli, jak przesypuje się nad nimi gruz, i podwoili wysiłki. Po chwili udało im się popchnąć klapę do góry i wyrzucić.

Na zewnątrz leżała sięgająca niemal kolan warstwa kamieni i pyłu, a schody zasypane były gruzem. Gdyby wejście do piwnicy nie leżało pod schodami, nie zdołaliby wyjść. Hufeisen i Ionatán uprzętałi schody stopień za stopniem, aż udało im się dotrzeć do drzwi wejściowych wieży. Dopiero teraz zauważyli, że górna część budynku nie istnieje. Ujrzeni nad sobą niebo. Słońce właśnie wstawało po nocy, która przyniosła ich bliskim śmierć i zgubę.

21

Ryszard Haresgill wydał okrzyk triumfu, gdy szczyt wieży się rozpadł i deszcz odłamków osunął się do morza.

- No, to w końcu Oisín O'Corra został załatwiony!

Kilka kroków dalej Szymon von Kirchberg z mieszanymi uczuciami wpatrywał się w ruinę. Wiedział, że Ferdynand też był na szczycie wieży. Podobnie jak taoiseach Ui'Corra, jego kuzyn też był martwy, a jego pogruchotane ciało kołysało teraz wzburzone morze.

Zadrżał i odwrócił się, żeby wsiąść na ogiera, którego Ferdynand nigdy już nie dosiędzie.

Deasún O'Corraidh podał mu Ciarę. Irlandka wciąż wyglądała na nieprzytomną, lecz oczy miała szeroko otwarte. Powinien jak najszybciej opuścić to miejsce, zanim całkiem oprzytomnieje i zrozumie, że sprzymierzył się ze śmiertelnym wrogiem jej klanu.

- Wyruszam - powiedział do Haresgilla.

- I dobrze! - Haresgill nie zwracał już na niego uwagi, tylko podszedł do Saraid i Bríd. Siedziały na ziemi ze związanymi rękoma i z przerażeniem patrzyły na stare mury, z których została zaledwie połowa. Dopiero gdy Ryszard Haresgill chwycił Saraid i podciągnął do góry, zrozumiały, że ich los będzie gorszy niż los przyjaciół, którzy stracili życie przysypani gruzem.

- A więc jesteś kuzynką O'Corry. Ponieważ nie mogłem dostać twojej siostry, powetuję sobie stratę na tobie i skorzystam z twoich ud.

Złapał Saraid za koszulę i rozerwał ją, odsłaniając pełne piersi.

- Wygląda na to, że ujeżdżenie ciebie może być całkiem przyjemne - stwierdził z uśmiechem.

W tej chwili podszedł do niego jeden z żołnierzy.

- Wybaczcie, sir. Ale spotkaliśmy we wsi parę starszych ludzi. Gdy ich zapytaliśmy, gdzie są pozostali, odpowiedzieli, że spróbują się przedrzeć do O'Domhnaillów i poproszą ich o przyjęcie.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz? Dalej, idźcie za tymi świniami i zarżnijcie je! - ryknął rozwścieczony Haresgill.

- Mają nad nami sporą przewagę. My...

- Jesteście głupcami! Pewnie byliście za głośno i usłyszeli, że nadchodzicie. Kto tylko mógł, zwał, a reszta poczęstowała was kłamstwami. Ruszajcie natychmiast! Ostatni O'Corra nie mogli ująć daleko. Ze mną zostaje pięciu ludzi. Reszta ich ściga!

Rozkaz nie bardzo spodobał się żołnierzom, ponieważ liczyli na to, że skorzystają z uroków wziętych do niewoli kobiet. Znali jednak swojego dowódcę na tyle dobrze, że nie odważyli się sprzeciwić. Zastępca Haresgilla wybrał pięciu ludzi, którzy mieli zostać z dowódcą, a sam wyruszył na czele reszty, by dopaść Aithila O'Corrę i innych, którzy im

umknęli.

Haresgill patrzył za nimi, aż zniknęli za najbliższym wzgórzem. Wtedy znów zwrócił się do Saraid i zaczął zdejmować zbroję, która przeszkadzałaby mu w tym, co miał zamiar zrobić.

- Rozbierzcie je! Obie! - rzucił do swoich ludzi.

Żołnierze z wrzaskiem rzucili się zdzierać z kobiet koszule, w których spały, a potem przewrócili Saraid na ziemię i przytrzymali ją.

- Tylko żeby mnie żaden nie ubiegł! Bo pożałuje! - ostrzegł jeszcze Haresgill, a potem rozpiął spodnie i ze sterczącym członkiem stanął przed Saraid.

- Zaraz cię na to nadzieję! - Roześmiał się, a Saraid splunęła w jego stronę.

Wtedy spostrzegła, że za plecami Anglików kilku mężczyzn schodzi po drabinie z na w górę zburzonej wieży i kieruje się w ich stronę. Na ich czele szedł Buirre.

Nigdy dotąd nie ucieszyła się na jego widok tak, jak w tym momencie. Żeby ludzie Haresgilla nie zwrócili na nich uwagi, zaczęła głośno wymyślać i przeklinać angielskiego szlachcica.

- Ty czarci pomocie! - wrzeszczała. - Ty bękartie jeden! Co z ciebie za człowiek?!

Haresgill pochylił się nad nią i uderzył ją w twarz.

- Jak z tobą skończymy, będziesz mi lizać stopy niczym pies i błagać, żebym dał ci szybką śmierć.

- Możesz sobie pomarzyć! - Buirre jednym susem znalazł się przy Haresgillu, uniósł miecz i odrąbał mu głowę.

Jednocześnie Hufeisen, Seachlann i Ionatán zaatakowali pięciu ludzi, którzy zostali z dowódcą. Anglicy byli zbyt zaskoczeni, by móc się oprzeć wściekłej nienawiści trzech Irlandczyków i najemnego żołnierza. Hufeisen zabił dwóch jednym uderzeniem miecza, jednego powalił Seachlann, a kolejnego Ionatán. Ostatni Anglik padł na bezgłowe ciało swojego dowódcy po ciosie Buirre'a.

- Poszło lepiej niż się spodziewałem. Postarajmy się jednak zniknąć stąd, zanim wróci główny oddział Haresgilla - przypomniał Hufeisen.

Jednocześnie pochylił się nad Saraid i rozwiązał krępujący ją powróż.

- Dziękuję! - szepnęła, przyciągając resztki nocnej koszuli, by osłonić swą nagość.

Ionatán uwolnił Bríd. Podał jej porwaną koszulę, a potem oponczę Haresgilla.

- Sprawdzę w ruinach, czy jest tam jakieś damskie odzienie. My też nie powinniśmy biegać w samych koszulach - oznajmił.

- Zostań tutaj! Chyba że chcesz, żeby reszta wieży zawaliła się prosto na ciebie. -

Hufeisen chwycił młodego Irlandczyka za ramię i popchnął go w stronę jednego z zabitych żołnierzy. - Weźmiemy ubranie Anglików! Panie też muszą się tym zadowolić. Chyba że wolicie biegać na golasa?

Saraid potrząsnęła głową i zaczęła rozbierać jednego z drobniejszych Anglików. Bríd z wyraźnym wahaniem poszła w jej ślady.

- Dobry pomysł! - pochwalił Hufeisena Buirre, ale sam wcale się tym nie zajął.

- Co z tobą? - zapytał Niemiec, obdzierając zabitego wroga z odzienia.

- Musicie zyskać trochę czasu. I ja wam go zapewnię - odpowiedział Buirre.

- Idziesz z nami! - Saraid chciała mu rzucić koszulę, ale pokręcił głową.

- Za mocno mnie ranili, byłbym wam kulą u nogi.

Spróbujcie uwolnić Ciarę! Ten przeklęty Szymon von Kirchberg zabrał ją ze sobą. Jeśli dobrze zrozumiałem, chce pojechać z nią do Londynu, żeby zgarnąć nagrodę za swoją zdradę.

Hufeisen warknął niczym wściekły pies.

- Do Londynu? To kawał drogi.

Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie słów Buirre'a i zaczął rzucać przekleństwami.

- Niech piekło pochłonie tego nędznika Szymona! Przez swoją zdradę jest winien śmierci własnego kuzyna tak samo, jakby go osobiście udusił.

- Ubierz się! - upomniął go Buirre i oparł się o skałę, by oszczędzić siły na chwilę, gdy powrócą Anglicy.

- Opatrzę cię - usłyszał głos Saraid.

- Uczyń to! Może wtedy wytrzymam trochę dłużej! - Buirre uniósł ręce, by Saraid mogła obwiązać rany na jego piersi.

- Chodź z nami! Będziemy znowu żyć jak mąż i żona - szepnęła, a łzy popłynęły jej z oczu.

- Dobra z ciebie kobieta - odpowiedział. - Ale jestem ciężko ranny. Poza tym mam dług do spłacenia.

- Dług?

- Maeve! Ionatán, ona byłaby ci wspaniałą żoną, gdyby nie te łotry. Ale teraz idźcie! Saraid wiedziała, że nie przekona męża. Szybkim ruchem chwyciła go za głowę i pocałowała. A potem odwróciła się i pobiegła. Bríd i Ionatán natychmiast za nią ruszyli.

Gdy Hufeisen też chciał odejść, Buirre go zatrzymał.

- Będziecie potrzebowali pieniędzy, jeśli chcecie odszukać Ciarę. Haresgill już swoich

nie potrzebuje.

Nie mieli śmiałości, by obedrzeć ciało szlachcica z odzienia, tak jak uczynili z jego żołnierzami, ale teraz Hufeisen pochylił się nad nim i odciął sakiewkę od jego pasa, a potem zasalutował Buirre'owi.

- Jesteś wielkim wojownikiem! Będę o tobie pamiętać i będę opowiadać o twojej dzielności - powiedział i ruszył w drogę.

Seachlann popatrzył za nim i usiadł obok Buirre'a.

- Zostanę przy tobie. Żyliśmy jak przyjaciele i umrzemy jak przyjaciele. Ale też powinieneś włożyć angielski ubiór. Jeśli uda nam się ich zmylić, zabijemy kilku więcej.

- Dobry pomysł, mój przyjacielu - odpowiedział Buirre z uśmiechem. - Tylko będziesz mi musiał pomóc.

Jestem już bardzo słaby, a ostatek sił wolę zostawić dla Anglików.

22

Ferdynandowi zdawało się, że spada bez końca.

Wstrzymał oddech i starał się nie myśleć o ostrych skałach, które czekały na niego na dole ani o morskiej kipieli potrafiącej rozcierać kamienie w pył. Gdy woda była już blisko, wyprostował się i zanurzył w niej najpierw stopy. Mimo to uderzenie było potężne. Na chwilę stracił przytomność, ale zimna woda Atlantyku natychmiast go otrzeźwiła i zaczął płynąć przed siebie, byle dalej od groźnych skał.

Nagle rozległ się koszmarny huk. Poczuł, że coś wielkiego i ciężkiego uderzyło za nim w wodę, a powstała fala porwała go ze sobą. Coś boleśnie trafiło go w plecy i popchnęło w dół. Zaczął rozpaczliwie machać rękoma, żeby się wydostać na powierzchnię, ale wtedy nadeszła jeszcze większa fala i poniosła go daleko w morze. Zawrócił przerażony, próbując się skierować ku piaszczystemu fragmentowi wybrzeża. Spostrzegł, że z wieży pozostała tylko jej dolna część, i zrozumiał, że Oisín O'Corra dołączył do swych przodków. On jednak musiał walczyć o życie w tym niezwykłym dla siebie środowisku. Nigdy nie był dobrym pływakiem, a prąd wynosił go coraz dalej w morze. Przesiąknięte wodą buty i ubranie ciążyły niczym ołów, wciągając go głębiej pod wodę. Rozpaczliwie wymachując nogami, pozbył się butów i zerwał z siebie ubranie. Opił się przy tym mnóstwa wody, ale jakimś cudem udało mu się utrzymać na powierzchni. Gdy w końcu mógł się rozejrzeć dokoła, brzeg był już tak daleko, że nie było szansy, żeby do niego dopłynął.

[41] Enniskillen - angielska nazwa miasta Inis Ceithleann w północnej Irlandii.

[42] Béal Tairbirt (ang. Belturbet) - miasto w Irlandii, niedaleko granicy z Irlandią

Północną.

CZĘŚĆ ÓSMA

Igła w stogu siana

1

Bríd wyraźnie nie czuła się dobrze w żołnierskim odzieniu. Ubranie było na nią za duże, a materiał zbyt szorstki. Poza tym uważała, że to grzech wkładać na siebie męski strój, zwłaszcza należący do znenawidzonego wroga. Nie mogła jednak wędrować nago, więc nie miała wyjścia. Pocieszała się tym, że przy najbliższej spowiedzi ksiądz na pewno udzieli jej rozgrzeszenia za ten występki.

- Myślicie, że zostawiliśmy już w tyle ludzi Haresgilla? - zapytała po jakimś czasie.

- Mam nadzieję - odpowiedział Hufeisen. Wyglądał teraz jak prawdziwy angielski żołnierz, a Bríd nie mogła na niego patrzeć, nie drżąc z odrazy. Ionatán też miał na sobie angielski strój żołnierza i czuł się w nim fatalnie.

- A dokąd tak właściwie zmierzamy? - zapytał.

- Kawalek na północ jest na wybrzeżu niewielkie miasteczko z portem - oznajmiła Saraid. - Przypuszczam, że ten łotr Szymon tam się właśnie udał. Może zdołamy go dogonić i uwolnić Ciarę. Jednakże ani Bríd, ani ja nie możemy się tam pokazać w męskim odzieniu. Nie słyszałam dotąd, żeby Anglicy powoływali pod broń niewiasty.

- Gdy tylko zbliżymy się do miasta, zostaniecie z Ionatánem w jakiejś kryjówce, a ja poszukam wam jakichś ubrań. - Hufeisen chciał coś dodać, gdy gdzieś blisko rozległo się szczekanie.

Bríd zadrżała, ale potem pokręciła głową.

- Przecież to Gamhain! - wykrzyknęła. - Gamhain, tutaj!

Chwilę potem zjawiła się przed nimi olbrzymia suka.

Kuśtykała na trzech łapach, a czwartą ciągnęła za sobą.

- Mój Boże, Gamhain! - Bríd pośpieszyła do psa i objęła go za szyję. A potem spojrzała jej karcąco w oczy. - Dlaczego nie ostrzegłaś nas przed tymi złymi Anglikami?

- Na pewno chciała. Ale wygląda na to, że porządnie oberwała w głowę! - Hufeisen wskazał wielkiego guza na czaszce Gamhain i krew, która zaschła jej na sierści.

Szybko klęknął obok i zbadał chorą nogę suki. Po chwili odetchnął z ulgą, bo kości okazały się całe.

- Wygląda na to, że została ranna podczas wybuchu. To cud, że udało jej się wydostać

z wieży.

- Powinniśmy byli jej poszukać - wtrącił Ionatán.

- Przecież myśleliśmy, że nie żyje. Tym bardziej się cieszę, że z nami jest. - Hufeisen owinął kawałek materiału wokół rannej łapy, a potem poklepał Gamhain po grzbiecie. - No, moja miła. Teraz sprawdź, czy lepiej ci się biega.

Suka posłusznie przeszła kilka kroków. Wciąż kuśtykała na trzech łapach, ale już tak bardzo nie ciągnęła za sobą tej czwartej.

Hufeisen z zadowoleniem pokiwał głową i ruszył dalej.

Pozostali poszli jego śladem, a Gamhain dzielnie dotrzymywała im kroku. Jakiś czas potem zatrzymała się jednak i zaczęła węszyć. Nagle zaskomlała i kuśtykając, pobiegła ku brzegowi morza.

- Co to ma znaczyć, Gamhain?! - zawołał za nią rozgniewany Hufeisen.

- Może jest głodna i chce coś upolować - powiedział Ionatán.

Saraid pokręciła głową.

- Jak jest głodna, to zachowuje się inaczej. Myślę, że powinniśmy za nią pójść.

- A jeśli wyprowadzi nas prosto na angielską armię? - wtrąciła Bríd.

- Na pewno nie! - Saraid pobiegła za suką, nie dając pozostałym czasu na podjęcie decyzji. Po chwili znaleźli się na brzegu morza. Wybrzeże było tutaj płaskie, a fale przelewały się po sporych kamykach.

Gamhain wbiegła tak daleko w morze, aż woda sięgnęła jej piersi, i zaczęła szczeleć.

- Nie tak głośno! Jeszcze ktoś cię usłyszy! - zawołała przestraszona Bríd.

- Spójrzcie tam! - powiedziała Saraid drżącym głosem, wskazując na morze.

Jakiś człowiek, który był drobinką w oddali, starał się płynąć w stronę brzegu.

- To na pewno zjawa, która chce doprowadzić nas do zguby! - Bríd i Saraid zadrżały, a Ionatán aż się cofnął przestraszony, tylko Hufeisen zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć.

- Jak na zjawę, to bardzo kiepsko pływa - stwierdził.

Ale sam nie był przekonany. Mimo to pozostał na brzegu i patrzył, jak tajemnicza postać pomału się zbliża.

Wkrótce rozpoznał, że to człowiek, tyle że nagi jak go Pan Bóg stworzył. Po kolejnych kilku minutach zorientował się, kogo widzi.

- Pan Ferdynand! Na Boga, już biegnę! - Hufeisen w ubraniu wpadł do wody i złapał Ferdynanda za rękę.

W ostatniej chwili, bo ten nie miał już sił i chyba nie dotarłby na brzeg. Hufeisen objął go i stanął mocno na dnie, żeby nie przewróciły go fale. Stracił równowagę, zachwiał się, lecz

był już obok niego Ionatán i we dwóch udało im się wyprowadzić Ferdynanda na ląd.

Młodzieniec wyglądał strasznie. Całe jego ciało pokrywały krwawe otarcia, a na plecach miał wielki fioletowy siniak. Nie mógł też nic powiedzieć, bo cały czas wymiotował wodą.

Hufeisen podtrzymywał go, żeby wszystko zwrócił.

- To musi być pan Ferdynand, a nie duch, bo nie byłby taki pokaleczony.

Ta uwaga sprawiła, że napięcie opadło. Bríd zdjęła opończę Haresgilla i otuliła nią Ferdynanda. Saraid nie powstrzymała się od drwiącego komentarza:

- Co, nigdy nie widziałas nagiego mężczyzny?

- Widziałam, ale pomyślałam, że pan Ferdynand marznie - odpowiedziała służka.

- I miałaś rację! - Hufeisen zaczął rozcierać dłonie Ferdynanda, żeby je ogrzać.

Powieki młodego człowieka zadrżały i zaraz potem otworzył oczy. A wtedy cała jego twarz się rozpromieniła.

- Witajcie wśród żywych, panie Ferdynandzie. Mówię to tylko po to, żebyście nie wzięli nas za zjawy.

- Hufeisen! Co się stało? Oisín i ja... - Wspomnienie ostatnich chwil na wieży i skoku w otchłań go przytłoczyło. - Mój Boże, jak to się mogło stać?

- Wasz kuzyn nas zdradził - wyjaśniła Saraid gorzkim tonem. - Przyprowadził pod wieżę Haresgilla oraz jego ludzi i w nocy otworzył im drzwi.

- Ogluszył też Gamhain, żeby nie mogła nas ostrzec - dodał Ionatán.

Załamany Ferdynand spuścił głowę.

- Tak przeczuwałem. Ale on był przecież przyjacielem Oisina!

- Okazał się judaszem! A teraz zmierza do Londynu, żeby odebrać swoje srebrniki. -

Głos Saraid aż drżał z nienawiści.

Ferdynand zadał pytanie, które najbardziej go trapiło, choć bał się odpowiedzi, jaką może usłyszeć.

- A co z Ciarą?

- Wasz kuzyn zabrał ją ze sobą. Jest zapewne w drodze do Londynu. A jakie ma wobec niej zamiary, tego nie wiemy. - Hufeisen opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się w nocy i rankiem, a potem zapytał, jak Ferdynandowi udało się wydostać z walącej się wieży.

- Oisín powiedział mi, żebym się przecisnął przez okno i skoczył do morza. Wieża wybuchła dopiero potem - odpowiedział Ferdynand tak cicho, jakby się wstydził, że przeżył katastrofę.

- Więc to jednak możliwe! - wykrzyknęła Saraid. - Zawsze uważaliśmy, że to tylko

legenda, jakoby Eachann O’Neill uciekł ze szczytu wieży. Wydawało nam się, że morze i klif są zbyt niebezpieczne, żeby ktoś odważył się skoczyć.

- Drugi raz już bym tego nie zrobił. - Ferdynand z trudnością uniósł rękę i pogłaskał Gamhain, która przytuliła się do niego i lizała go po dłoniach.

- A więc Szymon zmierza do Londynu. Wiecie, z którego portu chce wyruszyć? - zapytał.

- Nie, nic o tym nie wiemy - powiedziała Saraid.

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak ich szukać. Jeśli dopisze nam szczęście, złapiemy ich jeszcze w Irlandii. A jeśli nie, to też będziemy musieli się wybrać do Londynu. Tam już na pewno znajdziemy Ciarę i ją uwolnimy. - Ferdynand zrobił przy tych słowach taką minę, że jego kuzynowi na ten widok niechybnie dreszcz przeszedłby po plecach.

- Chyba tak będzie trzeba - zgodził się z nim Hufeisen, natomiast Bríd wysunęła ręce w obronnym geście.

- Do Londynu? To przecież w Anglii.

- Obiecuję, że wydam cię Anglikom na pożarcie tylko w razie konieczności - odpowiedział Hufeisen, prowokując Ferdynanda, Saraid i Ionatána do śmiechu.

Bríd rzuciła mu jednak tak nieufne spojrzenie, jakby nie wiedziała, czy żartował, czy mówił poważnie.

2

Ciara nie wiedziała, czy śni jej się koszmar, czy też obrazy, które podsuwa jej wyobraźnia, to rzeczywistość.

Widziała, jak angielscy żołnierze szturmują wieżę i zabijają jej ludzi. Haresgill tańczył przed jej oczami, wykrzykując raz po raz, że w końcu dopadł Oisina.

Usłyszała też potworny huk i wydawało jej się, że widzi, jak szczyt wieży wylatuje w powietrze. Na myśl o tym, że właśnie tam umarli Ferdynand i jej brat, wybuchła płaczem.

Szymon wyczuł, że wzięta w niewolę dziewczyna jest zrozpaczona i z początku się ucieszył. Dopóki Ciara płacze, nie będzie mu zadawać żadnych pytań. Będzie miał czas wymyślić jakąś historyjkę, która zabrzmi wystarczająco wiarygodnie, żeby w nią uwierzyła. Bardzo w związku z tym uważał, żeby nie wymknęło mu się jakieś nieprzemyślane słowo, gdy rozmawiał z Deasúnem. Był przekonany, że Ciara nie ma pojęcia o jego zdradzie, więc zamierzał przedstawić Deasúna jako bijącego się w piersi dezterera, który do niego dołączył.

Ciara siedziała w kucki na ziemi, odmawiając jedzenia i picia. Szymon skinął na

Irlandczyka, żeby się przybliżył.

- O co chodzi, wasza lordowska mość? - zapytał Deasún usłużnym tonem.

- Nie chcę, żeby ona się dowiedziała, co tak naprawdę się wydarzyło, jasne?

Irlandczyk skinął głową.

- Już o tym pomyślałem, wasza lordowska mość.

Najlepiej powiedzieć, że spaliście głęboko podczas szturmowania wieży i obudziliście się dopiero wtedy, gdy się zawaliła. Dzięki łasce Boga, Syna Jego Jednorodzonego i Ducha Świętego - Deasún się przeżegnał - udało wam się wydostać z wysadzonej wieży, znaleźliście panią Ciarę związaną na ziemi, zabraliście ją niepostrzeżenie i wsiedliście na konia. Tak udało wam się uciec, a potem po drodze spotkaliście mnie. Jeśli o mnie chodzi, to ja zmierzałem do Oisina O'Corry, żeby znowu do niego dołączyć.

- Świetna historyjka - pochwalił Szymon. - Ma tylko jeden haczyk. Kto otworzył Haresgillowi i jego ludziom drzwi do wieży?

- Może Hufeisen, a w nagrodę Haresgill ma mu umożliwić powrót do domu? - zaproponował Deasún.

- Nieźle! - Szymon roześmiał się cicho, ale potem pokręcił głową. - Ciara w to nie uwierzy. Hufeisen był zbyt oddany mojemu kuzynowi.

- No to może Ionatán, bo się bał, że Haresgill będzie go torturował, jeśli go nie posłucha.

Szymon odrzucił i tę propozycję.

- Weźmy Aithila! Chciał się pozbyć Oisina, bo ten sprowadził na klan same nieszczęścia. Poza tym pragnął zostać nowym taoiseachem O'Corrów.

- Brzmi sensownie - przyznał Deasún z uśmiechem. - Ale teraz ruszajmy dalej. Wciąż znajdujemy się na terytorium Ui'Domhnaill, a nie chcecie przecież, żeby skrócili was o głowę, gdy uznają, że z nią jesteście za wysocy.

Poczucie humoru Irlandczyków wydawało się Szymonowi czasem dziwne. Jednak ten człowiek był sprytny i mógł mu się przydać do nadzorowania irlandzkich parobków, gdy wróci już z Londynu jako właściciel ziemski. Ta piękna perspektywa nie sprawiła jednak, by zapomniał o tu i teraz.

Podszedł do Ciary i nachylił się.

- Wybaczcie, ale musimy jechać dalej. Mogą się tu kręcić Anglicy.

- Anglicy! - Na to słowo Ciara poczuła, że włoski na karku stają jej dęba.

- Musimy zachować ostrożność! - upomniał ją Szymon.

- Najlepiej będzie, jeśli jak najprędzej opuścimy Irlandię.

- A co z pozostałymi?! - wykrzyknęła oburzona Ciara.

Szymon z udawanym przygnębieniem opuścił głowę.

- Wszyscy zginęli. Zdołałem uratować tylko was!

- Zginęli? Wszyscy?! - wykrzyknęła Ciara, a niepohamowany szloch wstrząsnął jej ciałem.

Oslabiona nie opierała się, gdy Szymon wsadzał ją przed siebie na konia. Kiedy ruszył w drogę, od razu poczuł się lepiej. Wyglądało na to, że Ciara uwierzyła w jego historyjkę. Będzie jednak musiał udawać pogrążonego w żałobie po Ferdynandzie krewnego, żeby wypaść przekonująco. Raz po raz wspominał więc z żalem o śmierci swojego kuzyna i oznajmiał, jak ogromnie mu wstyd, że sam przeżył, a jego młodszy krewniak nie.

Ciara powoli odyskiwała przytomność umysłu i zadała w końcu pytanie, którego Szymon się spodziewał.

- Kto nas zdradził?

- Aithil! - odparł natychmiast Szymon. - Chciał zostać nowym taoiseachem Ui'Corra. Haresgill pozwolił mu odejść ze wszystkimi, którzy chcieli z nim pójść.

Ciara przypomniała sobie, że do wsi razem z Aithilem poszło więcej członków klanu niż się spodziewała.

Wyraźnie widać było rozłam wewnątrz klanu. Nigdy by jednak nie pomyślała, że Aithil mógłby uczynić coś takiego. Poza tym informacje, którymi tak hojnie szafował Szymon, wydały jej się podejrzone.

- Skąd to wszystko wiecie? - zapytała.

„Przeklęta dziewczyna, po co jest taka ciekawska” - pomyślał Szymon. Smutno się jednak uśmiechnął i spojrzał na nią.

- Musiałem poczekać chwilę przy wejściu do wieży, zanim mogłem ją niepostrzeżenie opuścić. Haresgill i jego siepacze stali na zewnątrz i otwarcie o wszystkim rozmawiali, więc sporo udało mi się usłyszeć.

Był dumny ze swojego wyjaśnienia. Dopóki nie wspominał o swojej roli w całej tej historii, nie mogło mu się nic wymyknąć.

Ciara w kółko myślała o tym, co przeżyła, i o tym, czego się dowiedziała od Szymona, i wszystko zdawało się zgadzać. Mimo to wciąż miała jakieś złe przeczucie.

To musiało mieć związek z jej niechęcią do Szymona.

Wolałaby, żeby uratował ją ktoś inny, Hufeisen na przykład albo Ionatán. Od Szymona wolałaby nawet Buirre'a. Przez chwilę marzyła o tym, że to Ferdynand ją uratował. Lecz jej ukochany zginął. Znów załapała się łzami i nie oponowała, gdy Szymon głaskał ją i

próbował pocieszyć łagodnymi słowami.

3

Pierwszą noc spędzili w chacie, którą Deasún O'Corraidh wypatrył już wcześniej. Choć Ciarze wydawało się, że nie zmruży oka, była tak znużona, że szybko zapadła w głęboki sen. Szymon popatrył na nią niezadowolony, bo zastanawiał się, czy nie skorzystać z jej wdzięków i od razu nie dać jej do zrozumienia, że ma mu być we wszystkim posłuszną. Potem jednak uznał, że chyba będzie lepiej, jeśli będzie dalej odgrywać dżentelmena i najpierw się z nią ożeni, a dopiero potem prześpi.

Z tą myślą wyszedł z chaty i wkroczył do stojącej obok szopy, w której kazał spać Deasúnowi.

- Potrzebuję duchownego. I to anglikańskiego. Ale Ciara ma go nie rozpoznać, tylko uznać za katolickiego księdza.

- Proszę się nie martwić, wasza lordowska mość!

W najbliższym mieście na pewno znajdę klechę, który za drobny upominek wyświadczy wam przysługę - oznajmił Irlandczyk.

Szymon zaczął się zastanawiać, ile pieniędzy może wydać, a potem skinął głową.

- Powinniśmy też wkrótce znaleźć statek, którzy zabierze nas do Londynu.

- To łatwe, wasza lordowska mość. W mieście, w którym będę szukał pastora, jest port. Zwykle korzystają z niego przemytnicy, ale oni na pewno zabiorą nas do takiego miasta, z którego wypływają statki do Londynu.

Deasún mrugnął do Szymona, a w duchu już zacierał ręce. Widać było, że Niemiec, pomimo wielu miesięcy spędzonych w Irlandii, wciąż nie radzi sobie w tym kraju.

A to znaczy, że potrzebuje kogoś, kto będzie dla niego tłumaczył i załatwiał różne sprawy. A on nie miał już ochoty narażać starych kości dla królowej Elżbiety, więc bardzo mu zależało, żeby zostać na służbie u Kirchberga.

Żeby udowodnić, że jest coś wart, poprowadził Niemca i jego piękną towarzyszkę do małej miejsciny nad morzem, zbyt mało znaczącej, żeby stanowiła kość niezgody pomiędzy Anglikami a Irlandczykami. Szyprów, którzy przyprowadzali tu swoje statki, nie pytano o narodowość, bo dostarczali towary, które można było w głębi lądu drogo sprzedać.

Choć miejscowość była niewielka, mieli tam całkiem porządną tawernę. Angielski karczmarz, który ożenił się z Irlandką, płaszczyl się przed wyglądającym na szlachcica Szymonem.

- Potrzebuję izby z dużym łóżem - zażądał Szymon, nie spuszczać przy tym oczu z

Ciary.

Dziewczyna spojrzała na niego przerażona, ale nic nie powiedziała. „Jeśli ceni sobie swoje życie, niech nawet nie próbuje się do mnie zbliżyć” - pomyślała.

- Proszę państwa za mną! - Karczmarz wziął lampę, by rozświetlić ciemne schody, i zaprowadził ich do całkiem znośnej izby z szafą przy ścianie oraz szerokim łóżkiem.

- Czy to państwa zadowala? - zapytał, gdy Ciara i Szymon weszli do środka.

Niemiec skinął głową.

- Zadowala. Zjemy posiłek w jakiejś ustronnej izbie na dole. Wkrótce przybędzie kapłan, a ty podpiszesz naszą umowę małżeńską jako świadek.

- Państwo chcą się pobrać tutaj? Oczywiście wszystko urządzę zgodnie z państwa życzeniem.

Ciara czekała, aż karczmarz wyjdzie z izby, żeby przemówić mu do rozumu. Lecz nagle poczuła mdłości.

- Muszę do wychodka - zdążyła powiedzieć. A potem zacisnęła usta i wybiegła, powiewając spódnicą.

Gdy dotarła na dziedziniec tawerny, nie mogła już powstrzymać silnych, choć krótkich wymiotów. Potem czuła się kiepsko, ale już po chwili ożywiła się i poczuła wyraźny głód.

Z ulgą podeszła do studni, opłukała sobie usta i wróciła do karczmy. Po drodze wymyślała kolejne przekleństwa, którymi zasypie Szymona. W każdym razie na pewno nie zamierzała za niego wyjść.

Zanim zaczęła wchodzić po schodach, otworzyły się jakieś drzwi i wyjrzał przez nie Szymon.

- Kazałem podać tutaj!

Ciara skinęła głową i bez słowa weszła do izby. Na widok szynki i kiełbas, które rozłożono na drewnianych deseczkach, ślinka pociekła jej do ust. Jeszcze nim usiadła, wzięła chleb i kawałek szynki i wsunęła je sobie do ust. Przeżuwając jedzenie, przypomniała sobie, że dwa dni temu też miała nudności. Nie wymiotowała wtedy aż tak bardzo, ale potem też poczuła silny głód. Dorastała pośród kobiet, więc szybko zrozumiała, co to może oznaczać. Była w ciąży!

W pierwszej chwili ta myśl ją przeraziła, ale potem doznała olśnienia. Nosi w łonie dziecko Ferdynanda! To było jego dziedzictwo, jego ostatni podarunek! Teraz już wiedziała, co ma robić. Choć gardziła Szymonem von Kirchbergiem, nie mogła odrzucić jego zalotów, bo urodziłaby swoje dziecko jako bękart. Szymon dał jej szansę, by urodziła je w zawartym

przed Bogiem i ludźmi związku małżeńskim. Dzięki temu dziecko otrzyma nazwisko, które mu się należy. Ciarę aż przeszedł dreszcz na myśl o pójściu do łóżka z Szymonem, lecz dla dobra dziecka gotowa była na poświęcenie. Będzie dorastać jako Kirchberg. Nawet jeśli to Szymon ma uchodzić za jego ojca, ona będzie mogła opowiadać dziecku o jego stryju Ferdynandzie, najszlachetniejszym z mężczyzn, który był wierny swoim przyjaciołom aż do śmierci.

Z tym postanowieniem sięgała po kolejne kęsy, które zajadała z wielkim apetytem. Zauważyła, że Szymon przygląda jej się kątem oka. Chyba wcale nie czuł się pewnie. Ale to nie szkodzi. Miłość między nimi i tak nigdy nie zakwitnie, bo ona wszystkie swoje uczucia przeleje na dziecko.

- Lepiej się czujecie? - zapytał Szymon z troską w głosie. - Macie przecież za sobą koszmarne przeżycia.

- Rzeczywiście i jestem wam wdzięczna, że uratowaliście mnie ze szponów tego straszego Haresgilla.

Słowa Ciary były tak samo fałszywe jak uśmiech, który pojawił się na jej twarzy. Przekonały jednak Szymona.

Zaczął rozwlekale ubolewać nad śmiercią Oisina i swojego kuzyna, powiedział jednak również, że życie musi się toczyć dalej.

- Z całą pewnością - zgodziła się z nim Ciara. - Powiedzcie mi jednak, co zamierzacie w najbliższym czasie. Czy powrócicie ze swoimi ludźmi na kontynent?

To pytanie zakłopotало nieco Szymona, ponieważ nie chciał jej jeszcze mówić, że otrzyma ziemię w Irlandii.

Gdyby Ciara się o tym dowiedziała, wiedziałaby, że będzie nie tylko jej mężem, ale także panem.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział wymijająco. - Na dworze Ojca Świętego w Rzymie raczej nie przyjmą mnie z otwartymi ramionami, ponieważ moja misja tu, w Irlandii, się nie powiodła. Może zrezygnuję z wojaczki i nabędę niewielki majątek, z którego będziemy się mogli utrzymać!

„To nawet nie jest kłamstwo” - pomyślał Szymon.

Z ulgą zauważył, że Ciara zadowolila się taką odpowiedzią, i popędził w myślach Deasúna, żeby w końcu pojawił się razem z kapłanem. Śpieszyło mu się też do Londynu, gdzie zamierzał otrzymać od królowej nagrodę za swe usługi.

Modły Szymona zostały szybko wysłuchane, bo zanim wstali od stołu, Irlandczyk wsunął przez drzwi swoją uśmiechniętą twarz.

- Przyprowadziłem klechę.

Na widok Deasúna Ciara zmarszczyła brwi.

- Skąd wziął się tutaj ten człowiek? Przecież to nędznik i zdrajca!

- Proszę, milady, nie sądźcie mnie tak surowo. Moi towarzysze i ja zostaliśmy rozproszeni podczas nieudanego ataku na Haresgilla, a potem nie udało nam się już odnaleźć oddziału waszego brata. Przyłączyliśmy się więc do innych Irlandczyków i pociągnęliśmy z nimi aż pod Cionn tSáile. Moi towarzysze zostali już tam, na polu bitwy. A ja potrzebowałem wiele czasu, żeby znaleźć waszego brata, bo chciałem znowu do niego dołączyć.

Niestety przybyłem za późno, gdy ten nędznik Haresgill zdobył już waszą wieżę. Spotkałem za to pana von Kirchberga i pomogłem jemu i wam w ucieczce.

Szymon nigdy dotąd nie spotkał człowieka, który potrafiłby tak kłamać, a jednocześnie wyglądać na tak szczerego jak Deasún. W uszach Ciary jego wyjaśnienia także zabrzmiały pewnie, więc nie przyszło jej do głowy, by w nie wątpić.

- Mówisz, że ksiądz już tu jest? Więc miejmy to już za sobą.

„Wszystkie kobiety są takie same - pomyślał z ironią Szymon. - Najpierw są niby takie nieprzystępne, ale gdy przyjdzie do zamążpójścia, każdej się już tylko śpieszy”.

Zadowolony uśmiechnął się do Deasúna.

- Słyszałeś, co powiedziała lady Ciara. Wprowadź tu kapłana, żebyśmy mogli zawrzeć związek małżeński.

Głowa Irlandczyka zniknęła, a zaraz potem do izby wsunął się niski, korpulentny mężczyzna, który łakomym wzrokiem popatrzył na do połowy opróżnione deszczułki.

- Jesteście księdzem? - zapytała Ciara.

Mężczyzna skinął głową. Deasún wyjaśnił mu wcześniej, że małżeństwo ma być udzielone zgodnie z obrządkiem anglikańskim, choć panna młoda będzie go uważać za duchownego katolickiego. Przystał na to, ponieważ była to dobra okazja, żeby uchronić błądzącą katoliczkę przed ogniem piekielnym i poprowadzić ją wraz z potomstwem ku prawdziwej wierze. Z tego względu zmienił kilka ustępów sakramentu małżeństwa tak, żeby kobieta się nie zorientowała, jaki Kościół naprawdę reprezentuje.

Ciara nigdy by nie przypuszczała, że jej ślub odbędzie się w tak skromnych warunkach, w tawernie, z karczmarzem i służącym w roli jedynych świadków.

Lecz nie forma ślubu była dla niej istotna, tylko sam fakt, że jej dziecko będzie mieć oficjalnie ojca. Złożyła więc podpis na przygotowanym uprzednio pergaminie, który przedłożył jej duchowny, a potem patrzyła, jak tuż obok podpisuje się Szymon. Gdy dokument podpisali także kapłan i świadkowie, Szymon wziął go i schował do skórzanej

teczki. A potem odwrócił się i podszedł do Ciary.

- Teraz jesteś moją żoną!

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że natychmiast będzie się domagać małżeńskich praw.

Ciara postanowiła poddać się losowi, bo im szybciej się to stanie, tym szybciej będzie mogła ogłosić swoją ciążę. Nie powiedziała więc nic, gdy Szymon płacił duchownemu, a potem zażądał, by poszła z nim na górę do izby.

Deasún mrugnął do Szymona.

- Jeśli wasza lordowska mość sobie życzy, poszukam teraz statku, którym będziemy mogli opuścić Irlandię.

- Uczyń to! - zbył go prędko Szymon.

W myślach zajmował się już świeżo poślubioną małżonką i tym, co zamierza z nią zaraz zrobić. Chwycił Ciarę pod rękę, poprowadził ją na górę i zamknął drzwi izby.

- Moja miła, jeśli tylko będziesz mi posłuszna, znajdziesz we mnie dobrego męża.

- Oczywiście, mój panie! - Ciara dygnęła i zaczęła się rozbierać.

„Nigdy w życiu - powiedziała sobie w duchu - nie będę się zwracać do Szymona tak, jak mówiłam do Ferdynanda”. To byłaby zdrada wobec ukochanego. I tak było jej ciężko, że odda swoje ciało innemu mężczyźnie.

Szymon także zdjął ubranie, a potem odwrócił się nagi do Ciary. Ta wciąż miała na sobie koszulę. Wskazał na nią szorstkim gestem.

- Co to ma być?

- To grzech pokazywać się własnemu mężowi nago, tak mówią księża - wyjaśniła Ciara.

- To jak niby mamy to zrobić? - zapytał opryskliwie.

W odpowiedzi Ciara położyła się na łóżku, podciągnęła koszulę, żeby odsłonić łono, i rozsunęła nogi. „Nic więcej nigdy nie zobaczy - postanowiła w duchu. - Moje piersi będą służyć dziecku, a nie podniecaniu Szymona”.

Ten popatrzył na nią drwiąco. Zaraz jednak jego wzrok przyciągnął widok delikatnych rudawych włosków pomiędzy jej udami. Z uśmiechem zadowolenia, że zdobył kobietę, której jego kuzyn tak bardzo pragnął, podszedł do łóżka i położył się na niej. Niemal od razu wszedł w nią gwałtownie i usłyszał cichy jęk. Nie zwracał na to uwagi, bo zbyt długo czekał, żeby ją w końcu mieć.

Ciara zносиła wszystko bez sprzeciwu, choć w duchu opłakiwała tamte cudowne chwile, gdy kochali się z Ferdynandem.

4

Deasúnowi O'Corraidhowi udało się znaleźć statek, który nie płynął, co prawda, do Londynu, ale przynajmniej do Bristolu. Dzięki temu Szymon już następnego ranka mógł wyruszyć w drogę razem z nim i Ciarą. Niemcowi dopisywał humor, ponieważ zakładał, że wkrótce powróci jako bogaty człowiek, natomiast Ciara roniła gorzkie łzy nad utraconą ojczyzną, bo była przekonana, że żegna się z Irlandią na zawsze.

Kilka godzin po wypłynięciu statku do tej samej miejscowości dotarł Ferdynand wraz z towarzyszami.

Poruszając się piechotą, mogli w przeciwieństwie do Szymona i Deasúna wybierać ścieżki na skróty, byli więc w tyle za tamtą trójką o mniej niż pół dnia.

Ponieważ Ferdynand nosił na gołe ciało jedynie opończę, a niewiasty nie mogły się już dłużej pokazywać w żołnierskich strojach, ukryli się w pobliskim lesie.

Hufeisen i Ionatán sami ruszyli do miasteczka.

Rozpoznawszy ich angielskie uniformy, wartownicy przy bramie się skrzywili. Nie odważyli się jednak ich zatrzymać.

- Znasz tu może jakiegoś krawca albo handlarza starzyzną? - zapytał Hufeisen jednego z nich.

- Chcecie zdezerterować, co? - Drugi wartownik splunął, a jego plwocina minęła Hufeisena o włos.

- Hej, koleżko, zrób to jeszcze raz, a porachuję ci wszystkie kości. Zapytałem, u kogo możemy kupić ubrania. Nie zrozumiałeś?

Wartownicy byli prostymi mieszczanami opłacanymi przez ratusz, a nie prawdziwymi wojownikami.

Zrozumieli, że z tymi dwoma lepiej nie zadzierać, więc jeden z nich raczył odpowiedzieć.

- Przy porcie jest sklep, w którym można dostać wszystko. Stary Eachann sprzedaje tam także ubrania.

- Dzięki! - Hufeisen nie zwracał już na nich uwagi, tylko pomaszerował prosto przez miasteczko. Ionatán musiał się przyłożyć, by dotrzymać mu kroku.

- A co jeśli wartownicy nas wydadzą, bo przecież wzięli nas za dezertorów? - zapytał z lękiem.

- Komu mieliby o tym donieść? Może mają szepnąć na wietrze, żeby ten zaniósł wieści do Anglików? Nie, mój drogi, tutaj nie stacjonują angielskie oddziały, nie ma tu też

żadnego sędziego czy szeryfa, który mógłby nas aresztować. Zdobędziemy teraz odzienie, żeby nasze panie i pan Ferdynand także mogli wejść do miasta, a potem jak najszybciej opuścimy Irlandię.

Dla Hufeisena wszystko było jasne. Zaraz potem skręcił w stronę portu, a po chwili zatrzymał się przed starym budynkiem z kamiennych ciosów. Nad drzwiami wisiał szyld, lecz żaden z nich nie potrafił odczytać umieszczonych na nim zawijasów.

- Jeśli ten człowiek przy bramie nie skłamał, to musi być tutaj - burknął Hufeisen i wszedł do środka. Drzwi uderzyły o kawałek metalu, który zwisał z sufitu, czyniąc piekielny hałas.

Pomimo okien w środku było ciemno, więc chwilę potrwało, zanim cokolwiek zdołali dostrzec. Z zewnątrz budynek wydawał się malutki, jednak w środku okazał się zaskakująco przestronny. Na dużej ladzie leżało parę przedmiotów, których Hufeisen nie potrafił zidentyfikować, a wokół przy ścianach stały wypełnione regały i wielkie skrzynie. W sąsiednim pomieszczeniu przechowywano worki.

- Czym mogę panom służyć? - zapytał nagle jakiś męski głos. Zaraz potem pojawił się drobny, chudy człowieczek, który popatrzył na Hufeisena i Ionatána oczami krótkowidza.

- To ty jesteś Eachann? - zapytał nieufnie Hufeisen.

- We własnej osobie, wasza lordowska mość! Czego sobie życzyacie? - Handlarz, sądząc po akcencie, wziął Hufeisena za Anglika i zwracał się do niego jak do wielkiego pana, żeby mu pochlebić.

Jednakże stary wiarus w żadnym razie nie czuł się wielkim panem.

- Potrzebuję trochę kobiecych ubrań oraz strój odpowiedni dla szlachcica, jeśli czymś takim dysponujesz - odparł szorstko.

- Służę uprzejmie! - Eachann odwrócił się, pogrzebał w jednej ze skrzyń i wyciągnął parę sztuk odzieży, jaką nosiły ubogie Irlandki.

- Nie masz nic lepszego? - zapytał Hufeisen, który nie przypuszczał, żeby Saraid zgodziła się włożyć coś takiego.

Sprzedawca pokręcił głową.

- Biedne niewiasty sprzedają swoje odświętne ubrania, żeby ich mężowie mogli zapłacić czynsz za gospodarstwo, ale bogate damy nie muszą tego robić.

- Dobrze, weźmiemy to! A teraz męskie odzienie. - Widząc skromne niewieście stroje, Hufeisen obawiał się, że wróci do Ferdynanda z ubraniem marynarza albo parobka. Jednak Eachann rozłożył przed nim strój angielskiego szlachcica, z pumpami, pasującymi do nich rajtuzami, kaftanem z poszerzonymi rękawami i beretem.

- Skąd masz ten strój? - zapytał zdziwiony.

Irlandczyk nieco się zakłopotał.

- Sprzedał mi go jeden z Ui'Domhnaill, który zdobył go podczas napadu na majątek należący do angielskiego szlachcica. Jeśli wam się podoba, sprzedam po dobrej cenie.

Hufeisen uznał, że jeśli chcą coś w Londynie osiągnąć, to muszą się odpowiednio prezentować. A taki strój jak najbardziej się do tego nadawał.

- Bierzemy - powiedział. - Ale podaj taką cenę, którą będę w stanie zapłacić, bo w przeciwnym razie możesz to sobie zatrzymać i później będziesz wyjaśniać angielskiemu sędziemu, skąd to wzięłeś. Niewykluczone, że nie uwierzy w historyjkę o O'Domhnaillu, tylko pomyśli, że sam brałeś udział w napadzie.

- Zażądam za to tylko tyle, ile sam zapłaciłem - oznajmił pośpiesznie sprzedawca i podał kwotę.

To nawet nie była połowa sumy, jaką gotów był wydać Hufeisen. Mimo to się skrzywił.

- Człowieku, chcesz mnie puścić z torbami?

- Taniej oddać nie mogę! - wykrzyknął Irlandczyk, załamując ręce. - Już ta cena mnie zrujnuje.

- Dobrze więc! Ale w takim razie damskie fatałaszki muszą być tanie - znów zaczął się targować Hufeisen.

Tym razem potrwało trochę dłużej, zanim przekonał sprzedawcę do obniżenia ceny. Płacąc, Hufeisen mrugnął porozumiewawczo do Ionatána. Był bardzo z siebie zadowolony i nie namyślając się długo, kupił jeszcze piękną chustę dla Saraid. W drodze do drzwi odwrócił się do handlarza.

- Chcemy się przedostać do Anglii. Wiesz może o jakimś statku, który wkrótce wypływa?

- Chcecie do Anglii? Szkoda, że nie przybyliście wcześniej. Dziś rano wypłynął statek do Bristolu.

Popłynął na nim jakiś wielki pan z damą i służącym.

- Wielki pan? - Hufeisen poczuł mrowienie na karku.

Wypytał sprzedawcę dokładnie o tego człowieka i uzyskał pewność, że to musiał być Szymon von Kirchberg. Zabrał ze sobą Ciarę i jakiegoś Irlandczyka. Dopiero po chwili skojarzył, że Eachann określał ich jako męża i żonę.

- A więc to było małżeństwo? - zaczął dopytywać z rosnącym przerażeniem.

- Bardzo świeże. Wielebny O'Halley udzielił im ślubu wczoraj po południu. Musiał to

zrobić, udając katolickiego księdza. Ze względu na tę damę. Bo wiecie, ona...

Hufeisen przestał go słuchać. Ciara wyszła za Szymona von Kirchberga! Co za diabeł ją opętał, że to uczyniła?

Zabrał kupione ubrania, podzielił je tak, żeby Ionatán dźwigał większość, i wyszedł ze sklepu bez pożegnania.

W drodze powrotnej do lasu cały czas myślał z przerażeniem tylko o tym, jak przekaże tę wieść Ferdynandowi.

5

Hufeisen poczekał ze złą wiadomością, aż Ferdynand i obie niewiasty się przebiorą. Po paru miesiącach w prostym żołnierskim odzieniu Ferdynand poczuł się najpierw w nowym stroju dość nieswojo, poprawiał je więc i skubał to tu, to tam. Natomiast Saraid i Bríd z ulgą ściągnęły męskie spodnie oraz kaftany, bo szorstki materiał ocierał im uda i piersi. Gdy włożyły już damskie ubrania, Hufeisen przeprosił je, że nie udało mu się znaleźć nic ładniejszego.

Saraid ze śmiechem machnęła ręką.

- Gdybym miała przed sobą brudną robotę, ubrałabym się podobnie, tak samo Bríd.

- Mnie się całkiem podoba - oznajmiła służka i zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę będzie się musiała wypowiadać z czasu spędzonego w męskim odzieniu.

Przecież poza przyjaciółmi nikt jej w nim nie widział.

Hufeisen nie był jednak zadowolony. W końcu z westchnieniem popatrzył na Ferdynanda.

- Wasz kuzyn był w mieście przed nami i dziś rano odpłynął statkiem do Anglii.

- I? Była z nim Ciara? - zapytał zdenerwowany Ferdynand.

- Tak. Ale to jeszcze nie wszystko. Sprzedawca, u którego nabyliśmy ubrania, powiedział, że wzięli wczoraj po południu ślub.

Hufeisen miał to już za sobą. Uważnie przyglądał się Ferdynandowi, który najpierw z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Chyba nie mówisz poważnie!

- Niestety, jak najbardziej poważnie - odpowiedział Hufeisen. - Ślubu udzielił im anglikański pastor udający katolickiego księdza.

Wzburzony Ferdynand chwycił wojaka i mocno nim potrząsnął.

- To niemożliwe! Ciara nigdy by tego nie zrobiła!

- Ona pewnie myśli, że wy już nie żyjecie - wtrącił Ionatán.

- Przecież to właśnie Szymon wszystkich nas zdradził i jest winien śmierci jej brata! - Ferdynand nie był w stanie tego zrozumieć.

Do rozmowy wtrąciła się Saraid.

- Podczas napadu Ciara straciła przytomność, bo uderzył ją jeden z angielskich żołnierzy. Nie oprzytomniała nawet wtedy, gdy zabierali ją stamtąd wasz kuzyn z tym nędznym zdrajcą Deasúnem O'Corraidhem.

Kto wie, co on jej naopowiadał!

- Jeśli pan Szymon okłamał Ciarę, to nie wszystko stracone. Gdy tylko wyjdzie na jaw, że jest winien śmierci jej brata, będzie mogła zażądać unieważnienia małżeństwa. Poza tym ślubu udzielił im heretycki kapłan.

Więc pewnie w ogóle nie jest ważny! - Hufeisen starał się przemawiać tak, by Ferdynand mógł nabrać nadziei.

Lecz on patrzył tylko na niego poblady, z całej siły zaciskając szczęki.

- Po co te zawilości? Skręcę po prostu kark Szymonowi i sprawa będzie załatwiona!

- Nie możecie tego uczynić, panie! - zawołał przerażony Hufeisen. - To byłoby morderstwo, nikt nie miałby wątpliwości. Nawet Ciara musiałaby się od was odwrócić ze względu na swój honor. Jeśli chcecie, ja to zrobię.

Ferdynand wiedział, że jego wierny towarzysz jest gotów to zrobić, i poklepał go po ramieniu.

- Dziękuję ci! Jednakże powinniśmy odłożyć na później decyzję, jak postąpimy z Szymonem. Teraz najważniejsze, żebyśmy znaleźli statek, który nas zabierze do Anglii.

- Ale najpierw powinniśmy coś zjeść. Głodny jestem i Gamhain chyba też... - Uwaga Ionatána sprawiła, że wszyscy się uśmiechnęli. Nawet Ferdynand się rozluźnił i rzekł z uśmiechem do młodego Irlandczyka:

- Dobry pomysł. Ciarze nasz post nic nie pomoże.

Musimy być silni, gdy już spotkamy Szymona. Chodźmy!

Gdy Ferdynand maszerował w stronę miasta, widać było po jego ruchach, jaki jest zdenerwowany. Tuż przed bramą odwrócił się do Hufeisena i Ionatána, którzy nadal mieli na sobie ubrania angielskich żołnierzy. Mogli udawać jego straż przyboczną, ale żeby to uwiarygodnić, potrzebny był jeszcze jeden drobiazg.

- Mam nadzieję, Saraid, że ty i Bríd macie zręczne palce. Obaj nasi przyjaciele wciąż noszą na tunikach herb Haresgilla. To zbyt niebezpieczne, bo wkrótce będzie wiadomo, że zginął podczas ataku na wieżę, i mogliby nas z tym powiązać.

- Chcecie, żebyśmy wyszyły im nowy herb? - domyśliła się Saraid.

Ferdynand się uśmiechnął.

- Tak, właśnie o to mi chodziło.

6

Nocowali w tej samej karczmie, w której zatrzymali się Ciara i Szymon. Nie mając o tym pojęcia, Ferdynand dostał nawet tę samą izbę. Do tej pory Gamhain kuśtykała za nimi ze zwieszonymi uszami. Teraz zaczęła podekscytowana węszyć i szczeakać, jakby chciała komuś zameldować o swojej obecności.

Ferdynand nie wiedział, o co jej chodzi, więc kazał Bríd, żeby dała jej coś do jedzenia i postarała się o jakąś maść i opatrunek, żeby lepiej zadbać o ranę na jej tylnej łapie.

- Nie sądzę, żeby dokuczał jej głód albo ból - odpowiedziała młoda Irlandka. - Od jednej służącej dowiedziałam się właśnie, że do dzisiejszego ranka mieszkali tutaj jacyś państwo i ponoć wzięli tu ślub. To mogli być maighdean Ciara oraz wasz kuzyn. Gamhain czuje jej zapach i szuka swojej pani.

- My też jej szukamy - odpowiedział Ferdynand z gorzkim uśmiechem. A potem pogłaskał psa i zaczął przemawiać do niego uspokajającym tonem.

Bríd wróciła do swojej izdebki, którą dzieliła z Saraid, i zabrała się do wyszywania. Miała wyhaftować herb von Kirchbergów, ale miała mało czasu i niewielką wprawę.

Hufeisen, który właśnie do nich zajrzał, potrząsnął głową, gdy zobaczył do połowy ukończony haft Saraid, przedstawiający ogromny kościół na niemal niewidocznym zielonym wzgórzu.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdziemy z Ionatánem do sklepu Eachanna po inne ubrania i nie będziemy udawać angielskich żołnierzy.

- Może ci się mój haft nie podoba, co? - zapytała Saraid, którą bardziej niż słowa Hufeisena irytowała żmudna praca.

- Ależ jak najbardziej! - zapewnił ją wojak. - Tylko że nie pasuje do angielskiego żołnierskiego stroju. Ale na ubraniu normalnego służącego można by go nosić.

Zanim Saraid zdążyła zapytać, co to za różnica, pożegnał się i szybko wyszedł. Na zewnątrz napotkał Ionatána, który tak jak on odpruł z tuniki herb Haresgilla.

- Chodź! - zawołał do Irlandczyka. - Pójdziemy do sklepu Eachanna i zobaczymy, czy nie dostaniemy tam jakichś innych ubrań. Coraz mniej podoba mi się udawanie angielskiego żołnierza.

- Mnie też - odpowiedział Ionatán i ruszył za nim. Na ulicy prawie ze sobą nie

rozmawiali, a w sklepie Ionatán zdał się całkiem na umiejętności negocjacyjne Hufeisena.

Nie udało im się wymienić całego stroju, ale zdobyli szare kaftany, na których zdaniem Hufeisena herb wyszyty przez Saraid i Bríd będzie się prezentować całkiem dobrze. Potargował się trochę ze sprzedawcą i już miał odejść, gdy nagle coś mu przyszło do głowy.

- Skoro handlujesz tutaj tak różnymi rzeczami, to pewnie często masz kontakt z szyprami i marynarzami.

Może znasz kogoś, kto zabrałby mojego pana i nas do Anglii?

- W najbliższym czasie nikt tam nie popłynie - odpowiedział Eachann.

- Co za głupota. Bardzo nam się śpieszy! - Hufeisen niby przypadkiem pokazał szylinga, żeby Eachann wiedział, że jest skłonny sporo zapłacić za podróż.

Mina sprzedawcy zdradzała, że intensywnie myśli.

- Cóż, bezpośrednio do Anglii nikt nie kursuje. Ale mój siostrzeniec wypływa jutro na morze, żeby spotkać się ze statkiem, który płynie z Anglii. Zwykle nie zabiera ze sobą pasażerów, ale za dobrą zapłatą może byłby gotów. Mam z nim porozmawiać?

- Zrób to! - nakazał mu Hufeisen.

Domyślił się, że ten siostrzeniec to przemytnik, który sprowadza towary z zagranicy z pominięciem ceł pobieranych w dużych miastach portowych. Takim ludziom nie zawsze można ufać. Mimo to podał Eachannowi szylinga i poklepał go po ramieniu.

- Jeśli twój siostrzeniec zabierze nas na ten angielski statek, ta moneta się rozmnoży!

Oczy Eachanna zabłyśły pożądliwie i obiecał, że natychmiast ich powiadomi, gdy jego krewny zgodzi się ich zabrać. Hufeisen powrócił do tawerny z dobrą wiadomością i podbudował nadzieję Ferdynanda, że już wkrótce będzie mógł wyrwać Ciarę ze szponów Szymona.

- W takim razie od tej pory musimy być w każdej chwili gotowi do podróży - nakazał wszystkim.

Saraid podparła się pod boki.

- A co z haftami? Może mamy je dokończyć na pokładzie statku?

- Jeśli nie będzie innej możliwości, to tak. - Dla Ferdynanda haftowane herby przestały być ważne. Chciał jak najszybciej ruszyć śladem Ciary i był gotów wykorzystać każdą szansę, nawet jeśli miał to być statek przemytników.

7

Eachann pojawił się w tawernie jeszcze tego samego wieczoru i usiadł przy stole obok

Hufeisena. Wpatrywał się przy tym w jego kubek z miodem, oblizując usta.

- Strasznie dziś sucho, nie sądzicie?

Ponieważ na zewnątrz lało jak z cebra, a ogień w kominku nie radził sobie z wilgocią i chłodem, Hufeisen szybko odgadł, o co tak naprawdę chodzi handlarzowi. Skinął na parobka służącego w karczmie, żeby przyniósł dodatkowy kubek i nalał miodu Eachannowi.

- Na zdrowie!

- Za bezpieczny rejs do Anglii! - odpowiedział Eachann z uśmiechem, po czym opróżnił kubek jednym haustem.

- Przy takiej pogodzie trzeba od czasu do czasu łyknąć leczniczo odrobinę whisky, żeby nie zachorzeć na płuca - kontynuował.

Hufeisen zamówił od razu dwa kubki whisky, postanowił jednak, że wymierzy handlarzowi parę siarczystych policzków, jeśli ten zacznie chrapać, nie przekazawszy upragnionej wiadomości.

Gdy Eachann wypił porządny łyk whisky, mrugnął do Hufeisena poufale:

- Przyjdźcie jutro o szóstej rano do portu. Ale bądźcie punktualnie! Mój kuzyn nie będzie czekać. To jak będzie z tym drugim szylingiem?

Hufeisenowi nie bardzo odpowiadało, że ma płacić z góry, przypuszczał jednak, że Eachann może pokrzyżować im szyki, jeśli nie dostanie pieniędzy.

Podsunał mu więc monetę i kupił jeszcze jedną whisky oraz trzy kubki miodu. Dopiero potem poszedł na górę, żeby powiadomić pozostałych.

Ferdynand od razu się domyślił, że przynosi dobre wieści.

- Szyper nas zabierze, tak?

- Mamy być w porcie jutro o szóstej rano. Nie będzie na nas czekać - oznajmił Hufeisen.

- I nie będzie musiał! Obiecuję karczmarzowi ćwierć szylinga, jeśli obudzi nas odpowiednio wcześniej.

Wszystko, czego będziemy potrzebować w podróży, przygotujemy jeszcze dziś wieczorem! - Ferdynand z wdzięcznością skinął Hufeisenowi głową, myśląc sobie, że powinien go kiedyś wynagrodzić za lojalność.

Najpierw jednak musiał odnaleźć i uratować Ciarę. Z tą myślą zaraz potem położył się spać.

Gdy się obudził, było jeszcze ciemno, a on nie miał pojęcia, która może być godzina. Zerknął przez okno na kościół naprzeciwko, ale to też nic nie dało, bo zobaczył tylko ciemny cień potężnej wieży na tle nieco jaśniejszego nieba. Przecucie mówiło mu jednak, że świt już

blisko.

Po omacku dotarł do drzwi i wyszedł na korytarz.

Gdzieś z przodu paliła się łożowa lampka. Ferdynand zapalił od niej łuczywo, wrócił do izby i zapalił świecę.

Teraz mógł się już przyszykować, czym zaskoczył karczmarza, który po jakimś czasie zastukał do jego drzwi i z miną winowajcy wsunął głowę do środka.

- Wybaczcie, wasza lordowska mość, ale już zaraz szósta. Niestety trochę zasnęłam. -
Dopiero wtedy zobaczył, że Ferdynand jest już gotowy, i odetchnął.

- Jeśli wasza lordowska mość sobie życzy, każę napełnić kosz miodem, chlebem i szynką. Będziecie mogli zjeść śniadanie na pokładzie.

- Zrób tak! Czy obudziłeś już moich towarzyszy?

Karczmarz potrząsnął głową.

- Nie, jeszcze nie, wasza lordowska mość.

- To się pośpiesz! Ach, co tam, sam ich obudź. Ty zajmij się koszykiem z prowiantem! - Ferdynand razdwa znalazł się na korytarzu i zastukał do izb, w których spali Saraid z Bríd oraz Hufeisen z Ionatánem.

- Wstawać! Już późno.

Ferdynand usłyszał, jak Hufeisen przeklina, a sam musiał się zająć Gamhain, bo ta drapała już w drzwi na dole, chcąc wyjść. Z kuchni wybiegła dziewczka, która zaczęła narzekać:

- Co to ma być, ty bestio!

Natychmiast schowała się z powrotem, gdy Gamhain odwróciła się do niej, pokazując zęby.

Tymczasem Ferdynand zszedł już na dół i wypuścił sukę.

- Ale zaraz wracaj! - zawołał za nią. - Jak nie wrócisz, to cię tu zostawimy.

Kolejne minuty mijały dla Ferdynanda o wiele za szybko. Już się zastanawiał, czy nie ruszyć przodem i nie skłonić jakoś szypra, żeby jeszcze trochę poczekał, gdy z izby wypadł Ionatán z ogromnym tobołkiem. Tuż za nim pojawił się Hufeisen. On też zapakował część rzeczy.

Resztę niosły Saraid i Bríd, które wyszły z izby zaraz potem.

- Jesteśmy gotowi - powiedziała Saraid.

- Karczmarz chce nam jeszcze dać coś do jedzenia, a Gamhain jest na dworze za potrzebą. - Ferdynand miał nadzieję, że to wszystko nie potrwa zbyt długo.

Kosz z prowiantem zjawił się już po chwili. Saraid chwyciła go, a Ferdynand uścił

rachunek. Gdy wyszedł na ulicę, suki nigdzie nie było widać.

- Gamhain, tutaj! - zawołał, ale pies się nie pojawił.

- Głupia bestia! - prychnęła Saraid i sama zaczęła wołać sukę.

- Jeśli nie przyjdzie, będziemy ją musieli zostawić. Kto wie, kiedy znów trafi się statek, który będzie mógł nas zabrać. - Ferdynand był coraz bardziej zły. Idąc w stronę portu, zawołał psa jeszcze kilka razy. Nagle zatrzymał go Hufeisen.

- Spójrzcie tam, panie Ferdynandzie. Nie do wiary!

Ferdynand popatrzył w kierunku, który wskazał Hufeisen. Zobaczył na brzegu dużą odkrytą łódź z pojedynczym masztem. Obok stała grupa mężczyzn, którzy chcieli na nią wsiąść, nie mogli jednak ominąć Gamhain, która strzegła łódki niczym jednogłowy Cerber.

Suka raz po raz obwąchiwała grunt przed barką, skomląc jak szczenię. Ferdynand podbiegł do niej z ulgą i poczochnął po głowie.

- Jesteś jednak!

- To wasz pies? - zapytał nieufnie przysadzisty człowiek o okrągłej, czerwonej twarzy.

- Tak jest! - odpowiedział Ferdynand.

Marynarze najwyraźniej zamierzali wyjść w morze bez nich, ale Gamhain im to uniemożliwiła. Przypuszczał, że Ciara wsiadała na statek w tym samym miejscu, a jej zapach wciąż unosił się na przystani. W każdym razie poszukująca swojej pani suka uratowała ich podróż. Po marynarzach widać było jednak, że towarzystwo olbrzymiej suki wcale ich nie cieszy. Kapitan, o ile można tak nazwać kogoś, kto dowodzi długą na dziesięć jardów otwartą łodzią, zażądał obiecanej zapłaty, a potem popatrzył groźnie na pasażerów.

- Zapomnicie o wszystkim, co zobaczycie przez najbliższe godziny, jasne?

- Nie jesteśmy gadułami - odparł Ferdynand.

- To dobrze! - Kapitan wskazał gestem, by wsiadali do łodzi. Dokładnie w tym momencie podbiegł do nich Eachann i chwycił Ferdynanda za ramię.

- Wasz sługa obiecał mi szylinga, jeśli przekonam kuzyna, żeby was zabrał!

Zanim Hufeisen zdążył coś powiedzieć, Ferdynand podał handlarzowi monetę.

- Proszę, dzielny człowieku, zasłużyłeś!

- A przede wszystkim dobrze zarobiłeś - mruknął niezadowolony Hufeisen. - Już wczoraj dałem mu tego szylinga. Jeśli chcecie, pobiegnę za nim i odbiorę mu pieniądze.

Zaczął się szykować do opuszczenia łodzi, lecz Ferdynand go powstrzymał.

- Zostań! Chyba nie chcesz wszczynać awantury.

Marynarze na pewno staną po jego stronie.

- Ale... - Hufeisen chciał protestować, przerwał mu jednak kapitan.

- Ponieważ mam zabrać was wszystkich, muszę zostawić paru swoich ludzi, bo nie starczy miejsca. Wasza lordowska mość może usiąść obok mnie, tuż przy sterze.

Wasi parobkowie i niewiasty muszą jednak wiosłować, póki wiatr nie będzie na tyle silny, żebyśmy mogli postawić żagiel.

- To bezczelność! - oburzył się Ferdynand.

- Albo tak zrobicie, albo wysiadacie!

Hufeisen machnął ręką.

- Dajcie spokój, panie Ferdynandzie. My z Ionatánem możemy wiosłować. Ale niewiasty nie.

- Myślicie, że jesteśmy ze szkła i pękniemy przy najlżejszym wysiłku? - zapytała drwiąco Saraid, siadając na ławce. Bríd siadła obok niej i chwyciła wiosło.

- Jesteśmy gotowe! - zawołała zdecydowanym głosem.

- W takim razie w drogę! - Kapitan odepchnął łódź od brzegu i skierował dziób w stronę morza. Jednocześnie zaczął nucić rytm dla kobiet i mężczyzn obsługujących wiosła.

Ferdynandowi zupełnie nie odpowiadało to, że jego towarzysze muszą wiosłować. Byli jednak zdani na szypra, a on bezwstydnie to wykorzystywał. Ferdynand zastanawiał się, czy nie oszczędzić pracy choćby samej Saraid i nie usiąść na jej miejscu. W końcu jako kuzynka Ciary należała do irlandzkiej szlachty. Lecz powstrzymało go jej spojrzenie. Miał uchodzić za angielskiego szlachcica, a taki nigdy nie zniżyłby się do podobnej czynności.

Po pewnym czasie szyper sprawdził wiatr i rozkazał swoim ludziom, żeby rozwinęli żagiel. Saraid oraz pozostali mogli teraz odłożyć wiosła i odsapnąć.

Ferdynand przeczesywał wzrokiem morze, szukając statku, który miał ich zabrać do Anglii, podczas gdy Saraid, Bríd i Ionatán wpatrywali się w brzeg Irlandii, który pomału znikał im z oczu. Wszyscy troje obawiali się, że nigdy już nie ujrzą ojczyzny i z trudem powstrzymywali łzy.

Saraid przeżegnała się kilka razy, prosząc świętych patronów Irlandii, żeby mieli ich w opiece także z dala od domu. Potem skupiła się na najbliższej przyszłości i zaczęła się zastanawiać, czy będą w stanie uwolnić Ciarę. Jej kuzynka przez małżeństwo związała się z Szymonem niewidzialnymi więzami, które będzie można zerwać tylko przemocą.

To były trudne godziny dla tych, którzy urodzili się w Irlandii. Dopiero okrzyk „Żagle na horyzoncie!” wyrwał ich z ponurych rozważań i odwrócili się ku morzu.

Jeden z marynarzy wspiął się na maszt i zaczął machać do kapitana.

- To „Belle”!

Marynarze przyjęli tę wiadomość z ulgą, bo zdarzało się, że w te okolice zabłądzili

piraci, którzy rabowali przybrzeżne statki. Kapitan skorygował kurs według wskazań marynarza na maszcie i już wkrótce ujrzeli przed sobą średniej wielkości karakę[43], na której też zrzucano już żagle. Wkrótce potem znaleźli się tak blisko statku, że można było przerzucić cumy. Marynarze razdwa związali statki ze sobą. Na karace opuszczono stengę, której używano jako dźwigu do szybszego przenoszenia towaru.

Pierwsze skrzynie były już na pokładzie, gdy kapitan karaki wskazał na Ferdynanda i jego towarzyszy.

- A co to za ludzie? Od kiedy to pływacie z babami?

- Ci państwo chcą się dostać do Anglii - wyjaśnił kuzyn Eachanna.

Kapitan się roześmiał.

- Do Anglii! To coś nowego. Większość panów wybiera się na kontynent. Ale mnie to wszystko jedno, byle cena się zgadzała.

Podał bezczelnie wysoką kwotę i potrząsnął głową, gdy Hufeisen zaczął negocjować.

- Albo płacicie, ile mówię, albo możecie sobie płynąć z powrotem do Irlandii.

W tym momencie Ferdynand radował się z sakiewki Ryszarda Haresgilla, którą zdobyli Hufeisen z kompanami.

Musiał jednak wyłożyć na stół kapitana „Belle” jedną piątą jej zawartości, gdy ten zaprowadził go do swojej kajuty. Warto jednak było, jeśli tylko mógł dzięki temu dotrzeć do Anglii i szukać Ciary.

8

Ciary podczas podróży przez morze w ogóle nie interesowało, dokąd zmierza ich statek. Gdy jednak dotarli do portu i zeszli z pokładu, usłyszała wokół siebie angielską mowę. Zdumiona zwróciła się do Szymona:

- Gdzie my jesteśmy?

- My... A... Cóż... W Bristolu.

- W Anglii? - Ciara pobladła i natychmiast próbowała sięgnąć po sztylet Szymona. Z trudem go jej wyrwał, zanim zdążyła wbić ostrze w stojącego najbliżej człowieka.

- Pohamuj swą żądzę mordy - szepnął jej do ucha - zanim wszystkich nas przywiedziesz do zguby. Musiałem tu przybyć. Ale obiecuję ci, że wkrótce opuścimy Anglię.

- To znaczy poszukamy statku, który zabierze nas do Francji albo do Hiszpanii? - zapytała Ciara.

Szymon był zły sam na siebie, bo przecież wiedział, jak mocno Ciara nienawidzi Anglików. Teraz jednak objął ją i pociągnął za sobą, a Deasún O’Corraidh ruszył za nimi z

bagażem.

- Muszę z tobą porozmawiać! - oznajmił Szymon z naciskiem.

Ciara przystanęła.

- Mówcie!

- Nie tutaj, dopiero w karczmie.

Powiodł ją przez gęsty tłum. Wszędzie cuchnęło zepsutą rybą i innymi nieprzyjemnymi rzeczami. Dla Ciary to była prawdziwa udręka, pragnęła znaleźć się w miejscu, w którym mogłaby być sama, a przede wszystkim nie musiałaby już widzieć żadnych Anglików.

Gdy się obejrzała, zobaczyła, jak sprowadzano ze statku ich konie. Na widok ogiera, którego Ferdynand zdobył na zamordowanym później Johnie Crandonie, łzy napłynęły jej do oczu. Szybko dotknęła brzucha i wydało jej się, że już się lekko zaokrąglił.

„Ferdynandzie - pomyślała zrozpaczona - dlaczego musiałeś umrzeć?” I po raz kolejny ogarnęły ją wątpliwości, czy rzeczywiście Aithil mógł być aż tak ambitny i podły, żeby w zdradziecki sposób wydać Anglikom ją, jej brata, Ferdynanda i wielu innych przyjaciół. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większe miała wątpliwości.

Po pewnym czasie, który Ciarze wydawał się niemal wiecznością, dotarli do karczmy. Szymon posłał przodem Deasúna O’Corraidha, żeby porozmawiał z karczmarzem, który zaraz potem wyszedł i głęboko się przed nim skłonił.

- Gdyby wasza lordowska mość był łaskaw zagościć w moich skromnych progach, byłbym zaszczycony - zaczął.

- Byłbym łaskaw - odparł z góry Szymon. - Poślij paru parobków do portu, żeby przyprowadzili moje konie. Mój sługa ich zaprowadzi.

- Doskonale, wasza lordowska mość! - Karczmarz ruszył biegiem, a Szymona już czekało kolejne wyzwanie, tym razem w postaci podwładnego kapitana portu, który chciał się dowiedzieć, kto zszedł na ląd. Szymon nie wysłuchał go do końca, tylko podał mu list polecający, który otrzymał na taką właśnie okoliczność od Ryszarda Haresgilla.

- Jesteście Szymon von Kirchberg? - zapytał nieufnie urzędnik. Wiedział, że takie nazwisko nosi dowódca bandy katolików, których przysłano z Rzymu, żeby zachęcali Irlandczyków do buntu.

- Tak, to ja! I jak napisał sir Ryszard Haresgill, oddałem w Irlandii Jej Wysokości królowej Elżbiecie ogromne usługi! - Szymon rad był, że jakaś służka zabrała już Ciarę do izby, w której mieli nocować. Mógł więc zachowywać się wobec urzędnika tak, jak należało.

Mężczyzna przeczytał list, sprawdził podpis i pieczęć, a potem go oddał.

- Przykro mi, że zająłem panu czas. Ale ja tylko wypełniam swoje obowiązki.

- Jestem tego świadom! - Gdy Szymon chował dokument z powrotem, uświadomił sobie, że Ciara nigdy nie może go zobaczyć. Nawet jeśli w jej żyłach płynie najszlachetniejsza irlandzka krew, to pod cieniutką warstwą ucywilizowania wciąż jest dzikuską i potrafiłaby wbić mu jego własny sztylet prosto w serce.

Po raz pierwszy ogarnęły go wątpliwości, czy mądrze postąpił, żeniąc się z Ciarą tylko po to, żeby zapewnić sobie przychylność Irlandczyków. Może najpierw powinien był otrzymać ziemię, a potem poszukać sobie żony pośród angielskich osadników. Ale wtedy stałby się dla Irlandczyków podwójnym wrogiem.

- Cokolwiek zrobić, i tak będzie źle - mruknął, pożegnał urzędnika portowego i wszedł na górę do izby.

Ciara leżała już w łóżku z twarzą odwróconą ku ścianie.

- Myślałem, że coś zjemy - powiedział poirytowany.

- Nie czuję się dobrze. Nie przełknęłabym ani kęsa.

Może wieczorem.

- Mam nadzieję, że wieczorem będziesz w stanie nie tylko jeść.

Szymon nie pozostawił wątpliwości, że będzie się domagać swych małżeńskich praw. „Pod tym względem trafiłem całkiem nieźle - pomyślał. - Ciara jest piękna i wezmę ją z przyjemnością”. A poza tym będzie mu zawsze przypominać triumf nad Ferdynandem. Jeśli miał być szczery, to nienawidził go już jako małego chłopca.

Stryj Franciszek traktował Ferdynanda jak syna, a on był tylko krewnym z małżeństwa, którego głowa rodu nie aprobowwała.

Zdziwiony, że akurat w tej chwili przyszły mu do głowy takie myśli, wyszedł z izby i ruszył do głównej sali karczmy. Karczmarz przyniósł mu dzban spienionego piwa i długo opowiadał o tym, jakie też smakołyki potrafi wyczarować w kuchni jego żona.

Szymon zdecydował się na pasztet z wieprzowiny, cebuli, jabłek i śliwek i zaczął go jeść z wielkim apetytem. Wkrótce zjawił się Deasún, który zameldował, że konie są już w stajni przy karczmie. Wpatrywał się w talerz Szymona z taką intensywnością, że trudno to było przeoczyć. Szymon, świadomy, że musi przecież żywić swojego służącego, nakazał karczmarzowi, żeby przyniósł mu coś do jedzenia, a potem zapytał o najkrótszą drogę do stolicy.

9

Szymon nie wytrzymał długo w Bristolu. Nie zważając na to, że Ciara wciąż nie

wydobrzała po trudach podróży, wyruszył dalej. Większą część drogi jechali, nie mając o tym pojęcia, tymi samymi drogami, z których podczas swojego pośpiesznego powrotu z Irlandii korzystał Robert Devereux, hrabia Essex. Tyle że nie nocowali w wielkopańskich dworach, tylko w karczmach, które często zaspokajały jedynie podstawowe potrzeby.

Choć Ciara unikała kontaktu z Anglikami i tylko okazjonalnie wymieniała kilka słów z obsługującymi ją ludźmi, zrozumiała wkrótce, że nie wszyscy Anglicy odpowiadają wyobrażeniu, jakie o nich miała. Podobnie jak pośród Irlandczyków, byli wśród nich także ludzie uprzejmi, którzy jej pomagali, jak właściciel majątku, który nie tylko kazał swojemu kowalowi założyć ich koniowi zgubioną podkowę, ale także zaproponował im nocleg. Mimo to Ciara się ucieszyła, gdy zobaczyli przed sobą przedmieścia Londynu, bo zakładała, że Szymon zabierze ją stąd do swojej ojczyzny. Pożegnała się już z myślą o możliwym powrocie do Irlandii.

Już Bristol wydał jej się głośny i cuchnący, a w Londynie było jeszcze gorzej. Gdy wjechali do miasta, aż przyłożyła sobie rąbek opończy do ust i nosa, żeby nie czuć odrażającego odoru. Ulice były brudne.

Było tu zbyt wiele koni, które zostawiały na nich odchody, co prowadziło do drobnych podtopień, a do tego mieszkańcy wyrzucali odpadki po prostu przez okno.

Ciarę aż dreszcz przeszedł i wyjątkowo sama odezwała się do Szymona.

- Nie powinniśmy przebywać w tym miejscu zbyt długo. Tu się nie da oddychać!

- Zostaniemy tu parę dni, bo muszę odwiedzić kilku panów, a nie mogę liczyć na to, że zostanę od razu przyjęty - odparł Szymon z udawanym żalem.

W duchu miał nadzieję, że szybko uzyska dostęp do Roberta Cecila, którego Ryszard Haresgill nazywał swoim dobrym przyjacielem. Choć otrzymał listy polecające także do dwóch innych panów, którzy mogli poprzeć jego sprawę, był przekonany, że zażądadają za to wynagrodzenia. A jego sakiewka świeciła już pustkami i żal byłoby mu się rozstać choćby z jednym szylingiem.

Potrwało trochę, zanim znalazł gospodę, na którą było go stać, i już następnego ranka wyruszył do domu sir Roberta Cecila. Dzielnica, w której się znalazł, bardzo się różniła od tej części miasta, w której zatrzymali się z Ciarą. Budynki były okazałe, a wysokie bramy wskazywały na to, że wjeżdżano na ich dziedzińce konno.

Większość domów miała nawet własne ogrody.

Zawiść Szymona rosła z każdym jardem, który pokonywał jego koń. Nawet gdyby otrzymał duży majątek w Irlandii, długo nie byłoby go stać na taki dom w Londynie. Z poczuciem, że Bóg rażąco niesprawiedliwie dzieli dary świata, zsiadł z konia przed domem

Cecila i zastukał do bramy.

Otworzył mu służący, który wziął od niego wodze konia. Na napiwek czekał jednak daremnie.

- Chcę się widzieć z Jego Ekszelencją sir Robertem Cecilem - oznajmił śmiało Szymon.

- Tam z tyłu! - Służący wskazał na drzwi i odprowadził konia.

Szymon podszedł do drzwi. Zanim zastukał, otworzono je. Kolejny służący popatrzył na niego, dyskretnie wyciągając dłoń.

- Kogo mam zaanonsować Jego Ekszelencji?

- Jestem Szymon von Kirchberg i mam list polecający od sir Ryszarda Haresgilla z Gillsborough - odpowiedział Szymon, nie zważając na jednoznaczny gest służącego.

Ten poczekał jeszcze chwilę, a gdy gość mimo to nie dał mu żadnej monety, schował rękę i zamarkował ukłon.

- Proszę za mną!

Zaraz potem Szymon znalazł się w dużym pokoju, którego podłogę wyłożono dębowym parkietem. Ściany i sufit też pokryto drewnem, a wiszące na nich portrety przedstawiały pana domu, a także jego ojca, lorda Burghleya, który aż do śmierci służył jej królewskiej mości jako sekretarz stanu.

W pokoju stało kilkunastu mężczyzn. Szymon skonstatował z irytacją, że wszyscy oni czekają na przyjęcie przez Roberta Cecila. Nie było tam żadnych krzeseł, więc nie pozostało mu nic innego, jak oprzeć się o ścianę i uzbroić w cierpliwość.

Niektórzy z przybyłych zabrali ze sobą służących i teraz posyłali ich do pobliskiej gospody po piwo i pieczone, żeby nie cierpieć głodu podczas oczekiwania. Gdy Szymon to zobaczył, był zły sam na siebie, że zostawił Deasúna w karczmie. Służący Cecila ani myśleli, by podać mu cokolwiek. Jeszcze gorsze było to, że raz po raz pojawiali się jacyś panowie, których lokaje Cecila od razu prowadzili do jego pokoi. Czas mijał i w końcu słońce znalazło się już daleko na zachodzie. Pierwsi z oczekujących zaczęli się niepokoić i pytać służbę, czy Jego Ekszelencja będzie mógł ich przyjąć tego dnia.

- Możliwe, że będziecie musieli przyjść jutro, mój panie - powiadomił lokaj jednego z czekających.

Spojrzenie, które rzucił przy tym Szymonowi, jednoznacznie dało mu do zrozumienia, że on także nie powinien robić sobie nadziei na przyjęcie jeszcze tego wieczoru.

Szymon był coraz bardziej wściekły, a na koniec zaczął nawet żałować, że Irlandczycy przegrali pod Kinsale.

Powoli miał dość tego nadętego narodu z większej wyspy.

Jednakże irytacja nic mu nie dała, bo gdy zapadł zmierzch, sekretarz Cecila zażądał, by wszyscy oczekujący przyszli pojutrze, bo Jego Ekscelencja następnego dnia będzie niedostępny.

Dla Szymona było to gorzkie rozczarowanie i zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście sekretarz stanu tak považał Haresgilla, jak tamten twierdził. Przez kolejne dni jego wątpliwości rosły coraz bardziej, bo raz po raz zaglądał do domu Cecila i nic tylko wiecznie czekał.

Służący Cecila byli przyzwyczajeni, że otrzymują od szlachciców odwiedzających dom ich pana dobre napiwki, więc nie mieli najmniejszego zamiaru wstawić się za skąpym Niemcem.

Dopiero pewnego wieczoru po blisko tygodniu sekretarz zameldował swojemu panu, że Haresgill przysłał posłańca.

- Muszę dodać, że to jakiś cudzoziemiec! Nazywa się Szymon von Kirchberg - oznajmił głosem pełnym obrzydzenia.

Cecil zastanowił się, a potem ponaglił służącego gestem.

- Wprowadź tego człowieka! Stój! Najpierw przynieś mi wszystkie akta, jakie mamy na temat Kirchberga.

- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo - sekretarz uklonił się i opuścił pokój.

Szymon czekał, ale nastawił się już na to, że wróci do domu, nic nie wskórawszy. Jednakże do poczekalni wszedł sekretarz Cecila i podszedł prosto do niego.

- To wy jesteście Szymon von Kirchberg?

Szymon potwierdził.

- Mam list polecający od sir Ryszarda Haresgilla z Gillsborough do Jego Ekscelencji sir Roberta.

- Proszę za mną.

Ku rozczarowaniu lokajów, którzy woleliby, żeby skąpiec poczekał jeszcze parę dni, sekretarz Cecila zaprowadził Szymona do swojego pana.

Robert Cecil siedział na wygodnym krześle za wielkim stołem, na którym leżały stos papierów, pióro i kałamarz, a także stempel, pieczęć, wosk i stała mała lampka do jego topienia. Gospodarz trzymał w ręku kartki papieru, na których wypisano wszystko, czego jego donosiciele dowiedzieli się o Szymonie von Kirchbergu. Jego informator w Rzymie opisał go jako ambitnego oficera w służbie Kościoła katolickiego. Ale raporty, które otrzymał z Irlandii, przedstawiały tego człowieka w niejednoznacznym świetle.

Była tam mowa o tym, że swoimi czynami Kirchberg poważnie zaszkodził Anglikom, jednak ostatnia informacja od Haresgilla wskazywała, że jego gość zmienił front.

- Witajcie, sir - zaczął uprzejmie Cecil.

Szymon przypomniał sobie, że jego rozmówca to pierwszy doradca królowej i głęboko się pokłonił.

- Jestem przeschczęśliwy, że Wasza Ekscelencja raczył mi poświęcić swój czas.

- Mówicie, że macie list polecający od sir Ryszarda Haresgilla?

Cecil nie miał ochoty na kwieciste przemowy, tylko chciał jak najszybciej załatwić sprawę. Wziął list, który podał mu Szymon, i przeczytał. Ryszard Haresgill wstawiał się za Szymonem von Kirchbergiem, sugerując, że ten pragnie otrzymać ziemię w Irlandii, by dalej móc służyć Jej Wysokości królowej Elżbiecie.

Cecil oddał Szymonowi list i przyjrzał się uważnie swojemu gościowi.

- To, o czym pisze sir Ryszard, może wam zapewnić tylko Jej Wysokość. Lecz rozumiecie chyba, że ja, zanim polecę was królowej, muszę dowiedzieć się o was czegoś więcej.

Szymon myślał, że będzie prościej. Ale ponieważ chciał przekonać do siebie Cecila, opowiedział pokrótce o sobie, a potem oznajmił, że już w Irlandii postanowił odejść od katolickiej wiary i przystąpić do Kościoła anglikańskiego.

- To chwalebny zamiar, w istocie, choć dość zaskakujący jak na oficera, który przybył do Irlandii na polecenie papieża i dał się tam we znaki naszym oddziałom! - odparł sucho Cecil.

W pierwszej chwili Szymon się przeraził, ale potem roześmiał się cicho.

- Wasza Ekscelencja myli mnie z moim krewnym Ferdynandem von Kirchbergiem, który okazał się fanatycznym wrogiem Anglii i przyłączył się do buntownika Oisina O'Corry. Ja nigdy nie działałem przeciwko armii jej królewskiej mości. Możecie zapytać szacownych oficerów, sir Humphreya Darrena i sir Jamesa Mathisona, którzy potwierdzą, że nie tylko zapewniłem im komfortowe warunki niewoli, przynależne angielskim dżentelmenom, ale także chroniłem ich przed morderczymi zapędami Irlandczyków.

Cecil w zadumie pokiwał głową.

- Sir, przedłożę waszą sprawę Jej Wysokości. Bądźcie tak uprzejmi i pojawcie się jutro na dworze około drugiej.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo! - Z poczuciem, że znalazł w Cecilu sojusznika, Szymon znów głęboko się uklonił i tyłem wyszedł z pokoju.

10

Od dawna Szymon nie był w tak dobrym humorze jak tego wieczoru. Zjadł ze smakiem kolację, wypił butelkę wina, a potem kazał Ciarze położyć się z nim do łóżka.

Zniosła to z całkowitą obojętnością. Uważała, że to cena, jaką musi zapłacić, by jej dziecko nie przyszło na świat jako bękart.

Szymon natomiast myślał o swoim kuzynie, który tak bardzo pragnął tej kobiety, a teraz jego ciało pożerały ryby gdzieś przy brzegach Irlandii. I któremu niemal udało się sprawić, żeby uchodził za katolickiego fanatyka. Na szczęście udało mu się u Cecila odwrócić kota ogonem.

Uspokajała go myśl, że w przyszłości też będzie mógł wykorzystywać kuzyna jako idealnego kozła ofiarnego, któremu przypisze wszelkie niemile Anglii działania kojarzone z nazwiskiem Kirchberg.

Z takim zamiarem zasnął i śnił o olbrzymiej posiadłości w Irlandii, którą obdarzy go wdzięczna Elżbieta. Ta wizja była tak silna, że po obudzeniu musiał sobie przypomnieć, że to jeszcze nie jest rzeczywistość.

Mając doświadczenie czekania z burczącym z głodu brzuchem, zjadł obfite śniadanie, a potem przyszykował się do wyjścia i nakazał Deasúnowi O'Corraidhowi, by mu towarzyszył. Gdy dotarli do pałacu, Szymon oznajmił wartownikom, że sir Robert Cecil osobiście wystarał się dla niego o audiencję u królowej.

- Lord kanclerz już przybył. Pozwólcie, że was do niego zaprowadzę - powiedział oficer i ruszył przodem.

Szymon poszedł za nim i znalazł się w małym, ciemnym pokoju. Przy jedynym oknie stał Robert Cecil i wyglądał na zewnątrz. Gdy Szymon wszedł, odwrócił się.

- Musimy jeszcze trochę poczekać, zanim Jej Wysokość będzie gotowa nas przyjąć. Już was jej poleciłem.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo! - Szymon uklonił się, zacierając w duchu ręce. Wychodząc z tego pałacu, będzie kimś o niebo znaczniejszym niż prosty dowódca, który cieszy się z tego, że panowie, którym służy, zwracają mu chociaż wydatki na wyposażenie oddziału.

Ku zaskoczeniu Szymona już po krótkiej chwili pojawiła się dama dworu królowej i zaprosiła ich do środka.

Robert Cecil ruszył pierwszy, uklonił się tuż za drzwiami i uważnie, acz dyskretnie przyjrzał się królowej.

„Postarzała się” - pomyślał z troską. Nawet peruka i szminka nie zdołały już tego ukryć. Jej postawa była też inna niż kiedyś. Głowę miała opuszczoną, usta mocno zaciśnięte. Oczy wydawały się matowe, a wzrok tak zmęczony, jakby miała już dość wszystkiego. Ciemna suknia, która pasowała raczej do wdowy pogrążonej w żałobie niż do królowej dziewicy, jeszcze pogłębiała to wrażenie.

„Od egzekucji Essexu nie jest już sobą” - stwierdził Cecil i postanowił jeszcze tego samego dnia wysłać posłańca do Edynburga, by powiadomić Jakuba VI, króla Szkocji, że już niedługo będzie się mógł nazywać Jakubem I, królem Anglii i Irlandii. Najpierw jednak należało przetrwać tę audiencję.

- Wasza Wysokość, pozwólcie, że przedstawię wam Szymona von Kirchberga, którego sir Ryszard Haresgill opisuje jako wiernego sługę Waszej Królewskiej Mości.

Elżbieta uniosła lekko głowę i rzuciła lekceważące spojrzenie Szymonowi, który wyszedł zza pleców Cecila i pompatycznie się przed nią uklonił.

- Przeczytałam raporty o tym panu, które mi przekazaliście, i wyrobiłam sobie o nim zdanie.

Ochryply głos królowej zdradzał wyraźne niezadowolenie.

Szymon nie porzucał nadziei, natomiast Robert Cecil odszedł na bok i skinął na kilku wartowników, żeby byli gotowi obezwładnić Niemca, gdyby to się okazało konieczne.

Królowa wyciągnęła rękę, wskazując na Szymona, i kontynuowała głosem pełnym gniewu:

- Tego człowieka wysłano do Irlandii, żeby walczył z Anglią. Zamiast tego zdradził papieża, który był zarówno jego panem, jak i duchowym przywódcą. Tak samo zdradził irlandzkich sojuszników, a przede wszystkim swojego przyjaciela Oisina O'Corrę, który zginął w wyniku jego działań, podobnie jego własny kuzyn Ferdynand von Kirchberg. Ten może być naszym wrogiem, ale w przeciwieństwie do pana Szymona był uczciwym, dzielnym wojownikiem, który zasłużył nawet na szacunek moich oficerów, sir Jamesa Mathisona i sir Humphreya Darrena.

- Wasza Wysokość, ja nie rozumiem! - wykrzyknął oburzony Szymon.

Królowa skrzywiła się z odrazą.

- Za chwilę zrozumiecie, o czym mówię, panie Szymonie. Jakiej lojalności mogę się waszym zdaniem spodziewać po kimś, kto nawet nie rozumie tego słowa?

Dogadaliście się z Haresgillem, bo oczekiwaliście za to korzyści. Przelaliście dla niej nawet krew waszego własnego rodu. Nie, mój panie, ludzi takich jak wy nie życzę sobie ani w Anglii, ani w Irlandii. Otrzymacie należną wam nagrodę, a ja okażę hojność. Sir Robercie,

każcie wypłacić temu człowiekowi trzydzieści funtów w złocie. Dostanie więcej niż zdrajca Judasz Iskariota, bo ten dostał za wydanie naszego Pana Jezusa Chrystusa tylko trzydzieści srebrników. Potem pan Szymon von Kirchberg ma opuścić moje królestwo w ciągu trzech dni. Jeśli kiedykolwiek wróci do Anglii albo do Irlandii, zawieszę na stryczku. Zabrać go stąd!

Ostatnie słowa skierowała do wartowników, którzy natychmiast chwycili Szymona i wyprowadzili go z pokoju. Usłyszał jeszcze, jak królowa mówiła, że zdradzenie Irlandczyków mogłaby mu jeszcze wybaczyć, ale nie zdradę własnego kuzyna.

- Poza tym nie wiem, czy Szymon von Kirchberg nie przyczynił się do śmierci Ryszarda Haresgilla - powiedziała królowa, gdy Szymona już wyprowadzono.

- Haresgill nie żyje? - zapytał zaskoczony Cecil.

Zmętniałe oczy Elżbiety na chwilę rozświetliły, a ona cieszyła się, że otrzymała informacje wcześniej niż jej zaufany sekretarz.

- Zastępca Haresgilla zameldował o tym lordowi Mountjoyowi, a ten wysłał raport do dworu. Dopiero co go otrzymałam. Kopia z pewnością czeka na was w domu.

- Jak to się mogło stać? - zapytał zaintrygowany Cecil.

- Nikt tego nie wie. Haresgill posłał swojego podoficera z większością oddziału w ślad za grupą Irlandczyków, a sam z paroma ludźmi został przy zdobytej wieży O'Corrów. Gdy jego zastępca powrócił, nic nie dziając, okazało się, że Haresgill i jego żołnierze nie żyją. Przypuszcza, że Irlandczycy, których miał ścigać, ukryli się w pobliżu i zamordowali Haresgilla. Było tam też dwóch rannych Irlandczyków, którzy zabili wielu żołnierzy, zanim sami zostali pokonani. Ciało żołnierzy, którzy zostali z Haresgillem, obrabowano z odzienia. Paru irlandzkich buntowników paraduje zapewne teraz po kraju, udając dobrych Anglików.

- Myślę raczej, że udali się do najbliższego portu i popłynęli przy najbliższej okazji do Francji albo do Hiszpanii - odparł Cecil, którego coraz bardziej irytowało to, że i on, i królowa poświęcają czas takim drobiazgom. Z drugiej strony Elżbieta wydała mu się odrobinę weselsza niż przez ostatnie tygodnie. „Choćby dlatego warto było” - pomyślał. Poza tym ciekaw był bardzo, kto wciągnął Ryszarda Haresgilla w pułapkę i go zabił.

Jedno skinienie królowej dało mu jednak do zrozumienia, że są inne sprawy do załatwienia. Od jednej z dam dworu otrzymał skórzaną sakiewkę z trzydziestoma funtami.

- Daj to temu Kirchbergowi! Nie chcę, żeby dłużej kalał mój pałac i całą Anglię.

To była Elżbieta, jaką Cecil pamiętał. Ukłonił się i podszedł do drzwi, które natychmiast przed nim otworzono. Jeden z wartowników zaprowadził go na dziedziniec, w którego kącie stał Szymon von Kirchberg pilnowany przez dwóch gwardzistów. Gdy zobaczył Cecila, uniósł ręce w geście rozpacz.

- To wszystko to jedna wielka pomyłka, Wasza Ekscelencjo. Jestem oddanym i wiernym sługą Jej Wysokości. Ja... - Więcej Szymon nie zdołał powiedzieć, bo Cecil rzucił mu do stóp sakiewkę z trzydziestoma funtami w złocie.

- To wasza judaszowa zapłata, mój panie. A teraz odejdźcie! Nie zapomnijcie jednak opuścić Anglii w ciągu trzech dni. Jeśli tu zostanieie, czeka was stryczek!

Po tych słowach Cecil odwrócił się od Szymona, którego ogarnęły jednocześnie wściekłość i rozpacz.

11

Szymon von Kirchberg nie potrafiłby powiedzieć, jak dotarł z powrotem do karczmy. Na pewno nie zawdzięczał tego swojemu służącemu. Gdy Deasún O'Corraidh usłyszał przekleństwa Szymona na temat tego, co wydarzyło się w pałacu, postanowił poszukać sobie pana z lepszymi perspektywami. Irlandczyk skierował więc swojego wałacha w boczną uliczkę i zniknął z życia Szymona. Ten nawet nie zauważył, że Deasún zwiął, tak był pograżony w wyobrażaniu sobie, jak dusi własnoręcznie raz królową Elżbietę, raz Roberta Cecila.

Ponieważ były to nierealne mrzonki, musiał znaleźć inną ofiarę dla wyładowania gniewu.

Gdy zsiadł z konia na dziedzińcu karczmy, rzucił wodze parobkowi.

- Nie rozkulbaczaj go! Zaraz znowu wyjeżdżam.

To powiedziawszy, wszedł do budynku, wbiegł po schodach na górę i wpadł do izby, którą dzielił z Ciarą.

Dziewczyna siedziała przy oknie i nawet nie oderwała wzroku od sukni, której rąbek właśnie przyszywała.

Szymon stanął przed nią i zaczął się zastanawiać, co z nią począć. Ponieważ nie spełniło się jego marzenie o majątku ziemskim w Irlandii, była dla niego bezużyteczna, stanowiła wręcz przeszkodę. „Nie powinienem był się z nią żenić - pomyślał - bo teraz jest mi tylko kulą u nogi”. Poza tym ona wołała jego kuzyna Ferdynanda i na pewno wyszłaby za niego, gdyby nie wyleciał w powietrze razem z wieżą.

Na myśl o tym, że mogła pokładać się wcześniej z jego kuzynem, poczuł gwałtowną wściekłość i uderzył bez ostrzeżenia. Jego dłoń klasnęła o twarz Ciary, aż krew popłynęła jej z nosa. Zanim zdołała zareagować, uderzył po raz drugi.

Bolało, ale oburzenie było silniejsze. Gdy zamierzył się po raz kolejny, błyskawicznie wyciągnęła mu sztylet z pochwy i zagroziła ostrzem.

- Uderzcie mnie jeszcze raz, a pożałujecie! - ostrzegła cichym, ale zdecydowanym głosem.

Szymon znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie są to czcze pogrożki, i mimowolnie się cofnął. W tym momencie przypomniał sobie, że może ją zranić mocniej, nawet jej nie dotykając.

Z bezczelnym uśmiechem wyciągnął spod kaftana skórzaną teczkę i wyjął z niej akt ślubu.

- Posłuchaj mnie, moja droga! Ryszard Haresgill, oby szczeł w piekle, przekonał mnie obietnicą otrzymania ziemi do przyłączenia się do Anglików. Dlatego przekazałem Haresgillovi Léana, pomogłem mu zdobyć na powrót dolinę waszego klanu, a potem otworzyłem jeszcze przed nim waszą wieżę nad morzem, żeby mógł wreszcie zabić twojego brata. A ciebie poślubiłem po to, żeby ci cholerni Irlandczycy uznali mnie za przyjaciela, a parobkowie widzieli we mnie swojego pana.

Szymon umilkł na chwilę, napawając się przerażeniem na twarzy Ciary. Lecz to nie było wszystko, co miał do powiedzenia.

- Jednakże obietnice Haresgilla były warte mniej niż papier, na którym zostały spisane, ponieważ jej angielska królewska moc uznała, że nie otrzymam nagrody za udzieloną pomoc. Na dodatek muszę opuścić Anglię w ciągu trzech dni. Z tego powodu zaraz zejść na dół, wsiąść na konia i zniknąć, nie płacąc karczmarzowi.

A wiesz, co to oznacza? Będzie się domagał zapłaty za nocleg od ciebie, a że nie masz żadnych pieniędzy, trafisz do lochu dla dłużników! Ale raczej postanowi, że masz zarobić te pieniądze w inny sposób, jako ladacznica.

Ciara wciąż milczała, więc Szymon kontynuował z nienawiścią:

- Małżeństwo z tobą nic mi już nie da, byłoby lepiej, gdyby nigdy do niego nie doszło.

Po tych słowach wrzucił akt ślubu do kominka, w którym migotał niewielki ogień, i z drwiącym śmiechem wyszedł z izby.

Ciara rzuciła za nim sztyletem, lecz ostrze wbiło się tylko w zatrzaśnięte drzwi. W pierwszej chwili chciała za nim pójść, lecz szybko pojęła, w jakim niebezpieczeństwie znalazło się jej nienarodzone dziecko.

Rzuciła się na kolana i wyrwała pergamin z ognia. Ten dokument był jej najcenniejszym skarbem, bo dzięki niemu mogła udowodnić, że jej dziecko narodziło się z prawomocnie zawartego małżeństwa, nawet jeśli domniemany ojciec jest łotrem, zdrajcą i mordercą.

Szybko strzepnęła popiół z żarzących się miejsc na pergaminie i z ulgą stwierdziła, że

dokument wciąż da się odczytać.

Ból poparzonej ręki stłumił na chwilę wszelkie inne odczucia. Skóra na dwóch palcach poczerwieniała i zaczęły się tam tworzyć pęcherze. Dla Ciary była to skromna cena za to, że uratowała akt ślubu. Podeszła do okna i zobaczyła, jak Szymon wskakuje na konia i opuszcza dziedziniec karczmy.

W pierwszej chwili chciała zawołać gospodarza, by mu powiedzieć, że Szymon nie zamierza zapłacić rachunku.

Już brała za klamkę, gdy przyszło jej do głowy, że ten człowiek z pewnością na niej powetuje sobie stratę. Co powiedział Szymon? Że każe ją zamknąć w lochu dla dłużników? Albo jeszcze gorzej, będzie musiała odpracować dług jako ladacznica.

- Szymon to syn parszywej suki i jeszcze bardziej parszywego psa - syknęła z nienawiścią.

Wiedziała jednak, że musi zapanować nad swoim gniewem. Gdy tylko karczmarz zauważył, że Szymon go oszukał, zamknie ją w jakiejś izbie, żeby odzyskać pieniądze. Nikt nie może się więc dowiedzieć, że jej mąż już nie wróci.

Ciarze trudno było zapanować nad goryczą, która ją ogarnęła, i przybrać obojętną minę. Podniosła skórzaną teczkę, z której Szymon wyjął akt ślubu, i schowała go z powrotem. A potem schowała teczkę pod suknię i przywiązała ją tasiemką. Gdy była gotowa, zeszła na dół i zagadnęła pierwszą napotkaną służącą:

- Przez nieuwagę wrzuciłam coś do kominka. Żeby to wyjąć, musiałam włożyć rękę do ognia i się poparzyłam.

Czy możesz przynieść mi smalec albo mąkę i jakąś szmatkę, żebym mogła obwiązać sobie dłoń?

- Oczywiście, milady! - odpowiedziała dziewczka i pobiegła spełnić prośbę.

Ciara wróciła do izby, usiadła przy oknie i czekała.

W głowie miała całkowity mętlik. To nie Aithil zdradził jej brata, tylko Szymon, i to on wydał go Haresgillowi.

Nie oszczędził przy tym nawet własnego kuzyna. A potem wykorzystał jej żalobę, żeby ją beczelnie okłamać i namówić do małżeństwa.

Zaraz, zaraz - upomniała samą siebie. Przecież wyszła za Szymona z własnej woli, żeby jej dziecko nie rosło jako bękart. Wciąż miała dokument potwierdzający ważność tego małżeństwa. Ale co jej to da w cuchnącym Londynie? Nie miała pieniędzy i nie знаła nikogo, kto by jej pomógł znaleźć bezpieczne schronienie.

Rozmyślenia Ciary przerwało wejście służącej.

- Już jestem, milady - powiedziała i położyła na łóżku kawałek czystego płótna, garnuszek z maścią i nożyczki.

A potem tak zręcznie opatrzyła poparzoną rękę, że Ciarze zrobiło się przykro, że może się jej odwdzińczyć jedynie dobrym słowem.

- Łaskawy pan znowu wyjechał? - zapytała służka, gdy już skończyła.

Ciarze udało się uśmiechnąć z udawanym rozczarowaniem.

- Tak! Niestety nigdy mi nie mówi, dokąd się wybiera i jak długo go nie będzie. Muszę potem do późna czuwać i czekać, aż wróci.

W ten sposób zyska przynajmniej czas do wieczora.

Dłużej w tej karczmie nie mogła zostać. Pozostawało tylko pytanie, dokąd ma się udać, ale nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

Dopiero gdy służąca zbierała swoje rzeczy, Ciara zauważyła, że sztylet, którym rzuciła w Szymona, wciąż tkwi w drzwiach. Podeszła tam szybko i delikatnie go wyciągnęła. Będzie go potrzebować, jeśli chce przetrwać w tym mieście zdana sama na siebie.

Pomyślała o bagażu, który zostawił Szymon. Niewiele tego było, ale może uda jej się sprzedać parę rzeczy, żeby mieć choć parę pensów. Poczekala, aż służąca wyjdzie, i wtedy przygotowała wszystko, żeby możliwie dyskretnie się stamtąd ulotnić. Uznała, że lepiej nie robić tego z pustym brzuchem, narzuciła więc chustę i zeszła na dół, żeby nabrać sił przed ucieczką.

Już po chwili karczmarz wsunął głowę do ustronnej izby, w której kazała sobie podać posiłek.

- Smacznego, milady! Mam nadzieję, że wam smakuje.

Ciara nie zauważyłaby nawet, gdyby podano jej trociny.

Uśmiechnęła się jednak.

- Smakuje wybornie! Będziecie tak uprzejmi i każecie mi podać jeszcze jeden kubek wina?

- Oczywiście, milady! Pozwólcie jednak, że zadam jedno pytanie. Kiedy łaskawy pan wróci? Mam zwyczaj, że po paru dniach pobieram zaliczkę na koszty noclegu i wyżywienia, a wasz małżonek jeszcze jej nie uiścił.

- Na pewno nie uczynił tego celowo - odpowiedziała Ciara, starając się mówić pewnym siebie głosem. - Przypomnę o tym mężowi, gdy tylko wróci.

Skinęła karczmarzowi głową i z pozornym spokojem wróciła do jedzenia. Lecz w środku aż się w niej gotowało. Wyglądało na to, że Szymon był bardziej nikczemny niż przypuszczała. Musiał wiedzieć, że karczmarz akurat tego dnia zażąda od niego pieniędzy.

Niemal uległa pragnieniu, żeby wyruszyć go szukać i wyrównać rachunki. Wiedziała jednak, że nie ma na to środków. Nawet gdyby cokolwiek uzebrała, musiałaby go ścigać na piechotę, a na brzegu morza stanęłaby przed pytaniem, czym zapłacić za rejs.

Jej uprzejma odpowiedź uspokoiła karczmarza.

Wyszedł z izby, a zaraz potem przysła z kubkiem wina służąca, która opatrzyła dłoń Ciary. Ciara najchętniej zapytałaby ją, gdzie mogłaby sprzedać parę rzeczy. Lecz gdyby to uczyniła, karczmarz na pewno by się o tym dowiedział i odebrał jej uzyskane pieniądze na poczet długu.

Jadła więc powoli dalej, piła wino, a w głębi duszy płakała nad losem, który rzucił ją na obczyznę i tak okrutnie potraktował.

12

Choć karczmarz był Anglikiem, Ciarze było przykro, że musi go oszukać. To poczucie nie mogło jej jednak odwieść od przeprowadzenia przygotowanego planu.

Chętnie spędziłaby jeszcze jedną noc w karczmie, żeby mieć potem cały dzień na poszukiwanie w Londynie nowego schronienia. Ale karczmarz zauważył, że jej mąż nie wrócił wieczorem, i następnego ranka na pewno nie pozwoli jej wyjść.

Poczekwała więc, aż o zmierzchu zrobi się w pokoju ciemniej, a z dołu zaczęły dobiegać hałasy czynione przez gości pijących piwo i wino. Gdy miała pewność, że karczmarz i jego służba są zbyt zajęci, żeby zwrócić uwagę na pojedynczą osobę, wyszła z izby i po cichu zeszła po schodach.

Nie mogła opuścić karczmy przez frontowe drzwi, bo zobaczono by ją z wnętrza sali. Skorzystała więc z wyjścia na dziedziniec, poczekwała, aż pracujący tam parobek wejdzie do stajni, i szybko podbiegła do bramy. Na szczęście była tylko przymknięta, więc udało jej się wymknąć. I już wmieszała się w tłum na ulicy.

Wiedziała, że musi opuścić tę dzielnicę, więc po prostu dała się ponieść cizbie. W którymś momencie poczuła wilgoć w powietrzu, więc domyśliła się, że trafiła w pobliże Tamizy. Teren tuż przy rzece z obawy przed powodzią zabudowano rzadziej niż w innych częściach miasta i Ciarze udało się w zapadających ciemnościach znaleźć zarośla, które tej nocy mogły jej zapewnić schronienie. Pomyślała, że rankiem poszuka jakiegoś handlarza i sprzeda mu zawartość swojego tobołka.

Otuliła się płaszczem, skuliła i pomodliła, by tej nocy nie padał deszcz.

Nie mogła jednak zasnąć. Wciąż przeżywała te koszmarne chwile, gdy Haresgill napadł na wieżę, a potem wysadził jej szczyt. Straciła wtedy i swojego ukochanego, i brata, a

wszystko to z winy Szymona.

- Szymonie von Kirchberg, gdziekolwiek teraz jesteś, oby niebiosa wkrótce cię ukarały! - szepnęła z nienawiścią i chwyciła rękojeść sztyletu. Z ręką na broni w końcu zasnęła.

Obudziła się, bo coś szarpnęło ją za suknię.

- Co jest? - prychnęła i kopnęła. Trafiała w coś, a potem usłyszała gniewne warknięcie. „To jakiś pies” - pomyślała. Zwierzę chwyciło ją za nogę, ale materiał sukni był zbyt gruby. Zacisnęła rękę na sztylcie, przetoczyła się i uderzyła. Było tak ciemno, że nie miała pojęcia, czy dobrze trafiła. Zwierzę wydało z siebie pełen bólu jęk i zniknęło w ciemnościach, utykając.

„Tym razem się udało” - pomyślała Ciara, żalując, że nie ma przy niej Gamhain. Wielka suka obroniłaby ją i przed psami, i przed innymi niebezpieczeństwami. Nie mogła tutaj zostać. Jeśli jednak zacznie się wałęsać nocą po ulicach, wpadnie prosto w ręce miejskich strażników i wyląduje w więzieniu za włóczęgostwo. Nie wiedząc, co robić, przeszła kilka kroków i nagle zobaczyła jakąś postać. Natychmiast wysunęła w jej kierunku sztylet.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - ostrzegła.

- Żeś tutaj nowa, co? - odpowiedział kobiecy głos. - Inaczej nie kładłabyś się tu spać, tylko znalazłabyś sobie inne miejsce.

- A co ty tutaj robisz? - zapytała Ciara nieufnie.

- Wracam z tamtej tawerny. Zarobiłam parę pensów i jeszcze porcję pasztetu.

- Nalewałaś piwo? - zapytała Ciara, na co jej rozmówczyni głośno się roześmiała.

- Myślisz, że karczmarz dopuściłby mnie do swoich świętych dzbanów? Nie, rozłożyłam tylko parę razy nogi.

Na tym zależy mężczyznom, którzy po wielu dniach na morzu wracają do Londynu. Im mocniej ich w spodniach ciśnie, tym są hojniejsi. Widziałam, że przyплыnęła dzisiaj

„Mistress of Kent”, i pomyślałam sobie: Maudie, to będzie twój szczęśliwy dzień. I tak było! Zwykle muszę obrobić trzy razy tyle klientów, żeby tak dobrze zarobić.

I jeszcze pasztet dostałam. - Kobieta paplała wesoło, zupełnie jakby Ciara była jej najlepszą przyjaciółką.

- Jesteś ladacznicą? - zapytała Ciara z odrazą.

- Z czegoś przecież muszę żyć - odparła tamta spokojnie. - Powiedz, skąd ty właściwie jesteś? Akcent masz taki, jakbyś była ze Szkocji.

- Jestem Irlandką! - poprawiła ją urażona Ciara.

- Nie mam nic do Irlandczyków - kontynuowała niezrażona Maud. - Poznałam nawet paru irlandzkich marynarzy. Byli hojni, tak, trzeba to przyznać. Ale schowaj już ten durny sztylet. A może chcesz mnie zadźgać dla paru pensów i kawałka pasztetu?

- Oczywiście, że nie!

- To dobrze. A tak poza tym, jeśli szukasz dobrego miejsca do spania, możesz pójść ze mną. Ale jedno ci od razu powiem. Nie rób mi konkurencji, jasne? Chyba że będziesz mi oddawać połowę pieniędzy, które dostaniesz od klientów.

Ciara zrozumiała, że Maud przypuszcza, że ona też będzie pracować jako ladacznica, i już chciała się wycofać. Przemogła się jednak, bo potrzebowała noclegu.

Może Maud zna też jakiegoś lichwiarza. Skinęła więc głową, choć w słabym świetle księżycy ledwo widziała swoją rozmówczynię.

- Pójdę z tobą i obiecuję, że ani nie zabiorę ci pensów, ani nie zjem pasztetu!

Podszedłszy do Maud, Ciara poczuła od niej zapach piwa oraz taniej wódki, i pomyślała przygnębiona, że pewnie tylko w ten sposób można znieść takie życie.

13

Gdy Ciara obudziła się następnego dnia rano, okazało się, że spała w wąskiej szopie postawionej między dwoma potężnymi kamiennymi murami. W izdebce starczyło miejsca na wąskie łóżko, na którym chrapała kobieta w średnim wieku, proste palenisko, stół i rozklekotane krzesło. Sama Ciara leżała zwinięta do połowy pod stołem, z głową na brudnej poduszce.

W pierwszej chwili otoczenie ją zaskoczyło. Potem przypomniała sobie, że Szymon zostawił ją na pastwę losu i uciekł. Ta kobieta na łóżku to musi być Maud, ladacznica, która obsłużyła paru marynarzy w tawernie nad rzeką i napotkała ją w drodze do domu.

Rozmyślenia o krętych kolejach losu przerwała jej konieczność udania się za potrzebą. Wypełzłszy spod stołu, wysunęła głowę przez drzwi. Lecz tuż za nimi znajdowała się wysypana rzeczonym żwirem ulica.

Przechodnie mijali ją, nie zwracając na nią uwagi. Byli to w większości smutni, obdarci ludzie.

„Czy podzielę ich los?” - pomyślała Ciara. Burzące kiszki dały jej jednak do zrozumienia, że są pilniejsze sprawy niż rozważania o przyszłości. Nie mogła tak po prostu przykucnąć na ulicy i się wypróżnić, wróciła do przybudówki i szturchnęła Maud.

Kobieta odpychała ją przez sen, lecz Ciara się nie poddawała. W końcu Maud otworzyła oczy i spojrzała na nią.

- A kim ty jesteś?

Nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie.

- Spotkałyśmy się w nocy i zaprosiłaś mnie do siebie - odpowiedziała Ciara.

- Musiałam być pijana. Czego chcesz?

- Gdzie tu jest wychodek?

- Z tyłu na zewnątrz, wzdłuż muru, a potem w prawo za rogiem. Uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył. Bo będziesz musiała zapłacić pensa.

- Dziękuję! - Ciara nie miała już ani grosza, więc wzięła sobie ostrzeżenie Maud do serca. Wyszła z przybudówki przez wąskie drzwi i pomknęła pomiędzy wysokimi na trzy piętra budynkami. Jedną z posiadłości otaczał wysoki ogrodowy mur, natomiast drugą drewniany płot z dwiema luźnymi deskami, które można było odsunąć.

Gdy Ciara zajrzała do środka, zobaczyła wychodek w odległości paru kroków. Nikogo w pobliżu nie było, więc wsunęła się do wnętrza i zaryglowała drzwiczki. Na szczęście szybko poszło i zaraz potem mogła się z powrotem wymknąć przez płot.

Gdy wróciła do izdebki Maud, gospodyni mruknęła ponuro:

- Nikt cię nie widział? Nie mam ochoty mieć przez ciebie kłopotów.

- Nie, nikogo tam nie było.

- Miejmy nadzieję. Skoro już tu jesteś, możesz przynieść wodę ze studni. - Maud wskazała na stojące w rogu drewniane wiadro, a potem na szaflik. - Tylko nabierz do pełna!

Ciara skinęła głową i wyszła. Studnia znajdowała się dobre dwieście jardów od przybudówki Maud i otoczona była przez brudne kobiety i dzieci, które chciały nabrać wody. Nie byli przyjaźnie nastawieni, toteż Ciara musiała się nieźle porozpychać łokciami, żeby dotrzeć do samej studni. Nawet tutaj jakaś kobieta chciała jej wyrwać z ręki wiadro do nabierania wody.

- Zabierz te swoje paluchy! - ofuknęła ją oburzona Ciara.

Przez chwilę wyglądało na to, że kobieta ją uderzy. Gdy jednak Ciara chwyciła za sztylet, tamta się cofnęła i Irlandce udało się napełnić wiadro.

Kiedy wróciła, Maud siedziała przy stole, zjadając z apetytem pasztet. Na ten widok Ciarze zaburczało w brzuchu z głodu i stanęła tuż przy niej.

Maud spojrzała na nią ze złością.

- Przyniosłaś wodę?

- Napełniłam całe wiadro!

- Widzę - odparła Maud z zaciętą miną. - To idź po kolejne. Do szaflika wchodzi pięć.

- Jestem głodna! - oznajmiła Ciara.

- To jeszcze mam cię żywić? Bierz wiadro. Potem dostaniesz trochę pasztetu.

Mówiąc to, Maud odkroiła następny kawałek i wepchnęła go sobie do ust.

Ciara najchętniej wyrwałaby jej pasztet z rąk, tak bardzo była głodna, choć przecież poprzedniego wieczoru zjadła obfitą kolację. Wzięła jednak z powrotem wiadro i wyszła. Przy studni zauważyła, że zwraca na siebie już mniejszą uwagę, bo tym razem nikt nie próbował wyrwać jej nabieraka. Ale i tak porządnie się zmęczyła, zanim napełniła szaflik w izdebce Maud. Gdy miała nadzieję, że wreszcie dostanie coś do jedzenia, ladacznica kazała jej przynieść kolejne wiadro wody.

- Do mycia. Klienci nie lubią, jak cuchniemy w pracy - oznajmiła.

Ciara nie miała nic przeciwko temu, żeby się umyć, więc znów podreptała do studni. Kiedy wróciła, Maud wskazała jej krzesło.

- Postaw wiadro na tym. - Potem bez skrupowania rozebrała się do naga i zaczęła się obmywać niezbyt czystą szmatką.

Tymczasem Ciara rozglądała się za czymś do zjedzenia, lecz Maud wszystko sprzątnęła. Zauważyła jej spojrzenie, ale się nie przejęła, tylko dalej się myła, a na koniec ubrała się z powrotem.

- Teraz ty możesz się umyć! - powiedziała.

Ciara nie chciała użyć wody, w której umyła się ladacznica, więc po raz kolejny poszła do studni. Tam najpierw porządnie wypłukała wiadro i wróciła ze świeżą wodą.

- Taka elegantka z ciebie, co? - zadrwiła Maud, gdy Ciara zaczęła się myć. Trzymała w ręku kawałek chleba, od którego odłamała mały kawałek i rzuciła w stronę Ciary.

- Masz, to dla ciebie!

Ciara złapała chleb i zaczęła łapczywie jeść.

- Aż tak bardzo elegantka to jednak nie jesteś - skomentowała Maud. - Uciekłaś od męża! To tak jak ja.

Bił mnie aż do krwi. I ciągle chciał się parzyć, stary cap.

I śmierdział jak stary cap. W końcu miałam tego dość i zwiałam. Niezle się tutaj urządziłam. Płacę zarządcy domu obok szylinga czynszu miesięcznie za tę szopę i mogę też korzystać z wychodka dla służby. Od czasu do czasu woła mnie do piwnicy, żebym go obsłużyła. Lubi to robić jak ogier, od tyłu, a z jego starą nie bardzo mu to wychodzi. Ta kładzie się grzecznie na plecach, rozkłada nogi i zamyka oczy, aż on skończy.

Ciarze zrobiło się żal kobiety, której przypadł w udziale taki trudny los i która zawsze będzie żyć z dnia na dzień. Trochę się dziwiła, czemu Maud znowu zaczęła być dla niej miła. Wtedy spostrzegła, że tamta wyjęła butelkę z małej skrzyni schowanej za łóżkiem i

pociągnęła spory łyk.

- Też chcesz? - zapytała.

- Nie, dziękuję! - Ciara od czasu do czasu wypijała na pragnienie kubek lekkiego piwa albo cienkiego miodu, lecz zapach, który unosił się z otwartej butelki, wywołał u niej mdłości. Wyglądało na to, że było to coś w rodzaju whisky, której używa się w małych ilościach w celach leczniczych, a którą mężczyźni lubią sobie popijać.

W każdym razie to narzędzie szatana, bo odbiera ludziom rozum i sprawia, że szukają zwady, nie mając żadnych hamulców. Następnego ranka leżą we własnych wymiocinach, narzekając na ból głowy i brzucha. Lecz zamiast wyciągnąć z tego nauczkę, niezrażeni piją dalej.

A do czego to prowadzi, Ciara przekonała się na przykładzie Buirre'a.

Maud też zmieniała się pod wpływem mocnego trunku.

Robiła się miłsza i dała nawet potem Ciarze spory kawałek z resztki pasztetu.

- Trzeba go szybko zjeść, bo inaczej się zepsuje - powiedziała i popatrzyła na Ciarę. - Ty naprawdę jesteś szlachcianką! Jak się znalazłaś na ulicy?

Ciara zastanowiła się, ile jej może powiedzieć, i oznajmiła, że porzucił ją mąż.

- Przecież mogłaś pójść do krewnych - stwierdziła Maud.

- Oni mieszkają w Irlandii albo już nie żyją. - Ciara otarła wilgotny nagle policzek, a potem wzruszyła ramionami. - Na tym świecie nie ma nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Muszę sobie sama poradzić w życiu i...

Nie dokończyła, bo chciała powiedzieć, że ma nadzieję, że pomści śmierć brata i Ferdynanda na Szymonie von Kirchbergu. Ale to był odległy cel. Teraz musiała walczyć o przetrwanie.

- Udało mi się uratować parę rzeczy i chciałabym je sprzedać jakiemuś handlarzowi. Jeśli znajdziesz mi takiego, który mnie nie oszuka, też dostaniesz parę pensów - zaproponowała.

- Znam jednego takiego! Ciągle sprzedaję mu rzeczy, które dostaję od marynarzy. Pokaż, co tam masz, zobaczę, ile to warte.

Po chwili wahania Ciara rozwiązała swój tobołek i rozłożyła jego zawartość.

Maud aż gwizdnęła.

- Gdybyś nie była szlachcianką, to by znaczyło, że ukradłaś je z jakiegoś szlacheckiego domu. To przyniesie parę szylingów. Jeśli chcesz, pójdę z tobą do starego Tima i potarguję się za ciebie. W każdym razie na pewno dostanę lepszą cenę niż ty. A co chcesz potem zrobić z pieniędzmi? Na lepsze lokum i tak nie będzie cię stać.

Proponuję, żebyś została na razie u mnie i płaciła pół szylinga czynszu oraz drugie pół za wyżywienie. Jeśli chcesz, nauczę cię wszystkiego, co powinna wiedzieć ladacznica.

- Nie chcę pracować jako dziwka - odpowiedziała ostrym tonem Ciara.

- Ale będziesz musiała! Nawet jeśli karczmarz przyjmie cię na służącą, to i tak będziesz musiała rozkładać nogi dla niego i co lepszych gości. Tak to już jest.

- Nie chcę! Poza tym jestem w ciąży! - wykrzyknęła oburzona Ciara.

- Z mężem, który puścił cię kantem? No to się urządź! -

Na te słowa Ciara spuściła głowę, żeby Maud nie zauważyła, że się czerwieni. Pod sercem nosiła dziecko Ferdynanda, a nie Szymona von Kirchberga. Ale to nie powinno tej dziwki obchodzić, więc oznajmiła, że cieszy się z dziecka.

- To piękne mieć takie maleństwo. Sama chętnie bym je miała, ale dwa razy mąż tak mnie pobił, że poroniłam.

I koniec. A teraz się cieszę, gdy widzę inne ladacznicę, które z wielkimi brzuchami muszą się parzyć z napalonymi klientami. Ale chodźmy teraz do Tima. Powinien już być na nogach.

Po tych słowach Maud wstała, narzuciła sobie chustę na ramiona i podeszła do drzwi.

Ciara, spakowawszy swoje rzeczy, ruszyła za nią.

Ladacznica bardzo dokładnie zamknęła drzwi, a potem schowała klucz pod suknię.

- To na złodziei - wyjaśniła Ciara.

Ta już dawno się zorientowała, że trafiła do niezbyt porządnej dzielnicy Londynu, ale teraz zaczęła się zastanawiać, jak tutaj przeżyje i jak urodzi swoje dziecko.

14

Sklepik Tima, lichwiarza i handlarza starzyzną, znajdował się przy wąskiej bocznej uliczce otoczonej starymi domami szachulcowymi. Skromny szyld nad drzwiami obwieszczał, że tu sprzedaje się i kupuje wszystko.

Ciara przystanęła, odetchnęła głęboko i podeszła do drzwi. Zanim wyciągnęła rękę, drzwi się otwarły, a ze środka wyszedł mężczyzna w szerokiej opończy. Spojrzał na Ciarę, uśmiechnął się i chwycił ją za podbródek.

- Mogłabyś mi się spodobać, mała. Chodź! Znow mam pieniądze i zapłacę twoją cenę.

- Nie sądzę - odparła Ciara chłodno, przeciskając się obok niego do wnętrza sklepiku. Usłyszała jeszcze, jak mężczyzna nazwał ją durną krową i poczuła ulgę, że odszedł. Zamiast niego do środka weszła Maud i z uśmiechem podeszła do wysokiego, chudego człowieka, który chował do szuflady jakieś błyszczące przedmioty.

- Witaj, mistrzu Timie - powiedziała.

Mężczyzna zamknął szufladę i odwrócił się do niej.

- Maud, to ty! Znowu pozbawiłaś jakiegoś pijanego amatora dziwek jego skromnego dobytku?

- Ach mój Boże, nie mogłabym czegoś takiego zrobić! - wykrzyknęła Maud z udawanym oburzeniem, a potem wskazała na Ciarę. - Przyprowadziłam tę panią. Miała ostatnio w życiu pecha i potrzebuje trochę pieniędzy.

Maudie, pomyślałam sobie od razu, zabierz ją do mistrza Tima. On ma dobre serce dla kobiet, którym przydarzyło się nieszczęście.

- Nie mydl mi tu oczu, od mydlenia to jest balwierz. To czego ta pani chce się pozbyć?

- To prawdziwa lady, tyle że z Irlandii - oznajmiła Maud. - Musisz jej dać dobrą cenę. Choćby ze względu na mnie. Przyniósłbyś mi wstyd, gdybyś zrobił inaczej.

Maud uśmiechnęła się obiecująco, lecz twarz handlarza jeszcze bardziej spochmurniała.

- Najpierw chcę zobaczyć te rzeczy.

Ciara rozwiązała tobolek i rozłożyła przed nim jego zawartość. Była tam koszula Szymona, nóż do jedzenia oraz widelec ze srebrnym uchwytem, którego używał, by podkreślić, że jest pochodzącym ze szlachty oficerem. Tim wydał się nim zainteresowany. Wziął go do ręki, sprawdził i pokiwał głową.

- Włoska robota! Niezła. Dam ci za to pięć szylingów!

- Mistrzu Timie, nie możecie tego zrobić. To jest warte co najmniej cztery razy tyle! - zawołała Maud.

Ciara wzruszyła ramionami i zaczęła z powrotem pakować swoje rzeczy.

- Warto było spróbować. Ale teraz pójdziemy poszukać innego kupca. Aż tak poniżej ceny niczego nie sprzedam.

- Nie tak szybko! - wykrzyknął Tim. - Pokaż jeszcze te rzeczy. Obejrzę sobie wszystko, a potem porozmawiamy.

Ale jedno powiem ci od razu: ja też muszę z czegoś żyć!

Dlatego podam cenę, jaką mogę zaoferować, a potem ty albo ją przyjmiesz, albo nie. Tylko nie myśl sobie, że ktoś inny da ci więcej. Ja robię to tylko ze względu na dobrą Maud. Ale u ciebie też będę miał względy, co?

Ciara popatrzyła na niego zdumiona, ale Maud od razu się domyśliła, o co mu chodzi.

- Jak masz ochotę na mały numer, to możemy pójść na zaplecze. Ale dopiero, jak zaproponujesz tej damie dobrą cenę.

I już poszło szybko. Tim wycenił te kilka przedmiotów i podał Ciarze cenę, która bardzo odbiegała od ich prawdziwej wartości, ale była lepsza niż jego pierwsza oferta. A potem przesunął w jej stronę stosik różnych monet i rzucił Maud ponagląjące spojrzenie.

- Chodź już!

Maud minęła go z szerokim uśmiechem i weszła na zaplecze. Niemal deptała jej po piętach. Ciara z westchnieniem została w sklepiku. Ponieważ zaplecza nie oddzielały od niego żadne drzwi, słyszała, co się tam dzieje i widziała na ścianie cienie ich obojga. Maud położyła się na plecach na belach materiału i podciągnęła spódnice, a Tim, pogrzebawszy przy spodniach, wsunął się między jej uda. Stękał przy tym tak głośno, że Ciara była pewna, że słysząc go nawet na ulicy.

Poczuwszy, że się czerwieni, odwróciła się plecami do cienia kopulującej pary. Zaczęła się zastanawiać, gdzie trafiła. Tu kurewstwo było czymś tak codziennym, jak jedzenie czy picie.

Po chwili Tim kilka razy głośno jęknął i już było po wszystkim. Oboje wrócili do sklepiku, handlarz z wyrazem zadowolenia na twarzy, a Maud z pełną do połowy butelką wódki, którą dał jej Tim.

- Możemy już iść - powiedziała do Ciary.

Ta się otrząsnęła, jakby chciała odpędzić jakiś koszmarny sen, i wyszła za Maud na zewnątrz.

- Przykro mi, że musiałaś mu się oddać - powiedziała cicho.

- Warto było! - odpowiedziała ladacznica z uśmiechem, unosząc butelkę.

W tym momencie Ciara wiedziała, że nie pójdzie w ślady Maud. Choć nie miała innego wyjścia i na razie musiała u niej mieszkać, to kiedyś odmieni swój los, choćby przez kradzież. Wyrzuty sumienia uciszył fakt, że jej ofiarami padną Anglicy, członkowie znienawidzonego przez nią narodu.

15

W końcu mieli przed sobą Londyn! Ferdynand i jego towarzysze musieli jeszcze dwa razy zmienić statek, aż wreszcie ostatni dowiózł ich do stolicy. Choć kolejni kapitanowie nie szantażowali ich tak, jak angielski przemytnik, to pełna z początku sakiewka Ryszarda Haresgilla sporo zelżała. Szybko zrezygnowali z pomysłu poruszania się lądem, bo wtedy musieliby kupić konie.

A na taki wydatek nie mogli sobie pozwolić. Hufeisen wielokrotnie żałował, że po śmierci Haresgilla i jego ludzi nie poszukali ich koni.

Gdy znów zaczął o tym wspominać, Saraïd potrząsnęła głową.

- Na koniach nigdy byśmy nie przemknęli ukradkiem przez Tir Chonail. Poza tym ani ja, ani Bríd nie potrafimy jeździć.

Zanim Hufeisen zdążył odpowiedzieć, Ferdynand poklepał go po ramieniu.

- Nie martw się, stary przyjacielu. W końcu przecież dotarliśmy do Londynu. Zbierz nasze rzeczy, żebyśmy szybko zeszli z pokładu. Może jeszcze dziś uda nam się wyruszyć na poszukiwania Ciary i mojego kuzyna.

- Miejmy nadzieję, że wciąż tu są - odparł ponurym tonem Hufeisen.

- Jeśli nie, dowiemy się, dokąd się udali, i wyruszymy za nimi, choćby do bram piekieł!

Dni spędzone na morzu dobrze Ferdynandowi zrobiły.

Otarcia i siniaki, których się nabawił, wyskakując z okna wieży i pływając pośród skał, zagoiły się, a on odzyskał siły. Jakiś marynarz go przegonił, bo musiał przygotować linę, którą statek miał zostać przycumowany do nabrzeża.

Ferdynand odsunął się kilka kroków, a pozostali zeszli pod pokład, żeby zabrać bagaże. Gdy wyszli, marynarze rozkładali już trap.

Kiedy Ferdynand zszedł na nabrzeże, musiał z całej siły przytrzymać Gamhain. Suka węszyła niespokojnie i zachowywała się tak, jakby chciała natychmiast gdzieś biec. Jej rany też się dobrze zagoiły podczas rejsu i po ciasnocie statku bardzo chciała się wybiegać. Ale w mieście to nie było możliwe.

W końcu Ionatán pomógł uwiązać psa.

- Zachowuje się tak, jakby wyczuła Ciarę - powiedział do Ferdynanda.

Ten zaczął się zastanawiać, czy nie puścić jednak suki, ale się na to nie zdecydował. Nie znali tego miejsca, a on nie miał pojęcia, czy wobec panującego tu chaosu zapachów Gamhain potrafiłaby ich z powrotem odnaleźć.

- Gdyby zwierzyła Ciarę, dałaby głos - odpowiedział i odsunął się na bok, żeby pozostali mogli zejść ze statku.

- Po pierwsze potrzebujemy niezbyt drogiej gospody, w której będziemy mogli przenocować. Stamtąd zaczniemy odwiedzać karczmę za karczmą i pytać o Ciarę i Szymona - powtórzył jeszcze raz, choć podczas rejsu omawiali ten plan wielokrotnie.

Bríd, Hufeisen i Ionatán pokiwali głowami, ale Saraïd wypowiedziała myśl, która dręczyła ją już od dłuższego czasu.

- A co, jeśli Ciara zaszła w ciążę z Szymonem?

Zostawicie ją wtedy z nim?

- Nie! Szymon nie ma do niej żadnych praw, bo zdradził jej rodzinę i jest winien śmierci wielu Ui'Corra.

Albo odda ją dobrowolnie, albo go do tego zmuszę.

Saraid z uznaniem pokiwała głową. Z chłopca, który przybył do Irlandii, bezgranicznie podziwiając swojego kuzyna, wyrósł mężczyzna, którego słowo było mocne niczym skała.

- Odnajdziemy ją! - powiedziała z pełnym nadziei uśmiechem.

Nawet jeśli to miasto było ogromne, a poszukiwania przypominały szukanie igły w stogu siana, nie poddadzą się.

Tymczasem Hufeisen pytał przechodniów o niedrogą gospodę. Podano mu kilka nazw, więc poprosił jakiegoś chłopca, który wałęsał się bez celu w pobliżu, żeby ich zaprowadził do jednej z nich.

- Ależ oczywiście, mój panie - odpowiedział chłopak i od razu potarł kciuk o palce, sugerując, że oczekuje zapłaty.

Hufeisen wyjął pensa z kieszeni i pokazał mu go.

Lecz chłopak potrząsnął głową.

- Za to nie przejdę nawet dziesięciu kroków!

Zanim Hufeisen zdążył odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się jakiś przechodzień:

- Nie słuchajcie go! Chce was oszukać. Gospoda jest tam dalej, zaraz za rogiem po lewej. Nie poblądźcie.

Hufeisen podziękował, odwrócił się do swoich towarzyszy i oznajmił, że ruszają. Na chłopaka, który wzgardził pensą, nie zwracał już uwagi. Ten się skrzywił, bo potraktował nieznajomych jak prowincjuszy, a tak naprawdę przydałby mu się najdrobniejszy grosz.

Jego strata była oszczędnością dla Ferdynanda i Hufeisena, a ta jeszcze się powiększyła, gdy gospoda

„Pod Bażantem” okazała się czystym miejscem z przystępnymi cenami. Ferdynand wziął osobną izbę oraz dwie inne dla Hufeisena z Ionatánem oraz dla niewiast.

Potem usiedli w karczmie i zamówili jedzenie.

Gamhain położyła się tuż obok stołu i ziewnęła wyzywająco. Niektórzy goście zaczęli rzucać na ogromną sukę lekkie spojrzenia, bo była większa od potężnych angielskich bullenbeisserów[44], a jej zęby wyglądały tak, jakby jednym ruchem szczęki mogła zmiażdżyć udo dorosłego mężczyzny.

Suka skupiła się jednak na oślich kościach, które rzuciła jej służąca w karczmie dziewczyna. Mimo to, jak zauważył Ferdynand, co chwila unosiła głowę, węszyła i cicho

skomlała.

Był to dla niego jednoznaczny sygnał, że wyczuwa zapach Ciary. Miał nadzieję, że suka podejmie trop jego ukochanej i ruszy jej śladem. To samo powiedział innym, gdy siedzieli razem przy kuflu piwa.

- Podzielimy się. Na poszukiwania wyruszymy tylko ja i Hufeisen. Anglicy czują wobec nas respekt i będą odpowiadać na nasze pytania. Ionatán zostanie z Saraid, która nie powinna biegać po mieście sama, a my zabierzemy też Gamhain.

- Przecież się nie zgubię - oburzyła się Irlandka.

- Nie znamy tego miasta i nie wiemy, które zaułki Londynu mogą być niebezpieczne. Lepiej, żebyście byli we dwoje. Ionatán nie może chodzić sam, bo za słabo rozumie tutejszą mowę. I dlatego potrzebuje ciebie. Bríd zostanie tutaj, w gospodzie, i da pozostałym znać, jeśli ktoś z nas czegoś się dowie. - Tę przemowę Ferdynand też wygłosił już wiele razy, ale chciał mieć pewność, że każdy wie, co ma robić.

- Powinniśmy najpierw podzielić miasto na rejony do przeszukania, żebyśmy nie pytali dwa razy w tych samych miejscach - zaproponował Hufeisen.

- Tak zrobimy! Ale dziś rozejrzemy się razem w okolicy gospody. Poza tym poproszę karczmarza, żeby podał nam nazwy wszystkich karczem i tawern, jakie zna.

I te odwiedzimy w pierwszej kolejności.

Wszyscy pokiwali głowami. Dotarli szczęśliwie do Londynu i byli gotowi postawić to miasto na głowie, żeby znaleźć Ciarę.

16

Szymon von Kirchberg wcale się nie ucieszył, gdy ujrzął przed sobą zamek stryja. Wyruszył stąd kiedyś, żeby zrobić karierę jako oficer, a teraz wraca sam jeden bez żadnego podwładnego. Nie ma nawet służącego, bo Deasún O'Corraidh zniknął.

Miał zamiar poszukać sobie po drodze nowego służącego, ale nie znalazł nikogo, kto byłby gotów pójść z nim aż do Bawarii. Nie dysponując odpowiednią obsługą, miał brudne buty i ubranie, a wiedział, że to bardzo nie spodoba się stryjence. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

Z ponurą miną przejechał przez wieś, która leżała u stóp zamku, nie zwracając uwagi ani na zdumione miny mieszkańców, ani na nowy, duży kościół, który stał na miejscu starej kaplicy, pyszniąc się smukłą wieżą z dwuspadowym dachem.

Jeden z wieśniaków popatrzył zdziwiony na swoją żonę.

- Toż to przecie pan Szymon! Jak dobrze, że wesprze teraz naszych państwa, których

dotknęło tyle nieszczęść.

Kobieta prychnęła z pogardą.

- On na pewno sobie myśli, że teraz zostanie dziedzicem i dlatego nie oszczędzał ani konia, ani odzienia. Ale będzie się musiał obejść smakiem. Od mojej kumy Rosi wiem, że łaskawy pan wyznaczył na swojego dziedzica Ferdynanda. I szczerze powiem, że ja też wolę go od pana Szymona, bo z nim nie mielibyśmy lekko!

- Masz całkowitą rację! - odpowiedział jej mąż i od razu lękliwie rozejrzał się wkoło, czy nikt go nie usłyszał.

Tymczasem Szymon, podjechawszy pod mury, które szeroko okalały zamek, zatrzymał konia pod zamkniętą bramą. Odźwierny stryja, posiwiały już parobek, wyszedł ze swojego domku i zmrużył oczy, żeby zobaczyć, kto przybył do jego pana. Ze względu na obdarty i brudny strój gościa już miał odprawić jeźdźca, gdy rozpoznał Szymona i drgnął zdumiony.

- To wy, panie?! - wykrzyknął, otwierając bramę. - A to się państwo ucieszą.

W jego głosie nie było jednak zachwytu, bo wiedział, jak chętnie Szymon sięga po bat. Bratanek pana zamku przeżyje wielkie rozczarowanie i zapewne poszuka sobie ofiary, na której wyładuje złość.

Szymon minął niewielkie sztuczne jezioro, po którym damy miały zwyczaj pływać łódkami dla rozrywki, i zaraz potem zatrzymał konia na wysypanym drobnym żwirze placu przed zamkiem. Tuż za lewym skrzydłem skrywała się stara wieża obronna, w której trzymano proch dla kilku zamkowych armat i broni myśliwskiej.

Gdy byli dziećmi, często bawili się tam razem z Andrzejem, próbując skraść nieco prochu dla własnych celów. Zwykle myśliwy stryja przyłapywał ich na tym i przeganiał.

Zdumiony, że nagle zaczął myśleć o przeszłości, zsunął się z siodła, podał podbiegającemu parobkowi wodze i zapytał:

- Gdzie znajdę stryja?

Parobek dopiero w tym momencie go rozpoznał.

- To wy, panie Szymonie! - Wskazał na starą wieżę prochową. - Państwo odpoczywają na tarasie. Lecz jeśli chcecie do nich dołączyć, powinniście się najpierw obmyć i przebrać.

Rada pochodziła ze szczerego serca, lecz nie została dobrze przyjęta. Szymon nie miał nawet koszuli na zmianę, bo wściekły po porażce u angielskiej królowej zostawił ją razem z innymi rzeczami w londyńskiej gospodzie. Po drodze też nie pomyślał o ubraniu na zmianę. Tak właściwie miał nadzieję, że pożyje kilka tygodni na koszt stryja i będzie się mógł na nowo wyposażyć. Choć te trzydzieści funtów w złocie, które kazała mu dać Elżbieta, uważał

za jałmużnę, to były one jego jedynym majątkiem.

Wystarczy akurat na wystawienie nowego oddziału żołnierzy. Ale nawet jeśli mu się to uda, i tak będzie musiał wiele kupić na kredyt.

Gdy wszedł na zamek, aż zacisnął pięści. Los od początku niesprawiedliwie go traktował, bo pozwolił, żeby jego kuzyn Andrzej urodził się jako dziedzic majoratu, a on jako potomek kolejnego syna, za którym reszta rodziny nie przepadała. Wszedł po szerokich schodach i pomimo upominającego chrząknięcia służącej pośpieszył w brudnych butach przez korytarz wiodący do wieży.

Lokaj, zobaczywszy go, chciał mu stanąć na drodze.

Szymon rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Co to ma być? Nie poznajesz mnie?

- To wy, panie Szymonie? - wyjąkał służący i otworzył drzwi.

Wieża prochowa nie była połączona z główną bryłą zamku, lecz na wysokości drugiego piętra prowadził do niej kryty drewniany ganek, więc nawet w czasie deszczu można się było dostać na szczyt wieży, nie moknąc. Kroki Szymona odbijały się głośno na drewnianych deskach.

Po drugiej stronie czekał już zaniepokojony stryj.

- Kim jesteście, panie?

„Powinienem być się jednak umyć i skorzystać z ubrań kuzyna” - pomyślał Szymon.

- Wybaczcie, stryju, że pojawiaam się przed wami w takim stanie. Lecz przyjechałem bez bagażu, a służący opuścił mnie po drodze.

- Szymon! - w głosie starego pana słychać było ulgę.

- Do waszych usług, stryju! - Szymon zamarkował ukłon i wszedł na drewnianą altankę utworzoną przez fragment dachu wieży, z której często korzystały damy podczas upałów albo niepogody. Z tego tarasu rozciągał się widok na okolicę i dlatego było to też od zawsze ulubione miejsce stryja.

Dopiero teraz Szymon zauważył przygnębiony wyraz twarzy stryja. Stryjenka też wyglądała tak, jakby musnął ją anioł śmierci. Kuzyna Andrzeja, jego żony ani dzieci nigdzie nie było widać.

- Długo cię nie było! - stwierdził Franciszek von Kirchberg.

- Kto służy Jego Świątobliwości, nie zwraca uwagi na upływ czasu - odparł Szymon, chcąc zaimponować stryjowi.

- Skoro tak szybko tu jechałeś, to pewnie mój posłaniec do ciebie nie dotarł - kontynuował Franciszek.

- Wasz posłaniec, stryju? - Szymon popatrzył na niego zdumiony.

- Wysłałem posłańca do Rzymu, żeby przekazano do Irlandii wiadomość tobie i Ferdynandowi!

Szymon bezradnie uniósł dłonie.

- Niestety nie dotarła do nas żadna wiadomość.

- Niestety - przyznał Franciszek i machnął ręką. - Ale ostatecznie to nie takie ważne. Miano powiadomić ciebie i Ferdynanda, że nasz syn Andrzej bożym wyrokiem, z którym wszyscy musimy się pogodzić, zmarł, podobnie jak jego żona i nasze wnuki. Wyzaczyłem Ferdynanda na mojego dziedzica, ale ty też coś dostaniesz. W końcu także jesteś moim bratankiem, nawet jeśli jesteś tylko synem mojego brata, a nie, tak jak Ferdynand, także synem siostry mojej małżonki.

„Znowu ten Ferdynand!” - pomyślał Szymon, którego ogarnęła wściekłość. Potem przypomniał sobie wybuch wieży na wybrzeżu Donegal i spojrzał na stryja ze z trudem skrywanym uśmiechem.

- Miły stryju, żałuję, że muszę wam to powiedzieć, ale mój kuzyn Ferdynand zginął w trakcie walk w Irlandii podczas ataku Anglików.

- Nie! - krzyknęła przerażona Irmberga von Kirchberg, a Szymon miał ochotę skrócić jej kark. Ta kobieta nigdy go nie lubiła, nawet wtedy, gdy wychowywał się tutaj razem z jej własnym synem. Cieszył się, że pod koniec życia spotkało ją tyle nieszczęść, podobnie jak jego stryja.

Jeśli ich syn, wnuki, a także ich ulubiony bratanek nie żyją, to pozostaje tylko jeden dziedzic Kirchbergu, on sam.

W tym momencie chciało mu się śmiać ze skąpej angielskiej królowej, która pożałowała mu nawet stopy irlandzkiej ziemi. Teraz bez jej łaski stanie się wielkim panem, lordem, jak mawiają Anglicy, a dzięki odpowiedniemu małżeństwu awansuje jeszcze wyżej.

„Dobrze, że spaliłem akt ślubu i zostawiłem Ciarę w Londynie” - pomyślał i dopiero potem przypomniał sobie, że powinien złożyć stryjowi oraz jego małżonce najszczerze kondolencje po ich niepowetowanej stracie.

17

Pierwsze dni w Londynie przyniosły rozczarowanie.

Miasto było zbyt wielkie i miało za dużo karczem, gospód i tawern, żeby w krótkim czasie dało się je wszystkie odwiedzić. Poza tym szybko się okazało, że karczmarze i służący chcą rozmawiać dopiero po tym, jak postawi się im dzban piwa albo coś do jedzenia.

Gdy pewnego popołudnia Ferdynand spotkał się z Hufeisenem niedaleko Tower, zniechęcony pokręcił głową.

- Jeśli dalej będziemy szukać tak jak dotąd, to zajmie nam co najmniej rok, zanim sprawdzimy wszystkie karczmy w Londynie.

- Nie powinniśmy zapominać o tawernach na przedmieściach - dodał Hufeisen. - Wielu przybyszów nocuje tam, bo w samym mieście jest dla nich za drogo.

Wasz kuzyn na pewno nie miał zbyt wiele pieniędzy.

- Mnie też to niepokoi! Kto wie, do jakiej dziury zabrał Ciarę. Ale najbardziej martwię się tym, że Szymon i ona mogli już opuścić Londyn. Jeśli nie znajdziemy jej tutaj albo nie dowiemy się, dokąd się udała, zostaniemy z niczym. Przeklęty Szymon! - Ferdynand zacisnął pięści.

A potem poklepał Hufeisena po ramieniu. - Szukajmy dalej. Ja pójdę lewą stroną ulicy, a ty prawą. Chodź, Gamhain. Może pomożesz nam swoim nosem! - Kończąc zdanie, Ferdynand spostrzegł, że suka unosi wargi i cicho warczy.

- Co się dzieje? - zapytał, ale wtedy szturchnął go Hufeisen.

- Patrzcie, panie! Jeśli mnie oczy nie mylą, to ten drań Deasún O'Corraidh!

Ferdynand spojrzał w kierunku, który wskazywał Hufeisen.

- Rzeczywiście! Z tego, co dowiedzieliśmy się w Irlandii, wynikało, że był z moim kuzynem. Dalej, złapmy go!

Obaj natychmiast ruszyli. Gamhain szła za nimi niczym czarnobrazowy cień i czekała na rozkaz, by zatrzymać tego człowieka. Najpierw jednak trzeba było nadrobić ponad trzydzieści jardów dzielącej ich odległości, a tego nie dało się zrobić, nie rozpychając innych przechodniów.

Ferdynand i Hufeisen usłyszeli sporo przekleństw pod swoim adresem. Na widok towarzyszącej im olbrzymiej suki nikt nie odważył się jednak przejść do rękoczynów.

Po chwili Deasún O'Corraidh zwrócił uwagę, że coś się z tyłu dzieje, odwrócił się i zobaczył Ferdynanda pięć kroków za sobą. W pierwszej chwili nie rozpoznał mężczyzny, który szedł w jego kierunku z zaciętą miną, potem jednak jego twarz przybrała śnieżnobiałą barwę.

- Odejdź, zjawo! Nie mam z tobą nic wspólnego.

Zaczął uciekać i popchnął jakąś kobietę prosto na Ferdynanda. Ten się zatrzymał, żeby się z nią nie zderzyć, ale Gamhain paroma susami znalazła się przy Deasúnie i przewróciła go na ziemię.

Irlandczyk wrzeszczał, jakby go nabijano na pal, gdy ostre zęby wbiły się w skórę

jego szyi, nie odważył się jednak poruszyć. Natomiast jakiś przechodzień, sądząc po odzieniu zamożny pan, ofuknął Ferdynanda, że szczuje na kogoś psa w samym środku Londynu.

- To przeklęty Irlandczyk, który mnie okradł! - odparł przytomnie Ferdynand, bo wyglądało na to, że inni przechodnie też zamierzają stanąć po stronie Deasúna.

- Ten człowiek kłamie! Nic mu nie ukradłem - pisnął Deasún, zdradzając jednak akcentem swe irlandzkie pochodzenie. Mężczyzna, który zaczepił Ferdynanda, z pogardą machnął ręką.

- Irlandczycy to motłoch, który tylko batem można zmusić do uczciwego, pobożnego życia. Co chcecie z nim zrobić? Oddać straży miejskiej?

Ferdynand pokręcił głową.

- Żeby jeszcze żył sobie w lochu na koszt uczciwych obywateli Londynu? Nie, zabiorę go na swoją kwaterę i spiorę tak, że w końcu mi powie, gdzie ukrył skradzione dobra.

- Też bym tak uczynił - odparł mężczyzna i poszedł swoją drogą.

Pozostali przechodnie również stracili zainteresowanie, a Deasún O'Corraidh patrzył przerażony na Ferdynanda, który się nad nim pochylił.

- Odwołam teraz Gamhain. Ale nie myśl sobie, że zdołasz uciec! Jest na pewno szybsza od ciebie i wtedy nikt nie powstrzyma jej zębów. Zrozumiałeś?

Irlandczyk wciąż czuł na gardle kły Gamhain, więc nie odważył się skinąć głową, tylko szepnął:

- Zrozumiałem.

Twarz wciąż miał wykrzywioną strachem, bo widział na własne oczy, jak górna część wieży eksplodowała, a potem, wraz ze wszystkim, co się w niej znajdowało, runęła do morza. Czy Ferdynand von Kirchberg powrócił z zaświatów, żeby dokonać zemsty?

Gdy Gamhain go puściła, wstał i człapiąc podszedł do Niemców. Nie mógł zrozumieć, jak ludzie, którzy są martwi, mogą się poruszać i zachowywać jak żywi. Był jeszcze bardziej wstrząśnięty, gdy dotarli do gospody

„Pod Bażantem” i tam zobaczył najpierw Bríd, a potem Saraid oraz Ionatána, którzy właśnie wrócili znużeni z bezowocnych poszukiwań.

Nie wiedząc, czy wszyscy przybyli z zaświatów, czy tylko niektórzy, Deasún zaczął się usprawiedliwiać.

- Nie ja jestem winien waszej śmierci! - lamentował. - Po nieudanym ataku na oddział Haresgilla ja i moi towarzysze zgubiliśmy was. Gdy próbowaliśmy was znaleźć, wpadliśmy prosto na Haresgilla i jego żołnierzy, a ta świnia kazała zabić trzech moich ludzi. Mnie zmusił, bym poszedł do Léana i przekazał Szymonowi von Kirchbergowi propozycję

pertraktacji. Oni się potem spotkali, ale nie wiem, co uzgodnili. Później Szymon von Kirchberg przekazał miasto Haresgillowi, a potem pomógł mu zdobyć ostatnie schronienie Ui'Corra na wybrzeżu Tir Chonaill. Ja nie miałem w tym żadnego udziału, uwierzcie mi! Proszę, nie zabierajcie mnie ze sobą. Nie chcę umierać!

Zdumiony rozpaczliwym dukaniem Deasúna, Hufeisen popatrzył na wszystkich wokół.

- Rozumiecie, o co mu chodzi?

- Sądzi, że wróciliśmy z królestwa zmarłych, żeby zemścić się na nim i naszych wrogach - wyjaśniła Saraid, która najlepiej знаła mity i legendy swojego ludu.

Ferdynand potrząsnął głową i chwycił Deasúna za odzienie.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest mój kuzyn!

- Nie umiem tego powiedzieć, panie! Rozdzieliłem się z nim już przed trzema tygodniami. Był bardzo zły, bo królowa nie nagrodziła go za zdradę Ui'Corra, tylko wypędziła go z kraju.

- A więc razem z Ciarą wyjechał z Anglii! - Ferdynand wyglądał tak, jakby miał zamiar natychmiast pobiec do portu i też przepłynąć na kontynent.

Lecz Deasún O'Corraidh pokręcił głową.

- Nie, tego nie uczynił! To znaczy on sam wyjechał, ale zostawił lady tutaj. Po tym, jak się z nim rozstałem, zaszedłem następnego dnia do gospody, bo byłem ciekawy, jak sobie poradził z porażką u królowej. Ale dowiedziałem się tam, że uciekł, nie opłaciwszy noclegu i wyżywienia. Lady też nie było, więc karczmarz wymyślił, że to ja będę u niego pracować przez rok, żeby spłacić długi ich obojga. Dopiero po dwóch tygodniach udało mi się zwiąć. Tymczasem jacyś źli ludzie ukradli mojego konia, więc teraz zostałem bez pieniędzy i bez możliwości ich uczciwego zarobienia.

Deasún uspokoił się już nieco i popatrzył błagalnym wzrokiem na Ferdynanda.

- Musicie mi uwierzyć, panie, mówię samą prawdę!

- Szymon na pewno zabrałby Ciarę! Może chce się udać do naszego stryja. Jeśli tam go nie znajdziemy, to z pewnością będzie w Rzymie. - Ferdynand już miał wydać polecenie, by przygotowano wszystko do wyjazdu, lecz Deasún O'Corraidh po chwili namysłu zaoponował.

- To nie może być prawda, panie! Jedna ze służących mówiła, że z ich izby dobiegały rozgniewane głosy.

A potem wasz kuzyn odjechał i nie wrócił. Lady Ciara zniknęła jednak dopiero następnego ranka.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Ferdynand Hufeisena.

Ten niezdecydowany pokiwał głową.

- Gdyby wasz kuzyn nie pokazał już, że jest nędznym zdrajcą, powiedziałbym, że wyjechali razem. Ale przypuszczam, że w gniewie mógł porzucić lady Ciarę.

Zastanawiam się tylko, dlaczego ją w ogóle poślubił.

- Mogę wam to wyjaśnić, panie! - Deasún nie był pewien, czy Ferdynand i reszta rzeczywiście przeżyli atak Haresgilla na wieżę, czy jednak przybyli ze świata umarłych, więc wolał na wszelki wypadek zrobić na nich dobre wrażenie.

- To mów! - ponaglił go Ferdynand.

- Haresgill obiecał waszemu kuzynowi, że dostanie majątek w Irlandii. Ożenił się z lady, żeby przyjaciele Ui'Corra nie powiązali go z upadkiem ich klanu.

- Poza tym chciał nad wami zatriumfować! - wtrąciła Saraid gorzkim tonem, a potem postawiła pytanie, które nurtowało wszystkich: - Co teraz zrobimy?

Przeszukiwanie karczem w Londynie już było trudne.

A jeśli wasz kuzyn rzeczywiście porzucił moją kuzynkę na pastwę losu, to ona może być wszędzie, nawet w drodze do Irlandii.

- Gdziekolwiek jest, znajdziemy ją - odpowiedział cicho Ferdynand. Jego słowa zabrzmiały jak przysięga.

[43] Karaka - typ statku żaglowego z zaokrągloną rufą, zwykle trójmasztowego, nadającego się do podróży oceanicznych, popularnego od XV wieku. Słynną karaką była „Santa Maria” Krzysztofa Kolumba.

[44] Bullenbeisser - nieistniejąca już rasa psów w typie molosów, służąca do polowania na niedźwiedzie, wilki i dziki. Psy te hodowano w Niemczech i w Niderlandach.

Dalekimi ich potomkami są boksery.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

Koniec drogi

1

Dla Ciary życie z Maud stawało się coraz bardziej uciążliwe, bo ladacznica nie zarabiała tyle, żeby mogła codziennie pozwolić sobie na butelkę wódki. A na trzeźwo była wredną babą, która zrzucała na nią wszystkie prace i traktowała ją jak służącą. Poza tym Maud coraz mocniej nalegała, żeby nauczyła się pod jej okiem, jak sprzedawać swoje ciało.

Teraz znowu zaczęła ten temat.

- W końcu będziesz musiała to zrobić! A może myślisz, że będę cię żywić bez końca?

- To nieprawda! - wykrzyknęła oburzona Ciara. - Płacę ci sporo pieniędzy za to, że śpię na derce pod twoim stołem i za tę odrobinę jedzenia, którą mi wydzielasz.

- O wiele za mało! Nie masz pojęcia, jaka drożyzna panuje w Londynie - odwarknęła Maud. - I dlatego od niedzieli będziesz mi dawać cztery pensy więcej albo możesz się wynosić!

- Już w zeszłym tygodniu dostałaś ode mnie więcej pieniędzy! - Ciara była tak wściekła, że najchętniej z miejsca opuściłaby izdebkę Maud. Jednak nie zniosłaby życia na ulicy, w tym całym brudzie. A żeby wynająć kąt gdzie indziej, miała za mało pieniędzy. Przeklęła w duchu Szymona, który przywłókł ją do tego koszmarne miasta i tak po prostu zostawił.

- Płacisz albo wynocha!

Odpowiedź Maud wyrwała Ciarę z zamyślenia.

Przeliczyła w głowie resztkę monet, które jej jeszcze zostały. Choć wiele razy zagadywała na ulicy czy na rynku kobiety, czy któraś nie dałaby jej pracy, zawsze ją zbywano. W uczciwy sposób nigdy nie zdoła odmienić swojego losu, ale ladacznicą nie chciała zostać.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Maud ze śmiechem machnęła ręką.

- Znam wielu takich, co lubią posuwać duże brzuchy.

I nieźle płacą! Zarobisz tyle, że będziemy mogły poszerzyć izbę z tyłu o jard czy dwa i sprowadzimy sobie jakąś głuptaskę ze wsi, która też weźmie się do roboty.

Ciara zrozumiała, że Maud widzi dla siebie szansę awansu z ostatniej ladacznicy na

stręczycielkę, która utrzymuje się nie tyle ze swojej pracy, ile dzięki swoim podopiecznym. Nawet ją rozumiała. Maud nie była już najmłodsza, za kilka lat żaden z mężczyzn, którzy teraz tak chętnie wchodzą między jej uda, nawet na nią nie spojrzę.

Choćby handlarz Tim, który kupował sobie jej wdzięki za wódkę. Ale ostatnia butelka była napełniona zaledwie w jednej trzeciej.

- Zdobędę pieniądze w inny sposób, nawet gdybym miała je ukraść! - oznajmiła Ciara.

- Jeśli cię złapią, wsadzą cię do worka i wrzucą do Tamizy, bo tutaj nie wiesz się niewiast. Ale skoro masz ochotę się utopić, twoja sprawa!

Maud się roześmiała, sięgnęła po butelkę i opróżniła ją do końca. Lecz wódki było za mało, żeby poprawić jej humor, więc jazgotała tak długo, że Ciara nie mogła już wytrzymać i wstała.

- Dokąd się wybierasz? Na klientów jest za wcześnie - zapytała Maud.

- Sprawdzę, może znajdę jakąś pracę - odparła krótko Ciara.

- Takie jak my mogą tylko leżeć z rozłożonymi nogami!

- Drwiące słowa Maud towarzyszyły Ciarze jeszcze na ulicy.

Młoda Irlandka nie wiedziała, co robić. Czowała odrazę do okradania innych ludzi, nawet gdyby to mieli być Anglicy. Poszedłszy na targ, przyjrzała się robiącym sprawunki niewiastom. Większość bardzo pilnowała swoich sakiewek, bo wszędzie kręciły się złodziejaszki.

Ona sama poczuła dotykające ją dłonie, ale nosiła pieniądze ukryte pod suknią, bo nie ufała Maud. Gdy złodziej, zły, że nic nie znalazł, szturchnął ją w żebra, odwróciła się i wymierzyła mu policzek. Zanim oddał, już trzymała w dłoni sztylet z ostrzem skierowanym w jego stronę.

- Jak chcesz kogoś okraść, to poszukaj gdzie indziej! - prychnęła.

Jej słowa wywołały lawinę. Jakaś starsza kobieta, która kupowała warzywa, sięgnęła do koszyka, a potem donośnie wrzasnęła:

- Nie ma mojej sakiewki! Ten człowiek przed chwilą na mnie wpadł. Na pewno mi ją ukradł.

Mężczyzna chciał uciec, lecz Ciara podstawiła mu nogę. Zanim zdołał wstać, ludzie złapali go i zaczęli mu przeszukiwać kieszenie.

- To moja sakiewka! - zawołała uszczęśliwiona kobieta.

Inni przechodnie także twierdzili, że znalezione przy złodzieju sakiewki należą do nich. Dwaj mężczyźni kłócili się o elegancką skórzaną sakiewkę, sprawiali jednak wrażenie, jakby chcieli się tylko wzbogacić, korzystając z okazji.

Ciara zaczęła się zastanawiać, czy też nie przyznać się do tej sakiewki. Ale ulicą biegł już w towarzystwie dwóch służących szlachcic, który wykrzykiwał, że został okradziony. Opisał też dokładnie sakiewkę, o którą klócili się tamci dwaj. Ci, poczuwszy na sobie spojrzenia tłumu, wyraźnie przycichli. Jednemu udało się zniknąć w ciżbie, drugi zaś, który stał z sakiewką w dłoni, został wyzywany przez nadbiegającego dżentelmena od złodziei.

- Ja jej nie ukradłem, to ten tam! - wykrzyknął młodzieniec i wskazał na człowieka, którego zatrzymała Ciara.

- Powiedział, że to jego sakiewka, i już dawno by z nią zniknął, gdyby jakiś inny też nie zaczął się jej domagać - wyjaśniła Ciara szlachcicowi.

Miała nadzieję, że ten okaże hojność i jakoś ją wynagrodzi, lecz tak się nie stało. Mężczyzna schował sakiewkę i kazał służącym zająć się oboma złodziejaskami.

Ciara patrzyła, jak odchodzi, a potem podeszła do okradzionej niewiasty.

- Czy mogę pani pomóc nieść koszyk?

- Tylko z nim nie zniknij! - ostrzegła ją kobieta.

Słyszając te słowa, Ciara miała ochotę odstawić koszyk.

Liczyła jednak na skromny napiwek, więc poniosła go za kobietą.

Niewiasta, zadowolona, że nie musi dźwigać zakupów, kontynuowała sprawunki, aż koszyk był tak pełny, że Ciara ledwo go niosła. Potem przeszły jeszcze prawie pół mili do domu kobiety. Ta otworzyła drzwi i wskazała na podłogę.

- Możesz go tu postawić. Dziękuję, że go przyniosłaś, a także za to, że ostrzegłaś mnie przed złodziejem.

Ciara odstawiła koszyk i czekała, aż niewiasta wyrazi swą wdzięczność nie tylko słowami. Lecz ta wyjęła tylko z koszyka pomarszczone jabłko, wcisnęła Ciarze do ręki i zamknęła jej drzwi przed nosem. Ciara, ze smutną konstatacją, że w tym mieście nie da się zarobić uczciwych pieniędzy, odwróciła się i poszła z powrotem do zaułka, w którym stała prymitywna chatka Maud.

2

Mniej więcej w tym samym momencie, gdy Ciara odstawiała koszyk, Maud patrzyła ponurym wzrokiem na pustą butelkę i zastanawiała się, jak zdobyć pieniądze na trunek. Ostatnio interesy kiepsko jej szły. Poza tym właściciel tawerny żądał od niej coraz więcej pieniędzy za to, że mogła zaczepiać klientów w jego lokalu.

- Gdyby ta Ciara nie była taka uparta - wymamrotała, gdy ktoś zastukał do drzwi.

Mając nadzieję, że to mężczyzna, któremu zależy na szybkim zaspokojeniu chuci,

Maud wygładziła włosy i suknię i powiedziała:

- Wejść!

Do chatki wkroczył z szerokim uśmiechem handlarz Tim i podał jej pełną butelkę dżinu.

- To dla ciebie, Maudie!

Maudie od razu ją odkorkowała i przystawiła do ust.

Mocny trunek palił w gardle i żołądku, ale ucieszyło ją miłe ciepło w trzewiach i poczuła ogromną ulgę.

- Dobry z was człowiek, mistrzu Timie - pochwaliła go. - Skorzystajcie sobie na mój koszt!

Mówiąc to, zaczęła podkasywać spódnicę, żeby odbyć z nim stosunek. Lecz Tim machnął ręką.

- Miło z twojej strony, Maudie, ale dzisiaj nie mam ochoty na ciebie, tylko na tę młodą irlandzką dziwkę, która z tobą mieszka. Musisz przyznać, że cholernie ładna z niej sztuka. Cała butelka będzie twoja, jeśli ja dziś z nią...

Nie dokończył, tylko jednoznaczny gestem poruszył biodrami.

Maud już od dawna złościło, że Ciara wciąż nie chce pracować jako ładaczniczka. Patrzyła teraz na butelkę z kuszącą zawartością. „Pora, żeby ta przeklęta Irlandka nauczyła się posłuchu” - pomyślała i skinęła Timowi głową.

- Możesz sobie wziąć tę małą. Tylko mi jej nie zajeżdź, jasne?

- Ależ Maudie, jakbym to kiedykolwiek zrobił!

Przecież tyle razy cię przeleciałem, więc chyba wiesz, że jestem dżentelmenem. Jutro dostaniesz kolejną butelkę.

Zajrzyj do mnie. Zawsze mam coś do wypicia.

Gdy zrezygnowana Ciara wróciła do chatki, Maudie wypła już połowę dżinu.

- Zobacz, kto nas dzisiaj odwiedził! - oznajmiła, wskazując na Tima, który rozsiadł się wygodnie na jedynym krześle w izbie.

- Mam wyjść? - zapytała Ciara, bo odniosła wrażenie, że handlarz chce poswawolić z Maud.

Lecz ta pokręciła głową.

- Ależ skąd! Mistrz Tim nie przyszedł do mnie. Tym razem ma ochotę na ciebie. Jak będziesz grzeczna, dostaniesz pięć pensów!

Ciara sądziła, że się przesłyszała.

- Wiesz przecież, że ja tego nie robię.

- Kiedyś trzeba zacząć! A mistrz Tim jest akurat doskonały na początek. To dzentelmen i nie będzie cię bolało jak z innymi.

- Nie! - odparła Ciara ostrym tonem.

Handlarz nie potraktował jej odmowy poważnie, tylko uznał, że chce w ten sposób podbić cenę.

Maud zależało na tym, żeby w końcu przymusić młodą Irlandkę do posłuszeństwa, więc ją przytrzymała.

- Ale nie masz wyjścia i będziesz grzeczna!

Zanim Ciara zrozumiała, co zamierza Maud, ta już popchnęła ją na łóżko i przygniotła własnym ciężarem.

- Będziecie musieli sami podwinąć suknię tej głuptasce, mistrzu Timie. Ja ją dla was przytrzymam - nakazała Maud handlarzowi.

Ten patrzył na siłujące się kobiety i czuł, jak rośnie w nim pożądanie. Gwałtownie chwycił suknię Ciary, chcąc ją podciągnąć. Wtedy otrzymał takiego kopniaka, że poleciał na stół i go połamał. Zanim wstał, Ciara strząsnęła już z siebie Maud i kilka razy mocno ją spoliczkowała.

- Zasłużyłaś, zdiro! Może się wreszcie nauczysz, że mnie nie możesz tak traktować!

Tymczasem Tim zdołał już wstać i spróbował znowu chwycić Ciarę.

Ta obróciła się i z całej siły uderzyła go w twarz.

- Jak chcesz się parzyć, to trzymaj się tej starej szmaty!

Tim cofnął się o krok i złapał za palący bólem policzek.

- Nie powinnaś była tego robić, nędzna kreaturo! Jak z tobą skończę, będziesz żałować, że nie byłaś dla mnie miła.

Chciał się na nią rzucić, ale ujrzał tuż przed nosem jej sztylet.

- Wynoś się! - krzyknęła Ciara.

Nie zauważyła, że Maud sięgnęła po pustą butelkę.

W ostatniej chwili uchyliła się przed uderzeniem w głowę, lecz zaraz potem ciężka butelka trafiła ją w rękę, wytrącając z niej sztylet.

- Teraz cię mamy! - ucieszył się Tim, ale Ciara przemknęła obok niego do drzwi. Zanim zdołali ją chwycić, już była na zewnątrz.

Handlarz, nie chcąc zrezygnować z upatrzonej ofiary, wybiegł za Ciarą. Dogonił ją po kilku krokach i mocno chwycił. Lecz gdy chciał ją zaciągnąć z powrotem do chatki, usłyszał wściekły warkot i zobaczył, że skacze na niego coś wielkiego i ciemnego.

3

Jeszcze nigdy w życiu Ferdynand nie czuł się tak przygnębiony i zrezygnowany. Dzień za dniem włóczył się po Londynie, przyglądał setkom młodych kobiet i ze dwa, trzy razy już wierzył, że znalazł Ciarę. Ale zawsze czekało go rozczarowanie. To naprawdę przypominało szukanie igły w stogu siana. Tracił już nadzieję, że kiedykolwiek ją odnajdzie.

Tego dnia znów musiał zapłacić w „Pod Bażantem” zaliczkę za nocleg i zauważył przy tym, że sakiewka Ryszarda Haresgilla zaczyna świecić pustkami. Jeśli nie zamierzał zostać rabusiem, wkrótce będzie musiał zaprzestać poszukiwań i opuścić Anglię. Nie było nawet wiadomo, czy wystarczy mu pieniędzy na dotarcie do Kirchbergu. Nie miał też ochoty pojawić się przed stryjem obdarty i bez grosza przy duszy, zwłaszcza że miałby przy sobie ludzi, którymi trzeba się zaopiekować.

„Jeszcze dwa dni i jedziemy dalej” - postanowił, gdy tego ranka wyruszał z Gamhain na smyczy, by przeszukać fragment Londynu, którego jeszcze nie odwiedzili.

Najpierw było tak jak zawsze. Żadna z kobiet, które napotykał, w niczym nie przypominała Ciary. Nawet Gamhain dreptała obok niego ze zwieszonymi uszami, jakby straciła wszelką nadzieję.

W końcu dotarł do bardzo ubogiej dzielnicy nad rzeką.

Trafił tam na niewielki targ i zaczął przyglądać się uważnie kręcącym się po nim niewiastom. Nagle Gamhain, uniósłszy głowę, zaczęła intensywnie węszyć.

Zaraz potem napięła smycz i pociągnęła Ferdynanda za sobą.

- Co jest? - zapytał zaskoczony.

Suka coraz bardziej przyśpieszała, a on aż zaczął biec, żeby mu się nie wyrwała. Zatrzymała się przed jakimś domem, powęszyła znowu i nagle skręciła. Tym razem pociągnęła tak mocno, że smycz wyslizgnęła się Ferdynandowi z ręki. Choć natychmiast za nią pobięł, od razu go wyprzedziła.

Nagle zobaczył, jak suka rzuca się na jakiegoś mężczyznę, który chwycił broniącą się kobietę, i powala go na ziemię. Kobieta nie zaczęła ani krzyczeć, ani uciekać, tylko rozłożyła ramiona i zawołała:

- Gamhain!

Ferdynand krótką chwilę wpatrywał się w Ciarę z niedowierzaniem, ale zaraz potem podbiegł do niej, radośnie pokrzykując, porwał ją w ramiona i podniósł do góry.

- Ciara! Nareszcie!

Jego ukochana spojrzała na niego z taką miną, jakby raził ją piorun.

- Ferdynand? Przecież ty nie żyjesz!

Chwyił ją za rękę i dotknął nią najpierw swojej twarzy, a potem piersi.

- Jak widzisz, mam trochę za dużo ciała jak na ducha.

- Przecież wysadzili wieżę! A może Szymon i w tej sprawie skłamał?

- Nie, rzeczywiście wysadzili wieżę. Ale twój brat kazał mi się przecisnąć przez okno i skoczyć do morza.

- Na skały? - zapytała przerażona Ciara.

Ferdynand popatrzył na nią z miłością.

- Ależ nie! Jest tam jedno miejsce bez skał, które mi pokazał. Zabrałbym go ze sobą, lecz był śmiertelnie ranny i prawdopodobnie nie żył już, gdy wieża eksplodowała.

- Biedny Oisín! Gdy wrócił, był pełen nadziei, a spotkała go taka nędzna śmierć.

Ciara wybuchnęła płaczem i mocno się do niego przytuliła.

Tymczasem do Ferdynanda podszedł jakiś przechodzień, który wskazał na Tima. Handlarz leżał na ziemi i ledwo śmiał oddychać, bo Gamhain trzymała zęby na jego gardle.

- To wasz pies, panie?

Dopiero teraz Ferdynand zwrócił uwagę na handlarza i spojrzał na Ciarę pytająco.

- Kim jest ten człowiek?

- Kimś, kto powinien jak najszybciej zniknąć, jeśli nie chce, żeby Gamhain go zagryzła! - Na jej rozkaz suka puściła Tima, ale czujnie go obserwowała.

Mężczyzna podniósł się z trudem, uznał Ferdynanda za szlachcica, z którym na pewno nie chce zadzierać, i oddalił się ze spuszczoną głową. Po drodze uznał, że Maud będzie mu musiała zrekompensować te przykre przeżycia. Wolałby, co prawda, piękną Irlandkę, ale wyglądało na to, że znalazła sobie wpływowego opiekuna.

Ferdynand odprowadził go ponurym wzrokiem, podczas gdy Ciara wtulała się w niego, jakby się bała, że znowu go straci.

- Nie złość się na niego - powiedziała cicho. - Choć dziś był napastliwy, to dał mi dobrą cenę za tę resztkę rzeczy, które zostawił Szymon, więc do dziś starczało mi pieniędzy. Maud też nie zasłużyła na karę, bo w końcu zapewniła mi dach nad głową. Będzie jakoś musiała poradzić sobie z tym, że jednak nie udało jej się zrobić ze mnie ladacznicy.

- Mieszkałaś u ladacznicy?! - wykrzyknął przerażony Ferdynand.

- I sama stałabym się kolejną albo złodziejką, gdyby skończyły mi się pieniądze. Lecz nie zajmujmy się już dłużej tymi ludźmi. Jestem taka szczęśliwa, że żyjesz i że mnie odnalazłeś.

Ciara uśmiechnęła się przez łzy, lecz nie odważyła się zapytać, czy inni członkowie

klanu przeżyli podstępny atak Haresgilla.

Tym większa była jej radość, gdy dotarli do karczmy

„Pod Bażantem” i zobaczyła Bríd. Ta najpierw popatrzyła na Ciarę zdumiona, lecz zaraz potem objęła ją, zalewając się łzami.

- Udało się panu, panie Ferdynandzie! My już traciliśmy wiarę, ale wy nie poddawaliście się i w końcu znaleźliście naszą panią.

- My? - zapytała zaintrygowana Ciara.

- Tak, pan Hufeisen, Saraid i Ionatán - pośpieszyła z wyjaśnieniami Bríd. - Szliśmy tropem waszym i tego łotra Szymona z Irlandii aż do tego koszmarnego Londynu.

- A więc wierny Hufeisen, Saraid i Ionatán też żyją! - Ciara zalała się łzami, które płynęły i z radości, i z ulgi, że to koniec cierpień. Cieszyła się, że choć kilkoro przyjaciół przeżyło wojnę. Lecz zbyt wielu straciło życie, by mogła być naprawdę szczęśliwa.

Ferdynand podszedł do drzwi i nakazał służącej, żeby przyniosła dla Ciary dzban piwa, po czym spytał ją, czy chce coś zjeść.

- Ależ tak! Jestem bardzo głodna!

Przez ostatnie tygodnie Ciara ani razu nie zdołała najeść się do syta. Gdy służąca przyniosła piwo, a potem kawał pieczeni i pół bochenka chleba, Ciara z trudem się powstrzymała, by nie połknąć tego wszystkiego w jednej chwili.

Jeszcze kończyła posiłek, gdy pojawili się Hufeisen, Saraid oraz Ionatán. Obaj mężczyźni tylko popatrzyli z radością na Ciarę, natomiast Saraid objęła ją i od razu wyczuła zaokrąglenie brzucha.

- Jesteś w ciąży!

Słyszac to, Ferdynand poczuł lekkie ukłucie.

Zauważywszy jego przerażoną minę, Saraid się roześmiała.

- Od czasu, gdy została żoną Szymona, brzuch nie mógł jej tak mocno urosnąć. Zakładam więc, mój panie, że to wy skłoniliście moją kuzynkę do rzeczy, które nie przystoją cnotliwej pannie.

Ferdynand wsunął głowę w ramiona, ale szybko się zorientował, że Saraid nie jest na niego zła i popatrzył na Ciarę.

- Czy to prawda?

- Tak, choć może na to nie zasłużyłeś! - odpowiedziała z lekką urazą w głosie, że patrzył na nią z takim przerażeniem. - A może jeszcze będziesz miał do mnie pretensje o ślub z Szymonem? Zrobiłam to tylko po to, żeby nasze dziecko nie przyszło na świat jako bękart i mogło nosić należne mu nazwisko.

W tym momencie wtrącił się Hufeisen:

- Nie denerwujcie się. Jeśli ktoś zasłużył na waszą miłość, to właśnie pan Ferdynand. Nawet nie wiecie, co on wyczyniał, żeby tylko was znaleźć. My już dawno się poddaliśmy, ale on był przekonany, że Bóg sprawi, że znowu się spotkacie.

- Cóż, ostatnio nie byłem już tego taki pewien - przyznał Ferdynand. - Jeszcze jeden dzień, a musielibyśmy zrezygnować. Pieniądze prawie całkiem nam się skończyły.

Hufeisen poklepał go pocieszająco po plecach.

- Wszystko dobrze się skończyło, panie Ferdynandzie.

Znaleźliśmy pannę i możemy ruszać do domu.

- Mam nadzieję, że mój stryj nas wesprze, bo niezbyt się spisaliśmy.

- Nie wolno wam tak mówić! W Irlandii staliście się mężczyzną o wiele lepszym od waszego kuzyna. Poza tym potrzebujemy tylko kąta dla trzech kobiet. My znajdziemy sobie jakiegoś dowódcę, który szuka dzielnych żołnierzy.

On na pewno przyjmie was na podporucznika, a mnie na sierżanta, a nasz Ionatán nada się na muszkietera.

Dla Hufeisena sprawa była prosta, jednak zarówno Ciara, jak i pozostałe kobiety zrobiły przerażone miny.

- Chcecie znów iść na wojaczkę? Przecież ja nie mogę znowu stracić Ferdynanda. To już prędzej pójdę z wami! - wykrzyknęła oburzona Ciara.

- Ja również! - zgodziła się z nią Saraid.

- Bądźcie rozsądne! - poprosił je obie Hufeisen. - Nic jeszcze nie zostało postanowione. Najpierw pan Ferdynand musi porozmawiać ze swoim stryjem. W końcu on jest głową rodu. Ale teraz mam ochotę na dzban piwa, żeby wypić toast za szczęśliwe zakończenie poszukiwań.

Ferdynand chciał znów zawołać służącą, ale Bríd już pobiegła, żeby przynieść coś i do picia, i do jedzenia.

4

Gdy Ferdynand odnalazł Ciarę, nic go już w Londynie nie trzymało, a ona też się cieszyła, że opuści to miasto.

Najchętniej wymazałaby z pamięci przeżycia ostatnich tygodni. Krucho było u nich z pieniędzmi, więc Ferdynand postanowił nie zabierać Deasúna O'Corraidha. Być może tamten nie był zdrajcą, ale nie miał do niego zaufania.

W przeciwieństwie do Ciary Irlandczyk mógł sobie znaleźć jakąś uczciwą pracę.

Bez żalu pożegnali się z obrotnym Deasúnem, który od razu zapytał karczmarza w „Pod Bazantem”, czy nie potrzebuje kogoś, kto zajmowałby się końmi gości, i powędrowali w kierunku Tamizy, żeby wsiąść na statek, który zabierze ich na kontynent. Kapitan, małomówny Holender, po długich pertraktacjach zgodził się ich zabrać, ale pod warunkiem, że w trakcie rejsu będą się żywić sami. Dlatego Ionatán i Bríd przydźwigali worki z jedzeniem. Nie były to żadne smakołyki, bo musieli bardzo oszczędzać. Ciara i Saraid zwracały uwagę przede wszystkim na trwałość żywności, wiedząc, że powinni skorzystać z wszystkiego, a nie wyrzucać to, co się zepsuje.

Gdy weszli na pokład „Zeehond”, jeden z marynarzy zaprowadził ich do kajuty. Na widok maleńkiej przybudówki w dziobowej części statku, w której ledwo się wszyscy zmieścili, Ferdynand pożałował, że targował się tak bardzo o cenę rejsu.

- A gdzie jest wychodek? - zapytał jednego z marynarzy, bo nie przypuszczał, by niewiasty miały ochotę wystawiać zadki przez burtę.

Mężczyzna skinął, żeby Ferdynand podszedł, a potem wskazał mu na rozciągniętą pod bukszprytem sieć.

- Albo wypróżnicie się tutaj, albo będziecie korzystać z wiadra.

- Nie mamy wiadra - odparł Ferdynand.

- Mogę wam przynieść - zaproponował marynarz.

Ferdynand zastanawiał się, czy nie zejść z pokładu i nie kupić wiadra samemu. Nie wiedział jednak, jak długo jeszcze statek pozostanie na kotwicy, więc nie chciał ryzykować.

- Przynieś! - powiedział i podał mu tyle pieniędzy, ile marynarz zażądał za stare, cuchnące, drewniane wiadro.

Mężczyzna się uśmiechnął, bo niemal podczas każdego rejsu sprzedawał to samo wiadro podróżnym, którym nie chciało się wspinać po sieci. A przecież przy rufie był wychodek dla kapitana i oficerów, a także zasobniejszych gości. Lecz uważał, że Niemiec i jego dziwaczni towarzysze za mało zapłacili.

- Na „Marghericie” mieliśmy lepsze warunki, choć statek był niemal przeladowany - powiedział zirytowany Ferdynand do Hufeisena.

Ten skwitował to wzruszeniem ramion.

- By móc podróżować tak jak wtedy, musielibyśmy zapłacić kapitanowi więcej pieniędzy niż mamy. Cieszymy się więc, że w ogóle znaleźliśmy statek, który nas zabierze.

- Też tak uważam - zgodziła się z nim Ciara.

- Rejs do Amsterdamu potrwa kilka dni. Tyle wytrzymamy. - Saraid rzuciła Ferdynandowi ostrzegawcze spojrzenie, które doskonale zrozumiał. Od dotarcia do celu

dzieliło ich jeszcze wiele dni, więc nie wolno im było wydać więcej pieniędzy na sam rejs.

- Dłużej niż parę dni nie wytrzymałbym w tej norze - oznajmił Hufeisen, krzywiąc nos.

- Będziesz musiał wytrzymać tyle, ile zajmie nam przybicie do lądu! - upomniała go Saraid. - Chyba że zamierzasz przepłynąć ostatni kawałek wpraw.

Hufeisen się roześmiał.

- Gdybym miał po drodze spotkać kilka syren, to nawet bym się zastanowił.

- A mnie się coś wydaje, że nie umiesz pływać - odparła rozeźlona Saraid.

- Poza tym potrzebujemy cię jeszcze. Ja nie pamiętam nazw wszystkich miast, które trzeba minąć w drodze do Kirchbergu. - Ferdynand poklepał doświadczonego wojaka po plecach, a potem wskazał na drzwi. - Wyjdziemy na pokład? Na świeżym powietrzu na pewno jest przyjemniej niż tutaj.

- Obaj powinniście się byli ostatnio wykąpać - wtrąciła ze swadą Saraid.

- Przecież kąpałem się w zeszłym tygodniu! - obruszył się Ferdynand i dopiero wtedy zrozumiał, że to był żart.

Uśmiechnął się do Saraid. - Wygląda na to, że powinnaś niedługo znów wyjść za mąż. Bo za bardzo swawolisz.

Już miał wyjść z kajuty, lecz jakiś marynarz odesłał go z powrotem.

- Szkoda! - powiedział. - Chyba w tej chwili nie możemy wyjść na pokład.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo, bo muszę skorzystać z wiadra! - Głos Ciary zabrzmiał tak żałośnie, że Saraid i Bríd natychmiast się nią zajęły. Poprzydzielały też miejsca do spania. Ionatán i Hufeisen musieli się zadowolić wąskim czubkiem przybudówki, w którym ledwo się mieścili, natomiast Ciara miała spać z Ferdynandem. Dla Saraid został wąski pasek po drugiej stronie Ciary, a Bríd musiała spać u stóp tych trojga, oparta o ścianę. Trzeba było jeszcze znaleźć jakieś miejsce dla Gamhain. Ciara miała nadzieję, że suka będzie mogła spać na zewnątrz pod drzwiami, lecz marynarze się nie zgodzili. Suka będzie się musiała jakoś wcisnąć między nich.

Saraid przemyślała cały ten układ jeszcze raz i z zadowoleniem skinęła głową.

- Przynajmniej obyczajności stało się zadość!

Hufeisen przewrócił oczami. Przed atakiem Haresgilla na wieżę miał wrażenie, że wpadł tej kobiecie w oko.

Lecz od tamtej pory ciągle się wykręcała, gdy sugerował, że coś między nimi mogłoby zaistnieć. A Saraid wyjątkowo mu się spodobała i z chęcią spędziłby z nią resztę swojego życia.

5

„Zeehond” nie był szybkim statkiem, był natomiast stabilny i o wiele lepiej przystosowany do rejsu po surowym północnym morzu niż „Margherita”, na której Ferdynand i Hufeisen dotarli do Irlandii. Choć każde z nich musiało złożyć ofiarę duchom morza, choroba morska nie trapiła ich długo. Od czasu do czasu wychodzili nawet na pokład i wystawiali twarze na wiatr.

Kobiety zostawały tam krótko, bo zaraz robiło im się zimno, natomiast Ferdynand stał długo przy relingu, patrząc na szare fale Morza Północnego. Choć na tym akwenie aż się roiło od statków, nie dostrzegał ani jednego zagła, słyszał jednak od marynarzy, że z bocianiego gniazda je widać.

Rzadko widywali kapitana. Wychodził na pokład głównie wtedy, gdy uboższych pasażerów wyproszono już na dół. Wszyscy już sobie uświadomili, że marynarze niezbyt ich poważają. Natomiast dla czterech panów, którzy w imieniu zbuntowanych niderlandzkich prowincji mieli negocjować z angielską koroną, kapitan przygotował nawet własną kajutę, a kuk wyczarowywał im takie przysmaki, jakie tylko się dało w niewielkim kambuzie.

Ciara, Ferdynand i ich towarzysze musieli się zadowalać zabranymi zapasami, a czas spędzali na opowiadaniu o swoich przeżyciach w Irlandii i w Anglii.

Rzadko jednak wspominali imię Szymona. Według aktu, który uratowała z ognia, Ciara wciąż była jego żoną. Nie zamierzała jednak już nigdy żyć z nim w małżeńskiej wspólnocie.

- Czemu tego nie wyrzucisz? - zapytał Ferdynand ostatniego dnia rejsu. - Moglibyśmy wtedy wziąć ślub, gdy tylko zejdziemy na ląd.

- Ślub z twoim kuzynem zawarłam przed Bogiem, a ten z pewnością nie wyrzuci swoich aktów do morza.

Byłabym w oczach Wszchemogącego bigamistką, której droga nieuchronnie prowadziły do piekła - odparła przygnębiona Ciara.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak skrócić Szymonowi kark, gdy tylko go spotkam! - oznajmił Ferdynand.

Hufeisen gwałtownie pokręcił głową.

- Już raz to panu powiedziałem. Nie wolno wam tego uczynić! Pani Ciara nie mogłaby wyjść za mordercę swojego męża. Poza tym to wasz kuzyn, czyli krewny.

- Co wcale nie powstrzymało jego i wielu innych przed pozbywaniem się niemiłych rywali - w głosie Ferdynanda słychać było jad.

Hufeisen tylko się uśmiechnął.

- Wy nie jesteście jakimiś innymi, tylko jesteście człowiekiem honoru. Pójdźcie do swego stryja! On wam pomoże oficjalnie rozwiązać małżeństwo Ciary z Szymonem.

- Tak łatwo nie będzie. Ona jest w ciąży i dla świata to Szymon będzie ojcem tego dziecka.

Hufeisen i ten argument przyjął ze spokojem.

- W takim razie ja będę musiał skrócić Szymonowi kark, tak jak wam obiecałem. Ale najpierw zdobądźcie pieniądze, bo z pustą sakiewką źle się podróżuje, zwłaszcza gdy jest się uciekinierem.

Saraid nie знаła niemieckiego na tyle, żeby zrozumieć, o czym rozmawiają obaj mężczyźni, ale wyczuła, że to coś ważnego i że dotyczy także jej.

Czy będzie mogła dzielić łóżce z Cyriakusem Hufeisenem? Buirre okazał na koniec swą wielkość i uchronił ją przed najgorszym, a ona zastanawiała się, czy na pewno zginął. Dopóki nie będzie tego pewna, nie zwiąże się z żadnym innym mężczyzną. Z drugiej strony znajdowała się w obcym kraju, w którym samotnej kobiecie trudno będzie znaleźć sobie miejsce, gdzie mogłaby być szczęśliwa. Gdyby rzeczywiście była wdową, przyjaciel i towarzysz Ferdynanda na pewno by jej w tym pomógł.

Ciara też się zastanawiała, co przyniesie przyszłość. Jej małżeństwo z Szymonem opierało się na oszustwie i zdradzie, więc uważała, że nie musi brać go pod uwagę, tylko może żyć z Ferdynandem jak mąż i żona, tyle że bez błogosławieństwa Kościoła. W sercu pragnęła jednak wziąć z nim ślub.

Gdy „Zeehond” dotarł do Zuiderzee i pozegłował tą szeroką zatoką w kierunku Amsterdamu, zrobiło się jeszcze bardziej wietrznie. Podróżni ucieszyli się, gdy w końcu mogli zejść z pokładu, choć zdawali sobie sprawę, że od tej pory będą skazani na własne nogi, bo mają za mało pieniędzy, żeby kupić konie. Choć Ferdynand wspomniał coś o nabyciu konia z wozem, który pomieściłby ich wszystkich, Hufeisen mu to odradził.

- Z koniem i wozem musielibyśmy za dużo płacić na rogatkach, panie Ferdynandzie. Z tego samego powodu nie możemy też wsiąść na barkę, która płynie po Renie.

Bylibyśmy splukani, zanim dotarlibyśmy do połowy drogi.

A może chcecie parę tygodni wałęsać się po kraju jako żebrak?

- Nie, z całą pewnością nie - zapewnił go Ferdynand. - Ale czy to nie będzie zbyt uciążliwe dla niewiast?

- Wytrzymamy więcej niż wy! A może zapomnieliście o marszu do Cionn tSáile, a przede wszystkim o ucieczce stamtąd? - wtrąciła Ciara, gdy Hufeisen przetłumaczył jej, o

czym z Ferdynandem rozmawiają.

- Wiem, że wy, niewiasty, jesteście pełne zapału i potraficie dzielnie maszerować. Ale ty jesteś przy nadziei i powinnaś się oszczędzać... - zaczął Ferdynand po irlandzku, lecz Ciara przyłożyła mu dłoń do ust.

- Żadnych ale! Damy radę, prawda, Saraid?

- Jakżeby inaczej! - usłyszała w odpowiedzi.

W końcu Ferdynand poddał się ich woli i zrezygnował nawet z muła czy osła, który mógłby ponieść w drodze Ciarę. Spędził za to ze swoimi towarzyszami noc w dobrej gospodzie. Musiał udawać, że Ciara jest jego żoną, żeby dostać dla nich dwojga jedną izbę, ale warto było ponieść ten wydatek.

Po kolacji, najlepszej, jaka im się trafiła przez ostatnie miesiące, Ferdynand zaprowadził Ciarę do ich izby. Stała tam już przygotowana dla nich balia z ciepłą wodą, było także mydło i dzban lekkiego wina. Służąca zabrała jeszcze ich ubrania do prania i wreszcie zostali sami.

- O tym właśnie marzyłem w najgorszych chwilach - powiedział Ferdynand cicho, obejmując Ciarę.

- A ja uważałam, że to już niemożliwe, bo wierzyłam, że zginąłeś podczas wybuchu wieży. - W oczach Ciary zalśniły łzy, gdy Ferdynand ją całował.

Potem wskazała na balię z wodą.

- Zanim przejdziemy dalej, powinniśmy się najpierw umyć.

- Dobry pomysł! - Ferdynand wziął szmatkę, zanurzył ją w wodzie i wtarł w nią nieco mydła. A potem zaczął myć Ciarę.

Gdy przeszedł do włosów, zabrała mu szmatkę z ręki.

- Traktujesz moją głowę, jakbym była klaczą, którą trzeba szczotkować zgrzeblem.

- Wybacz! - Ferdynand wyglądał na zdruzgotanego, więc Ciara zaczęła się śmiać.

- W porządku, myj dalej. Tylko troszkę delikatniej.

Kobiety mają dłuższe włosy od mężczyzn i gdy się za nie ciągnie i targa, to boli.

- Może zawołam Saraid? - zaproponował Ferdynand.

Ciara zaśmiała się jeszcze głośniejsze.

- W takim stanie jak teraz? Nagi i bosy? Nie, mój drogi, tylko wystraszyłyś moją kuzynkę. Poza tym karczmarz zawołałby straż miejską i kazał wtrącić cię do lochu za nieobyczajne zachowanie. A chyba tego nie chcesz, co?

- Tylko jeśli by mnie tam zamknęli razem z tobą - odparł Ferdynand i kontynuował mycie. Teraz jednak traktował włosy Ciary z odpowiednią delikatnością, za co otrzymał

pochwałę.

Ciara pozwoliła mu jeszcze umyć sobie plecy, lecz gdy chciał przesunąć mokrą szmatką po jej piersiach, odtrąciła go.

- Sama to zrobię!

Choć widział ją nagą w przyćmionym świetle wpadającym przez okrągłe, oprawione w ołów wypukłe szybki, to jednak były granice, których nie pozwoli mu przekroczyć.

Ferdynand podał jej szmatkę i zadowolił się patrzeniem, jak myje sobie piersi i łono. Nie mógł oderwać wzroku od wyraźnego zaokrąglenia, w którym rosło jego dziecko.

Nagle ogarnęły go wątpliwości.

- Czy my możemy...? To znaczy, skoro jesteś w ciąży?

- A co, mam teraz dla ciebie za duży brzuch? - zapytała urażona Ciara.

Ferdynand uniósł obie dłonie.

- Na Boga, oczywiście, że nie. Jesteś przepiękna i bardzo apetyczna.

- No to mnie schrup! - odparła. - Ale najpierw się umyj. Bo jesteś zanadto brudny. A żeby cię uspokoić, to wiem od jednej niewiasty z klanu, jak długo małżeństwa mogą się sobą cieszyć. Ona na pewno wiedziała, bo urodziła ośmioro dzieci. Mamy jeszcze dwa miesiące. Ale teraz stój spokojnie, to umyję ci plecy.

Ferdynand roześmiał się, odwrócił do niej plecami i delektował się delikatnym masażem. W końcu dała mu klapsa i wcisnęła mu szmatkę do ręki.

- Resztą zajmij się sam!

- Będę się śpieszył! - Wbrew temu zapewnieniu umył się bardzo dokładnie, potem się wytarł i dopiero zwrócił się do Ciary.

Ta zauważyła, że Ferdynand aż płonie z pożądania, więc poprosiła, żeby obchodził się z nią delikatnie.

Wypowiedziała te słowa w samą porę. Ostudziły zapal Ferdynanda na tyle, że zajął się całowaniem jej i głaskaniem. Przesunął opuszkami palców po jej brzuchu, a potem dotknął go ustami. Gdy już się całkiem rozluźniła, delikatnie w nią wszedł. Najpierw trochę zabolalo, lecz zaraz potem Ciara poczuła, że jest już gotowa, i poddała się namiętności.

6

Następnego dnia pożegnali Amsterdam. Pierwsze mile pokonali na łodziach, które płynęły holenderskimi kanałami w głąb lądu. Zamożni pasażerowie mogli wynająć całą łódź, oni jednak musieli się zadowolić tym, że w ogóle ich zabrano. Wkrótce jednak trzeba było ruszyć piechotą. Kierowali się na południowy wschód, mijając miasta niczym koraliki

nanizane na nic. Po Amsterdamie było Arnheim, potem Kolonia i wreszcie Moguncja. Ile dni wędrowali, tego nie potrafiliby określić żadne z nich. Pieniądze się kończyły, a ponieważ zrobiła się wiosna i noce nie były już takie zimne, postanowili, że będą nocować w zaroślach, niczym włóczędzy. W ten sposób mogli oszczędzić te parę monet, które jeszcze posiadali. Ferdynand martwił się jednak tym, że nie może niewiastom, a szczególnie Ciarze, zaoferować nic lepszego.

Gdy jej to powiedział, wyśmiała go.

- Mój miły, ile to razy nocowaliśmy w Irlandii pod gołym niebem w lesie? Dlaczego miałabym się tego bać tutaj?

- Tu są wilki i niedźwiedzie, a one są niebezpieczne - odparł Ferdynand.

- Gamhain ostrzeże nas przed bestiami; ochroni i nas, niewiasty, i ciebie, i dzielnych Hufeisena z Ionatánem.

Poza tym Saraid ma sztylet, a mnie możesz dać swój. Nam jest wszystko jedno, czy zwierz ma dwie, czy cztery nogi, bo umiemy się bronić.

Ciara uważała, że Ferdynand za bardzo się boi. Lecz gdy w nocy usłyszała wycie wilków, przytuliła się mocniej do niego i modliła o to, żeby bestie nie podeszły bliżej.

Rankiem po skromnym śniadaniu kontynuowali wędrówkę. Z przodu szli Ciara i Ferdynand, trzymając się za ręce. Blisko nich trzymali się Bríd i Ionatán, bo w obcym kraju czuli się nieswojo, natomiast Saraid z Hufeisenem ciągle zostawali nieco w tyle. Zwykle oboje milczeli, lecz w którymś momencie Hufeisen nie wytrzymał.

- Jesteś inna niż w Irlandii. Dlaczego jesteś mi niechętna? Wtedy myślałem, że się zaprzyjaźnimy, a może i coś więcej.

- Chciałabym wiedzieć, jak poszła Buirre'owi jego ostatnia walka - wyrwało się Saraid.

Hufeisen popatrzył na nią zdumiony.

- Obchodzi cię to mimo wszystkiego, co się wydarzyło?

- Nasze małżeństwo to nie były tylko kłótnie. Na początku byliśmy nawet szczęśliwi, a przez swoje ostatnie czyny odzyskał mój szacunek.

- Zginął jako dzielny człowiek! - przyznał Hufeisen.

- Zginął, a może został wzięty przez Anglików do niewoli i teraz gnije w więzieniu? - Na tę myśl Saraid łzy napłynęły do oczu. Z jednej strony chciała być wolna, ale z drugiej wstydziała się, że życzy własnemu mężowi śmierci.

- Buirre był zbyt ciężko ranny, żeby przeżyć choć jeden dzień - odpowiedział ze smutkiem Hufeisen. - Jeśli ludzie Haresgilla wrócili późno, to możliwe, że umarł, zanim

dotarli. A jeśli nie i jeśli wpadł w ich łapska, na pewno nie zostawili go przy życiu. Przecież musieli się zemścić za dowódcę i swoich kompanów. Ale skoro o to pytasz, to moim zdaniem zginął w walce, tak jak chciał, jako wolny Irlandczyk, dumny z tego, że umożliwił ucieczkę tobie i nam. Tak go pamiętaj! Zasłużył na to.

- Pięknie to powiedziałeś! - Saraid podeszła do niego bliżej i wskazała na porośnięte lasami wzgórza, które ich otaczały. - To zupełnie inny kraj niż ten, z którego pochodzę. Czuję się tu obco i ogarnia mnie lęk.

- Dopóki jestem przy tobie, nie musisz się bać - odparł Hufeisen z głębokim przekonaniem.

Saraid potrząsnęła głową.

- Ale ty przecież chcesz znowu iść z panem Ferdynandem na jakąś wojnę! Wtedy ja i Ciara zostaniemy same.

- Zostaniecie na Kirchbergu tylko w przypadku, jeśli będziemy mieć pewność, że jesteście tam mile widzianymi gośćmi i że traktują was z należnymi honorami. Jeśli tak nie będzie, zabierzemy was ze sobą.

- Obie z Ciarą na pewno tak byśmy wolały - odparła Saraid z szelmowskim uśmiechem. - Po co komu mężczyzna, jeśli widuje się go raz na parę lat?

- Czyli nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybyśmy... - zaczął Hufeisen, lecz przerwał, bo bał się usłyszeć odpowiedź.

Saraid zerknęła na niego z ukosa, a potem skinęła głową, jakby chciała to potwierdzić sama przed sobą.

- Nie mam nic przeciwko poślubieniu ciebie, ale nie zgadzam się, żebyśmy wcześniej spółkowali. Jestem to winna Buirre'owi, chcę uczciwie zawrzeć małżeństwo.

- Znowu ten Buirre! Czy on już zawsze będzie stał między nami?! - wykrzyknął Hufeisen.

- Nie chcę uchodzić za rozwiazłą wdowę! - ofuknęła go ostrym tonem Saraid. - Jeśli zależy ci tylko na tym, poszukaj sobie jakiejś innej. Mnie dostaniesz tylko z błogosławieństwem księdza.

- Skoro nic więcej nie chcesz, przyjmij choć to! - Hufeisen wyciągnął z uśmiechem rękę, a Saraid sięgnęła po nią po chwili wahania. Ostrzegła go jednak surowym spojrzeniem, że ma ją traktować poważnie. Lecz on taki właśnie miał zamiar. Dla niego ślub z Saraid byłby spełnieniem długo chowanego w sercu marzenia.

I wyglądało na to, że to pragnienie się urzeczywistni.

Mijały kolejne dni żmudnej wędrówki. Raz świeciło słońce, raz padał deszcz, a jeszcze kiedy indziej wiał zimny wiatr. Ferdynand, krok za krokiem zbliżając się wraz z towarzyszami do Kirchbergu, cały czas myślał o tym, że wraca uboższy niż wyruszał razem z Szymonem.

Jego koń Martin, którego podarował mu stryj Franciszek, utonął w morzu, a jego sakiewka była już taka pusta, że stać ich było tylko na jeden posiłek dziennie. Poza tym wszyscy byli tak obdarci, że nie wiedział, czy może pokazać się krewnym w takim stanie.

Nie miał jednak możliwości, żeby nabyć dla siebie i pozostałych nowe ubrania, nie podarowała im też takowych żadna wróżka, więc nie pozostało mu nic innego, jak dalej wędrować w kierunku Kirchbergu i mieć nadzieję, że stryj nie wścieknie się na jego widok. Gdy jednak ujrzał w oddali wieżę kościoła w swojej wsi, która wydawała się wyższa niż kiedyś i miała nowy dach, a zaraz potem skręcił w drogę prowadzącą do zamku, miał duszę na ramieniu.

Ferdynand i jego towarzysze wzbudzili w wiosce mniejsze zainteresowanie niż Szymon, który przybył kilka tygodni wcześniej. Ze względu na zniszczone odzienie ludzie wzięli ich za włóczęgów i sprawdzali jedynie, czy mają pozamykane drzwi, a gdy grupka skierowała się do zamku, tylko wzruszyli ramionami.

Brama w ogrodzeniu okazała się zamknięta. Starszy mężczyzna, który służył stryjowi jako odźwierny, wybiegł ze swojego domu i zaczął przeklinać.

- Znikać mi stąd! Nie wpuszczamy tu żebraków ani domokrażców! - Wymachiwał przy tym pistoletem, który służył nie tylko za broń, ale także jako sygnał dla mieszkańców zamku, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

- Hej, Hans! Nie poznajesz mnie? - zapytał Ferdynand ze śmiechem.

Odźwierny obruszył się, a potem popatrzył na Ferdynanda z niedowierzaniem, raz po raz kręcąc głową.

- To niemożliwe! Przecież wy nie żyjecie!

- Ależ Hans! Skąd taki pomysł? - wtrącił się Hufeisen.

- Cyriakus! Przecież... Pan Szymon mówił, że wszyscy zginęliście w Irlandii! - Odźwierny się przeżegnał, a potem zbliżył pomalutku. - Naprawdę żeście żywi?

- Hans, w życiu nie słyszałem głupszego pytania. Kiedy ostatnio odwiedził cię jakiś trup, żeby sobie pogadać? - Ferdynand roześmiał się i nakazał odźwiernemu, by w końcu otworzył bramę.

Hans uczynił to z wahaniem i poczekał, aż Ferdynand i reszta wejdą do środka.

- Mogę was dotknąć, panie? - zapytał, bo wciąż nie był całkiem przekonany, że ma przed sobą żywego człowieka, a nie ducha, który chce go omamić.

- Proszę bardzo! - Ferdynand stanął przed nim, a Hans ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jego twarzy.

- I jak? Zadowolony? - zapytał Ferdynand.

Starszy człowiek nagle cały się rozpromienił.

- Czy jestem zadowolony? Nawet nie wiecie, jak bardzo!

Potem uniósł pistolet i wystrzelił w powietrze.

- Inni też muszą się dowiedzieć, przede wszystkim państwo, którzy tyle wycierpieli. I pan Szymon też. A to się ucieszy!

Przy tych ostatnich słowach w głosie odźwiernego było tyle złośliwości, że Ferdynand zaczął się zastanawiać, co też się wydarzyło na zamku. Skoro Hans dał sygnał, postanowił poczekać, aż z zamku ktoś przybędzie, tymczasem zaś zwrócił się do odźwiernego:

- Masz może coś do picia dla pań, Hans? Przeszliśmy dzisiaj spory kawałek, nie zatrzymując się, więc...

- Wszyscy jesteście spragnieni! Jedną chwileczkę, panie Ferdynandzie. Jeśli ten łotr - tu Hans zerknął na Hufeisena - mi pomoże, zaraz dostaniecie chłodny napitek.

- Za dobre piwo wybaczę ci nawet tego łotra - zaśmiał się Hufeisen i ruszył za Hansem do jego domku.

Ciara tymczasem skubnęła Ferdynanda za rękaw.

- Ten człowiek dziwnie się zachowuje. Dlaczego?

- Sądził, że ja i Hufeisen nie żyjemy. Szymon musiał im tak powiedzieć.

- Oby wkrótce spotkał swoją *bean sidhe* i dowiedział się o własnej bliskiej śmierci - prychnęła rozgniewana Ciara.

Ferdynand chciał coś odpowiedzieć, lecz Hans i Hufeisen powrócili z napitkiem. Każdy dostał wielki kubek piwa i każdy łapczywie go opróżnił.

Bríd piła jednak ze skrzywioną miną.

- Nasz miód smakuje lepiej.

- Na pragnienie w sam raz - odparł Hufeisen z uśmiechem, nalewając sobie drugą porcję.

Odźwierny stuknął się z nim kubkiem i szeroko uśmiechnął.

- Tak się cieszę, że wróciliście, panie Ferdynandzie.

A jak się ucieszą wasz stryj i stryjenka! Płakali po was nie mniej niż po własnym

synu.

- Coś się stało Andrzejowi? - zapytał przerażony Ferdynand.

- Umarł! Zmogła go choroba, jego małżonkę i dzieci też.

- To nie może być prawda! - Ferdynandowi wydało się, że rozświetlone niebo zasnuły nagle ciężkie gradowe chmury. Poczul, że łzy napłynęły mu do oczu.

Ciara chwyciła go za ramię.

- Co z tobą?

- Mój kuzyn nie żyje!

- Szymon? - W głosie Ciary zabrzmiała nadzieja, lecz Ferdynand ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie! Andrzej, syn mojego stryja. Był takim silnym, radosnym człowiekiem! Zawsze dobrze się z nim rozumiałem, choć był starszy o kilka lat.

- Tak, to wielkie nieszczęście dla Kirchbergu - wtrącił Hans, gdy Hufeisen przetłumaczył mu rozmowę Ciary i Ferdynanda. - Ale mogło być jeszcze gorzej! Bogu dzięki, że to niebezpieczeństwo minęło.

Ferdynand nie rozumiał, co staruszek chciał powiedzieć, nie mógł jednak zapytać, ponieważ ku bramie zbliżali się śpiesznym krokiem parobkowie. Widać było, że cieszą się na jakąś porządną bijatykę. Lecz zanim którykolwiek zdążył zamachnąć się pięścią, Hans wyszedł naprzód i podniósł rękę.

- Dajcie spokój, chłopcy, i przypatrzcie się uważnie tym dwóm tutaj.

Parobkowie spojrzeli zdumieni na obdarte towarzystwo, przetarli oczy, a potem pobledli i zaczęli się cofać.

- Święta Mario, Matko Boża! Czy to zmarli powstali z grobów? - wyjąkał jeden z nich.

- Zaraz ci tu dam zmarłych! Jeszcze ci gębę obiję! - warknął na niego Hufeisen.

- Ten duch gada jak Cyriakus - stwierdził zaskoczony parobek.

- I tak samo bije. A może zapomniałeś już lanie, które ci spuściłem podczas odpustu dziesięć lat temu? - Hufeisen chwycił parobka i przyciągnął go do siebie. - Ale cieszę się, że cię widzę. I ja, i pan Ferdynand cieszymy się doskonałym zdrowiem.

- W takim razie Pan Bóg sprawił cud! - Parobek wziął od Hansa kubek z piwem i stuknął się z Hufeisenem. - Witajcie w domu! - powiedział do Ferdynanda.

Ten nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie witają go z taką ulgą.

Parobkowie popatrzyli po sobie, a potem jeden z nich wskazał na zamek.

- Łaskawy pan i łaskawa pani muszą się o tym natychmiast dowiedzieć. Chodźcie,

panie Ferdynandzie, zaprowadzimy was do nich.

Zanim Ferdynand się obejrzał, dwaj parobkowie chwycili go i ponieśli na ramionach. Inni zabrali Hufeisena i wszyscy ze śmiechem ruszyli na zamek. Ciara i reszta poszli za nimi zdumieni, a Ferdynand zastanawiał się, czy nie trafił do domu wariatów.

- Ludzie, postawcie mnie na ziemi! - zawołał.

Lecz parobkowie nie słuchali, tylko ponieśli go aż do zamku, weszli do środka i ruszyli po schodach. Gdy dotarli do ganku prowadzącego na taras na wieży prochowej, do ulubionego miejsca stryja, Ferdynand zaczął im złorzeczyć.

- Do diaska! Chcę się umyć i przebrać, zanim pokażę się stryjowi i stryjence!

Równie dobrze mógł wygłosić te słowa do murów wieży, do której właśnie dotarli. Gdy parobkowie przechodzili przez drzwi, Ferdynand i Hufeisen musieli schylić głowy, żeby nie uderzyć we framugę. A zaraz potem znaleźli się przed Franciszkiem von Kirchbergiem i jego małżonką. Oboje siedzieli na wygodnych siedziskach i wydawali się poirytowani zamieszaniem, jakie robili parobkowie. Lecz zanim pan na zamku zdołał cokolwiek powiedzieć, rozpromienieni parobkowie pozwolili Ferdynandowi stanąć na własnych nogach.

- Łaskawi państwo wybaczą, ale złapaliśmy wyjątkowych włóczęgów i musieliśmy ich tutaj przyprowadzić!

Franciszek popatrzył na obu obdartusów i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie może być!

- Ależ tak, stryju! Choć uważaliście nas tutaj za zmarłych, całkiem nieźle się z Hufeisenem trzymamy!

- Ferdynand! - Stryjenka wstała i podeszła do młodego mężczyzny niepewnym krokiem. Obiema rękami objęła jego twarz, poczuła pod palcami ciepłe, żywe ciało i z płaczem rzuciła mu się na szyję. - To naprawdę ty!

- Wybaczcie, że zjawiam się przed wami taki zakurzony i obdarty, ale wasi ludzie nie dali mi czasu, żeby się umyć - przeprosił Ferdynand.

Jego stryj wybuchnął śmiechem, jakiego nie słyszano u niego, odkąd pomarli mu syn i wnukowie.

- Jakby to było istotne! Witaj w domu, mój chłopcze!

Nawet nie wiesz, jak ogromną radość nam sprawiłeś.

Ferdynand, przypomniawszy sobie powód swojego przybycia, wskazał na Ciarę, Saraid i Bríd.

- Pozwólcie, że was o coś poproszę, stryju. Te dwie damy oraz ich służąca pochodzą z Irlandii, lecz utraciły swoją ojczyznę. Byłbym wdzięczny, gdybyście zapewnili im gościnę, aż

osiągnę pozycję, która pozwoli mi się o nie zatroszczyć.

Spojrzenia, które wymienili między sobą Ciara i Ferdynand, zwróciły uwagę Irmbergi von Kirchberg.

Spostrzegła też zaokrąglony brzuch młodej Irlandki i zaczęła się wszystkiego domyślać.

- Czy ta młoda dama to twoja żona? - zapytała z ciekawością.

- Niestety nie. Wciąż jest żoną innego mężczyzny, ale nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Więcej Ferdynand nie chciał zdradzić, bo Szymon tak samo jak on był kuzynem starszych państwa, więc mogli z niechęcią przyjąć jego oskarżenia i zarzuty.

W tym samym momencie, niczym wilk wywołany z lasu, pojawił się Szymon. Rzucił tylko okiem na zgromadzonych i podszedł do stryja.

- Parobkowie znowu przyłapali złodziei? Każcie ich wychłostać, to zapamiętają, że nie opłaca się przychodzić do Kirchbergu.

- Kiedyś mieliście lepszy wzrok, kuzynie! - powiedział do niego Ferdynand z drwiną w głosie.

Szymon gwałtownie się obrócił i zdumiał na widok ich piątki. Poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz z jego gardła nie dobył się żaden dźwięk. To dało pozostałym możliwość, żeby dokładnie mu się przyjrzeć.

Nie zawahał się skorzystać z szat swojego zmarłego kuzyna, więc nie wyglądał już jak żołnierz, tylko jak bogaty właściciel ziemski.

Szymon wierzył do tej pory, że dziedzictwo Kirchbergu wpadnie mu prosto w ręce. Nagle pojawił się przed nim Ferdynand. Szymon z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie może być! Przecież sam widziałem, jak wybuchła wieża, w której byłeś.

- Powinniście byli wtedy kazać poszukać moich zwłok, panie kuzynie. Ale wam za bardzo się śpieszyło, by wyruszyć do Londynu! - Ferdynand zwracał się do Szymona w taki sposób, jakiego ten zażyczył sobie w Irlandii.

Ten fakt oraz wymowne miny obu mężczyzn pozwoliły Franciszkowi i Irmberdze von Kirchberg domyślić się, że kuzyni nie rozstali się w przyjaźni.

- Na szczęście Ferdynand powrócił do nas cały i zdrowy, a więc może objąć dziedzictwo, na co wyraził zgodę Jego Wysokość książę Maksymilian - oznajmił pan na zamku.

Ferdynand popatrzył na niego zaskoczony, natomiast Szymon wpadł we wściekłość.

- Nie wolno wam tego robić! Obiecaliście dziedzictwo mnie. Nie ustąpię temu

włóczędzie!

- Ten włóczęga, jak go określiłeś, to syn mojego najmłodszego brata i młodszej siostry mojej małżonki, a więc jest z nami bliżej spokrewniony niż ty - odparł Franciszek.

- On nie ma prawa! Zgodnie z regułami dziedziczenia Kirchbergów... - zaczął Szymon.

- Już powiedziałem, że ksiązę zgodził się, żebym wyznaczył Ferdynanda na swojego następcę - przerwał mu stryj. - Dla ciebie zrobię co w mojej mocy, żebyś znów objął dowództwo hufca, ale więcej uczynić nie mogę.

Pan na Kirchbergu rzucił bratankowi ostrzegawcze spojrzenie, by dłużej nie protestował. Lecz to nie był koniec przykrości dla Szymona, ponieważ Ciara z całej siły uderzyła go w twarz. Zanim zdążył zareagować, stanął pomiędzy nimi Ferdynand.

- Miarkuj się! A może mam powiedzieć stryjowi, co się naprawdę wydarzyło w Irlandii i później w Londynie?

Choć mówił cicho, Franciszek usłyszał.

- Mów, bratanku! Chcę wiedzieć wszystko.

- To wszystko są tylko kłamstwa tego zazdrośnika! - wykrzyknął rozwścieczony Szymon.

- Ci ludzie tutaj zaświadczą, że to nie są kłamstwa - odpowiedział Ferdynand, starając się mówić spokojnie. - Pozwólcie, że przedstawię, to Ciara i Saraid Ní Corra, siostra i kuzynka irlandzkiego szlachcica Oisina O'Corry, którego Szymon wydał Anglikowi, sir Ryszardowi Haresgillowi. Bríd i Ionatán to ich świta.

Franciszek uklonił się Ciarze i Saraid, a potem nakazał Ferdynandowi, by mówił dalej. Szymon kilkakrotnie próbował mu przerwać i określał jego oskarżenia mianem bezwstydných łgarstw, które wymyślił, żeby zostać dziedzicem Kirchbergu. Lecz nie przekonał pana zamku.

- Milcz! - nakazał w końcu stryj Szymonowi. - Będziesz miał jeszcze okazję, żeby się usprawiedliwić.

Ferdynand opowiadał, a jego kuzynowi nie pozostało nic innego, jak zacisnąć zęby i słuchać. Lecz gdy przysłała pora na opis jego roli podczas napaści na wieżę w Donegal, nie potrafił się opanować.

- To wszystko kłamstwa! To nie ja zdradziłem Oisina O'Corrę, tylko jego towarzysz Aithil.

Hufeisen nie mógł na to pozwolić.

- To tylko twoje słowa, nędzny draniu! Na własne uszy słyszałem, jak Ryszard Haresgill posłał swoich ludzi, żeby ścigali Aithila i go zabili, by nie pozostał ani jeden

mężczyzna z rodu O'Corrów! Poza tym Saraid i Bríd widziały, jak porwaliście lady Ciarę.

- A może jeszcze powiesz, że ona wbrew temu wszystkiemu za mnie wyszła? - Szymon postanowił postawić wszystko na jedną kartę, by podważyć wiarygodność swoich przeciwników.

Gdy Ferdynand przetłumaczył jego słowa Ciarze, ta wyciągnęła spod sukni skórzaną teczkę, wyjęła z niej osmolony akt ślubu i podała go Franciszkowi Kirchbergowi. Ten odczytał łaciński tekst, a potem popatrzył na Szymona z pogardą.

- I co my tu mamy?

Szymon wytrzeszczył oczy na widok dokumentu.

- To niemożliwe! Przecież wrzuciłem go do ognia!

- A teraz sam się do tego przyznałeś - stwierdził starszy pan z miną pełną odrazy.

Choć Ciara po drodze nauczyła się trochę niemieckiego, to jednak nie była w stanie śledzić rozmowy, więc poprosiła Ferdynanda, żeby wszystko jej przetłumaczył. Potem podeszła do Franciszka i wyciągnęła rękę.

- Na moich palcach widać blizny, których się nabawiłam, gdy ratowałam ten dokument z ognia. Lecz zdrada mojego brata i Ferdynanda oraz próba spalenia aktu ślubu to nie jedyne draństwa, jakich dopuścił się wasz bratanek. Zostawił mnie samą w Londynie, bezbronną i bez pieniędzy. Gdyby Przenajświętsza Panienska nie okazała mi łaski i nie doprowadziła do mnie Ferdynanda, skończyłabym tam w nędzy i zepsuciu.

Franciszek wysłuchał tłumaczenia Ferdynanda, a potem potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć w aż taką niegodziwość.

- Czy to prawda? - zapytał Ferdynanda.

- Tak, tak właśnie było - odpowiedział jego bratanek.

- Szymon kłamał w Irlandii i w Anglii, oszukiwał i zdradzał przyjaciół. Miał nadzieję, że angielska królowa wynagrodzi go wielkim majątkiem w Irlandii, więc kłamstwami przekonał Ciarę, żeby zgodziła się za niego wyjść. Mając u boku irlandzką szlachciankę, liczył na przychylność Irlandczyków, którzy mieli mu być poddani.

Lecz Jej Wysokości nie spodobała się popełniona przez niego zdrada i nie dała mu majątku. Wściekły, że małżeństwo z Ciarą nie przyniesie mu spodziewanych zysków, zostawił ją na pastwę losu.

- Wcale tak nie było! - wydukał Szymon. - Ja...

Franciszek przerwał mu gniewnym tonem:

- Zamilcz w końcu! Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! Zdradziłeś własną rodzinę. Wydanie własnego kuzyna wrogowi to niesłychane draństwo. A prawie ci uwierzyłem i omal

nie wyznaczyłem cię na mego dziedzica. Lecz Pan Bóg zlitował się nade mną i temu zapobiegł. Natychmiast opuść mój dom i nigdy więcej nie wracaj! Wyrzekam się jakiegokolwiek pokrewieństwa z tobą i od tej chwili będziesz mi bardziej obcy niż poganin czy heretyk, bo poza tym, że błędzą w wierze, są wśród nich uczciwi ludzie.

Szymon zrozumiał, że nie ma takich słów, którymi mógłby wpłynąć na stryja, więc pełen nienawiści odwrócił się w stronę wyjścia. Gdy mijał Ferdynanda, uderzył go tak, że ten aż się oparł o ścianę.

- Nie myśl sobie, że wygrałeś, podstępny draniu! - prychnął na niego i wyszedł.

Na znak Franciszka trzech silnych parobków ruszyło za nim, żeby uniemożliwić mu skorzystanie z rzeczy zmarłego kuzyna. Gdy kazał osiodłać angielskiego ogiera, też mu się sprzeciwili.

- Chyba nie myślicie odjechać na koniu, który tak naprawdę należy do waszego kuzyna? - zapytał jeden z nich.

- Może mam iść pieszo?! - huknął na niego Szymon.

- Czemu nie? Pan Ferdynand też szedł pieszo, i to wiele mil.

Ponieważ zaś Szymon nie śpieszył się z opuszczeniem zamkowego dziedzińca, dwóch parobków chwyciło go pod pachy i pomimo oporu pociągnęło ku zewnętrznym murom. Tam odźwierny Hans szeroko otworzył bramę.

- Powodzenia, panie Szymonie. Tylko nie wracajcie, bo nie wolno mi was tu wpuszczać! - zawołał za nim z ulgą i zatrzasnął bramę przed nosem Szymona, który najchętniej zabiłby go na miejscu.

8

Gdy odprawiono Szymona, Ferdynand i jego towarzysze mogli wreszcie pójść się umyć. Pan na zamku poszedł ze swoim bratankiem, natomiast jego małżonka towarzyszyła Ciarze i Saraid. Zadbala, by obie razem z Bríd mogły się rozebrać w izbie, w której przygotowano już wielką balię z ciepłą wodą. Gdy Ciara stanęła naga, jeszcze wyraźniej widać było jej wystający brzuch, co zmartwiło Irmbergę.

- Czy to potomek Szymona, moje dziecko?

Ciara gwałtownie pokręciła głową.

- Dzięki Przenajświętszej Paniencie, nie! Kochamy się z Ferdynandem i bylibyśmy już małżeństwem, gdybyśmy tylko znaleźli księdza, który udzieliłby nam ślubu. Ale potem Szymon zdradził, a ja uwierzyłam, że Ferdynand nie żyje. Gdy Szymon mnie okłamał i naciskał na ślub, zgodziłam się, żeby dziecko otrzymało przynależne mu nazwisko.

- Powinniście się byli powstrzymać z Ferdynandem! - upomniała ją najpierw Irmberga, lecz po namyśle potrząsnęła głową. - Z drugiej strony tak jest lepiej.

W przeciwnym razie mogłabyś być w ciąży z Szymonem.

Ale będziesz mogła wyjść za Ferdynanda dopiero wtedy, gdy zostanie rozwiązane twoje małżeństwo z Szymonem.

Mój małżonek uda się jak najszybciej do Monachium i spróbuje uzyskać audiencję u księcia Maksymiliana.

Ponieważ Szymon uzyskał twoją zgodę na ślub za sprawą kłamstw i zdrady, możliwe, że przy poparciu Jego Wysokości skłonimy papieża, żeby anulował wasze małżeństwo. Ale do tej pory nie wolno wam z Ferdynandem obcować cieleśnie!

Ciara nie była zachwycona, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że potrzebuje poparcia starszej pani, żeby odzyskać wolność, więc się zgodziła. Nielatwo im było się porozumieć, bo Ciara nie знаła zbyt dobrze niemieckiego i raz po raz wtrącała angielskie lub francuskie zwroty. Mimo to dogadały się wyjątkowo sprawnie, a Irmberga musiała zrewidować swoje pierwsze wrażenie, że młoda Irlandka to jakaś prosta chłopska córka. Nawet jeśli Ui'Corra byli biedni, Oisin zadbał o to, by jego siostra otrzymała odpowiednie dla szlachcianki wykształcenie, na ile to tylko było możliwe w położonym na pustkowiu Tir Chonaill.

Irmberga von Kirchberg podczas tej rozmowy dowiedziała się co nieco o sytuacji w Irlandii i żał jej się zrobiło narodu, który tak rozpaczliwie zmagał się z angielską herezją.

Gdy Ciara porządnie się wymyła, a potem włożyła czystą suknię ze skrzyni Irmbergi, pani zamku objęła ją i przyłożyła dłoń do jej zaokrąglonego brzucha.

- Gdybyście znaleźli wtedy z Ferdynandem księdza, już dawno bylibyście małżeństwem. Nie będę więc świętsza od papieża. Możesz spać w izbie obok Ferdynanda. Łączą je wewnętrzne drzwi. Ty będziesz miała do nich klucz.

- A nie Ferdynand? - zdziwiła się Ciara.

Gospodyni ze śmiechem pokręciła głową.

- Nie! Niech łaskawie poczeka, aż go zawołasz. A teraz chodź, moja miła! Na pewno jesteś głodna.

Odpowiedział jej burczący brzuch Ciary, która zaczerwieniła się ze wstydu.

- Wybaczcie, ale musieliśmy oszczędzać żywność, żebyśmy pod koniec drogi nie potrzebowali żebrać.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć - zażądała Irmberga, lecz uniosła dłoń, gdy Ciara od razu chciała zacząć. - Najpierw zjemy, a potem chcę jeszcze raz przytulić Ferdynanda.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę wrócił i jeszcze przyprowadził ze sobą taką piękną i szlachetną istotę jak ty.

9

Szymon von Kirchberg aż pienieł się z wściekłości, że jego własny stryj wyrzucił go z domu niczym jakiegoś żebraka. Teraz cały jego majątek ograniczał się do ubrania, które miał na sobie, i pieniędzy angielskiej królowej. Wystarczy ich akurat na to, by zwerbować i wyposażyć niewielki oddział żołnierzy. Przysiągł sobie, że pomaszeruje z nimi na Kirchberg, powiesi Ferdynanda i stryja, a zamek każe spalić.

Zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko mrzonki.

Żaden oddział najemników nie napadnie w czasach pokoju na majątek w Bawarii, już prędzej zwróci się przeciwko oficerowi, który wyda taki rozkaz.

- W inny sposób upomnę się o swoje prawa - mruknął pod nosem, wlokąc się noga za nogą.

Do tej pory dłuższe odcinki zawsze pokonywał konno, więc trudno mu się maszerowało i już w kolejnej wiosce zatrzymał się w gospodzie. Pijąc ciemne, smakujące słodem piwo i jedząc kaszankę oraz wątrobiankę, zastanawiał się, co robić dalej. Tak całkiem bezradny nie był. Ciara wciąż przecież była jego żoną. Mógł ją więc zmusić, żeby z nim poszła. Choć nie stanowiła już dla niego żadnej wartości, ubodłoby to bardzo dumę Ferdynanda. W końcu była z jego kuzynem w ciąży. Nie był aż tak głupi, żeby uwierzyć, że ona nosi w brzuchu jego dziecko. Za mało czasu minęło od chwili, gdy posiadł ją po raz pierwszy. Może ta nędzna kreatura już wtedy wiedziała, że będzie mieć dziecko, i zamierzała mu je wmówić?

Dla świata jednak to on był ojcem. I dzięki temu będzie mógł przed sądem co nieco uzyskać. Będzie też bronić podważanych przez stryja reguł dziedziczenia. Przecież spadkobiercą Kirchberga w przypadku braku bezpośredniego dziedzica powinien być najstarszy syn kolejnego brata. Jego ojciec był starszy od ojca Ferdynanda, więc Kirchberg mu się należy. Byłby wtedy co prawda uwiązany do Ciary, a jego dziedzicem zostałby bękart Ferdynanda. Ale z tym problemem można sobie łatwo poradzić za pomocą najzwyklejszej poduszki.

Po dwóch kolejnych dzbanach piwa Szymon widział się już jako pogrążonego w żałobie wdowca panującego na Kirchbergu. Przypomniało mu się jednak, jakie wpływy ma stryj u księcia Maksymiliana. Skłonił go przecież do tego, żeby zaakceptował Ferdynanda jako dziedzica Kirchberga. Poza tym jest jeszcze liczne rodzeństwo stryjenki Irmbergi, które

z pewnością opowie się po stronie Ferdynanda i będzie intrygować przeciwko niemu.

Jeśli teraz pójdzie do sądu, stanie naprzeciw potężnych wrogów i przegra z kretesem. Na myśl, że w efekcie zostałby wygnany z kraju w równie haniebny sposób jak z Anglii, miał ochotę wyładować swoją złość na karczmarzu i wyposażeniu karczmy.

Z trudem zdołał się opanować, a potem zaczął się zastanawiać nad innymi możliwościami, które zapewniłyby mu panowanie na Kirchbergu. Ponieważ nikt nie mógł mu w tym pomóc, musiał użyć sprytu. Nie mógł przecież tak po prostu pójść do Kirchbergu, zastrzelić stryja i Ferdynanda i przejąć zamek.

Lecz jeśli kiedykolwiek miał się tam wprowadzić, oni obaj musieli umrzeć. Najlepiej by było, gdyby jednocześnie zginęły też stryjenka i Ciara. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł...

Dwa piętra poniżej tarasu, na którym stryj tak lubił przesiadywać, znajdowała się stara piwnica z zamkowymi zapasami prochu. Razem z kuzynem Andrzejem wyobrażali sobie w dzieciństwie, co by się stało, gdyby nagle proch wybuchł, kiedy wszyscy członkowie rodziny zgromadzili się na tarasie. Leśniczy stryja uspokoił ich wtedy, że składowany w piwnicy proch nie wystarczyłby, żeby wysadzić grube mury wieży i kamienne sklepienie piwnicy.

- Ale wyższe piętra wieży mają drewniane podłogi.

Wystarczy więc przenieść proch na parter i tam zdetonować.

Szymon się przeraził. Czy powiedział to na głos?

Szybko się rozejrzał, lecz o tej porze w gospodzie było niewielu klientów i żaden z nich nie zwracał na niego uwagi.

Z ulgą powrócił do swoich rozważań. Przy ładnej pogodzie stryj zwykł jadać śniadanie na tarasie wieży.

Stryjenka, Ferdynand i Ciara z pewnością będą mu towarzyszyć. „Jutro - pomyślał - powinien być ładny, ciepły dzień. Trzeba się tylko dowiedzieć, jak się dostać do zamkniętej piwnicy z prochem”. Nagle się roześmiał.

Jego kuzyn Andrzej przed laty dorobił z drutu klucz do piwnicy z prochem, żeby mogli go potajemnie wykraść.

Użyli go tylko kilka razy, bo wkrótce potem stryj zaczął ich uczyć obchodzenia się z bronią palną. Lecz Szymon był pewien, że pamięta, gdzie Andrzej ukrył wtedy tamten klucz.

Zataił ręce na myśl o tym, że Ferdynand umrze dokładnie taką śmiercią, jakiej o włos uniknął w Irlandii.

Pozbędzie się również Ciary i wyleje parę krokodylich łez za dzieckiem, które rzekomo było jego. Tylko nie może dać się przyłapać. Przecież dorastał na Kirchbergu, więc

znał tam każdy kąt i nikt nie zauważył ani jego przyjscia, ani wyjścia.

Gdy tylko Szymon powziął ten zamiar, nie mógł się doczekać realizacji swojego planu. Zapłacił za posiłek, opuścił karczmę i ruszył w kierunku, w którym wcześniej zmierzał. Gdy tylko wioska zniknęła mu z pola widzenia, skręcił w polną dróżkę, która prowadziła do Kirchbergu.

W niewielkim lesie poczekał na zmierzch i dopiero wtedy ruszył dalej. Było blisko pełni, więc księżyc dawał sporo światła i już wkrótce ujrzał przed sobą mury otaczające zamkowy park. Gdy byli dziećmi, często się na nie z Andrzejem wspinali, żeby powalać się po lesie albo poganiać za dziewczętami.

Pokonał mur równie łatwo jak przed laty i ostrożnie zakradł się do zamku. Dotarłszy do wieży prochowej, musiał jakoś w ciemnościach znaleźć dorobiony klucz, który otwierał zarówno drzwi wieży, jak i drzwi piwnicy.

Po dłuższej chwili wymacał luźny kamień w zewnętrznym murze, który udało mu się wyciągnąć. Narobił przy tym trochę hałasu i usłyszał wściekłe ujadanie jakiegoś psa.

„To musi być ta przeklęta irlandzka bestia” - pomyślał i rozżłościł się na siebie, że wtedy na wieży nie załatwił tej suki jak należało.

Gdy ujadanie ucichło, wsunął drżącą rękę do dziury i uśmiechnął się, kiedy jego palce natrafiły na klucz. Lecz gdy przyjrzał mu się w świetle księżycy, naszły go wątpliwości. Klucz był okropnie zardzewiały i bał się, że się złamie, gdy tylko wsunie go do zamka.

Włożył klucz za pas, a kamień umieścił z powrotem w murze. Gdy podchodził do drzwi wieży, aż się cały trząsł z napięcia. Wsunął klucz do zamka, delikatnie go obrócił. Już przy pierwszej próbie rozległ się cichutki zgrzyt, więc z pewną ironią podziękował w duchu stryjowi, że kazał dobrze naoliwić zamki, żeby otwierały się z łatwością i niemal bezdźwięcznie.

Szymon otworzył drzwi i ostrożnie wszedł do wieży, by nie narobić hałasu. Na parterze były tylko wąskie otwory strzelnicze, więc panowały tam całkowite ciemności. Znał jednak drogę, omijając drewniane schody prowadzące na górę. Za nimi zaczynały się kamienne schodki wiodące do piwnicy. Ostrożnie szukał stopą wyślizganych stopni.

Przed drzwiami do piwnicy nie był w stanie dostrzec własnych dłoni i wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim znalazł zamek. Potem znów okropnie długo trwało, zanim i tu udało się użyć klucza i otworzyć drzwi.

Panujące w środku ciemności uniemożliwiały jakiegokolwiek działanie. Po omacku odszukał lampę, której używali stryj i jego leśniczy, wyciągnął z torby zamek pistoletu, służący mu do krzesania iskier. Zamarł jednak i schował go z powrotem. Jeśli iskra upadnie

na beczkę z prochem, nie będzie się już musiał troszczyć o swoją przyszłość. Nie pozostało mu nic innego, jak poczekać do rana w nadziei, że do niezbędnych przygotowań wystarczy światło wpadające do piwnicy z parteru, przez otwarte drzwi.

10

Tego wieczoru na zamku w Kirchbergu późno położono się spać. Franciszek i Irmberga nie mogli się nasłuchać opowieści Ferdynanda i Ciary, które Hufeisen doprawiał dowcipnymi wtrąceniami. Gdy towarzystwo zaczęło się rozchodzić, Ciara nie była w stanie odpędzić Gamhain, która koniecznie chciała iść z nią do komnaty. Dopiero Ionatán chwycił sukę za kark i pociągnął ją za sobą.

- Jeszcze nigdy nie widziałam tak ogromnego psa, a już szczególnie tak łagodnego i spokojnego, jak ta Gojn!

Irmberga wymówiła imię suki tak, jak je słyszała.

Jej mąż pokiwał głową.

- Mnie też to dziwi. Moje bullenbeissery są nieco mniejsze, ale nawet psiarczyk nie odważyłby się chwycić któregoś z nich tak, jak uczynił to teraz Jonatan.

- Nie daj się zwieść! Gamhain to doskonały pies stróżujący i potrafi powalić każdego - wyjaśnił Ferdynand, życzył wszystkim dobrej nocy, po czym wyszedł z komnaty.

Hufeisen poszedł za Saraid i zagadnął ją pod drzwiami swojej izby:

- Jeśli chcesz, poproszę pana Ferdynanda, żeby pozwolił nam się pobrać.

Saraid zastanowiła się krótko i skinęła głową.

- Tak będzie lepiej. W przeciwnym razie zaczniesz jeszcze napastować służki.

- O nie! Za bardzo bym się bał, że więcej mnie do siebie nie wpuścisz. Wiem przecież, co zrobiłaś, gdy Buirre latał za Maeve.

Na chwilę oboje zanurzyli się w przeszłości, przeżywając ponownie tamte gorzkie godziny. Lecz Saraid otrząsnęła się szybko i głęboko westchnęła.

- Naprawdę potrzebuję kogoś, kto mnie obejmie i mocno przytuli, żebym zapomniała o wszystkich złych wspomnieniach.

- Jeśli chcesz, to przecież nasze izby leżą obok siebie - zaproponował Hufeisen.

- Ale cię energia rozpiera! - zadrwiła Saraid. Potem jednak skinęła głową z pełnym zadumy uśmiechem. - Dobrze, pójdę z tobą. Ale dziś możesz mnie tylko przytulić. Na więcej jestem zbyt zmęczona.

- Ja też - przyznał Hufeisen, pocieszając się tym, że za dzień czy dwa na pewno odzyskają siły i nie wystarczy im już tylko spanie bok przy boku.

Tymczasem Ferdynand odprowadził Ciarę do drzwi i stanął pod nimi taki smutny, że skinęła, żeby wszedł.

- W końcu to pierwsza noc od dawna, którą spędzimy w prawdziwym łóżku - powiedziała.

- To prawda! Wolałbym jednak, żeby nasze przybycie do Kirchbergu miało miejsce w mniej tragicznych okolicznościach. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mój kuzyn Andrzej nie żyje. To był taki radosny człowiek! Dopiero co bawiłem się z jego synkami i nosiłem ich na barana.

A teraz są aniołkami w niebie.

- Na Kirchbergu wkrótce znów będą dzieci! - Ciara z uśmiechem chwyciła go za rękę i przyłożyła ją sobie do brzucha. - Jest zdrowe i silne i będzie dorastać w bezpieczniejszym domu niż ja.

- Od teraz Kirchberg jest moim i twoim domem! - oznajmił uroczyście Ferdynand.

Choć cieszył się, że kiedyś odziedziczy ten piękny majątek, to wolałby, żeby potomkowie stryja i stryjenki żyli, a on otrzymał jakąś niewielką sumkę, żeby stanąć na własnych nogach.

Oboje z Ciarą byli zbyt zmęczeni, żeby długo rozmawiać. Przygotowali się więc do snu, położyli do łóżka i cieszyli swoją bliskością. Zasnęli już po chwili.

W którymś momencie Ciara usłyszała przez sen wzburzone szczekanie Gamhain. Już miała wstać, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale zaraz potem znów usnęła.

Gdy się obudziła, Ferdynand właśnie się ubierał.

- Pójdę do swojej komnaty, zanim przyjdzie służka z wodą do mycia.

Uśmiechnął się nieco zakłopotany, bo przecież Ciara wciąż była żoną Szymona, a on nie chciał, żeby o nich plotkowano.

- Oczywiście! Ale najpierw muszę ci dać całusa. - Choć była już w szóstym miesiącu ciąży, zgrabnie wstała z łóżka i przytuliła się do niego. Przez chwilę mocno go obejmowała, a potem na moment przytknęła wargi do jego ust i dopiero go puściła.

- Kocham cię! - szepnęła, po czym otworzyła wewnętrzne drzwi prowadzące do jego komnaty.

- Też cię kocham! - Ferdynand rozstawał się z nią z ogromnym żalem.

W samą porę, bo już pukała służąca, która wołała, że przyniosła wodę dla pani. Ciara ją wpuściła.

Dziewczyna postawiła dzban na małym stoliku w kącie i zagadnęła Ciarę.

- Łaskawy pan kazał powiedzieć, że będzie jadł śniadanie na tarasie wieży o dziesiątej

i że liczy na wasze towarzystwo.

- Dziękuję! - Ciara uśmiechnęła się do niej przyjaźnie, zaskarbiając sobie sympatię służki.

Ta odważyła się wspomnieć o czymś, co ją nieco trapiło.

- A łaskawa pani powiedziała, że jeśli potrzebujecie pokojówki, to mam wam służyć pomocą.

- Chętnie! Możesz mi pomóc z ubraniem. Ubieracie się tutaj trochę inaczej. - Choć Ciara myślała o wyznaczeniu Bríd na swoją pokojówkę, uznała, że będzie lepiej, jeśli wybierze tutejszą służącą. Bríd będzie mogła przejąć zadania, które bardziej odpowiadają jej zdolnościom. To pomoże im obu szybciej nauczyć się używanej tutaj mowy.

Służka była zręczna i pełna zapału, więc Ciara już po chwili mogła opuścić komnatę. Gdy mijala pokoje Irmbergi, zatrzymała ją jej pokojówka.

- Wybaczcie, pani chce was widzieć! - Kobieta zwróciła się do niej uprzejmie, lecz wydawała się pełna rezerwy. W końcu Ferdynand przywiózł tę młodą kobietę z dalekich krajów, więc może mieć zwyczaje, które tutaj nie są mile widziane.

Irmberga czule powitała Ciarę i z zadowoleniem ją sobie obejrzała.

- Wygląda na to, że Moni się spisała. Od razu pomyślałam, że będzie dla ciebie świetną pokojówką.

- Moni musi się jeszcze wiele nauczyć - wtrąciła jej własna pokojówka i zaczęła poprawiać ubranie na Ciarze, bo uznała, że gorset źle leży.

- No, teraz możecie się pokazać panom - dodała, otwierając drzwi, żeby Irmberga i Ciara mogły wyjść.

W drodze na taras drogę zastąpiła im Gamhain.

Wyrwawszy się Ionatánowi, tańczyła teraz wokół Ciary, mocno merdając ogonem. Ciarze z trudem udało się powstrzymać psa, żeby nie położył jej łap na ramionach i nie polizał po twarzy.

- Zostaw, Gamhain! Idź do Ionatána! - ofuknęła sukę, lecz ta ani myślała posłuchać. Ruszyła za nimi, a potem je wyprzedziła i zaczęła obwąchiwać taras.

- Gamhain dziwnie się dzisiaj zachowuje - stwierdziła zdumiona Ciara.

Nie miała już jednak czasu, by zajmować się psem, bo powitał ją pan zamku. Tuż za nim stał Ferdynand, który do niej pomachał. Saraid i Hufeisen też już przybyli i właśnie weszła Bríd, która nie była pewna, czy może usiąść w obecności tak wielkich państwa.

- A gdzie wasz Jonatan? - zapytał Franciszek. - Niech też przyjdzie. W końcu wiernie dzielił z wami niedolę.

- To prawda! I Bríd także! - Ferdynand uśmiechnął się do młodej Irlandki i wziął Ciarę za rękę. - Dobrze spałaś?

„Jakbyś nie wiedział?” - pomyślała, rzucając mu figlarne spojrzenie. Lecz wobec towarzystwa oznajmiła, że spała znakomicie.

- Cieszę się! A miałaś dobre sny, moje dziecko? - zapytała Irmberga.

- Nie wiem... Nie pamiętam - odpowiedziała Ciara z wahaniem.

- W takim razie były dobre, bo złe się pamięta - oznajmiła Irmberga i kazała służącym przynieść śniadanie.

Zapanowała przyjemna atmosfera, która pozwoliła panu zamku i jego małżonce na chwilę zapomnieć o troskach.

Kilka razy roześmiali się nawet po dowcipnych uwagach Ferdynanda czy Hufeisena albo po językowych gafach Ciary, które Irmberga z czułością poprawiała.

Gdy Ciara chciała rzucić Gamhain odrobinę mięsa, zobaczyła, że suka z nadstawionymi uszami leży przy drzwiach prowadzących do wieży. Gamhain nagle uniosła wargi i cicho warknęła.

Przyzwyczajona ufać instynktowi zwierzęcia, Ciara skubnęła Ferdynanda w ramię.

- Spójrz na Gamhain! Coś jest nie tak.

- Może wyczuwa bullenbeissery mojego stryja - odparł Ferdynand, który właśnie odpowiadał na jakieś pytanie Franciszka.

Lecz Ciara nie zadowolila się tym wyjaśnieniem.

- A co jest za tymi drzwiami?

- Schody, które prowadzą na parter wieży. Ale tam wszystko jest pozamykane - wyjaśniła Irmberga.

Gamhain tymczasem wstała i zaczęła drapać w drzwi.

- Coś się tam dzieje! - Ciara podniosła się i podeszła do suki. - Bądźcie, proszę, cicho! - poprosiła pozostałych i zaczęła nasłuchiwać. Nagle usłyszała jakiś dźwięk, cichutkie skrobanie, jakby ktoś przesuwiał coś po podłodze. Zaniepokojona wskazała na drzwi.

- Tam na dole ktoś jest!

- To niemożliwe! - Franciszek pokręcił głową, lecz nie oponował, gdy Ciara po cichu otworzyła drzwi. Dobrze naoliwione zawiasy nie wydały żadnego dźwięku. Teraz także Ferdynand usłyszał, że ktoś jest na dole w wieży.

Gamhain chciała zbiec po schodach, lecz Ciara ją przytrzymała i ostrożnie weszła na stopień. W tym samym momencie rozległ się głośny syk i powietrze wypełnił zapach płonącego prochu.

11

Obecność prochu nie pozwoliła Szymonowi zasnąć, więc aż do rana chodził po piwnicy tam i z powrotem.

Gdy na zewnątrz zaczęło wreszcie świtać, na dole pojawiło się akurat tyle światła, że można było dostrzec kontury przedmiotów. Od razu zauważył, że zapasy prochu strzelniczego nie są tak duże jak w czasach jego dzieciństwa. Stały tam tylko trzy pełne beczki, mniej więcej po pół cetnara[45], i jedna beczka niemal pusta, której nie poświęcił uwagi.

Żeby taras został zniszczony, proch musiał wybuchnąć na parterze. Z wielkim trudem zaczął wnosić beczki po kamiennych schodkach. Tam potoczył je aż do grubej dębowej belki, na której wsparte były podłoga i dach wieży. Wybuch w tym miejscu sprawi, że stropy się zapadną. Z uśmiechem wyobraził sobie, jak ogień pożera strzępy ciał jego krewnych. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że musi podpalić proch w taki sposób, żeby sam nie wyleciał w powietrze.

- Potrzebuję lontu - mruknął i wyruszył na poszukiwania.

W piwnicy z prochem niczego nie znalazł. Natomiast na parterze wieży pomiędzy starymi skrzyniami i nieużywanymi narzędziami znalazł zwój powrozu.

Odciąwszy sztyletem kawałek, zaczął go strzępić, aż uzyskał trzy długie na parę łokci pojedyncze nitki. Natarł je odrobiną prochu z niemal pustej beczki, a potem wetknął po jednym końcu głęboko do pełnych beczek.

Dochodzące z góry odgłosy świadczyły o tym, że pojawili się tam jego krewni. Szymon rozpoznał głos stryja, a także Ferdynanda, a potem dobiegły go strzępki rozmowy między Irmbergą i Ciarą.

Teraz musiał już tylko podpalić lonty, wybiec przez drzwi i schować się w zaroślach w parku. Postanowił, że stamtąd właśnie będzie patrzeć z radością, jak Franciszek i reszta z wielkim hukiem lądują w piekle, lecz nagle uświadomił sobie kolejny problem. Jeśli teraz skrzese iskry, jedna z nich może wpaść do beczki i zapalić proch.

Nawet jeśli tak się nie stanie, pierwszy lont może cały spłonąć, zanim zdąży podpalić ostatni. Nie chciał się jednak zdać tylko na jeden lont, bo ten mógł przedwcześnie zgasnąć.

Po krótkim namyśle odciął kawałek jednego z trzech lontów, żeby go użyć jako fidybusa[46]. Potem przyniósł jeszcze trochę prochu z piwnicy, wsunął do niego końcówkę kawałka lontu i w odpowiedniej odległości od trzech beczek z prochem zaczął majstrować z krzemiennym zamkiem. Dopiero po wielu próbach jedna iskierka trafiła na kupkę prochu i zapaliła kawałek lontu, zanim zgasła. Ku jego uldze końcówka lontu w końcu zaczęła się

zarzyć. Dmuchał na nią, żeby wzmocnić ogień, i podpalił nią lont biegnący do pierwszej beczki.

Dopiero gdy ten długi lont zajął się ogniem, Szymon się zorientował, że podpalił akurat ten sznur, który przed chwilą skrócił. Pośpiesznie podpalił dwa pozostałe, odrzucił fidybus i pomknął do drzwi. W momencie, gdy je otwierał, usłyszał czyjeś szybkie kroki na schodach i pełen wściekłości okrzyk.

- Szymon! - A potem: - Podpalił lonty!

W następnej chwili Ciara chwyciła go, próbując zatrzymać. Lecz Szymon uderzył ją tak mocno, że aż się potoczyła na Gamhain, i wyskoczył na zewnątrz.

Ferdynand, który był tuż za Ciarą, chciał biec za Szymonem. Lecz Ciara go powstrzymała.

- Lonty! Musimy wyciągnąć je z beczek!

Ferdynand rzucił się natychmiast do najbliższej beczki, by wyrwać z niej lont. Ciara zajęła się drugim, lecz gdy zjawił się Hufeisen i chciał wyciągnąć lont z trzeciej beczki, ten spalił się prawie do końca i nie dało się go już uchwycić. Nie namyślając się, Hufeisen chwycił beczkę i krzyknął:

- Otwórzcie drzwi, trzymajcie Gamhain!

Ciara była bliżej drzwi niż Ferdynand, więc to ona szeroko je otworzyła. Gamhain natychmiast chciała wybiec, lecz Ferdynand w ostatniej chwili ją złapał.

Gdy walczył z opierającym się psem, Hufeisen z całej siły cisnął beczką na zewnątrz. Ciara natychmiast zamknęła drzwi i przyłgnęła do ściany. Zaraz potem na zewnątrz rozległ się potworny huk. Drzwi podskoczyły, jakby je miało wyrwać z zawiasów, ale wytrzymały.

I wtedy zapadła dziwna cisza.

Ferdynand puścił Gamhain i rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- Przeklęta bestia!

- Czemu? Co zrobiła? - zapytała oszołomiona Ciara.

Zamiast odpowiedzieć, Ferdynand pokazał jej krwawe zadrapania, które były dziełem Gamhain.

- A ja przecież tylko chciałem uratować życie temu głupiemu zwierzęciu! Tak mi się odwdzięczyła.

Potem z uśmiechem zwrócił się do Hufeisena, który stał nieruchomo niczym pomnik, jakby nie wierzył, że wciąż żyje.

- Dziękuję, przyjacielu!

Ferdynand powędrował wzrokiem w górę schodów.

- Stryju, stryjenko, Saraid, co z wami?

Ponieważ taras otoczony był jedynie drewnianą balustradą, obawiał się, że eksplozja mogła poczynić na nim jakieś szkody.

Wtedy dotarł do niego głos pana zamku.

- Z nami wszystko dobrze. Gdy usłyszeliśmy ostrzegawczy okrzyk, pobiegliśmy gankiem na zamek.

Tylko ten głupiec Jonatan został tutaj, żeby wam pomóc, i oberwał drzazgami. Ale raczej nie jest śmiertelnie ranny.

- Bogu niech będą dzięki! - Ferdynand przeżegnał się z ulgą i podszedł do Ciary. - Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam. Gdyby nie ty, ten drań wysadziłby nas wszystkich w powietrze.

- Jak można być takim złym człowiekiem?

Gdy napięcie minęło, Ciara zaczęła się trząść. Łzy płynęły jej po policzkach, a ona wczepiła się w Ferdynanda, jakby się bała, że go straci, jeśli tylko go puści. Nagle ze wszystkich stron dobiegły ich zaniepokojone głosy. Ciara aż drgnęła, gdy odpowiedział im donośny bas Franciszka:

- Z nami wszystko dobrze, ludzie! Ochroniła nas Przenajświętsza Panienska.

Ferdynand usłyszał wiwaty, otworzył drzwi i zobaczył stojących na zewnątrz parobków i służące, którzy, słysząc wybuch, pośpieszyli do wieży. Gdy wyszedł z Ciarą na rękach, utworzyli szpaler, a jeden z mężczyzn wskazał na postać, która leżała bez ruchu na ziemi trzydzieści kroków od wieży.

Szymona trudno było rozpoznać, bo cały pokryty był krwią i prochem. Kawalek beczki wystawał mu z pleców.

- Chciał wysadzić w powietrze mojego brata i ciebie, a teraz sam zginął od prochu i ognia. To się nazywa boża sprawiedliwość! - W głosie Ciary słychać było przygnębienie, lecz jej mina zdradzała, że odczuwa ulgę.

Gdyby Szymon przeżył, oboje z Ferdynandem musieliby się go obawiać aż do końca swych dni.

Ferdynand też tak uważał, lecz jednak było mu przykro, że tak to się skończyło. Podszedł do kuzyna i ze zdumieniem stwierdził, że ten jeszcze żyje.

- Sprowadźcie medyka i zamkowego kapelana! - rozkazał parobkom.

Gdy się rozbiegli, Szymon zaczął mówić:

- Stracone! Wszystko stracone! Teraz ty masz kobietę i majątek, a mnie pozostała tylko ciemność śmierci i ogień piekielny.

- Zaraz nadejdzie medyk. Może cię uratuje! - zawołał Ferdynand.

- Po co? Byłbym kaleką. Nie czuję nóg. Czuję tylko... - Śmierć nie pozwoliła Szymonowi dokończyć. Gdy nadszedł kapłan, mógł już tylko uczynić na czole zmarłego znak krzyża i zamknąć mu oczy.

Ferdynand przytulił Ciarę i uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Chodź, pójdziemy na zamek. Po takim strachu na pewno chcesz się na chwilę położyć.

Lecz Ciara potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie jestem aż taka delikatna. Cieszę się, że to wreszcie koniec. - Zawahała się i dodała już ciszej: - Poza tym jestem głodna.

Franciszek usłyszał to jednak i położył jej dłoń na ramieniu.

- I słusznie! Nie pozwolimy, żeby to zdarzenie odebrało nam apetyt. Ponieważ na razie nie możemy jeść na tarasie, niech służba nakryje w małej sali. Jeśli chodzi o Szymona, to pochowamy go, jak przystało na naszego krewnego, choć ja nie będę po nim płakać.

To były surowe słowa, lecz pozostali w milczeniu przytaknęli Franciszkowi. Saraid z głębokim westchnieniem objęła Hufeisena i szepnęła mu do ucha, że może powiedzieć księdzu, że oprócz pochówku czeka go jeszcze ślub. Zaraz potem Bríd wzięła Ionatána za rękę i rzuciła mu pytające spojrzenie. Gdy skinął głową, uśmiechnęła się szczęśliwa.

Ciara zaś popatrzyła rozpromienionym wzrokiem na Ferdynanda i szeroko rozpostarła ramiona.

- Teraz mogę już być twoja!

12

Od tamtych pamiętnych wydarzeń minęło sześć lat.

Słońce świeciło ciepło, a drzewa wiśni w zamkowym parku zdobiły dojrzałe owoce. Od zamku aż do domku odźwiernego rozlegały się wesołe głosy dzieci, które częstowały się darami lata.

Jakiś młody mężczyzna przyszedł drogą od strony wioski i zatrzymał się przed bramą. Miał na sobie szerokie szare spodnie i zieloną kamizelkę. Kaftan zdjął i przerzucił przez ramię. Przy biodrze miał zawieszony krótki miecz, a za pasem tkwił pistolet. Pomimo uzbrojenia wyglądał przyjaźnie i starał się podtrzymać to wrażenie, gdy z domku wyszedł stary Hans.

- Niech będzie pochwalony! Dobrze trafiłem do państwa Kirchbergów? - zaczął nieznajomy po niemiecku z dziwnym akcentem.

- Tak, to majątek pana Ferdynanda von Kirchberga.

Czego tutaj chcecie?

- Ferdynanda? - Przez chwilę obcy wydawał się zaskoczony, ale zaraz potem uśmiechnął się do wiekowego odźwiernego.

- Jeśli można, chciałbym porozmawiać z panem Ferdynandem i przekazać mu pozdrowienia od przyjaciół.

- Pozdrowienia chcecie przekazać? - Hans wciąż nie był pewien, czy ma traktować przybyłego jak szlachcica, czy jak prostego człowieka. W końcu uznał, że jego pan najlepiej będzie wiedzieć, czy chce przyjąć tego gościa, więc otworzył bramę. A potem zagwizdał w fujarkę, której przenikliwy dźwięk dotarł aż na zamek.

- Zaraz ktoś przyjdzie i się wami zajmie - oznajmił Hans, przyglądając się przybyszowi z ciekawością. - Chce wam się pić?

- Nie miałbym nic przeciwko jakiemuś zimnemu trunkowi - odparł wesoło tajemniczy gość.

Zaraz potem stuknęli się pełnymi kubkami.

- Twoje zdrowie, przyjacielu - powiedział młody mężczyzna i rozejrzał się wokół bez skrępowania. - Pięknie tu macie.

Zdobył w ten sposób sympatię Hansa.

- To piękny zakątek pod nieboskłonem. Nie chciałbym mieszkać nigdzie indziej.

Przez twarz przybysza przemknął smutek. Odetchnął głęboko, a potem zobaczył, że zbliża się do nich ktoś z zamku.

- Hej, Jonatan, zabierz tego nieznajomego do pana! - zawołał ku niemu Hans.

Na to imię przybysz zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się służącemu. Nagle uśmiechnął się i zamarkował ukłon.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł mnie zaprowadzić do pana Ferdynanda von Kirchberga!

- Ten człowiek chce przekazać panu pozdrowienia od przyjaciół - dodał Hans.

- Daleko nie mamy, bo państwo są przy największej wiśni! - Ionatán, który teraz zwał się już zwyczajnie Jonatanem, zaprosił przybysza, żeby ruszył za nim.

Zaraz potem znaleźli się w zamkowym sadzie. Tam właśnie zgromadziło się wesołe towarzystwo i patrzyło na młodego służącego, który stał na drabinie, zrywał wiśnie i podawał je Saraid. Ta rozdzielała owoce między dzieci.

Pięcioletni Andrzej Oisín von Kirchberg żądał większości dla siebie, lecz matka upomniła go, żeby nie był taki łakomy i podzielił się z młodszym o dwa lata Franciszkiem

Buirre'em oraz pozostałymi dziećmi.

Ferdynand, który od śmierci stryja w zeszłym roku był panem na Kirchbergu, stał obok żony i skarcił najstarszego syna, gdy ten chciał zabrać córce Saraid i Hufeisena, małej Dairíne, wiśnie, które dostała od Ciary.

- Zachowujesz się jak rozbójnik, synu, a nie jak szlachcic!

- Ja... Przepraszam. Te wiśnie są po prostu takie pyszne - odparł malec.

- Dairíne smakują dokładnie tak samo - wyjaśnił mu ojciec. - Poza tym na drzewie jest tyle owoców, że wystarczy dla wszystkich.

Słowa Ferdynanda skłoniły chłopca do myślenia. Gdy Saraid podała mu kolejną garść wiśni, dał dwie z nich swojemu młodszemu bratu i dwie kolejne Dairíne.

- Ale oni potem też muszą się ze mną podzielić! - oznajmił z naciskiem.

- Tak zrobią - zapewnił go Ferdynand, a potem popatrzył na człowieka, którego prowadził Jonatan.

Gamhain, która bawiła się w pobliżu ze swoimi szczeniakami, wstała i zaszczeła. Nie zabrzmiało to jednak groźnie, tylko raczej jak powitanie.

- Kto to może być? - zapytał Ferdynand.

Ciara przetarła oczy, wstała i podeszła kilka kroków w stronę nieznanego.

- Toal, to naprawdę ty?

- Toal?! - wykrzyknął zdumiony Ferdynand.

Spojrzał na zbliżającego się młodzieńca i też poznał, że to dawny pastuszek Ui'Corra.

Toal, przyklękawszy przed Ciarą, popatrzył na nią rozpromienionym wzrokiem.

- Jestem szczęśliwy, że was widzę, pani! Nie mieliśmy odwagi, by wierzyć, że wy, pan Ferdynand, pani Saraid i Ionatán przeżyliście podstępny atak Haresgilla na wieżę w Tir Chonaill. Ale gdy pół roku temu spotkałem człowieka, który twierdził, że zna pana Ferdynanda, musiałem to sprawdzić.

- I ty też przeżyłeś, Toalu. Cudownie! - Ciara walczyła ze łzami, które wywołała radość i jednocześnie smutek z powodu śmierci tak wielu Ui'Corra.

- Przeżyłem nie tylko ja, ale także Aithil oraz paru innych - odpowiedział Toal. - Mieszkamy teraz we Francji i służymy królowi Henrykowi IV jako żołnierze.

To znaczy my, mężczyźni. Myśleliśmy, że nie żyjecie, więc wybraliśmy Aithila na naszego nowego taoiseacha.

Lecz jako siostra Oisina O'Corry możecie żądać przywództwa dla siebie i swojego małżonka.

Ciara odwróciła się do Ferdynanda i spostrzegła, że ten delikatnie machnął ręką.

- Nie - powiedziała cicho. - Aithil to dobry człowiek i zasłużył na to, żeby być waszym przywódcą. My natomiast możemy zaoferować schronienie każdemu, kto szuka nowej ojczyzny.

- Powitam serdecznie każdego Ui'Corra, który zechce tu przybyć! - potwierdził jej słowa Ferdynand.

Toal pokręcił głową.

- Dziękujemy za zaproszenie, lecz nie porzucamy nadziei, że Pan Bóg zlituje się w końcu nad nami, Irlandczykami, i pozwoli nam wrócić na ojczystą ziemię.

Przez moment Ciara czuła się rozdarta pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. A potem spojrzała na obu synów i chwyciła Ferdynanda za rękę.

- Z całego serca życzę wam, byście pewnego dnia mogli wrócić do Irlandii. Lecz ja znalazłam swą ojczyznę tutaj!

[45] Cetnar - jednostka masy, równa ok. 50 kilogramom.

[46] Fidybus - drewniana drzazga lub kawałek knota służące do zapalania świec.